

ZOSTAWILI GO NA PEWNĄ ŚMIERĆ.  
TERAZ WRACA, BY SIĘ ZEMŚCIĆ.

# BEAR GRYLLS



**LOT WIDMO**

Pascal



**BEAR  
GRYLLS**

**LOT WIDMO**

Pascal

Copyright © Bear Grylls Ventures 2015

Copyright for the Polish edition © Wydawnictwo Pascal

Ta książka jest fikcją literacką. Jakiegokolwiek podobieństwo do rzeczywistych osób, żywych lub zmarłych, autentycznych miejsc, wydarzeń lub zjawisk jest czysto przypadkowe. Bohaterowie i wydarzenia opisane w tej książce są tworem wyobraźni autora bądź zostały znacząco przetworzone pod kątem wykorzystania w powieści.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej książki nie może być powielana lub przekazywana w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy, za wyjątkiem recenzentów, którzy mogą przytoczyć krótkie fragmenty tekstu.

Tytuł: *Lot widmo*

Tytuł oryginalny: *Ghost Flight*

Autor: *Bear Grylls*

Tłumaczenie: *Kamil Lesiew, Piotr Żak*

Redakcja: *Joanna Kułakowska-Lis*

Korekta: *Katarzyna Ziola-Zemczak*

Opracowanie graficzne okładki: *Andrzej Macura*

Projekt okładki oryginalnej: *Blacksheep*

Redaktor prowadzący: *Agnieszka Skowron*

Redaktor naczelna: *Agnieszka Hetnał*

Wydawnictwo Pascal sp. z o.o.

ul. Zapora 25

43-382 Bielsko-Biała

[www.pascal.pl](http://www.pascal.pl)

Bielsko-Biała 2015

**ISBN 978-83-7642-636-5**

eBook maîtrisé par [Atelier Du Châteaux](#)

*Książkę tę dedykuję mojemu śp. dziadkowi,  
brygadierowi Williamowi Edwardowi Harveyowi Gryllsowi,  
Oficerowi Orderu Imperium Brytyjskiego  
z 15/19 Królewskiego Pułku Huzarów Jego Królewskiej Mości,  
dowódcy Target Force.*

*Odszedł, lecz nie został zapomniany.*

## PODZIĘKOWANIA

Moje podziękowania kieruję przede wszystkim do agentów literackich w PFD: Caroline Michel, Annabel Merullo i Tima Bindinga – za nieustające wsparcie i wnikliwe uwagi do pierwszych wersji tekstu. Dziękuję Laurze Williams, młodszej agentce w PFD, za jej nadludzkie wysiłki. Dziękuję Jonowi Woodowi, Jemimie Forrester oraz całemu zespołowi Orion Publishing Group, mojego wydawcy: Susan Lamb, Sophie Painter, Malcolmowi Edwardsowi, Markowi Rusherowi, Gaby Young i wszystkim w „Ekipie Gryllsa”.

Hamishowi de Bretton-Gordonowi, Oficerowi Orderu Imperium Brytyjskiego, dyrektorowi generalnemu i ekspertowi od broni masowego rażenia w Avon Protection, dziękuję za rady i specjalistyczną wiedzę na temat broni atomowej, biologicznej i chemicznej oraz środków obronnych i ochronnych. Chrisowi Danielsowi i wszystkim w Hybrid Air Vehicles za ich zaangażowanie i wskazówki dotyczące Airlandera. Dziękuję doktor Jacqueline Borg, wybitnej specjalistce w zakresie zaburzeń mózgu, w tym zespołu ostrego stresu. Anne i Paulowi Sherratom za wnikliwe rady i weryfikację wszystkiego, co było związane z nazistami i blokiem wschodnim.

I ostatnie, ale zarazem szczególne podziękowania składam Damienowi Lewisowi, za to, że pomógł mi wykorzystać wszystkie te rzeczy, oznaczone jako „ściśle tajne”, które odkryliśmy wspólnie w skrzyni wojennej mojego dziadka. Sposób, w jaki przywróciłeś te dokumenty do życia, to istny majstersztyk.

**Bear Grylls** Alpinista, odkrywca, zdobywca czarnego pasa w karate. Przeszedł szkolenie w brytyjskich oddziałach specjalnych SAS, gdzie nauczył się sztuki przetrwania. W wieku 21 lat przeżył ciężki wypadek podczas skoku spadochronowego – złamał kręgosłup w trzech miejscach. Mimo to po dwóch latach rehabilitacji zrealizował swe dziecięce marzenie i jako najmłodszy Brytyjczyk w historii stanął na szczycie Mount Everestu. Wyczyn ten odnotowano w Księdze rekordów Guinnessa. Jest znany dzięki swym fascynującym wyprawom oraz programom, które przed telewizorami gromadzą ponad miliard widzów w 150 krajach.

Mój dziadek, brygadier William Edward Harvey Grylls, Oficer Orderu Imperium Brytyjskiego z 15/19 Królewskiego Pułku Jego Królewskiej Mości, był dowódcą Target Force, tajnej jednostki sformowanej na polecenie Winstona Churchilla pod koniec drugiej wojny światowej, jednej z najbardziej utajonych grup agentów operacyjnych, jakie kiedykolwiek utworzyło Ministerstwo Wojny. Jej głównym zadaniem było odnajdywanie i ochrona sekretnych technologii, broni, a także naukowców i wysokiej rangi nazistów, mających pomóc aliantom w starciu z nowym światowym supermocarstwem i wrogiem – Sowietami.

Nikt z naszej rodziny nie miał pojęcia o roli dziadka jako dowódcy T Force, aż do czasu, gdy – wiele lat po jego śmierci, po upływie siedemdziesięcioletniego okresu karencji, zgodnie z ustawą o tajemnicy państwowej, odtajniono te informacje. Proces odkrywania tej zagadki stał się inspiracją do napisania niniejszej książki.

Dziadek był człowiekiem małomównym i tajemniczym, ale wspominam go bardzo czule z okresu dzieciństwa. Lubił palić fajkę, miał cierpkie poczucie humoru, a ludzie, którymi dowodził, go uwielbiali.

Jednak dla mnie zawsze był po prostu Dziadkiem Tedem.



„Harper's Magazine”, październik 1946

### **Sekrety w tysiącach**

C. Lester Walker

Ktoś napisał ostatnio do bazy lotniczej w Wright Field, że wedle jego wiedzy, państwo nasze zgromadziło całkiem pokaźną kolekcję tajemnic wojennych wroga (...) i czy byłoby tak mili, żeby przesłać mu wszystko, co dotyczy niemieckich silników odrzutowych. Oddział Dokumentów Lotniczych Sił Powietrznych Armii odpowiedział:

„Przykro nam, ale byłoby to pięćdziesiąt ton”.

W dodatku te pięćdziesiąt ton to tylko niewielki ułamek tego, co składa się dziś na niewątpliwie największy zbiór tajemnic wojennych nieprzyjaciela, jaki kiedykolwiek zgromadzono. Jeśli myśleliście kiedyś o tajemnicach wojennych – a kto nie myślał? – i wydawało się wam, że można je policzyć na palcach obu rąk (...), może zainteresuje was to, że tajemnice wojenne w tej kolekcji idą w tysiące, że to przeogromna góra dokumentów, i że nigdy nie było niczego, co dałoby się z nią porównać.

---

„Daily Mail”, marzec 1988

### **Zmowa spinaczowa**

Tom Bower

„Zmowa spinaczowa” była kulminacją niezwykle zmagania między aliantami o przejęcie po zakończeniu wojny osiągnięć nazistowskich Niemiec. Zaledwie kilka tygodni po zwycięstwie nad Hitlerem wysocy przedstawiciele Pentagonu postanowili przyznać wybranym osobom, zaliczanym do „gorliwych nazistów”, status szanowanych obywateli amerykańskich.

Chociaż w Wielkiej Brytanii polityczne kontrowersje udaremniły zamiar wykorzystania Niemców do odbudowy brytyjskiej gospodarki, Francuzi i Rosjanie przyjmowali każdego, niezależnie od tego, jakie zbrodnie popełnił, a Amerykanie, poprzez sieć intryg wyczyścili zbrodnicze akta swoich naukowców-nazistów.

Niezbite dowody biegłości technologicznej Niemców przedstawione są w setkach raportów alianckich śledczych, którzy nie stronią od opisów ich „zdumiewających osiągnięć” i „nadzwyczajnej pomysłowości”.

Wygląda na to, że to Hitler z za grobu śmieje się ze swoich wrogów, jako ostatni.

---

„The Sunday Times” grudzień 2014

## **W Austrii odkryto ogromne stanowisko tajnej „broni strachu”**

Bojan Pancevski

W Austrii odkryto tajny podziemny kompleks zbudowany przez nazistów pod koniec drugiej wojny światowej, który mógł służyć skonstruowaniu broni masowego rażenia, w tym bomby atomowej.

Na ten ogromny obiekt natrafiono w zeszłym tygodniu w pobliżu miasta Sankt Georgen an der Gusen. Uważa się, że może być połączony z pobliską podziemną fabryką B8 Bergkristall, produkującą samoloty Messerschmitt Me 262, pierwsze udane myśliwce o napędzie odrzutowym, które przez krótki czas zagrażały alianckiemu lotnictwu w końcowej fazie wojny. Badaczom udało się odnaleźć ukryte wejście dzięki odtajnionym dokumentom wywiadowczym i zeznaniom świadków.

– To był olbrzymi kompleks przemysłowy i najprawdopodobniej największy zakład produkcyjny tajnej broni Trzeciej Rzeszy – twierdzi Andreas Sulzer, austriacki dokumentalista stojący na czele badań.

Sulzer zebrał zespół historyków i znalazł kolejne dowody na to, że naukowcy pracowali tu nad tajnym projektem nadzorowanym przez generała SS Hansa Kammlera, odpowiedzialnego za hitlerowskie programy pocisków raketowych, w tym raketę V-2, którą ostrzelano Londyn.

Uważa się go za błyskotliwego, lecz bezwzględnego dowódcę, który zatwierdził projekty komór gazowych i krematoriów w obozie koncentracyjnym Auschwitz na południu Polski. Nadal krążą pogłoski, że po wojnie został ujęty przez Amerykanów, którzy dali mu nową tożsamość.

Poszukiwania Sulzera zostały wstrzymane w minioną środę przez miejscowe władze, które zażądały pozwolenia na badanie obiektów historycznych. On sam jest jednak przekonany, że prace ruszą ponownie w następnym miesiącu. – Spośród więźniów obozów koncentracyjnych z całej Europy starannie wyselekcjonowano tych o szczególnych umiejętnościach – fizyków, chemików i innych specjalistów – i zagoniono do pracy nad tym potwornym projektem. Jesteśmy więc to winni ofiarom, trzeba w końcu otworzyć to miejsce i ujawnić prawdę – przekonuje Sulzer.

Otworzył oczy. Powoli. Rozwierając rzęsa za rzęsą powieki, na przekór sklelejającej je grubej skorupie zakrzepłej krwi. Światło wpadało między szczeliny posklejanych rzęs, przypominając odłamki rozbitego szkła na przekrwionych galkach. Jasność niemal wypalała siatkówkę, jakby ktoś skupiał mu na oczach promień lasera. Ale kto? Kim byli jego wrogowie?... jego oprawcy? I gdzie oni, na Boga, są? Za cholerę niczego nie pamiętał. Który to dzień? Który rok choćby? Jak się tu znalazł – gdziekolwiek był...

Światło raziło go jak diabli, ale przynajmniej powoli odzyskiwał wzrok.

Pierwszą konkretną rzeczą, jaką dostrzegł, był karaluch. Zamajaczył mu przed oczami, nabierając ostrości, rozmazany, potworny i obcy, wypełniający całe pole widzenia.

Will Jaeger stwierdził, że chyba leży na boku, na betonowej podłodze, pokrytej grubym, brązowym osadem – Bóg jeden wie czego. Miał wrażenie, że karaluch zaraz wpełźnie do jego lewego oka. Zwierzę poruszyło czułkami, a w ostatniej chwili zniknęło z pola widzenia, przemykając obok czubka nosa Jaegera. A potem poczuł, jak owad wspina mu się po głowie. Karaluch zatrzymał się gdzieś w okolicy prawej skroni – tej, która leżała dalej od podłogi, w pełni odkryta. Zaczął muskać go przednimi odnóżami i żuwaczkami. Jakby czegoś szukał. *Coś smakował.* Nagle Jaeger poczuł, że karaluch zaczyna go kąsać, chrzęszczące owadzie szczęki gryzą strzępki zgnilego ciała. Wrzasnął, a przynajmniej próbował to zrobić i wtedy zorientował się, że obłazi go kolejny tuzin owadów... jakby już od dawna był trupem.

Przemógł przyływ mdłości, a w jego głowie zakolała pytanie: *Czemu nie usłyszałem, jak krzyczę?* Nadludzkiem wysiłkiem poruszył prawym ramieniem. Tylko odrobinę, a i tak miał wrażenie, jakby próbował dźwignąć cały świat. Z każdym centymetrem ramię i staw łokciowy rozrywał coraz bardziej dotkliwy ból, a mięśnie łapał skurcz, choć wysiłek, do jakich je zmuszał, był doprawdy niewielki. Czuł się jak kaleka.

*Co się z nim, stało, na Boga? Co mu zrobili?*

Zaciskając zęby i skupiając całą siłę woli, przyciągnął ramię do głowy i przesunął dłoń po uchu, rozpaczliwie je drapiąc. Jego palce dotknęły... nóg. Łuskowatych, kolczastych, drgających owadzich odnóży, próbujących wpełznąć karaluszce ciało coraz głębiej.

*Zabierzcie je stąd! Zabierzcie! Zabierzcie je STAAAAAD!*

Chciało mu się rzygać, ale w żołądku miał pustkę. Jedynie gównianą, suchą, przedśmiertną błonę, która pokrywała wszystko – żołądek, gardło, usta; nawet nozdrza.

*O kurwa! Nozdrza! Tam też próbują wpełznąć!*

Jaeger krzyknął po raz drugi. Dłużej. Bardziej rozpaczliwie. *Nie tak powinno się umierać. Boże, proszę, nie tak...*

Drapiąc palcami, próbował bronić nos i uszy, a karaluchy machały odnóżami i syczały z owadziim gniewem, gdy zrywał je z siebie.

Dźwięk w końcu zaczął przesączać się do zmysłów. Najpierw w zalanych krwią uszach odbiły się echem jego własne rozpaczliwe krzyki, a niemal równocześnie wyłowił inny odgłos zmieszany z tłem – coś bardziej przerażającego niż dziesiątki owadów mających chrapkę na jego mózg. Ludzki głos. Gardłowy. Okrutny. Głos, który napawał się bólem. *Głos jego kata.*

Wraz z nim, z siłą fali powodziowej, wróciła pamięć. Playa Negra. Więzienie na krańcu świata, miejsce, w które zsyłano ludzi na straszliwe tortury i śmierć. Jaeger trafił tu za coś, czego nie zrobił, z rozkazu szalonego dyktatora-zbrodniarza – i wtedy zaczął się horror.

W porównaniu z pobudką w tym koszmarze Jaeger wołał już nawet spokój, jaki dawała nieświadomość; wszystko, byle nie te tygodnie, które spędził zamknięty w miejscu gorszym niż piekło – w swojej celi, swoim grabowcu.

Siłą woli zmusił umysł, by znów omdlał, by zapadł z powrotem w bezkształtną szarość, która chroniła go, dopóki coś – ale co? – nie sprowadziło go do tej niewyobrażalnie okrutnej teraźniejszości.

Prawe ramię ruszało się coraz słabiej i słabiej. Opadło na ziemię. Niech karaluchy pożrą mu mózg. Nawet to było lepsze.

Nagle to, co obudziło go wcześniej, dosięgło go jeszcze raz – chluz zimnej cieczy w twarz, niczym uderzenie fali na morzu. Tylko zapach był zupełnie inny. Nie lodowato czysty i ożywczy jak woń oceanu. To coś śmierdziało; cuchnęło intensywnie odorem klozetu, który przez lata nie zaznał ani kropli środka odkażającego.

Jego oprawca znów się roześmiał. Dla niego to była świetna zabawa. Czy jest coś lepszego niż chluśnięcie w twarz więźnia zawartością wiadra z odchodami?

Jaeger wypluł wstrętną ciecz i wymrugał ją z piekących oczu; chluz zgnilizny przynajmniej przepłoszył karaluchy. Jego umysł szukał właściwych słów – najbardziej dosadnych przekleństw, które mógłby rzucić w twarz katu. Oznaka życia. Demonstracja oporu.

– No chodź i...

Jaeger zaczął mówić, wychrypując obelgę, która jak nic załatwiłaby mu łomot tym samym giętkim biczem, którego nauczył się bać. Gdyby jednak się nie buntował, byłoby po nim. Opór to jedyne, co mu zostało.

Ale nie dokończył. Słowa zamarzył mu w gardle.

Nagle włączył się inny głos, tak dobrze znany – *tak braterski* – że przez dłuższą chwilę Jaeger sądził, że śni. Zaśpiew był z początku cichy, ale nabierał siły; rytmiczna inkantacja jakby przesycona obietnicą niemożliwego...

*Ka mate, ka mate. Ka ora, ka ora.*

*Ka mate, ka mate! Ka ora, ka ora!*

Wszędzie poznałby ten głos. *Takavesi Raffara; ale jak to możliwe?*

Gdy grali w jednej drużynie rugby w reprezentacji brytyjskiej armii, to właśnie Raff przeprowadził rytuałowi *haka* – tradycyjnemu tańcowi wojennemu Maorysów, który zawsze wykonywali przed meczem. Zrywał koszulkę, zaciskał dłonie w pięści i wypręzał się, by stanąć oko w oko z przeciwną drużyną; jego ręce bębniły w masywną pierś, nogi jak potężne pnie drzew,

ramiona jak tarany, a reszta zespołu – łącznie z Jaegerem – rozstawiona po bokach, nieustraszona, niepowstrzymana.

Z wytrzeszczonymi oczami, ze spuchniętym językiem i twarzą zastygłą w grymasie wojenniczego wyzwania, Jaeger resztką sił wyrzucił z siebie słowa: KA MATE! KA MATE! KA ORA! KA ORA! Czy umrę? Czy umrę? Czy przeżyję? Czy przeżyję?

Raff udowodnił, że jest równie nieugięty, gdy stało się z nim ramię w ramię na polu bitwy. Ideał druha-żołnierza. Maorys z urodzenia i komandos Królewskiej Piechoty Morskiej z wyroku losu; walczył u boku Jaegera w różnych stronach świata i był jednym z jego najbliższych przyjaciół.

Obrócił wzrok w prawo, w stronę, skąd dochodził zaśpiew. Kątem oka ledwo zdołał dostrzec postać stojącą daleko, po drugiej stronie krat. Masywną, górującą nawet nad jego katem. Uśmiech jak promień słońca prześwitujący przez chmury po ciemnej burzy, która zdawała się nie mieć końca.

– Raff? – Zachrypiało jedno słowo, pobrzmiwając ledwie skrywanym niedowierzaniem.

– Tak. To ja. – Ten uśmiech. – Widziałem cię w gorszym stanie, stary. Jak wtedy, gdy wywlokłem cię z tej speluny w Amsterdamie. Ale i tak trzeba cię będzie doszorować. Przyjechałem po ciebie, kolego. Lecimy do Londynu – British Airways, pierwszą klasą.

Jaeger nie odpowiedział, no bo co mógł powiedzieć? Jak to możliwe, że Raff tu był, w tym miejscu, tak blisko?

– Lepiej się zbieraj – ponaglił go Raff. – Zanim ten twój koleżka, major Mojo, się rozmyśli.

– No, Bob Marley! – Złośliwe oczy oprawcy Jaegera zwężyły się w udawanej jowialności. – Bob Marley – niezły z ciebie żartowniś, chłopie.

Raff wyszczerzył się od ucha do ucha.

Był jedynym znanym Jaegerowi człowiekiem, który potrafił uśmiechnąć się do kogoś z miną mrozącą krew w żyłach. Ta uwaga o Bobie Marleyu musiała dotyczyć włosów Raffa – długich i zaplecionych po maorysku. Na boisku wielu przekonało się na własnej skórze, że Raff nie lubi, gdy kpi się z jego fryzury.

– Otwieraj celę – rozkazał Raff głosem zgrzytliwym od gniewu. – Ja i mój kolega, pan Jaeger, wychodzimy.

Dżip ruszył spod więzienia Playa Negra. Raff, pochylony nad kierownicą, sięgnął po butelkę wody i podał ją Jaegerowi.

– Pij. – Wskazał kciukiem na tylne siedzenie. – W lodówce turystycznej jest więcej. Wlej w siebie, ile możesz, musisz się nawodnić. Przed nami dzień jak cholera...

Raff zamilkł, myśląc o czekającej ich podróży, a Jaeger pozwolił, by na chwilę zapadła cisza.

Po wielu tygodniach spędzonych w więzieniu jego ciało było jedną piekącą masą. Każdy staw rozdzierał dotkliwy ból. Miał wrażenie, że minęły całe wieki od momentu, gdy wrzucili go do tamtej celi; od chwili gdy jechał gdziekolwiek autem; gdy czuł na sobie pełną moc tropikalnego słońca na Bioko<sup>1)</sup>.

---

1) Wyspa na Zatoce Gwinejskiej, u zachodnich wybrzeży Afryki, należąca do Gwinei Równikowej. (Wszystkie przypisy pochodzą od redaktora).

Przy każdym podskoku wozu wzdrygał się z bólu. Jechali drogą przy oceanie – wąskim pasem asfaltu prowadzącym do Malabo, jedynego większego miasta na wyspie. W tym afrykańskim państewku utwardzone drogi były rzadkością. Petrodolary szły głównie na budowę nowego pałacu dla prezydenta albo na kolejny wielki jacht w jego flocie, lub wzbogacały mu konta w Szwajcarii.

Raff wskazał na deskę rozdzielczą.

– Tam są okulary przeciwsłoneczne, stary. Włóż je, bo wyglądasz, jakbyś miał zaraz zejść.

– Dawno nie widziałem słońca.

Jaeger otworzył schowek i wyciągnął coś, co wyglądało jak oakleye. Przez chwilę im się przyglądał.

– Podróbki? Zawsze byłeś pieprzonym sknerą.

Raff roześmiał się.

– Kto ryzykuje, ten wygrywa<sup>2)</sup>.

---

2) Motto Special Air Service (SAS)

Jaeger pozwolił, by na jego sponiewierane oblicze zakradł się uśmiech. Zabolalo jak diabli, miał wrażenie, jakby nie uśmiechał się od wieków; jakby uśmiech przerzynał mu twarz na pół.

Przez ostatnie tygodnie stopniowo nabierał przekonania, że nigdy nie wydobędzie się z celi. Nikt, kto mógł mu pomóc, nie wiedział nawet, że tam jest. Sądził, że umrze w Playa Ne-

gra, zapomniany, a jego ciało, podobnie jak wiele innych, rzucą rekinom na pożarcie. Nie bardzo mógł uwierzyć, że żyje i jest wolny.

Dozorca wypuścił ich przez ciemną piwnicę, w której ulokowano sale tortur, bez słowa mijając ochlapane krwią ściany oraz miejsce, gdzie zwalano śmieci, a także ciała tych, którzy pomarli w celach.

Jaeger nie potrafił sobie wyobrazić, jakiego targu dobił Raff, żeby puścili go wolno. Z Playa Negra nie wypuszczali nikogo.

*Nigdy, nikogo.*

– Jak mnie znalazłeś? – Jaeger przerwał milczenie.

Raff wzruszył ramionami.

– Nie było łatwo. Potrzeba było kilku z nas: Feaneya, Carsona, mnie. – Zaśmiał się. – Cieszysz się, że nam się chciało?

Jaeger machnął ręką.

– Akurat zaczynałem zaprzyjaźniać się z majorem Mojo. Przyjemniaczek. Z rodzaju tych, co to na pewno chciałbyś go ożenić z własną siostrą. – Spojrzał na wielkiego Maorysa. – Ale jak naprawdę mnie znalazłeś? I czemu...

– Zawsze możesz na mnie liczyć, kolego. Poza tym... – Na oblicze Raffa padł cień. – Jesteś potrzebny w Londynie, do wykonania misji. Obaj jesteśmy potrzebni.

– Jakiej misji?

Raff spochmurniał jeszcze bardziej.

– Wyjaśnię ci więcej, gdy już się stąd wyrwiemy, bo do tego czasu nie ma co rozmawiać o żadnym zadaniu.

Jaeger pociągnął łyk wody. Zimnej, czystej, butelkowanej – smakowała jak słodki nektar po tym, co musiał pić w Playa Negra, żeby przeżyć.

– I co teraz? Wyciągnąłeś mnie z pierdła, ale to nie znaczy, że wydostaliśmy się z Piekielnej Wyspy – tak ją tu nazywają.

– Obiło mi się o uszy. Umówiłem się z majorem Mojo, że dostanie trzecią część zapłaty, gdy już obaj będziemy lecieć do Londynu. Tyle że on ma inny plan – zgarnie nas na lotnisku, przygotowuje tam komitet powitalny. Powie, że wyrwałem cię z kicia, ale nas złapał. Dzięki temu dostanie kasę dwa razy – jedną od nas, drugą od prezydenta.

Jaeger wzdrygnął się. To właśnie z rozkazu prezydenta Honore Chambarę trafił do więzienia. Jakiś miesiąc temu doszło do próby zamachu stanu. Najemnicy opanowali część kontynentalną Gwinei Równikowej, tę, która leżała po drugiej stronie Zatoki Gwinejskiej – w rękach prezydenta pozostała wyspa Bioko ze stolicą kraju.

W rezultacie Chambara aresztował wszystkich (nielicznych zresztą) cudzoziemców na Bioko, a wśród nich Jaegera. Na nieszczęście, podczas rewizji w jego kwaterze znaleziono jedną czy dwie pamiątki z żołnierskich czasów.

Jak tylko Chambara o tym usłyszał, uznał, że Jaeger musiał brać udział w puczu i był *wtyczką zamachowców*. A nie był. Siedział tu, na Bioko, z innymi – w dodatku zupełnie niewinnych powo-

dów, ale Chambara nie uwierzył. Jaegera wtrącono więc do Playa Negra, gdzie major Mojo starał się z całych sił, żeby go złamać i zmusić do przyznania się do rzekomej winy. Założył okulary.

– Masz rację. W życiu nie wydostaniemy się stąd przez lotnisko. Masz plan B?

Raff zerknął na niego.

– Z tego, co słyszałem, pracowałeś tu jako nauczyciel. Uczyleś angielskiego w wiosce, na północy wyspy. Złożyłem im wizytę. Wielu rybaków mówiło, że jesteś najlepszym, co im się przytrafiło, że uczyleś dzieci czytać i pisać. To więcej, niż prezydent zrobił dla nich w ciągu całych swoich rządów. – Zawiesił głos. – Przygotowali pirogę, żebyśmy mogli dostać się do Nigerii.

Jaeger zastanowił się przez chwilę. Spędził na Bioko prawie trzy lata i dobrze poznał tutejsze osady rybackie. Przepłynięcie Zatoki Gwinejskiej pirogą było wykonalne.

– To trzydzieści kilometrów, czy coś koło tego – ocenił. – Rybacy robią to od czasu do czasu, gdy pogoda dopisuje. Masz mapę?

Raff wskazał na małą torbę u stóp kolegi. Jaeger sięgnął po nią, sycząc z bólu, i przejrzał zawartość. Znalazł mapę, rozłożył ją i przestudiował. Bioko leżało w samym środku zgięcia „pacy” Afryki – mała wyspa porośnięta gęstą dżunglą, długa na nie więcej niż sto kilometrów i szeroka na pięćdziesiąt. Najbliżej był Kamerun, a nieco dalej i bardziej na północ Nigeria. Natomiast dobre dwieście kilometrów na południe znajdowało się to, co jeszcze do niedawna było drugą połową królestwa prezydenta Chambari – kontynentalna część Gwinei Równikowej – teraz opanowana przez puczystów.

– Kamerun jest najbliżej – zauważył Jaeger.

– Kamerun? Nigeria? – Raff wzruszył ramionami. – Jakie to ma znaczenie, w tej chwili wszędzie lepiej niż tutaj.

– Ile zostało do zmroku? – zapytał Jaeger. Zegarek zabrali mu siepacze Chambari, zresztą na długo przed tym, zanim zaciągnęli go do celi w Playa Negra. – Pod osłoną nocy może nam się udać.

– Sześć godzin. Daję ci najwyżej godzinę w hotelu. Zmyjesz z siebie to gówno i wyłopiesz tyle wody, ile zdołasz – bo za cholere nie dasz rady, jeśli się nie nawodnisz. Jak mówiłem, czeka nas długi dzień.

– Mojo wie, w którym hotelu się zatrzymałeś?

Raff prychnął.

– Nie ma sensu się kryć. Na wyspie tej wielkości wszyscy wiedzą o wszystkim. W sumie trochę przypomina mi to dom... – Jego zęby zalsniły w słońcu. – Mojo nie będzie nam się naprzykrzał jeszcze przez dobrych kilka godzin, będzie sprawdzał, czy pieniądze doszły – a do tego czasu już dawno się stąd zwiniemy.

Jaeger napił się wody, wmuszając łyk za łykiem w wyschnięte gardło. Problem w tym, że jego żołądek skurczył się do rozmiarów orzecha. Jeśli nie zakatowaliby go na śmierć, dość szybko wykończyłby go głód.



– Uczyłeś dzieci. – Raff uśmiechnął się porozumiewawczo. – No dobra, powiedz, co robiłeś naprawdę?

– Uczyłem dzieci.

– Jasne. Uczyłeś dzieci. I nie miałeś nic a nic wspólnego z puczem?

– Prezydent ciągle pytał o to samo. Kiedy na chwilę przestawali mnie bić. Widzę, że mógłbyś mu się przydać.

– Okej, uczyłeś dzieci. Angielskiego. W rybackiej wiosce.

– Uczyłem. – Jaeger wyrzwał przez okno, a uśmiech zniknął z jego twarzy. – Poza tym, jeśli już musisz wiedzieć, chciałem się gdzieś ukryć. Przemyśleć to i owo. Bioko – zadupie na końcu świata. Nigdy bym nie przypuszczał, że ktoś mnie tu znajdzie. – Zawiesił głos. – Udowodniłeś, że się myliłem.

Krótki przystanek w hotelu bardzo dobrze mu zrobił. Wykąpał się. Trzy razy. Za trzecim podejściem woda uchodząca do odpływu była już w miarę czysta. Wmusił w siebie trochę soli nawadniających. Przyszytył brodę zapuszczaną od pięciu tygodni, ale na golenie nie miał czasu.

Obejrzał się w poszukiwaniu złamań – jakimś cudem, chyba było ich niewiele. Miał trzydzieści osiem lat i dbał o kondycję, również podczas pobytu na wyspie. Wcześniej spędził dekadę w elitarnej jednostce – gdy wrzucali go do celi, był w zasadzie w szczytowej formie. Może dlatego wyszedł z Playa Negra w miarę bez szwanku. Przypuszczał, że ma kilka złamanych palców u rąk i nóg. Nic, co by się nie zagoiło.

Szybko się przebrał, a potem wskoczyli z Raffem do dżipa i ruszyli z Malabo na wschód, ku gęstemu tropikalnemu buszowi. Z początku Raff prowadził pochylony nad kierownicą jak starszuszka – nie więcej niż pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Sprawdzał, czy ktoś ich nie śledzi. Nieliczni szczęściarze, którzy mieli na Bioko auta, jeździli jak szaleńcy, więc gdyby jakiś ogon przyczepił się do nich, rzuciłby się w oczy z odległości kilometra. Zanim skręcili w wąską drogę gruntową w kierunku północno-wschodniego wybrzeża, było już jasne, że są sami.

Major Mojo musiał obstawiać, że będą kierować się na lotnisko. Teoretycznie nie było zresztą innego sposobu na wydostanie się z wyspy – o ile nie chciało się narażać życia wśród burz tropikalnych i wygłodniałych rekinów krążących po okolicznych wodach. Naprawdę niewielu się na to decydowało.

Wódz wioski Fernao, Ibrahim, wskazał na plażę. Była na tyle blisko, że przez cienkie ściany chaty przenikało echo wzburzonych fal.

– Przygotowaliśmy pirogę, jest w niej woda i pożywienie. – Wódz zawiesił głos i dotknął ramienia Jaegera. – Nigdy cię nie zapomnimy, zwłaszcza dzieci.

– Dziękuję – odparł Jaeger. – Ja też was nie zapomnę. Nawet nie wiecie, jak wiele mi ofiarowaliście, jak bardzo mi pomogliście.

Wódz zerknął na stojącego u jego boku młodego, dobrze zbudowanego mężczyznę. – Mój syn jest jednym z najlepszych żeglarzy na Bioko... Na pewno nie zgodzisz się, żeby moi ludzie przewieźli was na drugą stronę? Wiesz, że chętnie to zrobią.

Jaeger pokręcił głową.

– Kiedy prezydent Chambara zorientuje się, że zniknąłem, będzie się mścił. Tutaj się zegnamy, to jedyne wyjście.

Wódz powstał.

– To były wspaniałe trzy lata, Williamie. In sza Allah<sup>3)</sup>, przepłyniecie zatokę i dotrzecie do domu. A pewnego dnia, gdy ten przekłęty Chambara w końcu zniknie, in sza Allah, wrócisz tu i nas odwiedzisz.

---

3) Arab. „jeśli Allah pozwoli”

– In sza Allah – powtórzył Jaeger. Uściśnął dłonie wodza. – Chciałbym, żeby tak się stało.

Jaeger przez chwilę spoglądał na twarze otaczające chatę. Dzieci. Pokryte pyłem, półnagie – ale szczęśliwe. Może właśnie tego nauczyły go tutejsze maluchy – co to znaczy szczęście.

Skierował oczy z powrotem na wodza.

– Wyjaśnij im, w moim imieniu, dlaczego odszedłem, ale dopiero, gdy już nas tu dawno nie będzie.

Wódz uśmiechnął się.

– Wyjaśnię. A teraz ruszaj. Zrobiłeś tu wiele dobrego. Idź z tą świadomością i lekkim sercem.

Jaeger i Raff podążyli w kierunku plaży, przedzierając się przez poszycie wyjątkowo gęstego gaju palmowego. Im mniej ludzi zauważy ucieczkę, tym mniejsza szansa, że spotkają ich jakiegoś represje.

Raff przerwał milczenie. Widział, jak bardzo przyjaciel cierpi, opuszczając swoich podopiecznych.

– In sza Allah? – zapytał z zainteresowaniem. – Ci wieśniacy to muzułmanie?

– Tak. I wiesz co? To jedni z najbardziej życzliwych ludzi, jakich w życiu spotkałem.

Raff przyjrzał mu się uważnie.

– Trzy lata w samotności na Bioko, i niech mnie diabli, jeśli wielkiemu twardzielowi Jaegerowi nie zmięкло serce.

Jaeger posłał przyjacielowi gorzki uśmiech. Może Raff miał rację, może faktycznie zrobił się ckliwy.

Zbliżali się do nieskazitelnie białego piasku na plaży, gdy podbiegła do nich sapiąca figurka. Bosy chłopak, nie więcej niż ośmioletni, półnagi, ubrany jedynie w postrzępione szorty, nie mógł złapać tchu. Jego mina wyrażała panikę graniczącą z przerażeniem.

– Proszę pana, proszę pana! – Chwycił dłoń Jaegera. – Idą tu. Ludzie prezydenta Chambary. Mój ojciec... ktoś ostrzegł przez radio. Idą tu! Żeby pana znaleźć! Zabrać z powrotem!

Jaeger przyklęknął i znalazł się na wysokości oczu chłopca.

– Mały Mo, słuchaj: nikt mnie nie zabierze. – Zdjął podróbki oakleyów i wcisnął je w ręce dziecka. Zmierzył jego zakurzone, sztywne włosy. – Zobaczmy, czy ci pasują – zachęcił malca.

Chłopczyk nałożył okulary na nos. Były tak duże, że musiał je przytrzymać.

Jaeger uśmiechnął się szeroko.

– Kolego! Wyglądasz zabójczo! Ale nie pokazuj się w nich, przynajmniej dopóki ludzie Chambary nie odejdą. A teraz biegnij. Wracaj do ojca, nigdzie nie wychodź. I podziękuj mu za ostrzeżenie.

Dziecko po raz ostatni przytuliło Jaegera, wyraźnie niechętnie się z nim żegnając, i odbiegło. Oczy wypełniały mu łzy.

Jaeger i Raff wtopili się w pobliskie zarośla. Przykucnęli nisko, na odległość szeptu. Jaeger chwycił nadgarstek Raffa, by sprawdzić czas.

– Jakies dwie godziny do zmierzchu – mruknął. – Dwie opcje... Albo uciekamy teraz, w świetle dnia, albo kryjemy się i przekradamy po nocy. O ile znam Chambarę, każe łodziom patrolowym krążyć po oceanie, nie licząc oczywiście sił, które wysłał prosto do wioski. Łodzią z Malabo plynie się nie więcej niż czterdzieści minut – ledwo wyruszymy, a już będą siedzieć nam na ognie. Co oznacza... że nie mamy wyboru. Czekamy do zmroku.

Raff przytaknął.

– Stary, byłeś tu trzy lata. Znasz to miejsce. Musimy się gdzieś ukryć, gdzie nikomu nie przyjdzie do głowy nas szukać.

Jaeger rozejrzał się wokół, zatrzymując wzrok na ciemnej i złowrogo wyglądającej roślinności na drugim końcu plaży.

– Bagno namorzynowe. Węże, krokodyle, komary, skorpiony, pijawki i cholerne blocko po pas. Ostatnie miejsce, w którym ktokolwiek o zdrowych zmysłach chciałby się skryć.

Raff pogrzebał głęboko w kieszeni, wyciągnął specyficznie wyglądający nóż i podał Jaegerowi – Trzymaj go pod ręką, na wszelki wypadek.

Jaeger rozłożył nóż i przeciągnął palcami po trzynastocentymetrowym, częściowo ząbkowanym ostrzu, sprawdzając jego ostrość.

– Kolejna podróba?

Raff spojrział na niego wilkiem.

– Na broni nie oszczędzam.

– Ludzie Chambarcy są już w drodze – podsumował Jaeger – z pewnością otrzymali rozkaz, żeby zaciągnąć nas z powrotem do Playa Negra. A my mamy jeden nóż...

Raff rozłożył drugie, identyczne ostrze.

– Wierz mi, to i tak cud, że przemyciłem je przez tutejsze lotnisko.

Jaeger uśmiechnął się ponuro.

– No dobra, mamy po jednym nożu – nikt nam nie podskoczy.

Przemknęli przez gaj palmowy w stronę odległych mokradeł.

Z zewnątrz labirynt dzikich, splątanych korzeni i gałęzi wydawał się nie do przebycia. Niewzruszony tym Raff zaczął się czołgać na brzuchu i przeć przed siebie, przeslizgując i przeciskając się przez jakieś szczeliny, a niedostrzegalne w ciemności stworzenia usuwały mu się z drogi. Zatrzymał się po dobrych dwudziestu metrach; Jaeger pełził tuż za nim.

Jeszcze kiedy byli na plaży, Jaeger chwycił jakieś stare liście palmowe i przemknął tyłem przez piasek, zacierając odciski stóp. Kiedy ponownie zapadał głęboko w namorzyny, po ich przejściu nie pozostał żaden ślad.

Potem obaj zanurzyli się w paskudnie śmierdzące, czarne błoto mokradeł. Jedyne głowy wystawały im ponad powierzchnię, ale nawet je pokrywała gruba warstwa błota i brudu. Tylko biel oczu wyróżniała ich z otoczenia. Jaeger czuł, jak wszędzie wokół ciemna powierzchnia mokradeł kipi i roi się od zwierząt.

– Prawie tęsknię za Playa Negra – mruknął.

Raff burknął potakująco, błyskając zębami – jedynie one zdradzały jego pozycję.

Oczy Jaegera błądziły po splątanych ukośnie roślinach tworzących nad ich głowami zbite sklepienie, jak w gotyckiej katedrze. Nawet największe namorzyny nie były grubsze niż ludzki nadgarstek, a wyrastały na wysokość nieco ponad sześciu metrów. W miejscach, gdzie korzenie wystawały z błota i gdzie codziennie obmywały je pływy, unosiły się one prosto w górę na dobre półtora metra lub więcej.

Raff złapał jeden namorzyn i przepiłował go przy ziemi żąbkowanym ostrzem. Drugie nacięcie zrobił na wysokości nieco ponad metra, podając kawałek drewna Jaegerowi.

Ten posłał mu pytające spojrzenie.

– Krav maga – mruknął Raff. – Zajęcia z walki na kije u kaprala Cartera. Mówi ci to coś?

Jaeger uśmiechnął się. Jak mógłby zapomnieć? Wziął nóż i zaczął ostrzyć jeden koniec twardego, wytrzymałego drewna, tworząc czubek w kształcie strzały. Krótka, ostra dzida przeznaczona do pchnięć powoli nabierała kształtu.

Kapral Carter doskonale władał wszelaką bronią, nie wspominając o jego umiejętnościach w zakresie walki wręcz. Razem z Raffem szkolili jednostkę Jaegera w krav madze, sztuce samoobrony z elementami kung-fu, wywodzącej się z Izraela, która uczyła tego, jak przeżyć w sytuacjach, jakie może zgotować prawdziwe życie. W odróżnieniu od większości sztuk walki,

w krav madze chodziło o jak najszybsze zakończenie starcia poprzez zadanie przeciwnikowi maksymalnych obrażeń. Obrażeń narządów wewnętrznych – jak zawsze mawiał Carter – takich, które z założenia miały być śmiertelne. Nie obowiązywały żadne zasady, a wszystkie ciosy powinny trafiać w najwrażliwsze części ciała – oczy, nos, szyję, krocze i kolano. Byłe mocno.

Podstawowe reguły krav magi to szybkość, agresja, zaskoczenie, a także zasada: uderz pierwszy i zrób broń z niczego. Walczyło się tym, co akurat nawinęło się pod rękę – deskami, prętami, a choćby i rozbitymi butelkami. Albo zaostrzonym drewnianym kołkiem zrobionym z korzenia namorzynowego.

Ludzie Chambarcy zjawili się tuż przed zmierzchem.

W jednej ciężarówce nadjechały ich dwa tuziny. Przeszli na drugi koniec plaży, ustawiając się w tyralierę, by przeszukać ją od skraju do skraju. Zatrzymywali się przy czólnach, przewracając je, jakby spodziewali się, że zbiegowie schowali się pod spodem. Była to oczywista kryjówka – więc Jaeger i Raff w ogóle nie brali jej pod uwagę.

Żołnierze pociskami z karabinów automatycznych podziurawili dna kilku łódek. Robili to jednak chaotycznie, a Jaeger uważnie zanotował w pamięci, które czółna nie zostały prze-strzelone.

Szybko znaleziono pirogę z prowiantem. Po plaży poniosły się wykrzykiwane rozkazy. Dwóch ludzi odzianych w moro pobiegło do wioski i wróciło minutę później; jeden niósł kogoś, drobnego, niewielkiego, przewieszzonego przez ramię. Rzucił go pod stopy dowódcy.

Jaeger pamiętał tego postawnego, otyłego mężczyznę z jednej z jego wielu wizyt w Playa Negra, gdzie nadzorował przesłuchania i tortury.

Dowódca kopnął osobę leżącą na ziemi.

Mały Mo wydał zduszony krzyk, który odbił się echem po ciemnej plaży. Jaeger zacisnął zęby. Syn wodza był dla niego jak rodzone dziecko. Bystry uczeń, choć z głupkowatym uśmiechem, zawsze go rozweselał. Do tego świetnie grał w siatkówkę plażową, która była ich ulubioną rozrywką po zakończeniu lekcji. Ale nie tylko to zbliżyło ich do siebie. Mały Mo pod tak wieloma względami przypominał Jaegerowi własnego syna.

*A przynajmniej syna, którego kiedyś miał.*

– PANIE JAEGER! – słowa przedarły się przez czarne myśli wołanego.

– Williamie Jaeger. Tak, pamiętam cię, ty tchórze. I, jak widzisz, mam chłopca. – Masywna ręka opadła i pociągnęła Małego Mo w górę za włosy, tak że dziecko balansowało na samych czubkach palców – Została mu jedna minuta życia. MINUTA! Pokażcie się, wy białe skurwysyny, NATYCHMIAST! Albo chłopak dostanie kulkę między oczy!

Jaeger wbił wzrok w Raffa. Wielki Maorys pokręcił głową.

– Stary, znasz sytuację – szepnął. – Jeśli się pokażemy, cała wioska będzie zgubiona, my i Mały Mo też.

Jaeger bez słowa przeniósł wzrok na postacie w oddali. Raff miał rację, ale obraz chłopca usiłującego ustać na koniuszkach palców i trzymającego go tęgiego dowódcy wrył mu się w mózg. Ożywił dawno pogrzebane wspomnienie – dalekie zbocze góry i postrzępiony, pocięty nożem kawałek płótna...

Jaeger poczuł, jak powstrzymuje go masywne, silne ramię.

– Spokojnie, kolego, spokojnie – szepnął Raff. – Mówię poważnie. Pokażesz się, a wszyscy zginiemy...

– Minuta minęła! – zawołał dowódca. – WYCHODŹCIE. Już!

Komendant wyciągnął pistolet z kabury i przycisnął lufę do skroni chłopca. Jaeger usłyszał ostre, stalowe *klak-klak* ładowanego do komory naboju.

– ODLICZAM OD DZIESIĘCIU. A później, zapewniam was, wy brytyjskie skurwiele, że strzelę!

Stał z twarzą zwróconą w stronę wydm, świecąc latarką po kępach traw, licząc, że dostrzeże Jaegera i Raffa.

– Dziesięć, dziewięć, osiem...

Przez ciemniejącą plażę poniósł się inny głos, dziecięcy krzyk zagłuszył odliczanie:

– Proszę pana! Proszę pana! Proszę! Proszę!

– Siedem, sześć, pięć... O tak, chłopcze, błagaj swojego białego przyjaciela, żeby cię ocalił...

Trzy...

Jaeger poczuł, jak Raff wdusza go w błoto, podczas gdy jego myśli przeskakiwały w przerażeniu między odległymi wspomnieniami: od bestialskiego napadu na ciemnym oszronionym zboczu; kropli krwi widocznych na pierwszym zimowym śniegu. Od chwili, gdy jego życie legło w gruzach... Aż do dziś; do Małego Mo.

– Dwa! Jeden! KONIEC!

Dowódca pociągnął za spust.

Pojedynczy rozblysk wydobyl plażę z mroku w kontraście ostrego światła i cienia. Komendant puścił włosy chłopca, pozwalając, by drobne ciało osunęło się na ziemię.

Jaeger, rozdzierany bólem, odwrócił twarz i przycisnął ją mocno do korzeni namorzynów. Gdyby Raff go nie przytrzymał, wyleciałby z ukrycia z nożem i zaostrzonym kolkiem gotowym do ataku, z żądzą mordu płonąca w oczach. I zginąłby. Ale miał to gdzieś.

Dowódca wywrzeszczał ciąg urwanych rozkazów. Postacie w moro rozpiezchły się we wszystkie strony, niektóre ruszyły z powrotem do wioski, inne na oba krańce plaży. Jedna zatrzymała się z poślizgiem na skraju mokradeł.

– A więc bawimy się dalej – oznajmił gromko komendant, nadal rozglądając się na wszystkie strony. – Przyprowadzimy kolejne dziecko. Jestem cierpliwym człowiekiem, nigdzie mi się nie spieszy. Jeśli będzie trzeba, z chęcią zastrzelę wszystkich twoich uczniów, jednego po drugim, panie Jaeger. Pokaż się. A może jesteś żalonym, białym tchórzem, za jakiego zawsze cię miałem? Udowodnij – że – się – myliłem.

Jaeger zobaczył, że Raff się poruszył. Cicho przeczołgał się naprzód, sunąc po błocie na brzuchu jak olbrzymi, upiorny wąż. Rzucił okiem przez ramię.

– Chcesz odejść w glorii chwały? – szepnął.

Jaeger skinął ponuro głową.

– Szybkość. Agresja...

– Zaskoczenie – Raff dokończył mantrę.

Jaeger popelzł naprzód, podążając po śladach Raffa, podziwiając zarazem, jak wielki Maorys potrafił się ruszać, polować, cicho niczym zwierzę. Jak urodzony drapieżca. Przez lata Raff przekazał Jaegerowi tak wiele z tych umiejętności – niezłomną wiarę i koncentrację, potrzebne do tego, by podejść ofiarę i zabić. Ale Raff i tak pozostał mistrzem, był najlepszym z najlepszych.

Wynurzył się z mokradeł jak bezkształtny cień, akurat gdy zaciągali na plażę kolejne niefortunne dziecko. Dowódca zaczął kopać je butem w brzuch, a jego ludzie, rechocząc, przyglądali się widowisku.

Raff wykorzystał okazję. Pod osłoną mroku podkrađł się do samotnego strażnika stojącego najbliżej mokradeł. Jednym szybkim ruchem zarzucił lewą rękę na szyję i usta żołnierza w żelaznym duszącym chwycie, zupełnie uniemożliwiając krzyk, podrywając brodę do góry i w bok. Równocześnie jego prawa ręka zatoczyła łuk w brutalnym pchnięciu, zagłębiając ostrze noża po rękoność w gardle strażnika, a potem poderwała je w górę, przerywając tętnicę i tchawicę.

Raff przytrzymał pechowego żołnierza przez kilka sekund, podczas gdy resztki jego życia wtłaczały się w płuca, topiąc go we własnej krwi. Cicho opuścił ciało na piasek. Błyskawicznie zanurzył się z powrotem w mokradła, ściskając w śliskich od krwi rękach karabin zabitego.

Przykucnął, rozsuwając rośliny, by zrobić Jaegerowi przejście.

– Chodź! – syknął. – Idziemy!

Kątem oka Jaeger dostrzegł jakiś ruch. Jakby znikąd pojawiła się postać, unosząc karabin do strzału i mierząc prosto w Raffa. Jaeger cisnął nóż.

To był odruch. Ostrze zaszumiało w ciemniejącym powietrzu, wirując w locie i zatopiło się głęboko w brzuchu wroga.

Broń wypaliła niemal równocześnie z krzykiem rannego, ale ogień poszedł bokiem, z daleka omijając cel. Echa wystrzału jeszcze zamierały, kiedy Jaeger poderwał się i rzucił przed siebie, unosząc w górę drewniany kolek trzymany w ręce. *Poznał strzelca.*

Skoczył, wbijając włócznię w pierś mężczyzny. Pchając z całej siły, czuł, jak zaostrzony kolek roztrzaskuje żebra, przecina mięśnie i ścięgna. Zanim jeszcze złapał karabin powalonego przeciwnika, miał go przygwożdżonego do piasku – drewniana broń przebiła bok i ramię na wylot. Major Mojo, dawny oprawca Jaegera, wrzeszczał i zwijał się jak zarzynane prosię – ale nigdzie się nie wybierał, to było pewne.

Jednym płynnym ruchem Jaeger poderwał karabin, odbezpieczył i otworzył ogień. Wylot lufy wypluł rozżarzony grad pocisków; smugacze podziurawiły mrok.

Jaeger celował w tułów. Strzały w głowę były dobre na strzelnicy, ale w prawdziwej walce zawsze mierzyło się w bebechy. Stanowiły największy cel, a postrzał w brzuch przeżywali nieliczni.

Omiótł wzrokiem plażę, szukając komendanta. Widział, jak dziecko się wyrwa i znika pod osłoną pobliskiego gaju palmowego. Jaeger oddał potężną salwę i zobaczył, jak dowódca odwraca się i ucieka, a smugi pocisków rozrywają jego pięty i wbijają mu się w pierś. Gdy komendant upadł, wyjął z przerażenia w przedśmiertnych drgawkach, Jaeger wyczuł, że w szeregach wroga szerzy się strach i niezdecydowanie. Byli teraz jak wąż, któremu urżnięto głowę.

To była odpowiednia chwila, by wykorzystać przewagę.

– Przeładowanie! – krzyknął Jaeger, wylawiając pełny magazynek z kieszeni dawnego kata i wsuwając na miejsce. – Jazda! Jazda! Jazda!

Raffowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. W mig był na nogach, szarżując naprzód z okrzykiem bojowym na ustach, a Jaeger kładł ogień zaporowy. Kiedy ciemny, groźny maoryski olbrzym parł przed siebie, Jaeger zauważył, że pierwsi wrogowie zaczynają się wylamywać i uciekać.

Raff pokonał trzydzieści metrów, potem opadł na kolano i otworzył ogień. Teraz to on krzyknął do kompana: – NAPRZÓD!

Jaeger poderwał się z piasku, z bronią przy ramieniu, dając upust wściekłości, skupiony na walce. Gdy mknął jak błyskawica przez plażę, a lufa pluła ogniem, tylko jego oczy i obnażone zęby odcinały się bielą od ciemnej warstwy bagnistego szlamu, który pokrywał go od stóp do głów. Po paru chwilach ostatni z żołnierzy prezydenta Chambary złamali szyk i rzucili się do ucieczki. Raff i Jaeger przegonili ich przez gaj palmowy mierzonymi seriami, aż w końcu nie było widać ani jednej postaci. Zaraz potem ciemna połać piasku uchłła, słychać było tylko jęki umierających i rannych.

Nie tracąc czasu, komandosi odnaleźli pirogę przygotowaną przez wodza i pociągnęli ją w stronę fal. Na suchym lądzie duży wydrążony pień o grubej korze był nieporęczny, musieli więc wyczerpać wszystkie siły, by zawlec łódź do morza. Już mieli odepchnąć ją od brzegu, gdy Jaeger dał Raffowi sygnał, żeby poczekał.



Przedarł się przez fale i pobiegł do miejsca, gdzie leżało ciało przyszpilone do mokrego od krwi piasku. Wyszarpnął kolek, zarzucił sobie rannego na ramiona i wrócił z powrotem, rzucając swojego półprzytomnego kata na środek łódki.

– Zmiana planów! – krzyknął do Raffa, gdy pchali czółno w głąb fal. – Mojo płynie z nami. Poza tym skierujemy się na południowy wschód. Ludzie Chambary wyjdą z założenia, że popłynęliśmy na północ, do Kamerunu albo Nigerii. Nie przyjdzie im do głowy, że ruszyliśmy w przeciwną stronę, z powrotem do ich kraju.

Raff wskoczył do pirogi i wyciągnął rękę, by pomóc Jaegerowi.

– Czemu mielibyśmy wracać do tej piekielnej nory przyjemniaczka prezydenta?

– Popłyniemy na kontynent. To dwa razy dalej, ale w życiu nie pomyślą, żeby zapędzić się tam za nami. Poza tym to już nie jest teren Chambary, pamiętasz? Dogadamy się z puczystami i zobaczymy, co uda się wskórać.

Raff uśmiechnął się szeroko.

– *Ka mate! Ka mate! Ka ora! Ka ora!* No to w drogę, do cholery!

Powiosłowali w morze. Jaeger podjął zaśpiew i szybko pochłonął ich mrok rozjaśniony nieco blaskiem księżyca.

– Okej panowie, zapewne ucieszy was fakt, że wszystko, co mówicie, się zgadza. Wystarczyło kilka telefonów. Wygląda na to, że wasza reputacja was wyprzedza.

Człowiek siedzący przed nimi mówił z wyraźnym południowoafrykańskim akcentem, był krępy i szeroki w barkach, o mięsistej, czerwonej i brodatej twarzy typowego Bura<sup>4)</sup>. Jego wygląd świadczył o młodości spędzonej na grze w rugby, grubych popijawach i żołnierce w afrykańskim buszu, czym się zajmował, zanim nie pokonały go wiek i podagra. Jednak Pieter Boerke nie zamierzał sam rzucać się do walki. Był przywódcą puczu i miał pod swoimi rozkazami o wiele młodszych i sprawniejszych ludzi do prowadzenia natarcia.

---

4) Burowie, inaczej Afrykanerzy, potomkowie białych osadników w byłych koloniach brytyjskich w Afryce Południowej

– Wciąż planujecie zdobyć Bioko? – zapytał Jaeger. – Pucz wonga skończył się, zanim tak naprawdę się zaczął...

Prezydenta Chambarę usiłowano odsunąć od władzy już kilka lat wcześniej. Poprzednia próba zamachu stanu zakończyła się jednak klęską, więc przyłgnął do niej drwiący przydomek „puczu wonga”<sup>5)</sup>.

---

5) Nieudana próba zamachu stanu w Gwinei Równikowej podjęta w 2004 roku. „Wonga” w slangu brytyjskim oznacza „szmal”.

Boerke parsknął. – Ja prowadzę zupełnie inną operację, pod hasłem „Mamy cię!”. Chambara jest skończony. Społeczność międzynarodowa, kompanie naftowe, ludność Bioko – wszyscy chcą się go pozbyć. Kto by nie chciał? Gość to zwierzę. Zjada ludzi na śniadanie, głównie swoich ulubionych więźniów. – Uważnie przyjrzał się Jaegerowi. – Na pewno cieszysz się, że zdążyłeś wydostać się z Playa Negra, co?

Jaeger z trudem się uśmiechnął. Po trzech dniach poniewierania przez tropikalne burze i zalewania falami w trakcie przeprawy przez Zatokę Gwinejską, wciąż wszystko go bolało.

– C-130 właśnie przewożą broń – podjął Boerke – kursując wahadłowo do Nigerii i z powrotem. Przygotowujemy się do wielkiej ofensywy. A skoro już o tym mowa, przydałyby mi się dodatkowe ręce do pomocy – ludzie tacy, jak wy, którzy znają teren. – Zmierzył wzrokiem obu mężczyzn. – Chcecie się przyłączyć?

Jaeger zerknął na Raffa.

– Mój wielki maoryski przyjaciel mówi, że mamy coś do załatwienia w Wielkiej Brytanii.

– Niestety – mruknął Raff. – Choć po zakosztowaniu gościnności prezydenta Chambarę chętnie wyważyłbym z kopa jego frontowe drzwi.

– Wierzę. – Boerke parsknął śmiechem. – Ostatnia szansa, panowie. Przydalibyście mi się. I to bardzo. W końcu wyrwaliście się z Playa Negra, a to nikomu się nie udaje. Wywalczyliście sobie ucieczkę z wyspy dwiema wykałaczkami i otwieraczem do butelek, przeżyliście trzy dni w czólnie na morzu. Jak już mówiłem, takich ludzi potrzebujemy.

Jaeger uniósł ręce w geście kapitulacji.

– Nie tym razem. Mam już dość Bioko.

– Rozumiem. – Boerke podniósł się, energicznie, krocząc w tę i z powrotem za biurkiem. – Mogę was stąd zabrać następnym C-130. W Nigerii przemyci się was na pokład British Airways wprost do Londynu, bez zbędnych pytań. Przynajmniej tyle mogę dla was zrobić, w rewanżu za to, że dostarczyliście mi tego gnojka. – Wskazał kciukiem przez ramię. W jednym z rogów pomieszczenia leżał bezwładnie mocno obandażowany major Mojo. Ciężko ranny, po trzech dniach na morzu, był ledwie przytomny.

Raff zmierzył go pogardliwym wzrokiem.

– Będę wdzięczny, jeśli potraktujecie go podobnie, jak on mojego kolegę. Z nawiązką. O ile przeżyje.

Boerke błysnął uśmiechem.

– Żaden problem. Mamy wiele pytań, które chcemy mu zadać. I pamiętaj, jesteśmy z RPA, my nie bierzemy jeńców. No dobrze, czy mogę zrobić dla was coś jeszcze, zanim się rozstaniemy?

Jaeger zawahał się. Instykt podpowiadał, że może zaufać temu człowiekowi, do tego łączyła ich żołnierska więź. W każdym razie, jeśli chciał przekazać pieniądze wodzowi Ibrahimowi, nie miał w tej chwili innego wyboru. Wyciągnął z kieszeni kawałek papieru.

– Kiedy już opanujecie Bioko, czy możecie przekazać to wodzowi wioski Fernao? To numer anonimowego konta w Zurychu wraz z kodami dostępu. Jest tam spora sumka – to, co Raff zapłacił Mojo, żeby mnie wyostać. Syn wodza zginął przez nas. Pieniądze nie wrócą mu życia, ale może byłby to jakiś początek.

– Załatwione – obiecał Boerke. – Ale powiem jedno. Dobrze się stało, że przywieźliście tu tego gnojka. Zna plany obronne Chambarę od A do Z. Bardzo żałuję, że dziecko zginęło, ale miejmy nadzieję, że jego śmierć, dzięki tym poufny informacjom, uratuje życie wielu innych.

– Może. Miejmy nadzieję – zgodził się Jaeger. – Ale to nie było jedno z twoich dzieci, jeden z twoich najlepszych uczniów.

– Wierz mi, gdy Chambara zniknie, każde dziecko na Bioko będzie miało o wiele jaśniejszą przyszłość. Człowieku, to państwo powinno być bogate jak cholera. Ma ropę, gaz, minerały – wszystko. Sprzedać jachty Chambarę, przejąć jego zagraniczne konta – i starczy na dobry początek. No dobra, coś jeszcze?

– Tylko jedno... – Jaeger głośno się zastanawiał. – Wiesz, spędziłem tam trzy lata, to szmat czasu w takim miejscu jak Bioko. Krótko mówiąc, zacząłem zagłębiać się w historię wyspy. Pod koniec drugiej wojny światowej Brytyjczycy prowadzili ściśle tajną operację śledzenia wrogiej jednostki, „Duchessy”, statku towarowego kotwiczącego w porcie Malabo. Zadaliśmy sobie ogromnie dużo trudu. Pytanie, po co?

Boerke wzruszył ramionami.

– Cholera wie.

– Podobno kapitan przekazał dokumenty władzom portu na Bioko – ciągnął Jaeger. – Były niepełne, lista ładunków liczyła sześć stron, brakowało siódmej. Mówi się, że trzymają ją w ukryciu, w podziemiach siedziby rządu w Malabo. Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ją zdobyć. Może, gdy opanujecie stolicę, zrobicie mi kopię?

Boerke skinął głową.

– Jasne. Zostaw e-mail i telefon. Ale jestem ciekaw. Jak myślisz, co przewoził ten statek? I czemu cię to interesuje?

– Dałem się zwieść plotkom, bardzo mnie to wciągnęło. Diamenty. Uran. Złoto. Tak mówią. Coś, co wydobywa się w Afryce, coś, czego naziści bardzo potrzebowali, by wygrać wojnę.

– Najpewniej uran – zasugerował Boerke.

– Może. – Jaeger wzruszył ramionami. – Ta siódma strona, ona wszystko wyjaśni.

Ciężkie niebo wisiało nisko i ponuro nad topem masztu statku motorowego „Global Challenger”, który kotwiczył na Tamizie. Do krawężnika podjechała taksówka wioząca Raffa i Jaegera z lotniska Heathrow. Jej opony zatrzymały się w szarej kałuży, tłustej od rozlanej benzyny.

Jaegera uderzyła myśl, że opłata za kurs wystarczyłaby na wyposażenie w książki całej klasy na Bioko. A gdy taksówkarz nie dostał od Raffa takiego napiwku, jakiego wyraźnie się spodziewał, odjechał bez słowa, opryskując czubki ich butów wodą z kałuży. Londyn w lutym. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

Przespał niemal całą drogę i dwa loty – ten z kontynentalnej części Gwinei Równikowej do Nigerii, na pokładzie głośnego samolotu transportowego C-130 Hercules, a potem ten do Londynu. Etap z Lagos do Londynu pokonali w luksusowych warunkach, ale Jaeger wiedział z doświadczenia, że za takim lotem pierwszą klasą prawie zawsze coś się kryje. Ktoś zapłacił za przeloty liniami British Airways, a siedem patoli za sztukę to nie są małe pieniądze. Kiedy próbował wypytać o to Raffa, sympatyczny Maorys stał się dziwnie małomówny. Najwyraźniej komuś bardzo zależało na ściągnięciu Jaegera do Londynu, koszt nie grał roli, a Raff nie chciał o tym rozmawiać. Jaeger uznał, że wszystko mu jedno. Całkowicie ufał swojemu druhowi.

Zanim dotarli do Londynu, zaczął odczuwać skumulowane skutki pięciu tygodni więzienia w Playa Negra, a także późniejszego starcia i ucieczki. Dowłókl się do trapu „Global Challenge-ra” na nogach chwiejnych i skrzypiących jak u starca, akurat wtedy, gdy deszcz lunął jak z cebra.

„Global Challenger”, dawny statek badawczy, pływający po wodach Arktyki, był główną siedzibą Enduro Adventures – firmy, którą Jaeger założył po odejściu z wojska, razem z Raffem i jeszcze jednym znajomym żołnierzem. To właśnie on – Stephen Feaney – stał teraz na szczycie trapu, zasłonięty częściowo przez padający deszcz. Wyciągnął rękę na powitanie.

– Nie sądziłem, że cię znajdziemy. Wyglądasz jak gówno. Dłużej byś chyba nie pociągnął.

– Wiesz, jak jest. – Jaeger wzruszył ramionami. – Ten wielki, pieprzony Maorys – prezydent Chambara miał go już usmażyć i zjeść. Ktoś musiał go stamtąd wywlec za fraki.

Raff parsknął:

– Takiego wała!

Wybuchnęli śmiechem, wszyscy trzej, podczas gdy deszcz bębnił w nieosłonięty pokład. Dobrze było znowu być razem.

Służba w siłach specjalnych zawsze stanowiła zajęcie dla młodych. Jaeger, Raff i Feaney byli tam, gdzie trafiali nieliczni, i robili rzeczy, które nielicznym w ogóle zmieściłyby się w głowie. Ta wspaniała przygoda odcisnęła jednak na nich swoje piętno. Kilka lat wcześniej postanowili z tym skończyć, dopóki jeszcze byli na plusie. Zdobyte za pieniądze podatników umiejętności wykorzystali do założenia własnego biznesu – tak powstało Enduro Adventures. Ich motto brzmiało: „Planeta Ziemia to nasz plac zabaw”.

Z inicjatywy i według pomysłu Jaegera stworzyli zespół oferujący ludziom zamożnym – biznesmenom, sportowcom i garstce celebrytów – wyjątkowo wymagające wyprawy w dzikie tereny. Z czasem wyrosła na zyskowny koncern, który przyciągał znane osobistości, gwarantując im najbardziej niesamowite przygody, jakie planeta Ziemia mogła zaoferować.

Nagle, właściwie z dnia na dzień, życie Jaegera legło w gruzach, a on sam zniknął bez śladu, również z Enduro Adventures. Feaney był zmuszony wziąć na siebie zarabianie pieniędzy, a Raff biznesową stronę wypraw, choć nie były to ich wrodzone talenty.

Jaeger, w stopniu kapitana, był wśród nich jedynym eksolicerem. Dowodził Szwadronem D, sześćdziesięciosobową jednostką SAS<sup>6)</sup>. Blisko współpracował ze starszym dowództwem i ze swobodą poruszał się w sferach wielkiego biznesu.

---

6) Special Air Service – elitarna jednostka armii brytyjskiej, przeznaczona do zadań specjalnych

Feaney był starszy i długo przebiegał się w górę hierarchii, a służbę skończył jako starszy sierżant sztabowy pod komendą Jaegera. W przypadku Raffa na przeszkodzie do awansu stały skłonności do rozrywkowego życia, choć nie można też powiedzieć, żeby wielki Maorys w ogóle się tym przejmował.

Dla pozbawionego symbolicznego przywódcy Enduro Adventures ostatnie trzy lata okazały się trudne. Jaeger wiedział, że po części Feaney miał do niego żal za ucieczkę na Bioko. Uznał jednak, że gdyby to jego spotkała taka tragedia, też byłoby mu ciężko. Czas i doświadczenie nauczyły go, że każdy ma jakąś granicę wytrzymałości. Gdy Jaeger przekroczył swoją, skrył się w ostatnim miejscu na ziemi, w którym ktokolwiek by go szukał. Na Bioko.

Feaney zaprowadził ich do środka. Sala konferencyjna „Global Challangera” była świątynią ku czci przygody, z porozwieszanymi na ścianach pamiątkami z odległych zakątków globu: flagami połowy wojsk świata; odznakami i beretami elitarnych jednostek, o których istnieniu wiedzieli nieliczni; stojakami z wycofaną z użytku bronią, łącznie z pozłacanym AK-47, pochodzącym z jednego z pałaców Saddama Husajna. Stanowiła też hołd złożony cudom i dziwom planety Ziemi. Ściany zdobiły fotografie najdzikszych i najbardziej ekstremalnych regionów: wysuszonej na wiór, targanej wiatrem pustyni; bładoniebieskich, ośnieżonych gór; ciemnoszarego okapu dżungli poprzeshywanego snopami światła – a także dziesiątki zdjęć ekip, które Enduro Adventures powiódł w takie miejsca.

Feaney szarpnął drzwi lodówki za barkiem.

– Piwo?

Raff mruknął:

– Po Bioko mógłbym wydoić dosłownie wszystko.

Feaney podał mu butelkę.

– A ty, Jaeger?

Jaeger pokręcił głową.

– Nie, dzięki. Na Bioko nie płem. To znaczy nie płem przez ostatnie dwa lata. Po jednym piwie będziesz musiał zeszkrobywać mnie z sufitu.

Wziął wodę i siedli we trójkę wokół jednego z niskich stolików. Rozmawiali przez jakiś czas, opowiadając, co się wydarzyło, zanim Jaeger nie powrócił do sedna sprawy – powodu, dla którego Raff i Feaney zadali sobie tyle trudu, by go znaleźć i sprowadzić do domu z drugiego krańca ziemi.

– No więc, to nowe zlecenie – wprowadźcie mnie w temat. Raff powiedział mi to i owo, ale wiesz jaki on jest: swoją gadką potrafi zanudzić na śmierć.

Raff wychylił piwo.

– Walczę, nie gadam.

– Pijesz, nie kochasz – dopowiedział Jaeger.

Roześmiali się. Po trzyletniej nieobecności Jaeger wrócił odmieniony – nie był już tym młodym żołnierzem-podróżnikiem, jakim go zapamiętali. Spowaźniał, przycichł. Bardziej zamknął się w sobie. Mimo to czasem miewał chwilowe przebłyski naturalnego dowcipu i uroku, dzięki którym był niegdyś takim świetnym liderem Enduro Adventures.

– Cóż, chyba sam się domyśliłeś – zaczął Feaney – że biznes mocno ucierpiał przez twoje...

– Miałem powody – przerwał mu Jaeger.

– Stary, nie mówię, że nie miałeś. Na Boga, my wszyscy...

Raff uniósł wielką dłoń, by ich uciszyć.

– Feaney próbuje powiedzieć, że wszystko gra. Było, minęło. To przeszłość. Za to przyszłość – dla nas wszystkich – to to nowe obiecujące zlecenie. Tyle że w ostatnich tygodniach uwalniało się w niezłym gównie.

– To prawda – potwierdził Feaney. – Krótka wersja jest taka. Miesiąc albo dwa temu skontaktował się ze mną Adam Carson, którego na pewno pamiętasz z czasów, gdy był szefem sił specjalnych.

– Brygadier Adam Carson? – Jaeger kiwnął głową. – Jak długo był z nami? Dwa lata? Zdolny dowódca, ale nigdy go szczególnie nie polubiłem.

– Ja też nie – zgodził się Feaney. – Tak czy owak, po tym, jak odszedł z wojska, zwerbowała go jakaś firma medialna. Skończył jako dyrektor generalny u producenta filmów o nazwie Wild Dog Media. Może brzmi śmiesznie, ale wcale takie nie jest. Specjalizują się w filmowaniu dalekich miejsc – wypraw, dzikiej przyrody, klipów dla korporacji, i takich tam. Zatrudniają wielu byłych żołnierzy. Idealni partnerzy dla nas.

– Na to wygląda.

– Carson miał dla nas dochodową propozycję. Głęboko w Amazonii odkryli wrak samolotu, najprawdopodobniej z czasów drugiej wojny. Znalazło go brazylijskie wojsko, gdy prowadziło obserwację powietrzną granicy daleko na zachodzie. Dość powiedzieć, że to kompletne, pieprzone zadupie. W każdym razie Wild Dog konkurował o możliwość odkrycia, co to właściwie jest za wrak.

– W Brazylii?

– Tak. Chociaż, tak naprawdę, to nie do końca. Leży tak jakby na samej granicy – tam, gdzie schodzą się Brazylia, Boliwia i Peru. Podobno jedno skrzydło ma w Boliwii, drugie w Peru, a tylną część w połowie zwróconą w stronę Copacabany. Ujmijmy to tak: ktokolwiek go tam zostawił, miał w dupie granice.

– Jak za naszych czasów w pułku – zauważył ironicznie Jaeger.

– Żeby tylko. Przez jakiś czas toczono spór o ten teren, ale jedyne wojsko, które mogło cokolwiek zdziałać, to Brazylijczycy – a nawet dla nich był to duży problem. Zaczęli badać grunt, czy nie dałoby się skrzyknąć jakiejś międzynarodowej ekipy, żeby odkryła sekrety samolotu.

– Jakakolwiek to maszyna, jest ogromna – podjął Feaney. – Carson może zdradzić ci więcej, ale dość powiedzieć, że to zagadka owiana tajemnicą, ukryta w... czy jak to tam idzie. Carson zaproponował wysłanie wyprawy, żeby sfilmować to wszystko. Wielkie wydarzenie medialne, transmitowane na całym świecie. Zebrał duży budżet. Ale były też konkurencyjne oferty, a goście z Ameryki Południowej nie mogli się ze sobą dogadać.

– Za dużo wodzów... – domyślił się Jaeger.

– A za mało Indian – potwierdził Feaney. – A skoro już o nich mowa, teren, gdzie leży wrak, to terytorium pewnego bardzo nieprzyjaznego plemienia Indian amazońskich. Amahuaca czy coś takiego. Nigdy nie było z nimi kontaktu i bardzo by chcieli, żeby tak pozostało. Chętnie strzelają z luków i dmuchawek do każdego, kto zapędzi się na ich ziemie.

Jaeger uniósł brew.



– Zatrute strzały?

– Nawet nie pytaj. Ta wyprawa to prawdziwe wyzwanie. – Feaney zawiesił głos. – A zatem Brazylijczycy wchodzą do gry. Wszystko utajnione, informacje ściśle dozowane, a dokładną lokalizację wraku trzymają w tajemnicy, żeby nikt ich nie ubiegł. Problem w tym, że Boliwia jest dla Brazylii tym, czym Francja dla Wielkiej Brytanii, a Peruwiańczycy są, powiedzmy, jak Niemcy. Nikt tam nikomu nie ufa.

Jaeger uśmiechnął się.

– Lubimy wino tych pierwszych i auta tych drugich, ale na tym właściwie koniec?

– Dokładnie. – Feaney pociągnął łyk piwa. – Ale Carson to lebski gość. Udało mu się przekonać do siebie Brazylijczyków, i to dzięki jednej rzeczy – ty masz poprowadzić tę brazylijską misję. Szkoliłeś ich oddziały antynarkotykowe – ich siły specjalne. Wygląda na to, że zostawiłeś po sobie niezatarte wspomnienie, podobnie jak Andy Smith, twój zastępca. Tobie ufają. Całkowicie. Sam najlepiej wiesz, dlaczego.

Jaeger skinął głową.

– Kapitan Evandro wciąż z nimi pracuje?

– Teraz już pułkownik Evandro. Nie tylko pracuje, ale jest szefem brazylijskich sił specjalnych. Wyciągnąłeś jego najlepszych ludzi z gówna i nigdy ci tego nie zapomniał. Carson obiecał, że ty albo Smith będziecie dowodzić, a najlepiej obaj. To przekonało pułkownika do nas, a on wciągnął do współpracy Boliwijczyków i Peruwiańczyków.

– Evandro to dobry człowiek – stwierdził Jaeger.

– Na to wygląda. Przynajmniej ma dobrą pamięć. Dlatego też Carson i Enduro dostali to zlecenie. I dlatego cię odnaleźliśmy. Zresztą w odpowiednim momencie, jak widać. – Feaney przez chwilę uważnie przyglądał się Jaegerowi. – W każdym razie to duży kontrakt, kilka milionów dolarów. Wystarczająco, żeby Enduro odbiło się od dna.

– Brzmi dobrze. – Jaeger spojrzał na Feaneya. – Może nawet za dobrze?

– Może. – Mina Feaneya nieco zrzedła. – Carson wziął się za rekrutację zespołu. Mniej więcej po równo kobiet i mężczyzn – żeby było atrakcyjnie dla widzów. Zgłosiło się wielu chętnych i Carson mógł przebierać do woli. Tymczasem my nie umieliśmy trafić na żaden ślad po tobie, więc Smithy zgodził się sam dowodzić wszystkim, bo ty jakby... no... zapadłeś się pod ziemię.

Mina Jaegera pozostała nieodgadniona.

– Albo pojechałem na Bioko, uczyć angielskiego. Zależy, jak na to patrzeć.

– Taa. Tak czy owak.... – Feaney wzruszył ramionami. – Wszystko było gotowe do wyjazdu do Amazonii. Wyprawa życia dostała zielone światło, ludzie nie mogli się już doczekać niesamowitych odkryć.

– I wtedy wtrąciły się szychy z TV – mruknął Raff. – Cały czas naciskały i naciskały, chciwe skurwysyny.

– Raff, stary, Smithy się zgodził – zaoponował Feaney. – Też uznał, że to dobre rozwiązanie.

Raff poszedł po kolejne piwo.

– Ale to przez nich cholernie dobry człowiek...

– Tego nie wiemy! – wtrącił się Feaney.

Raff trzasnął drzwiami lodówki.

– Wiemy, do cholery.

Jaeger uniósł ręce.

– Hola... spokojnie, panowie. Co się stało?

– W pewnym sensie Raff ma rację – podjął Feaney. – Telewizyjni żądali więcej. Chcieli mieć coś w rodzaju prologu. Andy miał zabrać rekrutów na szkockie wzgórze, dać im się wykazać. Coś jak minipreselekcja do SAS: odsiać słabszych, a wszystko na oczach kamer.

Jaeger skinął głową.

– No i pojechali na szkockie wzgórze. Więc o co chodzi?

Feaney spojrzął na Raffa.

– On nie wie?

Raff odstawił piwo, bardzo powoli.

– Stary, wyciągnąłem go z Playa Negra półzywego, wydostaliśmy się z Piekielnej Wyspy, walcząc dwoma pieprzonymi szczyrykami. Potem przedarliśmy się przez rekiny i tropikalne burze. Powiedz, kiedy miałem znaleźć czas, żeby mu powiedzieć?

Feaney przeciągnął ręką po krótko przyszyżonych włosach. Spojrzął na Jaegera.

– Smithy poprowadził ekipę do Szkocji. Zachodnie wybrzeże w styczniu, pogoda koszmarna. Policja znalazła jego ciało na dnie wąwozu Loch Iver.

Serce Jaegera zamarało. *Smithy nie żyje?* Miał dziwne przeczucie, że musiało stać się coś złego, ale nie coś takiego. Nie Smithy'emu. Andy Smith – twardziel, na którym można było polegać, w którym zawsze znajdował oparcie. Nigdy nie tracił humoru, nawet w najgorszych chwilach. Niewiele było bliższych mu ludzi.

– Smithy spadł i się zabił? – nie dowierzał Jaeger. – Niemożliwe. Facet był, kurwa, nie do zdarcia. Na wzgórzach nie miał sobie równych.

W pokoju zapadła cisza. Feaney wlepił wzrok w butelkę piwa, w jego oczach pojawił się niepokój.

– Gliniarze mówią, że poziom alkoholu w jego krwi przekraczał wszelkie normy. Mówią, że wypił butelkę Jacka Danielsa, wdrapał się na wzgórze, stracił równowagę po ciemku i runął w przepaść.

Jaeger się zachnął:

– Gówno prawda. Smithy pił jeszcze mniej niż ja.

– Stary, dokładnie tak powiedzieliśmy policji. Ale oni trzymają się swojej wersji: śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku, z więcej niż małymi znamionami samobójstwa.

– Samobójstwa? – wybuchł Jaeger. – Czemu, na Boga, Smithy miałby się zabijać? Zostawić żonę i dzieci? Gdy miał do poprowadzenia wymarzoną misję? Samobójstwo, akurat! Bądźmy poważni. Smithy miał wszelkie powody, by żyć.

– Lepiej mu powiedz, Feaney. – Głos Raffa był pełen napięcia od ledwie tłumionego gniewu.  
– Wszystko.

Feaney wyraźnie się spiął, zbierając siły na ciąg dalszy:

– Gdy znaleziono Smithy’ego, miał płuca do połowy wypełnione wodą. Gliny twierdzą, że przeleżał całą noc w ulewnym deszczu i wciągnął ją w płuca. Ale twierdzą też, że upadek zabił go prawie natychmiast. Skręcił kark i już. Cóż, nie możesz wciągnąć wody w płuca, gdy jesteś martwy. Woda musiała się tam dostać, gdy jeszcze żył.

– Co wy sugerujecie? – Jaeger prznosił wzrok z Feaneya na Raffa i z powrotem. – Że zrobili mu waterboarding<sup>7)</sup>?

---

### 7) Metoda tortur i przesłuchań polegająca na podtapianiu więźnia

Raff zacisnął palce na butelce piwa tak mocno, że aż zbieleły mu knykcie.

– Płuca do połowy w wodzie. Martwi nie oddychają. Sam sobie odpowiedz. A to jeszcze nie wszystko. – Spojrzał na Feaneya, kręcąc butelką w zaciskającym się uchwycie.

Feaney sięgnął pod stół i wyjął plastikową teczkę. Wydobyl z niej zdjęcie i rzucił po blicie w stronę Jaegera.

– Policja dała nam to. A i tak poszliśmy do kostnicy, żeby się upewnić. Ten znak, ten symbol, był wycięty na lewym ramieniu Andy’ego.

Jaeger wpatrzył się w zdjęcie, a po plecach przeszedł mu zimny dreszcz. W skórze jego byłego zastępcy wycięty był stylizowany orzeł. Stojący na ogonie, z wyrzuconym w prawo, okrutnie zakrzywionym dziobem i szeroko rozpostartymi skrzydłami, trzymający w szponach dziwaczny okrągły kształt.

Feaney postukał palcem w zdjęcie.

– Nie potrafimy go rozpoznać. Tego symbolu. Wygląda na to, że nikomu nic on nie mówi. A wierz mi, pytaliśmy. – Spojrzał na Jaegera. – Policja twierdzi, że to po prostu jakiś tam przypadkowy symbol pseudomilitarny, że Smithy sam go sobie zrobił. Samoookaleczenie. Kolejny dowód w sprawie samobójstwa, którą prowadzą.

Jaegerowi odjęło mowę, a słowa Feaneya prawie do niego nie docierały. Nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. Jakimś sposobem ten widok przesłonił mu wszystkie koszmary, które przeżył w więzieniu Playa Negra.

Im dłużej wpatrywał się w symbol, tym bardziej czuł, że czarny orzeł dosłownie wypala mu się w mózgu. Był taki obcy, a mimo to taki znajomy, i groził wydobyciem na powierzchnię dawno pogrzebanych koszmarnych wspomnień.

Jaeger wziął ciężkie szczypce przegubowe do cięcia drutu i wspiął się na ogrodzenie. Na szczęście ochrona w Springfield Marina we wschodnim Londynie nigdy nie była zbyt czujna. Opuścił Bioko w tym, co miał na sobie. A już na pewno nie miał czasu, żeby pamiętać o kluczach – również tych, które otwierały bramy prowadzące do przystani. A poza tym, to była jego łódź – niby dlaczego nie mógłby się włamać do własnego domu?

Szczypce kupił w pobliskim sklepie. Zanim rozstał się z Raffem i Feaneyem, poprosił ich – oraz Carsona, dyrektora generalnego Wild Dog Media – o czterdzieści osiem godzin. Dwa dni do namysłu, czy podejmie się dokończenia dzieła Smithy’ego – poprowadzenia tej – najwyraźniej pechowej – wyprawy do Amazonii. Jaeger wiedział jednak, że i tak nie dali się nabrać na tę prośbę o czas, niby na podjęcie decyzji. Mieli go w garści – z wielu powodów po prostu nie mógł odmówić.

Po pierwsze, było to winien Raffowi. Wielki Maorys uratował mu życie. O ile oddziały namenników Pietera Boerkego nie wyzwoliłyby Bioko w rekordowym tempie, Jaeger zginąłby w Playa Negra – i świat, od którego tak zupełnie się odciął, nigdy nie dowiedziałby się o jego śmierci.

Po drugie, był to winien Andy’emu Smithowi. A Jaeger nie zostawiał przyjaciół w potrzebie. Nigdy. Nie było opcji, żeby Smithy odebrał sobie życie. Musiał oczywiście wszystko dokładnie sprawdzić, żeby być absolutnie pewnym. Czuł jednak, że śmierć przyjaciela była powiązana z tym tajemniczym wrakiem ukrytym głęboko w Amazonii. Jaki mógł być inny powód – *inny motyw*? Instykt podpowiadał, że zabójca Smithy’ego był wśród uczestników wyprawy. Żeby go znaleźć i zdemaskować, musiał do nich dołączyć.

Trzecim argumentem na tak był sam samolot. Choć Carson niewiele mógł mu powiedzieć przez telefon, nawet to, co usłyszał, brzmiało intrygująco. Tak bardzo, że nie potrafił się oprzeć. Jak w tym cytacie z Winstona Churchilla, który Feaney próbował powtórzyć – rzeczywistość, była to zagadka owiana tajemnicą, ukryta we wnętrzu enigmaty<sup>8)</sup>. Przyciągała Jaegera z nieodpartą siłą. Już zdecydował – jedzie.

---

8) Oryginalna wypowiedź Winstona Churchilla dotyczyła Rosji sowieckiej

O te czterdzieści osiem godzin poprosił z zupełnie innych powodów. Chciał odwiedzić trzy miejsca i przeprowadzić własne śledztwo, nie mówiąc nikomu ani słowa. Może dlatego, że przez ostatnie trzy lata stał się bardzo podejrzliwy, nie umiał już nikomu zaufać.

Czas spędzony na Bioko chyba zrobił z niego samotnika – za bardzo przywykł do własnego towarzystwa. Ale może też tak było lepiej – *bezpieczniej*. Tylko tak zdoła przeżyć.

Jaeger ruszył drogą naokoło przystani, jego buty zachrzęściły na śliskim, mokrym od deszczu żwirze. Było już późne popołudnie, nad przystanią zapadał zmrok i unosiły się kuchenne zapachy. Cała sceneria – jaskrawo pomalowane łódki, leniwe kłębki dymu z kominów – tak bardzo nie pasowała do bezlistnych, wyblakłych szarości lutego zduszonych w niecce kanału. Trzy długie lata. Jaeger miał wrażenie, jakby minęła cała wieczność.

Zatrzymał się dwie cumy od swojej łodzi. Na barce Annie paliło się światło, a jej stary piec opalany drewnem sapał i dymił. Wspiął się na pokład i bez zapowiedzi wsunął głowę przez otwarty luk prowadzący do kambuza.

– Cześć, Annie. To ja. Masz moje zapasowe klucze?

W jego stronę podniosły się szerokie ze strachu oczy.

– Will? Mój Boże... Ale gdzieś ty, u licha... Wszyscy myśleli... Znaczy, baliśmy się, że...

– Umarłem? – Jaeger błysnął zębami w uśmiechu. – Spokojnie, nie jestem duchem, Annie.

Wyjechałem. Uczylem. W Afryce. Właśnie wróciłem.

Annie pokręciła głową, zszokowana.

– Mój Boże... Wiedzieliśmy, że jesteś skryty, ale trzy lata w Afryce... To znaczy, byłeś tu, a potem zniknąłeś bez słowa. – W tonie jej głosu pobrzmiwała lekka uraza, a nawet żal.

Szaroniebieskie oczy i ciemne, nieco dłuższe włosy sprawiały, że Jaeger, z wyrazistymi, ostrymi, wilczymi rysami, był na swój sposób przystojny. Na jego głowie dało się dostrzec jedynie pojedyncze siwe pasemka; wyglądał młodo jak na swój wiek.

Nigdy jakoś nie dzielił się osobistymi sprawami z nikim na przystani, nawet z Annie – ale dał się poznać jako lojalny sąsiad, na którym można było polegać, nie wspominając już o tym, że zawsze pomagał innym miłośnikom łodzi. Miejscowi szczylicili się, że są z sobą blisko – to właśnie po części przekonało Jaegera, a decydująca okazała się lokalizacja – blisko centrum Londynu, ale z dala od wielkomiejskiego zgiełku, z wsią „za płotem”. Przystań leżała bowiem nad rzeką Lee, w dolinie, która tworzyła wstążkę zieleni, rozciągającą się w łąki i faliste wzgórza na północy. Jaeger wracał tu po dniu pracy na „Global Challengerze” i biegał po nadrzecznych ścieżkach, rozładowując napięcie, a przy okazji ładując baterie i pracując nad kondycją.

W zasadzie nigdy nie musiał gotować – Annie ciągle wciskała mu pyszności domowej roboty; szczególnie lubił jej mleczne koktajle. Annie Stephenson: singielka, nieco po trzydziestce, ładna – na swój żywy i hipisowski sposób – od dawna podejrzewał, że się w nim podkochuje. Jaeger był jednak zdeklarowanym monogamistą. Ruth i syn byli całym jego życiem. Przynajmniej kiedyś. Annie – choć była wspaniałą sąsiadką i lubił żartować z jej hipisowskiego stylu życia – nie miała u niego szans.

Wyszperała klucze i wręczyła Jaegerowi.

– Nadal nie mogę uwierzyć, że wróciłeś. Znaczy, fajnie, że wróciłeś. To chciałam powiedzieć.

Wiesz, George „Cygan” miał już wziąć twój motor. W każdym razie, w piecu napalone. – Uśmiechnęła się nerwowo, ale z nutką nadziei. – Upiekę uroczysty tort, co?

Jaeger uśmiechnął się szeroko. W tych rzadkich chwilach, gdy opuszczał go smutek, potrafił wyglądać młodo i chłopczo.

– Wiesz co, Annie, brakowało mi twojej kuchni. Ale nie zabawię długo. Najpierw muszę załatwić kilka spraw. Potem będzie jeszcze mnóstwo czasu na kawałek tortu i pogaduchy.

Zszedł na brzeg, mijając barkę George'a „Cygana”. Pozwolił sobie na złośliwy uśmiech – typowe dla tego bezczelnego skurczysyna, że miał chrapkę na jego motor.

Kilka chwil później wdrapał się na swoją łódź. Odgarnął nogą kupę opadłych liści i pochylił się nad wejściem. Gruby łańcuch i kłódka wciąż tkwiły na miejscu. Zabezpieczenie barki łańcuchem było ostatnią rzeczą, jaką zrobił, zanim wyjechał z Londynu, łapiąc samolot na koniec świata. Chwylił szczypcę, napiął bolące ramiona i pstryk – łańcuch puścił. Wsunął zapasowy klucz do głównego zamka i otworzył rozsuwane drzwi. Barka była przystosowana do pływania po Tamizie; takie łodzie jak jego, szersze i głębsze niż zwyczajne barki kanałowe, miały zazwyczaj więcej miejsca i zapewniały nieco luksusu.

Ale nie barka Jaegera. Wnętrze było uderzająco skromne i na wskroś funkcjonalne. Prawie zupełnie pozbawione przedmiotów osobistych. Jedno pomieszczenie kryło prowizoryczną siłownię. Drugie – spartańską sypialnię. Była też mała kuchnia, do tego część dzienna z kilkoma wytartymi dywanami i poduszkami rzuconymi na drewnianą podłogę. Większość wnętrza przeznaczono jednak na biuro, bo to tu Jaeger wolał pracować, ilekroć mógł uniknąć upierdliwych dojazdów do kwatery głównej Enduro.

Nie zabawił długo. Zabrał drugi komplet kluczy wiszący na gwoździu i wyszedł na zewnątrz. Przywiązany do dziobu i starannie przykryty stał jego stary przyjaciel, motocykl Triumph Tiger Explorer<sup>9)</sup>. Odkupił go od poprzedniego właściciela, by uczcić udane przejście selekcji do SAS; było to dobrze ponad dekadę temu. Odwiązał plandekę i odwinął ją na bok. Nachylił się nad łańcuchem, przeciął go, i już miał się wyprostować, gdy usłyszał cichy odgłos, ledwie słyszalny szelest ciężkiego kroku na mokrym żwirze. Błyskawicznie owinął gruby łańcuch wokół dłoni, zostawiając luzem dobre sześćdziesiąt centymetrów, z ciężką kłódką kołyszącą się na końcu. Obrócił się gwałtownie, z prowizoryczną bronią uniesioną jak średniowieczny cep bojowy.

---

9) Motocykl klasy turystycznej enduro, produkowany od 2012 roku przez brytyjską spółkę Triumph

W mroku zamajaczyła olbrzymia sylwetka.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. – Wzrok spoczął na łańcuchu. – Spodziewałem się jednak cieplejszego powitania.

Jaeger pozwolił, by napięcie odpłynęło z naprężonych mięśni. – Niech ci będzie. Może piwo? Mogę zaproponować ci jeszcze mleko sprzed trzech lat i zwietrzałą herbatę.

Weszli do środka. Raff rozejrzył się po barce.

– Wspomnień czar, stary.

– Taa. Spędziliśmy tu parę fajnych chwil.

Jaeger chwilę krzątał się po kuchni, a potem wręczył Raffowi kubek parującej herbaty.

– Cukier jest twardy jak skała, a herbatniki miękkie jak gówno. Pewnie więc podziękujesz.

– Wystarczy herbata. – Raff spojrział przez otwarte drzwi na motor. – Planujesz przejazd?

Jaeger nie dał niczego po sobie poznać.

– Wiesz, jak jest: żyję, by jeździć.

Raff sięgnął do kieszeni i podał Jaegerowi jakiś świstek.

– Rodzina Smithy’ego, to ich nowy adres. Pod starym nie ma sensu ich szukać. Przez ostatnie trzy lata przeprowadzali się dwa razy.

Mina Jaegera pozostała nieodgadniona.

– Z jakiegoś konkretnego powodu? Te przeprowadzki?

Raff wzruszył ramionami.

– Dobrze zarabiał, pracując dla nas, dla Enduro. Ciągle mu było mało, potrzebował więcej miejsca. Planował kolejne dziecko, tak mówił.

– Zachowanie niezbyt typowe dla samobójcy.

– Niezbyt. Pomóc ci z motorem?

We dwóch przeprowadzili motocykl przez prowizoryczny trap na ścieżkę przy rzece. Jaeger czuł, że opony są sflaczałe – przydałoby im się porządne pompowanie. Wrócił na łódź po strój motocyklowy. Nieprzemakalną kurtkę Belstaff<sup>10)</sup>, buty, grube, skórzane rękawice, otwarty kask. Na koniec wziął szal i coś, co wyglądało jak gogle lotnicze z czasów drugiej wojny światowej. Potem wyciągnął szufladę, odwrócił i oderwał kopertę przyklejoną od spodu. Sprawdził zawartość – tysiąc funtów w gotówce, tak jak je zostawił. Wsadził pieniądze do kieszeni, zamknął barkę i wrócił do Raffa. Podłączył elektryczną sprężarkę i dopompuwał opony. Gdy był tu po raz ostatni, zostawił motor z przyłączoną ładowarką słoneczną. Nawet w środku zimy dostarczała wystarczająco dużo energii, by podładować akumulator. Silnik kilka razy zaskoczył, a potem z rykiem odpalił.

---

10) Renomowana brytyjska marka odzieżowa specjalizująca się w strojach dla motocyklistów

Jaeger owinął dół twarzy szalem, włożył kask, a potem wsadził gogle na oczy. Miały dla niego szczególną wartość. Były bezcenne. Podczas drugiej wojny światowej nosił je jego dziadek, Ted Jaeger, służąc w tajnym oddziale. Nigdy nie mówił o tym za wiele, ale zdjęcia, które zdobiły ściany, wskazywały jasno, że tkuł się swoim odkrytym dżipem po rozlicznych odległych terenach spustoszonych przez wojnę. Jaeger często żałował, że gdy dziadek Ted jeszcze żył, nie

zapytał, co właściwie porabiał na wojnie. A po wydarzeniach z ostatnich kilku godzin dosłownie pluł sobie w brodę, że nie porozmawiał z dziadkiem, kiedy było to jeszcze możliwe.

Wsiadł na motor, spoglądając na pusty kubek Raffa.

– Zostaw go na łodzi, dobra?

– Spoko. – Raff zawahał się, potem wyciągnął masywną łapę, kładąc ją na kierownicy motocykla. – Stary, widziałem twoje spojrzenie, kiedy wpatrywałeś się w zdjęcie Smithy’ego. Gdziekolwiek jedziesz, cokolwiek planujesz, bądź ostrożny.

Jaeger patrzył na Raffa przez dłuższy czas nieobecny wzrokiem.

– Zawsze jestem.

Raff zacisnął chwyt na kierownicy.

– Wiesz, w którymś momencie musisz komuś zaufać. Nikt z nas nie potrafi sobie wyobrazić, co przeszedłeś. Nawet nie zamierzamy udawać. Ale jesteśmy twoimi kumplami, twoimi braćmi. Nigdy o tym nie zapominaj.

– Wiem. – Jaeger umilkł. – Czterdzieści osiem godzin. Wrócę z odpowiedzią.

Potem otworzył przepustnicę, przyspieszył na wilgotnym żwirze i zniknął.



W drodze na zachód Jaeger zatrzymał się tylko raz – w sklepie Carphone Warehouse, gdzie kupił smartfon na kartę. Na autostradzie M3 pruł sto trzydzieści kilometrów na godzinę, ale dopiero gdy zjechał na A303 i na węższe drogi hrabstwa Wiltshire, zaczął w końcu odczuwać przyjemność z jazdy.

W czasie długiej, nudnej podróży autostradą pogrążył się w myślach. Andy Smith. Tacy przyjaciele trafiali się rzadko. Swoich – łącznie z Raffem – mógł policzyć na palcach jednej ręki. Teraz miał jednego mniej, i za cholerę nie spocznie, dopóki nie odkryje, dlaczego i jak zginął Smithy.

Te misje szkoleniowe dla brazylijskich agentów antynarkotykowych były jednymi z ostatnich, w których służyli razem. Jaeger wkrótce odszedł z wojska, by założyć Enduro Adventures, a Smithy został. Mówił, że ma żonę i troje małych dzieci, więc nie może ryzykować utraty regularnego żołdu.

Na trzeciej misji sprawy przybrały niespodziewany obrót. W teorii Jaeger i jego ludzie byli tam tylko po to, by szkolić brazylijskie służby – Brigada de Operações Especiais – Brazylijską Brygadę Operacji Specjalnych (B-SOB). Z czasem jednak powstała między nimi więź, i sami zaczęli nienawidzić handlarzy z gangów narkotykowych niemal tak mocno jak chłopcy z B-SOB.

Kiedy jeden z oddziałów kapitana Evandro zaginął, Jaeger i jego ludzie postanowili interweniować. Efektem był najdłuższy patrol pieszy w historii brazylijskich służb specjalnych. Jaeger dowodził, a towarzyszyło im drugie tyle agentów B-SOB. Zlokalizowali kryjówkę gangu głęboko w dżungli, przez kilka dni ją obserwowali, a potem przypuścili błyskawiczny atak. Dranie zostali wybić do nogi. Uratowano ośmiu z dwunastu ludzi kapitana Evandro – zważając na okoliczności, był to niezły rezultat. Sam Jaeger otarł się o śmierć. Ocalała go jedynie odwaga i ofiarność Andy'ego Smitha.

A podobnie jak kapitan Evandro, Jaeger takich rzeczy nie zapominał.

Powoli wjechał motorem na boczną drogę, napis na drogowskimie głosił: Fonthill Bishop. Dotarł do obrzeży pięknej jak z pocztówki wsi Tisbury i spojrzał w prawo, na dom stojący nieco głębiej. W oknach świeciło się lekko żółtawe światło – niczym zasmucone oczy mrugające do przerażającego świata na zewnątrz.

Millside – Jaeger rozpoznał ten adres, gdy tylko Raff wręczył mu kartkę. Kryty strzechą, porosły mchem, wyglądający trochę jak wiejska chatka, z pnączami płożącymi się w każdym możliwym kierunku, z własnym strumykiem i przyzwoitym kawałkiem ziemi – Smithy zawsze miał to miejsce na oku, odkąd tylko przeprowadził się w te okolice, żeby być bliżej Willa, swojego byłego dowódcy i najlepszego przyjaciela. W końcu zatem kupił wymarzony dom – tylko że w tym czasie Jaeger już od dobrych dwóch lat próbował zniknąć z powierzchni ziemi.

Ruszył dalej i opuścił wieś, skręcając w dróżkę prowadzącą do Tuckingmill i East Hatch. Wjechał pod most kolejowy, którym biegnęła magistrala do Londynu – ta, z której niegdyś często ko-

rzyszał, gdy było zbyt zimo i deszczowo, by wytrzymać długą jazdę motorem. Wkrótce reflektory oświetliły znak „New Wardour Castle”. Skręcił w prawo, podjechał jeszcze kawałek i minął skromne słupki kamiennej bramy.

Opony wtoczyły się na wielką połąkę żwirowego podjazdu, otoczonego po obu stronach rzędami drzew przypominających upiornych wartowników. Okazały dworek Wardour, w stanie niemal zupełnej ruiny, kupił Nick Tattershall, szkolny kolega Jaegera. Nick zbił fortunę w londyńskim City, a pieniądze wykorzystał, aby przywrócić New Wardour Castle do dawnej świetności. Podzielił dworek na kilka luksusowych mieszkań, sobie zostawiając największe. Gdy jednak renowacja była już niemal skończona, Wielką Brytanię dopadła jedna z cyklicznych recesji, a rynek nieruchomości załamał się. Tattershallowi groziła utrata całego majątku. Jaeger nie czekał i kupił pierwsze, jeszcze niewykończone mieszkanie, a okazane zaufanie przyciągnęło innych nabywców. W ten sposób, dzięki obniżonej cenie, nabył nieruchomość, na którą normalnie w życiu nie byłoby go stać. Z czasem stała się ona idealnym domem dla jego rodziny.

Dworek, usytuowany w sercu pięknego, rozległego parku, był ustronny i zaciszny – a od Londynu dzieliło go ledwie kilka godzin jazdy pociągiem albo autem. Jaeger nigdy nie rozstał się na długo z rodziną, zdołał podzielić dni robocze między to miejsce, baręk i „Global Challengera”.

Zaparkował motocykl przed okazałą wapienną fasadą. Wsunął klucz do zamka wspólnych drzwi wejściowych, przeszedł przez zimny, marmurowy pasaż i skierował się w stronę klatki schodowej. Gdy tylko stanął na pierwszym stopniu, powróciły wszystkie słodko-gorzkie wspomnienia.

Tyle wspaniałych chwil. Tyle szczęścia. Jak to wszystko mogło się tak źle skończyć?

Zatrzymał się przed drzwiami swojego mieszkania. Wiedział, co tam zastanie. Zebrał się w sobie, przekręcił klucz i wszedł do środka.

Włączył światło. Większość mebli przykrywały płachty chroniące przed kurzem, ale raz w tygodniu wierna sprzątaczką, pani Sampson, przychodziła robić porządki, więc było nieskazitelnie czysto.

Jaeger przystanął na chwilę. Tuż przed nim, na ścianie, wisiał olbrzymi obraz niezwyklego ptaka z pomarańczowym przodem – drozda rudobrzuchego, jednego z narodowych symboli Brazylii. Namalowany przez znanego brazylijskiego malarza, był prezentem od kapitana Evandro – szczególną formą podziękowania. Jaeger uwielbiał ten obraz, i dlatego powiesił go naprzeciw wejścia, żeby była to pierwsza rzecz, jaką zobaczy się po przekroczeniu progu.

Przed wyjazdem na Bioko poprosił panią Sampson, żeby go nie zakrywała. Nie potrafił tego wytłumaczyć. Może spodziewał się, że wróci szybciej, i chciał wiedzieć, że ptak jak zawsze będzie na niego czekał.

Skręcił w lewo i wszedł do obszernego salonu. Rozsuwanie masywnych drewnianych okiennic nie miało sensu – na zewnątrz już dawno było ciemno. Włączył światło, a jego oczy spoczęły na niewyraźnym kształcie sekretarzyki przesuniętego pod ścianę. Zrobił krok w jego stronę i bardzo ostrożnie zdjął płachtę.

Wyciągnął rękę, dotykając twarzy pięknej kobiety na zdjęciu w ramce. Czubki palców zatrzymały się na chwilę, jakby przymarzły do szkła. Przykucnął, a jego oczy znalazły się na tej samej wysokości co blat.

– Wróciłem, Ruth – wyszeptał. – Trwało to trzy długie lata, ale wróciłem.

Przesunął palcami w dół po szkłe, zatrzymując je na twarzy małego chłopca, stojącego u boku matki. Oboje mieli na sobie podkoszulki z napisem „Ratujmy nosorożce”, które kupili podczas rodzinnego wyjazdu do Parku Narodowego Amboseli w Afryce Wschodniej. Jaeger wciąż pamiętał to piesze safari, które odbyli nocą we troje, razem z masajskimi przewodnikami. Wędrowali oświetloną przez księżyc sawanną wśród stad żyraf, gnu i, co najlepsze, nosorożców, ulubionego zwierzęcia rodziny.

– Luke, tata wrócił... – wymamrotał Jaeger. – O Boże, ależ ja się za wami stęskniłem.

Zamilkł, a pokój wypełniła ciężka cisza.

– Ale wiecie, nie było najmniejszego choćby śladu, najdrobniejszej oznaki życia. Gdybyście tylko chcieli mi coś przekazać, dać jakiś znak. Cokolwiek. Smithy czekał. Miał oczy szeroko otwarte. Cały czas. Obiecał, że mnie zawiadomi.

Podniósł zdjęcie i przycisnął je do piersi.

– Ruszyłem na koniec świata, żeby spróbować was znaleźć. Na koniec wszechświata nawet, w najodleglejsze zakątki. Ale przez trzy długie lata – nic, zero.

Przeciągnął dłonią po twarzy, jakby ścierając ból tych długich, straconych lat. Gdy opuścił rękę, jego oczy były wilgotne od łez.

– No i chyba, jeśli mamy być ze sobą szczerzy – jeśli mamy powiedzieć sobie prawdę – może to już pora. Czas pożegnać się na dobre... czas pogodzić się z tym, że... odeszliście na zawsze.

Pochylił głowę. Usta musnęły zdjęcie. Ucałował twarz kobiety. Ucałował twarz syna. Potem odłożył fotografię na blat, kładąc ją ostrożnie na płachcie. Wierzchem do góry, żeby ich widział, żeby pamiętał.

Przeszedł cicho przez salon na drugi koniec pokoju, gdzie podwójne drzwi prowadziły do pomieszczenia nazywanego pokojem muzycznym. Na jednej ścianie piętrzyły się półki ze stojakami na płyty CD. Wybrał jedną – *Requiem* Mozarta. Wsunął do odtwarzacza i włączył przycisk. Melodia sprawiła, że wróciły wszystkie wspomnienia. Już po raz drugi, w tak krótkim czasie, Jaeger poczuł, że musi powstrzymać się od łez. Nie mógł sobie pozwolić na depresję, na prawdziwą żalobę. Jeszcze nie teraz.

Przyjechał tu po coś jeszcze – po coś bardzo, ale to bardzo niepokojącego. Wyciągnął poobijany stalowy kufer umieszczony pod stojakami na płyty. Przez chwilę jego oczy zatrzymały się na inicjałach wyżłobionych na pokrywie: W. E. J. – William Edward „Ted” Jaeger. Skrzynia wojenna, którą dziadek podarował mu na krótko przed swoją śmiercią.

Kiedy *Requiem* weszło, przechodząc w pierwsze przejmuje crescendo, Jaeger wrócił myślami do czasów, gdy dziadek Ted zabierał go w tajemnicy do swojego gabinetu, pozwalając mu zaciągnąć się fajką i spędzić kilka wspaniałych chwil na przetrząsaniu tego właśnie kufra.

Dziadek Ted, z fajką wiecznie zaciśniętą między zębami. Ten zapach – Player’s Navy Cut<sup>11)</sup> i tytoń aromatyzowany whisky. Jaeger miał tę scenę dosłownie przed oczami – kółko dymu puszczane od czasu do czasu, tańczące lekko i zwiewnie w świetle stojącej na biurku lampy.

---

11) Firma produkująca papierosy i tytoń do fajek; również nazwa ich produktów, w pierwszej połowie XX wieku bardzo popularnych w Wielkiej Brytanii

Otworzył zapiecia i uchylił ciężką pokrywę. Na wierzchu leżała jedna z jego ulubionych pamiętek – oprawione w skórę dossier z wybitnymi, wyblakłymi, czerwonymi literami „ŚCIŚLE TAJNE”. A pod spodem: „Oficer dowodzący Jednostką Łącznikową nr 206”.

Jaeger zawsze się dziwił, że zawartość dossier nigdy nie dorównywała temu, co tak obiecująco zapowiadała okładka. W środku były książeczki częstotliwości i kodów radiowych z czasów drugiej wojny światowej, schematy czołgów bojowych, projekty turbin, kompasów i silników. Dla dziecka było to niezmiernie fascynujące, ale gdy Jaeger dorósł, uświadomił sobie, że nie ma tam nic, co miałyby jakiś bliższy związek z okładką, ani co tłumaczyłoby taką przesadną dyskreję. Zupełnie jakby dziadek zebrał te dokumenty po to, żeby zafascynować i zająć czymś nastolatka, nie zdradzając przy tym żadnych cennych szczegółów.

Po śmierci dziadka Jaeger próbował szukać informacji o Jednostce Łącznikowej nr 206, żeby prześledzić jej historię. Niczego jednak nie znalazł. Archiwa Narodowe, Imperial War Museum, Admiralicja – w żadnym archiwum, w którym powinien znajdować się jakiś rodzaj dokumenta-

cji – choćby pamiętnik wojenny – nie było o nich wzmianki. Prawie jakby Jednostka Łącznikowa nr 206 w ogóle nie istniała, jakby była szwadronem duchów.

W końcu coś znalazł. A raczej nie on, tylko Luke.

Okazało się, że jego ośmioletni syn był równie zaintrygowany zawartością kufra – ciężkim nożem szturmowym pradziadka, jego znoszonym beretem, poobijanym żelaznym kompasem. A pewnego dnia ręce dziecka dogrzebały się głęboko, do samego dna, i znalazły to, co tak długo pozostawało ukryte.

Jaeger zrobił teraz to samo, gorączkowo wyrzucając zawartość kufra na podłogę. Było tu tak wiele nazistowskich pamiątek: odznaka Totenkopf SS z trupa czaszką zastygłą w tajemniczym uśmiechu; sztylet Hitlerjugend, którego rękojeść zdobiła podobizna Führera; krawat Wehrwulfu – ruchu oporu zagorzałych nazistów, którzy mieli kontynuować walkę po ogłoszeniu kapitulacji.

Zastanawiał się czasem, czy dziadek nie za bardzo przywiązał się do nazistów, skoro zgromadził tak wiele tego typu pamiątek. Czy to, co robił podczas wojny, cokolwiek to było, nie zbliżyło go niebezpiecznie do zła i ciemności? Czy dał się omamić, uwieść złym mocom? Wprawdzie Jaeger w to nie wierzył, ale nigdy też nie udało im się porozmawiać o tych sprawach. Potem dziadek niespodziewanie zmarł.

Jego wzrok przyciągnęła nietypowo wyglądająca księga, o której niemal zapomniał. Była to rzadka kopia manuskryptu Voynicha, bogato ilustrowanego średniowiecznego tekstu, zapisanego w jakimś tajemnym języku. O dziwo, leżała ona stale na biurku w gabinecie dziadka, a Jaegerowi przypadła w spadku razem z całą zawartością kufra. Kolejny temat, którego nie udało mu się poruszyć w rozmowach z dziadkiem – skąd ta fascynacja niezrozumiałym średniowiecznym manuskrytem?

Wyjął ciężki tom, odsłaniając fałszywe drewniane dno. Nigdy nie udało mu się ustalić, czy dziadek zostawił schowany tam dokument przez przypadek, czy też zrobił to celowo, licząc, że pewnego dnia wnuk znajdzie zakamuflowaną skrytkę. Tak czy owak, była tam, wśród pamiątek wojennych, czekając na odkrycie ponad trzy dekady.

Palce Jaegera wsunęły się pod drewniane płyty. Szybko odnalazł zatrzask i otworzył schowek. Poszperał wewnątrz i wyciągnął grubą, poźółkłą kopertę. Trzymał ją przed sobą drżącymi rękami. Jakaś jego część stanowczo nie chciała zaglądać do środka, ale ta bardziej dominująca wiedziała, że musi. Wyjął dokument.

Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętał, zadrukowany i zszyty z jednej strony. W porzek górnej części okładki biegło jedno słowo, zapisane wielkimi literami grubym pismem gotyckim, powszechnie kojarzonym z nazistami: „KRIEGSENTSCHEIDEND”<sup>12)</sup>.

---

12) „Kriegsentscheidend” oznacza dosłownie „decydujący o wyniku wojny”

Jaeger nie znał języka niemieckiego zbyt dobrze, ale z pomocą słownika udało mu się przetłumaczyć te kilka słów na okładce. „Kriegsentscheidend” oznaczało najwyższą możliwą klasyfikację informacji niejawnych, nadawaną przez nazistów. Najbliższym brytyjskim odpowiednikiem byłoby „ultra ściśle tajne”. Pod spodem widniał napis: „Aktion Wehrwolf” – operacja „Wilkołak”. Jeszcze niżej data, której w zasadzie nie trzeba było tłumaczyć: 12 Februar 1945 – 12 lutego 1945. I w końcu: „Nur für Augen Sicherheitsdienst Standortwechsel Kommando” – „Do wglądu tylko dla Sicherheitsdienst Standortwechsel Kommando”.

Sicherheitsdienst to służba bezpieczeństwa SS i partii nazistowskiej – najwyższy szczyt zła. „Standortwechsel Kommando” tłumaczyło się jako „oddział relokacji”, co Jaegerowi właściwie nic nie mówiło. Wrzucił w Google obie tajemnicze nazwy – operacja „Wilkołak” i „oddział relokacji” – zarówno po angielsku, jak i po niemiecku. Wyniki wyszukiwania: zero. Ani jednej wzmianki, jak sieć internetowa długa i szeroka.

I na tym jego śledcze wysiłki właściwie się skończyły, bo niedługo potem dosięgła go tragedia, która zakończyła się lotem na Bioko. W czasie wojny był to jednak zdecydowanie dokument o niezmiernie wielkiej poufności, który jakimś sposobem wpadł w ręce dziadka.

Ale to następna strona wyzwoliła wspomnienia Jaegera, ściągając go z Londynu do hrabstwa Wiltshire, a powrotem do jego – w zasadzie opuszczonego – domu. Przerzucił kartę pełen złych przeczuc. Ze strony tytułowej spoglądał na niego czarny symbol. Jaegerowi zakręciło się w głowie. Tak jak się obawiał, pamięć go nie myliła.

Na karcie widniał stylizowany orzeł stojący na ogniu, z rozpostartymi skrzydłami i okrutnie zakrzywionym dziobem, trzymający w szponach okrągły symbol opatrzony nieczytelnymi znakami.

Jaeger siedział przy stole, wzrok miał nieobecny. Przed nim leżały trzy fotografie: na pierwszej ciało Andy'ego Smitha z krwawym symbolem orła wyciętym głęboko na lewym ramieniu; na drugiej symbol orła z wewnętrznej okładki dokumentu dotyczącego operacji „Wilkołak”, który Jaeger uwiecznił smartfonem. A na trzeciej żona i syn.

W czasie służby w wojsku Jaeger nie bardzo nadawał się na męża. Długie i szczęśliwe małżeństwo rzadko współgrało z pracą w służbach specjalnych. Co miesiąc nowa misja – zmagania ze spaloną słońcem pustynią, duszną dżunglą albo ośnieżonymi górami. Na dłuższe romanse brakowało czasu.

I wtedy zdarzył się wypadek. Spadochron Jaegera zaciął się podczas skoku swobodnego ze znacznej wysokości nad afrykańską sawanną. Miał szczęście, że przeżył. Miesiące spędził w szpitalu ze złamanym kręgosłupem i chociaż z niemalym trudem odzyskał sprawność, jego dni w SAS były policzone.

To właśnie wtedy – podczas długiej, rocznej rekonwalescencji – po raz pierwszy spotkał Ruth. Przedstawił ich sobie wspólny znajomy i na początku zupełnie nie przypadli sobie do gustu. Ruth, sześć lat młodsza, skończyła uniwersytet i bardzo aktywnie angażowała się w ochronę środowiska i dzikiej przyrody. Dlatego też z góry założyła, że Jaeger to jej zupełne przeciwieństwo. Jaeger zaś przypuszczał, że taka ekolożka, co tuli się do drzew, wzgardzi żołnierzem z sił specjalnych. Dopiero dzięki połączeniu jego ciętego dowcipu i jej przebojowości, a także wyjątkowej urody, zaczęli stopniowo patrzeć na siebie łaskawszym okiem... by w końcu się w sobie zakochać. Z czasem uświadomili sobie, że coś jeszcze ich łączy – gorąca miłość do wszystkiego, co dzikie.

W dzień ich ślubu, na którym Andy Smith pełnił funkcję drużby, Ruth była w trzecim miesiącu ciąży. A dzięki narodzinom Luke'a, przez kolejne lata mogli cieszyć się cudem, jakim było dziecko – miniaturowa wersja ich samych.

Każdy dzień spędzony z rodziną był wspaniałym wyzwaniem i przygodą – przez co pustka po ich tragicznej stracie stawała się tym bardziej niemożliwa do wytrzymania.

Jaeger prawie przez godzinę wpatrywał się w te trzy obrazy – poźółkły i rozpadający się dokument nazistów i zdjęcie policyjne rzekomej ofiary samobójstwa – oba przedstawiały ten sam symbol orła; oraz w zdjęcie Ruth i Luke'a – starając się znaleźć związek między nimi. Nie mógł się pozbyć przeczucia, że ten symbol jest w jakiś sposób połączony ze śmiercią – nie, ze *zniknięciem* – jego żony i dziecka.

Można by to nazwać szóstym zmysłem żołnierza – a przez lata nauczył się ufać temu wewnętrznemu głosowi. A może to wszystko było jedną wielką bzdurą. Może trzy lata na Bioko i pięć tygodni w więzieniu Playa Negra w końcu odbiły się na jego psychice, a paranoja trawiła go jak żrący kwas, zamieniając mózg w zgniliznę.

Jaeger niewiele pamiętał z nocy, gdy żona i syn zostali wydarci z jego życia. Było to w cichy zimowy wieczór, rześki i zapierający dech w piersiach swoim spokojem i pięknem. Biwakowali na walijskich wzgórzach, pod dzikim i szerokim bezkresem rozgwieżdżonego nieba, w jednym z tych miejsc, w których Jaeger czuł się najlepiej. Ogień przygasał, a ostatnią świadomą myślą była ta o wczolganu się do namiotu, spięciu śpiworów razem, o żonie i synu wtulonych w niego, żeby było im ciepłej. Obudził się sam, półmartwy – trujący gaz wtłoczony do namiotu całkowicie go zamroczył – więc brak dalszych wspomnień nie był wielkim zaskoczeniem. Kiedy ponownie odzyskał przytomność, leżał na intensywnej terapii, a żona i syn przepadli bez wieści. Jednak to, czego nie potrafił pojąć, to sposób, w jaki ten symbol orła zdawał się przywoływać dawno pochowane wspomnienia.

Wojskowi psychiatrzy ostrzegali, że one wciąż gdzieś tam się czają. Że bardzo prawdopodobne, iż pewnego dnia zaczną wypływać na powierzchnię, niczym drewno wyrzucone na brzeg przez burzę szalejącą nad morzem. Ale czemu akurat to – ten czarny symbol – groził, że sięgnie tak głęboko i wydobędzie je z powrotem na światło dzienne?



Jaeger spędził w mieszkaniu samotną noc. Znowu miał sen – ten, który tak długo prześladował go po zniknięciu Ruth i Luke’a. I, jak zawsze, dotarł do momentu, w którym ich traci – obrazy stawały mu przed oczami tak wyraźnie, jakby to zdarzyło się nie dalej niż wczoraj. Obudził się przerażony, z jękiem, w płataninie przepoconej pościeli. Męczyło go, że nie może do tego wrócić, że nie może sobie przypomnieć, nawet w stosunkowo bezpiecznym zaciszu własnych snów.

Wstał wcześniej. Wyciągnął z szafy buty do joggingu i ruszył pobiegać po oszronionych polach. Skierował się na południe, po łagodnym zboczu przecinającym płytką dolinę, zwieńczoną po drugiej stronie lasem Grove Coppice. Wbiegł na ścieżkę, która tworzyła szeroką pętlę między drzewami, i przyspieszył, wchodząc w dobrze znany rytm, w którym szybko pokonywał kolejne metry.

To zawsze była jego ulubiona część trasy – gęsty las osłaniał przed wścibskimi oczami, a wysokie rzędy sosen tłumiliły odgłos biegu. Pozwolił, by myśli wpasowały się w medytacyjny rytm kroków, starał się uciszyć wewnętrzny niepokój. Gdy ponownie wybiegł na słońce, na północnym krańcu Pheasant’s Copse, wiedział już, co musi zrobić.

Wrócił do Wardour Castle, wziął szybki prysznic, a potem włączył komputer. Wysłał krótką wiadomość kapitanowi – teraz już pułkownikowi – Evandro, w nadziei że ten nie zmienił adresu e-maila. Po kilku zwyczajowych formułkach zapytał wprost: kto jeszcze złożył oferty konkurencyjne wobec Wild Dog Media na poprowadzenie wyprawy? Uważał, że jeśli ktoś miał jakis motyw, żeby zamordować Andy’ego Smitha, konkurenci jak nie byli pierwsi na liście.

Gdy skończył, zabrał zdjęcie żony i syna, odłożył tajne dokumenty do skrytki w skrzyni, zamknął apartament i odpalił motor. Przejechał się dla relaksu po Hazeledon Lane – było wcześniej, a on miał trochę wolnego czasu.

Zatrzymał się przy delikatesach na Beckett Street w Tisbury. Minęła dziewiąta i właśnie otwierali. Zamówił jajka w koszulkach, bekon wędzony na drewnie hikory i czarną kawę. Kiedy czekał na jedzenie, jego wzrok przyciągnął stojak z gazetami. Nagłówek na całą szerokość strony głosił: „Zamach stanu w Afryce Środkowej – prezydent Gwinei Równikowej Chambara ujęty”. Jaeger chwycił gazetę i przebiegł oczami po artykule, delektując się doniesieniami na równi z wybornym śniadaniem.

Pucz Pietera Boerkego okazał się sukcesem, dokładnie tak jak przewidywał. Jakimś cudem udało mu się przeprowadzić ludzi przez Zatokę Gwinejską w samym środku tropikalnej burzy. Zrobił to celowo, bo miejscowi informatorzy – zapewne major Mojo – podpowiedzieli, że w związku z fatalną pogodą siły Chambarę zostaną wycofane. Ludzie Boerkego zaatakowali w piekielnej noc, wśród wyjącego wiatru i zacinającego deszczu. Kompletnie zaskoczyli strażników Chambarę, których opór szybko się załamał. Sam prezydent został ujęty na lotnisku na Bioko, gdy próbował opuścić kraj swoim odrzutowcem.

Jaeger uśmiechnął się. Może jednak dostanie tę siódmą stronę dokumentu z „Duchessy” – choć w tej chwili nie miało to większego znaczenia.

Piętnaście minut później wcisnął dzwonek u drzwi. Zostawił motor w wiosce i wszedł na wzgórze, a wcześniej zadzwonił do Dulce z zapowiedzią, że przyjdzie. Dulce. „Słodka”. Żona Smitha z pewnością zasługiwała na takie imię.

Andy poznał ją w Brazylii, w czasie drugiego szkolenia zorganizowanego dla ludzi pułkownika Evandro, którego Dulce była daleką kuzynką. Plamienny romans zakończył się małżeństwem, a Jaeger nie dziwił się Smithy’emu, że wziął ją za żonę.

Metr siedemdziesiąt pięć, ciemne, uwodzicielskie oczy i lśniąca skóra – Dulce była wystrzałową kobietą. Była też idealnym materiałem na żonę, o czym Jaeger powiedział otwarcie, gdy przemawiał jako drużba, zarazem delikatnie przypominając pannie młodej o złych nawykach, ale też dozgonnej wierności Smithy’ego.

Drzwi otworzyły się. Stanęła w nich Dulce, zjawiskowa jak zawsze, z dzielnym uśmiechem na pociemniałej twarzy, który nie mógł jednak przysłonić wielkiego, dojmującego smutku. Jaeger wręczył jej kosz z różnymi produktami, a także naprędce wypisaną kartkę, które kupił w delikatesach.

Dulce robiła kawę, a tymczasem Jaeger opowiadał skróconą wersję wydarzeń z trzech minionych lat. Utrzymywał kontakt z jej mężem, ale głównie jednostronny, ograniczający się do tego, że Smithy informował go w mailach, że nie było żadnych nowych wieści o Ruth i Luke’u.

Ze swoim najbliższym przyjacielem umówił się tak, że jego miejsce pobytu pozostanie pilnie strzeżonym sekretem, dopóki nie postanowi inaczej. Z jednym wyjątkiem – gdyby Smithy umarł albo został w jakiś sposób pozbawiony świadomości, jego prawnik miał ujawnić te informacje. Podejrzał, że to dzięki temu Raff z Feaneyem go znaleźli, ale nie chciało mu się pytać. Po śmierci Smithy’ego to wszystko i tak stało się w zasadzie nieistotne.

– Było cokolwiek? – zapytał, gdy raczyli się z Dulce *pastéis de nata*, brazylijskim przysmakiem, siedząc naprzeciw siebie przy stole. – Cokolwiek, co mogłoby wskazywać, że był nieszczęśliwy? Że może odebrać sobie życie?

– Oczywiście, że nie! – W oczach Dulce mignęła iskra latynoskiego gniewu. Zawsze miała ogniste usposobienie. – Jak możesz pytać? Byliśmy szczęśliwi. On był bardzo szczęśliwy. Nie. Andy nigdy nie zrobiłby tego, co mówią. To po prostu niemożliwe.

– Żadnych problemów z pieniędzmi? – dopytywał się Jaeger. – Kłopotów dzieci w szkole? Pomóż mi, proszę. Miotam się, próbując znaleźć cokolwiek.

Wzruszyła ramionami.

– Niczego nie znajdziesz.

– Nie pił? Nie zaglądał do kieliszka?

– Jaeger, on nie żyje. I nie, *amigo*, nie pił.

Ich spojrzenia spotkały się. Jej było zbolale. Zamglone. Rozdrażnione.

– Miał znak – zaryzykował. – Coś jak tatuaż. Na lewym ramieniu?

– Jaki znak? – Dulce wydawała się nie rozumieć. – Nic nie miał. Na pewno bym zauważyła.

Wtedy Jaeger zorientował się, że policja nie pokazała jej zdjęcia czarnego orla wyciętego na ramieniu męża. Nie miał do nich o to zbytniego żalu. Dla Dulce i tak była to wystarczająca trauma – nie musiała znać wszystkich drastycznych szczegółów.

Szybko zmienił temat.

– A ta wyprawa do Amazonii, jak się na to zapatrywał? Jakies problemy z ekipą? Z Carsonem? Z firmą producencką? Cokolwiek?

– Wiesz, co sądził o dżungli – kochał ją. Był podekscytowany. – Zamilkła na chwilę. – Może była taka jedna rzecz. Mnie to zresztą niepokoiło bardziej niż jego. Żartowaliśmy sobie z tego. Poznałam ekipę. Była tam taka kobieta, Rosjanka. Irina. Irina Narov. Blondynka. Wydaje jej się, że jest najpiękniejsza na świecie. Nie przypadłyśmy sobie do gustu.

– Mów dalej – zachęcił Jaeger.

Zastanowiła się, zanim skończyła myśl:

– Jakby sądziła, że jest urodzonym przywódcą, że jest lepsza od niego. Jakby chciała zabrać mu... zabrać tę wyprawę.

Jaeger zanotował w myślach, by szczegółowo zbadać przeszłość Iriny Narov. W życiu nie słyszał, żeby ktoś popełnił zabójstwo z takiego błahego powodu, ale z drugiej strony stawka była całkiem wysoka – obecność w mediach, obietnica międzynarodowej kariery i potencjalny majątek w przyszłości. Może jednak był jakiś motyw.

Jaeger pędził na północ, sprawnie pokonywał kolejne kilometry. Jakimś dziwnym sposobem wizyta u Dulce go uspokoiła. Potwierdziła to, co czuł w głębi serca – że w życiu Andy'ego Smitha wszystko dobrze się układało. Nie zabił się, a został zabity. Teraz pora odszukać morderców. Zostawił Dulce z obietnicą, że jeśli ona lub dzieci będą czegoś potrzebować – *czegokolwiek* – wystarczy, że zadzwoni.

Droga z Tisbury do granicy ze Szkocją była długa. Jaeger nigdy do końca nie zrozumiał, czemu jego stryjeczny dziadek Joe postanowił się przeprowadzić akurat w to miejsce, tak daleko od przyjaciół i rodziny. Zawsze miał wrażenie, że się ukrywa, ale przed czym, nie wiedział. Buccleuch Fell, na wschód od Langholm, leżące poniżej Hellmoor Loch – na całej planecie trudno byłoby znaleźć bardziej ustronne i odludne miejsce.

Triumph był hybrydowym motorem szosowo-turystycznym, i Jaeger bardzo się z tego cieszył, jeszcze zanim skręcił na drogę gruntową prowadzącą do domku wuja Joego, jak zawsze go nazywali. Wjechał w pierwszą warstwę śniegu, a gdy droga zaczęła się wznosić, pogorszyły się też warunki.

Domek, stojący między Mossbrae Height a Law Kneis – szczytami po czterysta sześćdziesiąt metrów każdy – usadowił się na samotnej polanie wśród rozległego lasu, na wysokości blisko trzystu metrów. Po grubej pokrywie śniegu Jaeger zorientował się, że od wielu dni nikt tędy nie jeździł.

Do bagażnika miał przymocowane pudło z zakupami – mlekiem, jajkami, bekonem, kiełbasami, owsianką, chlebem. Zatrzymał się na krótki postój w punkcie usługowym Westmorland,

jednym z ostatnich przed zjazdem z autostrady M6. Zanim wjechał na polanę, musiał obiema nogami stabilizować motocykl, ślizgający się między garbatymi zaspami, głębokimi na co najmniej trzydzieści centymetrów.

Latem to miejsce przypominało raj. Jaeger, Ruth i Luke uwielbiali tu przyjeżdżać. Ale podczas długich zimowych miesięcy...

Trzydzieści lat temu wuj Joe kupił tę ziemię od lasów państwowych. Zbudował domek w zasadzie własnymi rękami – choć w sumie budynek był zbyt okazały, jak na tak błahe miano. Wuj Joe zawrócił strumień na działkę, wykopał jeziorka i połączył je kaskadami. Cała okolica została urządzona na podobieństwo ekologicznej arkadii, łącznie z zacienionymi zakątkami do uprawy warzyw. Dzięki panelom słonecznym i piecowi opalanemu węglem, a także minielektrowni wiatrowej, miejsce to było niemal samowystarczalne. Nie było tu telefonu ani zasięgu sieci komórkowych, więc Jaeger nie mógł uprzedzić o wizycie. Gęsta smuga białego dymu biła ze stalowej rury kominą biegnącej po bocznej ścianie – las zapewniał darmowy opał, a domek był z reguły przyjemnie nagrзany. W wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat Joe potrzebował ciepła, zwłaszcza gdy pogoda psuła się tak bardzo, jak w tej chwili.

Jaeger zaparkował, przedostał się przez skrzypiące pod butami zasy i zabębnił do drzwi. Musiał zapukać kilka razy, zanim ze środka odezwał się głos.

– Dobrze, już dobrze! – Słychać było odsuwane zasuwy, a potem drzwi otworzyły się szeroko.

Spod czupryny śnieżnobiałych włosów wyrzała para oczu. Paciorkowatych, błyszczących, pełnych życia, jakby w czasie minionych lat nie utraciły nic ze swojej przenikliwości.

Jaeger wyciągnął przed siebie pudło z zakupami.

– Pomyślałem, że mogą się przydać.

Stryjeczny dziadek spoglądał na niego spod pomarszczonych brwi. Po śmierci dziadka Teda wuj Joe honorowo przejął jego rolę i wypełniał ją bardzo dobrze. Byli sobie z Jaegerem naprawdę bliscy.

Oczy wuja Joego rozpromieniły się, gdy rozpoznał niespodziewanego gościa.

– Will, chłopcze! Nie spodziewaliśmy się ciebie, ma się rozumieć... Ale wchodź. Wchodź. No już. Zrzuć te mokre ciuchy, a ja nastawię wodę na herbatę. Ethel wyszła się przejść po śniegu. Osiemdziesiąt trzy lata na karku, a wciąż jakby miała szesnaście. – Typowe dla wuja Joego.

Jaeger nie widział go od blisko czterech lat. Wysyłał mu czasem pocztówkę z Bioko, ale pisał niewiele – po prostu dawał znać, że żyje. Teraz pojawił się niezapowiedziany, a Joe przyjął to bez mrugnienia okiem. Jakby to był zwyczajny dzień na Buccleuch Moor.

Przez jakiś czas robili to, co konieczne – wymieniali się wieściami. Jaeger opowiedział o pobycie na Bioko, krótko i zwięźle. Stryjeczny dziadek zrelekcjonował ostatnie cztery lata w Buccleuch – bez większych zmian. Potem Joe zapytał o Ruth i Luke'a. Nie mógł nie zapytać, choć w głębi serca wiedział, że gdyby Jaeger na coś trafił, poinformowałby go jako jednego z pierwszych. Jaeger przyznał, że ich zniknięcie było teraz równie wielką zagadką jak wcześniej.

Kiedy już nadrobili zaległości, Joe wbił w Jaegera jedno ze swoich spojrzeń – na poły przesywającą badawcze, na poły radośnie kpiarskie.

– No dobrze, tylko mi nie mów, że przejechałeś całą tę drogę w środku zimy tylko po to, by przywieźć staruszkowi zakupy, za które zresztą bardzo dziękuję. Co naprawdę cię tu sprowadza?

W odpowiedzi Jaeger wyjął telefon z kurtki. Przeciągnął po nim palcem, aż wyświetliło się zdjęcie symbolu orła – tego na dokumencie o operacji „Wilkołak”. Położył telefon na stole kuchennym.

– Wybacz tę nowomodną technologię, ale czy ten symbol coś ci mówi?

Joe pogrzebał w kieszeni kardiganu.

– Potrzebuję okularów.

Uniół telefon i przechylał go pod różnymi kątami. Było widać, że ta technologia jest mu obca, ale gdy wreszcie jego oczy uchwyciły obraz, zaszła w nim zmiana tyleż drastyczna, ile niespodziewana.

Jego twarz błyskawicznie straciła cały kolor. Zrobił się biały jak prześcieradło. Drżącą ręką powoli odłożył telefon na stół. Gdy uniół wzrok, miał w oczach coś, czego Jaeger nigdy wcześniej u niego nie widział, i na dodatek nigdy się nie spodziewał, że zobaczy.

*Strach.*

– Ja... niemal spodziewałem się... zawsze się obawiałem... – wydyszał wuj Joe, machając w stronę kranu. Jaeger popędził, żeby nalać mu trochę wody.

Staruszek chwycił szklankę trzęsącą się dłońią i wypił, rozlewając połowę na stół. Gdy ich spojrzenia znów się spotkały, wydawało się, że z oczu Joego uszło całe życie. Rozejrzył się po pokoju, prawie jakby dom był nawiedzony – jakby próbował sobie przypomnieć, gdzie jest.

– Skąd, na Boga, to masz? – szepnął, wskazując na obraz na telefonie. – Nie, nie, nie mów! Bałem się, że ten dzień może nadejść. Ale nigdy bym nie pomyślał, że trafi na ciebie, mój chłopcze, i to po tym wszystkim, co wycierpiałeś... – Jego wzrok zabłądził w jakiś odległy kąt pokoju.

Jaeger nie wiedział, co powiedzieć. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał, było przysporzenie kochanemu staruszkowi cierpienia i zmartwień. Jakim prawem miałby to robić u schyłku życia Joego?

Wuj Joe otrząsnął się z zadumy.

– Chłopcze, lepiej wejść do gabinetu. Nie chciałbym, żeby Ethel podsłuchiła cokolwiek z... no, z tego. Mimo tych jej spacerów w śniegu, nie jest już taka krzepka jak dawniej. Nikt z nas nie jest.

Podniósł się z siedzenia, wskazując na szklankę.

– Przyniesiesz moją wodę?

Skręcił do gabinetu. Jaeger nigdy wcześniej takim go nie widział – zgarbiony – prawie pochylony do ziemi – jakby dźwigał na ramionach wszystkie ciężary świata.

Wuj Joe westchnął głęboko, niczym wiatr przelatujący z szelestem przez góry.

– Wiesz, myśleliśmy, że zabierzemy nasze tajemnice do grobu. Twój dziadek, ja i inni. Prawi ludzie, którzy znali – który rozumie – zasady. Żołnierze, którzy wiedzieli, czego się od nas oczekuje.

Zamknęli się w gabinecie, po czym wuj Joe poprosił, żeby opowiedzieć mu wszystko, co poprzedzało chwilę obecną – każdy szczegół, każde zdarzenie. Gdy Jaeger skończył mówić, starzec dalej milczał, pogrążony w zadumie. Kiedy w końcu się odezwał, było niemal tak, jakby rozmawiał z samym sobą albo z kimś w pokoju – duchami tych, którzy już dawno odeszli z tego świata.

– Myśleliśmy – mieliśmy nadzieję – że zło przeminęło – wyszeptał. – Że każdy z nas może odejść ze spokojem ducha i czystym sumieniem. Wydawało nam się, że zrobiliśmy wystarczająco wiele, przed laty.

Siedzieli na wytartych i wygodnych skórzanych fotelach, odwróceny do siebie półprofilami. Ściany wokół obwieszane były pamiątkami z czasów wojny: czarno-białymi zdjęciami wuja Joego w mundurze, postrzępionymi flagami, emblematami, był też jego nóż szturmowy i znoszony beżowy beret.

Kilka przedmiotów stanowiło wyjątek od wojennej tematyki. Joe i Ethel nie mieli dzieci – Jaeger, Ruth i Luke stanowili ich przybraną rodzinę. Miejsce na biurku zajmowało kilka zdjęć – głównie Jaegera i jego rodziny spędzających wakacje w domku – oraz specyficznie wyglądająca księga, która wydawała się zupełnie nie pasować do militarnych pamiątek. Była to druga kopia manuskryptu Voynicha, na oko identyczna z tą, która spoczywała w skrzyni wojennej dziadka Teda.

– I nagle przychodzi tu ten chłopiec, ten kochany chłopiec – ciągnął wuj Joe – z... z tym. „Ein Reichsadler!” – Ostatnie słowo niemal wypluł ze wściekłością, wbijając wzrok w telefon Jaegera. – Cholerne diabelstwo! Z tego, co mówi chłopiec, zło powróciło... A jeśli tak, czy mam zgodę, żeby przerwać milczenie?

Pozwolił, by pytanie wybrzmiało w chwili ciszy. Gruba izolacja ścian zazwyczaj tłumila każdy dźwięk, a mimo to zdawało się, że powietrze w pokoju zadrgało złowieszczą przestrogą.

– Wuju Joe, nie chciałem być wścibski... – odezwał się Jaeger, lecz starzec uniósł rękę, nakazując, żeby zamilknęła. Z widocznym wysiłkiem skupił uwagę na teraźniejszości.

– Chłopcze, chyba nie mogę powiedzieć ci wszystkiego – mruknął. – Twój dziadek, w każdym razie, nigdy by się na to nie zgodził. Chyba że okoliczności byłyby zgoła rozpaczliwe. Ale zasługujesz na to, by powiedzieć ci choć trochę. Pytaj. Na pewno masz wiele pytań i dlatego tu przyszedłeś. Pytaj, a ja zobaczę, co mogę powiedzieć.

Jaeger skinął głową.

– Co ty i dziadek robiliście w czasie wojny? Pytałem, gdy jeszcze żył, ale nigdy nie mówił zbyt wiele. Co robiliście, że dziadek wszedł w posiadanie dokumentów takich jak ten? – Wskazał na telefon.

– Żeby zrozumieć, co robiliśmy w czasie wojny, musisz najpierw zrozumieć, z czym się mierzyliśmy – zaczął cicho wuj Joe. – Minęło wiele lat, o zbyt wielu sprawach zapomniano. Przesłanie Hitlera było proste i przerażające zarazem. Przypomnij sobie hasło Hitlera: „Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt”. – „Dzisiaj należą do nas Niemcy, jutro cały świat”. Tysiącletnia Rzesza miała być prawdziwym światowym imperium, pójść śladem cesarstwa rzymskiego, Berlin miał zostać przemianowany na Germanię i stać się stolicą całego świata.

Hitler twierdził, że Niemcy są aryjską rasą panów, Übermensch. Chcieli wprowadzić Rassenhygiene – czystość rasową – by oczyścić Niemcy z Untermensch – podludzi, a wtedy byliby niezwyciężeni. Untermensch mieli być bezkarnie wykorzystywani, zniewalani i mordowani. Osiem, dziesięć, dwanaście milionów – nikt nie wie na pewno, ilu zginęło.

Myśli się powszechnie, że chodziło wyłącznie o Żydów – ciągnął wuj Joe. – Ale nie, to dotyczyło wszystkich spoza rasy panów. Michlinge – półkrwi Żydów lub rasy mieszanej. Homoseksualiści, komuniści, inteligencja, kolorowi – wliczając w to Polaków, Rosjan, mieszkańców Europy Południowej, Azjatów... Einsatzgruppen – szwadrony śmierci SS – zabrały się do wymordowania ich wszystkich.

Do tego jeszcze Lebensunwertes Leben – „życie niegodne życia” – niepełnosprawni i chorzy psychicznie. W ramach „Aktion T4” ich też naziści zaczęli zabijać. Wyobraź sobie! Niepełnosprawnych! Zabijali najbardziej bezbronnych obywateli. A wiesz, jaki mieli na to sposób? Zbięrali tych Lebensunwertes Leben w specjalnym autobusie pod takim czy innym pretekstem i wozili po mieście, pompując do środka spaliny, podczas gdy tamci patrzyli przez okna.

Starzec spojrzął na Jaegera, na jego twarzy widać było udrękę.

– Twój dziadek i ja widzieliśmy wiele z tych rzeczy na własne oczy.

Wypił łyk wody. Zebrał się w sobie z widocznym trudem.

– Ale tu nie chodziło tylko o zagładę. Nad bramami obozów koncentracyjnych umieszczali hasło: „Arbeit macht frei” – praca czyni wolnym. Cóż, rzecz jasna, nic nie mogłoby być dalsze od prawdy. Rzesza Hitlera funkcjonowała dzięki Zwangswirtschaft – gospodarce opartej na pracy przymusowej. Hitler widział w Untermensch ogromną armię niewolniczej siły roboczej, i miliony ludzi zginęły z wycieńczenia.

A wiesz, co jest gorsze? – wyszeptał. – To działało. Przynajmniej w rozumieniu Hitlera, plan się powiódł. Efekty mówiły same za siebie. Rewelacyjna technika raketowa, nowatorskie pociski kierowane, pociski manewrujące, superzaawansowana aeronautyka, latające skrzydła o napędzie odrzutowym, niewykrywalne okręty podwodne, zupełnie nowe broni chemiczne i biologiczne, noktowizory – prawie w każdej dziedzinie Niemcy byli pierwsi. Lata świetlne przed nami.

Hitler fanatycznie wierzył w technologię – kontynuował. – Pamiętasz, dzięki V-2 byli pierwszymi, którzy umieścili rakietę w kosmosie – oni, wcale nie Rosjanie, jak się powszechnie uważa. Hitler naprawdę sądził, że technologia pozwoli im wygrać wojnę. A wierz mi – nie licząc wyścigu nuklearnego, w którym zwyciężyliśmy raczej przypadkowo – w 1945 roku niewiele brakowało, żeby jego plany się ziściły.

Weźmy na przykład niewykrywalny okręt podwodny typu XXI. Wyprzedzał swoją epokę o całe dziesięciolecia. Jeszcze w latach siedemdziesiątych próbowaliśmy skopiować jego projekt i mu dorównać. Z trzystoma takimi u-bootami mogliby trzymać Wielką Brytanię w szachu i zmusić nas do kapitulacji. Do końca wojny Hitler miał flotyllę stu sześćdziesięciu takich okrętów gotowych do grasowania po morzach. Albo rakietka V-7. Przy niej V-2 wyglądała jak dziecięca zabawka. Miała zasięg pięciu tysięcy kilometrów, była uzbrojona w jeden z ich tajnych bojowych środków trujących – sarin albo tabun – i mogła nieść śmierć z powietrza nad wszystkimi naszymi największymi miastami.

Wierz mi, Williamie, byli o włos – jeśli nie od wygrania wojny, od urzeczywistnienia Tausendjähriges Reich, to przynajmniej od zmuszenia aliantów do zawarcia pokoju. A gdyby tak się stało, oznaczałoby to, że Hitler – nazizm, największe zło – by przetrwało. Bo tylko tego chcieli Hitler i grupa jego najbliższych zwolenników – chcieli zabezpieczyć przyszłość swojej Drittes Reich, by rządziła przez tysiąc lat. Byli tak blisko... – Starzec westchnął ze znużeniem. – I dlatego właśnie, a także z wielu, wielu innych powodów, naszym zadaniem – twojego dziadka i moim – było powstrzymanie tych ludzi.



Wuj Joe sięgnął do szuflady biurka i poszperał w niej. Wyjął coś, odwinął bibułkę i podał Jaegerowi.

– Pierwotna odznaka SAS. Biały sztylet, a pod nim napis: „KTO RYZYKUJE, TEN WYGRYWA”. Nosiło się ją razem ze skrzydełkami spadochroniarza, a z ich połączenia powstał słynny skrzydlaty sztylet dzisiejszej jednostki. Jak pewnie się już domyśliłeś, razem z twoim dziadkiem służyliśmy w SAS. Walczyliśmy w Afryce Północnej, na wschodzie Morza Śródziemnego i w południowej Europie. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Zrozum, chłopcze, nasze pokolenie po prostu nie mówiło o takich sprawach. I dlatego emblematy naszych jednostek – i opowieści wojenne – trzymaliśmy dla siebie, w sekrecie.

– Było to jesienią 1944 roku, w północnych Włoszech, obaj zostaliśmy ranni – podjął. – Operacja za liniami wroga, zasadzka, krwawa wymiana ognia. Ewakuowali nas do szpitala, najpierw w Egipcie, potem w Londynie. Możesz sobie wyobrazić – żaden z nas nie potrafił usiedzieć w miejscu, gdy wracaliśmy do zdrowia. Kiedy więc nadarzyła się okazja, by zgłosić się do ściśle tajnej jednostki – no cóż, od razu tak zrobiliśmy.

Wuj Joe spojrzął na Jaegera, w jego oczach widać było rozterkę.

– Razem z twoim dziadkiem złożyliśmy przysięgę zachowania tajemnicy. Ale... cóż, w świetle tych wszystkich... – Machnął ręką w stronę Jaegera, w stronę telefonu. – Twój dziadek był starszy stopniem, wtedy już awansowali go na pułkownika. W styczniu 1945 roku został mianowany dowódcą Target Force. Ja byłem jednym z jego oficerów sztabowych.

Zapewniam cię, chłopcze, że nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Nawet Ethel. – Przez chwilę zbierał myśli. – Target Force była jedną z najtajniejszych jednostek, jakie kiedykolwiek stworzono. I dlatego, bez wątplenia, nigdy o nas nie słyszałeś. Mielśmy jedno, bardzo konkretne zadanie. Byliśmy odpowiedzialni za wytropienie najważniejszych tajemnic nazistów – ich technologii wojennych, ich „Wunderwaffe”, niezwykle zaawansowanych maszyn bojowych, a także ich czołowych naukowców.

Teraz, gdy już zaczął, wydawało się, że nie ma zamiaru skończyć. Słowa płynęły, jakby rozpaczliwie chciał uwolnić się od ciężaru wspomnień, od brzemienia tajemnic. – Mielśmy znaleźć „Wunderwaffe” wcześniej niż Rosjanie, w których już wtedy widziano nowego wroga. Dostaliśmy „czarną listę” kluczowych miejsc – fabryk, laboratoriów, poligonów doświadczalnych, tuneli aerodynamicznych – do tego spis naukowców i głównych ekspertów. Nic z tego, pod żadnym pozorem, nie mogło wpaść w rosyjskie ręce. Rosjanie nacierali od wschodu, to był wyścig z czasem. I w dużej mierze go wygraliśmy.

– To tak trafił na ten dokument? – zapytał Jaeger. Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. – Ten raport o operacji „Wilkołak”?

– To nie raport – mruknął wuj Joe. – To plan operacyjny. I trafił w ręce twojego dziadka w jeszcze inny sposób. Dokument o takim stopniu tajności – którego istnieniu można było

w każdej chwili zaprzeczyć, pochodzący z najgłębszej konspiracji – wykraczał dalece nawet poza nasze uprawnienia, nawet poza Target Force.

– No to gdzie...

Starzec znów machnął ręką, żeby Jaeger się uciszył.

– Twój dziadek był znakomitym żołnierzem: nieustraszoną, inteligentnym, absolutnie uczciwym. Podczas służby w T Force odkrył coś tak wstrząsającego, tak absolutnie złego, że prawie o tym nie mówił. Poza T Force prowadzona była zakonspirowana „czarna operacja”. Miała za zadanie wywiezienie ukradkiem najwyższych rangą i najbardziej niepożądanych nazistów – uznanych za *persona non grata* – do miejsc, w których wciąż mogliby nam się przydać.

– Oczywiście, gdy się o tym dowiedział, był w szoku. – Wuj Joe zawiesił głos. – Przede wszystkim zdawał sobie sprawę, jak bardzo to było niewłaściwe. Jak nas wszystkich to zdeprawuje, jeśli zaprosimy najgorsze zło do naszych domów. Uważał, że wszyscy, ale to wszyscy nazistowscy zbrodniarze wojenni powinni stanąć przed trybunałem w Norymberdze... Ale teraz przechodzimy do spraw, co do których przysiągłem mu absolutną dyskrecję. – Spojrzał przez chwilę na Jaegera. – Czy mam złamać dane słowo?

Jaeger położył mu rękę na ramieniu, by podnieść go na duchu.

– Wuju Joe, i tak powiedziałaś mi już więcej, niż wiedziałem, niż mogłem liczyć, że się dowiem.

Staruszek poklepał jego dłoń.

– Chłopcze, doceniam twoją cierpliwość i wyrozumiałość. To... to wcale nie jest łatwe... Pod koniec wojny twój dziadek wrócił do SAS. Choć SAS już wtedy nie było. Oficjalnie, zostało rozwiązane zaraz po wojnie. A nieoficjalnie, Winston Churchill – najwspanialszy przywódca, jakiego kraj może sobie wymarzyć – utrzymał tę jednostkę, i dzięki Bogu, że tak się stało. SAS zawsze była dzieckiem Churchilla – kontynuował. – Po wojnie dowodził nią w tajemnicy, i to z hotelu w centrum Londynu. Stworzyli tajne bazy w całej Europie. Chcieli wytropić i pozabijać tych nazistów, którzy wymknęli się z matni, szczególnie tych odpowiedzialnych za te wszystkie okropności.

– Słyszałeś może o Kommandobefehl? Był to rozkaz Hitlera, który zarządzał przekazywanie SS wszystkich schwytanych żołnierzy alianckich służb specjalnych w celu poddania ich Sonderbehandlung – specjalnemu traktowaniu. Czyli torturom i egzekucji. Setki ludzi zniknęły w ramach czegoś, co nazisci nazwali „Nacht und Nebel” – noc i mgła.

Wujek Joe umilkł na chwilę. Tak głębokie sięganie w przeszłość, w otchłań zła, okazało się bardzo wyczerpujące.

– Tajna SAS Churchilla wzięła się do tropienia tych nazistów, którzy wciąż przebywali na wolności. Wszystkich, niezależnie od stopnia. Sonderbehandlung zarządził sam Hitler. Najbardziej znaczące osoby z nazistowskiego rządu znalazły się na celowniku twojego dziadka, a to stawiało go w zupełnej opozycji do agentów, których zadaniem było wywieźć tych samych oficerów w bezpieczne miejsce.

– Walczyliśmy więc z sobą? – zapytał Jaeger. – Jedni próbowali wykończyć resztki największego zła, a drudzy chcieli je chronić?

– Bardzo możliwe.

– Jak długo to trwało? Ta sekretna wojna dziadka Teda i Churchilla?

– Dla twojego dziadka chyba nigdy się nie skończyła. Aż do dnia, gdy została... umarł.

– A więc te wszystkie pamiątki po nazistach – trupie czaszki SS, odznaki Wehrwolfu – zgromadził, gdy na nich polował?

Wuj Joe potaknął:

– Tak. To trofea, że tak powiem. Każde świadczy o mrocznym wspomnieniu, o złu, które zostało zniszczone, tak, jak być powinno.

– A ten dokument o operacji „Wilkołak”? – dopytywał się Jaeger. – Trafił na niego w ten sam sposób?

– Może. Zapewne. Naprawdę nie umiem powiedzieć. – Staruszek niespokojnie poruszył się w fotelu. – Wiem o tym niewiele. Nie wiedziałem, rzecz jasna, że twój dziadek zatrzymał sobie kopię ani że trafiła do ciebie. Tylko raz czy dwa słyszałem, jak o tym wspomina, a i tak jedynie szeptem. Twój dziadek z pewnością wiedział więcej, ale zabrał te najgłębsze, najgorsze tajemnice do grobu. I to przedwcześnie.

– A ten Reichsadler? – drążył Jaeger. – Co oznacza?

Wuj Joe przez dłuższą chwilę wpatrywał się w rozmówcę.

– To coś na twoim telefonie, to nie jest zwykły Reichsadler. Standardowy nazistowski orzeł stoi nad swastyką. – Starzec spojrział znów na telefon Jaegera. – Ten wyraźnie się różni. Musisz zwrócić szczególną uwagę na ten okrągły symbol pod ogonem orła. – Wzdrygnął się. – Tylko jedna... organizacja używała tego symbolu, i to po wojnie, kiedy na świecie rzekomo pannał już pokój, a nazizm został pokonany...

W gabinecie było ciepło – dobrze napalony piec w kuchni grzał w najlepsze, ale mimo to Jaeger poczuł, jak do pokoju zakrada się chłód.

Wuj Joe westchnął z widoczną w oczach udręką.

– Nie muszę dodawać, że nie widziałem tego symbolu, no, będzie prawie siedemdziesiąt lat. I bardzo się z tego cieszyłem. – Zawiesił głos. – No dobrze. Obawiam się, że już i tak powiedziałem za dużo. Ale trudno, twój dziadek i inni będą musieli mi wybaczyć.

Zamilkł na chwilę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o którą teraz ja muszę cię zapytać: czy wiesz, jak umarł twój dziadek? To po części dlatego się tutaj przenieśliem. Nie potrafiłem być blisko miejsca, w którym spędziliśmy tak szczęśliwe dzieciństwo.

Jaeger wzruszył ramionami.

– Wiem tyle, że to było nagle. Że zmarł przedwcześnie. Miałem tylko siedemnaście lat, byłem za młody, żeby ktokolwiek chciał mi coś więcej powiedzieć.

– I dobrze, że ci nie powiedzieli. – Starzec zamilkł, obracając odznakę SAS w wątych dłoniach. – Miał siedemdziesiąt dziewięć lat. Zdrow jak ryba. Energiczny jak zwykle, rzecz jasna.

Mówią, że to było samobójstwo. Że wsadził wąż przez okno auta i zostawił silnik włączony. Otruł się spalinami, bo nie mógł sobie poradzić z traumatycznymi przeżyciami z czasów wojny. Bzdura, totalna bzdura!

Teraz w oczach wuja Joego płonął gniew.

– Coś ci to przypomina? Wąż w oknie? No pewnie! Oczywiście, nie był jednym z Lebensunwertes Leben – niepełnosprawnym, jednym z tych, którym naziści odebrali prawo do życia. – Spojrzał z rozpaczą na Jaegera. – Ale czy jest lepszy sposób, żeby się zemścić?

Otworzył przepustnicę i przyspieszył. Potężny silnik o pojemności 1200 cm<sup>3</sup> zawył z gardłowym pomrukiem, a jego triumph popędził po pustej, nocnej szosie. A jednak, jadąc autostradą M6 na południe, Jaeger wcale nie czuł satysfakcji. Wizyta u wuja Joego przyprawiła go wręcz o zawrót głowy. Najboleśniej dotknęła go ostatnia tajemnica, jaką wyjawiał mu starzec.

Dziadek Ted został znaleziony martwy w aucie pełnym spalin, które rzekomo doprowadziły do uduszenia. Według policji najbardziej prawdopodobną przyczyną zgonu były samozatrucie i samobójstwo. Przerazające było to, że na jego lewym ramieniu wycięto charakterystyczny symbol – Reichsadler. Podobieństwa między tym zgonem a śmiercią Andy’ego Smitha były naprawdę zatrważające.

Jaeger na chwilę odsunął to wszystko od siebie, do momentu, póki nie opuścił domku. Pomógł Ethel wrócić ze spaceru w śniegu. Zjadł z nimi kolację – solone i wędzone śledzie. Odprawił oboje do łóżek – jego dziadek stryjeczny wydawał się bardziej osłabiony i stroskany, niż kiedykolwiek. A potem pożegnał się i ruszył w drogę.

Obiecał Raffowi, Feaneyowi i Carsonowi, że przekaże im swoją decyzję osobiście w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Czas uciekał, zwłaszcza że w długiej drodze powrotnej do Londynu planował jeszcze jeden, ostatni przystanek.

Zostawił domek głęboko w zaśnieżonym lesie z nadzieją, że na takim odludziu Joe i Ethel będą przynajmniej bezpieczni. Jednak przez całą podróż na południe Jaeger miał wrażenie, jakby w mroku ściagały go duchy przeszłości.

Jakby gonily za nim przez Nacht und Nebel – noc i mgłę.

– Nacieszcie oczy tym! – Adam Carson rzucił na blat plik zdjęć lotniczych.

Carson, schludny, zdecydowany, wygadany, uzdolniony mówca, był urodzonym zwycięzcą. Jaeger nieszczęśliwie za nim przepadał. Szanował go jako dowódcę. Ale czy mu ufał? Nigdy nie mógł się zdecydować.

– Cordillera de los Dios, Góry Bogów – podjął Carson. – Teren niemal wielkości Walii, niezbadana dżungla, otoczona szczytami, po cztery-pięć tysięcy metrów, spowita mgłą i deszczem. Macie tam dzikie plemiona, wodospady wysokie jak katedry, jaskinie ciągnące się kilometrami, do tego głębokie wąwozy i niebezpieczne przełomy rzek. Na dobitkę pewnie stada tyranozaurów. Krótko mówiąc, to istny „zaginiony świat”.

Jaeger uważnie przyglądał się zdjęciom, przerzucając jedno po drugim.

– Na bank daleko od Soho Square.

– Prawda? – Carson pchnął w jego stronę drugi plik fotografii. – A jeśli masz jeszcze jakieś wątpliwości, spójrz na to. Czyż nie jest piękna? Tajemnicza, mroczna, zmysłowa – piękna i bestia zarazem. Syrena powietrza, przyzywająca nas z trzech tysięcy kilometrów, z dżungli, a zrazem z przeszłości.

Jaeger spojrział na fotografie. Wśród morza szmaragdowej zieleni spoczywał tajemniczy wrak, dobrze widoczny, bo las w jego najbliższym otoczeniu był kompletnie wyblakły. Martwy. Bezlistne gałęzie wyciągały się ku niebu jak mrowie kościstych palców, a szczątki dżungli były ogołocone ze wszystkiego, co żyje.

– Las kości – mruknął Jaeger, wskazując na obumarły obszar wokół tajemniczego samolotu.

– Co mogło spowodować coś takiego, jakieś pomysły?

– Nie. – Carson uśmiechnął się. – To musi być coś bardzo trującego, ale jest wielu potencjalnych kandydatów. Zabieracie, oczywiście, kombinezony ochronne i maski tlenowe. Przyda się wam odpowiednie zabezpieczenie – o ile jednak jedziecie.

Jaeger zignorował przytyk. Wiedział, że wszyscy czekają na jego odpowiedź. Czterdzieści osiem godzin już prawie minęło. To dlatego zebrali się tu, w luksusowym biurze Wild Dog Media w dzielnicy Soho – Adam Carson, paru telewizyjnych ważniaków, do tego zespół Enduro Adventures.

Najwyraźniej każdy, kto znaczył coś w światku telewizji, musiał mieć siedzibę w Soho, szpalterskiej części środkowego Londynu, do której ciągnęły wszystkie medialne szczyty. Carson, co dla niego typowe, poszedł na całość, wynajmując biura przy samym Soho Square.

– Samolot wygląda na zadziwiająco nietknięty – zauważył Jaeger. – Prawie jakby tam wylądował. Wiemy może, skąd i dokąd leciał, i w którym roku?

Carson podsunął mu trzeci plik zdjęć.

– Zbliżenia oznaczeń. Jak widzisz, są bardzo wyblakłe, ale wygląda na to, że jest pomalowany w barwy amerykańskiego lotnictwa. Wpływ warunków atmosferycznych wskazuje wy-

rażnie, że leży tam od dziesięcioleci... Wszyscy podejrzewają, że od czasu drugiej wojny światowej. A jeśli tak, to jest zupełnie unikatowy, fenomenalny, rewolucyjny jak na swoje czasy.

– Porównaj go z C-130 Hercules. – Carson spojrział na telewizyjnych VIP-ów i wyjaśnił. – C-130 to współczesny samolot transportowy używany w większości sił NATO. Nasz tajemniczy wrak ma trzydzieści cztery metry od dziobu do ogona, a więc jest od trzydziestometrowego C-130 zdecydowanie dłuższy. Do tego ma sześć silników, zamiast czterech, i znacznie większą rozpiętość skrzydeł.

– Mógł więc przewozić o wiele cięższy ładunek?

– Tak. Jedyne porównywalny samolot aliancki z czasów drugiej wojny światowej to Boeing B-29 Superfortress – takie maszyny zrzuciły bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Ale ten samolot ma zupełnie inny kształt – bardziej aerodynamiczny i opływowy – a w dodatku B-29 był o wiele mniejszy. I tu właściwie można sformułować pytanie: co to, u diabła, jest?

Carson uśmiechnął się szeroko, coraz bardziej pewny siebie, niemal arogancki.

– Ochrzczono go „ostatnią wielką zagadką drugiej wojny światowej”. I rzeczywiście nią jest. – Wpadł w ton doświadczonego akwizytora, nastawionego na pozyskanie klientów. – Potrzebujemy już tylko odpowiedniego człowieka do poprowadzenia misji. – Spojrzął na Jaegera. – Podejmujesz się? Wchodzisz w to?

Jaeger rozejrzał się szybko po twarzach zebranych wokół osób. Carson: nader pewny, że go przekonał. Raff: nieodgadniony jak zwykle. Feaney: lekko zaniepokojony, bo właśnie ważyły się losy Enduro Adventures. Do tego rozmaite telewizyjne tuzy: ubrani niedbale – czyli modnie – i nerwowo wyczekujący, czy ich medialna impreza, która stanęła pod znakiem zapytania, w ogóle dojdzie do skutku.

Był też pan Simon Jenkinson, archiwista. Blisko sześćdziesiątki, a więc najstarszy w grupie, o aparycji śpiącego wargacza, z białą-żółtawą brodą, w okularach wielkich jak spodki i przeżartej przez mole tweedowej marynarce, z rozmarzonym spojrzeniem i głową w chmurach.

– A pan, panie Jenkinson – zapytał Jaeger. – Jak rozumiem, jest pan ekspertem? Członkiem LAAST, Lost Aircraft Archaeological Society Trust<sup>13)</sup>, oraz specjalistą od drugiej wojny światowej? Czy nie powinniśmy usłyszeć, co to, pana zdaniem, może być?

---

13) Dosłownie: Fundacja Klubu Archeologicznego Zaginionych Statków Powietrznych

– Kto? Ja? – Archiwista rozejrzał się po pokoju, jakby właśnie obudził się z długiego snu. Wąsy zadrgały mu niespokojnie. – Mam coś powiedzieć? Raczej nie. Debaty grupowe to nie moja rzecz.

Jaeger zaśmiał się z sympatią. Od razu polubił tego gościa. Podobało mu się, że jest taki bezpretensjonalny i prostolinijny.

– Trochę się spieszymy – wtrącił się Carson, rozglądając się po szychach z TV. – Najlepiej będzie porozmawiać z panem Jenkinsonem, jak już uporamy się z najważniejszym punktem programu, nie sądzisz? Czyli: wchodzisz w to czy nie?

– Zawsze, gdy podejmuję decyzję, lubię robić to świadomie – odciął się Jaeger. – No więc, panie Jenkinson, proszę o pana najlepszą hipotezę. Co to może być?

– Cóż, hmmm, jeśli mogę się ośmielić... – Archiwista odchrząknął. – Jest jeden samolot, który odpowiada specyfikacjom tamtego Junkers Ju 390. Niemiecki, oczywiście. Ukochany projekt Hitlera, tak się składa. Miał zainicjować program „Amerika Bomber” – hitlerowski plan nalotów bombowych na Amerykę pod koniec wojny.

– I udało im się? – zapytał Jaeger. – Nowy Jork? Waszyngton? Zbombardowali je?

– Są doniesienia o takich misjach – wyjaśnił Jenkinson. – Ale żadne nie zostało do końca potwierdzone. Najistotniejsze wydaje się jednak to, że Ju 390 spełniał wymagania techniczne, żeby wykonać taki lot. Można było go tankować w powietrzu, a piloci sterowali nim przy pomocy nowatorskiego noktowizora Vampyr – co oznacza, że mogli też startować i lądować w zupełnych ciemnościach.

Jenkinson postukał palcem w jedno ze zdjęć.

– Proszę spojrzeć tu: Ju 390 wyposażono w kopułę nad kadłubem służącą do obserwacji ciał niebieskich. Załoga mogła pokonywać wielkie odległości, kierując się położeniem gwiazd, nie korzystając z radaru czy radia. Mówiąc krótko, był to idealny samolot wojskowy do wykonywania tajnych lotów przez pół świata. Gdyby zatem chcieli zrzucić sarin na Nowy Jork, to ten samolot był zdolny do takiej misji. – Jenkinson rozejrzył się nerwowo po pokoju. – Mmm... przepraszam. Ta ostatnia część. O zrzuceniu sarinu na Nowy Jork... Trochę mnie poniosło. Wciąż mnie słuchacie?

Zebrani potakująco pokiwali głowami. O dziwo, wyglądało na to, że Simon Jenkinson dosłownie zahipnotyzował słuchaczy.

– Zbudowano mniej niż tuzin Ju 390 – ciągnął. – Na szczęście naziści przegrali wojnę, zanim program „Amerika Bomber” zdążył stać się przerażającą rzeczywistością. Ale dziwne jest to, że żadnego Ju 390 nigdy nie znaleziono. Pod koniec wojny... no cóż, zniknęły. Ten będzie pierwszy, oczywiście, jeśli to rzeczywiście jest Ju 390.

– A wie pan może, co niemiecki samolot wojskowy robił w sercu Amazonii? I dlaczego miał amerykańskie oznaczenia?

– Nie mam pojęcia. – Archiwista uśmiechnął się z pewną dozą autoironii. – Co więcej, muszę przyznać, że właśnie to pytanie mnie zaprzętało, gdy zamknąłem się w archiwach. Nigdzie nie udało mi się znaleźć żadnej notatki o tym, żeby taki samolot poleciał do Ameryki Południowej. Co do amerykańskich oznaczeń, cóż, tego nie sposób wyjaśnić.

– Gdyby był jakiś dokument, znalazłby go pan?

Archiwista potaknął.

– Z tego, co wiem, to samolot, którego nigdy nie było. Lot widmo.

Jaeger uśmiechnął się.

– Wie pan, panie Jenkinson, marnuje się pan w archiwach. Powinien pan wymyślać programy dla telewizji.

– Samolot, którego nigdy nie było – powtórzył Carson. – Lot widmo. Po prostu genialne. I co, Will, czy to nie zaostrza twojego apetytu?

– Owszem. A zatem mam ostatnie pytanie i jeden warunek, a potem chyba w to wejdę.

Carson rozłożył ręce w zapraszającym geście.

– Wał.

Jaeger pozwolił, by pytanie spadło na pokój jak bomba:

– Jakies wieści o tym, dlaczego Andy Smith został zamordowany?

Twarz Carsona pozostała nieodgadniętą maską – jedynie minimalne drgnięcie policzka zdradzało, jak bardzo się zdenerwował.

– Cóż, według policji zginął w wyniku nieszczęśliwego wypadku albo samobójstwa. I chociaż z pewnością rzuciło to cień na całą naszą wyprawę, pozbieramy się i ruszymy dalej. – Zamilkł na chwilę. – A warunek?

W odpowiedzi Jaeger przesunął po stole teczkę. Zawierała kilka błyszczących broszur, a na okładce każdej widniał ultranowocześnie wyglądający statek powietrzny.

– Zadzwoniłem dziś rano do Cardington Field Hangar w Bedford, do siedziby Hybrid Air Vehicles. Domyślam się, że znasz Steve’a McBride’a i pozostałych pracowników?

– McBride’a? Owszem – potwierdził Carson. – Dobry, rzetelny przedsiębiorca. Ale skąd twoje zainteresowanie HAV-ami<sup>14)</sup>?

---

14) Hybrydowe statki powietrzne, łączące zalety statków opartych na sile nośnej (areodyn), jak i sile wyporu (aerostatów)

– McBride zapewnił mnie, że może wysłać Heavy Lift Airlandera 50, czyli największy z ich statków, żeby krążył nad tym skrawkiem Amazonii. – Jaeger odwrócił się do facetów z TV: dwóch Brytyjczyków i Amerykanina, gościa od kasy. – Mówią prosto, Airlander 50 to współczesny sterowiec. Wypełniony helem, zamiast wodoru, więc gazem całkowicie obojętnym chemicznie. Innymi słowy, to nie Hindenburg, nie wybuchnie jak kula ognia. Ma sto dwadzieścia metrów długości i sześćdziesiąt szerokości – ciągnął. – Zaprojektowany został do dwóch zadań. Jedno: stała obserwacja o szerokim zasięgu, czyli monitorowanie tego, co się dzieje na dole. Drugie: podnoszenie wielkich ciężarów – zawiesił głos.

– Airlander ma udźwignąć sześć ton. McBride sądzi, że samolot wojskowy takich rozmiarów jak nasz waży mniej więcej połowę z tego, więc około trzech ton – może pięciu, jeśli ma ładunek. Jeśli skorzystamy z Airlandera, może czuwać nad nami, a w dodatku będziemy w stanie podnieść ten samolot.

Amerykanin, podekscytowany, uderzył ręką w stół.



– Panie Jaeger – Will – jeśli dobrze rozumiem, co sugerujesz, to jest to propozycja wręcz nie-samowita. Nie-samo-wita. Jeśli możecie tam dotrzeć, znaleźć to coś, zabezpieczyć i podnieść za jednym zamachem, to podwoimy nasz wkład do budżetu. I popraw mnie, jeśli się mylę, Carson, ale i tak wykładamy lwią część, czyż nie?

– Masz rację, Jim – potwierdził Carson. – Czemu by nie skorzystać z tego Airlandera? Jeśli McBride mówi, że mu się uda, a wy będziecie tak mili, żeby pokryć dodatkowe koszty, to możemy nie tylko dotrzeć tam i znaleźć wrak, ale też dostarczyć go tutaj.

– Jedno pytanie – wtrącił się jeden z brytyjskich menedżerów. – Jeśli jest tak, jak mówisz, i ten Airlander może zawisnąć nad dżunglą i podnieść samolot, to czemu nie mógłby zrzucić was prosto na miejsce? Obecny plan zakłada, że zeskoczą na spadochronach do dżungli w miejscu odległym o kilka dni wędrówki od wraku i dotrzenie tam łądem. Czy Airlander nie zaoszczędziłby wam tego trudu?

– Dobre pytanie – odparł Carson. – To niemożliwe z trzech powodów. Po pierwsze, nigdy nie zrzuca się zespołu prosto do miejsca zagrożonego nieznaną trucizną. To byłoby prawie samobójstwo. Wchodzi się z bezpiecznej strefy po to, by rozpoznać i oszacować zagrożenie. Po drugie, spójrz na teren nad wrakiem – masa martwych, połamanych i ostrych gałęzi. Jeśli zrzucimy na to zespół, stracimy połowę, bo nabiją się na wierzchołki drzew.

– I po trzecie. – Carson skinął głową w stronę Amerykanina. – Jim chce sfilmować zrzut ekipy na spadochronach, bo to doda całemu show dramatyzmu. A to oznacza skok na czysty, otwarty, bezpieczny skrawek ziemi. I dlatego muszą dotrzeć tam tak, jak planowaliśmy, z jedynej strefy nadającej się do lądowania, którą udało się znaleźć.

W sali konferencyjnej podano wczesny lunch – zewnętrzna firma cateringowa wniosła tace zastawione zimnymi przekąskami przykrytymi folią spożywczą. Jaegerowi wystarczyło jedno spojrzenie, by uznać, że nie jest głodny. Przekradł się przez pokój i dopadł archiwistę w dość ustronnym miejscu.

– Ciekawe – stwierdził Jenkinson, przyglądając się wyjątkowo gumowatemu kawalkowi sushi. – Zdumiewające, że raczymy się potrawami naszego dawnego wroga... Do archiwów zabieram własne kanapki. Z dojrzałym cheddarem i piklami Branston.

Jaeger uśmiechnął się.

– Mogło być gorzej. Mogli podać nam kiszoną kapustę i kielbaski.

Tym razem to Jenkinson zachichotał.

– Otóż to. Wie pan, prawie panu zazdroszczę tego, że dotrze pan tam i znajdzie ten tajemniczy samolot. Oczywiście, w akcji byłbym niemal całkowicie bezużyteczny. Ale, no cóż – pan będzie tworzył historię. Żył nią. To niepowtarzalna szansa.

– Mogę znaleźć panu miejsce w zespole – zaproponował Jaeger z figlarną miną. – Postawić to jako warunek mojego uczestnictwa.

Archiwista zakrzuszył się i wypluł kawałek surowej ryby.

– Ups. Przepraszam. I tak było obrzydliwe. – Zawinał mięso w serwetkę i odłożył na pobliską półkę. – Nie, nie, nie, nie, nie. Jestem więcej niż szczęśliwy w zaciszu moich archiwów.

– Skoro już o archiwach mowa... – głośno zastanawiał się Jaeger. – Proszę zapomnieć na chwilkę o tym, co wie pan na pewno. Chodzi mi o czystą spekulację. Biorąc pod uwagę wszystko, co pan słyszał i widział, jak pan myśli, czym naprawdę jest ten tajemniczy samolot?

Oczy Jenkinsona poruszyły się nerwowo za grubymi okularami.

– Zwykle nie bawię się w spekulacje. Nie jest to moje standardowe zajęcie. Ale skoro już pan pyta... Tylko dwa możliwe scenariusze mają jakiś sens. A: to Ju 390, a Niemcy pomalowali go w amerykańskie oznaczenia, by mógł przelecieć niepostrzeżenie. B: to tajny amerykański samolot wojskowy, o którym nikt nie słyszał.

– Który scenariusz jest bardziej prawdopodobny?

Jenkinson spojrział na wilgotną serwetkę na półce.

– B jest równie prawdopodobny jak to, że kiedyś polubię sushi. Opcja A – cóż, zdziwiłby się pan, jak często robiono takie numery. Oni zdobywali nasze samoloty, a my ich. Przemalowaliśmy maszyny w barwy wroga i wyprawialiśmy na przespiesi i różne takie szemrane akcje. Oni robili to samo.

Jaeger uniósł brew.

– Będę o tym pamiętał. No to mała zmiana tematu. Mam dla pana zagadkę. Pomyślałem, że pewnie lubi pan dobre zagadki, ale chciałbym, żeby akurat tę zachował pan dla siebie, okej?

– Nic mnie tak nie raduje, jak dobra zagadka do rozwiązania – zachęcił Jenkinson z błyskiem w oku. – A zwłaszcza taka, którą muszę zachować w zupełnej tajemnicy.

Jaeger zniżył głos.

– Dwaj starszycy. Weterani drugiej wojny światowej. Służyli w tajnej jednostce. Bardzo tajnej. Obaj mają gabinety zastawione od góry do dołu militarnymi pamiątkami. Z jednym wyjątkiem od tej reguły: w obu leży na biurku tajemny średniowieczny manuskrypt, napisany w całości w niezrozumiałym języku. Pytanie brzmi, co tam robi?

– Pyta pan, dlaczego obaj go mają? – Jenkinson podrapał się po brodzie w zamyśleniu. – Nie ma dowodów szerszego zainteresowania tym tematem? Żadnych tekstów źródłowych? Podobnych publikacji? Żadnych śladów wcześniejszych badań w tej dziedzinie?

– Nic z tych rzeczy. Tylko ta jedna księga. Leżała na biurku w gabinetach obu starszyców.

Oczy Jenkinsona zaświeciły się. Wyraźnie mu się to spodobało.

– Jest coś takiego jak szyfr książkowy. – Wyciągnął z kieszeni marynarki starą kopertę i zaczął coś na niej skrobać. – Jego urok to czysta prostota. No i to, że jest zupełnie nie do złamania. Chyba że wie się, do której książki się odnosi, rzecz jasna. Zapisał na oko przypadkowy ciąg liczb: 1.16.47/5.12.53/9.6.16/21.4.76/3.12.9/17.2.31.

– A teraz proszę sobie wyobrazić, że pan i jeszcze jedna osoba macie to samo wydanie tej samej książki. On, albo ona, przesyła panu te numery. Zaczynając od pierwszego ciągu, 1.16.47, szuka pan pierwszego rozdziału, szesnastej strony, czterdziestej siódmej linijki. Zaczyna się od „I”. Dalej – piąty rozdział, dwunasta strona, pięćdziesiąta trzecia linijka, zaczyna się od „D”. Dziewiąty rozdział, szósta strona, szesnasta linijka, znowu zaczyna się od „I”. Dwudziesty pierwszy rozdział, czwarta strona, siedemdziesiąta szósta linijka, „O”. Trzeci rozdział, dwunasta strona, dziewiąta linijka, „T”. Siedemnasty rozdział, druga strona, trzydziesta pierwsza linijka, „A”. Jak pan ułoży to razem, to co panu wyjdzie?

– I-D-I-O-T-A. Idiota – przeliterował Jaeger.

Jenkinson uśmiechnął się.

– Sam pan to powiedział.

Jaeger musiał się roześmiać.

– Bardzo zabawne. Właśnie stracił pan zaproszenie do Amazonii.

Jenkinson zachichotał niemal bezgłośnie, jego ramiona zakołysały się w przód i w tył.

– Przepraszam. Po prostu to pierwsze słowo, które przyszło mi do głowy.

– Niech pan uważa. Kopie pan sobie coraz głębszy grób. – Jaeger zawiesił na chwilę głos. – Ale załóżmy, że księga jest napisana tajemniczym pismem w nieznanym języku. Jak to wtedy działa? Chyba nie da się wówczas użyć szyfru?

– Da się, jeśli ma się odpowiednie tłumaczenie. Bez niego otrzyma się sześcioliterowe słowo, które jest nie do rozszyfrowania, zupełny bezsens. Ale jeśli ma się tłumaczenie, to po prostu pojawia się dodatkowa warstwa szyfru i tyle. Żeby odkodować wiadomość, obie osoby muszą mieć książki pod ręką, rzecz jasna. Ale to naprawdę genialne rozwiązanie.

– Czy taki kod można złamać?

Jenkinson pokręcił głową.

– To bardzo trudne, prawie niemożliwe. I w tym jego urok. Trzeba wiedzieć, do której książki tych dwóch użytkowników się odwołuje, a w tym przypadku mieć jeszcze dostęp do tłumaczenia. Dzięki temu to szyfr niemal nie do złamania, chyba że się porwie tych dwóch starsuszków i wydusi to z nich biciem i torturami.

Jaeger spojrzał z zaciekawieniem na archiwistę.

– Brzydkie ma pan myśli, panie Jenkinson. Ale dziękuję za uwagi. Proszę dalej szukać jakiegokolwiek śladu naszego tajemniczego lotu. – Zapisał e-mail i numer telefonu na górze koperty Jenkinsona. – Będę czekał na jakieś wieści.

– Oczywiście. – Jenkinson uśmiechnął się. – Miło widzieć, że ktoś w końcu naprawdę się tym interesuje.

– Lustro weneckie – wyjaśnił Carson. – Używamy go do oceny, które postacie najbardziej spodobają się widzowi. A przynajmniej tak głosi durna teoria.

Stali z Jaegerem w zaciemnionym pokoju, przed czymś, co wyglądało jak długa szklana ściana. Po jej drugiej stronie znajdowała się grupa osób korzystających z zimnego bufetu, najwyraźniej nieświadomych tego, że są obserwowani. Carson zupełnie zmienił ton. Swobodnie wrócił do stylu kumpelskiej pogaduchy między żołnierzami, a raczej swojego o niej wyobrażenia.

– Nie uwierzyłbyś, ile szajsu musiałem przełknąć, żeby ich skompletować – podjął. – Telewizyjni chcieli dziwaków, strojnisiów i ślicznotki. „Przyciągaczy spojrzeń”, jak oni to nazywają. Ja chciałem twardych byłych żołnierzy, którzy mieliby przynajmniej szansę przeżyć. Ta grupka tutaj – wskazał kciukiem na szybę – to pieprzony efekt tej selekcji.

Jaeger skinął na tace kanapek, które członkowie wyprawy pałaszowali w najlepsze.

– A czemu nie dostali tego obrzydliwego...

– Sushi? To przywilej kierownictwa – przerwał mu Carson, rozeźlony. – My dostajemy nieprzyzwoicie drogie, w dodatku niestrawne żarcie. To co, przedstawię ci zespół, a potem proponuję, żebyś poszedł i zaprezentował się w kilku miłych słowach.

Wskazał palcem na postać za szybą.

– Ten duży. Joe James. Nowozelandczyk. Był w tamtejszym SAS. Po drodze stracił o jednego kumpla za dużo. Boryka się z zespołem stresu pourazowego, stąd długie, tłuste włosy i broda jak u Osamy bin Laden. Wygląda jak gość z gangu motocyklowego skrzyżowany z bezdomnym menelem, co, oczywiście, bardzo podoba się telewizyjnym. Ale nie daj się zwieść pozorom – wciąż jest twardym i pomysłowym żołnierzem, tak przynajmniej słyszałem.

Dwa, umięśniony czarny koleś. Lewis Alonzo. Był w amerykańskich Navy SEAL. Ostatnio pracuje jako ochroniarz, ale tęskni za adrenaliną na polu bitwy. Dlatego zgłosił się na naszą imprezkę. Najsolidniejszy gość pod słońcem. Cokolwiek się stanie, nie strać go w Amazonii. Jak ten Jankes powiedział wyraźnie, wykładają najwięcej kasy. Potrzebują w ekipie Amerykanów – najlepiej takich, którzy odstawią jakieś mistrzowskie popisy – żeby przypodobać się tamtejszej widowni.

Trzy, francuski nadawca Canal Plus wybulił sporą sumkę, i stąd mamy tę elegancką francuską ptaszynę. Sylvie Clermont. Służyła w niefortunny nazwanej CRAP<sup>15</sup> – Commandos de Recherche et d'Action en Profondeur. Takie siły niezbyt specjalne. Podczas testów na szkockich wzgórzach cały czas nosiła ciuchy od Diora. I cholernie dobrze w nich wyglądała. Pewnie nie myje się za często – jak te francuskie babeczki mają w zwyczaju – ale chyba by mi to nie przeszkadzało... – Carson zaśmiał się z własnego żartu. Zerknął na Jaegera, jakby spodziewał się, że też go to rozweseli – nie dostał w zamian nawet cienia uśmiechu. Wzruszył ramionami, niezrażony – skóra twarda jak u nosorożca – i ciągnął dalej:

– Cztery, Azjata. Hiro Kamishi, wybrany przez japońskiego nadawcę NHK. Hiro z imienia, heros z natury. Były kapitan w Tokusha Sakusen Gun, japońskich siłach specjalnych. Uważa się za współczesnego samuraja, wojownika wyższej drogi. Zajmuje się też historią wojskowości, prawdopodobnie z powodu japońskiego poczucia winy za drugą wojnę światową. Osobiście nie wiem, czemu ktoś miałby czuć się winny. My wygramyśmy. Oni przegrali. Kropka. – Carson znowu zaśmiał się z własnego żartu, nie szukając już aprobaty Jaegera. Sygnał był jasny: to ja tu rządę, do cholery, i będę mówił, co mi się podoba, a wy i tak nic na to nie poradzicie.

– Pięć i sześć, dwóch długowłosych koleś, którzy dopiero co zaczęli się golić, Mike Dale i Stefan Kral. Australijczyk i Słowak. To ekipa filmowa Wild Dog Media, więc nimi nie musisz się za bardzo przejmować. Pracowali już w różnych dziwnych miejscach, na obszarach konfliktów zbrojnych, i powinni umieć sami o siebie zadbać. Plus jest taki, że będą trzymać kamery i nie powinni wchodzić ci w drogę. Minus – jesteś prawie tak stary, że mógłbyś być ich ojcem. – Carson ryknął śmiechem. Ten żart widocznie najbardziej mu się spodobał.

– Siedem. Peter Krakow. Niemiec o polskich korzeniach. Szanowny kandydat ZDF, niemieckiego nadawcy. Krakow był w GSG9. Trzeba coś jeszcze dodawać? To Szkop. Ma charakter stonogi i poczucie humoru glisty. Typ ponurego, klasycznego Szwaba. Jeśli ten samolot jest niemiecki, możesz być pewien, że Krakow ci o tym przypomni.

Osiem, gorąca Latynoska. Leticia Santos, wepchnięta nam przez ekologów. Brazylijska *chica* pracuje teraz dla FUNAI, rządowej agencji do spraw Indian amazońskich. Wcześniej była w B-SOB, siłach specjalnych twojego kumpla, pułkownika Evandro. Teraz ma nową misję: zamiast tulić drzewa, tuli Indian. W zespole jest – można by rzec – człowiekiem pułkownika.

– I w końcu, numer dziewięć. Wystrzałowa blondyna, Irina Narov. Była oficer w rosyjskim Specnazie, przyjęła amerykańskie obywatelstwo i mieszka w Nowym Jorku. Narov jest zimna jak lód. Bardzo zdolna. Zdecydowanie miła dla oka. Aha, i nie rozstaje się z nożem. Nie znosi sprzeciwu. Oczywiście, telewizyjni ją uwielbiają. Uważają, że dzięki Narov słupki oglądalności sięgną stratosfery. – Carson odwrócił się do Jaegera.

– Z tobą mamy okrągłą dziesiątkę. I co sądzisz? Zespół marzeń, co nie?

Jaeger wzruszył ramionami.

– Domyślam się, że już za późno, żeby zmienić zdanie i się wycofać?

Carson uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Wierz mi, spodoba ci się. Jesteś idealnym człowiekiem do tego, by zrobić z nich zwartą ekipę.

Jaeger parsknął.

– Jeszcze jedno. Chciałbym mieć Raffa jako zastępcę. Zaufaną parę rąk, kogoś, kto pomoże mi zapanować nad tą zgrają psycholi.

Carson pokręcił głową.

– Nic z tego, obawiam się. Jako żołnierz byłby idealny. Ale nie jest za bardzo wygadany ani najładniejszy. Telewizyjni stanowczo obstają za tą ekipą. Co znaczy, że twoją prawą ręką... ręczynią... będzie urocza Irina Narov, honorowa Amerykanka.

– I to nie podlega dyskusji?

– Nie. Albo blond seksbomba, albo koniec zabawy.

Jaeger odwrócił się do lustra weneckiego, przez długą chwilę uważnie przyglądając się Irinie Narov. Miał dziwne wrażenie, że ona wie, że ją obserwuje – jakby czuła przez szybę jego pałace spojrzenie.

Świtało. Zbliżała się pora, żeby uruchomić silniki samolotu Lockheed Martin C-130J Super Hercules i wznieść się w niebo. Ekipa Jaegera była silna i zwarta, w pełnej gotowości bojowej. Przyjęci do składanych płóciennych siedzeń, podłączeni do pokładowego systemu tlenowego, nastawiali się psychicznie na to, co miało nadejść – skok w nieznanie.

Jaeger wygospodarował te kilka ostatnich chwil tylko dla siebie. Misja – czy raczej wyprawa życia – miała się zaraz rozpocząć. Czekali na start. Mieli zielone światło. Mogli ruszać. Bez opcji odwrotu. Pełne zaangażowanie. Ostatnie minuty, zanim w pełni pochłonie ich walka o przetrwanie.

Jaeger odszedł od samolotu, idąc po pasie startowym, szukając kilku sekund prywatności – niewątpliwie ostatnich, jakie będzie miał w najbliższych dniach i tygodniach. Robił to, gdy służył w siłach specjalnych. I zrobił to teraz, zbierając siły, by poprowadzić wyprawę w głąb Amazonii.

Wylatywali z brazylijskiego lotniska Cachimbo, leżącego w sercu Serra do Cachimbo – Gór Dymiącej Fajki. Cachimbo znajdowało się w połowie drogi między Rio de Janeiro na wybrzeżu Atlantyku a wysuniętymi najdalej na zachód krańcami Amazonii – czyli planowanym celem wyprawy.

Łatwo można zapomnieć, jak ogromna jest Brazylia albo jak rozległa jest Nizina Amazonki. Jakieś dwa tysiące kilometrów na wschód od Cachimbo leżało Rio de Janeiro, i tyle samo na zachód dzieliło ich od tego tajemniczego samolotu ukrytego w najdalszych zakątkach lasu deszczowego. A niemal wszystko pomiędzy porastała gęsta dżungla.

Lotnisko Cachimbo, przeznaczone wyłącznie do działań wojskowych, było idealnym punktem startowym, z którego mogli wkroczyć do „zaginionego świata”. Na dodatek pułkownik Evandro, dowódca B-SOB, zarządził zakaz filmowania przed startem. Stwierdził, że – z racji misji specjalnych, jakie prowadził z Cachimbo – naruszałoby to bezpieczeństwo jego ludzi. A tak naprawdę zrobił to na prośbę Jaegera, bo ten miał już dość kamer włączających mu w oczy na każdym kroku.

Ekipa filmowa towarzyszyła uczestnikom wyprawy od prawie dwóch tygodni, uwieczniając każdą chwilę i rozpaczliwie próbując uchwycić choćby najmniejszy dramat. Jaeger zupełnie nie przywykł do ciągłego śledzenia jego codziennego życia. Co gorsza, musiał się liczyć z Iriną Narov – rzekomą zastępczynią i, jego zdaniem, główną podejrzaną o zabójstwo Andy’ego Smitha. Podczas gdy reszta ekipy zdawała się cieszyć z obecności Jaegera, Narov niezbyt starała się ukryć swoją wrogość. Wydawało się, że rosyjska blond seksbomba od początku była do niego źle nastawiona, a jej irytujący sposób bycia zaczynał mu działać na nerwy. Jakby spodziewała się, że to ona będzie dowodzić po tym, jak Andy Smith przestał się liczyć; jakby pokrzyżowano jej plany.

Jaeger nadal czuł ból w palcach u rąk i stóp, złamanych dzięki uprzejmości personelu więzienia Playa Negra. Były mocno owinięte bandażami, więc sądził, że jest w wystarczająco dobrym



stanie, żeby poradzić sobie ze wszystkim, co go czekało – o ile uda mu się uniknąć noża białego w plecy przez Narov, gdy tylko na moment odwróci głowę. Nie bardzo rozumiał jej wrogość, ale uznał, że w tropikalnej dżungli wszystkie karty zostaną odkryte.

Był jeszcze jeden element, który nie umknął jego uwadze. Od samego początku coś iskrzyło między Leticią Santos, uczestniczką z Brazylii, a Iriną Narov. Jaeger pomyślał, że to klasyczny przypadek dwóch pięknych kobiet i ich aż nazbyt przewidywalnej wzajemnej niechęci. Mimo to miał nieodparte wrażenie, że choć były zazdrosne jedna o drugą, z jakiegoś powodu to on był przyczyną tych animozji i konfliktu. Odsunął od siebie tę myśl. W nocy przeszedł deszcz, a teraz poczuł specyficzny zapach świeżej, chłodnej ulewy tropikalnej padającej na gorącą, spieczoną ziemię. Nie dało się go z niczym pomylić. Przypomniał mu się jego pierwszy raz w „drzewach”, jak w SAS nazywano dżunglę.

Szkolenie w dżungli było zasadniczą częścią selekcji do SAS – wymagającą próbą, którą każdy żołnierz musiał przejść, zanim trafił do jednostki. Już pierwszego dnia Jaeger zauważył u siebie naturalne zamięłowanie do życia w tym środowisku. Uznał, że to gęste poszycie i deszcz to coś dla niego – przypominały mu chwile z dzieciństwa, gdy bawił się z ojcem. Próbując przetrwać nieskończenie długie dni w błocie i niskiej, klaustrofobicznej dżungli, człowiek był zmuszony do improwizacji, a Jaeger lubił improwizować – preferował błyskawiczne decyzje i nieoczekiwane pomysły.

Zamknął oczy i głęboko odetchnął; płuca wypełniło mu wilgotne, ziemiste powietrze. Wybrał tę chwilę, by wsłuchać się w swój głos wewnętrzny, w szósty zmysł żołnierza. Zawsze go słuchał, od czasów dzieciństwa, gdy wspinał się na wzgórza w okolicy rodzinnego domu w Wiltshire, albo podczas weekendów, gdy obozował w lesie, wykorzystując spryt i to, co oferowała mu przyroda.

Pod okiem ojca nauczył się łapać pstrągi gołymi rękami – poruszać palcami w delikatnie falującej wodzie, przesuwając je powoli po zimnych, łuskowatych bokach ryby, zmuszać ją do uległości „łaskotaniem”, a potem błyskawicznie wyszarpnąć na brzeg. Nauczył się zastawiać sidła na króliki, i stawiać wodoszczelną „baszę”<sup>16)</sup> – osłonę – z tego, co można znaleźć w przeciętnym lesie na Wyspach Brytyjskich.

---

16) Basha (z jęz. malajskiego) to slangowe określenie osłony z brezentu w brytyjskim wojsku

W tamtych czasach głos wewnętrzny okazał się ważny, bo przypominał mu o porządku dzikiej natury. A gdy w późniejszych latach stał się elitarnym żołnierzem, ten sam instynkt dodawał mu odwagi. W czasie testu, gdy starał się o stopień oficerski SAS, naraził się na kpiny, gdy wybrał inny plan niż pozostali kandydaci – ale wewnętrzny głos odzywał się wtedy głośno i Ja-

eger mu zaufał. Okazało się, że miał rację – był jednym z ledwie dwóch żołnierzy, którzy przeszli selekcję w czasie tej okrutnej zimy.

Ten głos zawsze pomagał mu się skupić. A przynajmniej tak się działo aż do teraz.

Z jakiegoś dziwnego powodu to przedsięwzięcie przerażało Jaegera, choć nie miał ku temu żadnego powodu. Nie ruszali przecież z misją głęboko za linie wroga, przeważającego nad nimi liczebnie i zbrojnie. Coś jednak nie dawało mu spokoju, ale nie bardzo wiedział co. Najprawdopodobniej śmierć Andy'ego Smitha i wszystko, co zdarzyło się później.

Zanim Jaeger wyleciał z Wielkiej Brytanii, wziął udział w pogrzebie Smithy'ego, ale kiedy stał obok Dulce i dzieci, żegnając zmarłego, wciąż coś mu nie grało. Po zakończeniu uroczystości wypił z Raffem piwo na stypie i to wtedy wielki Maorys podzielił się z nim pewnym kluczowym szczegółem dotyczącym śmierci Andy'ego.

Nie było śladu włamania do jego pokoju hotelowego. Według policji wyszedł stamtąd o własnych siłach, zamroczony alkoholem wdrapał się na wzgórze i zabił się, skacząc. Jeśli to jednak nie było samobójstwo, to Andy wyraźnie nie próbował powstrzymać zabójców przed wtargnięciem do pokoju. Co wskazywało na to, że ich znał. Że ich znał i im ufał.

Zatrzymali się w stronnym Loch Iver Hotel, w samym środku burzowego stycznia. Nie było tam innych gości poza uczestnikami wyprawy – a to z kolei oznaczało, że zabójca musiał znajdować się wśród ekipy Jaegera. Krótko mówiąc, on albo ona najprawdopodobniej należeli do zespołu.

Jaeger miał już swoje podejrzenia. Nie zdradzał się jednak z nimi, głównie dlatego, że nie chciał uprzedzać nikogo, że ma go na oku. Poza Iriną Narov, nie polubił pyskatego i zbyt pewnego siebie Mike'a Dale'a, ani Stefana Krala – obu gości z ekipy filmowej – choć to, że mieliby stać za zabójstwem Smithy'ego, nie miało najmniejszego sensu.

Przez wrodzoną nieufność do wszystkiego, co związane z mediami, Jaeger uważał, że Dale i Kral są mocni jedynie w gębie. Oni zaś, ilekroć podtykali mu kamerę pod nos, wyraźnie widzieli po drugiej stronie twarz osoby drażliwej i niechętniej do współpracy. Andy Smith z pewnością okazałby się lepszym materiałem, bardziej swobodnym i elastycznym, więc byli to ostatni ludzie, którzy chcieliby się go pozbyć.

Jak by na to nie patrzeć, Jaeger nadal był przekonany, że rozwiązanie zagadki, w jaki sposób i dlaczego jego przyjaciel został zamordowany – a nabrał co do tego już pewności – leżało gdzieś głęboko w dżungli, do której zdążali. Chciał już wyruszyć. Najwyższa pora, żeby rozpocząć wyprawę i wyjaśnić to raz na zawsze.

Jaeger nie miał w zwyczaju robić czegokolwiek na pół gwizdka. Kiedy zgodził się poprowadzić ekspedycję, poświęcił się temu bez reszty. Musiał dokończyć dzieło Smithy'ego i zabrał się do tego z werwą. Gorączkowe przygotowania pochłaniały każdą chwilę, dniem i nocą, zostawiając bardzo niewiele czasu na cokolwiek innego.

Przed wyjazdem zdążył jedynie zadzwonić do rodziców. Kilka lat wcześniej przeprowadzili się na Bermudy – wyspy wiecznego słońca, sporadycznych huraganów i nieopodatkowanych uciech życia. W pospiesznej rozmowie przekazał im wszystko w największym skrócie: że wrócił

z Bioko; że nie ma żadnych wieści o Ruth i Luke'u; że wyjeżdża na wyprawę z Enduro Adventures; i że chciałby ich odwiedzić, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o życiu dziadka Teda i o tym, jak zginął. Obiecał rodzicom, że niedługo się z nimi zobaczy, a potem się rozłączył. Przemilczał swoje podejrzenia co do śmierci dziadka. Czuł, że nie wypada wspominać o tym przez telefon. Taką rozmowę należało odbyć w cztery oczy. Poleci na Bermudy, jak tylko skończy sprawy w Amazonii.

Jaeger i jego ludzie byli w Brazylii już od tygodnia, goszczeni przez pułkownika Evandro i jego oddziały B-SOB. Przez ten czas brazylijskie ciepło – tak charakteru, jak i klimatu – uspokoiło najgorsze z jego obaw. Przyczajone złe przeczucie, które ogarnęło go w Wielkiej Brytanii, stopniowo uleciało. Dopiero teraz – kiedy gotowali się do zagłębienia w Amazonię – obawy te zaczęły zakradać się z powrotem do jego myśli.

Lotnisko polowe w Cachimbo leżało w zalesionej dolinie, wśród gąszczy zieleni wspinającej się po zboczach. Nad postrzępionym horyzontem dżungli pojawiły się pierwsze promyki światła, jak lasery rozpraszając smugi mgły, które przyłgnęły do wierzchołków drzew. Ostre tropikalne słońce miało wkrótce rozgrzać chłodny poranek.

W wojsku mawiało się, że dżungla wywołuje u ludzi dwie możliwe reakcje: miłość albo nienawiść od pierwszego wejrzenia. Ci drudzy uważali ją za ciemną, obcą i złowrogą. Klaustrofobiczną, pełną niebezpieczeństw. Jednak Jaeger zawsze był przeciwnego zdania. Ciągnęło go nieodparcie do tej dzikiej, ekspansywnej, żywiołowej feerii życia – do budzącego zarazem strach i podziw lasu tropikalnego, ekscytowała myśl o dzicyz pozabawionej wszelkich oznak cywilizacji. A tak naprawdę dżungla była neutralna. Ani z natury wroga, ani przyjazna ludziom. Jeśli człowiek poznał jej zasady, dostroił się do jej brzmienia, mogła okazać się prawdziwym przyjacielem i bezpiecznym schronieniem.

W dodatku nieskażona, prosta i nieprzystępna dzikość Cordillera de los Dios – Gór Bogów – nie dała się porównać z niczym innym na świecie. Nie można też było zapomnieć, rzecz jasna, o tajemniczym samolocie, ukrytym daleko, daleko w sercu gór.

Nad jego głową coś, co wyglądało jak harpia wielka<sup>17)</sup>, wydało pojedynczy, wysoki pisk. Odpowiedział mu podobny głos ze szczytu jednego z najwyższych leśnych olbrzymów. Masywne tropikalne drzewo wznosiło się na jakieś czterdzieści pięć metrów ponad zacięzione zakamarki poszycia. Jego rozłożysta korona przebijała się przez okap lasu, wyciągając się wysoko w walce o słońce. Stało tam, skąpane w pierwszych promieniach świtu. Władca wszystkiego w zasięgu wzroku. Najwyższe gałęzie stanowiły idealny punkt obserwacyjny, z którego drapieżny ptak mógł wypatrywać zwierzyny. Jaeger przyjrzał się rozłożystej koronie przyprószonej delikatnie różowym rumieńcem kwiatów. Tylko to drzewo było w pełnym rozkwicie. Przyciągało oczy – plama opalizującego koloru otoczona ze wszystkich stron morzem zieleni. Dostrzegł gniazdo. Harpie miały potomstwo – głodne pisklęta do wykarmienia

---

17) Harpia wielka – potężny ptak drapieżny, zamieszkujący lasy Ameryki Południowej i Środkowej, należy do rodziny jastrzębiowatych

Jaeger przez chwilę wyobrażał sobie, że jest ptakiem i szybuje nad dżunglą na skrzydłach szerokich na jakieś dwa metry. Widział siebie, jak nurkuje nad tą odludną i daleką dziczą, gdzie leżał ukryty tajemniczy wrak. Mając jastrzębi wzrok, z wysokości kilkuset metrów mógłby zobaczyć mysz przemykającą przez poszycie. Wypatrzenie miejsca rozbicia się samolotu – nagich, kościstych gałęzi pozabawionych życia i ogołoconych z roślinności – byłoby banalnie proste.

W wyobraźni przelatował nad obszarem, który wyglądał tak nienaturalnie. Nieruchomo, martwo. Nawet upiornie. Co spowodowało, że las obumarł? Jakie tajemnice – *jakie zagrożenia* – skrywał ten samolot?

Przyglądając się jastrzębiom, Jaeger przypomniał sobie o ich kuzynach – orłach. I o Reichsader. W gorączkowym zamieszaniu ostatnich dni miał niewiele czasu na rozmyślanie o tym okrutnym, złowieszczym znaku. Dziwne, że taki wspaniały ptak mógł symbolizować zarówno zło, jak też dziką swobodę i piękno.

Sun Zi, starożytny chiński mistrz sztuki wojennej, mawiał: „Poznaj swego wroga”. W wojsku Jaeger uczynił z tych słów swoją dewizę.

Przywykł do mierzenia się z przeciwnikiem, którego znał i rozumiał. Którego zamiary i działania długo analizował, korzystając z obrazów satelitarnych, zdjęć z obserwacji i informacji pozyskanych od czołowych agencji wywiadowczych świata. Przechwytywał wiadomości, posiłkował się rozpoznaniem na miejscu – szpiegiem albo informatorem w obozie wroga.

Przed każdą misją upewniał się, że zna swojego przeciwnika na wylot, by tym łatwiej go pokonać. Jednak teraz mieli się zmierzyć z całym mnóstwem potencjalnych zagrożeń, ale nie znali ani nie rozumieli żadnego. Kimkolwiek mógł być wróg, pozostawał bezimienny. Nieznajomy.

Bez wątplenia właśnie to przerażało Jaegera – że pakowali się w sam środek niewiadomego niebezpieczeństwa niemożliwego do rozpoznania.

Ale teraz przynajmniej ułożył to sobie w głowie. *Teraz przynajmniej wiedział, na co się decyduje.*

Ta świadomość częściowo go uspokoiła. Odwrócił się w stronę samolotu. Usłyszał wysoki gwizd – silniki rozruchowe odpaliły pierwszą z olbrzymich turbin. Masywne śmigła z zakrzywionymi łopatom zaczęły obracać się powoli, ciężko, jakby zatopione w gęstej melasie.

Po wyjeźdźzonej dróżce biegnącej przy pasie startowym pędził land rover. Jaeger podejrzewał, że chcieli go zawieźć z powrotem do samolotu. Auto zatrzymało się i wyskoczył z niego pułkownik Evandro.

Dowódca B-SOB, mierzący prawie metr dziewięćdziesiąt, ciemnooki, gibki i atletyczny, choć miał już swoje lata, to nie stracił nic z charakterystycznej prezencji, którą mógł się poszczycić w czasach, gdy Jaeger służył z nim po raz pierwszy. Brazylijczyk zdecydował się przejść osobiście przez piekło selekcji do SAS, by później tworzyć swoją jednostkę na podobieństwo brytyjskiego pierwowzoru – Jaeger bardzo go za to podziwiał.

– Czas zasiąść w ładowni – oznajmił Evandro. – Twoja ekipa kończy przygotowania do lotu.

Jaeger skinął głową.

– Jesteś pewien, że nie zabierzesz się z nami?

Pułkownik się uśmiechnął.

– Szczerze? Marzę o tym. Nie nadaję się do papierkowej roboty. Ale niestety, ze stopniem i dowodzeniem wiąże się cały ten absurd.

– No to chyba będę się zbierał.

Evandro wyciągnął dłoń.

– Powodzenia, przyjacielu.

– Myślisz, że nam się przyda?

Pułkownik przez dłuższą chwilę spoglądał na Jaegera.

– To Amazonia. Oczekuj nieoczekiwanego.

– Oczekuj nieoczekiwanego – powtórzył Jaeger. Mądre słowa.

Wsiedli do land rovera i popędzili wzdłuż pasa w stronę Herculesa.

Jaeger zatrzymał się przy kokpicie. Z okna, wysoko nad nim, wychyliła się głowa.

– Nad strefą zrzutu utrzymuje się dobra pogoda – zawołał pilot. – Start za piętnaście. Pasuje?

Jaeger potaknął.

– Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać. Nie znoszę czekania.

Zalęgę stanowili sami Amerykanie, a po ich opanowaniu i sposobie bycia Jaeger wnosił, że kiedyś służyli w wojsku. Carson wycarterował Herculesa C-130 od jakiejś prywatnej firmy transportowej, a Jaeger dostał zapewnienie, że ci goście są najlepsi w swoim fachu. Miał więc całkowitą pewność, że dostarczą ich dokładnie w to miejsce na niebie, z którego on i jego ekipa musieli zeskokczyć.

– Chcesz puścić jakąś konkretną nutę? – zapytał pilot. – Na godzinę P?

Jaeger uśmiechnął się. „Godzina P” oznaczała czas zrzutu, chwilę, gdy wyskoczą z rampy na ogonie samolotu w świszczącą pustkę. Była to stara tradycja jednostek spadochronowych, puszczenie muzyki podczas przygotowań do zrzutu. Melodia podnosiła poziom adrenaliny i przyspieszała puls, kiedy czekało się na swobodne spadanie, które miało przenieść skoczków w środek działań wojennych – albo, jak w tym przypadku, do tajemniczego „zaginionego świata”.

– Coś z klasyki – zaproponował Jaeger. – Może Wagner? Co masz w systemie?

Muzyka, którą Jaeger wybierał na skok, zawsze była tego typu. Niemodna, przynajmniej według jego kolegów, ale dawne brzmienia pomagały mu w koncentracji. A na tej wyprawie trochę koncentracji przyda się na bank. Będzie skałał pierwszy, żeby poprowadzić tych, którzy ruszą za nim. I nie będzie skałał sam.

Irina Narov późno dołączyła do zespołu – zbyt późno, by przejść niezbędny kurs doszkalający z HAHO pod okiem Andy’ego Smitha. HAHO to akronim od „high altitude high opening”, czyli otwarcie spadochronu na znacznej wysokości, rodzaj zrzutu, który pozwala szybować z prądem powietrza przez wiele kilometrów w kierunku celu. Członkowie misji tak właśnie mieli dostać się w wybrany obszar dżungli. Jaeger będzie musiał wykonać skok w tandemie, rzucając się w pustkę z wysokości dziesięciu tysięcy metrów razem z Iriną Narov przypiętą do jego tułowia. Czuł, że jak nigdy potrzebuje trochę uspokajającej muzyki.

– Mam „Highway to Hell” AC/DC – stwierdził pilot. – „Stairway to Heaven” Led Zepelin. ZZ Top i Motörhead. Trochę Eminema, 50 Centa i Fatboya. Sam sobie wybierz, kolego.

Jaeger sięgnął do kieszeni, wyjął płytę CD i podrzucił ją w górę.

– Spróbuj tego. Czwarty utwór.

Pilot spojrział na listę.

– „Cwał Walkirii”. – Parsknął. – Na pewno nie chcesz „Highway to Hell”? – Zaczął śpiewać, wybierając rytm o pozycie samolotu w takt piosenki AC/DC.

Jaeger uśmiechnął się.

– Zostawmy to na powrót, co?

Pilot przewrócił oczami.

– Wy Angole, powinniście się wyluzować. Jeszcze wam pokażemy, co to znaczy dobra zabawa!

Jaeger czuł, że „Cwał Walkirii” – motyw przewodni z kultowego filmu Coppoli, „Czas apokalipsy”<sup>18)</sup> – będzie wyjątkowo dobrze pasować do tej misji. Twór sytuował się też pomiędzy jego gustem muzycznym a preferencjami pilota, a Jaeger zawsze twierdził, że należy dbać o zadowolenie załogi.

---

18) Pierwotnie początkowy fragment III aktu dramatu muzycznego „Walkiria”, dzieła Ryszarda Wagnera, drugiej części tetralogii „Pierścień Nibelunga”

A pilot i załoga stali przed trudnym zadaniem – mieli zrzucić dziesięć osób w konkretnym punkcie, z którego skoczkowie musieli dotrzeć do celu – małego skrawka otwartej przestrzeni, jakieś dziesięć kilometrów niżej. W tej chwili życie Jaegera i jego ekipy spoczywało w rękach pilota.

Jaeger przeszedł na tył samolotu i wdrapał się na pokład. Pozwolił oczom powędrować po ciemnym wnętrzu ładowni. Gdzieś tam rozjaśniała ją upiorna czerwona poświata przygaszonych świateł. Naliczył dziewięciu skoczków, dziesięciu razem z nim. W odróżnieniu od tego, do czego przywykł w wojsku, żadnego z nich nie znał zbyt dobrze. Mieli ledwie kilka dni na przygotowania, nic więcej.

Jego ekipa siedziała w pełnym rynsztunku. Każdy miał na sobie gruby i ciężki kombinezon ochronny z Gore-Texu zaprojektowany specjalnie do skoków HAHO. Przymus noszenia takich strojów był uciążliwy, bo gdy tylko wylądują w dusznej dżungli, ugotują się z gorąca. Jednak bez odpowiedniej ochrony zamrzliby na śmierć podczas długiego szybowania przez rzadkie i mroźne powietrze.

Na wysokości skoku, takiej samej, na której latają samoloty linii lotniczych, czyli na ponad dziewięć tysięcy metrów – znajdują się o jakieś trzysta metrów wyżej niż szczyt Everestu, w lodowatej „strefie śmierci”. Temperatura minus pięćdziesiąt stopni Celsjusza i koszarne wiatry. Bez specjalistycznych kombinezonów ochronnych, masek, rękawic i kasków zamrzliby w mgnieniu oka, a będą lecieli na spadochronach o wiele dłużej.

Nie mogli skoczyć z niższego pułapu z tego prostego powodu, że skomplikowany tor szybowania, który miał ich doprowadzić dokładnie do strefy zrzutu, wymagał dryfowania na otwartych spadochronach przez czterdzieści kilka kilometrów – taką odległość dało się pokonać jedynie pod warunkiem zrzutu z ponad dziewięć tysięcy metrów. Skok HAHO miał jeszcze tę dodatkową zaletę, że maksymalizował dramaturgię – na czym zależało producentom telewizyjnym.



Na środku ładowni Herculesa leżały dwa olbrzymie pojemniki w kształcie rolek papieru toaletowego. Tuby spadochronowe były tak ciężkie, że przymocowano je do pary szyn biegnących przez całą długość podłogi. Dwaj najbardziej doświadczeni skoczkowie w ekipie – Hiro Kamishi i Peter Krakow – przypną się do nich tuż przed skokiem, a potem opuszczą na spadochronie do strefy lądowania. Zapakowano w nie nadmuchiwane canoe i dodatkowe wyposażenie – rzeczy zbyt duże i ciężkie, by nieść je w plecakach. Kamishi i Krakow „pojadą na tubie”, jak to nazywano. Będzie to dla nich olbrzymi wysiłek, ale Jaeger miał cichą nadzieję, że sobie poradzą.

Jego zadanie było jeszcze trudniejsze. Tłumaczył sobie jednak, że skakał już w tandemie dziesiątki razy, więc nie powinien stresować się sprowadzeniem Iriny Narov na dół w jednym kawalku.

Zajął pozycję twarzą do ekipy, która ulokowała się na siedzeniach wzdłuż jednej ze ścian samolotu. Naprzeciwko nich siedzieli wyrzucający, których zadanie polegało na tym, by bezpiecznie wypuścić skoczków.

Ponieważ ekipa była międzynarodowa, a organizatorzy przedsięwzięcia rozrzucony w różnych punktach globu, należało działać według ujednoliconego czasu. Jaeger zamierzał właśnie zrobić to, co zrobiliby, gdyby była to operacja wojskowa. Podwinął lewy rękaw.

– Uwaga – oznajmił, podnosząc głos, by przekrzyczeć turbiny samolotu. – Potwierdzam czas Zulu.

Uczestnicy wyprawy zaczęli mocować się z ciężkimi kombinezonami, próbując odsłonić zegarki. Upewnienie się, że wszyscy prawidłowo zsynchronizowali czas, było absolutnie kluczowe dla późniejszych działań. Ich ekipa i sterowiec krążący w górze będą chwilami operowali w boliwijskiej strefie czasowej. Załoga C-130 wylatywała z Brazylii, która była o jedną godzinę przed Boliwią, podczas gdy londyńska siedziba producentów z Wild Dog Media wyprzedzała ich o kolejne dwie. To miałyby się z celem, gdyby Jaeger wezwał samolot, by ich ewakuował pod koniec misji, a ekipa albo załoga dotarła na miejsce o trzy godziny za wcześnie, ze względu na różnicę czasu. Czas Zulu, czyli uniwersalny czas koordynowany, był powszechnie przyjętym standardem globalnym, według którego działały wszystkie siły wojskowe – i wyprawa od tej pory też będzie go stosowała.

– Za trzydzieści sekund będzie piąta zero zero czasu Zulu – ogłosił Jaeger.

Dziewięć par oczu wpatrzyło się w sekundniki zegarków.

– Dwadzieścia pięć sekund – uprzedził Jaeger. Podniósł oczy na ekipę. – Wszystko gra?

Odpowiedziała mu seria potwierdzających gestów. Oczy płonęły im z ekscytacją za ciężkimi maskami tlenowymi. Wykonując skok HAHO, należało wdychać mieszaną tłoczonego powietrza, czysty tlen pompowany do płuc pod ciśnieniem. Trzeba zacząć robić to przed odlotem, by ograniczyć niebezpieczeństwo wystąpienia choroby wysokościowej, która szybko mogła człowieka obezwładnić lub zabić.

Maski uniemożliwiały rozmowę, ale mimo to Jaeger czuł się podniesiony na duchu. Jego ekipa wyglądała na więcej niż gotową, by stawić czoło Cordillera de los Dios.

– Piąta zero zero czasu Zulu za dziesięć sekund... – odliczał. – Siedem... cztery, trzy, dwa – teraz!

Na jego wezwanie jeden za drugim wszyscy skinęli głowami – zsynchronizowali czas.

Dobrej jakości zegarki były w zasadzie jedynym dodatkowym elementem stroju członków ekipy, ale nikt też nie nosił niczego szczególnie ekstrawaganckiego. Najważniejsza zasada: im mniej przycisków i gadżetów, tym lepiej. Zegarek z milionem funkcji to ostatnie, czego potrzeba w takiej misji. Duże gałki i pokrętła przeważnie albo się psuły, albo o coś zaczepiały. „Prosto-ta, głupcze” – tę radę z czasów selekcji do SAS Jaeger zdecydowanie wziął sobie do serca.

Sam nosił przeciętny, ciemnozielony zegarek armii brytyjskiej. Dzięki niskiej jaskrawości, nie „świecił” w ciemnościach, nie miał też żadnego odbłaskowego ani chromowanego metalu – niczego, co mogło błyszczeć w słońcu. Podczas służby w wojsku nosił ten zegarek także z innego powodu – bo upodabniał się w ten sposób do zwykłych żołnierzy.

Wszystko, co mogło człowieka wyróżniać, jako kogoś wyjątkowego, było szczególnie niebezpieczne, jeśli wpadłoby się w ręce wroga. Przed każdą misją Jaeger i jego podwładni robili tak zwaną „czystkę” – odpruwali wszystkie metki z odzieży i nie brali żadnych dokumentów identyfikacyjnych ani oznaczeń oddziału czy stopnia. Jak każdy żołnierz w jego jednostce, Jaeger został wyszkolony, aby wyglądać jak przeciętny człowiek.

Od tej reguły robił jednak – tak jak teraz – jeden wyjątek. Zawsze zabierał dwa zdjęcia, laminowane i ukryte w zelówce lewego buta. Na pierwszym był jego pies z dzieciństwa, suka rasy mountain collie, którą sprezentował mu dziadek, bezbłędnie wyszkolona, absolutnie wierna i nieodstępująca go na krok. Druga fotografia przedstawiała Ruth i Luke’a, a Jaeger wciąż nie chciał rozstawać się ze wspomnieniem o nich. Nie wolno było zabierać takich zdjęć na misję, ale niektóre rzeczy są ważniejsze od zasad.

Po zsynchronizowaniu zegarków Jaeger podszedł do swojego plecaka ze spadochronem. Wsunął się w uprząż, dociągnął taśmy, a potem zapiał ciężki, metalowy zamek na piersi. Na koniec docisnął taśmy okalające na udach. Miał teraz przytwierdzony do pleców odpowiednik wielkiego wora węgla, a był to dopiero początek.

Pierwsze, pionierskie skoki HAHO korzystały z systemu, w którym ciężki plecak skoczka przymocowywano do pleców razem ze spadochronem. Jednak przez to zdecydowana większość ciężaru układała się z tyłu skaczącego. Jeśli z jakiegoś powodu straciłby on przytomność w trakcie skoku, takie obciążenie odwracało go na wznak podczas swobodnego spadania. Otwarcie spadochronu następowało automatycznie na wyznaczonej wysokości, lecz jeśli skoczek zemdlął i spadał na plecach, spadochron otwierał się pod nim. Człowiek wpadał wtedy w czaszę, która owijała się wokół niego jak mokre pranie, ciągnąc go na ziemię niczym kamień.

Na szczęście Jaeger i jego ekipa korzystali z o wiele nowszego systemu – BT80 – w którym ciężki plecak wisiał w wytrzymałej płóciennnej torbie przymocowanej z przodu. Dzięki temu, w razie utraty przytomności, ciężar zmuszał skoczka do spadania brzuchem w dół, twarzą ku ziemi. Spadochron otwierał się automatycznie nad nim – co w krytycznych sytuacjach mogło okazać się zbawienne.

Wyrzucający zakrzętnęli się wokół Jaegera, dociągając taśmy i dokonując drobnych poprawek obciążenia, co było niezwykle ważne. Podczas skoku takiego jak ten szybowoło się na spadochronach nawet przez godzinę. Jeśli obciążenie było nierównomierne albo taśmy niedociągnięte, całość przesuwałaby się i kołysała, boleśnie ocierając ciało i zaburzając stabilność. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było wylądowanie w dżungli z obolałymi i pokaleczonymi ramionami czy pachwinami. W gorącym i wilgotnym klimacie rany by się jąrzyły. Każda taka kontuzja mogła oznaczać dla poszkodowanego koniec wyprawy.

Jaeger nałożył masywny kask spadochronowy. Wyrzucający przypięli mu do piersi osobisty zbiornik powietrza i podali maskę, połączoną z nim prążkowaną gumową rurką. Docisnął maskę do twarzy i gwałtownie wciągnął powietrze, by upewnić się, że jest szczelna. Na dziewięćciu tysiącach metrów raczej nie dało się oddychać normalnie. Gdyby system przestał działać choć na kilka sekund, oznaczałoby to niechybną śmierć.

Jaeger poczuł przyływ euforii, gdy odetchnął czystym tlenem. Naciągnął skórzane rękawice, a na nie drugą parę z Gore-Texu dla ochrony rąk przed przenikliwym chłodem, gdy będzie już szybował pod czaszą na znacznej wysokości.

Skoczy ze swoją bronią – samopowtarzalną strzelbą Benelli M4 ze składaną kolbą – przewieszoną przez lewe ramię, z lufą zwróconą w dół i przymocowaną do ciała. Zawsze istniało prawdopodobieństwo, że podczas skoku utraci się plecak, a wtedy bardzo ważne było, żeby nadal mieć broń pod ręką.

Wprawdzie tym razem Jaeger nie spodziewał się nieprzyjaciela na ziemi, ale musiał się liczyć z tym odizolowanym plemieniem Amahuaca. Ostatni raz zaznaczyli swoją obecność, zasypując zatrutymi strzałami grupę poszukiwaczy złota, która zapędziła się na ich ziemię. Górniccy uciekli w popłochu, ledwo uchodząc z życiem.

Jaeger właściwie nie winił Indian, że tak stanowczo bronią swojego terytorium. Jeśli wszystko, co przyniósł im świat zewnętrzny, to nielegalne wydobywanie złota, a zapewne także wycinka lasów, to całkowicie się z nimi solidaryzował – tego typu działania prowadziły do skażenia i zniszczenia ich domu w dżungli.

To jednak oznaczało również, że każdy obcy wchodzący bez zaproszenia na terytorium Indian – ekipy Jaegera nie wyłączając – na pewno będzie postrzegany jako wróg, zwłaszcza gdy spadnie z nieba w sam środek należących do plemienia obszarów. Prawdę mówiąc, Jaeger nie miał pojęcia, jakiego wroga mogą spotkać po wylądowaniu, o ile w ogóle jakiegoś, ale szkolenie nauczyło go, by zawsze być przygotowanym.

I dlatego jako broń wybrał strzelbę. Była idealna do walki na krótkim dystansie w dżungli. Strzelała szerokim stożkiem ołowianego śrutu, więc nie było konieczności, by widzieć i namierzać wroga w mroku i gęstwinie. Po prostu kierowało się lufę w mniej więcej właściwą stronę i puło do woli.

Tak naprawdę Jaeger miał wielką nadzieję, że jeśli natkną się na plemię Amahuaca, będzie to pokojowe spotkanie. W sumie nie miałby nic przeciwko temu, bo jeśli ktoś rozumiał tajemnice lasu deszczowego, to na pewno właśnie ci Indianie – ich gromadzona przez stulecia wiedza była kluczem do odkrycia pradawnych tajemnic dżungli.

Przypięty do nieporęcznego oporządzenia, powlókł się do swojego miejsca i usiadł. Znajdował się najbliżej rampy. Gotowy, by wyskoczyć jako pierwszy. Narov była następna w kolejce. Przypięty, obciążony i obciążony czuł się jak jakiś yeti. Było gorąco i ciasno, a on nie znoził czekać.

Rampa samolotu zamknęła się z piskiem. Ładownia stała się ciemnym tunelem, jak olbrzymia stalowa trumna.

Czekał ich czterogodzinny lot, więc jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, znajdą się nad strefą zrzutu około dziewiętej zero zero czasu Zulu. Wysypią się z samolotu, dziesięć postaci odzianych w zieloną odzież khaki, z twarzami wysmarowanymi ciemnym kremem maskującym, zawieszonych pod matowymi czarnymi spadochronami. Kiedy opadną na ziemię, nikt postronny ich nie dostrzeże, nikt ich nie usłyszy. Mogli zrobić z tego wielkie widowisko, świetne dla telewizji. Ale Jaeger po prostu wołał wejść do akcji niewidziany i niesłyszany.

Samolot szarpnął i zaczął kołować po spalonym słońcem pasie, w pewnym momencie lekko zwolnił, a potem turbiny zawyły, kiedy okręcał się wokół osi, ustawiając się w kierunku startu. Jaeger poczuł przypływ adrenaliny, gdy silniki zaryczały jeszcze głośniejsze, a pilot sprawdzał wszystko po raz ostatni przed zwolnieniem hamulców.

Powietrze w ładowni było gęste od oparów spalanej benzyny lotniczej, ale Jaeger czuł jedynie, jak uderza mu do głowy czysty tlen. W całym oporządzeniu HAHO – kombinezonie, rękawicach, uprzęży, ze zbiornikiem tlenowym i plecakiem ze spadochronem, kaskiem, maską, goglami – miał wrażenie, że jest skrępowany, wręcz uwięziony. Trudno było zachować pełną trzeźwość myślenia. Tlen na ogół wprowadzał człowieka w stan wzmożonej świadomości – podobny do euforii po alkoholu, ale bez obawy o późniejszego kaca.

Wycie turbin uległo zmianie, a C-130 ruszył ostro do przodu, potężnie przyspieszając. Kilka sekund później Jaeger poczuł, jak samolot odrywa się od ziemi i powoli wdrapuje w niebo. Sięgnął za siebie i podłączył się do interkomu, by słyszeć głos pilota. To zawsze go uspokajało, gdy szykował się do skoku.

– Prędkość lotu trzysta trzydzieści kilometrów na godzinę – usłyszał. – Wysokość czterysta sześćdziesiąt metrów. Prędkość wznoszenia...

W tej chwili jedynym, co mogło przeszkodzić im w dostaniu się na miejsce, była burza formująca się nad dżunglą. Na dziewięćciu tysiącach metrów warunki pozostawały w zasadzie przewidywalne – lodowate zimno, silny wiatr, ale stabilnie – niezależnie od pogody na niższych wysokościach. Gdyby jednak na ziemi rozszalała się tropikalna burza, lądowanie mogło

okazać się niemożliwe. Jeśli boczny wiatr będzie silniejszy niż trzydzieści kilometrów na godzinę, pojawi się problem z przyziemieniem. Spadochrony będą targane na boki, razem z ich ludzkim ładunkiem, co drastycznie zwiększy ryzyko skoku. W dodatku wybrany punkt lądowania ze wszystkich stron otaczały różne niebezpieczeństwa.

Dżunglę przecinała, meandrując, potężna rzeka – Rio de los Dios. Na jednym ze szczególnie zdradliwych odcinków osadziła długą, wąską mierzeję, na której nie rosła prawie żadna roślinność. Był to jeden z niewielu kawałków otwartej przestrzeni w bezkresnej dżungli, i dlatego właśnie jego wybrali. Nie mieli jednak zbyt dużego marginesu błędu.

Na jednym końcu mierzei brzeg rzeki graniczył ze strzelistą ścianą dżungli. Jeśli jacyś skoczki zostaną zdmuchnięci z kursu w tę stronę, rozbiją się o drzewa. Jeśli zaś wiatr znieśie ich w stronę przeciwną, ciała porwie Rio de los Dios, a ciężkie wyposażenie wciągnie je pod wodę.

– Wysokość tysiąc siedemdziesiąt metrów – oznajmił głos pilota. – Prędkość lotu czterysta sześćdziesiąt. Wznosimy się na wysokość przelotową.

– Widzisz ten prześwit w dżungli? – włączył się nawigator. – Lecimy wzdłuż tej rzeki prosto na zachód przez mniej więcej godzinę.

– Zrozumiałem – potwierdził pilot. – Cóż za piękny poranek.

Jaeger, przysłuchujący się rozmowie, poczuł, że treść żołądka podchodzi mu do gardła. Z zasady nie cierpiał na chorobę powietrzną, mdłości wywoływało uwięzienie w tym uwierającym, opinającym oporządzeniu.

Podczas szkolenia HAHO musiał przejść serię testów mających sprawdzić jego wytrzymałość na znaczną wysokość, niską zawartość tlenu i skrajną dezorientację. Umieszczono go w komorze kompresyjnej, w której warunki stopniowo zbliżały się do tych panujących na dziewięciu tysiącach metrów. Po każdym tysiącu metrów musiał zerwać maskę tlenową i podać swoje nazwisko, stopień i numer porządkowy, zanim mógł ją z powrotem naciągnąć. To nie sprawiło mu większych problemów.

Potem jednak wsadzono go do budzącej postrach wirówki. Było to coś w rodzaju olbrzymiej pralki. Kręcił się i kręcił, szybciej i szybciej, aż był bliski omdlenia. Zanim dochodziło do utraty świadomości, następował stan zwany „greyout” – wzrok blaknął, a wszystko wokół stawało się szare i zamglone. Kluczowe było uchwycenie momentu, gdy greyout miał nastąpić, by rozpoznać go podczas prawdziwego skoku i wyjść z rotacji. Wirówka była istnym horrorem, od którego zbierało się na wymioty.

Na pamiątkę dali Jaegerowi nagranie. Niezbyt piękny obrazek. Oczy wytrzeszczone jak u osy potraktowanej środkiem owadobójczym, twarz zapadnięta i koścista, policzki obwisłe i zassane, rysy zniekształcone.

Wirówka prawie pokonała Jaegera. Otwarte dzikie tereny go ekscytowały, ale nienawidził wpełzania do tego metalowego bębna – duszącej, stalowej maszyny-trumny. Była dla niego jak więzienie, jak własny grób. Jaeger nie cierpiał zamknięcia i nienaturalnych ograniczeń. Takich jak teraz, kiedy krępowano go całe to oporządzenie, a on sam czekał na skok.

Odchylił się i przytknął oczy, zmuszając się do zaśnięcia. Była to pierwsza zasada, którą poznał w siłach specjalnych: nigdy nie marnuj okazji, by coś zjeść i się przespać, bo nigdy nie wiesz, kiedy możesz mieć kolejną szansę.

Jakiś czas później poczuł, że ktoś go szarpie. To był jeden z wyrzucających. Przez chwilę myślał, że nadeszła już pora skoku, ale nikt się nie szykował.

Wyrzucający nachylił się i krzyknął mu do ucha:

– Pilot idzie tu na słowo.

Jaeger spojrział do przodu, widząc postać omijającą nawigatora usadowionego na rozkładanym siedzeniu z tyłu kabiny.

Musiał oddać stery drugiemu pilotowi, pomyślał. Kapitan podszedł i nachylił się, przekrzykując ryk silników.

– I jak sobie radzicie tu z tyłu?

– Spałem jak niemowlę. Zawsze przyjemnie jest latać z zawodowcami.

– Zawsze dobrze jest się trochę zdrzemnąć – zgodził się tamten. – No więc, mamy mały problem. Pomyślałem, że powinienem was ostrzec. Nie mam pojęcia, co to znaczy, ale... Krótko po wylocie odniosłem wrażenie, że ktoś nas śledzi. Nocny Łowca ma swoje nawyki, jeśli wiesz, o czym mówię.

Jaeger uniósł brwi.

– Byłeś w SOAR? W sto sześćdziesiątce?

– Ano – mruknął kapitan. – Dopóki nie zrobiłem się za stary i za sztywny na wojsko.

160<sup>th</sup> Special Operations Aviation Regiment, w skrócie SOAR – znany też jako Night Stalkers – Nocni Łowcy – był czołową amerykańską jednostką do tajnych operacji lotniczych. Jaeger nie raz i nie dwa wzywał ich bojowe helikoptery poszukiwawczo-ratunkowe, gdy wróg deptał mu po piętach daleko za linią frontu.

– Nie ma lepszej jednostki – powiedział pilotowi. – Szacunek dla was, chłopaki. Nieraz wyścignęliśmy nas z bagna.

Kapitan sięgnął do kieszeni, wyjął emblemat<sup>19)</sup> Nocnych Łowców i wsunął w rękę Jaegera.

---

19) Military coin lub challenge coin – nieformalna odznaka przynależności do jednostki wojskowej, stosowana przede wszystkim w armii amerykańskiej (w Polsce przyjął ten zwyczaj np. GROM), wręczana jako dowód braterstwa broni

Wojskowa moneta pod względem wielkości i kształtu przypominała czekoladowe pieniądze, które Jaeger wkładał kiedyś Luke'owi w skarpetę na Gwiazdkę. Boże Narodzenie było szczególnym czasem dla ich rodziny – aż do momentu tragedii. To wspomnienie na chwilę zakłuło go w piersi.

Emblemat SOAR był zimny, gruby i ciężki. Na jednej stronie widniał symbol jednostki, a po

drugiej jej motto: „Śmierć czeka w ciemnościach”. Wręczanie takich symbolicznych monet bratnim żołnierzom stanowiło tradycję w amerykańskim wojsku – zwyczaj ten, niestety, nie miał odpowiednika u Brytyjczyków. Jaeger czuł się zaszczycony i od razu sobie postanowił, że zachowa tę pamiątkę do końca wyprawy.

– No więc, zrobiłem skan trzysta sześćdziesiąt stopni – podjął pilot. – I faktycznie, jakiś mały samolot cywilny pojawił się na horyzoncie i leciał za nami. Im dłużej siedział w moim martwym polu, tym bardziej byłem pewien, że mamy ogon. Wciąż tam jest, dobre sześć kilometrów za nami, a lecimy już godzinę dwadzieścia.

– Ze wskazań radaru wygląda mi to na coś w rodzaju Learjeta 85 – ciągnął. – Mały, szybki, bardzo zwrotny prywatny odrzutowiec. Chcesz, żebym do nich przekręcił i zapytał, czemu, do cholery, wsadzają nam nos w tyłek?

Jaeger zastanowił się przez chwilę. Samolot zachowujący się w ten sposób prowadził zwykle misję obserwacyjną, próbując ustalić, co robią goście przed nim. Losy wielu wojen rozstrzygały się na korzyść tego, kto miał lepszy wywiad, a Jaeger nigdy nie lubił być śledzony.

– Jakaś szansa, że to przypadek? Może to lot pasażerski, który ma ten sam wektor i prędkość lotu co my?

Kapitan pokręcił głową.

– Odpada. Learjet 85 lata do wysokości piętnastu tysięcy metrów. My jesteśmy na dziewięćciu tysiącach – na wysokości skoku. Piloci zawsze latają na różnych wysokościach, żeby uniknąć konfliktów w przestrzeni powietrznej. A poza tym Learjet jest o dobre dwieście kilometrów szybszy od herka.

– Mogą nam jakoś przeszkodzić? W skoku?

– Learjet versus Super Hercules? – Pilot się roześmiał. – Chciałbym zobaczyć, jak próbują. – Spojrzał na Jaegera. – Ale oni lecą wolniej, trzymając się w naszym martwym polu. Wierz mi, mamy ogon.

– Pozwólmy im myśleć, że nie wiemy, że tam są. To daje nam więcej opcji.

Kapitan potaknął. – Chyba tak. Niech zgadują, co się dzieje.

– Może to jakaś zaprzyjaźniona agencja? – zasugerował Jaeger. – I bardzo chcą zobaczyć, co tu robimy?

Pilot wzruszył ramionami.

– Może. Ale wiesz, co mówią: przypuszczenie to matka wszystkich wpadek.

Jaeger uśmiechnął się. To było jedno z ich ulubionych powiedzonek w SAS.

– Załóżmy, że ktokolwiek nas śledzi, nie jest to Święty Mikołaj z saniami pełnymi prezentów. Uważnie go obserwujcie. I dajcie znać, jeśli coś się zmieni.

– Spoko. A tymczasem będziemy lecieli prosto i równo, żebyście mogli jeszcze trochę pospać.



Jaeger odchylił się i próbował zasnąć, ale czuł dziwny niepokój. Nie miał pojęcia, co sądzić o tym niezidentyfikowanym samolocie. Wsadził emblemat Nocnych Łowców głęboko do kieszeni, dotykając przy tym złożonego kawałka papieru. Prawie o nim zapomniał.

Na krótko przed wyjazdem z Rio de Janeiro otrzymał niespodziewanego maila. Była to wiadomość od archiwisty, Simona Jenkinsona. Jako że Jaeger nie brał na nadchodzącą wyprawę ani laptopa, ani smartfona – tam, gdzie zmierzali, nie mieli szans na prąd ani na sygnał sieci komórkowych – wydrukował sobie kopię. Teraz ponownie przebiegł oczami treść wiadomości:

Prosił mnie pan, żebym informował, jeśli znajdę coś ciekawego. Archiwa w Kew odtajniły właśnie, po upływie siedemdziesięcioletniej karencji, nowe akta – AVIA 54/1403A. Kiedy je zobaczyłem, nie mogłem uwierzyć. Oszałamiające. Niemal przerażające. Mam wrażenie, że to coś, czego władze nigdy nie pozwoliłyby ujawnić, gdyby cenzorzy porządnie wykonywali swoją pracę.

Poprosiłem o kopię akt, ale to zazwyczaj trwa wieki. Prześle panu całość, jak tylko ją dostanę. Udało mi się jednak zrobić ukradkiem kilka zdjęć najciekawszych fragmentów iPhone'm. Jeden z nich załączam. Kluczowe nazwisko to Hans Kammler, w czasie wojny SS-Obergruppenführer<sup>20)</sup> Hans Kammler. Proszę mi wierzyć, Kammler to klucz.

---

20) SS-Obergruppenführer – trzeci w hierarchii po Reichsführer-SS i Oberst-Gruppenführer stopień SS

Archiwa Narodowe z siedzibą w Kew, w zachodnim Londynie, mieściły bezcenne dokumenty na temat działalności brytyjskiego rządu, sięgające wiele stuleci wstecz. Każdy mógł przyjść i obejrzeć je osobiście, ale trzeba było zamówić kopie, jeśli chciało się któryś wynieść do dalszych badań. Samodzielne kopiowanie było surowo zabronione. To, że Jenkinson zrobił zdjęcia iPhone'm, bardzo Jaegerowi zaimponowało. Najwyraźniej archiwista miał coś z poszukiwacza przygód. A może dokumenty po prostu wydały mu się takie niesamowite – „oszałamiające”, jak to określił – że nie mógł oprzeć się pokusie, żeby złamać kilka zasad.

Jaeger ściągnął niewyraźne zdjęcie załączone przez Jenkinsona. Była to informacja wywiadowcza brytyjskiego Ministerstwa Lotnictwa z czasów wojny. Na górze strony widniał czerwony stempel z napisem: „ULTRA ŚCIŚLE TAJNE: Trzymać w zamknięciu i pod żadnym pozorem nie wynosić poza ten urząd”. Poniżej można było przeczytać:

Przechwycona wiadomość, 3 lutego 1945. Tłumaczenie:

Od Führera do Specjalnego Pełnomocnika Führera, Hansa Kammlera, SS-Obergruppenführera i generała Waffen SS.

Temat: Specjalne zadanie Führera – odnośnie Aktion Adlerflug (operacja „Lot Orła”)

Status: Kriegsentscheidend (bardziej niż ściśle tajne)

Rozkaz: Kammler, jako pełnomocnik Führera, przejmie dowodzenie nad wszystkimi departamentami niemieckiego Ministerstwa Lotnictwa, całym personelem, zarówno latającym, jak i naziemnym, przydziałem i produkcją samolotów oraz wszystkimi innymi kwestiami zaopatrzenia, łącznie z paliwem i organizacją naziemną, w tym lotniskami. Kwatera główna Kammlera Reichssportfeld stanie się punktem docelowym dla całego przydziału wyposażenia i zaopatrzenia.

Kammler przejmie nadzór nad programem przeniesienia kluczowych branż przemysłu zbrojeniowego poza zasięg wroga. Utworzy centra meldunkowe oddziałów relokacji, dysponujące Eskadrą 200 (LKW Junkers), z zadaniem usunięcia systemów uzbrojenia, ich ewakuacji i transportu, z myślą o odpowiedniej redystrybucji do wcześniej zaplanowanych kryjówek.

Jenkinson dołączył wyjaśnienie, że LKW Junkers to alternatywne nazistowskie oznaczenie Ju 390.

Z tego, co Jaeger zrozumiał, pełnomocnik oznaczał specjalnego emisariusza z nadzwyczajnymi uprawnieniami. Innymi słowy, Kammler był prawą ręką Hitlera i jego człowiekiem od czarnej roboty, upoważnionym do tego, by zrobić wszystko, co będzie konieczne.

Wiadomość od Jenkinsona brzmiała intrygująco. Wynikało z niej, że Hans Kammler dostał pod koniec wojny zadanie usunięcia kluczowego uzbrojenia nazistów i przeniesienia go poza zasięg aliantów. A jeśli archiwista miał rację, sposobem osiągnięcia tego celu mogła być eskadra olbrzymich samolotów Ju 390.

Jaeger odpisał Jenkinsonowi, pytając o opinię, co mogą zawierać pełne akta Kammlera. Nie dostał jednak odpowiedzi, przynajmniej do czasu, kiedy wsiadł na pokład, by lecieć do serca Amazonii. Musiał pogodzić się z tym, że nie otrzyma dalszych wyjaśnień – przynajmniej dopóty, dopóki wyprawa się nie skończy.

– Godzina P minus dwadzieścia. – Komunikat pilota wyrwał Jaegera z zadumy. – Komunikaty meteo dobre. Kurs podejścia bez zmian.

W ładowni samolotu czuć było przenikliwy zimny przeciąg. Jaeger postukał jedną zmarznąętą ręką o drugą, by przywrócić krążenie. W tej chwili oddałby wiele za kubek parującej kawy.

Super Hercules znajdował się jakieś dwieście kilometrów na wschód od ich punktu zrzutu. Wykonując mnóstwo skomplikowanych obliczeń – biorąc pod uwagę prędkość i kierunek wiatru na dziewięćciu tysiącach metrów i wszystkich wysokościach pomiędzy – wyznaczyli dokładny punkt na niebie, z którego musieli skoczyć. Potem mieli szybować przez czterdzieści kilometrów w stronę mierzei.

– P minus dziesięć – ogłosił kapitan.

Jaeger wstał.

Po prawej zobaczył rząd postaci dźwigających się z siedzeń, przestępujących z nogi na nogę, by odegnąć chłód. Schylił się i wpiął ciężki plecak do uprząży spadochronu, wykorzystując do tego grube stalowe klamry – karabinki. Kiedy wyskoczy, plecak będzie zwiślał mu z piersi, zawieszony na układzie krążków linowych.

– P minus osiem.

Plecak Jaegera ważył około trzydzieści pięć kilogramów. Do pleców miał przytrzczone drugie tyle oporządzenia spadochronowego. Dźwigał do tego piętnaście kilogramów uzbrojenia i amunicji oraz aparat tlenowy. Ogółem prawie dziewięćdziesiąt kilo. Więcej niż sam ważył.

Jaeger miał metr siedemdziesiąt pięć i był smukły, każdy centymetr jego ciała zajmowały wyrzeźbione mięśnie. Ludzie myśleli zazwyczaj, że żołnierze sił specjalnych to masywni, potężnie zbudowani kolesie. Faktycznie, było paru takich olbrzymów jak Raff, ale większość przypominała Jaegera: gibcy jak lampart, szybcy i śmiercionośni.

Główny wyrzucający zrobił krok w tył, żeby wszyscy go widzieli. Pokazał pięć palców – P minus pięć. Jaeger nie słyszał już pilota, bo odpiął się od interkomu. Odtąd, do chwili wyskoku, obowiązywały wyłącznie sygnały ręczne.

Wyrzucający uniósł prawą dłoń zaciśniętą w pięść i dmuchnął w nią, rozwierając palce jak otwierający się kwiat. Uniósł palce, trzy razy po pięć i raz trzy. Był to sygnał oznaczający prędkość wiatru na poziomie ziemi – osiemnaście kilometrów na godzinę. Jaeger odetchnął z ulgą. Przy takim wietrze dało się wylądować.

Zajął się dociąganiem pasków i sprawdzaniem oporządzenia. Wyrzucający blysnął mu trzema palcami przed goglami – trzy minuty do zrzutu. Pora połączyć się w tandem z Iriną Narov.

Jaeger odwrócił się twarzą do tyłu Herculesa. Zrobił kilka niezgrabnych kroków do przodu, jedną ręką podnosząc ciężki plecak, drugą przytrzymując się boku samolotu. Musiał maksymalnie zbliżyć się do rampy, zanim przypną do niego drugiego skoczka.

Usłyszał na górze stłumiony i głuchy łoskot, potem mechaniczny pisk. Poczł mroźny prąd powietrza. Rampa otworzyła się i zaczęła się obniżać, a z każdym centymetrem do ładowni wlatywał coraz silniejszy, świszczący podmuch.

Kiedy zbliżał się do siekącego strumienia zaśmigłowego, spodziewał się, że usłyszy pierwsze nuty Wagnera rozbrzmiewające gromko z głośników. To zazwyczaj mniej więcej w tym momencie pilot włączał muzykę. Zamiast tego do jego uszu doszły gitarowe riffy, dzikie i szalone, do których dołączył po chwili łomot perkusji, a potem wysoki, szaleńczy głos wokalisty kultowego zespołu heavymetalowego... To było „Highway to Hell” AC/DC. Pilot to Nocny Łowca jak nic – najwyraźniej postanowił, że zrobi wszystko po swojemu.

Żywiolowy refren odezwał się akurat wtedy, gdy główny wyrzucający pchnął w kierunku Jaegera Irinę Narov, gotową do połączenia w tandem. „Autostrada do piekła”... Pilot – i sam tytuł piosenki – zdawali się sugerować, że Jaeger i jego ekipa wybierają się w podróż w jedną stronę do krainy potępionych.

Czy naprawdę? – zastanawiał się. Czy naprawdę wybierali się do piekła? Czy to tam właśnie zabierze ich ta misja? Miał nadzieję, że w dżungli czeka ich o wiele lepszy los.

Mimo to jakaś jego część bała się, że ten skok to początek istnej gehenny wśród Gór Bogów.

Jaeger robił, co mógł, by wyrzucić z głowy szalony, gorączkowy śpiew. Jego wzrok napotkał oczy wysokiej, umięśnionej Rosjanki stojącej przed nim. Wydawała się w idealnej formie – w jej smukłej sylwetce nie było widać nawet grama zbędnej wagi. Jaeger nie wiedział dokładnie, co spodziewał się w tych oczach dostrzec. Obawę? Strach? A może coś bliskiego paniki?

Narov była oficerem w Specnazie, z grubsza rzecz biorąc najbliższym rosyjskim odpowiednikiem SAS. A zatem – jak należało sądzić – zawodowcem w każdym calu. Jaeger znał jednak niejednego elitarnego żołnierza, który wymiękł, mając za chwilę wyskoczyć z rampy w lodowatą przestrzeń. Na takiej wysokości wyraźnie będzie widać krzywiznę ziemi, rozciągającą się aż do cienkiego jak ołówek horyzontu. Nawet w najlepszych warunkach skok z rampy C-130 mógł stresować, a kiedy robiło się to z najwyższych partii ziemskiej atmosfery, mógł cholernie przeżać.

Gdy jednak wpatrywał się w bladoniebieskie oczy Narov, zobaczył jedynie niezgłębiony, zagadkowy spokój. Wypełniała je zaskakująca pustka, opanowanie – prawie jakby nic, nawet skok z dziewięciu tysięcy metrów, nie było w stanie jej poruszyć. Oderwała wzrok, odwróciła się i zajęła pozycję.

Przysunęli się do siebie.

W tandemie skoczkowie skakali zwrócenii w tę samą stronę. Spadochron Jaegera powinien wystarczyć do tego, by wyhamować ich oboje i umożliwić szybowanie na wspólnej czaszy aż do przyziemienia. Wyrzucający, rozstawieni po obu stronach, zajęli się przypinaniem Narov do Jaegera, mocno jak w imadle.

Jaeger skakał w tandemie wiele razy. Wiedział, że nie powinien czuć tego, co czuł – skrępowania i dyskomfortu z powodu takiej bliskości z inną osobą. Przedtem zawsze spinał się z innym żołnierzem. Z kimś, kogo dobrze znał i z kim chętnie walczyliby ramię w ramię, jeśli zrobiłoby się gorąco. Wcale nie czuł się komfortowo, przypinany do nieznanego, i to do kobiety.

Narov była poza tym tą osobą w ekipie, której w tej chwili ufał najmniej – jego głównym podejrzanym w sprawie zabójstwa Andy’ego Smitha. Nie mógł jednak zaprzeczyć, że jej olśniewająca uroda na niego działała. Niezależnie od tego, jak bardzo próbował przegonić takie myśli i skupić się na skoku, było to po prostu niemożliwe. W dodatku muzyka wcale mu nie pomagała – szalone słowa piosenki dudniące w czaszce.

Spojrzał za siebie. Teraz wszystko działa się szybko.

Widział, jak wyrzucający toczą dwie tuby na szynach biegnących przez całą długość ładowni. Kamishi i Krakow podeszli do nich i pochyliłi się jak do modlitwy nad masywnymi pojemnikami. Wyrzucający zaczęli przypinać tuby do ich uprząży piersiowych. Skoczkowie wytoczą je i wyskoczą kilka sekund po Jaegerze i Narov. Odwrócił się twarzą do oświetlonej słońcem pustki.

Nagle zgrzytliwy wrzask głośników jakby zamarł. „Highway to Hell” się urwało. Przez kilka sekund słychać było tylko świst wiatru, a potem Jaeger uchwycił nową nawałę dźwięku. Zamiast

piekielnego utworu AC/DC w ładowni C-130 zaczęła pulsować potężna i nastrojowa muzyka. Niepowtarzalna. Klasyczna.

Jaeger pozwolił sobie na uśmiech.

Pilot zakpił z niego, ale na koniec odkupił winy. Mimo wszystko puścił „Cwał Walkirii” – i to na kilka ostatnich sekund przed skokiem.

Muzyka ta towarzyszyła mu od dawna. Zanim dołączył do SAS, służył jako komandos w Królewskiej Piechocie Morskiej. Przeszedł szkolenie spadochronowe i to właśnie „Cwał Walkirii” słyszał podczas ceremonii wręczenia mu skrzydełek skoczek. Wiele razy wyskakiwał z C-130 razem z innymi żołnierzami SAS przy akompaniamencie klasycznej kompozycji Wagnera rytmicznej z głośników. Był to nieoficjalny hymn brytyjskich jednostek spadochronowych. Utwór równie dobrze pasujący do skoku, do misji takiej jak ta, jak każdy inny.

Przygotowując się mentalnie do zrzutu, Jaeger myślał przez chwilę o samolocie, który siedział im na ogonie. Pilot więcej o nim nie wspominał. Jaeger przypuszczał, że zniknął – może zrezygnował z pościgu, kiedy Hercules przekroczył granicę boliwijskiej przestrzeni powietrznej. Na pewno nie mógł przeszkodzić w skoku, bo inaczej pilot by ich nie wypuścił.

Wyrzucił tę sprawę z głowy.

Szturchnął Narov do przodu i razem powlekli się do otwartej rampy. Wyrzucający po obu stronach przypięli się do kadłuba, by nie porwała ich świszcząca wichura.

Sekretem wykonania skoku HAHO było zachowanie świadomości przestrzennej – należało wiedzieć dokładnie, gdzie się jest w stosunku do reszty spadochroniarzy. Jako skoczek prowadzący Jaeger musiał koniecznie utrzymać ekipę w zwartej formacji. Gdyby kogoś stracił, nie mógł raczej zawołać go przez radio – turbulencja i wiatr uniemożliwiały komunikację w trakcie swobodnego spadania.

Jaeger i Narov zatrzymali się na samym skraju rampy. Za nimi ustawił się rząd postaci. Jaeger czuł, że serce bije mu z szybkością karabinu maszynowego, a adrenalina napływa do żył. Znajdowali się na samym dachu świata, w królestwie niebios.

Wyrzucający przeprowadzili ostatnią kontrolę wzrokową każdego ze skoczków, upewniając się, że żadne paski się nie rozdarły, nie splątały ani nie zwisały swobodnie. Jaeger zrobił to samo po omacku, sprawdzając, czy wszystkie punkty styku między nim a Narov były dopięte dobrze i mocno.

Główny wyrzucający zaczął wykrzykiwać ostatnie instrukcje:

- Kontrola oporządzenia od tyłu!
- DZIESIĄTKA OKEJ! – zawołała osoba najdalej od ogona.
- DZIEWIĄTKA OKEJ!

Dając znak gotowości, trącało się w ramię skoczka przed sobą. Brak sygnału oznaczał, że ktoś z tyłu ma kłopoty.

- TRÓJKA OKEJ!

Jaeger poczuł uderzenie. Za nim stał Mike Dale, młody australijski kamerzysta, który, za pomocą miniaturowej kamery umocowanej do kasku, będzie filmował jego i Narov, kiedy wy-

skoczą z otwartej rampy samolotu.

Zanim słowa zdążyły uwięznąć mu w gardle, Jaeger wydusił z siebie:

– JEDYNKA I DWÓJKA OKEJ!

Szereg zwarł się ciasniej. Gdyby dzielił ich zbyt duży odstęp w chwili skoku, mogliby stracić się z oczu w trakcie spadania.

Spojrzał na sygnalizator. Światło zaczęło mrugać na czerwono: „Przygotuj się”.

Zerknął przed siebie, ponad ramieniem Narov. Poczul kilka luźnych kosmyków jej włosów smagających go w twarz, zobaczył ostry prostokąt rampy zarysowany na tle jasnej paszczy nieba. Na zewnątrz widział wir światła, czystego, szalejącego, oślepiającego. Poczul wiatr szarpiący kask, próbujący zerwać mu gogle z twarzy. Opuścił głowę i przygotował się do zrobienia kroku naprzód. Kątem oka dostrzegł, że czerwone światło zmienia się na zielone.

Wyrzucający odsunął się:

– JAZDA! JAZDA! JAZDA!

Jaeger szarpnął Narov do przodu, pchając ją przed siebie, a potem zanurkował w rozrzedzone powietrze. Razem runęli w warcząca pustkę. Kiedy jednak opuszczali otwartą rampę, Jaeger poczul, że przez moment coś mocno ich wyhamowało, jakby o coś zahaczyli, a potem się uwolnili. Gwałtownie stracili równowagę.

Od razu wiedział, co się stało – wykonali niestabilne wyjście. Zniosło ich i wpadli w rotację.

To mogło się źle skończyć.

Zostali zassani przez paszczę strumienia zaśmigłowego, a gwałtowna turbulencja kręciła nimi w kółko, coraz szybciej i szybciej. Wypłuci za samolotem, zaczęli spadać szybko ku ziemi, obracając się wokół jak jakiś olbrzymi, nakręcony bąk.

Jaeger próbował skupić się na odliczaniu sekund do chwili, gdy będzie mógł zaryzykować otwarcie spadochronu.

– Dziewięć tysięcy trzy, dziewięć tysięcy cztery...

Szybko jednak zorientował się, że sytuacja gwałtownie się pogarsza. Rotacja nie dawała się zatrzymać. To było jak powtórka z koszmaru wirówki, tyle że teraz wszystko działa się naprawdę i to na dziesięciu tysiącach metrów.

Próbował oszacować, jak szybko się obracali, żeby przekonać się, czy może zaryzykować otwarcie spadochronu. Mógł to zrobić tylko w jeden sposób – licząc, jak szybko powietrze wokół zmieniało się z niebieskiego w zielone i na odwrót. Niebieski sygnalizował, że byli zwrócenii twarzą do nieba, a zielony oznaczał dżunglę. Niebieski-zielony-niebieski-zielony-niebieski-zielony-niebieski-niebieski-zieeeeeelony niebieskiiiiionyyyy... Uuuugh!

W tej chwili Jaeger z trudem próbował zachować przytomność, nie mówiąc już o rozeznaniu się w tym, co miał przed oczami.

Plan zakładał, że wszyscy połączą się w trakcie swobodnego spadania i otworzą spadochrony zaraz po Jaegerze. Dzięki temu mieli opadać w zasadzie razem, szybując do strefy lądowania w zwartej formacji. Jednak przez to, że Jaeger i Narov byli w tandemie, a rotacja rzucała ich z impetem po niebie, już zaczęli tracić kontakt z resztą.

Spadali gwałtownie, obracając się coraz szybciej. Wraz z prędkością lotu rosły też przeciążenia, a wiatr szarpał Jaegerowi głowę jak szalejący huragan. Czuł się tak, jakby był przypięty do jakiegoś olbrzymiego supermotoru, nad którym stracił panowanie, a który mknął prawie czterysta kilometrów na godzinę w spiralnym tunelu.

Uwzględniając siłę wiatru, temperatura odczuwalna musiała wynosić minus sto stopni. Gdy rotacja stawała się coraz silniejsza, Jaeger poczuł, że w jego niemal zmrożone oczy zaczyna zakradać się „greyout”. Wzrok mu się zamazywał. Czuł, z jakim trudem łapie oddech. Piekące płuca wyteęzały się, by wciągnąć dość powietrza z butli. Jego świadomość czuciowa – zdolność oceanu, gdzie jest, a nawet kim jest – szybko zanikała.

Strzelba kołysała się na boki jak kij bejsbolowy, składana kolba waliła go w kask. Wcześniej przypiął ją mocno do boku, ale podczas spadania jakoś się odzepiła i jeszcze bardziej zaburzała ich lot. Był bliski utraty przytomności. I nawet nie chciał sobie wyobrażać, w jakim stanie jest Narov.

Mimo pulsu wibrującego w czaszce, zawrotów głowy i kompletnej dezorientacji zmusił skołowany umysł do skupienia się. *Musiał wyrównać ich lot.* Narov liczyła na niego, jak każdy skoczek w ich grupie. Był tylko jeden sposób na zatrzymanie rotacji. Teraz tylko trzeba to zrobić.

Przyciągnął ramiona blisko do piersi, a potem wyrzucił je równocześnie z nogami, układając się w sztywną gwiazdę, napinając plecy na przekór nieznośnie potężnym siłom, które mogły rozerwać go na strzępy. Mięśnie niemal się zerwały pod wpływem naporu i bólu. Krzyknął, utrzymując pozycję i próbując ustabilizować ich w rozrzedzonym powietrzu.

– Uuuuuuuuggghhhhh!

Przynajmniej nikt nie usłyszy, jak krzyczy, bo byli tu sami na dachu świata.

Z rękami i nogami wyrzuconymi sztywno w cztery punkty oparcia wygiął ciało w bez nadziejnie rzadkiej atmosferze. Mroźne powietrze świszczało wokół, kiedy jego kończyny z bólem zablokowały się w miejscu. Jeśli tylko zdoła utrzymać pozycję gwiazdy na tyle długo, by wyrównać ich szalone, spiralne spadanie, może wyjdą z tego cało.

Stopniowo, powoli, poczuł, jak obroty zwalniają. W końcu przestali się kręcić.

Zmusił zmordowany umysł do koncentracji. Był zwrócony twarzą do oślepiającego błękitu. Błękit oznaczał niebo.

Zaklął szpetnie. *Nie ten kierunek.*

Opadali z morderczą prędkością plecami do ziemi. Każda sekunda zbliżała ich o sto metrów do twardego lądowania w gęstej dżungli, po którym zostałyby z nich mokra plama. Gdyby Ja-



eger wypuścił spadochron w ich obecnej pozycji, ten otworzyłby się pod nimi. Spadliby wtedy przez niego, mknąc ku ziemi jak para zwłok pogrzebanych w splątanej całunie jedwabiu. Runęliby w las z prędkością blisko czterystu kilometrów na godzinę. Śmierć na miejscu. Kobieta i mężczyzna spleceni w ostatnim uścisku.

Jaeger zmienił pozycję, ściągnając prawą rękę do boku. Wyrzucił przeciwne ramię, próbując ich odwrócić. Musiał się przekreślić w stronę zieleni. I to szybko. *Zieleń oznaczała ziemię.*

Jednak z jakiegoś powodu manewr ten przyniósł jedynie najgorszy możliwy skutek – gwałtowny obrót wprowadził ich z powrotem w rotację.

Przez chwilę był bliski paniki. Jego ręka sięgnęła bezwiednie do uchwytu wyzwalającego spadochron; powstrzymał ją z trudem. Zmusił się, żeby przypomnieć sobie, jak ćwiczyli to na specjalnie przygotowanym manekinie podczas skoków próbnych.

Jeśli otworzyłeś spadochron w rotacji, prosiłeś się o kłopoty. I to wielkie. Linki splątały się wtedy mocno, jakby dziecko nawijało na widelec spaghetti. Kiepska wiadomość.

Kiedy rotacja zaczęła przybierać na sile, Jaeger już wiedział, że zaraz dostanie „greyoutu”. Jego umysł był w totalnej rozsypce. To przypominało wirówkę na sterydach, tylko że na bardzo znacznej wysokości i bez wyłącznika. Wzrok zaczął mu się rozmywać, tracił świadomość i był bliski omdlenia.

– Skup się! – warknął. Przeklinał się w myślach, próbując uwolnić głowę od obezwładniającego zamętu. – SKUP SIĘ! SKUP-SIĘ!

Teraz każda sekunda była na wagę złota. Musiał ułożyć się z powrotem w gwiazdę i sprawić, by Narov zrobiła to samo. W ten sposób mieli większą szansę na wyrównanie lotu.

Nie było sposobu, żeby się z nią porozumieć, oprócz mowy ciała i gestykulacji. Miał już złapać ją za ramiona i pokazać, czego chce, gdy jego skołowane zmysły uświadomiły sobie, że Narov zaczęła się szarpać. Pośród tego całego oszalałającego zamętu coś błysnęło jasnym srebrem na czystym i lśniącym niebie.

Ostrze. Nóż szturmowy. Zmierzający ku niemu, gotowy wbić się w okolice piersi.

Jaeger od razu wiedział, co się święci. To było niemożliwe, ale prawdziwe. Narov chciała dźgnąć go nożem. Przez jego myśli przemknęło ostrzeżenie Carsona: „Nie rozstaje się z nożem. Nie znosi sprzeciwu”.

Ostrze leciało do niego w brutalnym pchnięciu.

Jaeger zdołał je sparować prawym ramieniem, przyjmując uderzenie na twardej wysokościomierz przypięty do nadgarstka. Nóż ześliznął się po grubym szkłe, rozcinając rękaw z Gore-Texu. Poczul ukłucie bólu w prawym przedramieniu. Zraniła go za pierwszym ciosem.

Przez kilka rozpaczliwych chwil blokował i parował, a Narov cięła i cięła, raz za razem.

Zamachnęła się raz jeszcze, tym razem tnąc o wiele niżej i wyraźnie mierząc w jego brzuch. Ramię Jaegera – zamrożone jak blok lodu – było o ułamek sekundy za wolne. Nie udało mu się sparować ciosu.

Spiął się, czekając na uderzenie bólu, gdy ostrze głęboko zatopi się w jego brzuch. To, gdzie go trafi, nie miało większego znaczenia. Jeśli dźgnie go tu i teraz, gdy spadał o trzysta metrów

co trzy sekundy, był trupem.

Spadło na niego szybkie, ostre pchnięcie. O dziwo, gdy nóż zniknął mu z oczu, Jaeger nie poczuł bólu. Zamiast tego zorientował się, że pierwsze paski, które przypinały do niego Narov, puściły, kiedy nóż je przeciął.

Sięgnęła ramieniem do przodu, odciągnęła je, i znów ostro jak brzytwa broń trafiła celu, rozcinając mocne płótno i nylon. Po przepiłowaniu pasków po prawej zmieniła stronę. Pchnęła nożem do siebie jeszcze kilka razy, przecinając gorączkowo te po lewej. Jeszcze kilka ruchów i było po wszystkim.

I wtedy Irina Narov, wielka niewiadoma w ekipie Jaegera, odleciała od niego, kręcąc się w powietrzu.

Gdy tylko się oderwała, Jaeger zobaczył, jak rozkłada nogi i ramiona w gwiazdę. Kiedy zaczęła wyhamowywać i wyrównywać lot, śmignął obok niej, wirując. Kilka chwil później usłyszał nad sobą trzask przypominający wiatr uderzający w żagle, a na niebie pojawiła się jedwabna czasza. Irina Narov otworzyła spadochron zapasowy.

Pozbawiony balastu drugiego ciała, Jaeger miał o wiele większe szanse na przeżycie – pięć sekund wcześniej były one prawie zerowe. Przez kilka długich chwil rozpaczliwie próbował opanować własną rotację, wysilał się, by zatrzymać szaloną spiralę i wyrównać lot.

Zbliżał się już do dwóch minut swobodnego spadania, gdy wreszcie zaryzykował pociągnięcie za uchwyt wyzwalający, wypuszczając za sobą trzydzieści trzy metry kwadratowe najlepszego jedwabiu. Chwilę później poczuł się tak, jakby ogromna ręka poderwała go gwałtownie za ramiona. Wyhamowanie po takim gigantycznym spadku można porównać do momentu, gdy wjeżdża się autem w mur z olbrzymią prędkością, uruchamiając naraz wszystkie poduszki powietrzne.

Jego sytuacja zmieniła się diametralnie – jeszcze kilka sekund temu groziło mu rychłe, nieuchronne, śmiertelne zderzenie z dżunglą, a teraz Jaeger wiedział, że spadochron ocalił mu życie. A raczej, że to zręczne ręce Iriny Narov w zasadzie uratowały ich oboje. Spojrzał w górę, by sprawdzić, czy wszystko w porządku z czaszą. Złapał za uchwyty sterownicze i gwałtownie ściągnął je kilka razy do siebie, hamując do połowy ślizgu i umożliwiając spadochronowi swobodny lot. Dzięki Bogu, wyglądało na to, że wszystko gra.

Z wirującego, nieprzyjemnego koziolkowania i ogłuszającej wichury Jaeger przeszedł w stan czystego, niezmałonego spokoju. Czasem tylko wiatr wicherzył zwisający nad nim slajder. Przez chwilę skupiał się na tym, by opanować tętno, a także oczyścić umysł, by móc szybować bez stresu.

Zaryzykował rzut oka na wysokościomierz. Był na pięciuset pięćdziesięciu metrach, a więc właśnie zakończył zabójczy spadek o prawie osiem i pół tysiąca metrów ku ziemi. Pełne otwarcie spadochronu zajęło sześć sekund. Zrobił to w chwili, gdy mniej niż dziesięć sekund dzieliło go od prędkości spadania dochodzącej do dwustu kilometrów na godzinę. Tak mało brakowało. Przy

takiej szybkości nie zostałoby z niego wiele do zeszkrobania spomiędzy paproci i butwiejącego drewna, co jego ekipa mogłaby pochować.

Jaeger poświęcił chwilę, by rozejrzeć się po niebie. Oprócz Narov nie widział żadnego innego skoczka.

Przeniósł obolałe, przekrwione oczy w dół, przeszukując aksamitny zielony okap pod sobą. Zbliżał się do niego coraz bardziej, a w zasięgu wzroku nie było widać żadnej przesieki.

Domyślał się, że razem z Narov znajdowali się co najmniej trzydzieści kilometrów od strefy lądowania. Plan zakładał, że otworzą spadochrony na ośmiu i pół tysiąca metrów i poszybują czterdzieści kilka kilometrów do mierzei. Jednak z powodu ich niestabilnego wyjścia i późniejszej morderczej rotacji żadne z tych założeń już nie obowiązywało.

Nie licząc twardej i energicznej Narov, Jaeger stracił pozostałych członków ekipy. Byli dwójkiem samotnych skoczków szybujących przez gorące, duszne powietrze, nie mając gdzie wylądować. Dużo gorzej być już nie mogło.

Jaeger zastanawiał się przez moment, czy to nie jego broń zaczęła się o rampę Herculesa, wprowadzając ich w tę niemal śmiertelną rotację. Ale jak wyrzucający mogli tego nie zauważyć? To było ich zadanie, zadbać o to, by żadnemu skoczkowi nic nie zawadzało, by nie miał niczego, co zwiślałoby swobodnie i co mogłoby się zaczepić. A poza tym wiedział, że starannie przymocował strzelbę przed skokiem.

Przez lata Jaeger współpracował z wieloma wyrzucającymi. Każdy był najwyższej klasy fachowcem. Wiedział, że życie skoczków zależy od niego, i że każdy, choćby najmniejszy błąd, może skończyć się fatalnie. Teraz zaś żyli tylko dzięki zwykłemu szczęściu i – musiał to przyznać – przytomności umysłu Narov.

To nie miało sensu, że wyrzucający mogliby pozwolić, by jego broń wisiała luźno. To po prostu nie mieściło się w głowie. Zresztą, wiele rzeczy w tej układance się nie zgadzało. Najpierw zginął Smithy – a raczej został zamordowany. Potem na ich ogonie pojawił się ten niezidentyfikowany samolot. A teraz to. Czy któryś z wyrzucających próbował sabotować skok? Jaeger zwyczajnie nie wiedział co o tym sądzić, ale zaczynał się zastanawiać, co jeszcze mogło pójść nie tak.

Całkiem sporo, jak się okazało – bo teraz miał do rozwiązania najgorszy ze wszystkich problemów.

Zaraz po otwarciu spadochronu najbardziej niebezpiecznym momentem było – i to zawsze – lądowanie, zwłaszcza wtedy gdy nie miało się gdzie tego zrobić. Instruktor skoków przestrzegł go kiedyś, że to nie swobodnie spadanie zabija ludzi – zabija ich ziemia.

Jaeger oddalił się od Narov o kilkadziesiąt metrów, kiedy odłączyła się od niego w rotacji. Teraz zostali tylko we dwoje. Priorytetem było pozostanie razem do czasu lądowania i tego, co mogło zdarzyć się później. Jaeger skupił się na tym, by wyhamować i tym samym zrównać się z nią.

Szybująca nad nim Rosjanka wykonała serię ostrych zakrętów w lewo, lecąc po spirali, szybko tracąc wysokość z każdym obrotem. Jaeger cały czas skracał spadochron, odciągając linki ste-

rownicze tak, by wyhamować spadanie i zwiększyć opór powietrza.

Po kilku sekundach wyczuł poruszenie powietrza obok i zobaczył Narov. Ich spojrzenia spotkały się. Mimo powietrznej „walki na noże”, wydawała się idealnie spokojna. Jakby nie stało się nic złego. Jaeger spróbował pokazać jej uniesiony kciuk. Odpowiedziała tym samym.

Zasygnalizował, że podprowadzi ją do lądowania. Krótco skinęła głową. Opadła za jego plecami i zajęła pozycję kilka metrów nad nim. Zostało im tylko kilkaset metrów.

Na szczęście Jaeger został przeszkolony do tego, co miało nastąpić – zderzenia z okapem dżungli. Wcale niełatwo było zrobić to prawidłowo, udawało się tylko najbardziej doświadczonym skoczkom. Ale numer, który Narov wycięła, gdy odłączyła się od niego w rotacji, pozwalał Jaegerowi myśleć, że ma całkiem spore szanse.

Poszukał w terenie pod sobą jakiegoś kawałka lasu, który wydawał się rzadszy niż reszta, miejsca, przez które, być może, daliby radę się przebić. Większość skoczków spadających w gęstą dżunglę wcale nie miała zamiaru się tam znaleźć – byli to ludzie, którzy ewakuowali się z samolotów, na przykład zestrzelonych, albo mających jakiś problem mechaniczny, taki choćby jak brak paliwa.

Wbijali się w zwarte korony drzew, nie mając pojęcia, jak do tego podejść, ani wyszkolenia, jak przeżyć. Przeważnie odnosili kontuzje – łamali ręce czy nogi. Ale najgorsze następowało potem. Choć skoczek mógł się przebić, spadochronowi udawało się to rzadko, o ile w ogóle. Zazwyczaj zaczepiał się o najwyższe gałęzie, a skoczek zawisał w powietrzu, tuż poniżej koron drzew. A to bardzo często kończyło się śmiercią.

Uwięziony spadochroniarz miał trzy wyjścia. Zwisać dalej i liczyć na to, że ktoś go uratuje. Odciąć się i runąć z wysokości osiemnastu do dwudziestu pięciu metrów na ziemię. Albo spróbować dosięgnąć gałęzi, jeśli jakaś była w zasięgu, i zejść po drzewie na dół.

Najczęściej skoczkowie decydowali się na zwisanie ze spadochronu, bo inne wyjścia graniczyły z samobójstwem. Zostawali na miejscu, czekając na ratunek, ranni, zdezorientowani, cierpiący z powodu szoku i odwodnienia, nękani przez żarłoczne owady. Większość umierała po wielu dniach, w powolnych męczarniach.

Jaeger nie życzył tego ani sobie, ani Irinie Narov.

Przez mgłę dostrzegł jaśniejszy kawałek żółci i zieleni wśród ciemnego kobierca starego lasu rozciągającego się aż po horyzont. Młoda roślinność. Powinna być bardziej liściasta, sprężysta i wiotka – mniejsza szansa, że gałęzie połamią się i staną się ostre jak szpice włóczni. Taką przynajmniej miał nadzieję.

Zerknął na wysokościomierz – ten, którym osłaniał się przed – jak się wtedy obawiał – pchnięciami noża wymierzonymi w jego brzuch. Jeszcze sto pięćdziesiąt metrów.

Sięgnął do przodu i pociągnął dwie metalowe dźwignie przy elemencie modułowym plecaka. Poczul, jak ciężka torba odpada, a lina pozwala jej opaść dziesięć metrów niżej.

Ostatnią rzeczą, jaką zrobił, w chwili, gdy okap lasu pędził w jego stronę, było wciśnięcie przycisku na zamontowanym na nadgarstku odbiorniku GPS – globalnym systemie nawigacji satelitarnej. Zanim las ich pochłonął, ustawił punkt orientacyjny – oznaczył ich dokładną pozycję. Podejrzewał, że w najbliższym czasie nie będą mieli ku temu okazji. Przez kilka sekund dzielących ich od zderzenia skupił się na skręcaniu spadochronu lewą i prawą sterówką, by dolecieć nad ten jaśniejszy kawałek zieleni.

Zobaczył kłębowisko gęstwiny pędzące mu na spotkanie. Ściągnął mocno oba uchwyty, odkształcając czaszę pod spód i wyhamowując spadochron. Jeśli tylko go nie przeciągnie, dzięki temu wytraci prędkość i ułatwi sobie przebicie się przez korony.

Chwilę później usłyszał trzask i łomot, gdy trzydziestopięciokilogramowy plecak wbił się w najwyższe gałęzie, łamiąc je i znikając z pola widzenia.

Jaeger podwinął nogi, zgął kolana i osłonił pierś i twarz ramionami. Momentalnie poczul, jak jego buty zagłębiają się w roślinności. Ostre gałęzie smagały mu tyłek, a potem ramiona, zanim przebił się do otwartego mroku poniżej. Odbijał się od grubszych gałęzi, sapiąc z bólu przy każdym uderzeniu, i spadał przez kilka metrów, dopóki spadochron nie opadł na gęstwinę drzew w górze, gwałtownie się zatrzymując. Nagłe wyhamowanie pozbawiło go tchu. Łapiąc oddech, widział wirujący wokół wzburzony obłok liści, połamanych gałązek i kawałków roślin. Jednak gdy tak huśtał się w przód i w tył jak wahadło, raz po raz dziękował w duchu opatrności. Żył i nie był ranny.

Z góry doszedł go drugi odgłos uderzenia i kilka chwil później Narov znalazła się obok niego, tak samo bujając się dziko w tę i w tamtą stronę.

Powoli powietrze wokół uspokajało się. Snopy oslepiającego światła przesączały się przez dziury, które wybili w okapie drzew, promienie słońca tańczyły w powietrzu.

W tej dojmującej ciszy było tak, jakby każde żywe stworzenie w dżungli wstrzymało oddech, jakby było w szoku, że dwoje obcych istot mogło spaść na ich świat.

Spadochrony huśtały się coraz wolniej.

– Jesteś cała? – zawołał Jaeger do Narov.

Po wszystkim, co przeszli, zabrzmiało to jak niedopowiedzenie stulecia.

Narov wzruszyła ramionami.

– Żyję. Ty też najwyraźniej. Mogło być gorzej.

Niby jak? – miał ochotę zapytać. Ale zachował to dla siebie. Choć Narov całkiem biegle mówiła po angielsku, wciąż miała silny rosyjski akcent, a jej intonacja była dziwnie płaska i beznamiętna.

Zadarł głowę w stronę nieba, z którego spadli. Spróbował uśmiechnąć się ujmująco.

– Przez chwilę myślałem, że próbujesz mnie zabić. Tym swoim nożem.

Spojrzała na niego.

– Gdybym chciała cię zabić, już byś nie żył.

Jaeger postanowił zignorować ten przytyk.

– Staralem się wyrównać nas oboje. Coś zaczęło nas przy wyjściu, oderwało moją broń. Prawie nad tym zapanowałem, gdy się odcięłaś. Nie ma to jak zaufanie.

– Może i tak. – Narov przyglądała mu się przez chwilę z twarzą jak nieodgadniona maska. – Ale nie udało ci się. – Uciekła oczami w bok. – Gdybym się nie odcięła, teraz oboje bylibyśmy martwi.

Na to Jaeger nie bardzo mógł znaleźć odpowiedź. Przekreślił się w uprzęży, próbując przyrzyć się lepiej terenowi pod spodem.

– A tak w ogóle, czemu miałabym cię zabijać? – podjęła Narov. – Panie Jaeger, musi się pan nauczyć ufać swojej ekipie. – Przyjrzała się okapowi dżungli. – No więc, teraz podstawowe pytanie, jak stąd zejdziemy? Tego raczej nie przerabialiśmy na szkoleniach w Specnazie.

– A było o odcinaniu się od tandemu w rotacji? – zapytał. – Całkiem zręcznie radzisz sobie z nożem.

– Nigdy mnie w tym nie szkolili. Ale nie było innego sposobu. – Narov zawiesiła głos. – „Każda misja, każdy czas, każde miejsce – za wszelką cenę!”. Motto Specnazu.

Zanim Jaeger zdążył pomyśleć nad stosowną odpowiedzią, z góry doszedł go rozdzierający dźwięk, jakby wybuchu. Koło nich przeleciała ciężka gałąź, spadając na poszycie. Chwilę później Narov nagle opadła o kilka metrów, gdy jedna z przegród jej uszkodzonego spadochronu oderwała się pod ciężarem.

Spojrzała w górę na Jaegera.

– No więc, masz jakiś pomysł, jak zejść na dół? Inny niż upadek? A może z tego też mam nas wyciągnąć?

Jaeger pokręcił głową z frustracją. Boże, ależ ta kobieta była denerwująca. A mimo to, po jej wyczynach z nożem w powietrzu, zaczynał wątpić, czy faktycznie stała za zabójstwem Smithy’ego. Miała idealną okazję, żeby go zabić, a jednak nie zrobiła tego. Ale nie zaszkodzi sprawdzić ją po raz kolejny, doszedł do wniosku.

– Może jest sposób, żeby nas stąd wydostać. – Wskazał na ich poplątane spadochrony. – Ale najpierw potrzebuję tego twojego noża.

Miał własne ostrze. Nóż Gerber, który dostał od Raffa na Bioko. Czuł teraz do niego szczególny sentyment, bo to dzięki niemu uratował życie dobrego przyjaciela. Nosił go w pochwie

przewieszoną ukośnie na piersi. Chciał jednak sprawdzić, czy Narov z własnej woli rozstanie się z nożem, którym niemal wypruła mu flaki.

Nawet się nie zawahała.

– Mój nóż? Tylko go nie upuść. To stary przyjaciel. – Sięgnęła po długie ostrze, odpięła je, chwyciła za czubek i rzuciła do niego przez krótki dystans, jaki ich dzielił. – Łap – zawołała, gdy mignął w słońcu.

Nóż, który Jaeger złapał, wyglądał dziwnie znajomo. Przez chwilę obracał w rękach ostrze sztyletu, smukłe, osiemnastocentymetrowe, lśniące. Bez dwóch zdań – było podobne do tego, które spoczywało w kufrze dziadka Teda w mieszkaniu Jaegera w Wardour Castle.

Kiedy Jaeger skończył szesnaście lat, dziadek pozwolił mu wyjąć nóż z pochwy, gdy obaj pykali wesoło dziadkową fajkę. Jaeger przypomniał sobie teraz ten dymny, aromatyczny zapach, podobnie jak nazwę noża – była zresztą wybita na rękojeści.

Obejrzał ostrze Narov, a potem zmierzył ją wzrokiem.

– Fajny. Nóż szturmowy Fairbairna-Sykesa. Z okresu drugiej wojny światowej, jeśli się nie mylę.

– Zgadłeś. – Narov wzruszyła ramionami. – Świetnie nadaje się do zabijania Niemców, czego dowiódł wtedy wasz SAS.

Jaeger przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Myślisz, że będziemy zabijać Niemców? Na tej wyprawie?

Odpowiedź Narov – rzucona wyzywająco, płynnym niemieckim – była powtórzeniem zło-wieszczych słów wypowiedzianych przez wujka Joe:

– „Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt” – „Dzisiaj należą do nas Niemcy, jutro cały świat”.

– Wiesz, mało prawdopodobne, żeby ktoś z tego samolotu jeszcze żył. – Do głosu Jaegera zakradła się nutka sarkazmu. – Po przeszło siedemdziesięciu latach, w głębi Amazonii powiedziałbym, że to wręcz niemożliwe.

– Schwachkopf! – Idiota! – Narov spojrzała na niego gniewnie. – Myślisz, że tego nie wiem? Może tak byś się na coś przydał, panie Dowódcu Wyprawy, i wyciągnął nas z tego gówna, w które nas wpakowałeś?



Jaeger przedstawił pokrótce Rosjance swój plan. Spadochron zapasowy, który Narov musiała otworzyć, był mniejszą, lżejszą częścią sprzętu niż jego własny BT80. Wyglądało na to, że poważnie się rozdarł, gdy wpadła między korony drzew, i dlatego Jaeger zaproponował, żeby zawisli między obiema czaszami, tworząc jeden mocny punkt, z którego mogliby opuścić się na ziemię.

Nie tracąc czasu, zabrali się za odcięcie ciężkich plecaków, które do tej pory zwisały swobodnie na linach. Spadły przez warstwy roślinności, lądując z wyraźnie słyszalnym łomotem. Wykonanie serii manewrów, które zaplanował, było niemożliwe z trzydziestoma pięcioma kilogramami sprzętu dyndającego pod ich stopami.

Następnie Rosjanka zahałała się w stronę Jaegera, a on w jej kierunku, w obu przypadkach wykorzystując spadochrony jako punkt oparcia. Trzymając się rękami za liny na górze, kołysali się to w jedną, to w drugą stronę, aż byli w stanie złapać się wzajemnie. Nogi Jaegera sięgnęły ciała Narov, mocno obejmując jej biodra. Potem uczepił się ramionami jej tułowia i przypiął jej uprząż piersiową solidnie do swojej. Byli teraz złączeni pomiędzy spadochronami.

Jednak, w odróżnieniu od skoku w tandemie, tkwili zwrócenii do siebie twarzami, połączeni grubym karabińczykiem ze sprężynowym klipsem. Dla Jaegera pozycja ta i tak wielka bliskość były zdecydowanie uciążliwe, zwłaszcza że dosłownie gotował się jak w ukropie – gruby i nieporęczny kombinezon oraz reszta sprzętu sprawiała, że smażył się żywcem. Ale co tam, znieśie wszystko, byle tylko ściągnąć ich na ziemię w jednym kawalku.

Za pomocą drugiego karabińczyka spiął oba spadochrony u podstawy ich olinowania – w najważniejszym punkcie każdego z nich. Potem wyjął kawalek rozciągliwej linki spadochronowej Specter – w kolorze khaki, mniej więcej grubości przeciętnego sznura na bieliznę, lecz niezwykle wytrzymałej. Mogła nieść ciężar dwustu pięćdziesięciu kilogramów, ale Jaeger złożył ją na pół, tak na wszelki wypadek.

Obłożył ją dwa razy przez przyrząd asekuracyjno-zjazdowy, by zwiększyć tarcie, przywiązując górny koniec do spadochronów. Resztę linki rozwinął ostrożnie, pozwalając, by opadła jakieś trzydzieści metrów niżej, na ziemię. Na koniec przypiął przyrząd do karabińczyka na uprzęży piersiowej, przymocowując ich do tej prowizorycznej liny.

Wisieli teraz na spadochronach, złączeni z nimi niezależnie poprzez układ linowy, który Jaeger właśnie zmontował. Teraz nadszedł moment krytyczny – pora, żeby odcięli się od spadochronów i żeby Jaeger wykonał wolny zjazd, opuszczając ich na ziemię.

Razem z Narov zerwali i zrzucili kaski, maski i gogle. Po całym tym wysiłku Jaeger pocił się koszmarnie. Czuł, jak pot spływa mu po twarzy strugami, przemaczając przód ubrania w miejscu, gdzie niemal stykał się z Rosjanką. To było jak konkurs mokrego podkoszulka – tyle że innymnie blisko – miał wrażenie, jakby mógł przesledzić każdy najdrobniejszy zarys jej ciała.

– Widzę, że się krępujesz – stwierdziła Narov. – W jej głosie pobrzmiwała dziwna, rzeczowa, mechaniczna nuta. – Taka bliskość może być niezbędna z kilku powodów. Pierwszy: praktyczna konieczność. Drugi: utrzymanie ciepłoty ciała. Trzeci: seks. Teraz to pierwszy powód. Skup się na zadaniu.

Bla, bla, bla – pomyślał Jaeger. Ja to mam szczęście, utknąć w dżungli, mając jedynie zimną sukę do towarzystwa.

– No więc, już mnie zwabiłeś w swoje objęcia – podjęła Narov bezbarwnym głosem i wskazała w górę. – Cokolwiek chcesz zrobić, sugeruję, żebyś się pośpieszył.

Jaeger powędrował wzrokiem za jej ręką. Metr nad jego głową wisiał olbrzymi pająk. Był wielkości dłoni, w półmroku niemal świecił się i srebrzył, od grubego odwłoka odchodziły odnóża jak osiem wychudzonych palców, sięgających ku niemu.

Widział, jak wydatne, złowrogie, czerwone oczy wpatrują się w niego, jak wilgotne szczękoczułki poruszają się żarłocznie. Posuwając się coraz bliżej, unióśł przednie odnóża, agresywnie nimi wymachując. Jaeger widział też, co gorsza, jego „ząbki” – zapewne nasączone jadem – gotowe do ataku.

Wyszarpnął nóż Narov, chcąc posiekać owada na kawałki, ale powstrzymała go.

– Nie! – syknęła.

Wyciągnęła zapasowy nóż i nawet nie wyjmując ostrza z pochwy, wsunęła wąski koniec pod owłosione ciało pająka i strąciła go. Kręcił się i kręcił, lśniąc w słońcu, a potem runął w dół, wściekle szycząc, że popsuto mu szyki.

Narov nie odwracała wzroku od wierzchołków drzew.

– Zabijam tylko, kiedy trzeba. I gdy jest to rozsądne.

Jaeger spojrział w tym samym kierunku. Były tam dziesiątki pajęczaków, które pelzły w ich stronę. Całe olinowanie spadochronów zdawało się roić od owadów.

– *Phoneutria* – podjęła Narov. – Po grecku „zabójczyni”<sup>21)</sup>. Musieliśmy trafić w gniazdo, gdy się przebijaliśmy. – Spojrzała na niego. – Unoszenie przednich odnóży to postawa obronna. Jeśli tkniesz jednego, jego ciało wydzieli zapach, który zaalarmuje rodzeństwo i wtedy naprawdę zaatakują. Jad zawiera neurotoksynę PhTx3, truciznę działającą na układ nerwowy. Objawy są bardzo podobne jak przy ataku gazem bojowym: utrata panowania nad mięśniami i oddechem, a potem paraliż i uduszenie.

---

21) *Phoneutria fera* (wałęsak brazylijski) – gatunek pająka żyjący w Ameryce Południowej, uważany za jeden z najbardziej jadowitych na świecie

– Skoro tak mówisz, Doktor Śmierć – mruknął Jaeger.

Posłała mu gniewne spojrzenie.

– Ja się nimi zajmę. A ty, ty nas sprowadź na ziemię.

Jaeger sięgnął za nią nożem szturmowym i zaczął przecinać gruby pas materiału, który łączył jej uprząż spadochronową z olinowaniem. Tnąc, widział, jak nóż Rosjanki leci do przodu, strącając drugiego i trzeciego pająka. Opędzała się od kolejnych, ale najwyraźniej musiała prze-gapić jednego. Zbliżył się do Jaegera, unosząc odnóża, jadowite szczęki znalazły się ledwie kilka centymetrów od jego dłoni. Powodowany instynktem, zamachnął się nożem, a ostry jak brzy-twa czubek sztyletu dźgnął pająka w podbrzusze. Owad zwinął się w kulkę, odtoczył i runął na poszycie. W tej samej chwili Jaeger poczuł, jak przez rzeszę bratnich pajęczaków poniósł się trzeszczący sygnał alarmowy – wyczuły, że któryś z nich został zraniony. Jak jeden mąż rzuciły się do ataku.

– Teraz naprawdę się zacznie! – syknęła Narov.

Obnażyła ostrze i zadawała pchnięcia na prawo i lewo, klując syczącą masę. Jaeger zdwoił wysiłki. Po kilku ostatnich razach udało mu się odciąć Rosjankę – własny ciężar pociągnął ją w dół z zaskakującą prędkością, dopóki pędu nie zatrzymał karabińczyk, łączący ją z uprzężą Jaegera. Przez ułamek sekundy jego czasza ugięła się pod dodatkowym ciężarem, ale na szczę-ście wytrzymała. Sięgnął nad głowę, wściekle siekąc swoje linki, a chwilę później i one ustąpiły. Uwolnili się.

Pozwolił im opadać przez sekundę czy dwie, z linką spadochronową świszczącą w płytce ase-kuracyjnej, dopóki nie uznał, że znaleźli się daleko poza zasięgiem śmiercionośnej armii. Wte-dy zacisnął dłoń na lince i szarpnął ją pionowo w dół, mocno ciągnąc.

Tarcie o płytkę pozwoliło im wyhamować i zatrzymać zjazd. Wisieli teraz jakieś dziesięć me-trów pod spadochronami, które przypominały kipiącą masę wściekłych i bardzo jadowitych paj-ków.

*Phoneutria.* Jaeger będzie szczęśliwy, jeśli nie zobaczy już żadnego z nich do końca życia.

Ledwo zdążył o tym pomyśleć, gdy pierwsze ze srebrzystych cielsk rzuciło się za nimi. Spa-dało pionowo, spuszczając się po własnej lince – cienkiej pajęczce nitce.

W odpowiedzi Jaeger puścił linę i razem z Narov znów zaczęli się zsuwać.

Po kilku metrach zatrzymali się nagle z paskudnym szarpnięciem. Urwany pasek z kombinezonu Rosjanki zaklinował się w przyrządzie asekuracyjnym.

Jaeger zaklął. Złapał za materiał wolną ręką i próbował go oderwać. I wtedy poczuł, jak coś miękkiego łąduje w jego włosach z wściekłym sykiem.

Milimetry nad jego głową mignęło ostrze. Poczuł, jak nóż zatapia się w *Phoneutrii*, jak pajęczak zwija się z bólu w kulkę, traci oparcie i osuwa się w powietrze. Narov dźgała cienie raz po raz, broniąc się przed pajakami, a Jaeger szarpał się z niesfornym paskiem. W końcu udało mu się wyciągnąć go z przyrządu. Szarpnęło i znów zaczęli zjeżdżać.

– Nie dają łatwo za wygraną – mruknął, popuszczając linę.

– To prawda – przyznała Narov.

Uniosła lewe ramię w stronę jego twarzy. Już wcześniej zwrócił uwagę, że była leworęczna. Na górnej powierzchni ręki straszyl szeroki, czerwono-czarny obrzęk, dostrzegł też dwa charakterystyczne ślady po ukąszeniu.

Oczy miała zamglone bólem.

– Jeśli tkniesz jedną *Phoneutrię*, zaatakują wszystkie – przypomniała. – Ofiary porównują ból po ukąszeniu do ognia płynącego w żyłach. Całkiem słusznie.

Jaegera zatkało. Pająk ukąsił ją, a nawet nie krzyknęła. Czy miał stracić jednego z uczestników wyprawy, i to jeszcze zanim ta na dobre się rozpoczęła?

– Mam surowicę. – Spojrzał w dół. – Ale jest w moim plecaku. Musimy ściągnąć cię na dół, i to szybko.

Wyrzucił prawą rękę w górę tak daleko, jak mógł. Linka spadochronowa zaświszczała jeszcze głośniejsze i zaczęły zsuwać się błyskawicznie, opadając ku ziemi z pełną prędkością. Cieszył się, że ma rękawice, bo lina, nawet złożona podwójnie, była cienka i trudna do utrzymania. Postarał się, żeby spaść na buty, przyjmując uderzenie za ich oboje. W normalnych warunkach wyhamowałby przed lądowaniem za pomocą liny i przyrządu asekuracyjnego. Ale teraz ścigali się z pajakami i nie mieli już czasu. Musiał jak najszybciej dostać się do surowicy.

Wylądowali w posępnym mroku. Do poszycia dociera bardzo niewiele słońca, około dziesięćdziesiąt procent światła spija masa wygłodniałej roślinności ułożonej warstwami powyżej, więc na poziomie ziemi panuje półmrok.

Zanim oczy przystosują się do nikłego oświetlenia, będzie mu trudno dostrzec jakiegokolwiek zagrożenie – *na przykład pająki*.

Był niemal pewny, że żaden wałęsак brazylijski nie podąży za nimi na sam dół, ale kto się gorącym sparzy, ten na zimne dmucha. Spojrzał w górę. W pojedynczych smugach światła, które przebiły się przez otchłanie dżungli, majaczyły dziesiątki pajęczych nici, skrzących się złowieszczą, a po nich opuszczały się lśniące kłębki jadowitej śmierci. Niewiarygodne, wałęsaki naddęgały mimo wszystko, a wyglądało na to, że Narov nie będzie w stanie zejść im z drogi.

Podczas gdy pająki spływały z góry, Jaeger odciągnął Rosjankę kilka metrów od liny zjazdowej. Potem odpiął strzelbę, wymierzył mniej więcej w stronę pająków i otworzył ogień. Zarepetowana seria szybkich strzałów była ogłuszająca: Bam! Bam! Bam!

Benelli przeładowywał się samopowtarzalnie i miał siedem naboji w magazynku, każdy załadowany śrutem kalibru 9 mm. Fala śrucin załaza napastników. Bam! Bam! Bam!

Ostatnie pociski wystrzeliły w chwili, gdy horda wałęsaków siedziała już właściwie na końcu lufy Jaegera, a strzał zamieniał je w pajęczę purée. Właśnie to uwielbiał w tej strzelbie – po prostu ustawiał ją na oko we właściwą stronę i pułeś, ile wlezie – choć w życiu nie wyobrażał sobie, że będzie używał jej przeciw pająkom.

Ostatnie echa gromkich wystrzałów rozległy się wokół, odbite od masywnych pni drzew po obu stronach. Wysoko w wierzchołkach usłyszał spanikowane wrzaski czegoś, co brzmiało jak stado naczelnych. Małpy dały drapaką, przeskakując między gałęziami w przeciwnym kierunku. Odgłos strzałów był ogłuszający i dziwnie złowieszczy.

Jak dwa a dwa cztery, Jaeger ogłosił ich przybycie wszystkim i wszystkiemu, co mogło słuchać... Do diabła z tym – potrzebował prawdziwej siły rażenia, by rozprawić się z falą *Phoneutrii*, a strzelba samopowtarzalna zdecydowanie nadawała się do tej roboty.

Zarzucił broń na plecy i odciął Narov od liny. Odciągnął ją na bok, taszcząc po zgnitych resztkach liści i miłkłej, piaszczystej ziemi, i oparł jej ciało o korzeń szkarpowy – jeden z kilku w kształcie litery „V”, które rozchodziły się u podnóża ogromnego drzewa.

Las równikowy to zamek zbudowany na piasku – gleba u podłoża dżungli była cienka jak papier. W wysokiej wilgotności i tropikalnej temperaturze martwe rośliny zazwyczaj szybko się rozkładały, a uwolnione w ten sposób składniki odżywcze były błyskawicznie przyswajane przez rośliny i zwierzęta. W efekcie większość leśnych olbrzymów stała na sieci szkarp, bo ich system korzeniowy wraść ledwie kilka centymetrów w ubogą glebę.

Pobiegł po plecak. Był wykwalifikowanym sanitariuszem – jedna z specjalistycznych umiejętności nabytych w wojsku. Znał więc działanie neurotoksyn takich jak ta – zabijała, atakując system nerwowy, zmuszając zakończenia synaps do ciągłej pracy, z czego brały się drgawki i skurcze, które zaczynały już pojawiać się u Narov. Śmierć zazwyczaj była skutkiem paraliżu mięśni oddechowych. Człowiek dosłownie się dusił.

W takich wypadkach niezbędne było szybkie podanie trzech dawek antidotum. To leczyło objawy zatrucia, ale Narov mogła też potrzebować pralidoksyny i diazepam, by przywrócić sprawność mięśni oddechowych.

Jaeger złapał apteczkę i zaczął szukać strzykawek i ampulek. Na szczęście pojemnik był dobrze wyścielony, więc wyglądało na to, że większość zawartości przetrwała upadek. Przygotował pierwszą dawkę surowicy, uniósł ampulkostrzykawkę nad głowę i wbił dużą igłę w ciało Rosjanki.

Po pięciu minutach leki zaczęły działać. Narov była przytomna, ale miała nudności, spłycony oddech, a jej ciałem wstrząsały drgawki. Od ukąszenia do podania antidotum minęła ledwie chwila, ale mimo to wciąż istniało niebezpieczeństwo, że jad mógł ją zabić. Jaeger pomógł Rosjance zdjąć oporządzenie spadochronowe, a potem wyjął manierkę z wodą i zmusił ją, żeby wypila tyle, ile była w stanie – musiała się nawadniać – płyny ułatwią wyplukiwanie toksyn z organizmu.

On sam rozebrał się do bawełnianych bojówek i podkoszulka. Ubrania miał przepocone i nadal dosłownie się z niego lało. Podejrzewał, że wilgotność powietrza musiała przekraczać czterdzieści procent, nic dziwnego, że – mimo tropikalnego upału – niewiele potu mogło wyparować. Przez cały czas spędzony w dżungli będąc spoceni, więc najlepiej od razu do tego przywyknąć.

Przystanął, by pozbierać myśli. Była dziewiąta zero trzy czasu Zulu, kiedy uderzyli w okap lasu po dramatycznym swobodnym spadaniu. Przez dobrą godzinę schodzili w dół z wierzchołków drzew. Teraz było więc około dziesiątej trzydzieści czasu Zulu, a wszystko wskazywało na to, że czekał ich prawdziwy koszmar, którego nawet sobie nie wyobrażał, gdy przed wylotem zastanawiał się, na jaki ewentualnie zły scenariusz się przygotować.

Jeden z jego instruktorów w SAS powiedział kiedyś, że „żaden plan nie przetrwa pierwszego kontaktu z wrogiem”. I miał, cholera, rację – zwłaszcza jeśli lądowałeś w Amazonii z wysokości dziewięciu tysięcy metrów, spięty w tandem z zimną jak lód Rosjanką.

Jego wzrok zatrzymał się na plecaku. Był to siedemdziesięciopięciolitrowy, zielony ALL-CE<sup>22)</sup> – plecak typu Bergen, produkcji amerykańskiej, specjalnie przystosowany do dżungli. W przeciwieństwie do wielu innych wielkich plecaków, ten wyposażony był w metalowy stelaż, który utrzymywał go co najmniej pięć centymetrów od pleców. Dzięki temu pot mógł spływać i zmniejszało się ryzyko bolesnych wysypek czy otarć bioder i ramion.

---

22) Skrót od All-Purpose Lightweight Individual Carrying Equipment – system przenoszenia oporządzenia osobistego

Większość potężnych plecaków miała szeroki korpus i kieszenie po bokach. Były przez to szersze niż ramiona człowieka i zaczepiały się o zarośla. Bergen był cieńszy na górze i szerszy na dole, a kieszenie miał zamocowane u dołu. Dzięki temu Jaeger był pewny, że jeśli on się przeciąśnie, przeciąśnie się też jego plecak.

Plecak był też wyłożony mocnym, gumowym wodoszczelnym workiem o wystarczającym wyporze, by mógł unosić się na wodzie. Zapewniał on również dodatkową warstwę amortyza-

cji, pomocnej przy upadkach z trzydziestu metrów, takich jak ten, który właśnie się wydarzył.

Jaeger przetrząsał zawartość. Tak jak się obawiał, nie wszystko przetrwało. Telefon satelitarny Thuraya, który wepchnął w tylną kieszonkę, by był do niego łatwiejszy dostęp, miał pęknięty ekran i nie reagował na próby włączenia. Zapasowy aparat został spakowany do jednej z tub spadochronowych, z którymi wyskoczyli Krakow z Kamishim, więc teraz nie miał z niego żadnego pożytku.

Wyjął mapę. Na szczęście ta, jak to mapy, była w zasadzie niezniszczalna. Złożona i zalaminowana, więc po części wodoszczelna, odwrócona na właściwą stronę. A raczej byłaby to właściwa strona, gdyby nie to, że razem z Narov wylądowali może nawet czterdzieści kilometrów lub więcej od zakładanego celu.

Siadł na plecaku, oparł się o korzeń i przerzucił mapę na stronę, która wydawała mu się tą właściwą. W wojsku zabraniali składania map. Gdyby wróg cię złapał, od razu wiedziałby, czym się interesowałeś. Jednak Jaeger nie prowadził tu operacji, to miała być przecież cywilna wyprawa w dżunglę. Z GPS-a na nadgarstku odczytał punkt orientacyjny, który zapisał tuż przed upadkiem w gęstwinę dżungli. Odbiornik podał mu sześciocyfrową siatkę: 837529.

Naniósł siatkę na mapę i od razu widział dokładnie, gdzie trafili. Przez chwilę studiował ich kłopotliwe położenie.

Znajdowali się dwadzieścia siedem kilometrów na północny wschód od zakładanego punktu lądowania, czyli mierzei – to źle, ale uznał, że mogło być gorzej. Między nimi a mierzeją leżało szerokie zakole Rio de los Dios. Zakładając, że reszta uczestników wyprawy dotarła na miejsce zgodnie z planem, od obecnej pozycji Narov i Jaegera dzieliła ich rzeka. Nie dało się jej ominąć i Jaeger to wiedział. A przejście ponad dwudziestu siedmiu kilometrów przez gęstą dżunglę, w dodatku z ranną Narov, nie będzie spacerkiem, to pewne.

Ustalona procedura w przypadku, gdyby ktoś nie dotarł do strefy lądowania, zakładała, że reszta ekipy poczeka czterdzieści osiem godzin na miejscu. Jeśli zaginieni nie dotrą na czas, następny punkt zborny wyznaczono w charakterystycznym zakolu, mniej więcej o dzień marszu w dół rzeki, a dwa następne o kolejny dzień marszu każdy.

Rio de los Dios płynęła w kierunku, w którym musieli podążyć, by dotrzeć do wraku – kolejny powód wyboru mierzei na miejsce lądowania. W dodatku marsz w dół rzeki powinien ułatwić przedzieranie się przez dżunglę. Problem tkwił jednak w tym, że każdy kolejny punkt zborny leżał coraz dalej na zachód, a tym samym coraz dalej od obecnej pozycji Jaegera i Narov.

Najbliżej była mierzeja, co oznaczało, że mieli czterdzieści osiem godzin, żeby tam dotrzeć. Jeśli im się nie uda, pozostali wyruszą mniej więcej prosto na zachód, a oni najprawdopodobniej nigdy ich nie dogonią.

Ponieważ telefon satelitarny padł, Jaeger nie miał jak skontaktować się z resztą, by przekazać, co się stało. Nawet jeśli udałoby mu się jakoś go uruchomić, wątpił, czy złapałby sygnał. Telefon satelitarny wymagał otwartego nieba, by zobaczyć i namierzyć satelity, a bez tego nie sposób było wysłać ani otrzymać żadnego komunikatu.

Zakładając, że przedostaliby się przez Rio de los Dios, czekała ich dalsza forsowna wędrówka przez serce dżungli. Mieli też inny poważny problem, z którego Jaeger zdawał sobie sprawę, nie licząc już tego, że marsz był teraz dla Narov rzeczą w zasadzie niewykonalną.

Pułkownik Evandro zachowywał dokładne położenie wraku w najgłębszej tajemnicy po to, by chronić jego lokalizację. Zgodził się przekazać współrzędne GPS tylko Jaegerowi na krótko przed wylotem. Ten zobowiązał się z kolei, że zachowa je dla siebie, również dlatego, że miał wątpliwości, komu właściwie może zaufać. Zaplanował, że poinformuje resztę zespołu o dokładnej trasie zaraz po lądowaniu na mierzei – wtedy już byłiby razem, na dobre i na złe. Kiedy jednak opracowywał procedurę awaryjnych punktów zbornych, w życiu nie przypuszczał, że to akurat on nie dotrze do strefy lądowania. W tej chwili nikt inny nie znał współrzędnych wraku, co oznaczało, że bez niego nie zajdą daleko.

Spojrzał na Rosjankę. Jej stan wydawał się pogarszać. Ramieniem przyciskała pokąsaną dłoń. Twarz miała mokrą od potu, a skóra nabrała niepokojącej, śmiertelnej bledkości.

Oparł głowę o korzeń i wziął kilka głębokich oddechów. Tu nie chodziło już o wyprawę – teraz to była sprawa życia i śmierci, kwestia przetrwania. Podjęte przez niego decyzje niewątpliwie zaważą na tym, czy on i Narov wyjdą z tego żywi.



Platynowe włosy Narov podtrzymywała błękitna opaska. Oczy miała zamknięte, jakby spała albo straciła przytomność, a jej oddech był płytki. Przez chwilę był pod wrażeniem tego, jak bardzo wydawała się piękna, i jaka bezbronna. Nagle otworzyła oczy.

Przez moment wpatrywały się w niego – szerokie, niewidzące, podobne szaroniebieskiemu burzowemu niebu. I wtedy odezwała się, z wyraźnym wysiłkiem, jakby skupiła myśli z powrotem na nieznośnie bolesnej terażniejszości.

– Boli – stwierdziła cicho przez zaciśnięte zęby. – Ja się stąd nie ruszę. Ty masz czterdzieści osiem godzin na znalezienie reszty. Mam plecak, wodę, broń, nóż. Zbieraj się.

Jaeger pokręcił głową.

– Zapomnij. – Zawiesił głos. – Nudzi mnie własne towarzystwo.

– A więc naprawdę jesteś pierdolonym Schwachkopf. – Jaeger zauważył cień uśmiechu migający w jej oczach. Po raz pierwszy widział u niej jakąkolwiek oznakę emocji, poza ledwie skrywaną wrogością, i to zbiło go z tropu. – Ale wcale się nie dziwię, że nudzi cię własne towarzystwo – podjęła. – Jesteś nudny. Przystojny, owszem. Ale też bardzo nudny...

Cień uśmiechu rozplątał się w ataku konwulsji.

Jaeger domyślał się, co chciała osiągnąć. Próbowala go sprowokować, doprowadzić do tego, że ją zostawi, tak jak sugerowała. Ale nie wiedziała jednej rzeczy – on nie zostawiał przyjaciół w potrzebie. Nigdy. Nawet tych świrniętych.

– No więc, zrobimy tak – oznajmił. – Zostawimy wszystko oprócz niezbędnych rzeczy, a Pan Nudny wytaszczy stąd twoje żalosne dupsko. Zanim zaczniesz się opierać, wiedz, że robię to, bo cię potrzebuję. Tylko ja znam współrzędne wraku. Jeśli nie przeżyję, misja skończona. Podam ci zaraz współrzędne, zastąpisz mnie, jeśli coś mi się stanie. Rozumiesz?

Rosjanka wzruszyła ramionami.

– Co za brawura. Ale w życiu ci się nie uda. Przez ciebie jedynie stracę plecak, a bez wody i jedzenia umrę. A to oznacza, że jesteś nie tylko nudny, ale i głupi.

Jaeger roześmiał się. Trochę kusilo go, żeby zmienić zdanie i ją zostawić. Zamiast tego wstał i przyciągnął do siebie plecaki, żeby wybrać najpotrzebniejsze rzeczy: apteczkę, jedzenie na czterdzieści osiem godzin dla ich dwojga, poncho do okrycia w czasie snu, amunicję, a także mapę i kompas. Dorzucił kilka pełnych manierek i lekki filtr Katadyn, by uzupełnić zapasy wody pitnej, i to było wszystko.

Chwycił swój plecak i zapakował na dno dwa worki wodoszczelne, a na nie lżejszy sprzęt. Cięższe rzeczy – jedzenie, wodę, nóż, maczetę, amunicję – rzucił na wierzch, żeby jak najwięcej ciężaru spoczęło wysoko na jego ramionach. Resztę wyposażenia zostawił tutaj – szybko pochłonie je dżungla.

Po przebraniu sprzętu założył swój Bergen na plecy, przerzucając strzelbę i broń Narov przez ramię tak, że ułożyły mu się z przodu. Na koniec wsadził trzy najważniejsze rzeczy –

dwie pełne menażki, kompas i mapę – do kieszonek, które przymocował na biodrach przy wojskowym pasie. I był gotów.

Jego GPS działał na podobnej zasadzie co telefon satelitalny, będzie więc niemal równie bezużyteczny pod gęstym okapem lasu. Jaeger musiał zatem przejść niemal trzydzieści kilometrów dziewiczej dżungli z wykorzystaniem marszu na azymut, sposobu nawigacji starego jak świat. Na szczęście nawet w erze nowoczesnej technologii była to umiejętność, do której SAS miało zaufanie i której uczyło wszystkich swoich żołnierzy.

Zanim podniósł Narov, przekazał jej współrzędne wraku, każąc powtórzyć kilkukrotnie, by upewnić się, że zapamiętała. Wiedział, że to pomoże jej mentalnie, jeśli będzie przypominał, że jest mu potrzebna. W głębi duszy zastanawiał się jednak, czy podoła. Taki dystans, w tak trudnym terenie, z tak dużym ciężarem zabiłyby większość ludzi.

Schylił się i chwycił Rosjankę, unosząc ją po strażacku, aż przewiesił ją twarzą w dół przez ramiona. Jej brzuch i pierś leżały dokładnie na plecaku, który przejął tym samym większość ciężaru, dokładnie tak, jak Jaeger planował. Zaciśnął pas i szelki Bergena, dociskając plecak do tułowia, żeby ciężar rozłożył się na całe ciało, łącznie z biodrami i nogami. Na koniec wyznaczył azymut za pomocą kompasu. Utkwił wzrok w charakterystycznie wyglądającym drzewie rosnącym trzydzieści metrów od niego, wyznaczając je na pierwszy punkt marszu.

– Okej – stęknął. – Nie tak to miało wyglądać, ale cóż – do dzieła.

– Co ty, kurwa, nie powiesz. – Narov skrzywiła się z bólu. – Mówiłam już: nudny i głupi.

Zignorował ją. Ruszył miarowym rytmem, odliczając każdy krok.

Odgłosy lasu zamknęły się wokół nich – wołanie dzikich zwierząt wysoko w okapie dżungli, bzyczenie tysięcy owadów buzujące w zaroślach, rytmiczny skrzek chóru żab, wskazujący, że gdzieś z przodu znajdowała się wilgotniejsza ziemia. Czuł, że roślinie wilgotność, czuł też kąpiący z niego pot. Ale coś jeszcze nie dawało mu spokoju, coś poza ich niebezpiecznym położeniem. Miał wrażenie, że nie są sami. Było to irracjonalne odczucie, ale nie mógł się go pozbyć. Robił, co mógł, by zostawiać jak najmniej śladów, bo z czasem nabral coraz większej pewności, że coś lub ktoś ich obserwuje – czuł palące spojrzenie na szyi i ramionach.

Szedł jednak dalej, choć z trudem, przygnieciony ciężarem, który dźwigał.

Dżungla z wielu powodów stanowiła najtrudniejszy obszar działania. W śniegach Arktyki jedyne zmartwienie to utrzymanie ciepła. Nawigacja jest dziecinnie prosta, bo niemal zawsze ma się dostęp do sygnału GPS. Na pustyni największe wyzwanie stanowiło znalezienie osłony przed skwarem oraz nawadnianie się na tyle, by przeżyć. Wyruszałeś nocą, a w dzień odpoczywałeś w cieniu.

Dżungla zaś to mnóstwo zagrożeń, którym inne miejsca nie mogły dorównać: wycieńczenie, odwodnienie, zakażenia, spuchnięte stopy, dezorientacja, ból, ukąszenia, skaleczenia, siniaki, owady przenoszące choroby, a także żarłoczne komary, dzikie zwierzęta, pijawki i węże. W dżungli przez cały czas zmagales się z zamkniętym, dusznym terenem, zaś w Arktyce i na pustyni miałeś wielkie, otwarte przestrzenie. Należało też liczyć się z zabójczymi pająkami i wrogimi plemionami, rzecz jasna.

Jaeger przypomniał sobie o tym wszystkim, kiedy przeciskał się przez gęste zarośla, mając pod stopami śliską i zdradliwą ziemię. Mocny zapach stęchlizny i rozkładu kręcił go w nosie. Teren obniżał się, w miarę zbliżania się do Rio de los Dios. Niedługo dotrą nad północny brzeg rzeki – i wtedy zaczną się prawdziwe problemy.

Póki szli w górę, było nieco łatwiej, bo ziemia robiła się bardziej sucha, a roślinność rzadsza. Ale prędzej czy później musieli przeprowić się przez Rio de los Dios, a to oznaczało zejście na gęściej porośnięte i bardziej bagniste tereny. Jaeger przystanął na chwilę, by złapać oddech i ogarnąć wzrokiem drogę przed sobą.

Naprzeciwko ciągnął się głęboki jar, który w czasie deszczu niewątpliwie odprowadzał wodę do rzeki. Ziemia w nim, pozbawiona dostępu światła, wydawała się mokra i grząska. Rynnę porastały średniej wielkości drzewa, a ich pnie straszyły koszmarnymi, kilkucentymetrowymi kolcami. Jaeger dobrze znał te rośliny. Ich kolce nie były trujące, ale to nie miało wielkiego znaczenia. Upadł kiedyś na jeden z nich podczas szkolenia w dżungli. Twarde drzazgi przebiły mu ramię w kilku miejscach, a w rany szybko wdało się zakażenie. Odtąd zawsze nazywał je „drzewami-skurwysynami”. Między tymi groźnymi pniami wisiały grube pnącza, również wyposażone w okrutnie zakrzywione kolce. Jaeger wyciągnął kompas i szybko określił położenie. Wą-

wóz prowadził wprost na południe, w stronę, w którą musiał podążyć, ale uznał, że lepiej będzie go ominąć.

Ustalił azymut na zachód, orientując się na kępę drzew, i ruszył w ich kierunku. Zamierzał obejść wąż po kwadracie, a po jakimś czasie skrócić na południe, co powinno doprowadzić go prosto do rzeki. Co dwadzieścia minut zdejmował Narov z barków, by zaczerpnąć tchu i łyknąć trochę wody. Nigdy jednak na dłużej niż na dwie minuty, a potem ruszał dalej.

Kiedy zaczął schodzić w dół, przerzucił sobie Rosjanke wyżej na barki. Przez chwilę zastanawiał się, jak się trzyma. Odkąd wyruszyli, nie odezwała się ani słowem. Jeśli straci całkiem przytomność, przeprawa przez rzekę stanie się niemal niemożliwa, a Jaeger będzie musiał wymyślić nowy plan.

Piętnaście minut później zsunął się z płytkiego zbocza, zatrzymując się przed zwartą ścianą roślinności. Po jej drugiej stronie dostrzegł ruszającą się masę – sporadycznie przedzierał się przez nią błysk słońca. Woda. Był prawie nad rzeką.

Dżungla – roślinność nietknięta od stuleci – zazwyczaj składała się z wysokiego leśnego okapu i stosunkowo rzadkiej roślinności na poszyciu. Jednak tam, gdzie taki dziewiczy las deszczowy był naruszony – na przykład przecięty autostradą albo korytem rzeki – w powstałych przesiekach rozwijała się wtórna roślinność.

Rio de los Dios przebijiała się nasłonecznionym tunelem przez dżunglę, a po obu jej stronach kłębiły się gęste, splątane zarośla, przypominające ciemną skalną ścianę nie do przebycia – wysokie olbrzymie obrzeżone mniejszymi roślinami podobnymi do palm, z paprociami drzewiastymi i płożącymi się pnączami. Nie do pokonania z takim ciężarem.

Skręcił na wschód, idąc brzegiem, aż dotarł do wąwozu, który wcześniej ominął. W miejscu, w którym ten wpadał do rzeki, większość roślinności została wymyta, pozostawiając malutką, skalistą plażę, nie szerszą niż przeciętna wiejska dróżka. Była w sam raz. Mogli się stamtąd przeprocować – o ile Narov miała na tyle sił, by temu podolać.

Ściągnął ją z ramion i opuszczył na ziemię. Niemal nie dawała znaku życia i Jaeger przez jedną straszłą chwilę bał się, że pajęczy jad zabił Rosjanke, kiedy niósł ją przez dżunglę. Próbuąc wyczuć puls, zauważył jednak, jak konwulsje co jakiś czas wstrząsają jej kończynami, kiedy jad próbował dostać się w głąb organizmu. Drgawki nie były już tak silne jak na początku, więc antidotum najwyraźniej działało. Mimo to nie reagowała na żaden bodziec, była nieprzytomna. Uniósł jej głowę i podtrzymując jedną ręką, próbował wlać do ust trochę wody. Przelknęła kilka łyków, ale wciąż nie zanosilo się na to, by otworzyła oczy.

Jaeger sięgnął do plecaka i wyjął odbiornik GPS. Chciał sprawdzić, czy urządzenie widziało dość nieba, by znaleźć wystarczająco mocny sygnał. Zapiszczało raz, drugi i trzeci, a na ekranie mignęły ikony satelitów. Sprawdził ich pozycję – otrzymana siatka GPS potwierdziła, że nic nie stracił ze swoich umiejętności nawigacyjnych.

Przez chwilę wpatrywał się w rzekę, rozmyślając nad czekającą ich przeprawą. Rio de los Dios była szeroka na dobre pięćset metrów, może więcej. Tu i tam, ponad ciemną, wolno płynącą wodę wystawały niewielkie ławice. Niestety, na jednej czy drugiej Jaeger dostrzegł to,

czego najbardziej się obawiał – smukłe kształty olbrzymich jaszczurowatych stworzeń, wygrzewających się w porannym skwarze. Największe drapieżniki w całej Amazonii. Krokodyle. A dokładniej, ponieważ była to Ameryka Południowa – kajmany.

Kajman czarny – *Melanosuchus niger* – może mierzyć nawet pięć metrów długości i ważyć około czterystu kilogramów, ponad pięć razy więcej niż przeciętny człowiek. Jest potężny i ma skórę grubą jak u nosorożca. Nie ma za to żadnych naturalnych wrogów. Nic dziwnego, pomyślał Jaeger. Słyszał kiedyś, jak ktoś nazwał go „krokodylem na sterydach” i faktycznie, trudno było znaleźć gatunek większy i bardziej agresywny. Muszą być bardzo ostrożni, zanotował w pamięci.

Przypomniał sobie, że kajmany czarne mają stosunkowo słaby wzrok, przystosowany głównie do polowania po ciemku. Pod wodą widziały niewiele, zwłaszcza w rzekach tak zamulonych jak ta. Żeby zaatakować, musiały unieść głowę ponad powierzchnię – a wtedy łatwo je było zauważyć. O wiele częściej szukały ofiary, kierując się węchem. Przez chwilę Jaeger sprawdzał, gdzie Narov skaleczyła go nożem, gdy próbował parować jej pchnięcia w czasie tego szalonego spadania. Rana już dawno przestała krwawić, ale najlepiej było trzymać ją z dala od wody.

Nie mając innego planu, zabrał się za realizację jedynego, który wymyślił. Otworzył plecak i wydobyl wodoszczelne worki woporowe. Wyjął też pozostałe rzeczy i rozdzielił je między obie wkładki, żeby rozłożyć równo wagę. Następnie włożył jedną z wkładek do plecaka, napompował ją i zamknął, zawijając zamknięcie dwa razy i zapinając, a potem napompował i uszczelniał drugą wkładkę. Spiał plecak i tę drugą wkładkę klamrami. Przywiązał długie kawałki linki spadochronowej do broni swojej i Narov, przymocowując luźne końce do dwóch rogów tego prowizorycznego pływaka za pomocą szybko rozwiązywalnych węzłów. Dzięki temu, jeśli któraś broń wpadnie do wody, będzie mógł ją wyciągnąć. Potem z zarośli rosnących przy brzegu wybrał gruby bambus. Ściął go maczetą i podzielił pień na półtorametrowe kawałki. Przepolował dwa kawałki ostrzem, by uzyskać cztery poprzeczne tyczki. Ułożył dłuższe tyczki w rzędzie, przywiązał do nich linką poprzeczne rozpórki i połączył to wszystko, uzyskując prostą ramę, którą z kolei przymocował do worków woporowych. Zaciągnął zaimprovizowaną tratwę na pływaczynę i usiadł na niej okrakiem, by sprawdzić wytrzymałość. Swobodnie przyjęła jego ciężar, unosząc się wysoko na wodzie, tak jak planował. Uznał, że jest gotowy. Był prawie pewien, że tratwa udźwignie Rosjanke.

Przycumował tratwę i poświęcił chwilę, by przefiltrować wodę. Rozsądnie było mieć pełne menażki, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, ile wypacał. Zassał brudną, brązową wodę przez rurkę wlotową, a filtr odsączył czystą, rześką ciecz do menażki. Napił się, a potem napelniał obie. Właśnie kończył, gdy przez duszny upał przedarł się zmęczony głos – wątpy, ściśnięty bólem, chrapliwy z wyczerpania.

– Nudny, głupi... i na wpół obłąkany. – Narov ocknęła się i widziała, jak sprawdza tratwę. Wskazała na nią słabym ruchem ręki. – Nie ma szans, żebyś mnie na to wrzucił. Czas, żebyś pogodził się z nieuniknionym i ruszył dalej sam.

Jaeger zignorował tę uwagę. Ułożył zwróconą do przodu broń po obu stronach tratwy, a potem przykucnął przy Narov.

– Kapitan Narov, pani powóz czeka. – Wskazał na prowizoryczną łódkę. Czuł, jak go skręca w żołądku na myśl o tym, co teraz miało nastąpić, ale wyrzucił to z głowy. – Zaniosem cię i położę na tratwie. Jest stabilna, ale spróbuj się nie kręcić. I nie zrzuć broni do wody.

Uśmiechnął się zachęcająco, ale ledwie była w stanie zareagować.

– Poprawka – szepnęła. – Nie na wpół obłąkany, tylko prawdziwy świr. Ale jak widzisz, nie jestem w stanie się opierać.

Podniósł ją.

– Zuch dziewczyna.

Zmarszczyła brwi. Była zbyt wykończona, by pokusić się o odpowiednią ripostę.

Jaeger ułożył ją delikatnie na tratwie, przestrzegając, by złączyła nogi. Zwinęła się pozycję embrionalną, tratwa zanurzyła się dobre piętnaście centymetrów pod jej ciężarem, lecz i tak większość pozostała nad powierzchnią. Mogli ruszać.

Jaeger wszedł głębiej, pchając tratwę przed sobą, brodząc w gęstym, chlupoczącym błocie. Woda była letnia i zawieszista. Co jakiś czas zahaczał nogą o kawałki zgniłej roślinności, gałęzie drzew, zanurzone w gęstym mule. Kiedy następował na nie, na powierzchni pojawiały się długie linie bąbelków – to ulatniały się gazy z ich rozkładu.

Gdy woda sięgnęła mu do piersi, zaczął płynąć. Prąd był silniejszy, niż się spodziewał, i nie wątpił, że szybko zniesie ich w dół rzeki. Jednak z powodu tego, co czaiło się w wodzie, za wszelką cenę chciał mieć już tę przeprawę za sobą.

Przeplłynął przez pierwszy otwarty odcinek rzeki, trzymając tratwę obiema rękami. Narov leżała przed nim, zwinięta w kulkę, bez ruchu. Bardzo ważne było, żeby posuwał się prosto i równo. Gdyby tratwa zaczęła gwałtownie się obracać albo chwiać, Rosjanka wypadłaby za burtę, co oznaczałoby niechybną śmierć. Była za słaba, by poradzić sobie samej czy nawet unosić się na wodzie.

Jaeger rozejrzał się po rzece. Zajmował pozycję niemal równo z lustrem wody, co dawało mu dziwną perspektywę. Pomyślał, że tak muszą czuć się kajmаны, krążąc w niemal pełnym zanurzeniu i polując na swoje ofiary. Zerkał na prawo i lewo, sprawdzając, czy któryś nie zmierza w ich stronę.

Był dwadzieścia metrów od ławicy, gdy zauważył pierwszego. Jego uwagę przyciągnął ruch. Dostrzegł, jak kajman wślizguje się do wody dobre sto metrów lub więcej w górę rzeki. Choć na lądzie zwierzę było niezgrabne, w wodzie poruszało się ze śmiertcioną szybkością i wdziękiem, a Jaeger poczuł, jak mięśnie napinają mu się w oczekiwaniu na walkę.

Kajman nie popłynął jednak w ich kierunku, zamiast tego zwrócił pysk na północ, pokonując ponad pięćdziesiąt metrów pod prąd. Potem wygrzebał się na ławicę i wrócił do tego, co robił wcześniej – do wygrzewania się w słońcu. Jaeger odetchnął z ulgą. Przynajmniej jeden kajman nie był głodny.

Kilka chwil później poczuł, że jego buty dotknęły dna. Brodząc, zepchnął tratwę na pierwszy skrawek łądu – połać bagnistego osadu szeroką na kilka metrów. Przeniósł się na przód tratwy i zaczął ją ciągnąć. Mięśnie paliły go z wysiłku, a nogi zapadały się z każdym krokiem głęboko w czarnym, lepkim mule. Dwa razy zupełnie stracił oparcie, upadał na ręce i kolana, obryzgując się cały śmierdzącym szlamem. Przez chwilę przypominały mu się mokradła, w których ukryli się z Raffem na Bioko. Z tą różnicą, że tam nie trzeba było uważać na kajmаны.

Kiedy dowlókl się na skraj głębszej wody, był pokryty od stóp do głów cuchnącą, czarną mazią, a serce z wysiłku waliło mu jak karabin maszynowy. Ocenił, że miał przed sobą jeszcze dwie płytkie ławice, których nie mógł ominąć – musiał się przez nie przeprawić. Jak nic będzie kompletnie wyczerpany, gdy w końcu dotrą na drugą stronę. *O ile dotrą.*

Znow brodził, ciągnąc tratwę za sobą, a potem wrócił do poprzedniej pozycji, „na burcie”. Odbił się od dna i popychał na środek rzeki tratwę, którą coraz mocniej szarpał prąd. Musiał włożyć całą siłę w to, by utrzymać ją równo, z trudem posuwając się naprzód.

Woda dole rzeki była płytsza, ale przy brzegu prąd okazał się silniejszy. Jaeger zauważył, że rzeka wzburzała się w miejscu, gdzie opływała skały, tworząc wstęgę piany. Musiał przedostać się na drugą stronę, zanim porwą ich te bystrza.

Zbliżali się właśnie do drugiej ławicy, gdy Jaeger poczuł dotknięcie – coś otarło się o jego prawe ramię. Podniósł wzrok i dostrzegł, że to Narov. Złapała palcami jego dłoń i lekko ścisnęła.



Nie wiedział, co próbowała mu powiedzieć – ta kobieta była jedną wielką niewiadomą, jej twarz pozostawała nieodgadniona. Ale kto wie, może lodowa pokrywa zaczęła trochę topnieć.

– Wiem, co myślisz. – Jej głos był ledwo słyszalny, zredukowany do półszepotu przez toksyny trawiące organizm. – Ale nie próbuję cię poderwać. Próbuję cię ostrzec. Ten kajman tu płynie.

Przytrzymując tratwę nadgarstkami, złapał broń za uchwyty, zaciskając palce na spustach i omiatając lufami wodę w prawo i lewo, przeczesując wzrokiem powierzchnię.

– Gdzie? – syknął. – Z której strony?

– Godzina jedenasta – szepnęła. – Mniej więcej na wprost. Dziesięć metrów. Szybko się zbliża.

*Zachodził go od tyłu.*

– Trzymaj się mocno – krzyknął.

Błyskawicznie rozsupłał węzeł przytrzymujący strzelbę, chwycił ją i odepchnął się od tratwy, nurkując pod nią. Gdy wynurzył się po drugiej stronie, zobaczył ogromny czarny pysk przecinający wodę i pokarbowane, pokryte łuskami, opancerzone cielsko, wijące się dobre pięć metrów za nim. To był kajman czarny jak nic, i do tego prawdziwy potwór.

Jaeger wymierzył akurat wtedy, gdy paszcza otworzyła się szeroko przed nim. Spoglądał w samo gardło drapieżnika. Nie było czasu na celowanie. Nacisnął spust niemal z przyłożenia, odciągając łożę i przeładowując raz i drugi.

Siła następujących po sobie strzałów rozerwała głowę gada, wyrzucając ją w powietrze, ale nie zatrzymała jego rozpędu. Może i zginął od razu, gdy śrut poszarpał mu mózg, ale i tak zakrwawione ciało uderzyło w Jaegera z całą mocą czterystukilowej wagi. Poczul, jak impet wytrąca mu powietrze z płuc, jak wciąga go pod tratwę i jak zamykają się wokół niego ciemne i mętne wody.

Tymczasem na górze zakrwawiona przednia część cielska kajmana zatrzymała się ze wstrętnym chrzęstem, wlepiając martwe, żarłoczne ślepia w niedoszłą ofiarę, a poszarpana szczeka opadła na przód tratwy. Lekki pokład przechylił się niepokojąco, a uderzenie przełamało go na pół. Kilka chwil później bezwładne, nieruchome zwłoki gada osunęły się pod wodę.

Tratwa przechyliła się jeszcze bardziej. Mulista woda zaczęła chłupotać wokół głowy i ramion Narov, kiedy pokład odbił się od skał i porwało go pierwsze bystrze. Poczula, że tratwa tonie. Przez moment napięła mięśnie, próbując utrzymać się na niej.

Ale nie miała dość siły.

Jaeger w końcu zdołał wypłynąć, wykrztuszając z płuc cuchnącą wodę. Był pod powierzchnią głęboko i długo, walcząc o życie, i czuł się na wpół utopiony. Przez chwilę próbował złapać oddech – jego ciało dopominało się o tlen, rozpaczliwie chłonąc życiodajne powietrze.

Z obu stron nadciągały kolejne kajmany, płynąc w stronę szczątków potwora, którego właśnie zabił. Przyciągał je zapach krwi. Jaeger stracił strzelbę, gdy został wciągnięty pod wodę,

i był teraz właściwie bezbronny, ale kajmany nie zwracały na niego większej uwagi. Mogły się pożywić jednym ze swoich braci, a smak krwi w wodzie działał na nie odurzająco.

Przez dłuższą chwilę Jaeger próbował zorientować się w terenie. I wtedy jego też porwały bystre prądy. Gdy zarzuciło go na skały, starał się osłaniać tułów, trzymając stopy przed sobą, by odpychać się od ewentualnych przeszkód, a ręce wyciągnął po bokach dla stabilizacji.

Dostał się w wolniejszy prąd na skraju bystrza i zaczął rozglądać się dookoła w poszukiwaniu tratwy. Przeczesał lustro wody, ale nie mógł jej nigdzie dostrzec. Zniknęła zupełnie, a Jaegerowi dosłownie zmroziło krew w żyłach. Szukał i szukał, coraz bardziej gorączkowo, ale bez powodzenia.

Irina Narov też zniknęła bez śladu.

Wydrapał się na brzeg. Osunął się na kolana, przemoczony, wycieńczony. Palily go mięśnie, a płuca z trudem łapały powietrze. Gdyby ktoś go teraz widział, uznałby go chyba raczej za ubłoconego, podtopionego szczura niż za człowieka – choć nie spodziewał się, żeby śledziły go jakieś spojrzenia.

Przez wiele godzin przeczesał Rio de los Dios wzdłuż i wszerz w poszukiwaniu Iriny. Rozglądał się od brzegu do brzegu, sprawdzając wszędzie i wykrzykując jej imię. Nie udało mu się jednak znaleźć choćby najmniejszego śladu – ani jej, ani tratwy. I wtedy odkrył to, co najbardziej bał się znaleźć – swój plecak i worek woporowy, wciąż spięte razem, ale porwane i poszarpane przez zęby i pazury kajmanów.

Zniszczone szczątki tratwy zostały wyrzucone na płyciznę daleko w dole rzeki. Na sąsiedniej ławicy znalazł niepokojący ślad kobiety, którą tak rozpaczliwie starał się uratować – błękitną opaskę na włosy, teraz przemoczoną, podartą i uwalaną w błocie.

Kontynuował przeszukiwanie brzegów tak daleko, jak zdołał dojść, ale obawiał się, że to daremny wysiłek. Przypuszczał, że Rosjanka została zrzuciona z tratwy w chwili, gdy martwe cielsko gada pociągnęło go w atramentowe otchłanie. Prądy i kajmany zrobiły resztę.

Walczył prawie minutę, by wydostać się na powierzchnię, a to wystarczyło, by tratwę pochłonął nurt. Gdyby była cała i unosiła się na wodzie, na pewno by ją zauważył. Mógłby ją złapać i zaciągnąć na ląd. A gdyby Irina Narov nadal z nim była, może zdołałby ocalić jej życie.

A tak, no cóż... Nie chciał myśleć, co dokładnie ją spotkało, ale ani przez chwilę nie wątpił, że zginęła. Utopiła się w Rio de los Dios albo rozerwały ją na strzępy żarłoczne kajmany – a najpewniej jedno i drugie. A on, Will Jaeger, nie mógł zrobić nic, żeby ją uratować.

Wstał z wysiłkiem i powlókł się po mulistym brzegu. Był wprawdzie w szoku, ale do głosu doszło teraz to, co dzięki wojskowemu szkoleniu stało się jego drugą naturą. Wszedł w tryb przetrwania – jedyne, co potrafił w takim momencie. Stracił Narov, ale reszta ekipy wciąż znajdowała się gdzieś tam w dżungli. Na dalekiej mierzei czekało zapewne ośmioro ludzi, za których był odpowiedzialny.

Nie mieli współrzędnych, żadnego sposobu, by znaleźć wrak, a oprócz marszu do celu nie było innej prostej metody wydostania się z tego brutalnego „zaginionego świata”, żadnej alternatywnej strategii. Wydostanie się z miejsca tak odludnego i najwyraźniej przekłętą jak Cordillera de los Dios, wymagało, jak Jaeger dobrze wiedział, starannego planowania i przygotowań.

Jeśli śmierć Rosjanki nie miała być całkowicie bezsensowna, musiał odnaleźć resztę ekipy i pomaszerować z nimi dalej. Musiał doprowadzić ich do wraku, a żeby to zrobić, musiał dotrzeć do mierzei – choć jego szanse szybko malały.

Opróżnił kieszenie, a także zasobniki przy pasie. Nie miał pojęcia, co zostało mu z wyposażenia, o ile w ogóle coś przetrwało tę chaotyczną przeprawę przez rzekę. Plecak nie nadawał

się już do niczego – porwany przez kajmany i pusty – ale przeglądając swój skromny dobytek, zaczął dziękować Bogu. Wciąż miał najważniejszy element – kompas, wepchnięty głęboko w kieszeń spodni zamkniętej na zamek. Już samo to dawało szansę na dotarcie na miejsce. Wyciągnął z bocznej kieszeni mapę, przemoczoną i pociętą, ale w miarę czytelną. Miał mapę i kompas – zawsze to lepsze niż nic.

Sprawdził nóż przypięty do piersi. Nadal tam był, zamknięty w pochwie – nóż, który dostał od Raffa, a który tak bardzo mu się przysłużył podczas epickiej walki na plaży w Fernao. Chwilę po tym, kiedy zginął Mały Mo.

Tak wiele śmierci – a teraz musiał pogodzić się z kolejną.

Jaeger oddałby wszystko, żeby mieć teraz przy sobie Raffa. Gdyby wielki Maorys tu był, może Narov nadal by żyła. Niczego nie mógł przesądzać, ale Raff pomógłby mu w starciu z zabójczym kajmanem, a któryś z nich zapewne wyszedłby z pierwszego ataku bez szwanku i mógłby ubezpieczać tratwę i jej cenny ładunek.

Był jednak sam, a Irina Narov nie żyła. Musiał pogodzić się z brutalną rzeczywistością. Nie miał wyboru, trzeba było ruszyć dalej.

Sprawdził resztę ekwipunku. Uratowały się dwie pełne menażki zawieszane u pasa – ale filtr przepadł. Przetrwowało trochę racji żywności, zwój linki spadochronowej, do tego dwa tuziny nabojów. Zostawił je – bez broni stanowiły jedynie zbędny balast.

Nagle zatrzymał wzrok na błyszczącej monecie wojskowej. Motto Nocnych Łowców załśniło w słowcu: „Śmierć czeka w ciemnościach”. To prawda, śmierć uzbrojona w zęby i pazury czaiła się w mrocznych wodach Rio de los Dios.

I dopadła ich, a przynajmniej Narov.

To jednak nie była w żadnym razie wina pilota, rzecz jasna. Wypuścił ich z samolotu we właściwym punkcie, co było nie lada wyczynem, za późniejszą katastrofę też nie odpowiadał. Moneta powędrowała więc głęboko do kieszeni, z całą resztą skąpego dobytku. To nadzieja pozwalała ludziom przeżyć, upomniął się w myślach.

Ostatni element wyposażenia wymagał dłuższego namysłu – nóż Iriny Narov.

Kiedy Jaeger odciął ich od liny zjazdowej, przyczepił nóż do swojego pasa. Wtedy, wśród całego chaosu, kiedy ukąszenie wyłączyło Rosjanek z gry, wydawało się, że zrobił dobrze. Teraz zaś była to jedyna rzecz, która mu po niej została.

Trzymał nóż przez dłuższą chwilę w dłoniach. Jego wzrok przebiegł po nazwie wytłoczonej na stalowej rękojeści. Dobrze znał jego historię, bo przestudiował dzieje egzemplarza, który należał do dziadka Teda.

Po hitlerowskim Blitzkriegu wiosną 1940 roku – „wojnie błyskawicznej”, która wyparła alianckich żołnierzy z Francji – Winston Churchill zarządził utworzenie specjalnej jednostki do prowadzenia precyzyjnych ataków dywersyjnych. Ochotników nauczono walczyć w bardzo wówczas „niebrytyjski” sposób – szybko i nieczysto, na zasadzie „wszystkie chwytty dozwolone”. Przyszłym skrytobójcom i sabotażystom pokazano na szkoleniu, jak łatwo zadawać ból, okaleczać, ranić i zabijać. A wszystko pod okiem legendarnych instruktorów, Williama Fairbairna i Erica „Billa” Sykesa, którzy udoskonalili przez lata metody cichej eliminacji przeciwnika w walce wręcz.

Sykes i Fairbairn zamówili w Wilkinson Sword noże szturmowe jako wyposażenie ochotników. Miały osiemnastocentymetrowe ostrze, dobrze wyważoną rękojeść ułatwiającą trzymanie broni nawet po jej zamoczeniu, do tego ostre jak brzytwa krawędzie i przypominający igłę profil, idealny do pchnięć. Gdy noże zjechały z londyńskiej linii produkcyjnej, na kwadratowej

głowicy miały wytłoczone słowa: „The Fairbairn-Sykes Fighting Knife” – nóż bojowy Fairbairna-Sykesa. Instruktorzy uczyli ochotników, że w walce wręcz nie ma bardziej śmiercionośnej broni i – co najważniejsze – w niej nigdy nie kończy się amunicja.

Jaeger nie miał okazji zobaczyć, jak Narov używa swojego noża w walce. Ale to, że zdecydowała się nosić akurat ten – ten sam, którego używał jego dziadek – w pewnym stopniu go do niej przekonywało, choć nie miał możliwości zapytać, skąd miała taką broń i co właściwie dla niej znaczyła. Zastanawiał się, jak brytyjski nóż szturmowy znalazł się w rękach Rosjanki i weteranki Specnazu. I dlaczego powiedziała, że „świetnie nadaje się do zabijania Niemców”? W czasie wojny był to element wyposażenia każdego brytyjskiego komandosa i żołnierza SAS, i niewątpliwie to kultowe ostrze przyczyniło się do śmierci niemałej liczby nazistów. To było jednak wiele dziesięcioleci temu, w zupełnie innym świecie.

Jaeger wsunął nóż do pochwy na pasie.

Przez krótką chwilę zastanawiał się, czy popełnił błąd, że upierał się, by zabrać Narov. Gdyby zrobił to, o co prosiła, i zostawił ją, bardzo możliwe, że nadal by żyła. Ale on po prostu miał zakodowane w genach, że nigdy nie zostawiał swoich ludzi – kobiety czy mężczyzny, bez różnicy. A poza tym, jak długo by przeżyła?

Nie. Im dłużej o tym myślał, tym bardziej uświadamiał sobie, że postąpił słusznie. To było jedyne wyjście. Zginęłyby tak czy owak. Gdyby ją zostawił, umierałaby dłużej, wolniej i w samotności. Zepchnął wszystkie myśli o Narov w głąb świadomości.

Zrobił bilans. Czekala go trudna wędrówka – ponad dwadzieścia kilometrów przez gęstą dżunglę z raptem dwoma litrami czystej wody. Bez jedzenia człowiek może wytrzymać wiele dni, bez wody nie. Musiał ją ściśle racjonować – jeden łyk na godzinę, dziewięć łyków w meżące, maksymalnie osiemnaście godzin marszu.

Spojrzał na zegarek. Tylko dwie godziny pozostały do zmroku. Jeśli chciał dotrzeć do mie-rzei, będzie musiał zapewne iść nocą, co w dżungli było bardzo, ale to bardzo niewskazane. W kompletnych ciemnościach, pod okapem drzew, nie sposób cokolwiek zobaczyć.

Nie miał przy sobie niczego, czym mógłby się bronić, poza gołymi rękami i nożem. Gdyby wpadł w poważne tarapaty, pozostawała mu jedynie ucieczka. Był jeden atut – nie musiał już dźwigać Narov, której ciężar go spowalniał.

Całe wyposażenie miał na sobie, co oznaczało, że mógł poruszać się szybko. Uznał, że jego szanse są całkiem spore. Ale mimo to przerażała go myśl o nadchodzącym marszu.

Podniósł się, ułożył kompas na dłoni i wymierzył azymut. Pierwszym punktem orientacyj-nym był zwalony pień drzewa, mniej więcej prosto na południe – w kierunku, w którym musiał podążyć. Schował kompas, schylił się, podniósł dziesięć kamyków i włożył je do kieszeni. Co dziesięć kroków będzie przekładał jeden do kieszeni po drugiej stronie. Kiedy przełoży wszyst-kie, będzie to oznaczało, że przeszedł sto kroków.

Z wieloletniego doświadczenia wiedział, że potrzeba siedemdziesięciu pełnych kroków<sup>23</sup> na przebycie stu metrów terenu, jeśli idzie się po nizinie i z lekkim obciążeniem. Z pełnym plec-

kciem, bronią i amunicją potrzeba osiemdziesięciu, bo nogi unoszą się niżej pod większym ciężarem. Wdrapując się stromo pod górę, mógł potrzebować stu.

---

### 23) Odległość między kolejnymi śladami lewej stopy

Przekładanie kamyków stanowiło prosty system, który pomógł mu już niezliczoną ilość razy podczas forsownych marszów po trudnym terenie. Będzie miał zajęcie, które pozwoli mu się skupić.

Zanim ruszył, wziął jeszcze długopis i zaznaczył swoją obecną pozycję. Obok napisał: „Ostatnia znana lokalizacja Iriny N.”. Dzięki temu, jeśli będzie miał okazję, może wrócić w to miejsce i przeszukać je metodycznie, mając czas i ludzi, by znaleźć jej zwłoki. Wtedy przynajmniej miałby co zwrócić rodzinie – choć Jaeger nie wiedział, kim byli jej bliscy i gdzie ich szukać.

Zaczął iść, iść i liczyć.

Zagłębił się w las, co dziesięć kroków przerzucając kamyk z jednej kieszeni do drugiej. Po godzinie nadszedł czas na pierwszy szybki łyk wody i sprawdzenie mapy.

Zaznaczył pozycję – dwa kilometry na południe od brzegu rzeki – wyznaczył azymut i ruszył dalej. Teoretycznie był w stanie pokonać całą drogę przez dżunglę do mierzei za pomocą prostego „marszu na azymut”. Czy mu się uda, z dwoma litrami wody i bez broni, to już inna kwestia.

Kiedy gęsty mrok dżungli pochłaniał jego samotną postać, wciąż czuł na sobie to tajemnicze spojrzenie, obserwujące go zza osłony cienia. Przeciskając się przez ciemny, groźny las, trzymał lewą ręką kieszeń pełną kamyków, a jego usta poruszały się, odliczając kroki.

Kilkaset kilometrów od niego odezwał się inny głos:

– Szary Wilk, tu Szary Wilk Sześć. Szary Wilk, tu Szary Wilk Sześć. Odbiór?

Człowiek, który to mówił, pochylał się nad radioodbiornikiem w zamaskowanym namiocie na skraju prowizorycznego lądowiska. Ze wszystkich stron otaczała go ściana drzew, a na postrzępionym, szarym niebie rysowały się dalekie wzgórza. Na ubitej ziemi pasa startowego stały czarne śmigłowce z opadającymi łopatkami wirników. I nic poza tym.

Sceneria przypominała Serra de los Dios, ale nie do końca. Miejsce to leżało blisko, ale nie za blisko.

To była południowoamerykańska dżungla, ale gdzieś wyżej w górach, w miejscu dziewiczym i odludnym, ukrytym wśród dzikiego pogórza Andów, które rozciągały się dalej, na terytorium Boliwii i Peru. Idealne miejsce dla tego rodzaju tajnej operacji, mającej sprawić, by samolot z czasów drugiej wojny światowej zniknął na zawsze, bez śladu.

– Szary Wilk, tu Szary Wilk Sześć – powtórzył radiooperator. – Odbiór?

– Szary Wilk Sześć, tu Szary Wilk – potwierdził głos. – Meldunek, odbiór.

– Dotarliśmy na miejsce zgodnie z planem. Czekam na dalsze rozkazy.

Przez kilka sekund przysłuchiwał się poleceniom. Kimkolwiek był ten człowiek – ten żołnierz – to na jego mundurze połowym w kolorze khaki nie dało się dostrzec ani jednego oznaczenia jednostki ani stopnia, a nawet narodowości. Namiot też w żaden sposób nie zdradzał tożsamości. Nawet śmigłowce ustawione w rzędzie na lądowisku pozbawione były nadruków, numerów bocznych czy jakichkolwiek flag państwowych.

– Tak jest – potwierdził operator. – Mam na ziemi sześćdziesięciu ludzi. Nie było łatwo, ale dowieźliśmy ich tutaj.

Przez kilka sekund nasłuchiwał rozkazów, a potem je powtórzył, dla potwierdzenia, że dokładnie zrozumiał:

– Użyć wszelkich środków, by zdobyć współrzędne samolotu. Nie oszczędzać nikogo podczas poszukiwań jego położenia. Potwierdzam przyjęcie rozkazu.

Zaszumiał krótki komunikat, a potem zabrzmiała ostatnia odpowiedź operatora:

– Tak jest. Tamci mają dziesięciu ludzi, wszyscy do wyeliminowania. Nikogo nie zostawiać przy życiu. Szary Wilk Sześć, bez odbioru.

Potem przerwał połączenie.



Jaeger osunął się na kolana i złapał się za bolącą, pulsującą głowę. Miał wrażenie, jakby jego mózg kręcił się niekontrolowanie, chcąc rozerwać czaszkę.

Przed oczami zawirowała mu sękata, poskręcana roślinność, przeobrażając się w wijącą się hordeę przerażających potworów. Przypuszczał, że niedługo straci przytomność. Wiele godzin temu zaczęły się objawy dezorientacji, gdy odwodnienie osiągnęło wartości krytyczne, a potem dołączyły coraz mocniejszy ból i halucynacje.

Z dala od rzeki nie było za wiele wody, a jeszcze nie padało – Jaeger liczył, że deszcz postawi go na nogi. Menażki już od dawna ziały pustką i był zdany na picie własnego moczu. Ale jakoś godzinę temu zupełnie przestał sikać – przestał też się pocić – niezawodna oznaka bliskiej zapaści. Mimo to jakimś cudem włókł się przed siebie.

Dźwignął się na nogi siłą woli, stawiając jeden niepewny krok za drugim.

– Will Jaeger nadchodzi! – odezwał się jego głos, zachrypnięty, gardłowy i suchy, przebijając się echem przez bezładną masę drzew okalających go z każdej strony. – Will Jaeger się zbliża!

Było to ostrzeżenie dla członków ekipy, którzy powinni znajdować się tuż przed nim, na mierzei – do której się zbliżał, a przynajmniej miał taką nadzieję, i o to się modlił. Z drugiej strony, zaczął mieć wątpliwości, czy znajdował się we właściwym miejscu – w końcu przez ostatnie kilka godzin był ledwie przytomny. Szukał malutkiej przesieki w ogromnej połaci dżungli, mając niemal zerowy margines błędu.

Szedł dalej ciężko, powłócząc nogami, zataczając się z wycieńczenia, z szalejącym umysłem, ale wciąż jakimś cudem odliczając kroki, przerzucając kamyki z jednej kieszeni do drugiej, by odmierzyć przebytą drogę.

To pewne jak dwa a dwa cztery, że nikt nigdy nie przeszedł przez dżunglę w linii prostej, a już na pewno nie człowiek w jego stanie, zmuszony do wędrówki po nocy. Dlatego dwadzieścia siedem kilometrów na mapie zmieniło się w ponad czterdzieści pięć na ziemi. Bez wody był to nadludzki wyczyn. Spróbował zawołać raz jeszcze:

– Will Jaeger nadchodzi!

Bez odpowiedzi. Zatrzymał się, starając się stać nieruchomo i słuchać, ale chwiał się ze zmęczenia. Spróbował ponownie, tym razem głośniejsze:

– Will Jaeger się zbliża!

Po chwili ciszy odezwał się głos:

– Stój albo strzelam!

Charakterystyczny głos Lewisa Alonzo, byłego członka Navy SEAL, przedzierający się przez drzewa.

Z zarośli, sześćdziesiąt metrów przed nim, wyłoniła się potężna, masywna postać. Czarnoskóry Alonzo był skrzyżowaniem sylwetki Mike’a Tysona z aparycją i humorem Willa Smitha – tak przynajmniej Jaeger go postrzegał w czasie tych dwóch krótkich tygodni spędzonych razem.

Teraz jednak spoglądał prosto w lufę karabinu automatycznego Colt, a Alonzo trzymał kurczowo palec na spuście.

– Krok do przodu i nazwisko! – krzyknął Alonzo agresywnie. – Krok do przodu i nazwisko!  
Jaeger podniósł się z trudem i zrobił krok do przodu.

– William Jaeger. To ja, Jaeger.

W sumie nic dziwnego, że Alonzo go nie poznał. Głos Jaegera dławilo zmęczenie, gardło miał tak suche, że ledwo mógł wychrypić jakieś słowa. Jego ubiór połowy był cały w strzępach, twarz miał spuchniętą, czerwoną i pokrwawioną od zadrapań i ukąszeń komarów, a od stóp do głów pokrywało go błoto.

– Ręce nad głowę! – warknął Alonzo. – Rzuć broń!

Jaeger uniósł obie ręce.

– William Jaeger, nie mam broni, do cholery!

– Kamishi! Oslaniaj mnie!

Jaeger zobaczył drugą postać wynurzającą się z krzaków. Był to Hiro Kamishi, weteran japońskich sił specjalnych, który trzymał Jaegera na celowniku drugiego karabinu.

Alonzo dał krok do przodu, gotowy do strzału.

– Na ziemię! – wrzasnął. – I rozstaw nogi!

– Jezu, Alonzo, jestem po twojej stronie.

W odpowiedzi wielki Amerykanin podszedł i kopnął Jaegera tak, że ten upadł plecami w błoto. Wyrznął prawdziwego orła.

Alonzo obszedł go.

– Odpowiedz na pytania – krzyknął. – Jakie macie zadanie, ty i twoja ekipa?

– Znaleźć wrak samolotu, zidentyfikować go i podnieść z dżungli.

– Nazwisko naszego miejscowego kontaktu, brazylijskiego brygadiera.

– Pułkownika – poprawił Jaeger. – Pułkownik Evandro. Rafael Evandro.

– Nazwiska wszystkich członków twojej ekipy.

– Alonzo, Kamishi, James, Clermont, Dale, Kral, Krakow, Santos.

Amerykanin przyklęknął i spojrzał w oczy Jaegera.

– Opuściłeś jednego. Było nas dziesięcioro.

Jaeger pokręcił głową.

– Nie opuściłem. Narov nie żyje. Straciłem ją, gdy próbowaliśmy przeprowadzić się do was przez Rio de los Dios.

– Kurwa. – Alonzo przeciągnął ręką po krótko ostrzyżonych włosach. – To będzie już piątka.

Jaeger rozejrzał się wokół, skonfundowany. Chyba się przesłyszał. Co to niby miało znaczyć – „To będzie już piątka”?

Alonzo zdjął menażkę z pasa i podał mu.

– Kolego, w życiu nie uwierzysz, co przeżyliśmy przez ostatnie dwa dni. A tak między nami, wyglądasz jak gówno.

– I wzajemnie – wysapał Jaeger.

Złapał menażkę, otworzył usta i wyzłopał ją jednym, rozpaczliwym haustem. Pomachał pustą menażką do Alonzo, ten wezwał gestem Kamishiego, i Jaeger opróżnił drugą i trzecią, aż niemal ugasił pragnienie.

Alonzo przywołał z cienia trzecią postać:

– Dale, święta przyszedł w tym roku wcześniej! Masz zielone światło. Kręć!

Mike Dale wyszedł z przypiętą do ramienia miniaturową kamerą cyfrową. Jaeger zauważył, że lampka na przedzie mikrofonu świeciła się na czerwono, co oznaczało, że ich filmował.

Spojrzał na Alonzo. Amerykanin przepraszając wzruszył ramionami.

– Sorki, kolego, ale gość truł mi dupę. „Jaeger i Narov, muszę ich złapać, kiedy tu dotrą”... „Jaeger i Narov, muszę ich złapać, kiedy tu dotrą”.

Dale zatrzymał się trzydzieści centymetrów przed nimi, opadając na kolana, przez co kamera znalazła się mniej więcej na wysokości ich oczu. Kręcił to ujęcie przez kilka sekund, potem wcisnął przycisk i lampka zgasła.

– Stary, tego się nie da podrobić – szepnął. – Niesamowite. – Popatrzył na Jaegera zza kamery. – Ej, panie Jaeger, czy mógłby pan wrócić w krzaki i wyjść jeszcze raz tak jak przed chwilą? Odegra pan taką małą scenkę, bo wie pan, nie zdążyłem wszystkiego złapać.

Jaeger przez dłuższą chwilę wpatrywał się w kamerzystę w milczeniu. Dale. Jakieś dwa-dzieścia pięć lat, długie włosy, przystojny na swój sztuczny sposób – zawsze z nowomodnym trzydniowym zarostem. Było w nim coś z mizdrzącej się papugi, co Jaegerowi nie odpowiadało. A może to przez odruchową niechęć do trzymanej przez niego kamery, wścibskiej i z zerowym poszanowaniem dla prywatności – co całkiem nieźle pasowało też do samego Dale’a.

– Mam odegrać scenkę, jak przychodzę, do kamery? – wychrypiął. – Nie sądzę. I powiem ci coś jeszcze. Nagrasz jeszcze sekundę, a wezmę tę kamerę, rozwalę ją na kawałki i każę ci zezreć.

Dale uniósł ręce w udawanym geście kapitulacji – w jednej wciąż wisiała kamera.

– Ej, rozumiem. Przeżył pan piekło. Czaję to. Ale, panie Jaeger, właśnie wtedy trzeba kręcić, kiedy jest ciężko jak cholera. To właśnie musimy uchwycić. To świetny materiał.

Mimo wypitej wody Jaeger nadal czuł się jak trup, i nie miał siły na dyskusję

– Świetny materiał? Nadal myślisz, że o to tu chodzi? O robienie świetnego materiału? Dale, musisz zrozumieć jedno – teraz chodzi o to, by przeżyć. Dotyczy to ciebie i całej reszty. To już nie jest telewizja. To życie.

– Ale jeśli nie będę kręcił, nie będzie programu – zaprotestował Dale. – A ludzie, którzy bulą za to wszystko, producenci, wyrzucą kasę w błoto.

– Ich tu nie ma – warknął Jaeger. – Jesteśmy my. – Zawiesił głos. – Nakręcisz jeszcze jedną klatkę tym czymś bez mojej zgody, a twój film przejdzie do historii. A ty, przyjacielu, razem z nim.

– No to, mówcie, co tu się, do cholery, stało? – zażądał Jaeger.

Siedział w obozie, postawionym naprędce po wykarczowaniu fragmentu dżungli, w miejscu, gdzie gęsta roślinność łączyła się z otwartą połącią mierzei. Ulokowany w lekkim cieniu zwisających drzew był – jak na taki teren – w miarę wygodny.

Jaeger zdążył już szybko wykąpać się w rzece, która wiała się obok, ospała i groźna. Z jednej z tub spadochronowych wyciągnął plecak i wyjął z niego rzeczy niezbędne do tego, by odzyskać siły po wędrówce przez dżunglę: racje żywnościowe, butelkowaną wodę, sole nawadniające, a także trochę środka na owady. Dzięki temu poczuł się znowu prawie jak człowiek.

Jego ekipa – a raczej to, co z niej zostało – zebrała się na naradę. Jednak w powietrzu dało się wyczuć dziwne, pełne oczekiwania napięcie i odnosiło się wrażenie, że wrogie siły grasują po obrzeżach lasu i czają się tuż poza zasięgiem wzroku. Jaeger wyjął z jednej z tub zapasową strzelbę, i nie był jedynym, który uważnie wpatrywał się w dżunglę, trzymając broń pod ręką.

– Najlepiej, jak zaczynę od początku, kiedy straciliśmy z wami kontakt w trakcie swobodnego spadania – odpowiedział Alonzo, głębokim, dudniącym głosem, tak typowym dla wielkich Afroamerykanów.

Jaeger zaczął uświadamiać sobie, że Alonzo należał do tych ludzi, którzy z niczym się nie kryją. Kiedy znów się odezwał, w jego głosie brzmiał żal.

– Po skoku straciliśmy was z oczu, więc podprowadziłem resztę do celu. Wylądowaliśmy bez problemu. Wszyscy, bez kontuzji, pięknie i gładko. Rozbiliśmy obóz, rozdzieliliśmy sprzęt, ustaliliśmy warty, i wydawało się, że nie jest najgorzej. Pozostało czekać na ciebie i Narov, skoro był to pierwszy punkt zborny.

To wtedy, tak jakby, podzieliliśmy się na dwie grupy. Moja – powiedzmy, Brygada Wojowników – chciała wysłać patrole sondujące w kierunku, w którym – jak nam się wydawało, wylądowaliście. Zobaczyc, czy uda się was tu sprowadzić – o ile jeszcze żyjecie... Była też druga grupa, Brygada Zielonych... No i ci Zieloni – z Jamesem i Santos na czele – chcieli iść w tę stronę. – Alonzo wskazał kciukiem na zachód. – Sądzieli, że znaleźli nadrzeczną ścieżkę wydeptaną przez Indian. Cóż, wszyscy wiedzieli, że plemię jest gdzieś w pobliżu. Czuliśmy czyjąś obecność w dżungli. Zieloni chcieli nawiązać z nim pokojowy kontakt.

Pokojowy kontakt! – powtórzył, spoglądając na Jaegera. – Wiesz, właśnie wróciłem po roku operacji pokojowej w Sudanie, w Górach Nubijskich. Niektóre z nubijskich plemion nadal łążą prawie z gołymi tyłkami. Powiem ci, stary, że pokochałem tych gości. Ale jednego nauczyłem się od razu: gdyby chcieli pokojowego kontaktu, sami daliby ci znać.

Wzruszył ramionami.

– Mówiąc krótko, James i Santos wyruszyli w okolicach obiadu pierwszego dnia. Santos upierała się, że wie, co robi, bo jest Brazylijką i od lat zajmuje się amazońskimi plemionami. – Po-

kręcił głową. – Co do Jamesa, stary, to prawdziwy czubek, zupełny świr. Nagryzmołił jakiś liścik do Indian, maznął obrazki. – Zerknął na Dale’a. – Masz to nagrane?

Dale złapał kamerę, otworzył boczny ekran i przeszukał listę plików zapisanych na karcie pamięci. Wcisnął przycisk odtwarzania i na ekranie ukazał się obraz – zbliżenie na zapisaną kartkę papieru. W tle słychać było głos Jamesa, odczytujący słowa z silnym nowozelandzkim akcentem: „Siema, ludu Amazonii! Wy miłujecie pokój, my miłujemy pokój! Żyjemy ze sobą w pokoju!”. Kamera oddaliła się, ukazując gęstą brodę Jamesa w stylu bin Ladena i ostre rysy członka gangu motocyklowego. „Wchodzimy do waszego królestwa, żeby się przywitać i nawiązać pokojowy kontakt”.

Dale pokręcił głową.

– Czaisz gościa? „Siema, ludu Amazonii!”. Jakby Indianie umieli czytać po angielsku! Prawdziwy psychol, co za długo siedział w swojej leśnej chatce. Dla kamery idealny. Dla misji nie!

Jaeger dał znak, że widział już dość.

– Jest trochę nietypowy. Ale kto nie jest? Nikt w stu procentach normalny by się tu nie znalazł. Drobiną szaleństwa nie zaszkodzi.

Alonzo podrapał się po zaroście.

– Niby tak, ale, stary, ten James naprawdę zgubił piątą klepkę. Tak czy owak, on i Santos poszli. Minęły dwadzieścia cztery godziny, a po nich nie było żadnego śladu, ale też nic nie wskazywało na kłopoty. Wyruszyła więc druga ekipa Zielonych – Francuzeczka, Clermont, i, o dziwo, ten Niemiec, Krakow, którego za cholerę nie posądziłbyś o sympatię do tubylców – żeby dołączyć do Jamesa i Santos.

– Nie powinienem pozwolić im odejść – mruknął Alonzo. – Miałem jakieś złe przeczucie. No ale bez ciebie i Narov wyprawa nie miała dowódcy ani zastępcy. Koło południa – godzinę po tym, jak Clermont i Krakow ruszyli – usłyszeliśmy krzyki i strzały. Brzmiało jak obustronna wymiana ognia, jakby jedna strona wpadła w zasadzkę i się ostrzeliwała.

Spojrzał na Jaegera.

– To by było na tyle, jeśli chodzi o przyjaźń z Indianami. Ruszyliśmy za nimi, doszliśmy po śladach Krakowa i Clermont jakiś kilometr. Tam, gdzie kończył się trop, znaleźliśmy widoczne ślady szamotaniny w zaroślach. Świeżą krew. I jeszcze trochę tego.

Wyciągnął coś z plecaka i podał Jaegerowi.

– Ostrożnie. To chyba jakaś trucizna.

Jaeger przyjrzał się znaleźskowi. Był to cienki kawałek drewna, mniej więcej piętnastocentymetrowej długości, zręcznie ostrugany i zaostroszony na jednym końcu, z czubkiem wysmarowanym jakąś ciemną i groźnie wyglądającą mazią.

– Poszliśmy dalej – podjął Alonzo – i trafiliśmy na trop Jamesa i Santos. Znaleźliśmy ich obóz, ale po nich samych ani śladu. Nie było też żadnych oznak szamotaniny czy walki, żadnej krwi, żadnych strzałek. Nic. Jakby porwały ich ufoludki.

Alonzo zawiesił głos.

– Znaleźliśmy jeszcze to. – Wyciągnął z kieszeni zużytą łuskę. – W drodze powrotnej, zupełnym przypadkiem. – Podał łuskę Jaegerowi. – To nabój 7,62 mm. Najprawdopodobniej karabin maszynowy albo AK-47. Na pewno nie jeden z naszych.

Jaeger przez kilka sekund obracał łuskę w dłoni.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu amunicja kalibru 7,62 mm była standardem w wojskach NATO. W trakcie wojny w Wietnamie Amerykanie eksperymentowali jednak z mniejszym kalibrem – 5,56 mm. Lżejsze naboje oznaczały, że żołnierz mógł unieść więcej amunicji, co z kolei pozwalało mu dłużej prowadzić ogień – co było niezwykle ważne podczas długich pieszych patroli w dżungli. Od tego czasu 5,56 stały się standardem NATO, a nikt z zebranych na mierzei nie miał broni kalibru 7,62.

Zerknął na Alonzo.

– Poza tym żadnych śladów naszej czwórki?

Amerykanin pokręcił głową.

– Żadnych.

– I co o tym sądzisz?

Twarz Alonzo pociemniała.

– Nie wiem, stary... Są tam jakieś wrogie siły, to na pewno, ale w tej chwili pozostają wielką niewiadomą. Jeśli to Indianie, to skąd wzięli broń maszynową? Od kiedy to zaginione plemię ma coś takiego na stanie?

– A co z krwią? Jak wyglądała?

– W miejscu zasadzki? Właściwie tak, jak można się było spodziewać. Kaluże zakrzepłej krwi.

– Dużo jej było?

Alonzo wzruszył ramionami.

– Wystarczająco.

Jaeger uniósł cienki kawałek drewna, który dostał przed chwilą od Alonzo.

– To, oczywiście, strzałka z dmuchawki. Wiemy, że Indianie ich używają. Zapewne są nasączone trucizną. Wiesz jaką? Kurarą – to wyciąg z soku leśnych pnączy. Kurara zabija, upośledzając działanie przepony. Innymi słowy, dusisz się. Niezbyt przyjemna śmierć. Dowiedziałem się trochę o kurarze, gdy szkolilem tu zespoły pułkownika Evandro – kontynuował. – Indianie polują w ten sposób na małpy ukryte w wierzchołkach drzew. Strzałka trafia, małpa spada, plemię zabiera małpę i strzałkę. Każda jest robiona ręcznie, więc ich nie zostawiają. A co najważniejsze, jeśli trafi cię strzałka zatruta kurarą, wbija się w ciebie jak szpilka. Prawie w ogóle nie krwawisz.

– I jeszcze to. – Jaeger przyłożył strzałkę do ust, oblicując czarną maź z zaostzonego końca. Część osób wzdrygnęła się.

– Spożyta kurara nie jest trująca – zapewnił. – Musi dostać się bezpośrednio do krwi. Rzecz w tym, że ma cierpki smak. A to? To chyba syrop z palonego cukru. – Uśmiechnął się ponuro. – Dodajcie to wszystko i co wam wychodzi?

Rozejrzał się po twarzach członków ekipy. Alonzo – kwadratowa szczęka, szczerze spojrzenie emanujące rozbijającą swobodą, Navy SEAL w każdym calu. Kamishi – cichy, wyczekujący, o ciele jak zwinięta sprężyna. Dale i Kral – dwie wschodzące gwiazdy mediów, zdeterminowani, by nakręcić swój hit.

– Nikt nie został trafiony strzałkami – odpowiedział na własne pytanie. – Wpadli w zasadzkę, w której użyto broni palnej. Już sama krew o tym świadczy. A więc, o ile zaginione plemię jakoś nagle się nie dozbroiło, mamy do czynienia z nieznanym oddziałem. Fakt, że zostawili to – uniósł strzałkę – i postarali się pozbiierać łuski, wskazuje, że próbują zrzucić winę na Indian.

Przez chwilę przyglądał się strzałce.

– Oprócz nas i plemienia nikogo nie powinno tu być. W tej chwili nie wiemy, kim są ci ludzie, jak się tu dostali i dlaczego mają wrogie zamiary. – Podniósł nachmurzony wzrok. – Ale jedno jest pewne: charakter tej wyprawy zmienił się nieodwołalnie.

– Ubyła nam piątka – oznajmił powoli. W jego oczach była teraz zimna determinacja. – Ledwo weszliśmy w las, już straciliśmy połowę naszych. Musimy rozważyć różne opcje, i to bardzo dokładnie.

Zawiesił głos. Jego wzrok stał się twardy jak stal, nieliczni widzieli go takim. Nie znał za dobrze nikogo z zaginionych, ale czuł się osobiście za nich odpowiedzialny. Podobała mu się otwartość i bezpretensjonalność tego wielkiego Nowozelandczyka, Joego Jamesa. Był też boleśnie świadomy, że Leticia Santos była protegowaną pułkownika Evandro. Santos – uderzająco piękna, podobna do brazylijskiej aktorki Taís Araújo, tylko lepiej obeznana z prawem ulicy – a raczej dżungli. Ciemnooka, ciemnowłosa, porywcza i niebezpiecznie rozrywkowa, stanowiła zupełne przeciwieństwo Iriny Narov.

Strata jednej osoby była dla Jaegera katastrofą. Strata pięciu i to w pierwszych czterdziestu ośmiu godzinach wyprawy – to prawdziwy koniec świata.

– Opcja pierwsza – oznajmił głosem pełnym napięcia. – Uznajemy, że misja jest niewykonalna i wzywamy ekipę, żeby nas zabrała. Mamy dobrą łączność, a teren nadaje się do lądowania, mogą więc nas stąd podjąć. Będziemy bezpieczni, ale zostawimy przyjaciół – a w tej chwili nie potrafimy stwierdzić, czy żyją, czy nie.

– Opcja druga: wyruszymy na poszukiwanie zaginionych członków zespołu. Przyjmujemy założenie, że żyją, dopóki nie znajdziemy dowodów, że jest inaczej. Plus – nie opuścimy towarzyszy, nie odwrócimy się od nich w potrzebie. Minus – jest nas mało i jesteśmy słabo uzbrojeni, a tamci mogą mieć potencjalnie większą siłę ognia, do tego nie wiemy, ilu ich jest. – Jaeger zawiesił głos. – Jest też trzecia opcja: kontynuujemy wyprawę zgodnie z planem. Mam podejrzenie – choć to tylko instykt – że dzięki temu dowiemy się, co się stało z naszymi przyjaciółmi. Tak czy owak, logiczna wydaje się koncepcja, że ten, kto zaatakował, zrobił to, żeby powstrzymać nas przed dotarciem do celu. Idąc dalej, zmusimy ich, żeby się ujawnili. To nie jest operacja wojskowa. Gdyby tak było, wydałbym moim ludziom rozkazy. Ale jesteśmy cywilami i musimy zdecydować wspólnie. Według mnie to są jedyne trzy wyjścia – będziemy głosować. Ale przedtem – są jakieś pytania? Propozycje? I możecie mówić śmiało, bo kamera tego nie kręci.

Rzucił Dale'owi groźne spojrzenie.

– Nie kręci, prawda, panie Dale?

Dale odgarnął do tyłu długie, proste włosy.

– Ej, przecież zabroniłeś, pamiętasz? Nie kręcić tego zebrania.

– Dokładnie tak powiedziałem. – Jaeger rozejrzał się, czy ktoś chce o coś zapytać.

– Jestem ciekaw – odezwał się cicho Kamishi prawie perfekcyjnym angielskim, z lekką jedynie nutką japońskiego zaśpiewu. – Gdyby to była operacja wojskowa, którą opcję byś wybrał?

– Trzecią – odpowiedział Jaeger bez chwili wahania.

– Mógłbyś wyjaśnić dlaczego? – Kamishi mówił w sposób dziwnie ostrożny, najwyraźniej dobierając słowa z wielką precyzją.

– Bo to sprzeczne z intuicją – wytłumaczył Jaeger. – Normalna ludzka reakcja na stres i zagrożenie to walka albo ucieczka. Ucieczka to wyniesienie się stąd, walka to bezpośrednia konfrontacja z przeciwnikiem. Trzeciej opcji spodziewają się najmniej, i mam nadzieję, że to ich zdezorientuje, zmusi do ujawnienia się, do błędu.

Kamishi lekko się sklonił.

– Dziękuję. To dobre wyjaśnienie. I zgadzam się z nim.

– Wiesz, stary, w zasadzie to straciliśmy nie piątkę, tylko szóstkę – mruknął Alonzo. – Z Andym Smithem. Nigdy nie wierzyłem, że to wypadek, a po tym, co się teraz stało, tym bardziej nie wierzę.

Jaeger potaknął:



– Ze Smithem jest szóstka.

– To kiedy dostaniemy współrzędne? Te do wraku? – odezwał się głos.

Angielski Stefana Krala, słowackiego kamerzysty, zabarwiony był mocnym, gardłowym akcentem. Jaeger zmierzył go wzrokiem. Niski, krępy, blade niemal jak albinos, z dziobatą skórą. Z Dale'em wyglądali niemal jak Piękna i Bestia. Był sześć lat starszy od swego kolegi, choć na to nie wyglądał, i choćby z samej racji wieku powinien zostać reżyserem. Carson jednak powierzył tę rolę Dale'owi i Jaeger w zasadzie rozumiał dlaczego. Dale i Carson byli podobni jak dwie krople wody. Dale – wygadany, naturalny i wyluzowany, po mistrzowsku opanował sztukę przeżycia w medialnej dżungli. Kral zaś był niezdatnym kłębkim nerwów w typie kujona. Kompletnie nie nadawał się na kogoś, kto próbował odnieść sukces w branży TV.

– Ponieważ Narov zginęła, mianowałem swoim zastępcą Alonzo – poinformował Jaeger. – Zdradziłem mu współrzędne wraku.

– A co z resztą? – dopytywał się Kral. – Ilekroć się odzywał, na jego twarzy igrał dziwny, krzywy uśmiezek, nieważne, jak poważny był temat. Jaeger podejrzewał, że to przejaw nerwowości, ale i tak, nie wiedząc czemu, irytowało go to.

W wojsku znał wielu gości takich jak Kral – po trosze introwertyków, mających problem z empatią. Zawsze szczególnie dbał o każdego, który trafiał do jego oddziału. Najczęściej okazywali się lojalni aż do przesady i byli absolutnymi demonami, gdy szaleństwo wojny zasnuwało im oczy.

– Jeśli przegłosujemy trzecią opcję, kontynuację wyprawy, dostaniecie współrzędne, jak tylko znajdziemy się przy rzece – zapewnił go Jaeger. – Tak umówiłem się z pułkownikiem Evandro, że ujawnię je, gdy zaczniemy wędrowkę w dół Rio de los Dios.

– A jak straciłeś Narov? – drążył Słowak. – Co się właściwie stało?

Jaeger spiorunował go wzrokiem.

– Już wyjaśniałem, jak Narov zginęła.

– Chciałbym usłyszeć to jeszcze raz – dopominał się Kral, rozszerzając krzywy uśmiezek. – Żeby, no wiesz, uniknąć nieudomowień. Żeby wszystko było jasne.

Strata Narov prześladowała Jaegera i nie chciał do tego wracać.

– To był cholerny niefort, a potem wszystko błyskawicznie się pochrzanilo. I wierz mi, nie mogłem zrobić nic, żeby ją uratować.

– Skąd pewność, że nie żyje? – uparcie naciskał Słowak. – W odróżnieniu od Jamesa, Santos i reszty?

Jaeger przymrużył oczy.

– Żeby to zrozumieć, musiałbyś tam być – stwierdził cicho.

– Ale chyba mogłeś coś zrobić? To był pierwszy dzień, przeprawialiście się przez rzekę...

– Chcesz, żebyśmy zastrzelili go od razu? – przerwał Alonzo ostrzegawczym tonem. – Czy później, gdy już urzniemy mu język?

Jaeger wbił oczy w Krala. Do jego głosu zakradła się wyraźna nutka groźby.

– Zabawne, panie Kral, ale mam wrażenie, że mnie pan przepytuje. Myślę się, prawda? Nie przepytuje mnie pan?

Kral nerwowo pokręcił głową.

– Po prostu wyjaśniam kilka kwestii. Żeby uniknąć nieporozumień.

Jaeger przeniósł wzrok z Krala na Dale'a – kamera leżała obok na ziemi, a ręka operatora powoli, ukradkiem przesunęła się w jej stronę.

– Wiecie co, koledzy? – rzucił Jaeger niskim głosem. – Sam mam jedno „nieporozumienie” do wyjaśnienia. – Spojrzał na kamerę. – Zakleiliście czerwoną lampkę czarną taśmą izolacyjną. Postawiliście kamerę na ziemi z obiektywem skierowanym na mnie, a zakładam, że już działała, zanim ją tam postawiliście.

Podniósł oczy na Dale'a, który wyraźnie drgnął pod tym spojrzeniem.

– Powiem to raz. Jeden, jedyny. Jeśli jeszcze raz wytniesz taki numer, wepchnę ci kamerę tak głęboko do tyłka, że będziesz mógł czyścić obiektyw, jakby to były twoje zęby. Czy – to – ja – sene?

Dale wzruszył ramionami.

– No tak. Ale...

– Żadnych ale – Jaeger wszedł mu w słowo. – A gdy już skończymy naradę, usuniesz z taśm to, co nagrałeś, a ja będę się temu przyglądał.

– Ale jeśli nie będę mógł kręcić takich kluczowych scen, nie będziemy mieli programu – zapomniał Dale. – Zleceniodawcy – menedżerowie z TV...

Jaeger uciszył go spojrzeniem.

– Musisz coś zrozumieć: w tej chwili głównie mnie oni obchodzą. W tej chwili zależy mi tylko na jednym: na tym, żeby uratować jak najwięcej ludzi z mojej ekipy. A w tej chwili mamy pięciu – sześciu – w plecy, więc jestem coraz bardziej na minusie. A to sprawia, że jestem niebezpieczny – podjął. – To mnie wkurza. A gdy się wkurzę, zwykle niszczę to i owo. Natychmiast, panie Dale, wyłącz – to – w – cholerę.

Dale sięgnął po kamerę, wcisnął kilka guzików i wyłączył. Został przyłapany na gorącym uczynku, ale wyraźnie się naburmuszył – można by sądzić, że to on jest poszkodowany.

– Kazałeś mi zadać kupę głupich pytań – mruknął Kral do Dale'a. – Kolejny z twoich durnych pomysłów.

Jaeger już wcześniej spotkał gości takich jak oni. Kilku jego kolegów z elitarnych oddziałów próbowało przebić się w świecie przygodowych programów reality show. Poniewczasie przekonwali się na własnej skórze, jaki może być on bezwzględny, jak przeżuwał ludzi i wypluwał ich, niczym puste łupiny. Honor i lojalność należały w nim do rzadkości. Był to okrutny biznes. Goście pokroju Dale'a i Krala – nie wspominając o ich szefie, Carsonie – musieli wykazać się determinacją, by coś osiągnąć, często ze szkodą dla innych. W tym świecie musiało być gotów, by kręcić, kiedy inni podejmują decyzje o fundamentalnym znaczeniu, choć obiecałeś, że tego nie zrobisz – bo to była część twojej pracy, to dzięki temu zdobywałeś materiał. Należało być przygotowanym niemal na wbicie noża w plecy innemu kamerzyście, jeśli mogłeś coś przez to z-

skać. Jaegerowi zupełnie się to nie podobało, i w dużej mierze dlatego od początku był taki niechętny ekipie filmowej.

Dodał Krala i Dale'a do listy rzeczy, na które musiał uważać – razem z jadowitymi pająkami, olbrzymimi kajmanami, dzikimi plemionami, a teraz jeszcze niezidentyfikowanym oddziałem, który najwyraźniej miał zamiar krwawo się z nimi rozprawić.

– Okej, skoro kamera jest naprawdę wyłączona, przejdźmy do głosowania – oświadczył. – Opcja pierwsza: zabieramy się stąd i rezygnujemy z wyprawy. Kto za?

Wszystkie ręce pozostały w dole.

Pocieszające – przynajmniej nie podwiną pod siebie ogona i nie uciekną za szybko z Serra de los Dios.

– Mogę to nagrać? – Dale wskazał gestem na Jaegera, który przykucnął nad brzegiem i robił wieczorną toaletę; strzelbę oparł obok, na wypadek jakichkolwiek kłopotów.

Słyszając pytanie, plunął w wodę.

– Jesteś uparty, muszę ci to przyznać. Dowódca wyprawy myje zęby. Pasjonujący temat.

– Nie, naprawdę. Muszę nakręcić trochę takich rzeczy. Scenek rodzajowych. Po prostu, żeby pokazać, jak toczy się życie wśród... – Machnął ręką na rzekę i otaczającą ich dżunglę. – Wśród tego wszystkiego.

Zrobił kilka ujęć Jaegera próbującego wykorzystać Rio de los Dios w charakterze łaźni. W pewnej chwili wszedł po kostki do wody i odwrócił się do rzeki plecami, kręcąc niski kadr i wypychając obiektyw niemal w gardło swojego bohatera. Jaeger miał nadzieję, że pięciometryowy kajman chwyci Dale'a za jaja, ale niestety nic takiego się nie stało.

Nie licząc Alonzo, który, oczywiście, chciał zapolować na wroga, głosowanie było jednomyślne. Pozostali wybrali opcję numer trzy – kontynuację wyprawy zgodnie z planem. Jaeger musiał skonsultować to z Carsonem, ale wystarczyła szybka rozmowa przez telefon satelitarny, by wszystko ustalić.

Carson bardzo jasno i bardzo jednoznacznie przedstawił swój priorytet: musieli dokończyć wyprawę za wszelką cenę. Wszyscy znali i rozumieli zagrożenia od samego początku. Każdy członek ekipy podpisał deklarację, że jest świadomy niebezpieczeństwa i zwalnia organizatora z wszelkiej odpowiedzialności. A ta piątka to byli jedynie zaginionieni, do czasu znalezienia dowodów, że jest inaczej.

Carson miał na głowie realizację show telewizyjnego o budżecie dwunastu milionów dolarów, a losy Wild Dog Media – nie wspominając o Enduro Adventures – zależały w dużej mierze od powodzenia misji. Choćby nie wiem co, Jaeger musiał doprowadzić ekipę do miejsca rozbicia się samolotu, odkryć jego sekrety i, o ile to będzie możliwe, wyciągnąć stamtąd ten tajemniczy wrak. Jeśli ktoś przy okazji zostanie ranny lub zginie, to tę tragedię przyćmi niesamowity charakter odkrycia – przynajmniej tak twierdził Carson. Była to w końcu „ostatnia wielka tajemnica drugiej wojny światowej”, przypomniał Jaegerowi. „Samolot, którego nigdy nie było”. „Lot widmo”. Zabawne, jak szybko Carson przywłaszczył sobie określenia archiwisty, Simona Jenkinsona.

Próbował nawet ochrzanić Jaegera za to, że nie pozwalał nagrywać wszystkiego – co oznaczało, że Dale musiał do niego zadzwonić ze skargą. Jaeger zbył go jednak krótko: to on dowodzi wyprawą na ziemi i tu w dżungli jego słowo jest najwyższym prawem. A jeśli Carsonowi się to nie podoba, droga wolna, może przylecieć do Serra de los Dios i go zastąpić.

Po rozmowie z Carsonem Jaeger zadzwonił jeszcze w jedno miejsce – do Airlandera. Przelot z Wielkiej Brytanii trochę potrwał, ale sterowiec zbliżał się już do swojej orbity wysoko nad nimi. Jaeger znał pilota, Steve'a McBride'a, z czasów, gdy ich drogi skrzyżowały się w wojsku.

Dobrze było mieć za sterami kogoś sprawdzonego. Miał jeszcze jeden powód, by absolutnie ufać załodze Airlandera. Zanim wyleciał z Londynu, dobił targu z Carsonem – skoro Raff nie mógł mu towarzyszyć na ziemi, chciał go mieć jako swoje oczy w powietrzu. Carson skapitulował, a wielki Maorys został oficerem operacyjnym na Airlanderze.

Jaeger połączył się ze sterowcem i dostał od Raffa szczegółowy meldunek. Nie było żadnych nowych informacji w sprawie śmierci Andy’ego Smitha, co go specjalnie nie zdziwiło. Szokiem były za to wieści o Simonie Jenkinsonie.

Ktoś włamał się do mieszkania archiwisty w Londynie. Zginęły trzy rzeczy: dossier lotu widmo Ju 390, iPhone, którym wykonał niedawno – ukradkiem – zdjęcia akt Hansa Kammlera, a także laptop. Włamanie wystraszyło Jenkinsona, a zaczął bać się jeszcze bardziej, gdy skontaktował się z Archiwami Narodowymi.

Akta Kammlera miały numer referencyjny AVIA 54/1403 – archiwa stwierdziły zaś, że nie ma żadnych śladów, które wskazywałyby na istnienie tych dokumentów – a przecież Jenkinson widział je na własne oczy, w dodatku potajemnie wyniósł ich zdjęcia na swoim telefonie. Jego mieszkanie zostało jednak splądrowane, a akta zniknęły z archiwów – było więc tak, jakby AVIA 54/1403 nigdy nie istniały. Lot widmo miał teraz swoje akta widmo.

Jenkinson był wystraszony, ale wcale nie wyglądało na to, żeby chciał się wycofać, wyjaśnił Raff. Wprost przeciwnie – zaklinał się, że choćby nie wiem co, odzyska zdjęcie. Na szczęście przechowywał je na kilku internetowych chmurach. Jak tylko załatwi sobie drugi komputer, zajmie się ich ściąganiem.

Jaeger doszedł do wniosku, że wieści od Jenkinsona mogły oznaczać tylko jedno: mierzyli się z przeciwnikiem, który miał tak dużą władzę i wpływy, że mógł spowodować zniknięcie akt brytyjskiego rządu z państwowego archiwum. Było to więcej niż niepokojące, a on, z serca Amazonii, nie mógł zbyt wiele zdziałać. Poprosił Raffa, żeby pilnował tej sprawy i zdawał mu relacje, ilekroć nawiążą łączność z Airlanderem.

Spakował zestaw higieniczny, mocno go zwijając. Jutro wczesnym rankiem wyruszą w dół rzeki, a miejsca w łodziach było niewiele. Dale najwyraźniej nagrał wystarczająco dużo, bo wyłączył kamerę, ale Jaeger czuł, że czeka, jakby chciał z nim porozmawiać.

– Słuchaj, wiem, że nieszczerze za tym przepadasz – zagadnął kamerzystą. – Tym filmowaniem. I przepaszam za ten wcześniejszy incydent. To było chamstwo z mojej strony. Ale dostanę po dupie, jeśli nie nagram tyle, żeby coś z tego wyszło.

Jaeger nie odpowiedział. Niezbyt lubił tego gościa, a po epizodzie z potajemnym nagrywaniem lubił go jeszcze mniej.

– Wiesz, jest takie powiedzenie o mojej branży – ciągnął Dale. – O światku telewizji. To słowa Huntera S. Thompsona. Chcesz posłuchać?

Jaeger zarzucił strzelbę na ramię. – Dawaj.

– „Biznes telewizyjny to okrutna i płytka dziura szmalu, długi plastikowy korytarz, po którym swobodnie biegają złodzieje i alfonsi, a w którym porządni ludzie zdychają jak psy”. Pewnie nie słowo w słowo, ale... „Porządni ludzie zdychają jak psy” to doskonale podsumowanie.

Jaeger spojrział na niego.

– W moim fachu mamy podobne powiedzenie: „Gdy ktoś klepie cię w plecy, sprawdza, gdzie najlepiej wbić ci nóż”. – Zawiesił głos. – Słuchaj, nie muszę cię lubić, żeby móc z tobą pracować. Ale też nie jestem tu po to, żeby ci przeszkadzać. Jeśli będziemy się trzymać paru praktycznych zasad, powinniśmy dotrzeć do końca i nie pozabijać się nawzajem.

– Jakich zasad?

– Rozsądnych. Zasad, do których będziecie się stosować. Na przykład, pierwsza: nie musicie mnie prosić o pozwolenie, żeby nagrywać. Nagrywajcie, co chcecie. Chyba że wyraźnie wam tego zabronię.

Dale potaknął:

– Da się zrobić.

– Druga: jeśli ktoś z pozostałych członków ekipy zabroni wam filmować, posłuchacie go. Musicie z tym przyjść do mnie, a ja rozstrzygnę, ale przedtem uszanujecie jego wolę.

– Ale to oznacza, że każdy ma de facto prawo weta.

– Nie, tylko ja je mam. To moja wyprawa, a ty i Kral jesteście w moim zespole. Jeśli uznam, że powinniście nagrywać, to was poprę. Wasza robota jest ciężka i wymagająca. Szanuję to i będę uczciwym arbitrem.

Dale wzruszył ramionami.

– No dobra. I tak chyba nie mam wielkiego wyboru.

– Nie masz – potwierdził Jaeger. – Zasada numer trzy: jeśli choć raz spróbujecie powtórzyć numer z dzisiejszego ranka, nagrywając, choć ustaliliśmy, że tego nie robicie, kamera wyłącza na dnie rzeki. Nie żartuję. Straciłem pięcioro ludzi, więc nie przeginajcie.

Dale rozłożył ręce w geście skruchy.

– Mówiłem już, że przepraszam.

– Czwarta i ostatnia zasada. – Jaeger wpatrywał się w Dale'a przez dłuższy czas. – Nie łamcie zasad.

– Dobrze – kamerzysta zawiesił głos. – Możesz jednak zrobić jedną rzecz, żeby ułatwić nam pracę. Jeśli się zgodzisz, przeprowadziłbym z tobą wywiad, na przykład tu, przy rzece, mógłbyś zrelacjonować dzisiejszy dzień, wszystko to, czego nie wolno nam było nagrywać.

Jaeger zastanowił się przez chwilę.

– A jeśli pojawią się pytania, na które nie będę chciał odpowiedzieć?

– Nie musisz. Jesteś dowódcą wyprawy. Najbardziej nadajesz się na jej rzecznika.

Jaeger wzruszył ramionami.

– Okej. Zgoda. Ale pamiętajcie o zasadach.

Dale uśmiechnął się.

– Będziemy pamiętać.

Przyprowadził Krala. Umieścili kamerę na lekkim statywie, przyczepili Jaegerowi mikroport, by dobrze zbierał dźwięk, Kral stanął za kamerą, ustawiając kadr, a Dale wszedł w rolę pytającego. Usiadł przy kamerze, prosząc Jaegera, żeby zwracał się bezpośrednio do niego i – próbując nie przejmować się wycelowanym w twarz obiektywem – zrelacjonował wydarzenia z ostatnich czterdziestu ośmiu godzin.

W czasie wywiadu Jaeger musiał w duchu przyznać, że Dale jest dobry w swoim fachu. Miał łatwość wyciągania z człowieka informacji, a rozmówca czuł się tak, jakby gadał z kumplem w ulubionym pubie. Po piętnastu minutach Jaeger prawie zapomniał o obecności kamery. Prawie.

– Było widać, że ty i Irina Narov krązycie wokół siebie jak lwy szykujące się do walki – zagadnął Dale. – Czemu więc ryzykowałeś dla niej życie przy przeprowie przez rzekę?

– Była w mojej ekipie. To wszystko – uciął Jaeger.

– Ale starłeś się z pięciometrowym kajmanem – drążył Dale. – Niemal przypłaciłeś to życiem. Walczyłeś o kogoś, kto wyraźnie szukał z tobą zwady. Czemu?

Jaeger spojrzął na Dale'a.

– Stara zasada w moim fachu – nie mówi się źle o zmarłych. Następne pytanie...

– Okej, następne pytanie. No więc, ci tajemniczy strzelcy. Jakiś pomysł, kim są albo czego chcą?

– Nie bardzo. Tak głęboko w Serra de los Dios nie powinno być nikogo, poza nami i Indianami. A czego chcą? Może próbują odkryć położenie wraku, może chcą nas powstrzymać przed dotarciem do niego. To jedyne sensowne wyjaśnienie. Ale to tylko intuicja, nic więcej.

– Odważna teza. Że gdzieś tam może być konkurencyjna grupa, która szuka wraku. Czy twoje podejrzenia są na czymś oparte?

Nim Jaeger zdążył odpowiedzieć, od strony Krala doleciał go dziwny dźwięk, jakby siorbania. Jaeger już wcześniej zauważył, że słowacki kamerzysta ma niefortunny nawyk wciągania powietrza przez zęby. Dale odwrócił się i zgromił go wzrokiem.

– Stary, ja tu próbuję prowadzić wywiad. Skup się i nie hałasuj, do cholery.

Kral posłał mu gniewne spojrzenie.

– Jestem skupiony. Stoję za pieprzoną kamerą i wciskam pieprzone guziki, jakbyś nie zauważał.

Świetnie, pomyślał Jaeger. Minęło ledwie parę dni, a kamerzyści skaczą sobie do oczu. Ciekawe, co będzie po kilku tygodniach w dżungli?

Dale odwrócił się do Jaegera. Przewrócił oczami, jakby mówił „Sam widzisz, z kim muszę się użerać”.

– Wracając do tej konkurencyjnej grupy. Pytałem o twoje podejrzenia.

– Wystarczy pomyśleć – odpowiedział Jaeger. – Kto zna dokładne położenie tego samolotu? Pułkownik Evandro, ja i Alonzo. Jeśli inni próbują go znaleźć, muszą pójść za nami, albo zmusić kogoś z naszych do mówienia. Gdy tu lecieliśmy, mieliśmy na ogonie niezidentyfikowany samolot, więc kto wie, może śledzili nas i czyhali na nas właściwie od samego początku.

Dale uśmiechnął się.

– Doskonale. Skończyłem. – Dał znak Kralowi. – Wyłącz kamerę. Fajnie wyszło – pochwalil Jaegera. – Świetna robota.

Jaeger wziął strzelbę do ręki.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś tak nie drażył drażliwych tematów. Ale i tak wolę to niż kręcenie ukradkiem.

– Tu się zgadzam. – Dale zawiesił głos. – Co ty na to, żebyśmy nagrywali coś takiego codziennie, taki jakby wideopamiętnik?

Jaeger ruszył przez mierzęgę w stronę obozu.

– Może, jeśli czas pozwoli... – Wzruszył ramionami. – Zobaczymy, jak wyjdzie.



W dżungli noc zapada szybko. Kiedy zbliżał się zmrok, Jaeger nasmarował się środkiem na owady i wepchnął nogawki bojówek głęboko w buty, by żadne robale nie wpełzły do środka. Zamierzał spać ubrany, w butach, przytulony do strzelby. Dzięki temu, gdyby ktoś ich zaatakował, będzie gotowy do walki.

Niestety, takie zabiegi były mało pomocne w starciu z wyjątkowo uciążliwym, choć małym przeciwnikiem – komarami. Jaeger w życiu nie widział takich potworów. Słyszał ich zawzięte bzyczenie, kiedy krążyły wokół niego jak miniaturowe nietoperze-wampiry, zajęte piciem krwi i przenoszeniem chorób. Ubiór polowy nie chronił przed nimi zbyt skutecznie – co jakiś czas Jaeger czuł ukąszenia tych wrednych owadów.

Z trudem wdrapał się do hamaka, wszystko go bolało, a po próbie ratowania Narov i samotnym marszu przez dżunglę był kompletnie wykończony. Poprzedniej nocy prawie nie zmrzął oka. Dziś będzie spał jak zabity, tym bardziej że Alonzo obiecał zająć się wystawieniem straży.

Były żołnierz Navy SEAL ustalił kolejność wart – przez całą noc muszą uważnie obserwować dżunglę. Jeśli ktoś chciałby zejść z mierzei – nawet, żeby się załatwić – to jedynie w parze z kolegą. Dzięki temu, w razie kłopotów, każdy będzie miał wsparcie.

Mierzeję otulił gęsty i jedwabisty mrok, a z nim przysła kakofonia nocnych dźwięków: bezmyślny, miarowy odgłos cykad – *priip, priip, priip, priip* – który potrwa aż do świtu; furkoczący loskot ogromnych chrząszczy i innych latających stworzonek; prawie niesłyszalne, wysokie piski wielkich nietoperzy szybujących nad wodą, polujących w locie. Powietrze nad Rio de los Dios było gęste od błoniastych skrzydeł łopoczących w ciemności. Jaeger widział ich sylwetki zarysowane na tle nikłej poświaty gwiazd przenikającej przez pierzaste wierzchołki drzew. Widmowe kształty kontrastowały z nieziemskim, pulsującym blaskiem świetlików, które roily się w mroku nocy jak rozblyski gwiazdowego pyłu. Wzdłuż całego brzegu pozostawiały za sobą smużki fluorescencyjnej zieleni i błękitu, wlatując między drzewa i wylatując spomiędzy gałęzi. Co chwila jeden znikał – *puff*, światełko gasło – kiedy nietoperz nurkował i chwycił je z powietrza. Zupełnie jak te mroczne, nieznanne siły, które porwały czworo członków ekipy.

Nocą, w samotności, Jaegera ze zdwojoną siłą dręczyły wątpliwości, które skrywał za dnia. Byli tu ledwie kilka dni, a już stracili pięcioro ludzi. Mimo to musiał jakoś odwrócić – nieszczęśliwe dotychczas – losy tej wyprawy, choć, prawdę mówiąc, nie miał pojęcia, jak tego dokonać.

Nie pierwszy raz znalazł się w takich tarapatkach i zawsze udawało mu się jakoś wykaraskać. Dramatyczne sytuacje i przeszkody, które zdołał pokonać na przekór okolicznościom, dały mu wewnętrzną siłę, a trudności stanowiły dodatkową motywację do działania. Był pewien jednego: odpowiedzi na wszystkie pytania, również te o przyczyny nieszczęść, które ich spotkały, czekały w głębi dżungli, w miejscu rozbicia się tego tajemniczego samolotu. To właśnie mobilizowało go do dalszego marszu.

Podniósł nogi w hamaku i wyciągnął rękę, by odwiązać lewy but. Zdjął go, i wyjął coś z zeliwki. Włączył na chwilę latarkę, która wydobyła z mroku dwie twarze na fotografii – zielonookiej, kruczowłosej, pięknej kobiety oraz chłopca, tak bardzo do niego podobnego, stojącego u jej boku.

Nocą, czasem, a właściwie często, odmawiał za nich modlitwę. Robił to przez długie i pełne pustki lata na Bioko. I zrobił to dzisiaj, leżąc w hamaku przewieszonym między drzewami na mierzei nad Rio de los Dios. Wiedział, że przy tym dalekim wraku czekają odpowiedzi, może nawet ta, którą najbardziej chciał poznać – co stało się z jego żoną i synem.

Położył się, tuląc zdjęcie. Gdy zapadał w sen, miał niejasne wrażenie, że w wojnie, którą tu prowadzili, ogłoszono zawieszenie broni. Po raz pierwszy od czasu wylądowania w Serra de los Dios nie czuł się obserwowany, nie czuł żadnych wrogich oczu ukrytych w cieniach dżungli.

Wiedział jednak, że to tylko chwilowy spokój. Pierwsze potyczki zostały stoczone, pierwsze rany – odniesione. Właściwa wojna dopiero się zaczynała.

Już trzy dni płynęli na zachód Rio de los Dios, a Jaeger wciąż rozmyślał nad kolejnym etapem ich wyprawy. Doprowadziło go to niemal do obłądzenia. Rzeka toczyła swe wody ze średnią prędkością sześciu kilometrów na godzinę i pokonali, jak do tej pory, dobre sto dwadzieścia kilometrów. Bardzo go to cieszyło. Gdyby próbowali iść lądem, przebycie takiego dystansu zajęłoby im o wiele więcej czasu i byłoby wielokrotnie bardziej męczące, nie mówiąc już o tym, że najeżone niebezpieczeństwami.

Zbliżało się późne popołudnie trzeciego dnia, gdy spostrzegł to, czego szukał – Spotkanie Dróg. Rio de los Dios łączyła się tu z nieco mniejszą Rio Ouro – Złotą Rzeką. Rio de los Dios, pełna mulistego osadu z dżungli, miała ciemnobrązową – niemal czarną – barwę, podczas gdy Rio Ouro była złocistożółta, a jej wody niosły piasek zmywany z gór.

Tam, gdzie obie rzeki zbiegały się, zimniejsze, gęstsze wody Rio Ouro niechętnie łączyły się z cieplejszym nurtem Rzeki Bogów, a efektem było to, co Jaeger widział przed sobą – niezwykle odcinek, w którym czerń i biel płynęły obok siebie przez dobry kilometr lub więcej, prawie się nie mieszając. W miejscu Spotkania Dróg Rio Ouro zostanie wchłonięta przez Rio de los Dios. Wówczas Jaeger i jego ekipa znajdują się zaledwie trzy kilometry od przymusowego przystanku – przymusowego, bo dalej znajdowała się bariera nie do przebycia, punkt, w którym rzeka spadała prawie trzysta metrów z Wodospadu Diabła.

Dotychczas płynęli przez wysoki płaskowyż pokryty dżunglą. Miejsce, gdzie Rio de los Dios staczała się z wodospadu, wyznaczało punkt, w którym płaskowyż przecinała na pół nierówna linia uskoku. Ziemia na zachód od niego leżała trzysta metrów niżej, tworząc niekończący się kobierzec nizinnego lasu deszczowego. Ich punkt docelowy – tajemniczy wrak samolotu – znajdował się jakieś trzydzieści kilometrów od Wodospadu Diabła, w środku tej nizinnej dżungli.

Jaeger powoli ruszył przed siebie, bezgłośnie zanurzając wiosło w wodzie, prawie jej nie wzburzając. Jako były komandos Królewskiej Piechoty Morskiej na rzece czuł się doskonale. Przewodził splyw, pomagając innym pokonać bardziej zdradliwe płycizny. Zastanawiał się przy tym wciąż nad ich następnym krokiem – podjęte w tej chwili decyzje będą miały fundamentalne znaczenie.

Podróż w dół rzeki przebiegła w zasadzie bezproblemowo, przynajmniej w porównaniu z poprzednimi etapami. Obawiał się jednak, że – wraz ze zbliżającym się zejściem na ląd – ten przejściowy okres spokoju się skończy. Słyszał teraz coraz wyraźniej zbliżające się nowe zagrożenie. Głęboki, gardłowy ryk wypełnił mu uszy, jakby sto tysięcy antylop gnu pędziło w popłochu po afrykańskiej równinie. Spojrzał przed siebie.

Na horyzoncie widział ścianę unoszącej się mgły – drobne kropelki wody wyrzucone przez Rio de los Dios spływającą kaskadą przez krawędź rozpadliny, tworzącą jeden z najwyższych i najbardziej zjawiskowych wodospadów na świecie.

Przez Wodospad Diabła nie dało się przepłynąć – tyle wiedzieli już po przeanalizowaniu zdjęć satelitarnych. Jediną możliwą drogą była ścieżka prowadząca w dół skarpy, oddalona o dobry dzień marszu na północ. Jaeger planował, że niedługo zejść na brzeg i ostatni etap podróży – łącznie z tym stromym zejściem – pokonają pieszo. Okrążając Wodospad Diabła, znacznie zboczą z kursu, ale nie było innego wyjścia – przynajmniej tak to oceniał. Zbadał teren pod każdym kątem i uznał, że jedyną drogą była ta ścieżka w dół skarpy. Tajemnicą pozostawało, kto ją wydeptał.

Może dzikie zwierzęta. Może Indianie. A może ten nieznanый oddział, który gdzieś tam był – uzbrojony, wrogi i niebezpieczny.

Drugorzędnym problemem, z którym musiał się zmierzyć, był fakt, że na początku zakładali, iż ten ostatni etap podróży pokonają jako dziesięcioosobowy zespół. Teraz zostało ich pięciu, a on nie był pewien, co zrobić z wyposażeniem zaginionych członków ekipy. Na razie spakowali wszystkie rzeczy do canoe, ale ich dalszy transport nie wchodził w grę. Wprawdzie zostawienie tego wyposażenia było równoznaczne z tym, że pogodzili się ze śmiercią towarzyszy, ale Jaeger nie widział innego wyjścia.

Spojrzał za siebie. Jego canoe płynęło przodem, pozostałe w szeregu za nim. W sumie mieli pięć adaptowalnych łodzi ekspedycyjnych Advanced Elements – czteroipółmetrowych, częściowo składanych, które wylądowały na mierzei w tubach spadochronowych. Każda ważyła dwadzieścia pięć kilogramów i składała się w kostkę o powierzchni około pół metra kwadratowego, a rozkładała w łódkę o udźwigu dwustu czterdziestu dziewięciu kilogramów.

Rozpakowali je na mierzei, napompowali hydroplutami i zwodzowali obciążone ekwipunkiem. Każda łódź mogła się poszczycić potrójną powłoką kadłuba z materiału odpornego na rozdarcia, wbudowanymi wręgami z aluminium zwiększającymi stabilność, a także regulowanymi, wyściełanymi siedzeniami, pozwalającymi na długie wiosłowanie, bez narażania się na nieprzyjemne otarcia. Z sześcioma nadmuchiwanymi komorami i workami woporowymi były w zasadzie niezatapialne – co udowodniły na kilku odcinkach bystrzy, które napotkali po drodze.

Jaeger zakładał początkowo, że na wodzie znajdzie się pięć canoe, każda z dwuosobową załogą. Ponieważ jednak skład ekipy tak bardzo się skurczył, zmienili układ siedzeń tak, by w łodzi płynęła tylko jedna osoba. Dale i Kral wydawali się najbardziej zadowoleni z tego, że przez trzy dni spływu nie muszą tłoczyć się w tym samym canoe.

Podjeżdżał, że animozje w ekipie filmowej mają jedno źródło – Kralowi nie podobało się to, że Dale ma wyższą pozycję od niego. Dale reżyserował, a Słowak był jedynie asystentem produkcji – i czasami jego niechęć dawała się odczuć. Dale'a zaś strasznie wkurzał ten niefortunny nawyk Krala z wciąganiem powietrza przez zęby. Jaeger brał udział w wystarczająco wielu podobnych wyprawach, by wiedzieć, że w dżungli nawet najlepsi przyjaciele mogli zniechęcić się z całego serca. Zdawał sobie sprawę, że musi rozwiązać ten problem, bo takie tarcia groziły niepowodzeniem całego przedsięwzięcia.

Reszta ekipy – on sam, Alonzo i Kamishi – dogadywała się całkiem nieźle. Mało co tak integrowało samców alfa jak świadomość, że mierzą się z wrogiem tyleż nieznanym, co niebezpiecznym. Wspólne przeciwności losu jednoczyły trzech byłych żołnierzy służb specjalnych – tylko ci z ekipy filmowej ciągle mieli do siebie jakieś pretensje.

Kiedy szpiczasty dziób łódki pruł wodę Spotkania Dróg – złoto-białą pod jednej stronie, atramentowoczną po drugiej – Jaeger doszedł do wniosku, że na rzece czuł się niemal szczęśliwy. Niemal. Oczywiście, strata pięciu członków ekipy ciągle kładła się cieniem na ich podróży.

A jednak to właśnie o wiosłowaniu po dzikiej i dalekiej rzece, w sercu potężnej dżungli, marzył, gdy był jeszcze w Londynie. Tutaj rzeki były korytarzami światła i życia – zwierzęta ciągnęły do ich brzegów, a powietrze poruszało się w rytm niezliczonych ptasich skrzydeł.

Każde canoe miało elastyczną siatkę na dziobie, zapewniającą szybki dostęp do najważniejszego ekwipunku. Jaeger włożył tam strzelbę, by była w zasięgu ręki. Gdyby jakiś kajman próbował wejść mu w paradę, w razie potrzeby mógł ją w kilka sekund wyciągnąć i strzelić. Tak się jednak akurat złożyło, że większość gadów wołała trzymać się z daleka – w końcu łodzie dominowały wielkością nad wszystkim, co poruszało się po rzece.

W pewnym momencie Jaeger pozwolił, by canoe dryfowało spokojnie z prądem, a sam przypatrywał się polującemu jaguarowi – potężnemu samcowi. Wielki kot stąpał cicho przy brzegu, uważając, by nie wzburzyć wody ani nie robić hałasu. Zaszedł kajmana od tyłu i podpłynął do ławicy, na której gad się wygrzewał. Nie był to kajman czarny, a mniejszy – żakare.

Jaguar zakradł się przez ławicę i zaatakował. Kajman w ostatniej chwili wyczuł zagrożenie i próbował okrzęcić pysk, żeby kłapnąć napastnika, ten był jednak o wiele szybszy. Rzucił się okrzakiem na gada, głęboko wbijając pazury, i chwycił jego głowę w szczęki, zatapiając kły w mózgu. Zabił go na miejscu, a potem zaciągnął do wody i wrócił na brzeg. Obserwując polowanie od samego początku, Jaeger miał ochotę nagrodzić kota brawami. Jeden zero dla jaguara. Cieszyłby się, gdyby tak już zostało. Wcześniejsza walka z jednym z wielkich gadów i strata Iriny Narov wzbudziły u niego dogłębną niechęć do kajmanów.

Podróż rzeką miała jeszcze jedną zaletę – łodzie Dale'a i Krala znajdowały się na końcu flotylli. Jaeger argumentował, że są najmniej doświadczonymi wiosłarzami, powinni więc być najdalej od potencjalnych problemów. A przy okazji on mógł unikać kamery.

Jednak w ciągu ostatniego dnia uświadomił sobie ze zdziwieniem, że brakuje mu tych mini-wywiadów. Nieoczekiwanie kamera stała się czymś, z czym mógł porozmawiać, zwierzyć się. Była to pierwsza wyprawa Jaegera, na której pozbawiony był bratniej duszy, kogoś, komu naprawdę ufał.

Alonzo dobrze sprawdzał się w roli rezerwowego zastępcy. Prawdę mówiąc, pod wieloma względami – nie tylko masywną sylwetką – przypominał Raffa, z pewnością okazałby się znakomitym żołnierzem. Sądził, że Alonzo mógłby z czasem stać się jego dobrym i wiernym przyjacielem – nie był jednak powiernikiem, przynajmniej na razie.

Nie był nim też Hiro Kamishi. Jaeger uważał, że mógłby podzielić się wieloma sprawami z cichym Japończykiem – człowiekiem, który przesiąkł mistyczną ideą wojowników Wschodu, kodeksem bushidō. Musiał jednak najpierw go poznać. I on, i Alonzo byli twardzielami z elitarnych jednostek, a tacy potrzebowali czasu, żeby się do kogoś przekonać i przed kimś otworzyć.

Tak naprawdę to samo dotyczyło Jaegera. Po trzech latach spędzonych na Bioko uświadomił sobie, że najlepiej czuje się we własnym towarzystwie. Nie był właściwie klasycznym typem samotnika – byłego żołnierza, który nikomu nie ufa – ale przyzwyczał się do życia w pojedynkę. Zresztą czasami to ułatwiało wiele spraw. Przez chwilę zastanawiał się, jak byłoby z Iriną Narov? Czy z czasem okazałaby się kimś, z kim mógłby pomówić? Bratnią duszą? Nie miał pojęcia.

Tak czy owak stracił ją, i to na długo przed tym, zanim zdążył ją rozgryźć – o ile to w ogóle było możliwe.

Pod jej nieobecność to kamera stała się jego mimowolną powierniczką. Miała jednak jedną ogromną wadę: tworzyła zestaw z Dale'em, a więc nie wzbudzała zaufania. Ale w tej chwili nie było większego wyboru.

Wczoraj wieczorem, gdy obozowali nad rzeką, nagrali drugi wywiad. W trakcie rozmowy Jaeger poczuł, że stopniowo nabiera sympatii do Dale'a, który potrafił ze spokojem i godnością skłaniać rozmówców do szczerości. Miał rzadki dar, a Jaeger, chcąc nie chcąc, zaczął darzyć go pewnym szacunkiem.

Po zakończeniu wywiadu tym razem Stefan Kral został, żeby z nim pomówić. Pakując kamerę i sprzęt, przystąpił do minispowiedzi z epizodu zakazanego nagrywania na mierzei.

– Pewnie pomyślisz, że jątrzę, ale uznałem, że powinieneś wiedzieć – zaczął, a jego twarz rozciągnęła się w krzywym uśmiešku. – To potajemne nagrywanie to był pomysł Dale'a. Kazał mi zadawać pytania, a sam zajął się kamerą.

Spojrzał nerwowo na Jaegera.

– Powiedziałem mu, że to nie przejdzie. Że się połapiesz. Ale Dale nie chciał słuchać. On jest wielkim reżyserem, a ja tylko zwykłym asystentem produkcji, przynajmniej on tak to widzi, więc to on decyduje. – W słowach Krala słyhać było urazę. – Jestem sporo starszy, więcej razy kręciłem w dżungli, ale muszę go słuchać. I, szczerze mówiąc, nie zdziwiłbym się, gdyby znowu spróbował wywinąć podobny numer. Po prostu chciałem cię ostrzec.

– Dzięki. Będę uważał – odpowiedział Jaeger.

– Mam troje dzieci, a wiesz, jaki jest ich ulubiony film? – ciągnął Kral, a krzywy półuśmiešek jeszcze bardziej rozciągnął się na jego twarzy. – „Shrek”. I wiesz co? Dale to pieprzony książę z bajki. I wykorzystuje to. Świat mediów pełen jest kobiet – producentek, menedżerek, dyrektorek – a on owinął je sobie wszystkie wokół palca.

W żołnierskich czasach Jaeger dał się poznać jako dowódca potrafiący z zera zrobić bohatera, co poniekąd tłumaczyło, czemu czuł naturalną sympatię do słabszych – a Kral z pewnością był kimś takim w tym filmowym tandemie.

Mimo to dobrze rozumiał, dlaczego Carson powierzył władzę Dale'owi. W wojsku często zdarzało się, że młodszy oficerowie dowodzili ludźmi z o wiele dłuższym stażem, po prostu dlatego, że mieli do tego talent. Na miejscu Carsona podjąłby identyczną decyzję.

Jaeger zrobił, co mógł, by dodać Kralowi otuchy. Powiedział, że jeśli będzie miał poważne wątpliwości, może się do niego zwrócić. Jednak mimo wszystko to filmowcy musieli się ze sobą dogadać. I bardzo ważne było, żeby im się udało. Takie tarcia – taka gniewna uraza – mogły zniszczyć wyprawę od środka.

Białe i czarne wody rzeki pod dziobem mieszały się teraz w brudnoszare, a ryk Wodospadu Diabła wzbierał w złowieszczy, ogłuszający grzmot. To przeniosło jego myśli do spraw w tym momencie najważniejszych. Musieli zejść na brzeg, i to szybko. Przed sobą, po prawej stronie, zauważył połąć bagnistego brzegu, częściowo ukrytego pod zwieszającymi się gałęziami.

Dał sygnał ręką i zwrócił dziób w tę stronę. Reszta sknęła w szeregu za nim. Gdy odpychał się wiosłem, zauważył szybki ruch pod okapem gałęzi – zapewne jakiegoś zwierzęcia przemycającego przy brzegu. Przyglądał się ciemnościom pod drzewami, czekając – a nuż się pokaże.

Wtem z dżungli wyszła postać. Człowiek. Bosy, nagi, nie licząc pasa tkanego z kory, stał tam, widoczny jak na dłoni, spoglądając w kierunku Jaegera.

Pięćset metrów wody dzieliło go od wojownika z plemienia Indian amazońskich, z którym dotychczas nie było żadnego kontaktu.



Jaeger nie miał wątpliwości, że Indianin ujawnił się świadomie. Pytanie dlaczego. Wynurzył się z cienia, a na pewno mógł pozostać w ukryciu, gdyby zechciał. W jednej ręce trzymał zgrabnie wygięty łuk ze strzałą. Jaeger znał taką broń. Każda z długich strzał była zakończona trzydziestocentymetrowym kawałkiem płaskiego, ostro ostruganego bambusa, z morderczymi ząbkowanymi krawędziami.

Jedną stronę grotu pokrywano trucizną z drzewa *tiki uba*, antykoagulantem, a tylną część wyposażano w lotki z piór z ogona papug, by zwiększyć celność. Jeśli kogoś trafił czubek strzały, antykoagulant zapobiegał krzepnięciu krwi, a ofiara wykrawiała się na śmierć.

Indiańska dmuchawka miała zasięg nie większy niż trzydzieści metrów – wystarczający, by dosięgnąć okapu dżungli. Natomiast łuk strzelał na odległość cztery – pięć razy większą. To w ten sposób plemiona polowały na większą zwierzynę – może kajmany, na pewno na jaguary, a bez wątpienia na dwunożnych nieprzyjaciół, którzy przekroczyli granice ich ziem.

Jaeger użył płaskiej części wiosła, by wybić sygnał alarmowy na wodzie, ostrzegając ludzi za sobą, na wypadek, gdyby nie zauważyli postaci na brzegu.

Wyciągnął wiosło z wody i ułożył je wzdłuż łodzi, kładąc prawą dłoń na strzelbie. Dryfował jeszcze przez kilka sekund, w milczeniu wpatrując się w Indianina, który z kolei spoglądał prosto na niego.

Potem wojownik dał sygnał – gest dłonią w jedną i drugą stronę. Z prawa i z lewa wyszły kolejne postacie, podobnie ubrane i uzbrojone. Jaeger naliczył ich teraz tuzin, a pewne było, że następni czaili się w cieniu. Jakby na potwierdzenie jego domysłów, wódz – bo musiał nim być – wykonał kolejny gest dłonią. Po rzece poniósł się okrzyk – zwierzęcy, basowy, gardłowy.

Szybko rozwinął się w wojenny zaśpiew, który rozchodził się po wodzie niczym wyzwanie. Wtórowała mu seria niezwykle mocnych uderzeń, jakby ogromny bęben wybijał w dżungli rytm: *kabum-bum-bum, kabum-bum-bum!*

Przejmujące bębnienie niosło się echem. Jaeger rozpoznał ten dźwięk. Słyszał coś podobnego, gdy pracował z oddziałami pułkownika Evandro. Gdzieś tuż za linią drzew Indianie uderzali ciężkimi pałkami bojowymi w ogromne korzenie szkarpowe, wybijając odgłos przypominający grzmot, który rozbrzmiewał zza ściany lasu.

Zobaczył, jak wódz Indian unosi łuk i macha nim w jego kierunku. Okrzyki wojenne nasiliły się, a uderzenia w korzenie podkreślały każde potrząśnięcie broni. Tego gestu – całego spektaklu – nie trzeba było tłumaczyć: „Ani kroku dalej”.

Problem w tym, że Jaeger nie miał gdzie zawrócić. Za nim było ponad sto kilometrów rzeki, pod prąd i to w niewłaściwym kierunku. Przed nim – tylko urwisko Wodospadu Diabła. Albo przybiją do brzegu tutaj, albo będą mieli poważne kłopoty.

Taka forma nawiązania pierwszego kontaktu nie wróżyła najlepiej, ale Jaeger nie miał większego wyboru. Jeszcze kilka sekund i znajdzie się w zasięgu strzał – a nie wątpił, że tym

razem naprawdę będą zatrute.

Wyjął strzelbę z siatki, wycelował w rzekę tuż przed canoe i otworzył ogień. Oddał sześć strzałów ostrzegawczych, szybko, jeden po drugim, siekąc wodę i wzbijając wielką chmurę rozbrzygów wysoko w powietrze.

Indianie zareagowali błyskawicznie. Wojownicy nałożyli strzały i wypuścili je. Poleciały wysokim łukiem prosto do celu, ale upadły nieco przed dziobem łodzi Jaegera. Po szeregach Indian poniosły się zaniepokojone okrzyki i przez chwilę Jaeger był przekonany, że tubylcy zdecydowali się zostać i walczyć.

Starcie z tym nieznanym plemieniem było ostatnią rzeczą, po jaką tu przyjechał. Ale jeśli nie zostawią mu wyboru, zrobi wszystko, co w jego mocy, i będzie bronił ekipy do końca.

Przez długą chwilę Jaeger i wódz spoglądali sobie w oczy, jakby prowadzili próbę sił na odległość. Wtem dowódca znów wykonał gest, wymachując ręką w stronę dżungli. Indianie po obu stronach w mgnieniu oka zatopili się między drzewami.

Jaeger już nie raz widział, jak takie leśne plemiona potrafią błyskawicznie zniknąć, ale nigdy nie przestało go to zadziwiać. Nikt ze znanych mu ludzi, nawet Raff, nie umiał im dorównać.

Wódz jednak został na miejscu, nieruchomy, z twarzą pociemniałą z gniewu. Stał sam na przeciwko Jaegera.

Łódź wciąż dryfowała w stronę brzegu. Jaeger zobaczył, że Indianin unosi coś w prawej ręce, a potem wbija to w błoto z okrzykiem wściekłości. Wyglądało to jak włócznia z proporcem bitewnym albo wisorkiem łopoczącym na górnym końcu. Potem odwrócił się i zniknął.

Jaeger nie zamierzał ryzykować. Płynął na przedzie sam, a trochę z tyłu, rozstawieni po obu stronach, osłaniali go Alonzo i Kamishi z karabinami gotowymi do strzału. Na samym końcu ułokował Dale'a i Krala z kamerą, bo chcieli nagrać cały przebieg zdarzenia.

Wiedział, że jest dobrze ubezpieczony, i liczył na to, że pokaz siły – oddane do wody strzały – podziałają odstraszająco. Kilka razy mocno zamachnął się wiosłem, a łódź przedryfowała parę ostatnich metrów. Złapał strzelbę i przyłożył do ramienia, kierując lufę na ciemną linię drzew.

Cisza i spokój.

Dziób zarył w błoto i zatrzymał się. Błyskawicznie wyskoczył, przykucnął w wodzie za obciążoną łódką, omiatając bronią dżunglę.

Nie ruszał się dobre pięć minut. Pochylony nad strzelbą, nadstuchiwał i rozglądał się w milczeniu. Dostroił każdy zmysł do nowego otoczenia, odsiewając wszelkie odgłosy, które w jego przekonaniu miały naturalne źródło. Jeśli uda mu się wyłączyć zwyczajne pulsy i rytmy lasu, wyłowi wszystko, co nietypowe, na przykład ludzki krok albo wojownika nakładającego strzałę na łuk.

Nie wychwycił jednak nic podobnego.

Wyglądało na to, że plemię zniknęło równie szybko, jak się pojawiło. Mimo to Jaeger nie wierzył ani przez chwilę, że wojownicy faktycznie odeszli.

Nie opuszczając broni, przywołał Alonzo i Kamishiego. Kiedy ich łódzie niemal zrównały się z jego canoe, podniósł się i zaczął brodzić przez pływającą z wymierzoną strzelbą, gotów rozpę-

tać piekło. W połowie ławicy opadł na kolano, omiatając bronią ciemny teren przed sobą. Dał sygnał Alonzo i Kamishiemu. Kiedy znaleźli się obok niego, ruszył dalej przez piasek, aż doszedł do włóczni i wyrwał ją z ziemi.

Leticia Santos, zaginiona członkini ekipy, nosiła piękną, wielobarwną, jedwabną chustę z napisem „Carnivale!”. Jaeger całkiem niezle nauczył się portugalskiego podczas szkolenia oddziałów B-SOB, i powiedział jej kiedyś, że ta chusta świetnie pasuje do jej gorącego latynoskiego temperamentu. Ona zaś odrzekła, że dostała ją w prezencie od siostry w czasie ostatniego lutowego karnawału w Rio, i że ma jej przynieść szczęście na tej wyprawie. I to właśnie chusta Leticii Santos zwisała z końca włóczni.

Jaeger wypychał rzeczy do plecaka, a w wyrzucanych w pośpiechu słowach, słyhać było dużą nerwowość:

– Po pierwsze: jak nas wyprzedzili tak szybko i to nie korzystając z rzeki? Po drugie: czemu chcieli pokazać nam chustę Santos? Po trzecie: czemu potem po prostu zniknęli?

– Żeby nas ostrzec, że to tylko kwestia czasu, zanim porwą wszystkich – usłyszał głos Krala. Nawet jego irytujący uśmiezek zmacony był niepokojem. – Wszystko się chrzani, i to szybko.

Jaeger zignorował go. Nie miał nic przeciwko zdrowej dawce realizmu, ale Kral był niepoprawnym pesymistą, a oni musieli zachować trochę nadziei i pełną koncentrację. Jeśli stracą zimną krew tu, w środku dziczy, to po nich.

Wyciągnęli łodzie na brzeg i stworzyli prowizoryczny obóz, a Jaeger dalej przepakowywał ekwipunek tak szybko, jak mógł.

– To znaczy, że znają nasze położenie – zauważył. – I skądś nas obserwują. Tym ważniejsze, żebyśmy się stąd zbierali i szli szybko, jak najmniej obciążeni. – Spojrzał na stertę leżącego na brezencie wyposażenia, które chcieli zostawić. Było tam wszystko, co zbędne – spadochrony, sprzęt do canoe, zapasowe uzbrojenie.

– Wszystko, powtarzam: wszystko, czego nie potrzebujecie, zostawcie tutaj. Dodatkowe obciążenie, w razie wątpliwości, wyrzucie.

Jaeger przyjrzał się łodziom wyciągniętym na plażę.

– Spuścimy powietrze i je też zostawimy. Dalej idziemy piechotą.

Reszta potaknęła. Jaeger spojrzał na Dale'a.

– Wy bierzecie jedną Thurayę na spółkę. To będzie telefon satelitarny Wild Dog Media. Ja wezmę drugi, Alonzo trzeci. W sumie bierzemy trzy, resztę zostawiamy.

Zerknął na Dale'a i Krala.

– Któryś z was umie posługiwać się bronią?

Dale wzruszył ramionami.

– Nie, chyba, że w strzelankach na Xboxie.

Kral przewrócił oczami.

– Na Słowacji wszyscy uczą się strzelać. Tam, skąd pochodzę, dużo się poluje, szczególnie w górach.

Jaeger kiwnął głową z aprobatą.

– Weź sobie karabin i sześć pełnych magazynków. Będziecie mieli jedną broń na spółkę. Najlepiej po drodze przekładajcie ciężar między sobą, bo wiem, że macie jeszcze kamerę i sprzęt.

Przez chwilę Jaeger ważył w dłoni nóż Narov. Początkowo dołączył go do sterty wyposażenia, które zostawią. Teoretycznie powinni je ukryć, możliwie najlepiej zabezpieczając, a potem

odzyskać. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, kto miałby tu wrócić. Prawdę mówiąc, sądził, że muszą spisać wszystko na straty.

Zmienił zdanie i dołożył nóż Rosjanki do ekwipunku, który zabierał z sobą. To samo zrobił z monetą Nocnych Łowców otrzymaną od pilota C-130. Były to decyzje podyktowane sentymentem – ani nóż, ani moneta nie były niezbędne na dalszym etapie wyprawy. Ale Jaeger już taki był – przesądnie wierzył w znaki – więc niełatwo pozbywał się rzeczy, które miały dla niego osobiste znaczenie.

– Teraz przynajmniej wiemy, kto jest naszym wrogiem – stwierdził, próbując dodać wszystkim otuchy. – Nie mogli zostawić bardziej jednoznacznego sygnału, nawet gdyby wypisali go na piasku.

– A jaki to był według ciebie sygnał? – zapytał Kamishi głosem pełnym typowego dla niego spokoju. – Myślę, że można go odczytać na różne sposoby.

Jaeger spojrział na Japończyka z zaciekawieniem.

– Przywiązali chustę Santos do włóczni, którą wbili w piasek. Dla mnie to całkiem jasne: ani kroku dalej, albo spotka was taki sam los.

– Może dałoby się to odczytać inaczej. To niekoniecznie jawna groźba.

Alonzo parsknął:

– Akurat.

Jaeger machnął ręką, uciszając go.

– A jak ty byś to zinterpretował?

– Może dobrze by było popatrzeć na to z ich perspektywy – zasugerował Kamishi. – Może Indianie się boją. Dla nich jesteśmy jak istoty z innej planety. Spadliśmy z nieba na ich odizolowany świat. Unosimy się nad wodzie w tych magicznych łódkach. Nosimy laski grzmotu, które rozsadzają rzekę. Gdybyś w życiu nie widział takich rzeczy, czy byś się nie bał? A nadrzędną ludzką reakcją na strach jest gniew i agresja.

Jaeger potaknął:

– Mów dalej.

Kamishi przebiegł wzrokiem po członkach ekipy. Przerwali zajęcia, żeby posłuchać, albo – w przypadku Dale'a – żeby nagrywać.

– Wiemy, że to plemię ze strony obcych spotkała jedynie agresja – podjął Japończyk. – Ich nieliczne kontakty to były spotkania z tymi, którzy chcieli zrobić im krzywdę: drwalami, górnikami i innymi ludźmi, zamierzającymi pozbawić ich rodzinnej ziemi. Czemu po nas mieliby się spodziewać czegoś innego?

– Do czego zmierzasz? – niecierpliwił się Jaeger.

– Myślę, że potrzebujemy dwutorowego podejścia – oznajmił cicho Kamishi. – Z jednej strony będziemy bardzo uważać, szczególnie gdy znajdziemy się w dżungli, która jest ich domem. Z drugiej, musimy spróbować przekonać Amahuaca do siebie, znaleźć sposób, żeby pokazać im, że mamy jedynie przyjazne zamiary.

– Zdobyć ich serca i umysły? – zaciekawił się Jaeger.

– Otóż to. Takie podejście ma też inną zaletę. Przed nami długa i niełatwa podróż. A nikt nie zna dżungli lepiej niż ci Indianie.

– No nie, Kamishi, nie rozśmieszaj mnie! – wtrącił się Alonzo. – Porwali jedną z nas, pewnie ją ugotowali i zjedli, a ty chcesz, żebyśmy się z nimi zakumplowali? Nie wiem, z jakiej planety się wzięłeś, ale w moim świecie na ogień odpowiadamy ogniem.

Kamishi skłonił się lekko.

– Panie Alonzo, zawsze powinniśmy być gotowi do walki. Czasem to jedyne wyjście. Ale powinniśmy być też przygotowani, by wyciągnąć rękę w przyjaźni. Czasem to lepsze rozwiązanie.

Alonzo podrapał się po głowie.

– No nie wiem, stary... Jaeger?

– Bądźmy gotowi na oba warianty – zdecydował Jaeger. – Przygotowani, by wyciągnąć rękę w przyjaźni albo przywitać ich ogniem. Ale nikt nie będzie podejmował niepotrzebnego ryzyka, próbując zbliżyć się do Indian. Nie chcę powtórki tego, co było wcześniej.

Wskazał na stertę odrzuconego wyposażenia.

– Kamishi, wybierz z tego jakieś rzeczy, które mogą im się spodobać. Dary, które zabierzemy ze sobą, żeby spróbować ich udobruchać.

Japończyk potaknął:

– Coś wybiorę. Materiały impregnowane, maczety, garnki – takie rzeczy powinny się przydać Indianom.

Jaeger spojrział na zegarek.

– OK, jest czternasta zero zero czasu Zulu. Do początku ścieżki, która schodzi po skarpie, mamy półtora dnia marszu, nawet mniej, pod warunkiem że naprawdę się sprężymy. Jeżeli ruszymy teraz, powinniśmy tam dotrzeć jutro przed zmrokiem.

Wyciągnął kompas, a potem zebrał kilka kamyków do odliczania, podobnych do tych, z których korzystał wcześniej.

– Będziemy szli pod drzewami, jedynie marszem na azymut. Podejrzewam, że niektórzy z was – zerknął na Krala i Dale'a – nie znają tej techniki, więc trzymajcie się blisko. Ale nie za blisko.

Spojrzał na resztę.

– Nie chcę, żebyśmy się tak zbijali, bo staniemy się łatwiejszym celem.

Maszerowali przez dżunglę na tyle sprawnie, na ile mógł liczyć. Ich trasa biegła wzdłuż krawędzi rozpadliny, ziemia pod nogami była skalista i bardziej sucha, a las trochę rzadszy. Dzięki temu poruszali się dość szybko.

Pierwszej nocy obozowali w dżungli i wypróbowali nową strategię – podwoili strażę, starając się zarazem przekonać Indian do nawiązania pokojowego kontaktu.

W czasach służby wojskowej Jaeger nieraz brał udział w akcjach, których celem było zaskarwienie sobie przychylności miejscowej ludności. Autochtoni posiadali bezcenną wiedzę o ruchach wroga, znali najlepsze ścieżki, dzięki którym można wyśledzić przeciwników i urządzić na nich zasadzkę. Zawsze dobrze było mieć ich po swojej stronie.

Jaeger i Kamishi zgodnie z planem wystawili dary dla Indian, zawieszając je w lesie, tuż poza zasięgiem wzroku. Parę noży, maczety, jakieś garnki – wyposażenie, które sam by docenił, gdyby był członkiem dzikiego plemienia żyjącego w sercu największej dżungli świata. Nie pisali liścików do Indian, jak zrobił to Joe James. Członkowie takich plemion raczej nie umieli czytać. Dobra wiadomość była taka, że w ciągu nocy niektóre z darów zniknęły. W zamian ktoś – przypuszczalnie indiański wojownik – zostawił swoje podarki: trochę świeżych owoców, dwa amulety ze zwierzęcych kości, a nawet kolczan na strzałki ze skóry jaguara.

Jaeger czuł się podniesiony na duchu. Pojawiły się pierwsze znaki pokojowego kontaktu. Mimo to pod żadnym pozorem nie pozwolił sobie i innym na utratę czujności. Indianie na pewno byli blisko. Szli ich śladem, a to oznaczało, że zagrożenie pozostawało bardzo realne.

Poprowadził ekipę do drugiego planowanego obozowiska, na brzeg trzystumetrowego urwiska i do ścieżki prowadzącej w dół. Zaczynało się już ściemniać, kiedy znalazł odpowiednie miejsce na nógę.

Dał sygnał, żeby się zatrzymali. Zrzucili plecaki i usiedli na nich bez słowa. Jaeger kazał im poświęcić dziesięć długich minut na „wartę nasłuchową” – dostrojenie się do lasu i poszukiwanie potencjalnych zagrożeń. Wszystko wydawało się ciche i spokojne.

Potem dał znak, żeby rozbili obóz.

Pracowali w gęstniejącym mroku, polegając jedynie na dotyku, nie zapalając świateł ani nie roznecając ognia, aby nie zdradzać Indianom swojego dokładnego położenia. Jaeger i Kamishi planowali też rozwiesić kolejne dary – chcieli to jednak zrobić daleko od obozu, żeby zapewnić sobie dodatkowy pierścień ochrony.

Jaeger rozwinął przeciwdeszczowe poncho i rozwiesił między czterema drzewami, tworząc nieprzemakalny dach. Następnie zdjął przepocone ubranie. Każdy niósł jeden komplet suchej odzieży – podkoszulek, bojówki i skarpety. W nocy przebierali się w suche ciuchy, dając ciału kilka godzin wytchnienia. Było to bardzo ważne. Jeśli skóra pozostawała cały czas mokra, to przy tej temperaturze i wilgotności szybko zaczynała gnić.

Kiedy już zmienił strój, zawiesił pod poncho hamak. Uszył go ręcznie z jedwabiu spadochronowego, dzięki czemu był mocny, lekki i trwały. Miał dwie warstwy – na jednej leżał, a drugą naciągał na siebie, tworząc coś na kształt kokonu. Chronił go przed komarami i utrzymywał ciepło, gdyż noce w dżungli bywały zaskakująco chłodne.

Na oba końce linek hamaka nawleczona była pileczka do squasha przecięta na pół i zwrócona wypukłą stroną do drzewa. To zapobiegało spływaniu wody po linkach i zawilgacaniu części hamaka przy głowie i w nogach. Jaeger spryskał obszar zaraz za pileczką silnym repelentem – wsiąknie w linkę i odstraszy pelzające robale.

Wsadził kompas w kieszeń suchych bojówek. Gdyby byli zmuszeni uciekać nocą, musiał mieć go przy sobie. Mokre ubranie włożył do worka foliowego i przyczepił pod klapą plecaka, który z kolei umieścił pod hamakiem. Na samym wierzchu położył broń. Będzie w zasięgu ręki, jeśli musiałby po nią sięgnąć.

Był to już szósty dzień wyprawy, a ciągle wysiłek i konieczność zachowania czujności sprawiały, że wszyscy zaczęli odczuwać dojmujące zmęczenie. Nie można było jednak pominąć regularnej zmiany odzieży. Jaeger wiedział z doświadczenia, że jeśli ktoś przestawał przestrzegać tej zasady na tak długiej wyprawie, myśląc „Jestem zbyt zmęczony, nie chce mi się” – to było po nim. Podobnie jak wtedy, gdy pozwolił, by sucha odzież zamokła. Stopa okopowa i grzybica krocza mogły rozwinąć się szybko i spowolnić każdego równie skutecznie jak postrzał.

Przed położeniem się w hamaku Jaeger zawsze wcierał puder przeciwgrzybiczy w najbardziej wrażliwe miejsca: między palcami u stóp, pod pachami i w pachwiny. To tam zwykle gromadziły się brud, wilgoć i bakterie, i to te części ciała pierwsze zaczynały gnić, co prowadziło do zakażenia. Rankiem ekipa odwróciła całą procedurę, przebierając się z suchej odzieży w mokrą, pakując suchą, zasypując talkiem skarpetki i nie tylko, i przygotowując się do wymarszu. Choć był to żmudny rytuał, tylko w ten sposób udawało się utrzymać ciało w dobrym stanie w takich warunkach.

Na koniec Jaeger sprawdził plastry, którymi zakleił sobie sutki. Mokre ubranie często ocierało pierś do krwi. Odciał kilka świeżych kawałków plastra, przykleił je, a zużyte wsadził do bocznej kieszeni plecaka. Im mniej po sobie zostawia, tym trudniej będzie ich wysledzić.

Potem był już gotów do rozwieszenia darów dla Indian. Razem z Kamishim przywiązali to, co im jeszcze zostało, do nisko wiszących gałęzi w odległej kępie drzew. Później wrócili do obozu, gdzie mieli objąć pierwszą wartę. Przez całą noc dwie pary czujnych oczu będą pilnować obozu, po dwie godziny, na zmianę.

Usiedli, koncentrując się na swoich zmysłach – głównie słuchu i wzroku, będących najlepszym systemem wczesnego ostrzegania. Kluczem do przetrwania w głębi dżungli była czujność w każdym tego słowa znaczeniu. Dostrajanie się do pogrążonego w mroku lasu stanowiło pewną formę medytacji. Jaeger czuł, że Japończyk robi to samo.

Otworzył umysł na jakiegokolwiek zmiany w otoczeniu, wyczulony na wszelkie oznaki niebezpieczeństwa. Gdy jego uszy wyławiały choćby najmniejszy dźwięk – coś odcinającego się od



nocnego pulsowania owadów w mroku – oczy błyskawicznie odwracały się w stronę zagrożenia.

Napięcie narastało, kiedy wyczuwali w ciemnościach jakiś ruch. Każdy odgłos dochodzący z mrocznych zarośli przyspieszał bicie serca. Przez dżunglę niesły się echem dziwne zwierzęce dźwięki, których w życiu nie słyżał. A w dodatku dziś był przekonany, że przynajmniej niektórzy z nich wydawali ludzkie. Zza drzew dochodziły dziwne, nienaturalne, przesywające piski i wycie. Wiele zwierząt w dżungli wydawało podobne odgłosy – szczególnie stada małp. Ale robiły to także amazońskie plemiona, wysyłając sobie sygnały.

– Słyszysz to? – szepnął Jaeger.

Białe zęby Kamishiego błysnęły w nikłym świetle księżyca.

– Tak. Słyszę.

– Zwierzęta czy Indianie?

Japończyk spojrział na dowódcę.

– Chyba Indianie. Może to sygnał, że spodobały im się nowe prezenty?

– Dobrze by było – mruknął Jaeger.

Ale te zawołania bynajmniej nie brzmiały jak okrzyki radości.

Jaeger obudził się. Była głęboka noc. Z początku nie wiedział, co go wyrwało ze snu.

Kiedy jego zmysły dostosowały się do najbliższego otoczenia, wyczuł gęste i upiorne napięcie wokół obozu. I nagle, kątem oka, dostrzegł widmową postać wynurzającą się z dżungli. Niemal w tej samej chwili zauważył, jak spomiędzy drzew wylaniają się dziesiątki kolejnych. Widział prawie nagie kształty wyrastające z mroku i przemykające lekko w stronę obozu. Poruszały się jak jeden organizm, z bronią gotową do strzału. Jaeger sięgnął w dół, szukając palcami zimnej stali strzelby. Złapał ją i podciągnął na hamak obok siebie.

Zauważył, że nie śpi też Alonzo. Porozumieli się w ciemności bez słów – Indianie podkradli się do obozu niezauważeni, w jakiś sposób omijając wartowników.

Mieli wielokrotną przewagę liczebną, a Jaeger był pewien, że w lesie czaili się kolejni. Było oczywiste, co by się stało, gdyby on i Alonzo zaczęli strzelać. Drogo sprzedaliby swoją skórę, ale Indian było zbyt wielu i w końcu wyróżniliby ich ekipę do nogi. Jaeger powstrzymał się przed otwarciem ognia i dał sygnał Alonzo, żeby postąpił tak samo.

Kilka chwil później zmaterializowały się obok niego trzy postacie. Ciche, odziane jedynie w kawałki kory i przyozdobione amuletami z piór i kości, trzymały wydrążone drewniane tuby – dmuchawki – wymierzone w jego głowę. Jaeger nie wątpił, że były w nich strzałki zatrute kurarą.

Pozostali uczestnicy wyprawy budzili się poszturchiwani, z przerażeniem uświadamiając sobie, że zostali pojmani. Tylko Kamishiego nie było w hamaku. Wcześniej ustalili warty, z różnym czasem zmian, więc Jaeger podejrzewał, że to Japończyk musiał stać na straży i że to on nie zauważył napastników. Czemu jednak Kamishi czuwał sam? Powinno być dwóch wartowników przez całą noc. Tak czy owak, zapewne był teraz jeńcem, jak pozostali.

Jaeger nie miał jednak czasu, by się nad tym głowić. Gestami rąk i ostrymi, gardłowymi komendami, których nie rozumiał, ale których znaczenie było aż nadto jasne – kazano mu zejść z hamaka. Dwóch Indian mierzyło do niego z dmuchawek, a trzeci wyrwał mu z rąk strzelbę.

Zmusili go, żeby złożył obóz, spakował hamak i poncho, a potem zarzucił plecak na ramiona. Pchnęli go mocno w plecy, nie pozostawiając większych wątpliwości, czego oczekiwali. Jaeger miał iść, nie mogąc przebrać się, zgodnie z zasadą, w mokre ubranie. W dodatku nie wiedział, gdzie ta wędrówka miała go zaprowadzić.

Kiedy opuszczał obóz, zauważył wydającego rozkazy wodza Indian – tego samego wojownika, z którym mierzył się wzrokiem na brzegu rzeki. Ich spojrzenia spotkały się, a Jaeger miał wrażenie, że spogląda w pustkę. Przypominało mu to wzrok jaguara. Chłodny, ciemny, niezgłębiony. Wzrok myśliwego.

Znalazł się obok Kamishiego. Japończyk nie chciał spojrzeć mu w oczy. Wiedział zapewne, że zawiódł całą ekipę, co mogło skończyć się dla nich fatalnie.

– Przepraszam – wymamrotał, zwieszając głowę ze wstydem. – To była moja druga warta, zamknąłem oczy tylko na chwilę i...

– Wszyscy jesteśmy zmęczeni – szepnął Jaeger. – Nie przejmuj się. Ale kto stał z tobą? Kamishi zwrócił oczy na Jaegera.

– Miałem cię obudzić, ale pozwoliłem ci spać. Myślałem, że mam dość siły, by wytrwać sam. I tak się to skończyło. – Wskazał na Indian, którzy ich pojмали. – Uchybiłem obowiązkowi wojownika. Moja buta przyniosła wstyd dziedzictwu bushidō.

– Słuchaj, zabrali trochę naszych podarków – przypomniał mu Jaeger. – To świadczy, że są zdolni do pokojowego kontaktu. A nawet, że go szukają. Bez ciebie w ogóle byśmy nie spróbowali porozumieć się z nimi. Nie musisz się więc wstydzić, przyjacielu. Chcę, żebyś był silny...

Słowa Jaegera przerwało bolesne uderzenie w głowę. Jeden z Indian zauważył wymianę zdań i dzielił go pałką. Najwyraźniej nie chcieli, żeby jeńcy rozmawiali – mieli iść przed siebie.

Kiedy oddalali się od obozu, z cienia wynurzyły się kolejne postacie. Wydawało się, że w jakiś niewytłumaczalny sposób Indianie potrafili pozostać niewidzialni, do czasu aż chcieli się ujawnić.

Jaeger dobrze znał techniki kamuflażu stosowane w jednostkach specjalnych. Wiele dni spędził w ukrytych punktach obserwacyjnych w dżungli, pozostając niemal niewidoczny dla nieprawnych oczu. Indianie jednak nie stosowali zwykłego kamuflażu – było to coś o wiele głębszego. Używali jakiejś mocy – nieuchwytnych umiejętności – by stopić się z dżunglą w jedność.

Szkolił się kiedyś w ściśle tajnym ośrodku treningowym SAS pod okiem człowieka, który przez lata żył z najbardziej prymitywnymi plemionami świata. Podczas szkolenia mieli nauczyć się poruszać i walczyć jak tubylcy. Ale nikt nawet nie ludził się, że naprawdę opanowali tę sztukę.

Niesamowite, w jaki sposób dzikie plemiona potrafiły używać tej mocy. Mimo dramatycznego położenia Jaeger był zafascynowany, mogąc przyglądać się z bliska, jak działają Indianie. Poruszali się cicho i pewnie, nawet w kompletnych ciemnościach. W odróżnieniu od członków ekipy, którzy szli po omacku, potykając się o korzenie i wpadając na drzewa.

Jaeger wiedział, że największa – czasem jedyna – okazja do ucieczki nadarzała się zaraz po schwytaniu, kiedy jeńcy mieli jeszcze chęć i energię, by spróbować zaskoczyć pilnujących, a ci byli najmniej na to przygotowani. To żołnierze brali jeńców, nie strażnicy – a to duża różnica. Nie miał jednak wątpliwości, co by się stało, gdyby ktoś próbował uciec – w gnieniu oka zostałby naszpikowany zatrutymi strzałami z łuku albo z dmuchawek. W każdym razie nadal odliczał kroki. W jednej ręce trzymał kompas z ledwie widoczną w mroku fosforyzującą wskazówką, w drugiej ścisnął kamyki.

Ważne było, żeby orientował się w ich położeniu, bo dzięki temu mógł dać wszystkim szansę ucieczki.

Świtało, gdy Indianie wprowadzili Jaegera i jego ekipę do wioski, choć na pierwszy rzut oka to, co zobaczyli, trudno było nazwać wioską.

Na środku polany stała pojedyncza budowla – wielki dom spotkań wspólnoty, w kształcie pączka, kryty strzechą z trzciny, sięgającą niemal do ziemi. Ponad nim unosił się wąski, węzowy kłęb szarego dymu. Całość osłaniały drzewa, była więc prawie niewidoczna z powietrza. Przez chwilę Jaeger zastanawiał się, gdzie właściwie żyją mieszkańcy – do czasu, gdy usłyszał głosy wołające z góry. Podniósł wzrok i otrzymał odpowiedź. Plemię budowało domy w wierzchołkach drzew. Jakies dwadzieścia metrów nad ziemią wisiały prostokątne konstrukcje przypominające chatki, osłonięte przez najwyższe gałęzie. Wchodziło się tam po lianach, a między niektórymi domkami rozciągały się rachityczne pomosty.

Jaeger słyszał o plemionach żyjących w ten sposób. Brał udział w wyprawie na terenie Papii-Nowej Gwinei, gdzie lud Korowai słynął z tego, że mieszkał na drzewach. Najwyraźniej nie tylko oni upodabali sobie życie wysoko nad poszyciem dżungli.

Kolumna maszerujących zatrzymała się.

Zewsząd spoglądały na nich oczy. Dorośli mężczyźni nie ruszyli się z miejsca, ale kobiety szybko umykały, troskliwie przyciskając najmłodsze pociechy do piersi. Dzieci – pokryte pyłem, nagie, trochę zaciekawione, trochę przestraszone – wyglądały zza drzew, z oczami szerokimi ze zdziwienia i strachu.

Podszedł do nich niesamowicie chudy i poskręcany staruszek. Wyprostował się i zbliżył twarz nieprzyjemnie blisko do twarzy Jaegera, wpatrując się w jego oczy – niemal jakby potrafił mu zajrzeć do wnętrza głowy. Przyglądał się tak przez kilka sekund, a potem odwrócił wzrok, wybuchając śmiechem. Było to dziwnie wstrząsające przeżycie, niemal poniżające. Cokolwiek ten stary Indianin zobaczył w jego głowie, Jaeger poczuł się skrępowany i wzburzony.

Teraz stłoczyli się wokół nich wojownicy – uzbrojeni w dzidy i dmuchawki – aż otoczyli Jaegera i jego ekipę. Spośród nich wystąpiła druga postać – siwy i wiekowy przedstawiciel starszyzny. Kiedy zaczął mówić, Jaeger wyczuł, że jest to człowiek cieszący się posłuchem i poważaniem.

Słowa starca brzmiały obco, a jego język przypominał odgłosy ptaków i zwierząt, z dziwacznyymi wysokimi świergotami, mlaskami i wrzaskami. Tuż przy nim, po lewej stronie, stał młodzik, który zdawał się uważnie słuchać. Jaeger nie wiedział, co się dzieje, ale miał niepokojące wrażenie, że poddawani są czemuś w rodzaju sądu. Po dobrych dwóch minutach wódz skończył mówić. Wtedy młodszy mężczyzna u jego boku odwrócił się do Jaegera i jego ludzi.

– Witajcie. – Wypowiadał słowa wolno, łamanym, ale doskonale zrozumiałym angielskim. – Wódz naszego plemienia mówi, że jeśli przychodzicie w pokoju, jesteście tu mile widziani. Ale jeśli przychodzicie w gniewie i chcecie skrzywdzić nas albo nasz leśny dom, umrzecie.

Jaeger z trudem otrząsnął się z szoku. Odizolowane, żyjące w dżungli plemię nie powinno mieć w swoim gronie młodego człowieka potrafiącego posługiwać się angielskim na takim poziomie. Ktoś ich okłamał, albo – w najlepszym razie – wprowadził w błąd.

– Wybaczcie nam, proszę, jeśli wyglądamy na zaskoczonych – zaczął – ale powiedziano nam, że wasze plemię nie miało kontaktu ze światem zewnętrznym. Jakies cztery dni marszu na zachód stąd leży samolot, który, jak sądzimy, rozbił się, kiedy świat był w stanie wojny. Bardzo prawdopodobne, że ma siedemdziesiąt lat albo więcej. Chcemy znaleźć ten samolot, zidentyfikować i spróbować go stamtąd podnieść. Weszliśmy na wasze ziemie wyłącznie w tym celu i chcielibyśmy przejść w pokój.

Młodzieniec przetłumaczył, a wódz znów wypowiedział kilka słów, które chłopak przełożył na angielski:

– Jesteście tymi, którzy spadli z nieba?

– Tak.

– A gdy spadliście, ilu was było? I ilu straciliście po drodze?

– Było nas dziesięcioro. Jedną osobę straciliśmy niemal od razu w rzece. Dwie kolejne pojmano tego samego dnia i dwie następnego. Nie wiemy, jak zostali pojmani, ani co się z nimi stało, ale jeden z waszych ludzi... – Jaeger przeszukał wzrokiem tłum, zatrzymując oczy na wodzu wojowników. – ...zostawił to. – Wyciągnął z plecaka chustę. – Może powiecie nam coś więcej?

Pytanie zostało zignorowane.

Po kolejnej wymianie zdań między wodzem a młodzieńcem, ten ostatni rzekł:

– Mówicie, że przychodzicie w pokoju. Czemu więc nosicie taką broń, jaką widzieliśmy?

– Samoobrona. W lesie są niebezpieczne zwierzęta. I niebezpieczni ludzie, choć nie jesteśmy pewni, kim są.

Oczy starca zaślniły.

– Jeśli zaproponujemy, że pokażemy wam złoto, weźmiecie je? – zapytał przez tłumacza. – Takie rzeczy mają dla nas niewielką wartość. Złotem się nie najemy. Ale biały człowiek walczy, żeby je zdobyć.

Jaeger wiedział, że poddają go próbie.

– Przyszliśmy po samolot. To nasz jedyny cel. Złoto powinno zostać tu, w lesie. Inaczej przyniesie wam tylko kłopoty. A to ostatnia rzecz, jakiej byśmy chcieli.

Wódz roześmiał się.

– Wielu naszych mówi: dopiero, gdy zetnie ostatnie drzewo, upoluje ostatnie zwierzę i złowi ostatnią rybę, dopiero wtedy biały człowiek zrozumie, że pieniędzy nie da się zjeść.

Jaeger nie odpowiedział. To były słowa pełne mądrości i musiał się z nimi zgodzić.

– A ten samolot, którego szukacie. Jeśli go znajdziecie, czy on też przyniesie nam kłopoty? – zapytał starzec. – Czy może lepiej będzie, jeśli zostanie w dżungli, podobnie jak złoto, a biały człowiek nie odzyska tego, co kiedyś należało do niego?

Jaeger wzruszył ramionami.

– Możliwe. Ale nie sądzę. Myślę, że jeśli nam się nie uda, przyjdą następni. To, co zaginione, zostało odnalezione. A prawdę mówiąc, lepsi ludzie wam się raczej nie trafią. Wiemy, że samolot zatruł las wokół siebie. A to – wskazał na dżunglę – to jest wasz dom. Więcej niż dom. To wasze życie. Wasza tożsamość. Jeśli zabierzemy samolot, przerwiemy zatrucie lasu. – Pozwolił, żeby nastąpiła chwila ciszy.

Wódz odwrócił się i wskazał na dom wspólnoty.

– Widzicie ten dym, który uchodzi z domu duchów? Szykujemy ucztę. Przygotowujemy ją z jednego z dwóch powodów: by przywitać was jako przyjaciół albo pożegnać jako wrogów. – Starzec zaśmiał się. – Chodźmy więc świętować przyjaciół!

Jaeger podziękował. W głębi duszy chciał jak najszybciej ruszyć dalej, kontynuować misję. Wiedział jednak, że w takich kulturach wszystko działo się według określonego zwyczaju, wszystko miało swój czas i rytm. Uszanuje to i zaufa przeznaczeniu. Wiedział też, że nie ma większego wyboru.

Gdy ruszył za wodzem, jego uwagę przykuła grupa postaci. Wśród nich był przywódca wojowników, którego spotkał po raz pierwszy przy brzegu. Wyglądało na to, że nie wszyscy byli zadowoleni z decyzji wodza. Jaeger podejrzewał, że wojownik i jego ludzie ostrzyli już włócznie, przygotowując się do wyparcia nieprzyjaciół z lasu.

Tracąc na chwilę czujność, nie zauważył, że Dale wyciągnął kamerę. Zanim to spostrzegł, filmowiec narzucił ją na ramię i zaczął nagrywać.

– Stój! – syknął Jaeger. – Schowaj pieprzoną kamerę! – Ale było za późno.

Kiedy Indianie zauważyli, co się dzieje, przez zebranych przebiegł jakby dreszcz niespokojnego napięcia. Jaeger zobaczył, jak wódz odwraca się do Dale’a z kamienną twarzą i oczami rozszerzonymi ze strachu. Rzucił kilka zduszonych rozkazów, i całą ekipę otoczył las uniesionych włóczni.

Dale stanął jak wryty, z kamerą przyczepioną do ramienia, błądzący jak ściana.

Wódz podszedł do niego, sięgnął po kamerę. Dale oddał mu ją z przerażeniem na twarzy. Indianin odwrócił ją w złą stronę, przyłożył oko do obiektywu i wpatrzył się w niego. Przez długi czas błędził wzrokiem po wnętrzu kamery, jakby próbował dostrzec, co mu ukradła. W końcu oddał ją jednemu z wojowników, a potem odwrócił się bez słowa w stronę domu duchów. Indianie opuścili dzidy.

Tłumacz wzdrygnął się.

– Nie róbcie tego więcej. To może przekreślić wszystko, co osiągnęliśmy.

Jaeger cofnął się o krok czy dwa, aż znalazł się przy ramieniu Dale’a.

– Jeszcze raz i każę ci ugotować i zeżreć swój łeb. Albo jeszcze lepiej pozwolę, żeby wódz ugotował i zżarł go za ciebie.

Dale potaknął. Żrenice miał rozszerzone ze strachu i szoku. Wiedział, jak niewiele dzieliło ich od katastrofy – choć raz wygadany filmowiec zapomniał języka w gębie.

Jaeger podążył za wodzem do zadymionego wnętrza domu duchów. Nie miał on ścian, jedynie pale podtrzymywały dach, ale ponieważ strzecha sięgała niemal do ziemi, środek był za-

ciemiony i ciemny. Oczy przez chwilę przyzwyczajały się do mroku panującego w środku.

Jeszcze zanim to nastąpiło, odezwał się głos, który zabrzmiał tak nieprawdopodobnie... znajomo.

– To jak, masz mój nóż?

Poczuł, jak nogi wrastają mu w ziemię. Głos, którego – jak sądził – nigdy już nie usłyszy, mówił do niego jakby zza grobu.

Kiedy oczy przystosowały się do ciemności, dostrzegł siedzącą na ziemi osobę – i natychmiast ją rozpoznał. Jego myśli zawirowały, gdy próbował zrozumieć, jak mogła się tu znaleźć, a tym bardziej, jak to możliwe, że wciąż żyła.

Była to kobieta, którą uważał za martwą – Irina Narov.

Obok Narov siedziały jeszcze dwie inne osoby. Brazylijka Leticia Santos i potężny Joe James. Jaegera zatkało, a jego nieskrywane zdziwienie nie umknęło wodzowi Indian. Czuł wręcz, jak sędziwy przywódca uważnie się w niego wpatruje, analizując każdy ruch.

Jaeger podszedł do trojga towarzyszy.

– Ale jak... – Spoglądał to na jednego, to na drugiego, a na jego twarzy powoli zaczął rozciągać się uśmiech. Broda Jamesa, w stylu Osamy bin Ladena, wydawała się jeszcze bardziej krzaczasta – o ile to w ogóle było możliwe. Wyciągnął rękę.

– Ty wielki, nowozelandzki draniu! Twojej gęby wolałbym już nie oglądać.

James zignorował wyciągniętą dłoń, biorąc Jaegera w miąższący niedźwiedzi uścisk.

– Stary, musisz się nauczyć, że prawdziwi mężczyźni się przytulają.

Potem Leticia Santos objęła go z typową dla Latynosów niczym nieskrępowaną serdecznością.

– No! Tak jak obiecałam, poznałeś moich Indian!

Narov była ostatnia. Stała przed Jaegerem, o kilka centymetrów niższa, z oczami równie pozbawionymi wyrazu jak zawsze, unikając jego spojrzenia. Jaeger szybko zmierzył ją wzrokiem. Cokolwiek by się nie wydarzyło od czasu, gdy stracił ją na rzece – ledwie żywą po ukąszeniu wałęsaka i skuloną na prowizorycznej tratwie – teraz nie wyglądała najgorzej.

Wyciągnęła rękę.

– Nóż – rzuciła tylko.

Jaeger przyglądał się przez chwilę jej dłoni – wyglądało na to, że okropny obrzęk i ślady po ukąszeniu prawie zniknęły. Nachylił się lekko, by szepnąć jej do ucha.

– Oddałem go wodzowi. Musiałem. Tylko w ten sposób mogłem zapłacić za nasze życie.

– Schwachkopf. – Czy to był cień uśmiechu? – Masz mój nóż. Lepiej, żebyś go miał. Inaczej wódz będzie najmniejszym z twoich problemów.

Wódz wskazał gestem Jaegera.

– Spotkałeś przyjaciół. Spędź z nimi czas. Zaraz przyniosą coś do jedzenia i picia. – Skinął na tłumacza. – Puruwehua zostanie z tobą, przynajmniej dopóki nie poczujesz się jak u siebie. – Po czym odszedł, znikając w tłumie.

Jaeger usiadł. James i Santos pierwsi opowiedzieli swoją historię. Rozbili obóz w lesie, może o godzinę marszu od mierzei, w ten sam dzień, kiedy wylądowali w dżungli. Zawiesili na drzewach kilka darów i czekali. Indianie zjawili się, oczywiście, ale nie w taki sposób, jak się tego spodziewali. Nocą oboje zostali pochyceni i zaprowadzeni do wioski, szybko i cicho, po sekretnych ścieżkach tubylców. Tam wódz przepytał ich, zadając podobne pytania jak Jaegerowi – czy przyszli w pokoju, czy w gniewie i jaki jest charakter ich misji. Gdy odpowiedzieli, mieli wrażenie, że zdali jakiś egzamin. To wtedy wódz pozwolił im zobaczyć się z Iriną. Do tego czasu trzymał ich osobno, by upewnić się, że ich wersje się zgadzają.



Odpowiedzi Jaegera były trzecią próbą. Wódz ukrył zaginionych członków ekipy, by sprawdzić, czy i jego opowieść będzie pasowała do pozostałych. Było jasne, że nie jest naiwny. Przechrzył Jaegera – przechrzył ich wszystkich – jak stary mistrz.

– A co z Krakowem i Clermont? – zapytał Jaeger. Rozejrział się po domu duchów. – Oni też gdzieś tu są?

Odpowiedział mu Puruwehua:

– Jest wiele do wyjaśnienia. Ale będzie najlepiej, jeśli pozwolisz wodzowi opowiedzieć o losie twoich zaginionych przyjaciół.

Jaeger spojrział na pozostałych. James, Santos i Narov skinęli poważnie głowami. Nie wiedział, jaki los spotkał Niemca i Francuzkę, ale najwyraźniej nie były to dobre wieści.

– A ty? – Zerknął na Narov. – Powiedz, jakim cudem udało ci się ująć z życiem.

Rosjanka wzruszyła ramionami.

– Najwyraźniej nie doceniłeś mojej woli przetrwania. A może wolałbyś, żeby mnie tu nie było? Niedoczekanie twoje.

Jej słowa zabolowały Jaegera. Może miała rację. Może mógł zrobić więcej, żeby ją uratować. Ale gdy przypomniał sobie wszystkie wysiłki i późniejsze przeszukiwanie rzeki, absolutnie nie potrafił sobie wyobrazić, co jeszcze dałoby się zrobić.

Puruwehua przerwał ciszę.

– Ona – to *ja'gwara*, znaleźliśmy ją na rzece, uczepioną kawałka bambusa. Z początku sądziliśmy, że się utopiła, że jest *ahegwera*, duchem. Ale wtedy zauważyliśmy, że ukąsił ją *kajawuria*, pająk zjadający ludzkie dusze. Wiemy, jaka roślina może to wyleczyć – podjął. – Więc ją opatrzyliśmy. I przenieśliśmy przez dżunglę tutaj. Nadeszła taka chwila, gdy wiedzieliśmy już, że nie umrze. To był moment jej *ma'e-ma'e*, przebudzenia.

Zwrócił czarne oczy na Jaegera. W jego spojrzeniu było coś, co przypominało wodza – wzrok czujnego kota, chłodne oczy jaguara wpatrującego się zwierzyńcę. Było też coś, co przypominało mu... Narov.

– Ona chyba gniewa się na ciebie – ciągnął Puruwehua. – A my wierzymy, że jest jednym z dzieci duchów. Przeżyła coś, czego nikt nie powinien przeżyć. Ma bardzo silnego *a'aga*, ducha. – Zawiesił głos. – Trzymaj ją blisko siebie. Musisz o nią dbać, o nią, o *ja'gwara*. A to znaczy „jaguar”.

Jaeger zarumienił się. Już wcześniej zetknął się z takim zachowaniem u dzikich ludów. Większość myśli i doznań była dla nich wspólna, a oni sami najczęściej nie widzieli granic między tym, co publiczne, a tym, co prywatne, między tym, o czym powinno się rozmawiać otwarcie, a tym, co najlepiej było omówić w cztery oczy.

– Postaram się – stwierdził cicho. – Choć moje starania, jak widać, na niewiele się zdały... Ale powiedz mi coś, Puruwehua, jak to się stało, że w „izolowanym” plemieniu znalazł się młodzieniec, który mówi po angielsku?

– Jesteśmy Amahuaca, sąsiednie plemię to nasi kuzyni – Uru-Eu-Wau-Wau – odpowiedział tłumacz. – Mówimy tym samym językiem tupi-guarani. Dwadzieścia lat temu Uru-Eu-Wau-

Wau postanowili nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym. Z czasem przekazali nam to, czego się nauczyli. Powiedzieli, że mieszkamy w państwie zwanym Brazylią. Że musimy nauczyć się języka obcych, bo oni na pewno tu przyjdą. Powiedzieli, że musimy nauczyć się portugalskiego, a także angielskiego – pierwszy to język Brazylii, drugi to język świata. Jestem najmłodszym synem wodza. Najstarszy – jeden z najlepszych wojowników – to ten, którego spotkałeś na brzegu. Mój ojciec wierzył, że moją mocną stroną jest siła umysłu, a nie ramienia trzymającego włócznię. Zostanę wojownikiem umysłu. Wysłał mnie na naukę razem z Uru-Eu-Wau-Wau. Spędziłem na zewnątrz dziesięć lat, ucząc się języków. A potem wróciłem. A teraz jestem oknem na świat mojego plemina.

– Cieszę się, że jesteś – powiedział Jaeger. – Coś mi się zdaje, że dziś uratowałeś nam życie...

Jedli i pili do późnego wieczora. Co jakiś czas kobiety i mężczyźni z plemina tańczyli w domu duchów, ich ramiona i nogi zdobiły wianki nasion leśnego owocu *pequia*, przypominających kształtem półksiężyc. Gdy tupali nogami i machali rękami, nasiona uderzały o siebie, wybijając rytm, który pulsował w gęstniejącym mroku.

Jaegerowi zaproponowano tykwę pełną dziwnej, czerwonej pasty. Przez chwilę nie wiedział, co z nią począć. Pokazała mu Leticia. Pastę wyrabiano z kory pewnego drzewa, wyjaśniła, naniesiona na skórę działała jak silny środek odstraszający owady.

Jaeger pomyślał, że lepiej będzie skorzystać. Pozwolił, żeby Santos wysmarowała mu twarz i dłonie, rozkoszując się błyskiem rozdrażnienia – *zazdrości*? – który mignął w oczach Narov. Podawali sobie wokół większą misę, pełną szarej, spienionej cieczy o ostrym zapachu. Była to *masata*, wyjaśniła Santos – napój alkoholowy, powszechny wśród plemion amazońskich. Odmówienie go poczytano by za zniewagę.

Dopiero, kiedy Jaeger wypił kilka łyków gęstego, ciepłego, ciągnącego się napitku, Santos zdradziła mu, jak właściwie się go wytwarza. Mówiła po portugalsku, co w praktyce wyłączyło pozostałych, w tym Narov, z rozmowy. Santos i Jaeger, obdarowani na moment nieoczekiwaną prywatnością, rozmawiali i śmiali się ze wstrętem z tego, co pili.

By przygotować wywar, kobiety żuły surowy maniok – bulwy w kształcie ziemniaka bogate w skrobię. Wypluwały powstałą w ten sposób maź do miski, dodawały wody i zostawiały przez kilka dni do fermentacji. Rezultat to mikstura, którą Jaeger właśnie skosztował.

*Nieźle.*

Główną atrakcją uczyty była pieczeń, a jej bogaty aromat wypełnił dom duchów. Nad centralnym paleniskiem obracano trzy duże mały i Jaeger musiał przyznać, że zapach był kuszący, choć pieczona mała nie lokowała się wysoko na jego wymarzonej liście dań. Po tygodniu na wojskowych racjach żywnościowych był jednak cholernie głodny.

Wśród zebranych poniosł się krzyk. Jaeger nie miał pojęcia, co oznaczał, ale Narov wydawała się wiedzieć, o co chodzi. Wyciągnęła rękę do Jaegera.

– Po raz trzeci i ostatni: nóż.

Uniósł ręce w udawanym geście kapitulacji, sięgnął do plecaka i wyjął nóż szturmowy Fairbairna-Sykesa.

– Zabiłabyś mnie, gdybym go zgubił.

Narov wzięła nóż, wysunęła z pochwy z nabożnym szacunkiem, a potem przez dłuższą chwilę mu się przyglądała.

– Straciłam drugi w wodach Rio de los Dios – stwierdziła cicho. – A z nim tysiąc wspomnień.

– Podniosła się. – Dzięki za zwrot. – Nie patrzyła na Jaegera, ale jej słowa zabrzmiały szczerze.

– Uważam to za twój pierwszy sukces na tej wyprawie.

Odwróciła się i przeszła na środek domu duchów, a za nią podążyły oczy Jaegera. Nachyliła się nad paleniskiem z osiemnastocentymetrowym ostrzem w dłoni i zaczęła odcinać skrawki parującego mięsa. Amahuaca z jakiegoś powodu przyznali tej obcej, kobiecie, tej *ja'gwara*, przywilej pierwszeństwa przy krojeniu mięsa.

Grube kawałki krążyły wokół i niebawem Jaeger poczuł gorące, tłuste soki spływające mu po brodzie. Odchylił się, opierając się o plecak, delektując się uczuciem pełnego brzucha. Cieszył się też z innego powodu – o wiele ważniejszego niż jakikolwiek smaczny i sycący posiłek. Była to świadomość, że choć raz nie musiał być czujny – choć raz jemu i jego ekipie nie groził tajemniczy wróg czający się w mroku.

Na krótką chwilę Will Jaeger mógł pozwolić sobie na to, by się odprężyć i poczuć zadowolenie.

Jedzenie i poczucie bezpieczeństwa najwyraźniej go uspiły. Kiedy się obudził, zobaczył, że paleńsko dogasa przytłumioną czerwienią, a uczta dawno się skończyła. Wysoko w górze zaślniła czasem jakaś gwiazda, a nad chatą zapadła cisza zabarwiona nastrojem oczekiwania. Jaeger zauważył, że ten sam chudy starzec, który wcześniej wpatrywał się w jego oczy, był teraz w centrum zainteresowania. Nachylił się na czymś, poruszając rękami. To coś wyglądało jak krótsza, cieńsza odmiana jednej z dmuchawek Amahuaca, a Jaeger widział, jak starzec wpycha coś do jednego jej końca.

Spojrzał pytająco na Puruwehuę.

– To nasz szaman – wyjaśnił tłumacz. – Przygotowuje *nyakwana*. Ty byś to nazwał chyba „tabaką”. To... zapomniałem właściwego słowa. Sprawia, że masz wizje.

– Halucynogen – podpowiedział Jaeger.

– Halucynogen – potwierdził Indianin. – Robi się go z nasion drzewa *cebil*, palonych i mielonych na drobny proszek, roztarty z suszonymi muszlami olbrzymiego leśnego ślimaka. Wprowadza w stan transu, żeby człowiek mógł odwiedzić świat duchów. Gdy go bierzesz, możesz latać wysoko jak *topena* – biały jastrząb, który jest tak duży, że potrafi porwać kurczaka. *Nyakwana* może cię zabrać daleko stąd, a nawet poza ten świat. – My wciągamy może pół grama na raz. – Tłumacz uśmiechnął się. – Ty powinieneś spróbować nie więcej niż ułamek tej ilości.

– Ja? – zdziwił się Jaeger.

– Oczywiście. Gdy fajka tu dotrze, ktoś z twojej grupy musi ją przyjąć. Inaczej możecie przekreślić wiele dobra, które dzisiaj osiągnęliście.

– Ja i narkotyki... – Jaeger zdobył się na uśmiech. – I tak mam już dość na głowie, bez odurzania się. Nie, dziękuję.

– Jesteś przywódcą grupy – cicho argumentował Puruwehua. – Możesz pozwolić komuś innemu przyjąć ten zaszczyt. Ale byłoby to coś... niesłychanego.

Jaeger wzruszył ramionami.

– Niesłychanego czy nie, nie przeszkadza mi to.

Patrzył, jak fajka krąży po domu duchów. Indianie po kolei przystawiali jeden koniec do swoich nozdrzy, a szaman wdmuchiwał im narkotyk głęboko do nosa. Po kilku minutach odurzony podnosił się, śpiewając i tańcząc, a jego umysł wędrował daleko, do innych światów.

– Dzięki *nyakwana* porozumiewamy się z przodkami i naszymi duchami – wyjaśnił Puruwehua. – Tymi związanymi ze światem dżungli: zwierzętami, ptakami, drzewami, rzekami, rybami i górami. – Wskazał na jednego z Indian pograżonych w transie. – Na przykład ten mężczyzna opowiada historię ducha. „Pewnego razu była kobieta Amahuaca, która zmieniła się w księżyc. Wspięła się na drzewo, ale postanowiła zostać na niebie, bo jej kochanek znalazł inną miłość, i tak stała się księżycem...”.

Kiedy tłumacz mówił, fajka zbliżała się coraz bardziej. Jaeger zauważył, że wódz uważnie mu się przygląda, chcąc zobaczyć, co się stanie, gdy dotrze do dowódcy białych ludzi. Szaman zatrzymał się obok. Przykucnął nisko, trzymając w ręce długą, zdobioną fajkę; halucynogenną substancję przygotowywał na kawałku gładkiego drewna.

Jaeger przypomniał sobie w tym momencie inną fajkę podaną mu dawno temu i daleko stąd. Znalazł się na chwilę w gabinecie dziadka w Wiltshire, czując w nosie ostre i znajome zapach tytoniu Latakia, aromatyzowanego drewnem dębu i sosny. Skoro dziadek uznał, że nie ma nic złego w poczęstowaniu fajką szesnastolatka, to może on mógł teraz przyjąć inną, przygotowaną przez innego starca. Zawahał się przez chwilę.

Szaman spojrzał na niego pytająco. Ledwie to zrobił, a Joe James niemal wepchnął się siłą między pozostałych.

– Stary, myślałem już, że nie poprosisz! – Usiadł przed szamanem po turecku, a jego długa broda dotknęła podłogi. Złapał koniec fajki, podetknął sobie pod nos i zaciągnął się. Po kilku chwilach jego umysł wyraźnie znalazł się w innym wymiarze. „Brawo, James” – pomyślał Jaeger. Kawaleria przybyła w samą porę.

Szaman nie ruszył się jednak. Przygotował za to drugą szczyptę i załadował do fajki.

– Jesteście dwiema grupami – wyjaśnił Puruwehua. – Ci, którzy przyszli wcześniej, stworzyli już swój umysł na *nyakwana*. Dla Jamesa to nie był pierwszy raz. Potem pojawiliście się wy, nowi. Ta druga fajka jest dla ciebie.

Szaman podniósł wzrok. Jego oczy – te same, które wcześniej drażyły myśli Jaegera – wpatrywały się w niego. Poddawały próbie. Jaeger czuł, że fajka go nęci, że wyraźnie go do niej ciągnie. Mimowolnie usiadł przed szamanem, tak jak James zrobił to chwilę wcześniej.

I znów wrócił pamięcią do gabinetu dziadka. Nie był już jednak szesnastolatkiem. Podobnie jak dziadek, był teraz liderem, przywódcą – choć w innym miejscu i czasie, ale wydawało mu się, że walczą z tym samym wrogiem. Miał pod komendą kobiety i mężczyzn, musiał więc być silny, opanowany i przytomny. Szanował indiańskie zwyczaje i ich gościnność, ale miał zadanie do wykonania i był zdecydowany, by dokończyć misję. Wyciągnął dłonie przed siebie, w geście oznaczającym „stop”.

– Na pewno wiesz, że towarzyszy mi wiele duchów – powiedział cicho. – Ale w tej chwili muszę wypełnić swoją powinność, nie mogę więc ich uwolnić, przynajmniej dopóki nie przeprowadzę wszystkich przez dżunglę i póki nie wrócą do swoich domów. – Zawiesił głos. – Nie mogę przyjąć fajki.

Puruwehua przetłumaczył, a szaman uważnie badał spojrzenie Jaegera. Potem lekko skinął głową z błyskiem szacunku w oczach. Opuścił fajkę.

Ocknął się dopiero po jakimś czasie. Leżał oparty o plecak, z zamkniętymi oczami. Najwyraźniej zasnął po tym, jak wybaczone mu, że odmówił przyjęcia fajki, a uczucie sytości i ciepło domu duchów ukołysały go do snu. W głowie miał zupełną pustkę – poza jednym, hipnotyzującym obrazem.

Była to scena, którą widocznie wyśnił, niewątpliwie skutek bliskiego spotkania z szamanem. Wizja, która była, jak sądził, zupełnie nierealna, ale teraz wydawała się tak niewiarygodnie prawdziwa. Widział piękną, zielonooką kobietę i dziecko stojące u jej boku. Kobieta mówiła, jej głos przyzywał go z odległości straconych lat. A dziecko – ono wydawało się o wiele wyższe. Mniej więcej wzrostu jedenastoletniego chłopca. I było jeszcze bardziej podobne do Williama Jaegera.

Nie miał zbyt wiele czasu na rozmyślanie o tym wyjątkowo męczącym śnie. Fajka zatoczyła już pełną rundę dookoła domu duchów, a wódz dołączył do niego i jego ekipy. Zaczął mówić, Puruwhua tłumaczył, a powaga słów domagała się pełnej uwagi.

– Wiele księżyców temu – zbyt wiele, by Amahuaca to pamiętali – zjawili się pierwsi biali ludzie. Obcy, ze straszliwą bronią, przybyli na nasze ziemie. Pojmali grupę wojowników i zabrali do dalekiej części dżungli. Tam, grożąc im śmiercią, zmusili ich do ścięcia drzew i zaciągnięcia ich na jedną stronę.

Z początku Jaeger nie był pewien, czy wódz opowiada plemienny mit, historię swojego ludu czy wizję wywołaną *nyakwana*.

– Zmusili ich, by usunęli całą roślinność – podjął wódz – i ubili ziemię tak płasko, jakby była rzeką. Wszystko to klóciło się z tym, w co wierzymy. Jeśli krzywdzimy las, krzywdzimy siebie. My i ziemia to jedno – dzielimy tę samą siłę życiową. Wielu zachorowało i zginęło, ale wtedy już oczyszczono pas ziemi i zabito las.

Wódz spojrział na otwarty dach i rozgwieżdżone niebo.

– Pewnej nocy przybył z nieba olbrzymi potwór. Ogromny orzeł dymu, grzmotu i mroku. Spadł na ten martwy kawałek ziemi i uwił tam swoje gniazdo. Wypuścił z brzucha kolejnych obcych. Tych z naszych wojowników, którzy przeżyli, zapędzono do wynoszenia ciężarów z brzucha bestii. Były tam metalowe beczki, a powietrzny potwór zaczął wysysać z nich płyn, jak wielki i głodny komar. Gdy skończył, wzbił się w powietrze i odleciał. Przybyły jeszcze dwa takie same. Każdy lądował na polanie, wysysał płyn i odlatywał tam – wódz wskazał na południe – w góry. – Zawiesił głos. – I wtedy przybył czwarty powietrzny potwór, warcząc w ciemności. Ale nie było dość krwi, by zaspokoić jego głód. Beczki wyschły. Siedział tam, czekając na więcej, mając nadzieję, że pojawią się kolejne. Ale nie pojawiły się. A biali ludzie z brzucha tego potwora nie docenili gniewu lasu i tego, jak bezlitosne są duchy dla tych, którzy krzywdzą dżunglę. Ci biali ludzie po kolei ginęli. W końcu dwaj ostatni zamknęli powietrznego potwora i odeszli, zabierając z sobą tyle, ile mogli, a było tego niewiele. Oni też pomarli w dżungli.

Po latach las znów zawładnął polaną, a drzewa wyrosły wysoko nad potworem, aż świat o nim zapomniał. Ale Amahuaca pamiętali, opowieść o nim przekazywano z ojca na syna. I nagle znów przyniósł zło. Myśleliśmy, że nie żyje, że to martwa rzecz sprowadzona przez białego człowieka. Ale on, a raczej coś w jego brzuchu, wciąż żyje, wciąż może nam szkodzić.

Kiedy wódz opowiadał tę historię, Jaeger zauważył, że jeden członek ekipy chłonał ją, jak zahipnotyzowany. Po raz pierwszy widział, żeby Irina Narov była czymś zaaferowana, chwytala każde słowo, zaintrygowana, z przejęciem w oczach. Ale w jej twarzy dostrzegł też coś granicznego z obłędem.

– Pierwsze ucierpiały zwierzęta – ciągnął wódz. – Niektóre zamieszkały pod osłoną skrzydeł powietrznej bestii. Niektóre zachorowały i zdechły. Inne rodziły straszliwie zdeformowane

młode. Wojownicy Amahuaca polujący w tej okolicy chorowali po wypiciu wody z rzek. Woda stała się przeklęta, zatruta. Potem leśne rośliny zaczęły umierać wszędzie wokół.

Wódz wskazał na najmłodszego syna.

– Wtedy byłem jeszcze młody, mniej więcej w wieku Puruwehuy. Dobrze to pamiętam. W końcu drzewa padły ofiarą powietrznego potwora. Zostały jedynie nagie szkielety: martwe drewno, wyblakłe w słońcu i białe jak kość. Ale wiedzieliśmy, że historia bestii jeszcze się nie zakończyła.

Spojrzał na Jaegera.

– Wiedzieliśmy, że biały człowiek powróci. Że ci, którzy przyjdą, będą chcieli zdjąć klątwę powietrznego potwora z naszych ziem. To dlatego rozkazałem moim ludziom, by was nie atakowali, tylko przyprowadzili tutaj. Żeby poddać was próbie. Żeby się upewnić. Ale niestety, nie jesteście sami. Inna siła także wtargnęła na nasze ziemie. Pojawili się zaraz po was, prawie jakby szli waszym śladem. Obawiam się, że mają o wiele mniej pokojowe zamiary, że chcą obudzić zło, które nosił w sobie potwór.

W głowie Jaegera kłębiły się tysiące pytań, ale czuł, że wódz jeszcze nie skończył.

– Moi ludzie śledzą ich. Nazywamy ich Ciemną Siłą, nie bez powodu. Wycinają drogę w dżungli biegnącą prosto do siedliska bestii. Pojmali dwóch moich wojowników. Zostawili ich ciała zawieszane na drzewach, a na plecach, jako ostrzeżenie, wycięli im dziwne symbole. Trudno będzie z nimi walczyć – dodał wódz. – Jest ich za dużo, może nawet dziesięć razy więcej niż was. Niosą wiele lasek grzmotu. Gdyby doszło do otwartej wojny, boję się, że mogłoby się skończyć rzezią mojego ludu. W głębi lasu może moglibyśmy ich pokonać, ale nawet to nie jest pewne. Na otwartej przestrzeni, gdzie jest siedlisko bestii, mój lud na pewno zostałby zdieńsiatkowany.

Jaeger próbował coś powiedzieć, ale wódz uciszył go machnięciem ręki.

– Jedyną szansą jest dotarcie do tego powietrznego potwora przed nimi. – Rzucił Jaegerowi przenikliwe spojrzenie. – Sami nie macie szans wyprzedzić Ciemnej Siły. Ale jeśli przyjmiecie pomoc Amahuaca, uda się wam. Znamy sekretne szlaki w lesie. Potrafimy poruszać się szybko. Tylko ci o dzielnym sercu powinni się na to zdecydować. Trzeba pójść drogą na skróty, o której wiemy tylko my, Amahuaca. Żaden obcy nie podjął się takiej podróży. Trzeba skierować się prosto do Wodospadu Diabła, a potem... cóż, należy zawierzyć swe życie przeznaczeniu. Nie ma jednak innego sposobu, żeby dotrzeć do powietrznej bestii przed Ciemną Siłą, i żeby zwyciężyć. Las będzie was prowadził i chronił – oznajmił wódz. – Wszyscy, którzy będą gotowi, wyruszą o świcie. Puruwehua będzie waszym przewodnikiem, dam wam też dwa tuziny moich najlepszych wojowników. Teraz tylko czas pokaże, czy przyjmiecie tę propozycję i kto z was pójdzie.

Przez chwilę Jaeger nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystko działo się tak szybko, a on miał setki pytań. Ubiegł go Joe James:

– Dajcie mi jeszcze jednego bucha z fajki, a pójdę za wami wszędzie – mruknął.

Rozległy się śmiechy. Uwaga Jamesa błyskawicznie rozładowała napięcie.

– Jedno pytanie – odezwał się Jaeger. – Co z naszą zaginioną dwójką? Coś o nich wiadomo?



Wódz pokiwał głową.

– Przykro mi. Waszych przyjaciół pojmała Ciemna Siła. Zakatowali ich na śmierć. Zabraliśmy ich ciała i skremowaliśmy je. Zgodnie z tradycją Amahuaca mieszamy popiół z kości naszych zmarłych z wodą i pijemy ją, żeby nasi najbliżsi na zawsze zostali z nami. Zatrzymaliśmy szczątki waszych przyjaciół, żebyście mogli zdecydować, co z nimi zrobić... Przykro mi.

Jaeger wpatrzył się w ogień. Tak wiele śmierci. Kolejni dobrzy ludzie. Ludzie będący pod jego komendą. Skręciło go w żołądku ze złości i frustracji graniczącej z rozpaczą. Poprzysiągł sobie, że rozprawi się z tymi, którzy są za to odpowiedzialni, kimkolwiek byli. Znajdzie odpowiedzi i sprawiedliwość. Nawet, jeśli miałyby to być sprawiedliwość na jego warunkach.

To przekonanie uspokoiło go, był gotów na wszystko, co miało nastąpić.

Jaeger spojrział na wodza wzrokiem pełnym żalu.

– Myślę, że rozrzucimy ich popioły wśród drzew – stwierdził cicho. Odwrócił się do swojej ekipy. – I wiecie co? Chyba będzie lepiej, jak dalej pójdę sam, z wojownikami wodza. Będę szedł szybciej, a nie chcę, żebyście dalej brnęli w to...

– Typowe – przerwał mu głos. – Może i masz serce lwa, ale mózg małpy, jak ta, którą właśnie zjadłeś. – To była Irina Narov. – Koniecznie musisz być twardszy niż inni. Samotnik. Samotny bohater. Zrobisz to sam. Wszyscy inni są ciężarem. Przeszkoda. Nie dostrzegasz wartości innych, a to nielojalność wobec członków twojej ekipy.

Zabolały go jej słowa. Strata żony i syna, a także późniejsze lata na Bioko sprawiły, że nie ufał innym – i miał tego świadomość. Ale w tej chwili to nie dlatego chciał iść sam – bał się stracić kolejne osoby, bał się, że nie będzie mógł zrobić nic, żeby ich chronić.

– Dwoje ludzi nie żyje – bronił się. – To już nie jest wyprawa badawcza, a coś o wiele, wiele gorszego. Nie na to się zdecydowaliście.

– Schwachkopf. – Ton Narov trochę złagodniał. – Mówiłam ci już wtedy, gdy prawie zginęliśmy podczas swobodnego spadania: musisz nauczyć się ufać swojej ekipie. I wiesz co? Dając nam przykład, zasłużyłeś na przywództwo. Naprawdę zasłużyłeś. Udowodnij, że jesteś godzien naszego zaufania, naszej wiary w ciebie.

Co było w tej kobiecie? – zastanawiał się Jaeger. Jak ona to robiła, że kilkoma starannie dobranymi zdaniami potrafiła tak głęboko zaleźć mu za skórę? Mówiła w sposób, który trafiał w sedno sprawy, nie bawiąc się w subtelności.

Rozejrzał się po swojej ekipie.

– A wy co sądzicie?

– To proste. – James wzruszył ramionami. – Ci, którzy chcą iść, pójdą. Ci, którzy nie chcą, zostaną.

– Tak – odezwał się Alonzo. – Niech zgłoszą się ochotnicy. I postawmy sprawę jasno: to nie wstyd, jeśli ktoś chce zostać. Żaden.

– Okej – zgodził się Jaeger. – Wodzu, czy będziesz chronić tych, którzy postanowią zostać? Przynajmniej do czasu, aż to wszystko się skończy.

– Są tu mile widziani – potwierdził wódz. – Nasz dom jest ich domem, i to tak długo, jak będzie trzeba.

– No dobrze, czekam więc na ochotników – oznajmił Jaeger. – Wszyscy znacie ryzyko.

– Ja idę – oświadczył James, jeszcze zanim Jaeger dokończył zdanie.

– Ech, gówniane wakacje – mruknął Alonzo. – Ale ja też w to wchodzę, stary.

Kamishi podniósł oczy.

– Już raz cię zawiodłem. Obawiam się, że mógłbym... – Jaeger położył mu rękę na ramieniu, by go uciszyć, a Japończyk rozpromienił się. – Jeśli się zgodzisz...

Alonzo klepnął go w plecy.

– Kamishi próbuje powiedzieć, że jest za!

Dale spojrział na wodza, a potem na Jaegera.

– Jeśli się zgodzę, będę mógł nagrywać? Czy nafaszerują mnie włóczniami, jak tylko wyciągnę kamerę?

Jaeger zerknął na Puruwehuę.

– Sądzę, że możemy się jakoś dogadać z wodzem i jego wojownikami.

Tłumacz potaknął.

– Starszyzna wierzy, że kamera rani ich dusze. Ale młodszy mężczyźni, wojownicy – jestem pewien, że uda mi się ich przekonać.

Dale wahał się chwilę, wyraźnie rozdarty między chęcią pójścia a strachem przed tym, co miało się zdarzyć. Wzruszył ramionami.

– No to chyba nakręcę film mojego życia.

Jaeger odwrócił się do Santos.

– Leticia?

Lekko uniosła ramiona.

– Bardzo bym chciała pójść. Ale chyba lepiej będzie, jeśli zostanę z moimi Indianami. Co ty na to? Nie?

– Jeśli uważasz, że powinnaś zostać, zrób tak. – Jaeger podał jej chustę. – Weź ją. Ocalała, podobnie jak ty.

Santos chwyciła kawałek materiału.

– Ale to ty musisz ją nosić, nie?. To... na szczęście. Na dalszą podróż.

Nachyliła się i zawiązała chustę na szyi Jaegera, a potem pocałowała go w policzek.

Jaeger miał wrażenie, że dostrzegł u Narov taki sam ogień zazdrości, jaki zauważył wcześniej. Tym większą poczuł determinację, by nosić tę chustę do samego końca. Byle wytrącić Rosjankę z równowagi, byle znaleźć sposób, żeby dotrzeć do osoby ukrytej za tym pancernem.

– Czterech idzie, jedna zostaje – podsumował. – A pozostali?

– Mam trójkę dzieci w domu – stwierdził Kral. – W Londynie. Poprawka. Już nie w Londynie. Właśnie przeprowadziliśmy się do pięknego Luton. – Rzucił Dale'owi urażone spojrzenie. – Nie stać mnie na Londyn z pensją asystenta produkcji. Chcę przeżyć i wrócić do domu w jednym kawałku. Więc zostaję.

– Rozumiem – odpowiedział Jaeger. – Wróc bezpiecznie i bądź dobrym ojcem. To ważniejsze niż jakikolwiek wrak samolotu zaginiony w dżungli.

Mówiąc to, poczuł, jak ściska go w gardle. Po zniknięciu żony i syna szukał ich przez rok. Objechał każdą drogę, przewrócił każdy kamień. Sprawdzał każdą wskazówkę, podążał za każdym tropem, aż ślad się urwał. Ale czy naprawdę zrobił wszystko, żeby ich znaleźć? Czy poddał się, uciekając na Bioko, gdy powinien po prostu próbować dalej? Wyrzucił tę myśl z głowy. Zerknął na Narov.

– A ty?

Spojrzała mu w oczy.

– Musisz pytać?

Pokręcił głową.

– Chyba nie. Irina Narov jest z nami.

Wódz Amahuaca podniósł oczy na niebo.

– A zatem masz swój zespół. Ruszacie o świcie, za jakieś trzy godziny. Każę moim wojownikom się przygotować.

– Jeszcze jedno – wtrącił się głos. To była Narov, a zwracała się bezpośrednio do wodza. – Czy byłeś kiedyś w siedlisku tej powietrznej bestii?

Wódz potaknął – Tak, *ja'gwara*, byłem.

*Ja'gwara* – to miano wyjątkowo dobrze pasowało do Narov, oddając jej niezwykłą umiejętność przeżycia i adaptacji.

– Jak dobrze je pamiętasz? – zapytała Rosjanka. – I czy mógłbyś narysować mi jakiegokolwiek znaki, które tam widziałeś?

Wódz zaczął kreślić coś na piaszczystym podłożu chaty. Kilka razy się pomylił, ale rysunek powoli zaczął przybierać złowieszczo znajome kształty: kontur orła z rozpostartymi skrzydłami, zakrzywionym dziobem skierowanym w prawo i dziwnym okrągłym symbolem połączonym z ogonem.

Reichsadler.

Znak ten wymalowano na tyle samolotu, wyjaśnił wódz, tuż przed ogonem. Ten sam wycięto w skórze jego wojowników, dodał – tych pojmanych i zabitych przez Ciemną Siłę.

Jaeger wpatrywał się w rysunek z zamętem w głowie. Czuł, że zbliżają się do końca, do ostatecznego rozstrzygnięcia. Mimo to ogarniał go strach, jakby właśnie decydowały się jego losy, a on nie miał nad tym kontroli...

– Obok tego symbolu są wymalowane słowa – powiedział Puruwehua. – Zapamiętałem je. – Nakreślił coś na piasku: „Kampfeswader 200” i „Geswaderkomodore A3”. – Znam angielski, portugalski i nasz język ojczysty. Ale myślę, że to może niemiecki?

Odpowiedziała mu Narov głosem niskim i pełnym ledwie skrywanego wstrętu: – Trochę się pomyliłeś w pisowni, ale Kampfgeschwader 200 to eskadra sił specjalnych Luftwaffe. A Geschwaderkommodore A3 to jeden z tytułów nadanych generałowi SS Hansowi Kammlerowi, dowódcy tej eskadry. Kammler był po Hitlerze najpotężniejszym człowiekiem w nazistowskiej Rzeszy.

– Był pełnomocnikiem Hitlera – dodał Jaeger, przypominając sobie tajemniczy mail od archiwisty. – Hitler obdarzył go tą funkcją pod koniec wojny.

– Zgadza się. Ale wiesz, co to oznacza, status pełnomocnika? – indagowała Rosjanka.

Jaeger wzruszył ramionami. – Jakiegoś specjalnego przedstawiciela?

– O wiele więcej... Pełnomocnik to ktoś, komu przyznano pełne prawo działania w imieniu reżimu i zupełną bezkarność. Kammler był po Hitlerze najpotężniejszym i najbardziej niegodziwym człowiekiem wśród wyjątkowo niegodziwych ludzi. Pod koniec wojny miał na rękach

krw tysiący osób. Stał się też jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Bezcenne dzieła sztuki, sztaby złota, diamenty, pieniądze – ciągnęła. – Naziści zrabowali wszystkie wartościowe rzeczy z podbitych krajów Europy, jakie tylko wpadły im w ręce. A wiesz, co się stało z SS-Obergruppenführerem Hansem Kammlerem i jego skarbami, kiedy skończyła się wojna? – W głosie Rosjanki dało się teraz wyczuć wściekły gniew.

– Zniknęli. Zapadli się pod ziemię. To jedna z wielkich tajemnic – jeden z wielkich skandali – drugiej wojny światowej: co stało się z Hansem Kammlerem i jego zrabowaną fortuną? Kto go chronił? Kto ukrył jego miliony?

Rozejrzała się po twarzach, zatrzymując wzrok na Jaegerze.

– Ten samolot – bardzo prawdopodobne, że to prywatna maszyna Kammlera.

Byli gotowi do wymarszu tuż przed świtem. Jaegerowi i jego ekipie towarzyszyło dwudziestu czterech Indian, w tym najmłodszy syn wodza, Puruuehua, oraz najstarszy, dowódca wojowników. Nazywał się Gwaihutiga, co w ich języku oznaczało „największy odyniec w stadzie dzikich świń”. Imię to wydało się Jaegerowi wyjątkowo trafne – dzika świnia była jednym z tych zwierząt w dżungli, które ceniono najwyżej i których najbardziej się bano. Żaden mężczyzna Amahuaca nie mógł się tytułować prawdziwym wojownikiem, jeśli nie stawiał jej czoła i nie zabił.

Wyglądało na to, że Gwaihutiga pogodził się już z tym, że jego ojciec nie pozwolił na przebiecie ekipy Jaegera włóczyniami – wręcz przeciwnie, chciał, żeby wojownicy jak najszybciej doprowadzili ich do wraku i bronili po drodze.

Jaeger cieszył się jednak, widząc, że najstarszy syn wodza nadal był w nastroju do walki, choć teraz już z właściwym wrogiem. Zabrał dzidę, łuk i strzały, dmuchawkę i pałkę, a na szyi nosił naszyjnik z krótkich piór. Był to *gwyrag'waja*, wyjaśnił Puruuehua, a każde pióro symbolizowało wroga zabitego w pojedynku. Porównał to do zwyczajaju białego człowieka, który robi nacięcia na broni, co widział na filmach, gdy żył poza dżunglą.

W ostatniej chwili zmienił się skład ekipy. Leticia Santos postanowiła, że jednak idzie. Brazylijka, porywczą i impulsywną – Latynoska w każdym calu – nie mogła znieść myśli, że odejdą bez niej.

Wcześniej rano Jaeger udzielił Dale'owi i Królui krótkiego wywiadu, relacjonując wszystko, co działo się przez minioną dobę. Była to też ostatnia scena, jaką Kral z nimi nakręcił. Kiedy Słowak spakował kamerę i stojak, poprosił Jaegera o krótką rozmowę na osobności. Wyjaśnił powody swojej decyzji: w ogóle nie powinien przyjmować tego kontraktu, tłumaczył. Był sporo starszy od Dale'a i miał większe doświadczenie w filmowaniu w takich rejonach, a zgodził się tylko dlatego, że potrzebował pieniędzy.

– Wyobraź sobie, że pracujesz pod kimś takim jak Dale, wiedząc, że jesteś od niego lepszy. Wytrzymałbyś to? – argumentował.

– W wojsku to norma – powiedział mu Jaeger. – Awanse ponad umiejętności. Czasem trzeba się z tym po prostu pogodzić.

Nie miał nic do Krala, ale, prawdę mówiąc, cieszył się, że zostaje. Słowacki kamerzysta miał chyba pretensje do całego świata, więc Jaeger sądził, że lepiej poradzą sobie bez niego. Dale na pewno będzie miał ręce pełne roboty, kręcąc wszystko sam, ale lepsza jedna osoba niż dwóch gości cały czas skaczących sobie do oczu. Jeden z nich musiał zostać – a dla dobra filmu lepiej było, że zrezygnował Słowak.

– Cokolwiek się stanie jeszcze na tej wyprawie, znasz już moje powody – tłumaczył Kral. – *Cokolwiek się stanie*. – A przynajmniej znasz większość z nich.

– Próbujesz mi coś powiedzieć? – zapytał Jaeger. – Opuszczasz nas. Możesz mówić swobodnie.

Kral pokręcił głową.

– To wszystko. Powodzenia na dalszej wyprawie. Wiesz już, dlaczego nie idę z wami.

Pożegnali się dosyć serdecznie, a Jaeger obiecał, że wyskoczą razem na piwo w Londynie, gdy to wszystko się skończy.

Indianie pojawili się licznie, by ich pożegnać – zdawało się, że przybyła cała wioska. Kiedy jednak prowadził ekipę w stronę obrzeża dżungli, uderzyła go jedna rzecz: wyraz twarzy Krala był naprawdę niepokojący. Przywykł do krzywego uśmiešku Słowaka, ale przez krótką chwilę zauważył, jak patrzy on na Dale’a z miną, która mogłaby zmrozić krew w żyłach. Jego bladoniebieskie oczy były przymknięte, spojrzenie dziwnie triumfalne.

Jaeger nie miał jednak czasu, by się zastanawiać, co to mogło oznaczać. Przed nimi otworzyła się ścieżka, której ktoś postronny by nie zauważył, i szybko pochłonęła ich dżungla. Ale jedna myśl kołatała mu w głowie. Parę razy – szczególnie wtedy, nad rzeką, gdy Kral mówił mu o Dale’u i tym numerze z potajemnym nagrywaniem – Jaeger miał wrażenie, że coś tu nie gra. Dopiero teraz zrozumiał co. Kral zachowywał się tak, jakby był świętszy od papieża – nic złego nie widzę, nic złego nie słyszę, nic złego nie mówię. Jego oburzenie było przesadzone, prawie jakby stanowiło tylko przykrywkę. Nie wiedział jednak, co Słowak chciał w ten sposób ukryć. Nie mógł teraz się tym zajmować, odsunął więc od siebie tę myśl, te dręczące go wątpliwości.

Gdy tylko weszli w dżunglę, zorientował się, jak szybkie tempo zamierzali narzucić wojownicy Amahuaca. Zaczęli wręcz miarowo biec, intonując głęboki, gardłowy zaśpiew. Żeby dotrzymać im kroku, musiał maksymalnie się skupić.

Spojrzał na Puruwehuę, który zajął miejsce obok niego.

– Czy twoje imię coś znaczy?

Indianin uśmiechnął się z zażenowaniem.

– Puruwehua to duża, gładka, czerwono-brązowa żaba z białymi i czarnymi plamkami na brzuchu. Jedna, bardzo tłusta, wskoczyła na brzuch mojej matki, gdy miała już rodzić. – Wzruszył ramionami. – Zazwyczaj nazywamy dzieci od takich rzeczy.

Jaeger pozwolił sobie na żart:

– A więc dzika świnia usiadła na brzuchu twojej matki, gdy miała urodzić twojego brata, Gwaihutigę?

Puruwehua roześmiał się:

– Moja matka była w młodości świetnym myśliwym. Stoczyła zaciętą walkę z pewną dziką świnią. W końcu przebiła ją dzidą i zabiła. Chciała, żeby jej pierworodny miał ducha tej świni. – Spojrzał na starszego brata idącego na czele kolumny. – Gwaihutigę ma tego ducha.

– A żaba? Ta, od której zostałeś nazwany? Co stało się z żabą?

Indianin utkwił w nim obojętne spojrzenie.

– Moja matka była głodna. Ją też zabiła i zjadła.

Szli dalej w milczeniu przez kilka minut, aż Puruwehua wskazał coś wysoko na wierzchołkach drzew.

– Ta zielona papuga, która zjada owoc, to *tuitiguhua*. Ludzie oswajają je. Można nauczyć je mówić. Ostrzeże cię, jeśli jaguar zbliży się do wioski.

– Bardzo pomocne ptaszki – ocenił Jaeger. – A jak je oswajacie?

– Musisz najpierw znaleźć krzak *karyripohaga*. Ścinasz trochę liści, a potem uderzasz nimi papugę kilka razy wokół dzioba. I już jest oswojona.

Jaeger uniósł brew.

– Aż tak łatwo?

Puruwehua znów się zaśmiał.

– Pewnie! Wiele rzeczy okazuje się łatwe, gdy znasz zwyczaje lasu.

Ruszyli dalej, mijając zbutwiałą kłodę. Indianin musnął ręką czarno-czerwony grzyb, a potem przyłożył palce do nosa.

– *Gwaipeva*. Ma wyraźny zapach. – Poklepał się po brzuchu. – Dobre do jedzenia.

Wyrwał grzyb i wepchnął do plecionego koszyka niesionego na ramionach.

Po kilku kolejnych krokach wskazał wielkiego, czarnego owada, który przywierał do pnia pobliskiego drzewa.

– *Tukurupapa'ara*. Król świerszczy. Żuje drzewa, aż upadają.

Gdy mijali drzewo, ostrzegł Jaegera, żeby ostrożnie stawiał kroki na ścieżce, bo pod nogami leżało poskręcane pnącze.

– *Gwakagwa'ya*, wodne pnącze z kolcami. Z kory robimy sznur, z którego pleciemy hamaki. Jego strąki mają kształt bananów, a gdy pękną, nasiona ulatują z wiatrem.

Jaeger był zafascynowany. Zawsze uważał dżunglę za coś neutralnego, ale im więcej poznawało się jej sekretów, tym łatwiej było zmienić ją w sojusznika i przyjaciela.

Za chwilę Puruwehua przytknął do ucha dłoń złożoną w miseczkę.

– Słyszysz? To *prrrikh-prrrikh-prrrikh-prrrikh-prrrikh*. To *gware'ia*, duży brązowy koliber z białym przodem i długim ogonem. Śpiewa tylko, gdy zobaczy dziką świnię. – Sięgnął po strzałę. – Jedzenie dla wioski...

Gdy ręka Jaegera powędrowała do strzelby, zobaczył, jak Indianin przeistacza się z tłumacza w myśliwego, nakładając strzałę na luk niemal dorównujący długością jego ciała. Puruwehua był ledwie kilka centymetrów niższy od swojego brata-wojownika i równie szeroki i potężny w ramionach. Gdy zacznie się bitwa, pomyślał Jaeger, żaba Puruwehua nie pozwoli się tak łatwo zjeść.



Plac wioski Amahuaca był teraz cichy i pusty. Jeden człowiek został jednak na otwartej przestrzeni. Spojrzał w poranne niebo, przechodząc kilka kroków w miejsce, gdzie nie było właściwie żadnych drzew, i gdzie miał zapewnioną maksymalną prywatność. Wyciągnął coś z kieszeni – telefon satelitarny – położył go na pieńku i przykucnął w zaroślach, czekając.

Aparat zapiszczał raz, drugi i trzeci, łapiąc mocny sygnał. Mężczyzna wybrał numer z pamięci urządzenia, wpisując po nim jedną cyfrę. Dwa sygnały i odezwał się głos:

– Szary Wilk. Mów.

Zęby Krala błysnęły w cienkim uśmiechu.

– Tu Biały Wilk. Wyruszyło siedmioro z dwoma tuzinami Indian. Kierują się na południe, z powrotem do wodospadu. Potem pójdą jakąś ścieżką znaną tylko Indianom, na zachód, do celu. Nie mogłem odezwać się wcześniej, ale urwałem im się. Macie wolną rękę.

– Przyjąłem.

– Mogę potwierdzić, że to samolot SS-Obergruppenführera Kammlera. Zawartość mniej więcej nienaruszona. A przynajmniej w na tyle dobrym stanie, na ile można się tego spodziewać po siedemdziesięciu kilku latach.

– Przyjąłem.

– Mam dokładne współrzędne samolotu. – Zawiesił głos. – Wpłaciliście trzecią transzę?

– Współrzędne już mamy. Nasz dron obserwacyjny znalazł wrak.

– Dobrze. – Cień irytacji przemknął przez twarz Krala. – Ja dostałem takie: 964864.

– 964864. Zgadza się.

– A trzecia transza?

– Znajdzie się na twoim rachunku w Zurychu, zgodnie z umową. Wydaj ją szybko, Biały Wilku. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro.

– Wir sind die Zukunft – szepnął Kral.

– Wir sind die Zukunft – powtórzył głos.

Słowak przerwał połączenie.

Mężczyzna po drugiej stronie przyłożył słuchawkę do szyi i trzymał ją tak przez dłuższą chwilę. Popatrzył na zdjęcie na biurku, fotografię mężczyzny w średnim wieku, w szarym garniturze w prążki. Twarz miał jastrzębią, nos orli, spojrzenie zarozumiałe, choć zawadiackie, świadczące o nieograniczonej władzy i wpływach, które dały mu pełne zaufanie do swoich umiejętności, mimo upływu lat.

– Nareszcie – szepnął. – Wir sind die Zukunft.

Przyłożył słuchawkę do ucha i nacisnął „0”.

– Anna? Połącz mnie z Szarym Wilkiem Sześć. Tak, w tej chwili, proszę.

Czekał chwilę, aż na linii odezwał się głos:

- Szary Wilk Sześć.
  - Mam współrzędne – oznajmił. – Zgadzą się. Wyeliminuj wszystkich. Nikogo nie oszczędzaj, łącznie z Białym Wilkiem.
  - Zrozumiano.
  - Zrób to czysto, z daleka. Użyj Predatora. Zrób to tak, żeby nie dało się tego z nami powiązać. Masz urządzenie śledzące. Użyj go. Namierz ich, znajdź i wyeliminuj wszystkich.
  - Przyjąłem. Ale będziemy mieli problem z namierzeniem ich z powietrza, gdy będą w dżungli.
  - Zrób, co musisz. Spuść jeńców ze smyczy. Ale mają nie zbliżać się do samolotu.
  - Jasne.
- Mężczyzna przerwał połączenie. Po namyśle nachylił się i postukał w klawisze laptopa. Napisał krótkiego maila:

*Drogi Ferdy,  
Adlerflug IV znaleziony. Niedługo odzyskamy/zabezpieczymy. Operacja czystki w toku.  
Dziadek Bormann byłby z nas dumny.*

*Wir sind die Zukunft.  
HK*

Nacisnął „wyślij”, potem odchylił się na krześle, splatając dłonie za głowę. Na ścianie za nim wisiało zdjęcie przedstawiające jego samego, tylko młodszego, w charakterystycznym mundurze pułkownika wojsk amerykańskich.

Dzięki przewodnictwu Indian powrót do Wodospadu Diabła trwał o połowę krócej niż marsz w przeciwną stronę. Dotarli nad brzeg Rio de los Dios jakiś kilometr w dół rzeki od miejsca, gdzie zostawili sprzęt.

Puruwehua dał sygnał i zatrzymali się na skraju lasu, gdzie powietrze przysłaniała chmura rozpryskującej się wody. Wskazał przez mgłę na strome urwisko przecinające skałę przed nimi, rzeźbione od tysięcy lat przez erozję. Musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć ogłuszający ryk Rio de los Dios spadającej niemal trzysta metrów w dół.

- Tam jest most do pierwszej wysepki – oznajmił. – Dalej będziemy się bujać na lianach. Dwa skoki do dwóch następnych *evi-gwa* – wysepki – i jesteśmy po drugiej stronie. Tam, w dół ściany wodospadu, biegnie przejście wycięte w skałe dawno temu przez naszych przodków. Godzina, może mniej, i będziemy na dole.

- A stamtąd? Jak daleko do wraku? – zapytał Jaeger.

- W tempie Amahuaca – dzień. – Indianin wzruszył ramionami. – W tempie białego człowieka, góra półtora.

Jaeger zbliżył się do skraju przepaści, szukając wzrokiem pierwszej przeprawy. Most był tak dobrze ukryty, że przez chwilę nie potrafił go dostrzec. Puruwehua musiał mu go pokazać.

– Tam. – Machnął ramieniem w dół, wskazując rachityczną konstrukcję. – *Pyhama*, liana, której używamy do wspinania się na drzewa. Ale dobrze nadaje się także na taki most. Jest przykryty liśćmi *gwywa*, drzewa, z którego robimy drzewce strzał. Dzięki temu pozostaje prawie niewidoczny.

Członkowie ekipy zarzucili plecaki na ramiona i ruszyli za Indianami ześlizgującymi się po ścianie urwiska na początek przeprawy. Przed nimi wisiał ten niesamowity, wiszący pod skosem most linowy, przerzucony nad przepaścią. Po drugiej stronie przytwierdzony był do skalistej wysepki, pierwszej z trzech przycupniętych na samym skraju wodospadu.

Huk wody uniemożliwiał jakąkolwiek rozmowę. Jaeger poszedł za Puruwehują, jako pierwszy z ekipy wkraczając na chwiejną konstrukcję. Złapał się poręczy z pnączy po obu stronach, zmuszając się, by stawiać stopy na poprzecznych linach, oddalonych od siebie na odległość długiego ludzkiego kroku.

Popęłnił błąd, zerkając w dół. Sześćdziesiąt metrów niżej brązowe i gniewne wody Rio de los Dios spływały z hukiem w skotłowany wir kipiącej bieli. Uznał, że najlepiej będzie patrzeć przed siebie. Ze wzrokiem utkwionym w ramiona Puruwehuy zmusił stopy, by przesuwały się dalej.

Zbliżał się do połowy mostu, on i stłoczona za nim ekipa, gdy poczuł, że dzieje się coś dziwnego.

Niezwykle smukły pocisk bez ostrzeżenia przebił się przez rzeczną mgłę nad nimi, wypełniając uszy wyciem. Przeleciał przez środek mostu, milisekundę później wrył się w Rio de los Dios i eksplodował w ogromnym rozprysku wzburzonej wody. Jaeger patrzył jak zahipnotyzowany na nadciągającą chmurę zniszczenia, która pędziła w górę, a odgłos wybuchu dzwonił mu w uszach i odbijał się echem między ścianami przepaści.

Trwało to mniej niż sekundę. Most kołysał się, a ludzie czepiali się go z oczami szerokimi z przerażenia. Jaeger przeżył w swojej karierze wystarczająco wiele ostrzałów pociskami Hellfire<sup>24)</sup>, by poznać wysokie, przejmujące wycie tej broni – choć po raz pierwszy to on był jej celem.

---

24) Hellfire – pocisk raketowy powietrze–ziemia, naprowadzany przeważnie wiązką laserową, stosowany przez armię amerykańską od 1990 roku. Nazwa, oznaczająca dosłownie po ang. „ogień piekielny” jest także akronimem pełnej angielskiej nazwy pocisku: Helicopter launched fire-and-forget

– HELLFIRE! – wrzasnął. – HELLFIRE! Wracajcie! Na brzeg! Pod drzewa!

Czas, w dziwny, ale i typowy w takich dramatycznych momentach sposób, zdawał się zwalniać, a Jaeger miał wrażenie, że każda sekunda trwa sto lat. Jego głowa przetwarzała tysiąc myśli naraz, gdy pchał ludzi przed sobą, zaganiając ich pod osłonę dżungli.

Tak głęboko w brazylijskiej części Amazonii – a znajdowali się na samym zachodzie stanu Acre, w departamencie Assis Brasil, tuż przy granicy z Peru – mógł latać nad nimi tylko jeden rodzaj statku powietrznego – dron. Tylko on miał odpowiedni zasięg i czas zawisu, by krążyć nad dżunglą na tyle długo, by ich znaleźć. Jaeger wiedział, ile czasu potrzebował Predator<sup>25)</sup> – dron najczęściej wykorzystywany przez zaawansowane armie – by ponownie się uzbroić i namierzyć cel. Samo wystrzelenie pocisku wstrząsało statkiem, przerywając połączenie wideo z kierującym nim zdalnie operatorem. Wyrównanie lotu i przywrócenie stabilnego połączenia zajmie około sześćdziesięciu sekund. Następny AGM-114 Hellfire – a Predatorzy przenosiły ich przeważnie trzy – za moment będzie gotowy do wystrzelenia. W zależności od wysokości, na której wisiał dron – zapewne siedmiu tysięcy pięciuset metrów – pocisk może potrzebować około osiemnastu sekund na dotarcie do ziemi. I najwyżej tyle czasu zostało Jaegerowi.

---

25) Predator (powstały różne typy – MQ-1 Predator, Predator B i C) – bezałogowy bojowy dron (w dosłownej nazwie pojazd latający) produkowany w Stanach Zjednoczonych

Pierwszy Hellfire nie wybuchł przy uderzeniu w konstrukcję linową, przebijając się przez splot mostu jak nóż przez masło. Ale za drugim razem mogli nie mieć tyle szczęścia.

Jako ostatni przeszedł najstarszy syn wodza, a Jaeger pchnął go w kierunku brzegu. Teraz sam się odwrócił, zmierzając pod osłonę dżungli, szukając stopami kolejnych stopni, z każdym krokiem zbliżając się do lasu.

– W DRZEWA! – krzyknął. – UCIEKAJCIE POD DRZEWA!

Okap dżungli nie osłoni ich przed uderzeniem Hellfire'a. Mało co mogło ich przed nim osłonić. Ale Predator nie zobaczy prawie nic przez baldachim gęstej roślinności i nie będzie mógł namierzyć celu.

Jaeger biegł, stopień za stopniem, ostatni na moście. I wtedy spadł drugi pocisk.

Poczuł szarpnięcie, zanim wycie pocisku wwiercilo mu się w uszy – leciał z prędkością 1,3 macha, a więc szybciej niż dźwięk. Ekspłodował na samym środku mostu, konstrukcja rozpadła się w kuli wrzącego ognia, ostre drzazgi rozprysły się w powietrzu.

Chwilę później poczuł, że spada. Ostatkiem sił obrócił się, łapiąc się poręczy, owijając je wokół nadgarstków i przygotowując się na uderzenie. Przez jakąś sekundę jego połowa mostu spadała pionowo, aż koniec przymocowany do ściany przepaści zatrzymał się, ciągnąc z gwałtownym szarpnięciem to, co zostało, w stronę skały.

Jaeger naprężył ciało, czyniąc je twardym jak stal. Miażdżące uderzenie w kamienną ścianę zerwało mu skórę z przedramion, a głowa poleciała do przodu z impetem. Czoło rąbnęło w skałę z koszmarnym trzaskiem. W głowie eksplodowały mu oślepiające gwiazdki, a chwilę później wszystko ogarnął mrok.

Ocknął się. Kręciło mu się w głowie. Skronie rozrywał palący ból. Wzrok falował i chciało mu się wymiotować.

Powoli orientował się w otoczeniu. Nad nim rozciągał się szeroki parasol ciemnej zieleni. Dżungla. Okap. Wysoko w górze. Niczym ochronny koc. Oslaniający przed Predatorem.

– Wyłączcie wszystko! – krzyknął. Próbował podnieść się na jednym łokciu, ale trzymały go jakieś ręce, próbując powstrzymać. – Wyłączcie wszystko, do kurwy nędzy! Namierza się na coś! **WYŁĄCZCIE WSZYSTKO!**

Dzikię, przekrwione oczy przebiegły po ekipie, a ludzie zaczęli szperać w kieszeniach i zasobnikach przy pasie.

Zachłysnął się, gdy kolejne ukłucie dotkliwego bólu rozdarło mu głowę.

– PREDATOR – wrzasnął. – Ma trzy Hellfire’y! Wyłączcie wszystko! **WYŁĄCZCIE, CHOLE-RA JASNA!**

Gdy tak krzyczał, jego wzrok zatrzymał się na jednej postaci. Dale przykucnął nad samą krawędzią przełomu rzeki, podtrzymując kamerę na kolanie, z okiem nachylonym do wizjera, filmował rozgrywający się dramat.

Nadludzkim wysiłkiem Jaeger wyrwał się z przytrzymujących go rąk. Rzucił się w stronę Dale’a, z twarzą mokrą od krwi, ze wzrokiem bliskim obłądu.

– **WYŁĄCZ – TO – W CHOLERĘ!** – z jego gardła wydobył się krzyk przypominający zwierzęcy ryk.

Dale podniósł wzrok, zdezorientowany – jego cały świat skupił się w obiektywie.

W tym momencie osiemdziesiąt kilogramów Williama Jaegera zderzyło się z nim, obaj runęli z impetem w gęstą roślinność, a kamera poleciała w przeciwnym kierunku. Przeturlała się i zniknęła za krawędzią urwiska. Zatrzymała się na wąskiej półce skalnej.

Kilka sekund później rozległo się wycie, jakby otworzyły się wrota piekieł, i trzeci pocisk pomknął ku ziemi. Hellfire numer trzy przedarł się przez mgłę, pędząc ku wąskiej półce, na której wylądowała kamera Dale’a. Detonacja spopieliła skalny występ, zdmuchując resztki roślinności, ale ściana nad nią osłoniła ekipę przed główną falą eksplozji. Stożek wybuchu skierował się w górę, grad odłamków poszarpał otwarte niebo, a ogłuszający wybuch poniósł się rykiem po szerokich wodach Rio de los Dios.

Gdy echa zamarły, nad wąwozem zapadła dziwna cisza. W powietrzu unosił się ciężki smród, a także duszący, dymny, fajerwerkowy odór materiałów wybuchowych.

– Hellfire numer trzy! – krzyknął Jaeger z miejsca, gdzie wraz z Dale’em wylądował w zaroślach. – Ten powinien być ostatni! Ale przeszukajcie ekwipunek – **WSZYSTKO** – i wyłączcie wszystko w cholere!

Pobiegli do plecaków, by przetrząsnąć ich zawartość.

Jaeger odwrócił się do Dale’a.

– Twoja kamera zapisuje datę, czas i lokalizację, prawda? Ma wbudowany GPS?  
– Tak, ale kazałem Kralowi go wyłączyć, w obu urządzeniach. Żaden kamerzysta nie chce mieć daty i godziny wypalonej na filmie.

Jaeger wskazał kciukiem na półkę, gdzie wyparowała kamera.

– Nie wiem, co Kral zrobił, ale *ten nie był wyłączony*.

Dale przeniósł wzrok na plecak.

– Tam mam drugą. Zapasową.

– No to jazda pod drzewa i upewnij się, że jest wyłączona!

Dale popędził wykonać polecenie.

Jaeger podniósł się na nogi. Czuł się jak trup – głowa i przedramiona pulsowały bólem – ale w tej chwili miał większe zmartwienia. Musiał przeszukać i sprawdzić swój plecak. Dotarł do niego chwiejnym krokiem i zaczął wyrzucać wszystko ze środka. Był pewien, że wszystko wyłączył, ale teraz jeden błąd mógł kosztować życie całej grupy.

Sprawdzanie zakończyło się pięć minut później. Nikt nie miał urządzenia GPS działającego podczas ataku Hellfire'ów, nie mówiąc już o telefonie satelitarnym. Poruszali się szybko, ścieżką i tempem narzuconym przez Indian. Nikt z ekipy nie musiał posiłkować się nawigacją, a do tego znajdowali się pod gęstym okapem drzew, gdzie nie sposób było złapać sygnału.

Jaeger zebrał swoją grupę.

– Coś przyciągnęło Predatora – rzucił przez zaciśnięte z bólu zęby. – Wynurzyliśmy się z dżungli na skraju wodospadu i *blip!* Sygnał wyskoczył na ekranie drona. To musiał być telefon satelitarny, GPS albo coś podobnego, coś łatwego do wysledzenia.

– Predator ma podczerwień. Widzi nas jako źródła ciepła – zasugerował Alonzo.

Jaeger pokręcił głową.

– Nie pod kilkudziesięcioma metrami dżungli. A nawet gdyby mógł przebić się przez to wszystko – a wiercie mi, że nie może – co by zobaczył? Iles niewyraźnych plam cieplnych. Równie dobrze mogło to być stado leśnych świń. Nie, coś śledził, coś, co dawało błyskawiczny namiar.

Spojrzał na Dale'a.

– Kręciłeś, gdy uderzył pierwszy Hellfire? Miałeś włączoną kamerę?

Dale pokręcił głową.

– Żartujesz? Na tym moście? Srałem, kurwa, w portki.

– Dobra, wszyscy, jeszcze raz sprawdzamy sprzęt – zarządził ponuro. – Przeszukajcie boczne kieszenie plecaków. Kieszenie w spodniach. Co tam, nawet bieliznę. Na coś się namierzał. Musimy to znaleźć.

Znowu przekopał swój plecak, a potem przetrząsnął kieszenie. Palce spoczęły na gładkiej monecie Nocnych Łowców wepchniętej głęboko w spodnie. O dziwo, jakby się wyrzuciła – prawie wygięła – wśród chaosu i zamętu kilku ostatnich minut. Wyciągnął ją. Podejrzewał, że musiała nieźle ucierpieć, gdy koniec urwanego mostu rzucił nim o skalną ścianę. Przyglądał się

jej przez chwilę. Wydawało się, że wokół obwodu bieгло niewielkie pęknięcie. Wsadził w nie polamany, zakrwawiony paznokieć i podważył.

Moneta rozpadła się z brzękiem na pół. Jedna z połówek była wydrążona.

Jaeger nie mógł uwierzyć własnym oczom.

We wnętrzu wojskowego emblematu znajdowała się zminiaturyzowana płytka układu elektronicznego.

– „Śmierć czai się w mroku” – Jaeger wyrzucił z siebie słowa motta Nocnych Łowców, wybite na jednej stronie fałszywej monety. – Jeśli masz przy sobie coś takiego, to na pewno.

Położył ją na skale, elektronicznym układem do góry, a potem chwycił drugi, mniejszy kamień. Chciał rozbić to cholerstwo w pył, używając skał jako młota i kowadła. Uniósł pięść i już miał opuścić kamień, skupiając w uderzeniu cały stłumiony gniew i palące poczucie zdrady – gdy wtem zatrzymała go jakaś ręka

– Nie. Jest lepszy sposób. – To była Irina. – Wszystkie urządzenia śledzące mają baterię. Mają też wyłącznik. – Sięgnęła po mechanizm i pstryknęła przełącznik. – Teraz jest wyłączone. Nie wysła sygnału. – Spojrzała na niego. – Pytanie, skąd to masz?

Palce Jaegera zamknęły się wokół monety, jakby chciał zgnieść ją w pięści.

– Od pilota C-130. Zaczęliśmy rozmawiać. Powiedział, że był w SOAR, w Nocnych Łowcach. Dobrze ich znam, nie ma lepszej jednostki. I tak mu powiedziałem. – Zamilkł na chwilę ponuro. – Dał mi swoją monetę.

– Pozwól więc, że przedstawię ci pewien scenariusz – zaproponowała Narov głosem zimnym i pustym jak arktyczna pustynia. – Pilot C-130 podsunął ci urządzenie śledzące. Teraz to jasne. Gdy byliśmy spięci w tandemie, zaczęliśmy o coś przy skoku. Jego załoga – jego wyrzucający – zrobili to celowo, żeby wprowadzić nas w rotację. I poluzowali twoją broń, żeby jeszcze bardziej nas zdestabilizować. – Zawiesiła głos. – Załoga C-130 albo miała nas zabić, albo umożliwić komuś śledzenie ekipy. Ktokolwiek to jest, robi to za pomocą tej monety, i próbuje nas załatwić.

Jaeger skinął głową, przyznając, że scenariusz Rosjanki był jedynym, który zdawał się mieć jakiś sens.

– Kto więc próbuje nas zabić? – podjęła Narov. – To pytanie retoryczne. Nie spodziewam się, że odpowiesz. Ale teraz jest to pytanie za milion dolarów.

W jej głosie było coś, co zbiło go z tropu. Czasami zachowywała się jak robot i bardzo go to denerwowało.

– Cieszę się, że nie spodziewasz się odpowiedzi – stwierdził ponuro. – Bo wiesz co? Jeśli pilot tego C-130 mógł mi podsunąć urządzenie śledzące, to nie wiem już zupełnie, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. – Wskazał kciukiem Indian. – W zasadzie jedyni ludzie, którym mogę w tej chwili zaufać, to ci goście – rzekomo odizolowane od świata plemię Indian amazońskich. Natomiast jeśli chodzi o wroga, to wiem tyle, że mają niezły sprzęt: Predator, urządzenia śledzące i Bóg jeden wie, co jeszcze.

– Carson wynajął C-130 i załogę? – zapytała Narov.

– Tak.

– W takim razie jest podejrzany. I tak nigdy go nie lubiłam. To arogancki Schwachkopf. – Spojrzała na Jaegera. – Są dwa rodzaje. Sympatyczni Schwachkopfe i ci, którymi gardzę z całej



go serca. Ty, ty jesteś jednym z tych sympatyczniejszych.

Jaeger nachmurzył się. Nie potrafił rozgryźć tej kobiety. Flirtowała z nim teraz czy igrała jak kot z myszą? Tak czy owak, uznał, że przyjmie ten dwuznaczny komplement.

Obok pojawił się Alonzo.

– Sądzę, że musisz zadzwonić do HAV-a – zasugerował. – Do Airlandera. Prowadzą stałą obserwację o szerokim zasięgu, tak? Powinna już działać. Zapytaj, co widzieli.

– Zapominasz o czymś – zaoponował Jaeger. – Jeśli zadzwonię, dostaniemy Hellfire'em po tyłku.

– Wyślij dane – odpowiedział Alonzo. – Szybką serią. Predator potrzebuje dobrych dziesięćdziesięciu sekund, żeby znaleźć, wyśledzić i namierzyć cel. A szybką serią wyślesz to w mgnieniu oka.

Jaeger zastanowił się chwilę.

– Tak. To powinno się udać. – Spojrzał na krawędź urwiska. – Ale zrobię to tam. Sam.

Włączył telefon. Wpisał szybko wiadomość, pewny, że złapie satelity dopiero, gdy znajdzie się na otwartej przestrzeni.

Informacja brzmiała: *Siatka 964864. Łączność przechwytywana. Ekipa pod ostrzałem – Hellfire. Dron? Odtąd tylko łączność kodowanymi szybkimi seriami. Co widział Airlander? Bez odbioru.*

Wyszedł na skraj przelomu rzeki. Wylonił się z lasu i wyciągnął telefon na długość ręki, patrząc, jak na ekranie pojawiają się satelity. Gdy tylko złapał wystarczający sygnał, wiadomość została wysłana, a on wyłączył Thurayę, kryjąc się z powrotem w dżungli.

Czekali w cieniu, odliczając sekundy z napięciem. Minęła minuta – żadnego pocisku. Minęły dwie – wciąż nic.

– Trzy minuty, stary, i nie ma Hellfire'a – mruknął w końcu Alonzo. – Wygląda na to, że szybka seria zda egzamin.

– Chyba tak – potwierdził Jaeger. – A zatem, co dalej?

– Na początek musisz mi pozwolić opatrzeć ci głowę – odezwała się Leticia. – Jest zbyt przystojna, żeby dała się tak poniewierać.

Oczyściła otarcia na jego ramionach, wcierając w nie jodynę, a potem owinęła mu głowę grubym kawałkiem gazy.

– Dzięki – rzucił, gdy skończyła. – I wiesz co? Prezentujesz się o wiele lepiej niż włochaci komandosi, do których przywykłem.

Podszedł do Puruwehuy, przez minutę czy dwie tłumacząc mu, co się stało. Niewielu Indian miało jakiegokolwiek pojęcie, co to jest Hellfire. Taka śmierć spadająca z niebios mogła równie dobrze być piorunem zesłanym przez bogów. Tylko Puruwehua, który widział wiele filmów wojennych, wydawał się rozumieć, o czym mowa.

– Wyjaśnij swoim, co to znaczy – poprosił go Jaeger. – Chcę, żeby mieli pełną świadomość, z czym mamy do czynienia. Dmuchałki i strzały na nic się nie zdadzą przeciwko Predatorowi. Jeśli postanowią zawrócić, nie będę mieć do nich pretensji.

– Uratowałeś nas na moście – odparł Puruwehua. – Jesteśmy ci winni życie, a to dług, który trzeba spłacić. Ilekroć wyruszamy na wojnę, kobiety żegnają nas pewnymi słowami. Można je przetłumaczyć mniej więcej tak: „Wróćcie zwycięscy lub martwi”. Okrylibyśmy się hańbą, gdybyśmy wrócili do wioski żywi, nie zdobywając chwały. Oczywiście, że zostajemy.

Jaeger odetchnął z ulgą, a oczy mu się rozpromieniły. Strata Indian w tej chwili byłaby bardzo dotkliwym ciosem.

– No dobra, jestem ciekaw, jak, do cholery, przeżyłem ten upadek na moście?

– Straciłeś przytomność, ale ręce nadal miałeś owinięte wokół *pyhama*. – Puruwehua spojrzal na brata. – Razem z Gwaihutigą zeszedliśmy do ciebie, żeby cię wyciągnąć. Ale ostatecznie to mój brat cię uwolnił i dźwignął na górę.

Jaeger pokręcił głową zdumiony. Nie potrzebował więcej słów, by pojąć, że za prostym niedopowiedzeniem zawartym w słowach Indianina kryło się coś, co musiało być momentem czystego, śmiertelnego przerażenia. Zmierzył wzrokiem młodego wojownika – Puruwehua był teraz w jego oczach kimś o wiele więcej niż zwykłym tłumaczem.

– A więc mówisz mi, Puruwehuo – najodważniejsza żabo w całej cholernej dżungli – że obaj zaciągnęliśmy dług życia.

– Zgadza się – potwierdził po prostu.

– Ale czemu Gwaihutiga? Przecież to on najbardziej chciał naszej śmierci.

– Mój ojciec zarządził inaczej, Koty'ar.

– Koty'ar?

– Tak nazwał cię mój ojciec. To znaczy „wierny towarzysz”, przyjaciel, który zawsze jest z tobą.

Jaeger pokręcił głową.

– Raczej to wy jesteście *koty'ar* dla nas.

– Prawdziwa przyjaźń działa w obie strony. A dla Gwaihutigi jesteś teraz członkiem naszego plemienia. – Puruwehua spojrzal na Narov. – Podobnie jak *ja'gwara*, i ten niski mężczyzna z Japonii, a także wielki brodac z twojej ekipy.

Jaeger poczuł się zaszczycony. Podszedł do Gwaihutigi. Wojownik Amahuaca podniósł się i stanęli naprzeciw siebie, mniej więcej równi wzrostem i szerokością ramion. Jaeger wyciągnął dłoń w geście szczerzej wdzięczności.

Indianin spoglądał na nią przez moment, a potem podniósł wzrok na Jaegera, spojrzenie jak czarna otchłań. Znowu. Przez dłuższą chwilę Jaeger obawiał się, że jego gest został odrzucony. Wtem jednak Gwaihituga chwycił obie dłonie Brytyjczyka i otoczył je swoimi.

– *Epenhan, koty'ar* – powiedział. – *Epenhan*.

– To znaczy „witaj” – wyjaśnił Puruwehua. – Witaj przyjacielu, który zawsze jesteś z nami.

Jaeger poczuł wzruszenie. Wiedział, że takie chwile zdarzają się rzadko. Stał na wprost woda wojowników dzikiego plemienia, który zaryzykował życie, by uratować zupełnie obcego człowieka, i to kogoś z zewnątrz. Złapał Gwaihutigę na chwilę w objęcia, a potem się odsunął.

– Dobrze, powiedzcie mi, koledzy, macie jakiś pomysł, jak zejść na dół? – zapytał, nie wiedząc, co innego mógłby powiedzieć. – Most linowy jest w kawałkach.

– Właśnie o tym rozmawialiśmy – stwierdził Puruwehua. – Nie mamy jak przeprowić się przez rzekę i zejść na dół. Jedyłą alternatywą jest ta ścieżka, z której początkowo planowaliście skorzystać. Ale stracimy trzy dni, może więcej. Dotrzemy do celu o wiele później niż ci, których próbujemy wyprzedzić...

– No to nie ma chwili do stracenia – wtrącił się Alonzo. – Stary, jeśli zajdzie taka potrzeba, to będziemy biec całą drogę. Ruszajmy.

Jaeger uniósł rękę, by go uciszyć.

– Chwileczkę. Jedną chwileczkę.

Rozejrzał się, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. W służbach specjalnych z zasady starali się wybierać rozwiązania niekonwencjonalne i nieoczekiwane, żeby przechytrzyć przeciwnika. Jaeger zamierzał zrobić coś cholernie nieoczekiwanego tu i teraz.

– Zostawiliśmy spadochrony z całą resztą sprzętu, czyż nie? Osiem – a jeśli odłączymy zapasowe, to dwa razy tyle. – Zawiesił głos. – Próbował ktoś kiedyś BASE jumping?

– Kilka razy – zgłosił się Joe James. – To niemal tak szalone jak sztachnięcie się fajką Indian.

– Mnie też się zdarzyło – powiedziała Leticia. – Fajne, ale nie aż tak ekscytujące jak taniec na *carnivale*. A co?

– BASE jumping to właściwie krótsza wersja skoku HAHO, tyle że zeskakujesz ze ściany urwiska albo wieżowca, nie z otwartej rampy C-130, i masz o wiele mniej czasu, by otworzyć spadochron. – Oczy Jaegera płonęły ekscytacją. – Tak właśnie zrobimy: zabierzemy nasze spadochrony i zeskoczymy z Wodospadu Diabła.

Minęło kilka sekund, nim znaczenie tych słów dotarło do innych. Hiro Kamishi zgłosił pierwsze – zupełnie sensowne – zastrzeżenie:

– A co z Amahuaca? Puruwehua, Gwaihutigą i ich wojownikami? Zostawienie ich byłoby... nierozsądne.

– Jest nas siedmioro, a więc zostaje dziewięć spadochronów. Poza tym możemy połączyć wiele z nich w tandemy. – Jaeger spojrział na Puruwehua. – Chciałeś kiedyś latać? Jak ten ptak, o którym opowiadałeś. *Topena*, dobrze pamiętam? Białą jastrzęb, który potrafi porwać kurczaka z wioski?

– *Topena* – potwierdził Indianin. – Latałem tak wysoko, gdy brałem *nyakwana*. Latałem nad szerokimi oceanami i dalekimi górami. Ale to były góry w moim umyśle.

– Nie wątpię – odparł Jaeger z entuzjazmem. – Ale dziś, w tej chwili, nauczysz się latać na prawdę.

W oczach Puruwehuy nie pojawił się nawet cień lęku.

– Jeśli to jedyna droga w dół i najszybsza, zeskoczymy.

– Damy radę opuścić na dół co najmniej siedmiu z was, może więcej, jeśli ktoś poleci sam – wyjaśnił Jaeger. – Tym sposobem możemy dotrzeć pierwsi do wraku.

– Skoczmy – zapewnił go Indianin. – Ci, którzy nie skoczą, pójdą okrężną drogą – tą ścieżką – a później będą ściągać i nękać Ciemną Siłę. Uderzymy na nich z dwóch stron.

Gwaihutiga wtrącił kilka słów, wymachując do wtóru bronią.

– Mój starszy brat mówi, że po tym, co zdarzyło się dzisiaj, pójdziemy za tobą wszędzie, nawet przez wodospad – przetłumaczył Puruwehua. – I nazwał cię nowym imieniem: *Kahuha-ra'ga*. To znaczy „myśliwy”.

Jaeger pokręcił głową.

– Dziękuję, ale tu, w dżungli, to wy jesteście prawdziwymi myśliwymi.

– Nie, moim zdaniem Gwaihutiga ma rację – odezwała się Narov. – W końcu Jaeger znaczy „myśliwy” również po niemiecku. A dzisiaj, tu, w dżungli, dostałeś to imię po raz drugi od wojownika Amahuaca, który nie rozumie przecież, co oznacza twoje nazwisko w jakimś europejskim języku. To musi być jakiś znak.

Wzruszył ramionami.

– Niech będzie. Ale w tej chwili czuję się bardziej jak zwierzyzna niż myśliwy. I wolałbym uniknąć walki z tymi, którzy na nas polują. A to oznacza, że musimy dotrzeć pierwsi do tego wraku, a możemy to zrobić tylko w jeden sposób. – Spojrzał w kierunku wodospadu. – Zbierajmy się.

– Widzę może jeden problem – stwierdziła Rosjanka. – Co do lądowania, nie mam uwag, ale co innego z lądowaniem. Nie mam zamiaru znów zadyndać na drzewie i zostać zjedzona żywcem przez wałęsaki. Gdzie chcesz wylądować?

W odpowiedzi Jaeger poprowadził ich nad skraj Wodospadu Diabła. Wyjrzał za krawędź, wskazując ręką w dół.

– Widzicie to? Ten głęboki basen wyżłobiony u podnóża wodospadu? Kiedy planowaliśmy wyprawę, braliśmy go pod uwagę jako alternatywny punkt przyziemienia. Odrzuciliśmy ten wariant z wielu powodów. Ale w tej chwili nie mamy innego wyjścia. Właśnie tam wylądujemy. Jeden z powodów, dla którego nie zdecydowaliśmy się na to miejsce – podjął – to podejrzenie, że w wodzie może być pełno kajmanów. Są tam kajmany, Puruwehua? W tym basenie u podnóża wodospadu?

Indianin pokręcił głową.

– Nie. Nie ma kajmanów.

Jaeger zmierzył go wzrokiem.

– Ale jest coś innego, tak?

– Są tam *piraihunuhua*. Jak wy je nazywacie? Czarne ryby, które jedzą inne ryby. Czasem nawet większe zwierzęta?

– Piranie?

– Piranie – potwierdził Puruwehua. Roześmiał się. – Nie ma kajmanów, bo są piranie.

– Stary, nienawidzę pieprzonych ryb – mruknął Alonzo. – Nienawidzę i już. Zeskoczmy z urwiska, zlecimy z wodospadu, wylądujemy w rzece i zeżrą nas najbardziej żarłoczne ryby na świecie. Jaeger w klasycznym wydaniu.

Jaegerowi zaświeciły się oczy.

– Nie zeżrą. Polecicie blisko mnie i wyłądujecie tam, gdzie ja, a nikomu nic się nie stanie. Tylko się nie guzdrajcie. To jeszcze nie pora na dłuższą kąpiel. Ale wiercie mi, uda się nam.

Omiótl wzrokiem ekipę. Twarze, które wpatrywały się w niego, pokrywał pot i brud, ślady po ukąszeniach owadów i głębokie zmarszczki wyżłobione przez stres i zmęczenie. Jego spojrzenie zatrzymało się na kamerzyście. Choć Dale nigdy nie był w wojsku, zdawał się posiadać ukryte pokłady sił, nie wspominając o niemałej odwadze i determinacji. O dziwo, jeszcze nic nie zdołało go złamać.

– Ta zapasowa kamera – powiedział Jaeger. – Sprawdźmy jeszcze raz, czy funkcja czasu, daty i lokalizacji jest wyłączona. *Chcę, żeby kamera złapała, jak skaczemy. Chcę, żebyś to nagrał.* Chcę też, żebyś od teraz kręcił wszystko, co możesz. Chcę mieć wszystko na taśmie, gdyby miało stać się najgorsze.

Dale wzruszył ramionami.

– Domyslałem się, że idziesz pierwszy. Zacznę kręcić, gdy skoczysz z Wodospadu Diabła.

Jaeger stanął na samej krawędzi.

Za jego plecami stoczyła się ekipa. Po lewej i w dole ogromna ilość wody kipiała, przelewając się przez skraj wodospadu, a skała pod jego nogami była śliska. Kiedy patrzyło się na drugą stronę wodnej ściany, miało się wrażenie, że sama ziemia się rusza.

Gdy odwrócił się twarzą do ziejącej w dole pustki, miał przed sobą jedynie wirującą masę mgły i pary wodnej oraz potężny prąd wstępujący tropikalnego powietrza. A także Puruwehę, mocno przypiętego do niego w tandemie.

Oprócz jednej osoby, wszyscy w ekipie Jaegera skakali w tandemie z Indianami.

Joe James – jeden z najsilniejszych ludzi w ich grupie, i najbardziej doświadczony BASE jumper – wykona skok dodatkowo obciążony złożoną łodzią, umocowaną na linie. Narov wpadła na genialny pomysł, jak wykorzystać canoe, gdy już skoczą z wodospadu.

Dale polecą ostatni, bo będzie nagrywał. Jako cywil był najmniej doświadczonym skoczkiem, i miał wystarczająco trudne zadanie, filmując wszystkie skoki. Próbując mu trochę ułatwić życie, Jaeger zaproponował, że jako jedyny skoczy sam.

Zawisł tuż nad przepaścią, popychając lekko Puruwehę do przodu. Ostatni krok, głęboki wdech, przechylił się poza punkt bez powrotu, i skoczyli.

Tak jak się spodziewał, nie było potrzeby wykonania dalekiego skoku ze szczytu skały. Nawis był spory, a Jaeger utrzymywał ich w równowadze. Musiał pochwalić Puruwehę, że nie panikował i nie rzucał się, co mogłoby ich wprowadzić w rotację. Ujawniała się w nim teraz spokojna mentalność wojownika.

Gdy przyspieszyli, prąd wstępujący ciepłego, wilgotnego powietrza złapał ich i odepchnął od ściany urwiska w stronę wirującej masy mętnej bieli. *Dwa tysiące, trzy tysiące...* Jaeger odliczał w myślach. – I OTWARCIE!

Sam spakował BT80, co było dalekie od ideału, i przez chwilę bał się, że spadochron się nie otworzy, a wtedy jego i Puruwehę czekał bardzo mokry, bardzo smutny i bardzo szybki koniec. Poczul jednak znajome szarpnięcie, gdy szeroka połać jedwabiu wyduła się nad nimi, łapiąc wiatr, a poszczególne przegrody napępniały się gorącym powietrzem.

Ryk spadającej wody wezbrał w jego uszach, gdy spadochron poderwał ich za ramiona, a potem już szybowali w lepkiej, wilgotnej bieli sto pięćdziesiąt metrów poniżej krawędzi wodospadu. Przez ułamek chwili Jaeger mógł wpatrywać się w ścianę tęczyowych kolorów, chmurę kropelek wody rozszechniających intensywne światło słoneczne. Moment ten szybko minął, a on odwrócił się od wodospadu w stronę otwartej dżungli. Poruszył uchwyty sterowniczymi, skręcając w prawo i wykonując spadochronem serię delikatnych pętli, uważając, by uniknąć rozbryzgów masy białej wody spadającej kaskadami obok nich. Jeśli się w nie wpakuje, spadochron się zapadnie, a on i Puruwehua zginą.

Opadał spiralą w kierunku basenu. *Piranie*. Jaeger bał się niewielu rzeczy, ale jedną z nich była groźba zjedzenia żywcem przez dziesiątki czarnych jak węgiel, wyszczerzonych rybich szczęk. Proporcjonalnie do swojej wielkości pirania miała większą siłę ugryzienia niż *Tyrannosaurus rex* i trzy razy większą niż kajman.

Spojrzał przez chwilę na niebo. Naliczył cztery spadochrony w powietrzu i piątą parę zeska-kującą ze ściany urwiska. Jego ekipa leciała równo i blisko siebie, dokładnie tak, jak tego chciał. Przeniósł wzrok w dół. Od wody dzieliło go może sto dwadzieścia metrów i odległość szybko malała. Otworzył kieszonkę na piersi, a jego palce zacisnęły się wokół zimnej stali granatu.

Przez te trzy stracone lata spędzone na Bioko opanował po mistrzowsku wielce niedocenianą sztukę zabijania czasu. Jednym ze sposobów było badanie losów „Duchessy” – tego tajemniczego statku towarowego z czasów drugiej wojny światowej, który Wielka Brytania najwyraźniej za wszelką cenę chciała przechwycić. Próbował też sił w rybolówstwie.

Zawsze robił to w towarzystwie rybaków z wioski Fernao – tyle że oni nie używali zbyt często tradycyjnych sieci i lin. Woleli łapać ryby za pomocą dynamitu. Niekorzystnie wpływało to na naturę i środowisko, ale niezaprzeczalnie było bardzo skuteczną metodą połowu – a raczej wysadzania ryb pod wodą.

Jaeger wyjął granat z kieszonki i wyciągnął zawleczkę zębami, trzymając łyżkę dociśniętą do metalowej osłony. Te kilka granatów miał przy sobie dzięki pułkownikowi Evandro, choć w życiu nie wyobrażał sobie, że użyje któregoś w taki sposób, w jaki właśnie zamierzał to zrobić. Gdy uznał, że czas i odległość są odpowiednie, wypuścił granat, a łyżka odskoczyła do góry.

Uzbrojony granat poleciał w stronę podnóża wodospadu. Wybuchnie za sześć sekund, gdy, jak sądził, znajdzie się co najmniej dwa metry pod powierzchnią. Widział, jak uderza w wodę, a fale rozchodzą się po basenie. Wybuchł sekundę czy dwie później, wyrzucając w górę biały rozbryzg, który opadł po chwili na wzburzoną powierzchnię.

Kierując się w centrum eksplozji, zdążył jeszcze wypuścić drugi granat. Jego instruktor od materiałów wybuchowych powiedział kiedyś, że jeśli będzie miał wątpliwości, ile „plastiku” – plastycznego materiału wybuchowego – potrzeba, żeby coś wysadzić, niech pamięta, że z nim jest tak, jak z ostrożnością: tego nigdy za wiele.

Drugi granat eksplodował, a chmura rozprysku dotknęła niemal nóg Jaegera. Dostrzegał już pierwsze ogłuszone ryby wypływające na powierzchnię brzuchami do góry. Modlił się jak cholera, żeby plan zadziałał.

Buty uderzyły w wodę i w tej samej chwili Jaeger szarpnął za zapięcie, uwalniając z uprząży siebie i Puruwehuę. Po lewej zauważył lądującą w wodzie Irinę, po prawej – Leticję. Po kilku chwilach przed nim spadł Alonzo, a z tyłu – Kamishi. Każdy z nich miał przypiętego do siebie w tandemie wojownika Amahuaca. Pięcioro na dole – dziesięcioro, licząc Indian. Pora popłynąć do brzegu.

Wcześniej, po dokładnym przyjrzeniu się wodzie z wysokości wodospadu, Puruwehua podpowiedział Jaegerowi, gdzie dokładnie wylądować. Wybrał punkt sąsiadujący z *evi-gwa* – miejscem, gdzie wąski kawałek ziemi wcinął się w rzekę, kończąc się ostrym spadkiem w głęboką wodę.



Kilka potężnych machnięć rękami i nogami wystarczyło, by Jaeger znalazł się na suchym lądzie. Wyciągnął się z wody i odwrócił, by sprawdzić, co się dzieje za jego plecami. Coraz więcej ogłuszonych ryb wypływało na powierzchnię, a ekipa – łącznie z Indianami – płynęła w stronę lądu.

W górze charakterystyczna sylwetka Joego Jamesa zatoczyła spiralę, podchodząc do lądowania. James miał przypiętego do siebie Gwaihutigę, a także składaną łódź zwisającą na linie. Łódź pierwsza uderzyła w wodę, a zaraz po niej Nowozelandczyk i Indianin. Odpięli się i popłynęli na ląd, a James ciągnął canoe.

Jako ostatni miał wylądować Dale.

Został na górze, kręcąc skoki, dopóki ostatni tandem nie znalazł się w powietrzu. Potem wyłączył kamerę, wpełchnął ją do worka woporowego, by zabezpieczyć przed wstrząsem i wodą, i wsadził głęboko do plecaka. Jaeger widział, jak skacze i otwiera spadochron, szybując w stronę basenu.

Wtem odezwał się pełen trwogi krzyk:

– *Purug!* Ryby! Skaczą!

To był Puruwehua. Jaeger podążył wzrokiem za jego wyciągniętą ręką. Faktycznie, lśniący, czarny kształt wynurzył się i wyskoczył wysoko nad powierzchnię. W błysku skrzęcej się wody mignęła rozdziawiona paszcza z dwoma rzędami przerażających, karbowanych zębów, a wyżej oczy szerokie i czarne jak śmierć. Wyglądała jak miniaturowy i bardzo złowrogi rekin o okrągłej głowie – potężne ciało i okrutnie uzbrojone szczęki. Po chwili woda, w której wylądowali, zaczęła się burzyć i kipieć.

– *Piraihunuhua!* – krzyknęli Indianie.

Jaeger nie potrzebował ostrzeżenia. Widział, jak czarne piranie rozszarpują martwe i umierające ryby wyrzucone przez wybuch granatów. Były ich setki, a Dale zmierzał w sam środek kipieli. Przez ułamek sekundy Jaeger chciał rzucić trzeci granat, ale kamerzysta był za blisko i dosięgłaby go eksplozja.

– Piranie! – krzyknął do niego Jaeger. – PIRANIE! – Pokazywał rękami na wodę u swoich stóp. – Ląduj tutaj! Tutaj! Wyciągniemy cię!

Przez jedną straszną chwilę Jaeger bał się, że Dale go nie usłyszał, i zaraz spadnie w sam środek rozszalałej uczty, gdzie w kilka chwil zostałyby z niego same kości.

W ostatnim momencie Dale wykonał jednak ostry skręt w lewo – zbyt ostry – pomknął ze świstem w stronę miejsca, gdzie stali Jaeger i reszta ekipy. Podchodził za szybko i pod złym kątem, a jego spadochron uderzył w wierzchołki drzew wyciągające się nad basenem.

Najwyższe gałęzie złamały się, a Dale utknął, zwisając nad wodą, kołysząc się to w jedną, to w drugą stronę.

– Zdejmijcie go! – wrzasnął Jaeger.

Jego słowa zagłuszył dochodzący z góry przeraźliwy trzask – główna gałąź utrzymująca Dale’a pękła na pół. Operator runął, jego spadochron rozdarł się, a chwilę potem mężczyzna uderzył o powierzchnię wody.

– Wyciągnijcie go na brzeg! – krzyknął Jaeger. – NATYCHMIAST!

Wszędzie wokół Dale’a widział masywne, czarne cienie, śmigające w tę i z powrotem tuż pod powierzchnią. Wystarczyło jedno ugryzienie i odrobina krwi, a piranie uznałyby Dale’a za obiad – w wodzie poniosłby się pulsujący sygnał do całej lawicy: *Podano do stołu*.

Alonzo i Kamishi byli najbliżej. Wskoczyli do wody. W tej samej chwili Dale wrzasnął przeżony: – Kurwaaaaa! *Wyciągnijcie mnie! Wyciągnijcie mnie!*

Mężczyźni szybko podплыnęli do niego i chwycili uprząż, a potem pociągnęli kamerzystę do brzegu. Gdy wreszcie wytaszczyli go z wody, wciąż krzyczał, a oczy miał wytrzeszczone z przerażenia i bólu. Jaeger przykłęknął, żeby go obejrzeć. Miał kilka ran po ugryzieniach i był blady jak ściana, głównie z powodu szoku. Jaeger wcale mu się nie dziwił: jeszcze kilka sekund i facet zostałby pożarty żywcem. Poprosił Leticię, żeby go opatrzyła, korzystając z zestawu pierwszej pomocy. W tym czasie Alonzo i Kamishi zdali raport o odniesionych przez siebie obrażeniach:

– Cholera! Pieprzona ryba ugryzła mnie w dupę! – narzekał Alonzo. – No nie, która ryba robi takie rzeczy?

Joe James pogłaskał swoją imponującą brodę.

– Pirania, koleś. Nawet nie próbuj wracać do wody. Mają już na ciebie chrapkę. Wyczują cię z daleka.

Kamishi na chwilę oderwał wzrok od rany na udzie.

– Ciekaw jestem, czy ta ryba smakuje tak samo dobrze, jak według niej ja smakuję. – Zerknął na Jaegera. – Chętnie złapałbym którąś i zjadł, najlepiej z sosem wasabi.

Jaeger nie miał innego wyjścia, jak się uśmiechnąć. Wyglądało na to, że – wbrew wszystkiemu – morale w zespole wciąż było wysokie. Choć polował na nich Predator i atakowały piranie, wszyscy nieźle się trzymali.

Przeszedł do najpilniejszej sprawy:

– Narov, James – przygotujmy łódź.

We troje rozwinęli kajak, nadmuchali go i spuścili na wodę. Włożyli parę kamieni jako balast i dociążyli kilkoma zwiniętymi spadochronami. Na końcu Narov wrzuciła swój plecak i broń, a potem wsiadła do łódki.

Właśnie miała odepchnąć się od brzegu, kierując się do miejsca, gdzie Rio de los Dios zakręcała w ścianę dżungli, gdy nagle odwróciła się do Jaegera. Zerknęła na chustę, którą miał związaną na szyi – karnawałową ozdobę Santos.

– Potrzebuję czegoś, żeby owinąć lokalizator – stwierdziła. – Jest delikatny, trzeba osłonić go czymś miękkim przed wstrząsami. – Wyciągnęła rękę. – Dla ciebie to bezużyteczna rzecz, a do tego idealnie się nada.

Jaeger potrząsnęła głową.

– Nie da rady, przykro mi. Leticia powiedziała, że to amulet. „Jeśli go zgubisz, skarbie, sprowadzisz na wszystkich pecha”. Mówiła po portugalsku, więc pewnie nie rozumiałaś.

Narov skrzywiła się, a potem nadąsała.

Jaegerowi za to od razu poprawił się humor. Udało mu się dokuczyć Rosjance, zirytować ją. Wyglądało na to, że to jedyny sposób, żeby choć spróbować rozwikłać zagadkę, jaką stanowiła Irina Narov. Tak wiele rzeczy tu do siebie nie pasowało: niezrozumiałe przywiązanie do noża, płynny niemiecki, niemal encyklopedyczna wiedza o nazistach, paląca nienawiść do dziedzictwa Hitlera – nie wspominając o zupełnym braku empatii czy umiejętności okazywania uczuć. Jaeger za wszelką cenę chciał odkryć, co nią kieruje – tym czy innym sposobem.

Obrażona, bez słowa odwróciła się i zanurzyła wiosła w rojącej się od piranii wodzie.

Odplynęła dosyć daleko i gdy prąd zaczął już kołysać kajakiem, skierowała się w stronę brzegu. Wyskoczyła z łódki, wyjęła z kieszeni emblemat Nocnych Łowców, włączyła urządzenie śledzące, po czym sklepiła razem połówki monety czarną taśmą izolacyjną. Następnie włożyła ją do wodoszczelnej torebki strunowej i wrzuciła do jednej z hermetycznych przegródek łodzi, którą od razu zaczęła spychać na środek rzeki.

Nagle zawałała się. Nowy pomysł – przebłysk inspiracji – zalsnił w jej oczach. Pogrzebała w plecaku i wyciągnęła jeden z małych telefonów na kartę, które trzymała w torbie podręcznej. Zawsze miała kilka przy sobie, na wypadek, gdyby nagle musiała nawiązać łączność, na przykład podczas uciezki.

Włączyła telefon i razem z urządzeniem śledzącym wsadziła do wodoszczelnej torebki. Wątpiła, żeby gdzieś w promieniu tysiąca kilometrów była choć jedna wieża telefonii komórkowej, ale może nie miało to większego znaczenia. Być może samo włączenie komórki wytworzy sygnał na tyle mocny, że uda się go wykryć, wysledzić i zlokalizować. Na koniec odepchnęła łódź od brzegu.

Prąd pochwylił ją i poniósł. Miała trójwarstwowy kadłub, sześć nadmuchiwanych komór oraz worki woporowe, więc nie powinna zatonać, bez względu na to, co działoby się w dole rzeki. Nawet wywrócona do góry dnem czy podziurawiona na skałach wciąż będzie płynąć, a to oznacza, że nie zamilknie też sygnał umieszczonego w niej lokalizatora.

Narov założyła plecak, chwyciła broń i ruszyła w stronę, gdzie zostawiła ekipę, starając się trzymać z daleka od wody i korzystać z osłony dżungli. Dziesięć minut później dotarła do Jaegera.

– Zrobione – oznajmiła. – Niedaleko stąd Rio de los Dios gwałtownie skręca na północ, a nasza trasa wiedzie niemal prosto na południe. Wysyłając lokalizator rzeką, powinniśmy zmylić wrogów.

Jaeger spojrział na nią i mruknął:

– Kimkolwiek oni są.

– Tak, kimkolwiek są – powtórzyła Narov. Zamilkła na chwilę. – Dodałam też coś od siebie. Komórkę. Posłałam ją razem z kajakiem. Z tego, co wiem, może zostać wykryta, nawet jeśli nie złapie sygnału.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

– Sprytnie. Miejmy nadzieję, że to zadziała.

– Szary Wilk, tu Szary Wilk Sześć – odezwał się głos. – Szary Wilk, tu Szary Wilk Sześć.

Mężczyzna pochylał się nad tym samym radioodbiornikiem co wcześniej, w tym samym zamaskowanym namiocie, ustawionym na skraju tego samego połowego lądowiska. Ze wszystkich stron otaczało je postrzępione obrzeże dżungli, na ziemnym pasie startowym stały czarne, nieoznakowane helikoptery, zaś ciemne, ponure wzgórza wznosiły się dookoła.

– Szary Wilk Sześć tu Szary Wilk – padła odpowiedź.

– Sir, straciliśmy ich ponad godzinę temu. Sygnał urządzenia śledzącego zniknął.

Radiooperator spojrział na laptop, który wyświetlał wygenerowaną komputerowo mapę Serra de los Dios usianą rozmaitymi ikonkami.

– Pojawili się ponownie u podnóża Wodospadu Diabła i skierowali w dół rzeki, w stronę dżungli.

– Co to oznacza?

– Pokonali wodospad. Prawdopodobnie przemieszczają się łodzią, ale podążają na północ. A samolot jest mniej więcej na południe od ich pozycji.

– No i?

Operator wzruszył ramionami.

– Ruszyli w złą stronę. Nie mam pojęcia dlaczego. Predator już leci nad ich pozycję i gdy tylko ich zobaczymy, prześlemy obraz z kamery. Jeśli to oni, to się z nimi rozprawimy.

– Co znaczy: „Jeśli to oni”? A kto niby miałby to być?

– Sir, nic innego nie porusza się na tym odcinku rzeki. Kiedy złapiemy obraz, upewnimy się, czy to oni, i zakończymy sprawę.

– Najwyższy czas. Pokaż mi zdjęcia z ostatniego ataku. Tego na most.

– Tak jest.

Palce postukały w klawiaturę i na ekranie pojawił się nowy obraz – bardzo niewyraźne nagranie, zarejestrowane przez Predatora podczas niedawnego ostrzału pociskami Hellfire. Pierwszy pocisk trafił w wiszący most. Na chwilę stracili sygnał, obraz pokryły wielkie piksele. Gdy ponownie się ustabilizował, przez chwilę można było wyraźnie zobaczyć twarz samotnej postaci na moście.

– Cofnij – rozkazał głos. – Ten człowiek. Zrób stop-klatkę. Zobaczmy, kogo tu mamy.

– Tak jest – operator wykonał rozkaz, zatrzymał obraz i zrobił zbliżenie na twarz.

- Wyłap kilka klatek dookoła tego ujęcia. – Głos stał się twardszy i głośniejszy. – Prześlij mi je bezpiecznym kanałem. W tej chwili, jeśli łaska.
- Tak jest – potwierdził operator.
- Aha, Szary Wilk Sześć, chciałbym, żeby następny komunikat brzmiał: „Misja zakończona”. Zrozumiano? Nie lubię czekania ani powtarzających się rozczarowań.
- Rozumiem. Następnym razem Predator nie spudłuje.
- I pamiętaj: ta maszyna, ten samolot – nigdy nie latał. Nigdy nawet nie istniał. Masz usunąć po nim wszelkie ślady – oczywiście, gdy już odzyskamy to, czego szukamy.
- Tak jest.

Połączenie zostało przerwane.

Mężczyzna o kryptonimie Szary Wilk odchylił się na krzesło i pogрузzył w myślach. Spojrzał na oprowione zdjęcie stojące na blacie. Widoczny na nim człowiek w średnim wieku, ubrany w szary, prążkowany garnitur, miał spojrzenie aroganckie, pewne siebie, świadczące o nieograniczonej władzy. Z osobą siedzącą przy biurku łączyło go ewidentnie coś więcej niż tylko przypadkowe podobieństwo. Nie trzeba było specjalnie wysilać wyobraźni, aby zorientować się, że to ojciec i syn.

– Okazuje się, że wyjątkowo trudno ich zabić – mruknął, jakby kierował słowa do postaci na fotografii.

Do skrzynki mailowej dotarła właśnie oczekiwana zabezpieczona wiadomość. Mężczyzna pochylił się i stuknął w klawiaturę. Kliknął w załącznik i na ekranie pojawiła się stop-klatka przedstawiająca postać na moście. Przez długą chwilę wpatrywał się w ziarnisty obraz, studiując niezbyt wyraźny wizerunek. Twarz mu spochmurniała.

– To on – warknął. – To musi być on.

Wszedł na prywatne konto e-mail i zaczął pisać, szybko i gorączkowo.

*Ferdy,*

*Coś mnie niepokoi. Prześlę ci zdjęcia. Twarz jednego z celów w pobliżu Adlerflug IV. Wygląda nieprzyjemnie znajomo. Obawiam się, że to William Jaeger.*

*Powiedziałeś, że twoi ludzie zaatakowali go poza Londynem, że zostawiłeś go przy życiu, aby „przeżywał mękę z powodu utraty rodziny”. Z całego serca popieram zemstę, Herr Kamerad<sup>26)</sup>. Dobra, dawno już powinna dosięgnąć takich jak Jaeger.*

---

26) Niem. dosłownie „panie towarzyszu”

*Wygląda jednak na to, że teraz szuka w Amazonii naszego samolotu. Miejmy nadzieję, że nie wdał się w dziadka.*

*Jak pewnie pamiętasz, z Jaegerem seniorem mieliśmy ciągłe kłopoty.*

*Doświadczenie podpowiada mi, żeby nie wierzyć w przypadki. Wysyłam zdjęcie.*

Kliknięciem wysłał wiadomość.

Ponownie spojrzął na ekran, ale wzrokiem nieobecny, oczami jak otchłanie atramentowego mroku, zasysającymi całą energię, całe życie do wnętrza.

Las ociekał wodą i lśnił. Zewsząd dochodził dźwięk kapiących, ściekających, sączących się kropli. Przez gęstą ścianę ulewy i złowrogie chmury wiszące nad okapem drzew przedostawało się jeszcze mniej światła. Pierwsze fronty burzowe, które spłynęły z gór, mocno ochłodziły powietrze – po kilku godzinach nawałnicy zrobiło się ciemno, mokro i ślisko, nie wspominając o zaskakującym zimnie.

Jaeger był przemoczony do suchej nitki, ale, prawdę mówiąc, takie warunki tylko go cieszyły. Woda spływała z ronda jego maskującego kapelusza polowego, gdy wymruczał cicho podziękowanie pod adresem matki natury. Puruwehua ostrzegł go, że to jest *kyrapo'a* – potężna ulewa, która zdaje się nie mieć końca, w przeciwieństwie do innych tutejszych rodzajów deszczu.

Był wśród nich *kyrahi'vi*, lekki deszcz, który szybko mijał; *ypyi* z silnym, zacinającym wiatrem; *kyma'e* trwający najwyżej dzień, po którym szybko robiło się gorąco; *kypokaguhu*, drobna, przejściowa mżawka, która niewiele różniła się od mgły; *japa*, słońce i deszcz naraz, tworzące tęczę; i wiele, wiele innych.

Każdy, kto przeszedł selekcję do brytyjskich sił specjalnych, stawał się znawcą deszczu. Góry południowej Walii – Brecon Beacons – tworzyły ciemny, złowrogi, smagany wiatrem masyw, gdzie lało chyba przez okrągły rok. Jaeger wiedział z własnego doświadczenia, że można by tam wyróżnić tyle samo rodzajów deszczu, co w amazońskiej dżungli. Cieszył się, że ludzka skóra jest wodoodporna.

To jednak, jak stwierdził Puruwehua, była bez wątpienia *kyrapo'a* – deszcz padający bez przerwy przez wiele dni i nocy. A to bardzo Jaegerowi odpowiadało. Ulewa oznaczała wprawdzie dodatkowy dyskomfort dla Dale'a, Alonzo i Kamishiego, którym dokuczały ugryzienia piranii – mokre, brudne ubrania ocierające się o mokre, brudne bandaże nie sprzyjały gojeniu się ran. Jednak w tej chwili było to najmniejsze z ich zmartwień.

Przed opuszczeniem brzegów rojącego się od piranii basenu u stóp Wodospadu Diabła, Jaeger zaryzykował odebranie wiadomości z Airlandera. Raff napisał krótko, jasno i rzeczowo: *Potwierdź wasze współrzędne: 964864. Przechodzimy do rozpoznania. Predator wykryty 10 km na północ od waszej pozycji. Uważaj na: Kral, Narov. Prowadzimy nasłuch. Bez odbioru.*

Wiadomość oznaczała mniej więcej tyle, że Airlander skierowany został nad ich pozycję. Dostali też potwierdzenie, że przynajmniej jeden dron typu Predator krążył gdzieś na niebie. Wykryto go jednak dziesięć kilometrów dalej na północ, co sugerowało z kolei, że być może podstęp się udał i wrogowie śledzili przynętę, pustą łódź płynącą w dół rzeki. „Nasłuch” znaczył, że Raff będzie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę oczekiwał na wiadomości od Jaegera. Ostrzegwał też, na kogo powinien szczególnie uważać – na Krala i Narov.

Przed wyjazdem z Anglii Jaeger właściwie nie miał możliwości sprawdzenia przeszłości członków zespołu. Po śmierci Andy'ego Smitha uważał, że ma ku temu pełne prawo, ale po pro-

stu nie starczyło na to czasu. Poprosił Raffa, żeby trochę pogrzebał, i najwyraźniej tych dwoje – Kral i Narov – wzbudziło jakieś podejrzenia.

Z czasem Jaeger polubił Dale'a, ale jakaś jego część czuła też nieco sympatii do słowackiego kamerzysty, który był bez wątpienia outsiderem w Wild Dog Media. A jednak najwyraźniej w biografii Krala pojawiło się coś, co zaniepokoiło Raffa. Wciąż też gdzieś z tyłu głowy kołatały dręczące go wątpliwości, nie mógł bowiem zapomnieć, że to Kral nie wyłączył GPS-ów w kamerach Dale'a. Czy zrobił to celowo? Nie było możliwości, żeby to sprawdzić lub zapytać operatora osobiście.

Narov zaś dowiodła, że stanowi równie wielką zagadkę jak wrak samolotu. Jaeger siedł o zakład, że zbilaby z tropu nawet Winstona Churchilla. Czuł, że teraz wie o niej jeszcze mniej niż podczas pierwszego spotkania. Tak czy inaczej, za wszelką cenę chciał przebić się przez tę jej pancerną skorupę i dotrzeć do prawdy, bez względu na to, co tam znajdzie.

Wracając jednak do zalet deszczu.

Deszcz potrzebował chmur, żeby z nich spaść, a te spowijały las i odgradzały ich od wszystkiego, co mogło pojawić się na niebie, gdzieś wysoko, w tym także od wrogich oczu śledzących ich z góry. Jaeger czuł się dzięki temu znacznie bezpieczniej. Dopóki ani on, ani nikt z zespołu nie użyje jakiś urządzeń komunikacyjnych lub nawigacyjnych, dopóty powinni pozostać niewidzialni i niewykrywalni.

Przez chwilę próbował odgadnąć sposób myślenia nieprzyjacielskiego dowódcy, kimkolwiek on był. Ostatni dokładny zamiar na swoje ofiary – Jaegera i całą ekipę – miał na krawędzi wodospadu. To stamtąd odebrał sygnał z urządzenia śledzącego oraz z GPS-a w kamerze. Potem była godzina ciszy, a następnie znów zaczął nadawać lokalizator oraz – być może – pojawił się sygnał roamingu z telefonu komórkowego, czyli ze sprzętu, który płynął sobie w dół Rio de los Dios. Ich wróg powinien założyć, że Jaeger i jego ludzie przemieszczają się rzeką, nie miał danych, które kazałyby mu w to wątpić. Losy wyprawy zależały więc od skuteczności podstępu obmyślonego przez Irinę Narov.

Jaeger uważał, że każdy inteligentny dowódca – a nigdy nie pozwalał sobie na niedocenia nie przeciwników – uwzględni różne warianty. Przygotowując pocisk Hellfire do zadania ostatecznego ciosu, śledziłby łódkę, czekając na przerwę w warstwie chmur, która pozwoliłaby sprawdzić, kogo i co wiezie. Ale równocześnie powinien natychmiast skierować oddział lądowy do wraku, żeby obstawić go swoimi ludźmi.

Wyścig trwał. W tej chwili, jak wyliczył Puruwehua, Jaeger i jego ekipa mieli co najmniej dzień przewagi. Od wraku dzieliło ich niecałe osiemnaście godzin wędrówki – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jaeger nie ludził się jednak, że będzie to spacerek. Deszcz wydobyl niestety z dżungli to, co w niej najgorsze.

W czasie marszu Puruwehua zwracał im uwagę na zmiany w terenie, jakie pojawiły się w wyniku ulewy. Niektóre były oczywiste: co jakiś czas musieli pokonywać zalane ścieżki, brodząc w wodzie po pas. Niezidentyfikowane stworzenia pluskały, przemykały i prześlizgiwały się przez pływiczny, a opalizujące węże wodne wily się w cieniu.



Indianin wskazał na szczególnie groźnie wyglądającego gada w czarne i niebieskie pasy z domieszką dwóch odcieni czerwieni.

– Tego raczej nie trzeba się bać – tłumaczył. – To *mbojovuhua*. Je żaby i małe ryby. Jest jadowity, ale jego ukąszenie nie zabija.

Zwrócił się bezpośrednio do Jaegera:

– Trzeba za to uważać na dużego *mbojuhua*. Jest długi jak pięciu ludzi leżących jeden za drugim, a gruby jak kajman. Ma czarne i białe plamki. Chwyta cię w paszczę, mocno się owija, a potem zgniata. Złamie każdą kość w twoim ciele i nie przestaje miażdżyć, dopóki nie poczujesz, że stanęło ci serce. Wtedy polyka cię w całości.

– Przyjemniaczek – mruknął Jaeger. – Dusiciel o naprawdę paskudnym charakterze. Kolejny mój ulubieniec, zaraz po piraniach.

Puruwehua uśmiechnął się. Jaeger był niemal pewien, że Indianin ma niezłą uciechę ze straszenia ekipy takimi opowieściami.

– Jeszcze gorsza jest *tenhukikūhūa* – ostrzegł Puruwehua. – Znasz ją? To szara jaszczurka mniej więcej wielkości leśnej świni, z czarnymi plamami na całym grzbiecie. Jej łapy przypominają ludzkie ręce, tyle, że z przyssawkami. Bardzo jadowita. U nas mawia się, że jest gorsza niż jakikolwiek wąż.

– Niech zgadnę – prychnął Jaeger. – Wylazi wtedy, gdy leje...

– Gorzej – żyje tylko w podtopionym lesie. Doskonale pływa i świetnie wspina się na drzewa. Ma białe oczy, jak duch, a gdy próbujesz złapać ją za ogon, to ten zostaje ci w ręce. To sposób *tenhukikūhūa* na ucieczkę.

– A po co w ogóle ją łapać? – wtrącił się czyjś głos. Alonzo wyglądał na tak samo zdęgowanego jak Jaeger.

– Żeby ją zjeść, oczywiście – odparł Indianin. – Jeśli nie dasz się ugryźć, to *tenhukikūhūa* smakuje naprawdę dobrze – coś pomiędzy kurczakiem a rybą.

Alonzo parsknął.

– Może jak skrzydelka z Kentucky Fried Chicken! Jakoś w to wątpię.

Porównywanie survivalowego żarcia do kurczaka brzmiało jak oklepany frazes. Jaeger i Alonzo wiedzieli, że ma to niewiele wspólnego z rzeczywistością.

Inne efekty ulewy, te mniej ewidentne, potrafili zauważyć tylko Indianie. Puruwehua pokazał im wąski otwór w poszyciu lasu. Jaeger sądził, że to nora jakiegoś gryzonia, ale przewodnik wyjaśnił, że to kryjówka *tairvuhua*, czyli ryby, która żyła pod ziemią, zahibernowana w błocie, i wracała do życia tylko w czasie deszczu.

Godzinę przez zmrokiem zatrzymali się, by coś zjeść. Jaeger narzucił ostry reżim: żadnego ognia ani gotowania – jak najmniej znaków świadczących o ich obecności. Nie było to jednak bynajmniej przyjemne, bo oznaczało jedzenie na zimno wojskowych racji, przeznaczonych do gotowania w torebkach. To mogło uśmierzyć głód, ale nie poprawiało morale.

Jaeger usiadł na zwalonym pniu z torebką i przeżuwał coś, co podobno było makaronem z kurczakiem, ale smakowało jak zaschnięty klej. Przypomnił sobie marchewkowe ciasta, które hippiska Annie przyrządzała na barce w Londynie. Tam pewnie też pada – pomyślał smętnie. Zakończył posiłek garścią krakersów, ale wciąż czuł, jak żołądek skręca mu się z głodu.

Alonzo rzucił plecak i klapnął ciężko obok.

– Auć! – potarł miejsce na tyłku, w które ugryzła go pirania.

– Jak to jest, być pokonanym przez rybę? – zażartował Jaeger.

– Przekłęta pirania – warknął w odpowiedzi. – Nie mogę się wysrać, cholera, żeby nie myśleć o rybich zębiskach.

Jaeger popatrzył na ociekającą wodą roślinność.

– Wygląda na to, że los wreszcie się do nas uśmiechnął.

– Mówisz o deszczu? Nie bez kozery nazywają to pieprzonym lasem deszczowym. Miejmy nadzieję, że będzie padać już do końca wyprawy.

– Puruwehua twierdzi, że taki deszcz leje i leje.

– Puruwehua pewnie wie, co mówi – Alonzo złapał się za brzuch. – Stary, wrębałbym teraz całego hamburgera na raz. Cheeseburger z porządnym kawałem mięcha, do tego fryty i duży czekoladowy shake.

Jaeger uśmiechnął się.

– Stawiam, jak przez to przejdziemy.

– Stoi – Alonzo zamilkł na chwilę. – Wiesz co, tak się zastanawiałem. Nie zdarza się to często, więc słuchaj uważnie. Poluje na nas Predator. Tylko kilka rządów na świecie dysponuje takim sprzętem.

Jaeger potaknął.

– Na pewno nie Brazylijczycy. Nawet gdyby mieli Predatora, w co wątpię, to pułkownik Evandro dba o nasze tyłki. – Zerknął z ukosa na kolegę. – Najbardziej prawdopodobny scenariusz – to twoi kumple Amerykanie.

Alonzo skrzywił się.

– Coś o tym wiem, stary. Ameryka Południowa to nasze podwórko. Zawsze tak było. Ale wiesz, jak to jest: operuje tu mnóstwo agencji – a wiele z nich nie do końca legalnie. – Zawiesił głos. – Ktokolwiek kieruje tym Predatorem, ciekawe, co sądzi o Airlanderze? Zastanawiałeś się nad tym?

– Airlander ma dobrą przykrywkę – odparł Jaeger. – Pułkownik Evandro nadał mu status specjalnej misji B-SOB. Tutaj jest ziemia nieznaną, a Brazylijczycy od miesiący obserwowali granice z powietrza. Airlander ma brazylijską flagę, do tego koloru B-SOB, jakby faktycznie wykonywał zadania zwiadowcze.

– Myślisz, że to zadziała? Przeciwnicy nie zorientują się, że coś tu śmierdzi, gdy tak będzie wisiał nad nami?

– Airlander krąży na wysokości około trzech tysięcy metrów. Predator – mniej więcej dwa razy niżej. Airlander zawiśnie tam widoczny jak na dłoni. W dodatku nasz statek wcale nie musi ustawiać się tak blisko. Dzięki technologii monitoringu o szerokim zasięgu może prowadzić obserwację z odległości wielu kilometrów.

– Lepiej, żebyś miał rację, Jaeger, bo inaczej będziemy w dupie.

Jaeger spojrział na Alonzo, który także wciął zimną papkę z torebki.

– Możesz w razie czego do kogoś zadzwonić? – zagadnął. – Kogoś w służbach specjalnych? Żeby dowiedzieć się, kto, do diabła, na nas poluje? Sprawdzić, czy ten, kto spuścił ze smyczy swoich żołdaków, może ich odwołać?

Amerikanin wzruszył ramionami.

– Jestem rezerwistą SEAL, w stopniu starszego sierżanta. Znam gości z tego światka. Masz świadomość, ile agencji do zadań specjalnych zaczęło tu działać po jedenastym września?

– Setki? – strzelił Jaeger.

Alonzo parsknął.

– Teraz jest osiemset pięćdziesiąt tysięcy Amerykanów z dostępem do najwyższych tajemnic. Tysiąc dwieście rządowych agencji pracuje nad tajnymi projektami – głównie przeciwdziałanie terroryzmowi – do tego dwa tysiące prywatnych firm na kontraktach.

– To... Aż trudno uwierzyć – Jaeger potrząsnął głową. – To jakiś obłąd.

– Nie, stary. Akurat tu nie masz racji. Ale to jeszcze nie wszystko. Trudno uwierzyć dopiero w to, co się stało w 2003. – Spojrział na brytyjskiego kolegę. – Prezydent dał się przekonać do podpisania EXORD, dekretu wykonawczego. Dał tym osiemset pięćdziesięciu tysiącom wolną rękę, żeby mogli robić w zasadzie to, co chcą, prowadzić operacje bez autoryzacji. Innymi słowy, działać bez jakiegokolwiek nadzoru prezydenta.

– Więc tego Predatora mogła wypuścić jedna z tych tysięcy agencji?

– W sumie tak – potwierdził Alonzo. – I kimkolwiek jest ten skurwiel, który próbuje nas załatwić, to działa dokładnie tak jak oni – głęboko w konspiracji. Wierz mi, nikt nie wie, co się wyrabia w tym światku. A z EXORD, takim jak ten, nikomu nawet do głowy nie przyjdzie, żeby coś sprawdzać, czy nawet o coś zapytać.

– Wariactwo.

– Racja – Alonzo zerknął na Jaegera. – Więc mogę przekręcić do kilku gości, ale – szczerze mówiąc, to nic nie da. – Przerwał na moment. – Możesz jeszcze raz powtórzyć, jak wygląda koncepcja wydobycia nas stąd?

– Airlander to potężna maszyna latająca w kształcie czopka – zaczął Jaeger. – Posiada cztery śmigła napędowe, które dają mu bezpośredni ciąg i umożliwiają poruszanie się w dowolnym kierunku: w górę, w dół, do przodu, do tyłu, na boki. Kabina załogi jest na środku, po spodniej stronie, pomiędzy dwoma systemami służących do lądowania poduszek powietrznych – a właściwie parą minipoduszkowców, umieszczonych po obu stronach kadłuba.

Sięgnął po jeden z niezjedzonych krakersów, żeby lepiej przedstawić maszynę.

– Może wisieć w powietrzu i poruszać się na każdej wysokości, w dowolnym kierunku. Ma wewnętrzne wyciągarki i dźwigi, które umożliwiają załadunek i rozładunek. Do tego dochodzi kabina główna dla pięćdziesięciu pasażerów. Najlepszy scenariusz: potwierdzamy z ziemi, że Airlander ma bezpieczne podejście. Maszyna opuszcza się na niewielką wysokość, zawisa nad dżunglą, zrzuca nam uprząż, które mocujemy do wraku, a potem wyciągarki podnoszą go, a nas razem z nim.

– Taki jest plan, pod warunkiem, że znacznie wyprzedzimy tych drani – kontynuował Jaeger. – I jeśli uda się zneutralizować skażenie na ziemi. Airlander jest powolny, porusza się z prędkością około dwustu kilometrów na godzinę, ale za to ma zasięg trzy i pół tysiąca kilometrów. To więcej niż potrzeba, żeby dowiózł nas z powrotem do Cachimbo na spotkanie z pułkownikiem Evandro.

Zawiesił głos i wzruszył ramionami.

– Najgorszy scenariusz to taki, że zagrożenie toksynami jest śmiertelne, Airlander nie może nas zabrać i sami musimy walczyć o przetrwanie.

Alonzo w zamyśleniu potarł policzki.

– Mam nadzieję, że nie czeka nas scenariusz numer dwa.

– *Ewo'pewa* – rozległ się głos. To był Puruwehua, który trzymał w palcach coś ciemnego i zakrwawionego. – Nie znam angielskiego słowa. Przyniósł je deszcz, wysysają krew.

– Pijawki – mruknął Jaeger. – Przekłęte pijawki.

Alonzo wzdrygnął się.

– I to prawdziwe potwory, sądząc po wyglądzie.

Puruwehua wskazał na swoje nogi i okolice pachwin.

– My, Amahuaca, nie nosimy spodni, więc możemy je zobaczyć i odczepić. Ale wy... powinniście sprawdzić.

Jaeger i Alonzo spojrzeli po sobie.

– Ranga przed urodą – zażartował Alonzo. – Na takim długim kutasie jak mój mają mnóstwo miejsca do uctowania.

Jaeger podniósł się niechętnie. Rozpiął pas, a potem zdjął spodnie i zsunął slipki. Nawet w skąpym świetle zauważył, że nogi i pachwiny pokrywa masa wijących się, błyszczących stworzeń, podobnych do krótkich, grubych macek. Pijawki tygrysie. Boże, jak on ich nienawidził. Czarne ciała, poprzecinane jaskrawożółtymi pasami, w których każde powiększyło się już pięciokrotnie w stosunku do normalnego rozmiaru.

Kiedy pierwsza pijawka wślizgnęła się w nogawkę spodni Jaegera, poszukując czegoś ciepłego i wilgotnego, do czego mogłaby się przyczepić, była nie większa niż skuwka od długopisu. Teraz, po kilku godzinach uctowania, każda przypominała grubą, czarną marker, opity po brzegi krwią.

– Zapalniczkę? – zaproponował Alonzo.

Najskuteczniejszym sposobem na pozbycie się tego draństwa było przypalenie. Druga metoda to potraktowanie pijawek preparatem odstrasżającym owady i obserwowanie, jak skręcają się i wiją.

Jaeger podziękował i sięgnął po zapalniczkę. Wiedział, że nie powinien tego robić. Pijawki wydzielają do śliny środek znieczulający, dlatego ich ofiara nie czuje ukąszenia. Kiedy już się wgrzyzą, pompują do naczyń hirudynę, bardzo mocny enzym, który nie pozwala krwi krzepnąć – dzięki temu mogą pożywiać się długo i bez przerwy. Jeśli przyłożysz do pijawki ogień, natychmiast się kurczy i odpada – ale jednocześnie dużą część zawartości swojego żołądka zwraca do krwioobiegu ofiary. Innymi słowy, wymiotuje niemal całą połkniętą krew, a wraz z nią zarazki wszystkich chorób, jakie w sobie nosi. Jaeger jednak tak bardzo nienawidził pijawek, że nie mógł oprzeć się pokusie, by się odegrać. Pstryknął zapalniczką, przyłożył ogień i patrzył, jak pierwsza z rozdętych macek skwierczy i wiję się.

– Pociski Hellfire chcą zrobić z nas skwarki... Z przyjemnością zaryzykuję przypalenie kilku tych paskudztw.

Alonzo zachichotał.

– Taaa, przynajmniej tę bitwę możemy wygrać.

Po kilku sekundach pijawka odpadła, pozostawiając strumyczek krwi ciekący po nodze Jaegera. Rana będzie krwawić przez jakiś czas, ale uznał, że warto się poświęcić. Dla pijawki była to podwójna tortura: po pierwsze, straciła cały cenny posiłek; po drugie, nigdy nie wyleczy się z poparzeń.

Zaczęło się ściemniać, gdy skończyli przypalać pijawki. Jaeger zdecydował, żeby rozbić tu obóz. Dał znak swojej ekipie.

Kiedy hamaki i poncha rozwieszono już między ciemnymi, śliskimi od deszczu pniami drzew, zauważył, że jeden z jego podkomendnych ma problemy. Podszedł do Dale'a, który jeszcze nie zdjął mokrego ubrania. Operator zarzucił nogi na hamak i kładł się, najwyraźniej gotowy do snu. Przyciskał do piersi sprzęt fotograficzny i za pomocą puszkę sprężonego powietrza próbował wydmuchać maź i wilgoć z kamery.

Utrzymanie sprzętu w takich warunkach musiało być ciężkim zadaniem. Dale niemal nabożnie przestrzegał wieczornego rytuału czyszczenia i wiele razy zdarzało się, że zapadał w sen, przytulając do siebie kamerę jak dziecko pluszowego misia.

– Dale, nie wyglądasz za dobrze – stwierdził Jaeger.

Nad krawędzią hamaka pojawiła się głowa. Twarz operatora była przerażająco blada i wymizerowana. Jaeger nie miał wątpliwości, że Dale nie odkrył jeszcze swojej puli pijawek – nie mógłby ich przeoczyć, gdyby przebrał się w suche ubranie.

– Jestem po prostu totalnie wykończony – mruknął Dale. – Wyczyszczę tylko sprzęt i do spania.

Dziewięć dni w dżungli wszystkim dały mocno w kość, ale Dale był szczególnie padnięty, bo nie tylko uczestniczył w wyprawie, ale ją też filmował. Pozostali znajdowali odrobinę czasu na podstawową higienę osobistą, za to Dale poświęcał chyba każdą chwilę na czyszczenie sprzętu, wymianę baterii i przegrywanie wszystkiego, co nakręcił, na zapasowy nośnik. No i musiał dźwigać dodatkowe kilogramy. Jaeger już nieraz oferował pomoc, ale Dale odmawiał. Tłumaczył, że musi mieć sprzęt pod ręką, jednak Jaeger sądził, że nie pozwalała mu na to jego duma i determinacja – szanował go za to.

– Musisz przebrać się w suche ciuchy – upomniął. – Jeśli tego nie zrobisz, to koniec z tobą.

W oczach Dale'a widać było krańcowe wyczerpanie.

– Ścięło mnie. Naprawdę mnie ścięło.

Jaeger sięgnął do kieszeni i wyciągnął wysokoenergetyczny baton – część swojej żelaznej racji.

– Masz, zjedz. No i jest jeszcze jedna rzecz, którą musisz się natychmiast zająć. Niestety to nie są dobre wieści. Pijawki.

To było pierwsze w życiu tak bliskie spotkanie Dale'a z tymi odrażającymi pasożytami i pewnie dlatego wyjątkowo traumatyczne. Z powodu nawyku regularnego zatrzymywania się, żeby coś nagrać, i częstego przykucania w wilgotnym leśnym poszyciu, aby zrobić ujęcia z dołu, stanowił wyjątkowo łatwy cel. W efekcie stał się czymś w rodzaju baru szybkiej obsługi dla pijawek.

Gdy przerażony Dale zabrał się do przypalania pasożytów wręczoną mu zapalniczką, Jaeger zaczął rozmowę, aby odwrócić jego uwagę od tej obrzydliwej czynności:

– Jak tam sobie radzisz bez Krala?

Dale zerknął na niego.

– Szczerze?

– Szczerze.

– Minus: mam większy ciężar do dźwignia, bo z Kralem dzieliliśmy go między siebie. Plus: pozbyłem się paskudnej pijawki, zrządzącej, zgorzkniałej, złej i egocentrycznej. W gruncie rzeczy wyszło mi to na dobre – uśmiechnął się, wyczerpany. – Ale mógłbym się obejść bez *tych* pijawek.

– Jedno jest pewne – od samego początku braliście się za łby. Co tak naprawdę było między wami?

– Coś ci opowiem – mruknął Dale, przypalając kolejną tłustą pijawkę. – Z pochodzenia jestem Australijczykiem, ale tata posłał mnie do dobrej angielskiej szkoły z internatem. Wybili mi tam z głowy australijskość, razem z akcentem. Szkoła cieszyła się uznaniem z powodu osiągnięć sportowych – podjął. – Problem w tym, że nie znosiłem czołowych dyscyplin – rugby, hokeja i krykieta. Straszna była ze mnie noga. Krótko mówiąc, stanowiłem dla mojego ojca ciągle źródło rozczarowań. Tylko w dwóch rzeczach byłem świetny. Jedna to wspinaczka skałkowa, druga – fotografia. Lubilem też łaźnić po górach, co generalnie przydaje się w tym fachu.

– Tata był wziętym prawnikiem w Sydney – ciągnął Dale. – Kiedy odmówiłem pójścia w jego ślady i wybrałem karierę w mediach, zareagował, jakbym co najmniej został złapany na dilerce prochów czy coś podobnego. Wydziejczył mnie. Rzuciłem się więc na głęboką wodę pełną rekinów, jaką jest środowisko medialne w Londynie, żeby go dodatkowo wkurzyć. Mogłem utonąć, zostać zeżartym albo się utrzymać. Wyspecjalizowałem się w filmowaniu odległych i niebezpiecznych regionów. To życie z dnia na dzień. Kral mógł się wycofać przy pierwszych oznakach kłopotów. Ja nie mogę, bo chcę udowodnić krytykantom – *mojemu ojcu* – jak bardzo się mylą. Filmowanie ryzykownych przygód – tym się zajmuję. Gdybym odszedł, bo zrobiło się zbyt gorąco, to co by mi zostało? Nic. – Dale popatrzył Jaegerowi prosto w oczy. – Pieprzyć więc Krala, jego urazy i zawiść. Ale mówiąc prawdę – sram w portki ze strachu.

Kiedy skończyli rozprawić się z pijawkami, Jaeger zaproponował, że weźmie wartę za Dale’a, a on będzie mógł przespać całą noc. Tym razem Australijczyk nie zaprotestował. Z jakiegoś niezrozumiałego powodu zaczęła pojawiać się między nimi więź wielce nieoczekiwanej przyjaźni.

Jaeger trzymał wartę jako pierwszy. Wpatrywał się w mroczny las i myślał o tym, czy przypadkiem nie ocenił błędnie Dale’a. Facet był niezależny i działał niekonwencjonalnie – a takie cechy cenił u swoich ludzi w wojskowych czasach. Gdyby ich drogi życiowe inaczej się poukładały, to równie dobrze Jaeger mógłby filmować konflikty zbrojne, a Dale służyć w oddziałach specjalnych. Jak mało kto, Jaeger wiedział doskonale, że ludzki los może w jednej chwili odmienić się o sto osiemdziesiąt stopni.

Kiedy Jaeger zszedł z warty, odkrył, że jeszcze ktoś w obozie wciąż nie śpi – Leticia Santos.

Podszedł do niej, ponieważ uznał, że powinien przypomnieć dziewczynie o usunięciu pijałek. Santos miała to już za sobą i jego wyraźne zażenowanie – zwłaszcza gdy zasugerował, żeby sprawdziła intymne miejsca – uznała za bardzo zabawne.

– Osiem lat w B-SOB, pięć w FUNAI – przypomniała mu. – Przywykłam do sprawdzania „tych miejsc”!

Jaeger uśmiechnął się.

– To dobrze. A tak w ogóle, to dlaczego się przeniosłaś? Skąd taka zmiana? – zapytał, kucając obok. – Od polowania na złych chłopców do ratowania Indian?

– Z dwóch powodów – odparła Brazylijka. – Po pierwsze, zrozumiałam, że nie powstrzymamy gangów narkotykowych, dopóki nie ochronimy dżungli. To tędy przemycają towar i tu się ukrywają. A żeby uratować dżunglę, potrzebujemy pomocy amazońskich plemion. Brazylijskie prawo mówi, że ich ziemie – ich leśny dom – muszą być chronione. Jeśli więc nawiążemy kontakt z Indianami i będziemy ich strzec, to tym samym ocalimy też Amazonię.

Popatrzyła na Jaegera.

– Gdyby to był twój kraj i gdybyście mieli taki cud – dżunglę amazońską – to czy nie chciałbyś jej chronić?

– Bez dwóch zdań. A drugi powód?

– Przez pracę w B-SOB rozpadło się moje małżeństwo – odpowiedziała cicho. – Kariera w oddziałach specjalnych nie sprzyja długim i szczęśliwym związkom, nie? Zawsze w gotowości. Mnóstwo sekretów. Nigdy nic nie można zaplanować. Odwołane wakacje, urodziny, rocznice. Mąż narzekał, że nigdy mnie nie ma – przerwała na moment. – Nie chcę, żeby moja córka zarzuciła mi to samo, kiedy dorosnie.

Pokiwał głową.

– Rozumiem to. Odszedłem z wojska krótko po założeniu rodziny, ale wiem, jak może być ciężko.

Santos zerknęła na lewą dłoń Jaegera i zatrzymała wzrok na jedynej ozdobie – złotej obrączce.

– Jesteś żonaty, tak? Masz dzieci?

– Tak. Mam syna. Chociaż... Cóż, to długa historia. – Jaeger odwrócił wzrok w stronę złowrogiej dżungli. – Powiem tak: straciłem ich... – nie dokończył.

Dziewczyna położyła mu dłoń na ramieniu, a gdy spojrzała w twarz rozmówcy, jej oczy były pełne empatii i szczerzego ciepła.

– Trudno być samotnym. Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebował przyjaznej duszy – możesz na mnie liczyć...

Jaeger podziękował i wstał.



– Musimy odpocząć. *Dorme bem*, Leticia. Kolorowych snów.

Kilka godzin później obudził się z krzykiem, cały spocony. Hamak kołysał się – Jaeger znów walczył z potwornymi wizjami ze snów. Powrócił koszmar, ten sam co w Wardour Castle. Znowu sen przeniósł go do chwili, w której żona i dziecko zostali uprowadzeni – a potem opadła nieprzenikniona zasłona mroku.

Rozejrzał się. Ciemność była tak gęsta, że z trudem dostrzegał własną dłoń uniesioną ku twarzy. Potem usłyszał szelest. Ktoś – lub coś – skradał się przez gęste poszycie. Wysunął rękę z hamaka i wymacał strzelbę.

Z ciemności dobiegł głos:

– To ja, Puruwehua. Usłyszałem, jak krzyczysz.

Jaeger odprężył się. Właściwie nie był zaskoczony, że krzyk obudził Indianina. Puruwehua zawiesił swój hamak tuż obok. I dobrze, że to był on, a nie kto inny – w tym momencie Jaeger chyba nikomu nie ufał w takim stopniu jak wojownikowi Amahuaca.

Puruwehua przykucnął obok.

– Utracone wspomnienia tam są, *Koty'ar* – zauważył cicho. – Musisz po prostu je uwolnić, podążać za nimi.

Jaeger wpatrzył się w ciemność.

– Każdy żołnierz powracający z wojny i każdy ojciec, który zawiódł bliskich, ma koszmary.

– Tak czy owak nosisz w sobie wiele ciemności – powiedział Puruwehua. – Wiele cierpienia.

Zamilkli na dłuższą chwilę.

– Masz światło? – zapytał Indianin.

Jaeger włączył latarkę czołową, osłaniając ją we wnętrzu hamaka tak, by dawała jedynie bladą zielonkawą poświatę. Puruwehua podał mu kubek, po brzegi wypełniony płynem.

– Wypij to. Lekarstwo z dżungli. Pomoże ci.

Jaeger wziął naczynie i podziękował.

– Przepraszam, że cię obudziłem, mój wojowniczy przyjacielu. Odpocznijmy, żebyśmy rano byli gotowi.

Opróżnił kubek do dna. Jednak spokój, którego się spodziewał, nie przyszedł. Przeciwnie, poczuł gwałtowny wybuch bólu w czaszce, jakby ktoś kopnął go z całej siły w oczodół. Chwilę później zaczęły opuszczać go zmysły. Czuł ręce, które go przytrzymały w hamaku, a charakterystyczny głos Puruwehuy mrucał uspokajające słowa w dialekcie Amahuaca.

Wtem pod powiekami Jaegera eksplodował kalejdoskop kolorów, przechodząc stopniowo w jasnożółte wnętrza namiotu. Obraz nabrał barw i wyrazistości. Jaeger leżał na plecach, pod dwoma spiętymi ze sobą śpiworami, było mu ciepło i wygodnie, u boku żony i dziecka. Coś jednak go obudziło, wyrwało z głębokiego snu do rzeczywistości chłodnej walijskiej zimy. Światło latarki czołowej tańczyło po żółtej ścianie namiotu, kiedy próbował namierzyć zagrożenie i źródło hałasu, który go obudził. Nagle długie ostrze przebiło z boku cienkie płótno. Gdy Jaeger

gwałtownie próbował wygrzebać się ze zwalów śpiwora, usłyszał syk, dochodzący z wylotu rury wepchniętej przez rozcięcie.

Gęsty gaz wypełnił namiot, powalił go na plecy i obezwładnił. Zobaczył sięgające do wnętrza ręce, ciemne twarze ukryte za maskami przeciwgazowymi, a chwilę potem jego żona i syn zostali wyciągnięci z ciepła wprost w ciemność. Nie mogli nawet krzyżeć, ponieważ gaz sparaliżował ich, tak jak Jaegera. Był bezradny, nie mógł obronić siebie, ale przede wszystkim nie mógł pomóc najbliższym.

Usłyszał warkot potężnego silnika, krzyki, trzaśnięcie drzwi, gdy coś – lub ktoś – został połączony w stronę auta. Jakąś nadludzką siłą woli zdołał przeczołgać się do rozcięcia w ścianie namiotu. Wystawił głowę na zewnątrz. Na mgnienie oka, ale to wystarczyło. W świetle reflektorów, odbijającym się od warstewki śniegu i szronu, zobaczył dwie postacie – jedną drobną, chłopcę, drugą smukłą, kobietą – wepchnięte na tył terenówki.

W następnej chwili ktoś chwycił go za włosy. Poderwał mu głowę do góry, tak że Jaeger mógł spojrzeć przez szklaną osłonę maski przeciwgazowej w przepelnione nienawiścią oczy. Pięść w rękawicy wystrzeliła z ciemności, uderzając go w twarz raz, drugi, trzeci, aż krew ze zmiążdżonego nosa chlapnęła na śnieg.

– Patrz, uważnie się przyjrzyj – syknął człowiek ukryty za maską, kiedy brutalnie obrócił Jaegera w kierunku samochodu. Słowa były stłumione, ale rozumiał ich znaczenie, zaś głos z jakiegoś powodu brzmiał przerażająco znajomo. – Utrwał tę chwilę w pamięci. Twoja żona i syn są teraz nasi.

Maska niemal przycisnęła się do zakrwawionej twarzy Jaegera.

– Nigdy nie zapomnij tej chwili – nie potrafiłeś obronić najbliższych. Wir sind die Zukunft!

Dzikię oczy za szklaną osłoną były szeroko otwarte, nabuzowane adrenaliną. Nagle Jaegera uderzyła myśl, że zna tę twarz. Nie potrafił jednak przypisać imienia do wykrzywionego nienawiścią oblicza. Chwilę później ta straszliwa scena – koszmarnie wspomnienie – przysła, ale jeden element pozostał w pamięci, przerażająco rzeczywisty.

Kiedy w końcu oprzytomniał, czuł się całkowicie wyczerpany. Obraz, który najlepiej wrył mu się w pamięć, właściwie nie był zaskoczeniem, gdzieś w głębi serca spodziewał się tego. Lękał się, że ten jeden szczegół z przywołanej w majakach tragicznej nocy na ośnieżonych walij-skich wzgórzach, czai się w głowie i w końcu powróci.

Rękojeść noża, który przeciął ścianę namiotu, zdobił ciemny, znajomy symbol: Reichsadler.

Puruwehua czuwał przy hamaku dowódcy aż do świtu. On jeden rozumiał, przez co Jaeger przechodził. Napój, który mu podał, zawierał *nyukwana*, klucz do uwolnienia wyrazistych obrazów ukrytych głęboko w podświadomości. Wiedział, że wstrząsną one białym człowiekiem do żywego. O świcie żaden z nich nie powiedział nic o tym, co się wydarzyło. Słowa nie były potrzebne.

Jednak przez cały poranek Jaeger był ponury i wycofany, zamknięty w skorupie wspomnień, które na nowo wypłynęły. Powoli brnął przez wilgotną i ociekającą wodą dżunglę, ale myślami znajdował się w zupełnie innym miejscu, pogrzebany pod zniszczonym namiotem na oblodzonym zboczu walijskiej góry.

Członkowie ekipy zauważyli tę zmianę nastroju, choć większość zupełnie nie знаła jej przyczyn. Znajdowali się tak blisko wraku, spodziewali się więc, że Jaeger energicznie ruszy do przodu i powiedzie ich do celu. Było jednak dokładnie odwrotnie: dowódca sprawiał wrażenie, jakby zaszył się w ciemnej samotni, do której inni nie mieli dostępu.

Mijały właśnie cztery lata od chwili, gdy jego żona i dziecko zniknęli. Jaeger trenował wówczas do Pen y Fan<sup>27)</sup> Challenge – dwudziestoczyterokilometrowego biegu po walijskich górach. Było Boże Narodzenie i on, Ruth oraz Luke zdecydowali się spędzić je inaczej niż zwykle, jadąc na biwak do Walii. Mogli w ten sposób wspólnie być w górach – co mały Luke uwielbiał – a Jaeger zyskiwał możliwość odbycia kilku dodatkowych treningów. Stanowili „rodzinną ekipę poszukiwaczy przygód”, jak żartobliwie powiedział żonie.

---

<sup>27)</sup> Najwyższy szczyt (886 m n.p.m.) w południowej Walii, wznoszący się w Parku Narodowym Brecon Beacons

Rozbili obóz niedaleko miejsca, skąd startował bieg. Inspiracją do zorganizowania Pen y Fan Challenge była selekcja do brytyjskich sił specjalnych. Na jednym z najtrudniejszych etapów uczestnicy musieli wspiąć się na niemal poziomą ścianę Fan, zejść po Drabinie Jakubowej (ułożonych na zboczu kamiennych stopniach) i ruszyć dalej wzdłuż pofałdowanej starej rzymskiej drogi, a na jej końcu zawrócić i pokonać całą trasę w odwrotnym kierunku. Impreza, zwana potocznie „Fan Dance”, była trudnym sprawdzianem szybkości, wytrzymałości i sprawności – cech, które Jaeger uważał u siebie za wrodzone. Choć odszedł z wojska, lubił od czasu do czasu udowodniać samemu sobie, do czego jest zdolny.

Kiedy tej nocy kładli się spać, bolało go całe ciało po ciężkim całodziennym treningu, a żona i syn byli równie wyczerpani – jeździli na rowerach górskich po zaśnieżonych równinach. Kolejne wyraźne wspomnienie Jaegera to przebudzenie tydzień później na oddziale intensywnej terapii, gdzie dowiedział się, że Ruth i Luke zaginęli.

Użyty przeciwko nim gaz zidentyfikowano jako Kolokol-1, mało znany rosyjski środek usypiający, który zaczyna działać już po kilku sekundach. Zasadniczo nie powodował zgonu – chyba że ofiara była narażona na jego przedłużone działanie w zamkniętej przestrzeni. A jednak Jaeger potrzebował kilku miesięcy, żeby w pełni wrócić do zdrowia.

Gdy policjanci otworzyli bagażnik jego samochodu, zobaczyli, że wypełniony jest po brzegi świątecznymi prezentami, które nigdy już nie miały zostać otwarte. Poza odciskami opon auta terenowego śledczy nie znaleźli żadnych śladów po żonie i dziecku. Wyglądało to na pozbawione motywu uprowadzenie, a być może nawet morderstwo.

Choć Jaeger właściwie nie był głównym podejrzanym, chwilami pytania śledczych kazały mu zastanowić się, czy aby na pewno. Im dłużej bowiem policja nie potrafiła doszukać się jakiegось motywu czy tropu, tym częściej śledczy próbowali prześwietlić przeszłość Jaegera, szukając powodów, dla których on sam mógłby chcieć zniknięcia żony i syna. Funkcjonariusze przeglądali wojskowe akta, zwracając uwagę na ewentualną historię traumatycznych doświadczeń, mogących wyzwolić syndrom stresu pourazowego. Szukali czegokolwiek, co mogłoby tłumaczyć takie, zdawałoby się, niewytłumaczalne zachowanie. Przepytывali najbliższych przyjaciół i bez przerwy nękali rodzinę Jaegera – zwłaszcza rodziców – próbując dowiedzieć się, czy w jego małżeństwie pojawiały się jakieś problemy.

To między innymi skłoniło matkę i ojca Jaegera do przeprowadzki na Bermudy – do ucieczki przed tymi nieuzasadnionymi, dokuczliwymi pytaniami. Zostali w kraju na tyle długo, by pomóc synowi przejść przez najgorsze, kiedy jednak zniknął bez uprzedzenia i zaszły się na Boko, oni także wykorzystali szansę, żeby zacząć wszystko od nowa. Trop i tak dawno się urwał a śledztwo zostało umorzone. Od zaginięcia Ruth i Luke'a minął ponad rok, przypuszczalnie oboje nie żyli. Jaeger zaś, nieustający w poszukiwaniach, bliski był kompletnego załamania.

Musiały minąć całe dni, tygodnie i lata, aby tej właśnie ciemnej nocy ukryte wspomnienia zaczęły wydostawać się na powierzchnię. A teraz, dzięki wojownikowi Amahuaca i napojowi z solidną dawką *nyakwana*, odzyskał ostatnie chwile tych wydarzeń, te ukryte najgłębiej.

Na rękojeści noża nie zobaczył oczywiście zwykłego Reichsadlera – symbolu Trzeciej Rzeszy. To był ten sam znak, który tak bardzo przeraził wuja Joego. Teraz zaś, brnąc przez wilgotną dżunglę, Jaeger przypomniał sobie błysk panicznego strachu w oczach staruszka i jego słowa wypowiedziane w chatce ukrytej pośród szkockich wzgórz: „I wtedy ten kochany chłopiec przychodzi z tym. Ein Riechsadler! Przekłete diabelstwo! Wygląda na to, że zło powróciło...”. Według wodza plemienia Amahuaca, podobny symbol wycięto na ciałach dwóch pojmanyh wojowników – a zrobili to ci sami ludzie, z którymi Jaeger i jego zespół toczyli teraz pojedynek na śmierć i życie.

Jaegera jednak najbardziej niepokoiło to, że wydawało mu się, iż rozpoznał głos, syczący do niego z wnętrza maski przeciwgazowej. Ze wszystkich sił wycęzał umysł, ale żadne nazwisko ani żadna twarz nie przychodziły mu na myśl. Jeśli rzeczywiście skądś znał swego głównego wroga, jego tożsamość pozostawała dla niego kompletną zagadką.

Zbliżało się południe dziesiątego dnia pobytu w dżungli, gdy Jaeger wreszcie zaczął się otrząsać z marazmu. Zbliżający się moment odnalezienia wraku w końcu wyciągnął go z mroków ponurej przeszłości. Pomimo porannych problemów z koncentracją, nawet na chwilę nie wypuścił z ręki kamyków i kompasu. Oceniał, że znajdowali się niecałe trzy kilometry od miejsca, w którym las zacznie rzednieć. Dalej będą już tylko wyblakłe resztki martwych, skażonych drzew, prowadzące wprost do samego wraku.

Weszli na szczególnie mocno zalany skrawek dżungli.

– *Yaporuamuhūa* – oznajmił Puruwehua, gdy zaczęli brnąć przez głęboką wodę. – Zatopiony las. Kiedy poziom wody jest tak wysoki, piranie chętnie przyplływają tu z rzeki. Zjadają wtedy wszystko, co znajdują.

Ciemna woda wirowała wokół talii Jaegera.

– Dzięki za ostrzeżenie – mruknął.

– Stają się agresywne tylko wtedy, gdy są głodne – Puruwehua próbował dodać mu otuchy. – Po takim deszczu powinny mieć jedzenia w bród.

– A jeśli mimo to są głodne? – zapytał Jaeger.

Puruwehua zerknął na najbliższe drzewo.

– Wtedy musisz uciekać z wody. I to szybko.

Jaeger dostrzegł coś lśniącego i srebrzystego, przemykającego przez płycizny. Jakieś stworzenia przepłynęły obok, a jedno czy dwa otarły się o jego nogi. Miały zielonkawy grzbiet, duże żółte oczy skierowane ku górze oraz dwa rzędy potężnych zębów podobnych do koleców.

– Są wszędzie – syknął Jaeger.

Puruwehua jednak wyraźnie się ucieszył.

– Bez obaw – to dobrze. Bardzo dobrze. *Andyrapopotiguhūa*. Ryba wampir. Zjada piranie. Przebija je tymi długimi zębami.

– To trzymajmy się ich, przynajmniej dopóki nie dotrzemy do wraku.

Woda stawała się coraz głębsza, sięgała im niemal do piersi.

– Wkrótce trzeba będzie popłynąć jak *pirau'ndia* – zauważył Puruwehua. – To ryba, która pływa pionowo, z głową nad wodą.

Jaeger nie odpowiedział. Miał serdecznie dosyć cuchnącej wody, moskitów, pijawek, kajmanów i rybich szczęk. Chciał podczepić się do tego wraku, zabrać stąd siebie oraz swoich ludzi i zacząć szukać zaginionej rodziny. Czas zakończyć ekspedycję i rozpocząć nowy rozdział w życiu. Wiedział, że u kresu tej szalonej podróży, w taki czy inny sposób, dowie się, co spotkało Ruth i Luke'a. A jeśli nie, to umrze, próbując rozwikłać tę zagadkę. Życie, jakie prowadził przez ostatnie parę lat, to była wegetacja. To właśnie uświadomiło mu duchowe przebudzenie, wizja rodziny ujrzana w narkotycznym transie.

Czuł na sobie wzrok Puruwehuy, gdy wędrowali w milczeniu.

– Rozjaśniło ci się w głowie, przyjacielu?

Jaeger kiwnął głową.

– Czas uwolnić się od tych, którzy chcą zniszczyć twój świat, Puruwehua, i mój także.

– Nazywamy to *hama* – wyjaśnił Puruwehua. – Los albo przeznaczenie.

Przez chwilę brodzili dalej w przyjacielskim milczeniu.

Jaeger poczuł jeszcze czyjąś obecność za plecami. To była Irina Narov. Podobnie jak reszta zespołu brnęła przed siebie, trzymając wysoko swoją podstawową broń – karabin wyborowy Dragunov, starając się uchronić go przed brudem i wodą. Był to olbrzymi wysiłek, ale im bardziej zbliżali się do wraku, tym Rosjanka wydawała się mieć więcej energii i determinacji. Dragunov nie bardzo nadawał się do użytku w dżungli, w której walka odbywała się na krótkim dystansie, ale Narov upierała się, że dla niej to broń idealna. Rozsądnie zdecydowała się na SVDS – krótki i lżejszy model.

Nie uszło jednak uwagi Jaegera, że wybrane przez nią rodzaje broni – nóż i karabin wyborowy – są często narzędziami zabójców. Zabójców i samotników. W Narov z pewnością było coś, co ją odróżniało od reszty, ale jednocześnie cechy te wydawały się Jaegerowi dziwnie znajome.

Najlepszy szkolny kolega jego syna, chłopiec o imieniu Daniel, miał, o dziwo, podobny charakter. To, co mówił, było zaskakująco rzeczowe i bezpośrednie, czasami wręcz niemal brutalne. Nie zawsze potrafił kierować się zasadami współzycia społecznego, co z łatwością przychodziło większości dzieci. Bolesnie trudne było też dla niego nawiązywanie i utrzymywanie kontaktu wzrokowego – chyba że kogoś naprawdę poznał i zaufał mu.

Daniel potrzebował dłuższego czasu, żeby przekonać się do Luke’a, kiedy jednak już się to stało, okazał się najwierniejszym i oddanym przyjacielem. Konkurowali we wszystkim: w rugby, air hokeju, w paintballu. Była to jednak zdrowa rywalizacja dwóch najlepszych przyjaciół, którzy wspólnie stawali murem wobec wszystkich przeciwników. Kiedy Luke zniknął, Daniel był kompletnie załamany. Stracił prawdziwego kumpla – towarzysza broni. Stracił go również Jaeger.

Zanim jednak doszło do tragedii, rodzice Daniela zaprzyjaźnili się z Jaegerem i Ruth. Zwierzyli się, że specjaliści podejrzewają u ich syna zespół Aspergera albo autyzm wysoko funkcjonujący – jednak nie było jeszcze ostatecznej diagnozy. Jak wiele dzieci z takimi zaburzeniami, Daniel miał obsesję na punkcie jednej rzeczy – matematyki – i miał do niej prawdziwy talent. Wyjątkowo dobrze dogadywał się też ze zwierzętami.

Jaeger wrócił pamięcią do bliskiego spotkania pierwszego stopnia z wałęsakiem brazylijskim. Coś zwróciło wówczas jego uwagę, choć wtedy nie do końca zdawał sobie z tego sprawę. Narov zareagowała niemal tak, jakby czuła jakąś więź z tymi jadowitymi pająkami – jakby je rozumiała. Nie chciała zabić ani jednego, dopóki nie miała innego wyjścia. Było też chyba coś, co obsesyjnie zajmowało Narov, i Jaeger domyślał się co: polowanie i zabijanie.

– Daleko jeszcze? – jej głos przedarł się przez myśli Jaegera.

– Dokąd?

- Do wraku. Tam przecież idziemy.
- Jaeger wskazał przed siebie.
- Jakież osiemset metrów. Widzisz, gdzie światło przebija się przez korony drzew? Tam las zaczyna rzednieć.
- Tak blisko – szepnęła.
- „Wir sind die Zukunft” – Jaeger powtórzył zdanie, które usłyszał pod koniec wizji wywołanej przez *nyakwana*. – Mówisz po niemiecku. Co to znaczy?
- Narov zeszywniała. Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę lodowatym wzrokiem.
- Gdzie to słyszałeś?
- Echo z przeszłości. – Dlaczego ta kobieta zawsze musi odpowiadać pytaniem na pytanie?
- Więc, co to znaczy?
- „Wir sind die Zukunft” –powtórzyła powoli i bardzo wyraźnie. – Jesteśmy przyszłością. To zawołanie Herrenrasse – nazistowskiej rasy panów. Za każdym razem, gdy Hitlerowi znudziło się „Denn heute gehört uns Deutschland, und morgen die ganze Welt”, rzucał trochę „Wir sind die Zukunft”. A ludzie powtarzali jak najęci.
- Skąd tak dużo o tym wiesz? – zainteresował się Jaeger.
- Poznaj swojego wroga – odparła zagadkowo. – Moim obowiązkiem jest wiedzieć.
- Rzuciła mu spojrzenie, które wydało mu się niemal oskarżycielskie.
- Pytanie brzmi: dlaczego ty wiesz tak mało? – Zawiesiła głos. – Tak mało o swojej przeszłości.

Zanim Jaeger zdążył odpowiedzieć, z tyłu grupy rozległ się pełen przerażenia krzyk. Odwrócił się, by zobaczyć twarz Leticii wykrzywioną w grymasie strachu, w chwili gdy coś wciągało ją pod wodę. Wynurzyła się, machając rozpaczliwie rękami, z przerażeniem w oczach, po czym znowu zniknęła pod powierzchnią.

Przez ułamek sekundy dostrzegł, co ją pochwyliło. To był jeden z tych ogromnych wodnych węży, przed którymi ostrzegał Puruwehua – wąż dusiciel. Jaeger przedarł się przez płycznę, zanurkował w stronę zabójczego gada i zaczął mocować się z jego ogonem, próbując ze wszystkich sił uwolnić Leticję z morderczych splotów.

Nie mógł użyć strzelby. Gdyby strzelił, trafiłby nie tylko w węża, ale i jego ofiarę. Woda bryzgała i bulgotała, kobieta i gad tworzyli przerażające kłębowisko, niewyraźną plamę gadziej skóry i ludzkich kończyn. Santos, pochwycona w straszliwy uścisk, nie mogła wygrać tej walki w pojedynkę. Im bardziej jednak Jaeger szarpał się z potworem, tym mocniej dusiciel zaciskał swoje sploty.

Nagle za plecami usłyszał trzask. Charakterystyczny dźwięk wystrzału ze snajperki. Gdy nabój o dużej szybkości uderzył w cel, gdzieś w kłębowisku ciało węża i człowieka coś eksplodowało fontanną krwi i rozerwanego mięsa.

Po chwili walka ustała, głowa węża zwiesiła się bezwładnie, bez życia. Jaeger widział miejsce, w którym większa część czaszki gada oderwała się, a pocisk zostawił charakterystyczną ranę wylotową. Rozplątywał martwe sploty jeden po drugim i przy pomocy Alonzo oraz Kamishiego uwolnił Santos. Kiedy we trzech próbowali usunąć wodę z płuc dziewczyny, Jaeger zerknął na Narov. Stała w bagnie, z karabinem wciąż przyciśniętym do ramienia, na wypadek gdyby musiała oddać drugi strzał.

Santos wypłuła wodę, powracając do życia z gwałtownym charczeniem, jej klatka piersiowa ciężko unosiła się i opadała. Jaeger upewnił się, że nic poważniejszego się jej nie stało. Była jednak w szoku i wciąż trzęsła się z przerażenia. Alonzo i Kamishi zgodzili się ponieść ją przez ten ostatni odcinek dzielący ich od wraku, pozwalając Jaegerowi dołączyć do Narov na czele grupy.

– Dobry strzał – stwierdził lodowatym tonem, kiedy znowu ruszyli w drogę. – Ale skąd miałaś pewność, że rozwalisz głowę węża, a nie Leticii?

Narov spojrzała na niego chłodno.

– Gdyby ktoś nie strzelił, na pewno byłaby teraz trupem. Nawet z twoją pomocą to była przegrana walka. Z tym – poklepała Dragunova – przynajmniej miała szansę. Co prawda, pół na pół, ale zawsze to lepsze niż nic. Czasami pocisk ratuje życie. Nie zawsze strzela się po to, żeby je odebrać.

– Rzuciłaś więc monetą i nacisnęłaś spust... – Jaeger zamilkł. Doskonale zdawał sobie sprawę, że wystrzelona przez Narov kula mogła równie dobrze trafić w niego albo Santos, a mimo



to ręka jej nie zadrzęła – podjęła ryzyko i wypaliła bez wahania. Nie wiedział, o czym to świadczy: o wyjątkowym profesjonalizmie czy o skłonnościach psychopatycznych.

Narov spojrzęła na miejsce, w którym zabiła węża.

– Szkoła tego dusiciela. Robił tylko to, co kazała mu natura – próbował coś upolować. *Mbojuhua*. *Boa constrictor imperator*. Boa cesarski. Jest na liście gatunków szczególnie zagrożonych wyginieciem, w załączniku numer dwa do Konwencji Waszyngtońskiej.

Jaeger spojrzęł na nią kątem oka. Zdawała się bardziej przejęta śmiercią węża niż tym, co mogło spotkać Leticię. Pomyślał, że jeśli faktycznie jest zabójczynią, to przy jej miłości do zwierząt na pewno łatwiej przychodzi jej polowanie na ludzi.

Teren podnosił się, w miarę jak zbliżali się do martwej strefy. Przed sobą Jaeger mógł zobaczyć rzadziejącą z każdej strony roślinność. Zastąpiły ją szeregi nagich kikutów pni bielejących w słońcu, niczym niekończące się rzędy nagrobnych stel. Powyżej wznosiła się koścista kratownica martwych drzew – przypominająca o niegdysiejszym bujnym okapie – zaś nad wszystkim górowały zwały niskich szarych chmur.

Wszyscy zebrali się na krawędzi strefy, w której wszystko umarło. Z przodu dochodziło Jaegera ogłuszające bębnienie deszczu – dźwięk ten zastąpił szum wody skapującej ze sklepienia liści. Brzmiało to jakoś tak nienaturalnie, a martwa strefa sprawiała wrażenie przerażająco pustej i nagiej.

Jaeger wyczuł, że Puruwehua się wzdrygnęła.

– Las nigdy nie powinien umrzeć – stwierdził Indianin. – Kiedy umiera las, umierają też Amahuaca.

– Tylko nie próbuj nam teraz umierać, Puruwehua – mruknęła Jaeger. – Jesteś naszym *kotyjar*, pamiętasz? Potrzebujemy cię.

Popatrzyli przed siebie. W oddali Jaeger z trudem dostrzegł coś ciemnego i wielkiego, częściowo zasłoniętego kościstymi paluchami sięgającymi nieba. Serce zabiło mu mocniej. To była ledwo widoczna sylwetka wojskowego samolotu. Pomimo wizji z ostatniej nocy – albo może właśnie z jej powodu – chciał wejść do środka i odkryć kryjące się tam tajemnice.

Zerknęła na Puruwehue.

– Twoi ludzie ostrzegą nas, jeśli wrogowie znajdą się w pobliżu? Macie kogoś, kto śledzi tych drani, prawda?

Indianin skinął głową.

– Tak. I posuwamy się szybciej od nich. Zanim się zbliżą, już dawno będziemy o tym wiedzieć.

– Jaką mamy przewagę, według ciebie?

– Moi ludzie spróbują nas ostrzec z jednodniowym wyprzedzeniem. Mamy jeden wschód słońca i jeden zachód na dokończenie naszego zadania.

– Dobra, słuchajcie – zarządził Jaeger, zbierając zespół.

Zgromadzili się pod osłoną kilku ostatnich metrów żywego lasu. Byli na nieco wyższym terenie, ponad obszarem zalewanym przez wzbierającą wodę.

– Po pierwsze, nikt nie rusza się dalej bez pełnego kombinezonu ochronnego. Musimy zidentyfikować zagrożenie, sprawdzić, z czym mamy do czynienia i jak jest to poważne. Kiedy już ustalimy stopień toksyczności, uzgodnimy zasady bezpieczeństwa, by lepiej się przed tym czymś chronić. Mamy trzy kombinezony. Pójdę pierwszy, żeby pobrać próbki wody i powietrza, i co tam jeszcze znajdę. Potem będziemy mogli korzystać z kombinezonów na zmianę, ale musimy do minimum ograniczyć ryzyko wzajemnego skażenia.

– Tu założymy obóz – kontynuował. – Rozwieście hamaki z daleka od martwej strefy. I pamiętajcie, że mamy niewiele czasu. Puruwehua uważa, że około dwudziestu czterech godzin, zanim odwiedzą nas ci od Predatora. Jego ludzie powinni ostrzec nas odpowiednio wcześniej, ale chcę mieć także kordon bezpieczeństwa wokół tego miejsca. Alonzo – zajmij się tym.

– Jasne – rzucił Alonzo. Wskazał głową w stronę wraku mającącego w oddali. – Aż mnie ciarki biorą, jak na to patrzę. Nie obrażę się, jeśli zajrzę do środka na samym końcu.

– Dasz radę stanąć na straży? – Jaeger zwrócił się do Santos. – Czy też mamy ci pomóc rozwieść poncho i hamak? Dopiero co wdałaś się w bójkę z tym potwornym wężem.

– Jeśli nie wejdę do wody, będę bezpieczna – odparła dzielnie. Popatrzyła na Narov. – O ile ta szalona Ruska będzie celować ze swojego karabinu w kogoś innego.

Uwaga Narov była jednak skierowana zupełnie gdzie indziej – nie potrafiła oderwać oczu od sylwetki samolotu.

Jaeger odwrócił się do Dale'a.

– Zakładam, że chcesz to filmować – i zapewniam cię, chcę to mieć sfilmowane. Pierwsze otwarcie tego samolotu po siedmiu dekadach – trzeba to uwiecznić. Weźmiesz drugi kombinezon i pójdziesz ze mną.

Dale wruszył ramionami.

– Co w tym strasznego? To nie może być gorsze od spotkania z ławicą piranii albo od kroczka pełnego pijawek.

To była odpowiedź, jakiej Jaeger się po nim spodziewał. Dale nie ukrywał, że się boi, jednak lęk nie mógł go powstrzymać przed zrobieniem tego, co do niego należało. Spojrzał na Narov.

– Mam wrażenie, że wiesz o tym samolocie więcej niż ktokolwiek z nas. Weźmiesz trzeci kombinezon. Możesz pomóc nam zorientować się w tym, co tam znajdziemy.

Narov kiwnęła głową, ale jej wzrok wciąż był skupiony na wraku.

– Puruwehua, chciałbym, żebyś wysłał swoich ludzi głęboko do lasu jako system wczesnego ostrzegania na wypadek kłopotów. Reszta pod dowództwem Alonzo tworzy kordon bezpie-

czeństwa. I pamiętajcie, zero łączności czy GPS-ów. Ostatnia rzecz, jakiej chcemy, to zdradzić wrogom naszą pozycję.

Po wydaniu dyspozycji Jaeger przygotował sprzęt chroniący przed skażeniem atomowym, biologicznym i chemicznym. Wydobywająca się z samolotu trucizna mogła dostać się do ich organizmów na dwa sposoby – poprzez drogi oddechowe i przez żywą porowatą błonę, jaką jest skóra.

Ponieważ każdy dźwigał sporo sprzętu, byli w stanie zabrać tylko trzy pełne kombinezony. Lekkie modele, zaprojektowane przez angielską firmę Avon, chroniące ciało przed wszelkimi kroplami czy oparami, jakie mogły znajdować się w powietrzu. Do każdego kombinezonu dołączona była szczelna maska Avon C50, która – dzięki pojedynczemu okularowi i ergonomicznemu kształtowi – stanowiła doskonały element wyposażenia. Chroniła twarz, oczy, a także płuca przed wdychaniem jakichkolwiek toksycznych substancji. Po założeniu całego oporządzenia byli w pełni zabezpieczeni przed każdym rodzajem skażenia, także przed zanieczyszczeniami przemysłowymi, które również mogły cziąć się w samolocie.

W dodatku każdą maskę wyposażono w urządzenie nadawczo-odbiorcze, dzięki czemu mogli ze sobą rozmawiać za pośrednictwem radia krótkiego zasięgu.

Jaeger wbił się już w nieporęczny kombinezon, ale nagle coś przyszło mu do głowy. Pomyślał, że powinien włączyć telefon satelitarny i sprawdzić, czy nie ma wiadomości do Raffa. Kiedy już założy niewygodną maskę i rękawice, będzie mu trudno to zrobić. Skierował telefon na otwartą przestrzeń i na ekranie pojawił się symbol wiadomości. Cofnął się pod osłonę dżungli, żeby przeczytać komunikat z Airlandera:

*0800 Zulu – zadzwoniłem na wszystkie telefony satelitarne w pobliżu. Numer +882 16 7865 4378 odebrał, ale natychmiast się rozłączył. Podał sygnał wywoławczy (?), coś jak Biały Wilk (?). Głos ze wschodnioeuropejskim akcentem. KRAL?? Meldunek – pilnie potwierdź lokstat.*

Jaeger przeczytał wiadomość trzy razy, próbując dobrze ją zrozumieć. Najwyraźniej Raff niepokoił się o ich lokalizację i status, bo inaczej nie zaryzykowałby łączności głosowej z telefonami satelitarnymi. Jaeger powinien wysłać mu szybką odpowiedź, żeby przekazać, że wszyscy bezpiecznie dotarli w pobliże wraku. Wszyscy, poza Stefanem Kralem. Otrzymane informacje stawały słowackiego operatora w niepokojąco złym świetle.

Przejrzał numery zapisane w pamięci szybkiego wybierania w swoim telefonie, sprawdzając te należące do członków zespołu. Teoretycznie mieli tylko trzy takie urządzenia – jego własne oraz aparaty Alonza i Dale’a – resztę zostawili w kryjówce nad Wodospadem Diabła. I rzeczywiście, numer +882 16 7865 4378 przypisany był do telefonu, który rzekomo tam pozostał.

Wrócił pamięcią do godziny ósmej tego poranka. Dopiero co zwinęli obóz i ruszyli w drogę, nikt z zespołu nie mógł odebrać telefonu od Raffa. Jeśli jednak Kral ukrył aparat w swoim bagażu, mógł to zrobić na polanie w wiosce Amahuaca. Nie mówiąc o tym, że mógł także zadzwonić. Pytanie brzmiało: po co miałby ukrywać telefon? I dlaczego użył sygnału wywoławczego Biały Wilk – o ile Raff dobrze go rozumiał. No i z jakiego powodu gwałtownie przerwał połączenie, gdy zorientował się, że nawiązał je Airlander?

Jaeger czuł, jak narasta w nim straszne podejrzenie. Kiedy wzięło się pod uwagę to, że Kral nie wyłączył GPS-ów w kamerach Dale'a, nasuwał się jedyny logiczny wniosek: Słowak był zdrajcą. Jeśli faktycznie sprzymierzył się z wrogiem, zrobił Jaegera w konia i to podwójnie, grając rolę skrzywdzonego pracownika i troskliwego ojca rodziny.

Przywołał Puruwehę do siebie. Najszybciej jak potrafił, wyjaśnił mu, co się stało.

– Czy któryś z twoich ludzi może wrócić do wioski i ostrzec wodza? Niech mu przekaże, żeby zatrzymał Krala tak długo, aż będziemy mogli go przesłuchać. Nie twierdzę na sto procent, że jest winny – wszystko jednak na to wskazuje. I niech zostawią mu tylko to, co niezbędne, żeby nie mógł zwiąć.

– Wyślę kogoś – potwierdził Puruwehua. – Kogoś szybkiego. Jeśli ten człowiek jest twoim wrogiem, to jest także wrogiem mojego ludu.

Jaeger podziękował i wysłał Raffowi krótki meldunek, a potem powrócił do bieżących zadań.

Pochylił ramiona, rozciągnął tył maski i naciągnął ją na głowę. Upewnił się, że guma utworzyła szczelny kołnierz wokół szyi. Dociągnął paski zabezpieczające i poczuł, jak maska przylega do twarzy. Zatkał dłonią filtr respiratora – wziął głęboki wdech, by jeszcze mocniej docisnąć maskę i mieć absolutną pewność, że jest całkowicie szczelna. Następnie kilka razy wciągnął powietrze przez filtr. Jego własny wdech i wydech zachrypiały mu w uszach. Założył na głowę elastyczny kaptur kombinezonu, który zacisnął się wokół krawędzi maski. Naciągnął masywne, gumowe obuwie ochronne, tak że całkowicie zasłoniło jego buty, a potem zasznurował je mocno wokół kostek. Na koniec włożył cienkie bawełniane białe rękawiczki, a na nie ciężkie gumowe rękawice.

Świat skurczył się teraz do tego, co mógł zobaczyć przez okular maski. Podwójny filtr zamontowano z przodu i nieco na lewo, aby nie przesłaniać widoku, ale Jaeger już czuł narastającą klaustrofobię, nie mówiąc o gorącu i duchocie.

Trzy tak ubrane postacie wyszły z bujnej dżungli i ruszyły przez martwą przestrzeń.

Po zielonej, liściastej dżungli, pełnej ptasiego trajkotu i bzyczenia owadów, martwa strefa, do której weszli, wydawała się upiornie cicha. Deszcz nieprzerwanie bębnił o kaptur Jaegera, wybijając regularny rytm, do wtóru jego syczącym wdechom i chrypliwym wydechom. Wszędzie wokół ziemia sprawiała wrażenie kompletnie pozbawionej życia. Spróchniałe gałęzie i kora trzeszczały pod stopami.

Stąpając wśród martwej roślinności, Jaeger zauważył, że owady już zaczęły się tu ponownie osiedlać. Pod jego stopami przemykały gniewnie roje pancernych mrówek, a także karaluchy – jego starzy znajomi z więzienia na Bioko. Mrówki i karaluchy – jeśli kiedykolwiek wybuchłaby katastrofalna wojna światowa z użyciem broni nuklearnej i chemicznej, to właśnie owady prawdopodobnie stałyby się władcami ziemi. Były w dużej mierze odporne na wytwarzane przez człowieka toksyny, łącznie z tymi, które mogły wyciekać z wraku samolotu.

Trzy postacie posuwały się w milczeniu do przodu. Jaeger wyczuwał napięcie, jakie emanowało z idącej obok Rosjanki. Jeden czy dwa kroki z tyłu dreptał Dale, cały czas filmując. Miał jednak problemy z kadrowaniem, bo jego dłonie tkwiły w grubych rękawicach, a okularz maski ograniczał pole widzenia.

Zatrzymali się w odległości jakichś piętnastu metrów od wraku – stąd mogli ogarnąć wzrokiem ogrom tego, co leżało przed nimi, częściowo zasłonięte przez wyblakłe kikuty drzew, ogołocone z liści i kory, zupełnie martwe. Z niczym nie dało się jednak pomylić smukłej, eleganckiej sylwetki ogromnego samolotu, który spoczywał ukryty w dżungli przez ponad siedemdziesiąt lat. Mieli za sobą morderczą podróż do tego miejsca, a teraz stali jak wryci, patrząc w niemym zachwycie. Nawet Dale przestał filmować, by się przyjrzeć. Ten moment wieńczył wszystkie dotychczasowe wysiłki: tak wiele analiz, planów, spotkań, tyle spekulacji, czym ten samolot może właściwie być; tak wiele śmierci i cierpienia w ostatnich dniach, a nawet zdradzieckich ciosów.

Jaeger patrzył jak zahipnotyzowany. Nie mógł się nadziwić, w jak doskonałym stanie była ta maszyna. Wyglądała, jakby czekała na start, jakby potrzebowała jedynie trochę życiodajnego paliwa, którego zabrakło wiele lat temu, a mogliby odpalić silniki i znów wzbić się w niebo. Rozumiał już, dlaczego Hitler triumfalnie nazwał ten projekt Amerika Bomber. Jenkinson miał rację – samolot wydawał się zaprojektowany z myślą o zrzuceniu na Nowy Jork bomb z trującym sarinem.

Stał jak urzeczony. Co, na miłość boską, ten samolot tutaj robi? Jaką miał misję? A jeśli to był ostatni z czterech takich lotów, jak powiedział wódz, to co przewoził? Co transportowano podczas tych wszystkich kursów?

Jaeger widział tylko jedno zdjęcie Junkersa Ju 390 – starą, czarno-białą fotografię, którą Jenkins przesłał mu mailem – jedno z zaledwie kilku istniejących ujęć samolotu. Ukazywało sześciosilnikowy statek powietrzny, ciemny i smukły – tak ogromny, że krzątający się wokół

niego żołnierze i lotnicy wydawali się maluczy jak rój mrówek robotnic. Dziób przypominał z profilu głowę orła, nachylony do tyłu kokpit miał opływowy kształt, a po obu stronach kadłuba biegł rząd iluminatorów. Samolot na zdjęciu i ten, który widzieli przed sobą, różniły się w zasadzie tylko oznaczeniami – pomijając oczywiście lokalizację.

Fotografia przedstawiała Ju 390 w ostatnim znanym celu podróży – na zamarzniętym, zasnieżonym pasie startowym w Pradze, stolicy okupowanej Czechosłowacji, w ponury lutowy poranek 1945 roku. Charakterystyczne czarne krzyże na białym tle – znaki rozpoznawcze Luftwaffe – wymalowane były na obu potężnych skrzydłach oraz na części rufowej kadłuba. Tymczasem na maszynie, którą mieli przed sobą, widniała równie charakterystyczna tarcza z pięcioramienną, białą gwiazdą na tle białych i czerwonych pasów – oznaczenie amerykańskiego lotnictwa. Emblematy tak wypływały od słońca i wody, że stały się niemal niewidoczne, ale bez trudu je rozpoznali.

Olbrzymie opony ośmiu potężnych kół były zbutwiałe i częściowo sflaczałe, ale nawet teraz każda sięgała Jaegerowi do ramion. Kokpit wznosił się na co najmniej jedną trzecią odległości pomiędzy ziemią a tym, co kiedyś było koronami drzew, zaś teraz tworzyło wysoko nad nimi pajęczynę martwych konarów.

Carson nie mylił się, mówiąc im w londyńskim biurze Wild Dog Media, że samolot ten przyćmiewał współczesnego C-130 Herculesa – maszynę, na której pokładzie Jaeger i jego ekipa tutaj przylecieli. A pomijając zwiędłe pnącza i liany, które owijały kadłub, oraz uschnięte gałęzie, zwalone na skrzydła o pięćdziesięciometrowej rozpiętości, maszyna wydawała się niemal nieuszkodzona – dowodziło to, że naprawę tutaj wylądowała.

Oczywiście, widać było skutki siedemdziesięcioletniego ukrycia w dżungli. Jaeger zauważył, że zardzewiały niektóre nity spajające elementy poszycia, gdzieś tam podrywały się też osłony silników. Skrzydła i kadłub pokrywał wilgotny dywan pleśni, a resztki martwych paproci drzewiastych i epifitów zasypały grzbiet maszyny. Jednak uszkodzenia były raczej powierzchowne. Konstrukcja samolotu wyglądała na nienaruszoną. Drobna naprawa, trochę kosmetyki i maszyna była w zasadzie gotowa do lotu.

Z góry dobiegło ich głośnie skrzeczenie – stado połyskujących zielono papug przemknęło przez trupi las. Ptaki wyrwały Jaegera z czegoś w rodzaju transu. Odwrócił się do Narov.

– Widzę tylko jeden sposób, żeby dostać się do środka. – Maską przytłumiła jego słowa, ale dzięki wbudowanemu radiu słyszeli się dobrze. Ręką w wielkiej rękawicy zakreślił linię od ogona samolotu wzdłuż całego kadłuba aż do kokpitu.

Narov spojrzała na niego przez okular maski.

– Ja pierwsza.

Z tylnego koła uszło powietrze, dzięki czemu Narov miała statecznik poziomy dosłownie na wyciągnięcie ręki, ale musiała wykorzystać martwy pień, żeby się wspiąć. Sięgnęła do górnej części samolotu i podciągnęła się, aż w końcu stanęła na płaskiej powierzchni statecznika. Jaeger podążył za nią. Poczekał na Dale'a, wziął od niego kamerę i podciągnął go. Narov ruszyła po grzbiecie maszyny i zniknęła im z oczu.

Spodnia część kadłuba był dosyć płaska, górna zaś zwężała się ku dołowi i lekko zakrzywiała. Jaeger wdrapał się na górę i ruszył za Narov po grzbiecie, omijając przezroczystą kopułę astronawigacyjną, usytuowaną tuż za kokpitem – tutaj swoje stanowisko miał nawigator, otoczony ze wszystkich stron szklanymi panelami. Stąd mógł wykonywać pomiary pozycji gwiazd i prowadzić w ten sposób maszynę nad bezkresem oceanu i dżungli. Jaeger zauważył, że część gumowych uszczelki wokół szyby kopuły sparciała, a kilka paneli wpadło do środka.

Dotarł do kokpitu, ześlizgnął się i dołączył do Narov, która przysiadła na dziobie samolotu, wiszącym niebezpiecznie jakieś dwanaście metrów nad ziemią. Dziób był gładki i aerodynamiczny, choć po siedemdziesięciu latach pokryty śliskimi szczątkami dżungli. Jaeger postarał się usunąć butem jak najwięcej resztek roślin, żeby dać nogom w miarę stabilne oparcie. Nad nimi pojawił się Dale z kamerą w ręce, i usiadł, żeby filmować.

Jaeger wyciągnął linkę spadochronową z kieszeni kombinezonu, rzucił ją operatorowi i kazał przywiązać do radiowego masztu, który sterczał z tylnej części kokpitu. Dale odrzucił luźny koniec, Jaeger zaś zawiązał dwie pętle, dzięki czemu on i Narov mieli się czego przytrzymać.

Rosjanka zaglądała do środka przez jedno z dwóch przednich okien. Jaeger widział rozmazane ślady w miejscu, gdzie próbowała rękawicami zetrzeć najgrubszą warstwę brudu, kurzu i pleśni. Zerknęła na niego.

– Boczne okno... Jedno chyba jest niedomknięte. Tędy wejdziemy do środka.

Sięgnęła ręką z boku dziobu, ściskając w dłoni swój nieodzowny nóż. Zręcznie wbiła ostrze w na pół sparciałą gumową uszczelkę i nacisnęła. Większość takich samolotów ma przesuwane szyby, żeby piloci mogli rozmawiać z obsługą na pasie startowym. Narov próbowała właśnie rozewrzeć jedno z takich okien. Centymetr po centymetrze powiększała otwór, aż w końcu szczelina była na tyle duża, że mogła się przez nią przecisnąć. Trzymając jedną z pętli zawiązanych przez Jaegera, odbiła się, zahuściła i przeskoczyła przez bok kokpitu, przesuwając stopy po burcie samolotu, po czym wepchnęła nogi przez okno do środka. Zwinna jak kot, przecisnęła biodra oraz tułów przez otwór i ledwie zerknąwszy na Jaegera, zniknęła we wnętrzu.

Jaeger chwycił linkę i poszedł za jej przykładem, a po chwili jego stopy załomotały o metalową podłogę kokpitu.

Oczy potrzebowały kilku sekund, żeby przyzwycząić się do półmroku. Z początku miał wrażenie, jakby znalazł się w jakimś wehikule czasu. Oczywiście, nie czuł zapachów, bo respirator wszystko filtrował, ale mógł sobie wyobrazić ciężką, zatęchłą woń skórzanych siedzeń, zmie-

szaną z gryzącym zapachem skorodowanego aluminium z licznych wskaźników i przełączników, umieszczonych na wielkim panelu sterowniczym.

Za nim znajdowało się coś, co musiało być siedzeniem asystenta pilota, wciśniętym w ciasną wnękę i zwróconym w stronę ogona, z mnóstwem pokręteł i tarcz. Dalej znajdowało się stanowisko nawigatora, zawieszone wysoko pod szklaną kopułą, a w głębi majaczyła w cieniu przegroda, która oddzielała kabinę od ładowni.

Wnętrze sprawiało wrażenie osobiście nienaruszonego – jakby maszyna została porzucona dosłownie kilka godzin wcześniej. Obok siedzenia pilota poniewierała się blaszana piersiówka, a przy niej kubek z czymś na dnie, co – według Jaegera – musiało być warstwą zaschniętej kawy. Przeciwsłoneczne okulary lotnicze leżały na miejscu pilota, jakby rzucił je tutaj, a sam poszedł pogawędzić z załogą ładowni. Całość robiła dosyć upiorne wrażenie.

Jego uwagę przyciągnęło coś zamocowanego nad siedzeniem pilota. Dziwaczne urządzenie – niemal jak z filmów science fiction – przytwierdzone do mechanizmu obrotowego tak, aby pilot mógł ściągnąć je sobie przed oczy. Zerknął w stronę miejsca dla drugiego pilota i dostrzegł nad nim podobny mechanizm. Poczul na sobie wzrok Narov.

– Czy to jest to, o czym myślę? – zapytał.

– Zielgerät 1229 – Vampyr – potwierdziła. – Noktowizor na podczerwień, jak byśmy go dzisiaj nazwali. Umożliwiał lądowanie i start w całkowitych ciemnościach.

Najwyraźniej ten Wampir nie stanowił dla niej żadnego zaskoczenia. Jaeger jednak przez większość swojego dorosłego życia wierzył, że noktowizor to wynalazek amerykańskiej armii, i to zaledwie sprzed kilku dekad. To było niesamowite, zobaczyć taki sprzęt na pokładzie niemieckiego samolotu z czasów drugiej wojny światowej.

Na stoliku nawigatora Jaeger odkrył resztki spleśniałej mapy, z boku leżały ołówek i cyrkiel. Nawigator był ewidentnie nałogowym palaczem. Sterta częściowo zbutwiały niedopalków wypełniała popielniczkę, obok opatrzonej znakami Luftwaffe paczki odrywanych zapalek.

Do czegoś, co zapewne było dokumentacją lotu, wciśnięto stary i pożółkły obrazek. Kiedy Jaeger go wyciągnęła, okazało się, że to zdjęcie lotnicze. Niemal natychmiast zorientował się, że przedstawia pas startowy, który tak właśnie musiał wyglądać jakieś siedemdziesiąt lat temu, kiedy wykarczowano go w dżungli. Do tego opis, po niemiecku oczywiście. Obok jednego ze słów – Treibstofflager – widniał symbol beczki paliwa. Oczywiście, w Treibstofflager skończyły się zapasy, co uziemiło tę maszynę, prawdopodobnie na zawsze.

Chciał pokazać zdjęcie Narov, ale ona stała odwrócona plecami, a to, co robiła, było dość podejrzane. Pochylała się nad skórzaną torbę pilota i gorączkowo przerzucała plik dokumentów. Wyglądało na to, że znalazła to, po co tu przyszła, i że za nic nie da sobie tego odebrać.

Musiała poczuć na sobie jego wzrok. Bez słowa zdjęła z ramion plecak, wepchnęła do niego torbę, po czym obróciła się w stronę ładowni. Spojrzała przez ramię. Choć maska zakrywała częściowo jej twarz, Jaegerowi wydawało się, że zarumieniała się z emocji. W oczach Rosjanki było jednak coś jeszcze – jakby za hardym spojrzeniem chciała coś ukryć.

– Znalazłaś to, czego szukałaś? – zapytał wprost



Zignorowała pytanie. Wskazała na tył maszyny.

– Tędy... Jeśli naprawdę chcesz zobaczyć, jakie tajemnice skrywa ten samolot.

Jaeger zanotował w myślach, żeby przycisnąć ją w kwestii tej teczki, kiedy już zabrają stąd wrak. Nie było czasu, żeby teraz się kłócić.

Narov wskazała na przegrodę. Znajdował się w niej prostokątny luk, zamknięty ustawioną pionowo klamką. Strzałka wskazywała w dół, a wymalowany obok napis głosił po niemiecku: „ZU OFFNEN”. Tego nie trzeba było tłumaczyć.

Jaeger wyciągnął rękę do klamki. Przez chwilę się wahał, ale w końcu wyjął z kieszeni na piersiach latarkę czołową Petzl. Poluzował paski, po czym założył ją na kaptur i maskę. Ponownie sięgnął do klamki, przekręcił ją w dół, a potem pchnął i otworzył szeroko ciężkie drzwi. W przepaścistym wnętrzu Ju 390 panowały egipskie ciemności.

Podniósł dłoń, wymacał latarkę i przekręcił szkiełko w lampce, włączając światło. Jaskrawe, niebieskawe promienie trysnęły z dwóch ksenonowych żarówek. Podwójny snop przebił ciemność, igrając w przestrzeni na podobieństwo pokazu laserów, wydobywając z mroku warstwy czegoś, co przypominało gęstą mgiełkę zalegającą w ładowni. Opary opłynęły Jaegera, oplatając go widmowymi smugami.

Zajrzał głębiej. Z przodu ładownia Ju 390 miała wysokość jakiś czterech metrów, a u podstawy była jeszcze szersza. Z tego, co widział, cały kadłub, aż po sufit, wypełniały skrzynie. Wszystkie przywiązane były do stalowych uchwytów z uchami zamocowanych w podłodze po to, by ładunek nie przemieszczał się w trakcie lotu.

Zrobił pierwszy ostrożny krok do środka. Miał pełne zaufanie do kombinezonu, ale i tak spotkanie z nieznanym niebezpieczeństwem, takim jak to, nie było zachęcające. Żadna znana toksyna nie mogła przeniknąć przez kombinezony i maski, ale co, jeśli ładownia została na przykład zaminowana?

Pokład przed nim opadał, bo maszyna osiadła od strony ogona. Gdy Jaeger się rozglądał, strumień światła padł na długie srebrne włókna, ciągnące się z jednej strony luku na drugą. Początkowo pomyślał, że odkrył rozpięte tuż nad podłogą linki, pozostawione przez tych, którzy porzucili samolot – być może „potykacze” podłączone do ładunków wybuchowych. Potem jednak zauważył, że każda z linek jest częścią większego układu geometrycznych wzorów, które biegnęły spiralnie do ciemnego przedmiotu pośrodku.

### *Pająki.*

Dlaczego wszędzie muszą być pająki?

– Nasi dobrzy znajomi, wałęsaki brazylijskie, zwane też „pająkami wędrującymi” – głos Narov przerwał ciszę w radio. – Włazą wszędzie. Bądź ostrożny.

Stanęła przed nim z nożem w ręce.

Choć ugryziona nie tak dawno przez wałęsaka, zdawała się nie odczuwać strachu, gdy przecinała sprawnie sieci i zrywała je, by utorować przejście. Kiedy kręciła piruety z boku do boku, siekąc jedwabne nici i zrzucając pająki, poruszała się z wdziękiem smukłej baletnicy.

To było urzekające. Jaeger śledził jej postępy i podziwiał odwagę. Naprawdę była tak wyjątkowa – niebezpieczna? – jak pająki, których tak zręcznie unikała. Ruszył ścieżką, którą wycięła,

szukając ostrożnie nogą ukrytych linek rozciągniętych nad podłogą.

Jego wzrok przyciągnęła potężna skrzynia umocowana tuż przed nim. Była tak olbrzymia, że musiał się obok niej przeciskać na drugą stronę. Przez moment zastanawiał się, w jaki sposób zapakowali ją do samolotu. Do głowy przychodził mu tylko jeden sposób – musieli wwieźć skrzynię po tylnej rampie załadunkowej za pomocą jakiegoś ciężkiego sprzętu. Kiedy się jej przyglądał, światło latarki wydobyło z mroku napis wymalowany na boku.

Kriegsentscheidend: Aktion Adlerflug  
SS Standortwechsel Kommando  
Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft  
Uranprojekt – Uranmaschine

Poniżej zaś widniał tak dobrze mu znany ciemny symbol... Reichsadler.

Jaeger od razu rozpoznał niektóre słowa, ale to Narov uzupełniła brakujące elementy układanki. Klęknęła przy skrzyni, śledząc słowa w świetle rzucanym przez latarkę czołową.

– Cóż, to żadna niespodzianka... – zaczęła.

Przykucnął obok.

– Kilka słów znam – stwierdził. – Kriegsentscheidend: ultra ściśle tajne. SS Standortwechsel Kommando: oddział relokacji SS. A co znaczy reszta?

Narov czytała i tłumaczyła, a światło z lampki Jaegera odbijało się w szklanym okularze jej maski:

– Aktion Adlerflug to operacja „Lot Orła”. Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft to Towarzystwo imienia Cesarza Wilhelma, czołowa nazistowska instytucja badań nuklearnych. Uranprojekt – projekt broni atomowej. Uranmaschine – reaktor atomowy. Odwróciła się do Jaegera: – Podjęli ich program nuklearnego. Naziści eksperymentowali z energią atomową i metodami jej bojowego użycia, o jakich nawet się nam nie śniło.

Przesunęła się w bok do drugiej skrzyni, przyglądając się podobnemu napisowi oraz Reichsadlerowi.

Kriegsentscheidend: Aktion Adlerflug  
SS Standortwechsel Kommando  
Mittelwerk Kohnstein  
A9 Amerika Rakete

– Dwa górne wiersze się powtarzają. Mittelwerk to podziemny kompleks ukryty w tunelach wydrążonych we wzgórzu Kohnstein, niemal w samym sercu Niemiec. To tam Hitler kazał Hansowi Kammlerowi przenieść kluczowe nazistowskie programy raket i pocisków po tym, jak alianci rzucili bomby na ich ośrodek badawczy w Peenemünde. Zimą 1944 i wiosną 1945, podczas budowy Mittelwerk, dwadzieścia tysięcy przymusowych robotników z pobliskiego obozu

koncentracyjnego Mittelbau-Dora zmarło z wycieńczenia, głodu i chorób. Zaharowali ich na śmierć, albo rozstrzelowali, kiedy byli już zbyt słabi, aby mogli się do czegoś przydać.

Wskazała na skrzynię: – Jak widzisz, nie całe zło z Mittelwerk zginęło wraz z zakończeniem wojny.

Jaeger przyjrzał się ostatniej linijce napisu.

– Co to jest A9?

– Następca V-2. Amerika Rakete – rakieta Ameryka. Zaprojektowana, by lecieć z prędkością prawie pięciu tysięcy kilometrów na godzinę i uderzyć w terytorium Stanów Zjednoczonych. Pod koniec wojny naziści mieli już modele aerodynamiczne i nawet przeprowadzili udane loty testowe. Wyraźnie nie chcieli, żeby A9 umarły razem z Rzeszą.

Jaeger miał przeczucie, że Narov wie znacznie więcej, niż to, co ujawnia. Było tak od samego początku ekspedycji. A teraz dokonali szeregu oszałamiających odkryć – tajemniczy niemiecki samolot w barwach amerykańskiego lotnictwa, zaginiony dziesiątki lat temu w Amazonii i wypełniony po brzegi czymś, co wszyscy uznaliby za ładunek nazistowskich koszmarów.

Wyglądało jednak na to, że nic nie jest w stanie zaszokować ani zaskoczyć Iriny Narov.

Ostrożnie zagłębili się dalej w mrok.

Wewnątrz kadłuba było gorąco i duszno, a dodatkowo męczyły ich kombinezon i maska, ale Jaeger nie miał wątpliwości, że komplet ochronny sprawdzał się doskonale. Nie wiedział, jakie toksyczne wyziewy wypełniały wnętrze ładowni, ale był pewien, że gdyby ktoś z nich próbował wejść do środka bez odpowiedniego zabezpieczenia, skończyłoby się to tragicznie. Odwrócił się i zerknął na Dale'a. Operator montował właśnie na kamerze przenośną lampę na baterie – bez światła nie mógł tu nic nagrać. Gdy je włączył, wnętrze samolotu zostało podzielone na ostre kontrasty światła i cienia.

Z każdego kąta wзираły okropne, jarzące się podwójne punkciki: oczy wałęsaków brazylijskich. Jaeger w zasadzie nie zdziwiłby się, gdyby jaskrawe światło obudziło duchy dawnej załogi samolotu, niemal spodziewał się, że zobaczy ich zjawy, wyłażące z cienia z uniesionymi pistoletami Luger, gotowe do ostatka bronić mrocznych sekretów Rzeszy. Aż trudno było uwierzyć, że samolot został całkowicie opuszczony, razem ze skrywanymi tu tajemnicami.

Narov przykucnęła przed trzecią skrzynką i Jaeger niemal natychmiast wyczuł zmianę w jej zachowaniu. Śledząc napis, wydała zduszony okrzyk. W końcu znalazło się coś, czego nawet ona się nie spodziewała – pomyślał. Nachylił się, żeby przeczytać słowa wymalowane na boku skrzyni.

Kriegsentscheidend: Aktion Adlerflug  
 SS Standortwechsel Kommando  
 Plasmaphysik – Dresden  
 Röntgen Kanone

– Na to nie byliśmy przygotowani – mruknęła Narov. Spojrzała na Jaegera. – Początkowe linijki są jasne, ale ostatnia? Rozumiesz trzecią?

Jaeger skinął głową:

– Fizyka plazmowa – Drezno.

– Dokładnie – potwierdziła Narov. – Co do Röntgen Kanone, nie ma dokładnego tłumaczenia. Można by to nazwać „promieniem śmierci” albo bronią energii kierowanej. Strzela strumieniem cząstek, promieniowaniem elektromagnetycznym, a nawet falami dźwiękowymi. To brzmi jak science fiction, ale od dawna chodziły słuchy, że naziści mieli taką broń i używali jej do zestrzeliwania alianckich samolotów. – Spojrzała Jaegerowi w oczy przez okular maski. – I wygląda na to, że to prawda, że do końca nie chcieli się rozstać ze swoim Röntgen Kanone.

Jaeger czuł, jak pot spływa mu po twarzy. Gorąco stawało się trudne do zniesienia, a para wodna zaczęła się skraplać wewnątrz maski, przesłaniając okular. Pomyślał, że powinni przejść

na tył samolotu i spróbować otworzyć któreś z bocznych drzwi, usytuowanych dokładnie za statecznikiem poziomym.

Kiedy mozolnie posuwali się naprzód, Narov wskazywała kolejne skrzynie, do których zapakowano zdumiewająco zaawansowane rodzaje broni:

– Bomba szybująca BV 246. Miała zasięg dwustu kilometrów i namierzała się na sygnał radiolokacyjny celu... Bomba kierowana Fritz-X, z głowicą wyszukującą ciepło albo sygnał radiowy lub radarowy. Krótko mówiąc, wszystkie są poprzedniczkami współczesnych „inteligentnych” pocisków.

Pochyliła się nad długimi niskimi skrzyniami.

– Rheintochter R1 – pocisk kierowany ziemia–powietrze, przeznaczony do strącania alianckich bombowców... X4 – pocisk powietrze–powietrze, naprowadzany na cel przez pilota. Fuerlie – Ognista Lilia – kierowana rakietą przeciwlotnicza...

Zatrzymała się na moment przy grupie mniejszych skrzynek.

– Seehund – Foka, noktowizor aktywny, który w połączeniu z reflektorem podczerwieni miał nieograniczony zasięg... A to materiały maskujące typu *stealth* wyprodukowane przez IG Farben na potrzeby programu Schwarzes Flugzeug – Czarny Statek Powietrzny. To był prekursor dzisiejszych „niewidzialnych” samolotów. O, a to materiały do powlekania okrętów podwodnych typu XXI. Powłoka pochłaniała sygnały radaru i sonaru, czyniąc okręty tej klasy prawie całkowicie niewykrywalnymi. – Spojrzała na Jaegera. – Były tak nowatorskie, że chińska marynarka do dziś używa ich kopii – okrętów podwodnych typu Ming. Dokładna kopia XXI to także rosyjskie okręty projektu 633 – typu Romeo – które służyły przez cały okres zimnej wojny.

Starła kurz z kolejnej skrzyni, odsłaniając wymalowane na niej słowa.

– Sarin, tabun i soman. Innowacyjne nazistowskie gazy paralizujące układ nerwowy – największe światowe potęgi wciąż dysponują ich ogromnymi zapasami. W 1945 roku nie mieliśmy przed nimi skutecznej ochrony, w dużej mierze dlatego, że nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy z ich istnienia.

Na chwilę wstrzymała oddech.

– A obok skrzynia ze środkami biologicznymi. Programowi badań nad bronią biologiczną Hitler nadał kryptonim Blitzableiter – Piorunochron. To dzieło nazistowskiego uczonego, Kurta Blomego. Niemcy konsekwentnie zaprzeczali istnieniu tego programu, ukrywając go pod płaszczkiem badań nad rakiem, ale tu mamy ewidentny dowód, że było inaczej: tyfus, cholera, wąglik i środki wywołujące zapalenie nerek. Najwyraźniej chcieli kontynuować program nawet po zakończeniu wojny.

Zanim dotarli na tył samolotu, Jaeger był zupełnie skołowany – raz z powodu duszącego gorąca, a dwa z powodu tego, co tu odkryli. Bezgraniczna wiara Hitlera w technologię – przekonanie, że dzięki niej Rzesza mogłaby wygrać wojnę wbrew wszelkim przeciwnościom – przyniosła owoce, które z trudem mogły pomieścić się w głowie.

W szkole, a potem w centrum szkolenia Królewskiej Piechoty Morskiej, gdzie Jaeger ukończył kurs oficerski, uczono go, że alianci bili Niemców na głowę i militarnie, i technologicznie.

Sądząc jednak po ładunku tego samolotu, tamta wersja historii całkowicie różniła się z prawdą. Kierowane rakiety i pociski, „inteligentne” bomby, samoloty i okręty podwodne, noktowizory, broń chemiczna i biologiczna, a nawet „promień śmierci” – wszystkie skrzynie, upakowane w ogromnej ładowni tego samolotu, dowodziły zdumiewającego zaawansowania nazistowskiej broni.

Tylne luki załadunkowe Ju 390 okazały się typowymi produktami solidnej niemieckiej inżynierii. Po obu stronach były podwójne drzwi o wysokości około dwóch metrów, otwierane na zewnątrz. Zamykały je dwie metalowe sztaby, które biegly centralnie przez całą wysokość i wchodziły w otwory w podłodze oraz suficie. Zawiasy i zamki sprawiały wrażenie dobrze naoliwionych, więc Jaeger przypuszczał, że powinny dać się łatwo otworzyć. Popchnął z całej siły jedną z dźwigni. Lekko zgrzytnęła, gdy uniósł ją do góry, zwalniając blokadę. Napał na drzwi całym ciężarem ciała i po chwili otworzyły się szeroko. Niemal natychmiast gruby całun mgły, który zalegał w ładowni, zaczął wypływać na zewnątrz.

Zdziwił się, że opary okazały się cięższe od powietrza. Wylały się z samolotu, rozpełzły po ziemi i skłębiły niczym gęsta toksyczna zupa. Kiedy snop słonecznego światła padł na obłok gazu, miało się wrażenie, że jego wnętrze świeci, dziwnym metalicznym połyskiem. To przypomniało Jaegerowi, że miał przeprowadzić kilka testów, aby ustalić źródło i charakter toksyn wydobywających się z samolotu. Poszukiwania tak go pochłonęły, że niemal o tym zapomniał. Ale to mogło jeszcze poczekać.

W tym momencie prawie gotował się żywcem w kombinezonie i potrzebował kilku minut wytchnienia oraz świeżego powietrza. Usiadł po jednej stronie otwartych drzwi, zaś Narov zajęła miejsce naprzeciwko. Kątem oka widział, że Dale wciąż filmuje, jakby chciał uwiecznić dosłownie każdy moment tego niezwykłego odkrycia.

Dzięki snopowi dziennego światła wpadającemu przez otwarty luk, Jaeger zauważył na boku stojącej przy wejściu skrzyni jakby symbol przenośnego przeciwlotniczego zestawu rakietowego. Pochylił się, żeby to sprawdzić. Niemal na pewno rysunek przedstawiał coś, co wyglądało jak wystrzeliwany z ręcznej wyrzutni pocisk ziemia–powietrze.

Narov odczytała napis biegnący wzdłuż boku skrzyni: – „Fliegerfaust”. Dosłownie „pięść pilota”. Pierwsza na świecie ręczna wyrzutnia pocisków ziemia–powietrze, przeznaczona do strącania alianckich samolotów. Na szczęście i ona pojawiła się zbyt późno, żeby wpłynąć na wynik wojny.

– Nieprawdopodobne – mruknął Jaeger. – Tyle prototypów... Skatalogowanie wszystkich sekretów, które tutaj są, zajmie całą wieczność.

– A co cię właściwie tak dziwi? – spytała Narov, patrząc na zbieleiałe szczątki martwej dźwigni. – Że naziści dysponowali taką technologią? Mieli nie tylko to, ale znacznie więcej. Przeszukajmy ten samolot dokładnie, a kto wie, co jeszcze znajdziemy.

Zamilkła na chwilę.

– A może dziwi cię, że samolot ma amerykańskie oznaczenia? Alianci wspierali wysiłki nazistów, zmierzające do przeniesienia ich broni – Wunderwaffe – w najodleglejsze zakątki ziemi. Pod koniec wojny mieliśmy już nowego wroga: Związek Radziecki. W tym przypadku obowiązywała zasada, że wróg mojego wroga jest moim przyjacielem. Ludzie na najwyższych



szczeblach władzy dali błogosławieństwo działaniom nazistów – stąd barwy lotnictwa Stanów Zjednoczonych na tym samolocie. W tamtym czasie alianci – Amerykanie – dominowali w powietrzu i nic nie mogło się odbyć bez ich wiedzy.

– Pod koniec wojny zaczął się wyścig z Rosjanami – ciągnęła. – Dzięki przejściu niemieckich sekretów – technologii i czołowych naukowców – udało się nam wygrać zimną wojnę, nie mówiąc o wyścigu kosmicznym. W tamtych czasach tak to wszystko sobie tłumaczyliśmy.

– My? – przerwał jej Jaeger. – Przecież jesteś Rosjanką. Sama to powiedziałaś – pod koniec wojny wrogiem był Związek Radziecki.

– Nic o mnie nie wiesz – mruknęła Narov. Milczała przez dłuższą chwilę. – Może mam rosyjski akcent, ale płynie we mnie brytyjska krew. Urodziłam się w twoim kraju. Mój daleki przodek był Niemcem, a teraz mieszkam w Nowym Jorku. Jestem obywatelką wolnego świata. Czy to czyni ze mnie wroga?

Jaeger wzruszył ramionami, chcąc załagodzić sytuację.

– Skąd miałem wiedzieć? Nic nie mówisz o sobie ani...

– Teraz nie ma na to czasu – sucho ucięła Narov, pokazując na ładownię Ju 390.

– Jak chcesz. No dobra, co jeszcze wiesz o tym samolocie?

– Weźmy na przykład podziemną fabrykę Mittelwerk – Narov podjęła opowieść. – Na początku maja 1945 roku Amerykanie opanowali ją i pierwsze egzemplarze systemu raketowego V-2 popłynęły do Stanów. Zaledwie kilka dni później przyjechali radzieccy oficerowie, żeby przejść kompleks – znajdował się w sowieckiej strefie okupacyjnej. Ładowniki księżycowe Apollo powstały w oparciu o technologię V-2.

– Albo wspomniany Kurt Blome, dyrektor Blitzableiter. Hitlerowcy prowadzili tak zaawansowane badania nad bronią biologiczną, bo mogli je testować na tysiącach więźniów obozów koncentracyjnych. Pod koniec wojny Blome został schwytany i postawiony przed trybunałem w Norymberdze. Ale jakimś cudem go uniewinniono, a zaraz potem Amerykanie zatrudnili go w służbach chemicznych armii, żeby pracował dla nich nad ściśle tajnymi programami uzbrojenia.

– Dogadaliśmy się – oznajmiła, nie potrafiąc ukryć brzmiącego w jej głosie rozgoryczenia. – Tak, zawarliśmy układy z tymi, których nazwisk nie wolno wymawiać – najgorszymi z nazistów. – Spojrzała na Jaegera. – Nigdy nie słyszałeś o operacji „Paperclip”?!

Jaeger potrząsnął głową.

– To był amerykański kryptonim projektu przeniesienia tysięcy nazistowskich naukowców do Stanów Zjednoczonych. Dali im tam nowe nazwiska, nowe tożsamości, a do tego znaczące i wysokie stanowiska – pod warunkiem że zgodzili się pracować dla nowych panów. Mielicie podobny program, tylko z typową brytyjską ironią nazwaliście go operacją „Darwin” – przetwarzanie najlepiej przystosowanych. Oficjalnie oczywiście tych projektów nie było – ciągnęła. – Istnieniu operacji „Paperclip” zaprzeczali wszyscy, łącznie z prezydentem USA. – Zawiesiła głos. – Lecz zaprzeczanie sięgało jeszcze głębiej. Aktion Adlerflug – operacja „Lot Orła” – tą nazwą oznaczona jest każda skrzynia w tym samolocie. To był kryptonim planu Hitlera, żeby prze-

mieścić nazistowską technologię w miejsca, gdzie będzie można ją wykorzystać do odbudowy Rzeszy. My, alianci, wspieraliśmy ten projekt tak długo, jak długo dało się go wykorzystywać przeciwko Sowietom.

– Krótco mówiąc, siedzisz na pokładzie samolotu, który stanowi część najbardziej utajnionej konspiracji w historii. Jej poziom był – *jest* – taki, że do większości powiązanych z projektem amerykańskich i brytyjskich dokumentów – a co dopiero rosyjskich – wciąż nie ma dostępu. I wątpię, żeby kiedykolwiek zostały ujawnione.

Wzruszyła ramionami.

– Prawdę mówiąc, to wszystko nie powinno cię dziwić. Nasi, wydawałoby się, dobrzy chłopcy zawarli pakt z diabłem. Zrobili to, co w ich przekonaniu było konieczne – dla większego dobra wolnego świata.

Jaeger machnął ręką w stronę skrzyń wypełniających ładownię Ju 390.

– To, co mówisz, czyni tę historię jeszcze bardziej niewiarygodną. W tym samolocie jest największa kolekcja nazistowskich sekretów wojennych, jaką kiedykolwiek zgromadzono. Tym ważniejsze, żebyśmy go stąd zabrali i przenieśli gdzieś, gdzie będziemy mogli...

– Co będziemy mogli? – przerwała mu Narov, wpatrując się w niego zimnym wzrokiem. – Poinformować świat? Większość tych technologii doprowadziliśmy już do perfekcji. Choćby takie Röntgen Kanone: „promień śmierci”. Niedawno Amerykanie udoskonalili coś podobnego. Ma kryptonim MARAUDER. To skrót od Magnetically Accelerated Ring to Achieve Ultra-High Directed Energy and Radiation<sup>28)</sup>. Tak w skrócie, wystrzeliwuje kule spojonej magnetycznie plazmy podobne w kształcie do pączków z dziurką. Takie jakby pioruny kuliste.

---

28) Magnetycznie przyspieszany pierścień do osiągnięcia ultrawysokiej kierowanej energii i promieniowania

– To utajniony program, do którego ma dostęp tylko garstka wtajemniczonych – mówiła dalej Narov. – Innymi słowy, Święty Graal najpilniej strzeżonych tajemnic świata. Tak samo jak bezpośredni jego poprzednik – Röntgen Kanone. O nie, panie Williamie Edwardzie Michaelu Jaegerze, w najbliższym czasie nie pokażemy tego odkrycia światu. Nie oznacza to jednak, że nie powinniśmy zrobić wszystkiego, co w naszej mocy, żeby je chronić, tylko tym razem z właściwych powodów.

Jaeger przez dłuższą chwilę przyglądał się Narov. „Williamie Edwardzie Michaelu Jaegerze”? Po co użyła wszystkich trzech jego imion? O co tu chodzi?

– Słuchaj, mam milion pytań – głos Jaegera przedarł się przez syczenie i charczenie maski. – I większość jakoś dotyczy *ciebie*. Zastanawiam się, skąd tyle wiesz? Może wreszcie wszystko mi powiesz? Kim tak naprawdę jesteś? Skąd się wzięłaś? Dla kogo pracujesz? A, i jeszcze jedno: o co chodzi z tym nożem?

Kiedy Narov się odezwała, wciąż wpatrywała się w martwy las:

– Mogę ci odpowiedzieć na niektóre z tych pytań, ale dopiero wtedy gdy będziemy już bezpieczni, daleko stąd. Naprawdę bezpieczni. Teraz jednak...

– I torba z dokumentami – Jaeger wpadł jej w słowo. – Ta, którą zabrałaś z kokpitu. Zastanawiam się, co w niej jest? Manifest lotniczy? Mapy? Miejsce przeznaczenia tego i innych samolotów?

Zignorowała pytania.

– W tej chwili, Williamie Edwardzie Michaelu Jaegerze, powinienes wiedzieć tylko tyle, że znałam Edwarda Michaela Jaegera, twojego dziadka. Dziadka Teda, jak mówiliśmy do niego, wszyscy, którzy go znali. Był dla nas inspiracją i wzorem. Pracowałam z twoim dziadkiem, czy raczej dla niego, żeby uczcić jego pamięć, żeby dokończyć jego dzieło. – Wyciągnęła nóż. – I to twój dziadek mi go ofiarował. Chciałam poznać jego żyjącego potomka – *ciebie*. Byłam ciekawa. I wciąż jestem. Nie wiem jeszcze, czy jesteś w pełni – w ogóle – tym, kogo miałam nadzieję spotkać.

Jaeger zaniemówił. Zanim wymyślił sensowną odpowiedź, Narov znów się odezwała:

– Był dziadkiem, jakiego nigdy nie miałam. *Którego nie mogłam mieć*. – Po raz pierwszy, od kąd się spotkali, Narov długo i przenikliwie patrzyła mu w oczy, wzrokiem, od którego nie sposób się było oderwać. – I wiesz, co? Zawsze zazdrościłam ci więzi, jaka was łączyła... I tego, że mogłeś swobodnie podążyć za swoimi marzeniami.

Jaeger podniósł ręce.

– Ej, no! Co ja ci zrobiłem?

Narov odwróciła się.

– To długa historia. Nie wiem, czy jestem gotowa, żeby ją opowiedzieć. Czy ty jesteś gotowy... A teraz...

Przerwał jej krzyk przerażenia, który rozległ się w radio:

– Aaaaa! Zabierzcie to! Zabierzcie to!

Jaeger odwrócił się gwałtownie i zobaczył, że Dale wpadł nieopatrnie w pajęcze sieci w miejscu, w którym wydawały się najgrubsze. Operator tak bardzo skupił się na kamerze, że nie zwracał uwagi na to, gdzie idzie. Mocne, lepkie włókna owijały się wokół niego, podczas gdy próbował utrzymać kamerę i zrzucić z siebie duszące jedwabiste nici oraz pajęcze hordy.

Jaeger rzucił mu się na pomoc. Prawdopodobieństwo, żeby wałęsaki mogły ukąsić kogoś przez kombinezon było niewielkie, ale Dale raczej o tym nie wiedział, bo jego przerażenie brzmiało wyjątkowo autentycznie. Odganiał się od kłębiącej masy pajaków, grubymi rękawicami odrzucał ich miękkie, syczące ciała w ciemność. Z pomocą Narov uwolnili Dale'a, wciąż rozpaczliwie ściskającego kamerę. Kiedy jednak wyciągnęli operatora z płataniny pajęczych sieci, Jaeger dostrzegł prawdziwą przyczynę przerażenia Australijczyka.

W kłębowisku splecionych nitek leżał upiorny szkielet, to, co kiedyś było twarzą, wydawało się zastygłe w grymasie przerażenia, a kości wciąż okrywał częściowo zbutwiały mundur oficera SS. Gdy Jaeger przyglądał się zwłokom – bez wątplenia jednego z członków załogi Ju 390 – usłyszał głos w radiu.

– To nie te cholerne pająki tak mnie przeraziły – sapał Dale. – To był ten trup w lachach jakiegoś nazistowskiego generała!

– Widzę – odparł Jaeger. – I wiesz co? Przy nim wydajesz się prawie przystojny. Chodź, zbierajmy się.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że już blisko godzinę przebywali w duszącym wnętrzu samolotu. Najwyższy czas, żeby się stąd zmyć. Kiedy jednak wracali do kokpitu, nagle ze zdumie-

nim uświadomił sobie, że musi odkryć jeszcze jedną tajemnicę – ustalić, co może łączyć ten samolot z porwaniem jego żony i syna.

Luke i Ruth – ich zniknięcie było nierozzerwalnie związane ze wszystkim, co tutaj odkryli. Reichsadler – pieczęć zła – odcisnięta była zarówno na ładunku tego samolotu, jak i na dramacie jego rodziny. Takim czy innym sposobem musiał zacząć szukać odpowiedzi.

Jaeger stał na skraju dżungli, a przed nim cała ekipa: Lewis Alonzo, Hiro Kamishi, Leticia Santos, Joe James, Irina Narov, Mike'a Dale, który wciąż wszystko kręcił, a także Puruwehua, Gwa-ihutiga oraz pozostali Indianie. Zdjął maskę, żeby łatwiej było mu mówić, ale pozostał w niewygodnym kombinezonie.

– Cóż, wiecie, co nas czeka – zaczął głosem pełnym napięcia i wyczerpania. – Przed nami podniesienie samolotu. Załoga Airlandera podejrzewa, że będzie potrzebować na to około godziny. Proszę was, żebyście dali nam ten czas. Postarajcie się za wszelką cenę zatrzymać wrogów, ale bez brawury. Misja numer jeden jest taka, żebyśmy wszyscy przeżyli. I pamiętajcie: jak tylko odlecimy, oderwijcie się od przeciwnika i wynoście się stąd.

Jaeger popatrzył na olbrzymi statek powietrzny, który zdawał się przesłaniać całe niebo nad nimi. Airlander budził podziw. Utrzymywał się nieco ponad trzydzieści metrów nad połamanymi końcówkami koron drzew, podobny do brzucha ogromnego białego wieloryba zawieszzonego w chmurach. Był czterokrotnie dłuższy od kadłuba Ju 390 i dziesięć razy szerszy – w balonie, który stanowił jego poszycie, mieściło się około stu tysięcy metrów sześciennych helu. Przy tym olbrzymie samolot wydawał się zwyczajnie maleńki.

Pilot Airlandera nie mógł ryzykować zejścia niżej, ze względu na gałęzie martwego lasu, sterczące w niebo jak ostrza włóczy. Statek pokryty był inteligentną, samonaprawiającą się powłoką, jednak wiele jednoczesnych uszkodzeń poważnie dałoby się mu we znaki. W dodatku z Ju 390 wyciekały nieznane toksyny i nikt na pokładzie Airlandera nie chciał się do nich za bardzo zbliżać.

W ostatniej wiadomości przekazanej im dzisiejszego ranka, Raff zapewniał, że w najbliższej okolicy nie ma żadnych dronów. Wyglądało na to, że przynęta – kajak z lokalizatorem i telefonem komórkowym – odciągnął obserwatorów spory kawałek na północ. Predator znalazł się więc poza zasięgiem kamer Airlandera, a ten z kolei pozostawał niewidoczny z powodu warstwy chmur o wysokości prawie dwóch i pół kilometra. Wciąż jednak było możliwe wylapanie sygnatury radarowej sterowca, jak również wychwycenie przez detektory podczerwieni jego gorących punktów, przede wszystkim czterech silników. Wystarczyłby jeden namiar i zaraz mieliby Predatora na karku. Nie było czasu na takie niespodzianki, musieli się spieszyć, bardziej niż kiedykolwiek od pierwszego dnia wyprawy.

Właśnie rozpoczynał się jedenasty i jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinien też być ostatnim przed powrotem do jako takiej cywilizacji. Przynajmniej dla Jaegera, Narov i Dale'a. Przez ostatnie godziny Jaeger i jego ludzie ścigali się z czasem, nie wspominając o nieznanym wrogach.

Poprzedniego wieczoru samotny posłaniec z plemienia Amahuaca dotarł do ich obozu i przyniósł niepokojące wieści: Ciemna Siła zbliżała się, od wraku dzieliło ich już niecałe osiemnaście

godzin. Jeśli maszerowali całą noc, to mogą zjawić się tu jeszcze szybciej. Oddział składał się z około sześćdziesięciu ludzi, uzbrojonych po zęby.

Podążający za nimi Indianie próbowali ich spowalniać, ale dmuchawki i strzały nic nie znaczyły wobec karabinów maszynowych i granatników. Główny oddział Amahuaca wciąż śledził i nękał najemników, ale jedyne, co mogli zrobić, to opóźnić ich marsz.

Dlatego Jaeger i jego ludzie pracowali gorączkowo, a w tym czasie uświadomili sobie kilka rzeczy.

Po pierwsze, toksyczna mieszanka, która wydostawała się z samolotu, była prawdopodobnie jakimś rodzajem napromienionej plazmy rtęciowej. Jaeger jednak nie był w stanie dokładnie ustalić, co to za skażenie, ponieważ wyglądało na to, że jego wykrywacz nie rozpoznaje takiej substancji. Urządzenie porównywało wykryty skład chemiczny z listą znanych środków. To, z czym zetknęli się tutaj, najwyraźniej nie mieściło się w wykazie. Nikt więc nie mógł ryzykować zbliżenia się do samolotu, nie mając na sobie pełnego zestawu ochronnego.

Po drugie, choć Airlander opuścił dwie uprząże z podnośnika, a Jaeger i jego ludzie zamocowali je poniżej miejsca styku skrzydeł i kadłuba, to nie było sposobu, żeby jednocześnie zabrał ekipę na pokład. Załoga sterowca mogła wprawdzie podnieść każdego z nich na wysokość sześćdziesięciu metrów, do wnętrza maszyny, jednak nie mieli wystarczającej liczby kombinezonów ani czasu na to. Przez całą noc Indianie wysyłali tropicieli. Ostatni powrócił o świcie, przynosząc informację, że wrogowie są o dwie godziny stąd i szybko się zbliżają.

Jaeger musiał zaakceptować nieuniknione: zespół trzeba rozdzielić. Główna grupa – Alonzo, Kamishi, Santos i Joe James, a także Puruwehua, Gwaihutiga oraz sześciu indiańskich wojowników – miała zająć pozycje obronne między samolotem a napastnikami.

Gwaihutiga zgłosił się na ochotnika do poprowadzenia ataku. Zabierze ze sobą większość Indian, żeby przygotować pierwszą zasadzkę. Puruwehua, Alonzo i reszta mieli stworzyć drugą zaporę, bliżej wraku. Liczyli na to, że w ten sposób zyskają czas niezbędny do podniesienia samolotu. Jaeger, Narov i Dale mieli zaś skryć się we wnętrzu wraku, podczas gdy Airlander będzie go podnosił. Przynajmniej taki był plan.

Dale był potrzebny do nakręcenia operacji podnoszenia. Jaeger, jako dowódca wyprawy, musiał być tam, gdzie jej cel – wojskowy samolot. Początkowo Leticia uważała, że to ona powinna być tą trzecią osobą, ponieważ jest Brazylijką, a możliwe, że samolot został znaleziony na brazylijskiej ziemi, ale natychmiast sprzeciwiła się temu Narov. Dała wyraźnie do zrozumienia, że nie ma takiej siły, która odciągnęłaby ją teraz od wraku. Spór zakończył Jaeger, tłumacząc, że Santos powinna chyba trzymać się swojej pierwotnej misji, czyli opieki nad indiańskim plemieniem. Podkreślił też inną istotną kwestię – to właśnie on, Narov i Dale mieli na sobie kombinezony, a przekazanie masek, rękawic i ubrań wiązało się z ryzykiem skażenia każdego, kto by je zdjął albo założył. Zagrożenie było realne i dlatego logiczne wydawało się, że ci, którzy już są w odzieży ochronnej, powinni wejść do samolotu. W końcu Santos ustąpiła, ale niechętnie.

– Alonzo, przekazuję ci dowództwo – kontynuował Jaeger. – Puruwehua obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby was bezpiecznie stąd wyprowadzić. Wróćcie do wioski Amahuaca i powędrujecie na tereny sąsiedniego plemienia. Ono ma kontakt ze światem zewnętrznym, więc odeślą was do domu.

– Tak jest – potwierdził Alonzo. – Puruwehua, zdajemy się na ciebie.

– Odstawimy was do domu – odparł spokojnie Indianin.

– Jeśli wszystko się uda, we troje polecimy w samolocie aż do Cachimbo – oznajmił Jaeger. – Uprzedzę pułkownika Evandro, żeby przygotował lądowisko z kordonem sanitarnym, na którym Ju 390 zostanie posadzony i odizolowany, przynajmniej dopóki jego zawartość nie będzie odpowiednio zabezpieczona. Pokonanie tych tysiąca czterystu kilometrów zajmie Airlanderowi co najmniej siedem godzin, zwłaszcza z takim ładunkiem. – Jaeger wskazał kciukiem na Ju 390. – O ile generał Hans Kammler i jego kołesie nie przeciężyli samolotu, powinno dać się go podnieść, co oznacza, że prawdopodobnie będziemy w Cachimbo przed wieczorem. Kiedy już dołączymy na miejsce, wyślę wiadomość szybką serią z jednym słowem: „Sukces”. Mam nadzieję, że gdzieś po drodze znajdziecie na tyle silny sygnał, żeby ją odebrać. Brak informacji będzie oznaczał, że stało się coś złego, ale na tym etapie waszym jedynym zadaniem jest bezpieczne opuszczenie tego miejsca i powrót do domu.

Spojrzał na zegarek.

– Dobra, zabieramy się do roboty.

Rozstanie było pełne emocji, ale nagłący ich czas nie pozwalał na dłuższe pożegnania.

Gwaihutiga zatrzymał się na chwilę przed Jaegerem:

– *Pombogwaw, eki'ya. Pombogwaw, kahuhara'ga.*

Potem odwrócił się i odszedł, prowadząc biegiem swoich ludzi. Zaintonował chrypliwą pieśń wojenną, Indianie podjęli ją, a ich gromkie głosy rozległy się między drzewami.

Jaeger spojrzał pytająco na Puruwehucę.

– *Pombogwaw* oznacza „żegnaj” – wytłumaczył Indianin. – Dla *eki'ya* chyba nie ma jednego angielskiego słowa. Oznacza „synu mojego ojca” albo „mój starszy bracie”. A więc „Żegnaj, mój starszy bracie”. A *kahuhara'ga* już znasz, czyli „Żegnaj, myśliwy”.

Amahuaca byli wyjątkowymi ludźmi, a Jaeger nie po raz pierwszy poczuł się zaszczycony.

Potem Puruwehua skłonił go do przyjęcia wspaniałego daru pożegnalnego: jego własnej dmuchawki. Jaeger miał problem z wymyśleniem czegoś odpowiedniego, żeby mu się odwdziżyć. W końcu zdecydował się na nóż Gerber – ten sam, którym walczył na plaży przy wiosce Fernao na Bioko.

– Ten nóż i ja mamy wspólną historię – wyjaśnił, zapinając pas na piersi Indianina. – Kiedyś walczyłem nim daleko stąd, w Afryce. Uratował życie mnie i jednemu z moich najbliższych przyjaciół. Ciebie też mogę teraz zaliczyć do ich grona – ciebie i twoje plemię.

Puruwehua wyciągnął nóż i sprawdził jego ostrość.

– *Kyhe'ia*, w moim języku. Ostry jak ostrugana włócznia. – Spojrzał na Jaegera. – Ten *kyhy'ia* posmakował już krwi wroga. I robi to znowu, *Koty'ar*.



– Puruwehua, dziękuję ci za wszystko – odparł Jaeger. – Obiecuję, że któregoś dnia wrócę. Przybędę do twojej wioski, siądziemy w domu duchów i zjemy razem najlepszą pieczeń z małpy, jaką świat widział – pod warunkiem że nie będę musiał już próbować *nyakwana!*

Puruwehua roześmiał się i przystał na to – żadnego wciągania psychotropowej tabaki.

Jaeger po kolei podchodził do każdego ze swoich ludzi. Szczególnie ciepły uśmiech zachował dla Leticii. Ona zaś wyszczerzyła się od ucha do ucha i serdecznie go ucałowała.

– Uważaj na siebie, nie? – szepnęła. – A szczególnie na tę... *ja'gwara*, Narov. I obiecaj, że następnym razem odwiedzisz mnie w Rio, w czasie *carnivale!* Napijemy się i potańczymy!

Jaeger uśmiechnął się.

– Stoi.

Członkowie ekipy dowodzonej przez Alonzo, ale prowadzonej przez Amahuaca, podnieśli plecaki oraz broń i zniknęli w dżungli.

Wiadomość od Raffa była jak zwykle krótka i rzeczowa: *Airlander gotowy. Zapnijcie pasy. Rozpoczęcie podnoszenia za trzy minuty, 0800 Zulu.*

W samą porę, gdyby ktoś pytał Jaegera. Od kilku minut słyszał odgłosy strzelaniny dobiegające z północnej części dżungli – skąd nadchodził wrogi oddział. Najpierw rozległ się gwałtowny terkot karabinów automatycznych – pomyślał, że przeciwnicy wpadli w zasadzkę przygotowaną przez jego ekipę. Jednak odpowiedź zabrzmiała przerażająco – ciągła kanonada, charakterystyczny wartki huk erkaemów, zmieszany z głośniejszymi seriami, prawdopodobnie z cekaemów, a do tego jeszcze głuche wybuchy granatów. Taki zmasowany ostrzał mógł dokonać prawdziwego spustoszenia, robiąc z dżungli zielone konfetti. Kimkolwiek była ta Ciemna Siła, miała przewagę, doskonałe uzbrojenie, nie wspominając już o determinacji i gotowości do walki na śmierć i życie. Pomimo wysiłków ekipy Jaegera nieprzyjaciel zbliżał się do samolotu z niepokojącą prędkością.

Czas uciekał – Airlander powinien rozpocząć podnoszenie za sto osiemdziesiąt sekund i Jaeger nie mógł się już doczekać. Pognał przez ciemną ładownię, złapał tylne drzwi ładunkowe, zatrasnął je i zablokował klamkę. Popędził na przód samolotu, omijając ciemne rzędy skrzyń, zasunął za sobą drzwi przegrody i dokładnie je zamknął.

Dale i Narov zdolali otworzyć boczne okna kokpitu – kiedy samolot znajdzie się w górze, strumień powietrza powinien oczyścić wnętrze z toksycznych oparów. Jaeger zajął miejsce drugiego pilota, zapiął biodrowy pas bezpieczeństwa i uprząż piersiową. Dale rozsiadł się obok w fotelu pilota – z tego miejsca mógł zrobić najlepsze zdjęcia wraku podnoszonego z dżungli. Narov zaś siedziała pochylona nad stołem nawigatora. Jaeger domyślał się, co robi – czytała jeden z dokumentów wyciągniętych z torby, którą zabrała z kokpitu. Udało mu się rzucić nań okiem. Pożółkłe kartki zapisane były po niemiecku, co oznaczało, że i tak nic by nie zrozumiał z tego bełkotu. Zdołał jednak rozpoznać kilka słów na stronie tytułowej. Widniał na niej zwyczajowy stempel „Ścisłe tajne” oraz słowa „Aktion Feuerland”. Dzięki w większości już zapomnianym lekcjom niemieckiego w szkole, przed wielu laty, wiedział, że „Feuer” oznacza ogień, a „land” nie potrzebowało tłumaczenia. Operacja „Ziemia Ognia”. Poniżej zaś widniały napisane na maszynie słowa: „Liste von Personen”. To też było jasne: „Lista osób”.

Jak już zdołał się zorientować, każda skrzynia w ładowni miała oznakowanie „Aktion Adlerflug” – operacja „Lot Orła”. Czym więc była Aktion Feuerland? I dlaczego sprawa ta tak bardzo interesowała Narov, że prawie nic do niej nie docierało? Teraz jednak nie było czasu, żeby zajmować się takimi rzeczami.

Podnoszenie Junkersa Ju 390 z pełną ładownią, które Airlander za miał za chwilę rozpocząć, umożliwiała kombinacja trzech czynników. Po pierwsze, siły wyporu aerostaticznego – hel wypełniający powłokę sterowca był po prostu lżejszy od powietrza.

Po drugie, siły ciągu – każdy z czterech olbrzymich silników Airlandera miał gazową turbinę o mocy 2350 koni mechanicznych, która napędzała zespół gigantycznych wirników. Żeby osiągnąć podobną moc, trzeba byłoby podczepić do samolotu cztery helikoptery transportowe, pracujące na najwyższych obrotach.

I po trzecie, siła nośna – Airlander zawdzięczał ją kadłubowi z laminowanych włókien. Przypominał on kształtem przekrój zwykłego skrzydła samolotowego, z płaskim spodem i wypukłą górą. Takie wyprofilowanie zapewniało aż czterdzieści procent siły nośnej, ale tylko wtedy gdy Airlander poruszał się do przodu. Jednak przez pierwsze kilkadziesiąt metrów sterowiec będzie wznosił się pionowo – w tym czasie wszystko zależało od helu i mocy silników.

Jaeger słyszał odgłos Airlandera, przechodzący od ledwo słyszalnego mruku do głuchego ryku, gdy maszyna szykowała się do podźwignięcia samolotu. W tej chwili cztery zespoły potężnych wirników ustawione były poziomo, co dawało maksymalny ciąg pionowy podczas podnoszenia ciężaru.

Prąd zstępujący osiągnął niemal siłę sztormu, tworząc wokół samolotu oslepiający wir połamanych gałęzi. Jaeger miał wrażenie, jakby stał pod ogromnym kombajnem, który wycina sobie drogę przez pole gigantycznej pszenicy, wypluwając mu plewy prosto w twarz. Zatrzasnął boczne okno po swojej stronie i pokazał Dale'owi, żeby zrobił to samo, ponieważ chmury zbudowane z drewna wpadały do środka. Zbliżał się prawdopodobnie najbardziej ryzykowny moment całego szalonego przedsięwzięcia.

Standardowa masa Ju 390 z ładunkiem wynosiła pięćdziesiąt trzy tony. Dzięki udźwigowi sześćdziesięciu ton Airlander powinien dać radę podnieść taki ciężar – o ile Hans Kammler i jego współpracownicy nie wsadzili do samolotu zbyt dużego ładunku.

Jaeger nie wątpił w wytrzymałość pasów zamocowanych wokół skrzydeł Junkersa. Pełne zaufanie miał też do pilota Airlandera, Steve'a McBride'a. Pytanie za milion dolarów brzmiało jednak, czy dadzą radę unieść samolot pomiędzy obumarłych drzew. I czy słusznie zawierzyli dziełu niemieckiej techniki lotniczej, narażonemu przez siedemdziesiąt lat na rozkład i korozję w sercu dżungli. W tej chwili najmniejszy błąd mógł doprowadzić do katastrofy. Ju 390 runąłby na ziemię, zapewne pociągając Airlandera za sobą.

W nocy Jaeger i jego ludzie usunęli kilka największych drzew, używając plastycznych materiałów wybuchowych w kształcie pierścieni, mocując je wokół pni. Ograniczał ich jednak zarówno czas, jak i liczba ładunków, jaką dysponowali. Co najmniej połowa koron martwych drzew pozostała nietknięta. Wyszadzili największe i najmniej spróchniałe pnie – te, które zapewne stawiałyby największy opór. Liczyli na to, że pozostałe drzewa są na tyle suche i przegniłe, że rozpadną się, gdy Airlander dźwignie samolot.

Ryk silników przeszedł w ogłuszające wycie, prąd zstępujący miał teraz moc huraganu, Jaeger wiedział, że sterowiec zaraz osiągnie maksymalną siłę ciągu. W pewnym momencie dostrzegł, że coś spada z nieba – czarny, podłużny cień padł na kokpit.

Masywny konar uderzył w górną część przedniego okna Junkersa w miejscu, gdzie łączyły się panele. Pod wpływem miazdzącej siły poziomy stalowy szpros, który je spajał, odkształcił się,

a gruby pleksyglas wygiął. Konar przełamał się na dwie części, ale postrzępione pęknięcie przecięło przednią szybę niczym rozwidłona błyskawica. Na szczęście okno wytrzymało – przynajmniej na razie.

Głowę Jaegera załapała fala dźwięku. Ciężkie, niesione podmuchem drobiny materii uderzały w metalową powłokę Ju 390. Miał wrażenie, że siedzi wewnątrz gigantycznego stalowego bębna. Przez kadłub przetoczyła się długa, brzęcząca wibracja, gdy turbulencja, wywołana przez silniki sterowca, wprawiła w drgania grube pasy owinięte wokół samolotu. Jaeger czuł, że każda część Airlandera napręża się od ciężaru i że sam samolot próbuje się ze wszelkich sił uwolnić.

Nagle nastąpiło gwałtowne szarpnięcie, kokpit zanurkował w kierunku ziemi, a koło ogonowe poderwało się i odpadło. Tył kadłuba uniósł się, zrzucając szczątki i gałęzie, które jeszcze na nim pozostały. Samolot trzymały teraz na ziemi cztery podwójne koła – osiem wielkich opon. Potężna maszyna zdawała się kręcić i trząść, niczym monstrualny ptak, próbujący uwolnić szpony z grząskiego bagna i wzbic się w niebo. Chwilę później rozległ się potworny trzask, podobny do dźwięku odrywanego rzepa, i Ju 390 poderwał się w powietrze.

Gwałtowne podniesienie samolotu najpierw wcisnęło Jaegera w fotel, a potem rzuciło nim do przodu, napinając do maksimum pasy bezpieczeństwa. Przez kilka sekund samolot wznosił się, jakby grawitacja nagle przestała działać, zbliżając się nieuchronnie do poszarpanego szkieletu koron drzew.

Na kokpit padła pajęczyna cieni martwego okapu lasu, a chwilę potem górna część kadłuba uderzyła w najniższe gałęzie. Rozległ się przerażający trzask, nagły wstrząs zrzucił Jaegera z fotela, a pasy uprząży wpiły mu się w ramiona. Wszędzie wokół kościste gałęzie czepiały się kokpitu, jakby jakaś gigantyczna dłoń usiłowała im przeszkodzić, jakby chciała wyciągnąć Jaegera, Narov i Dale'a z samolotu i rzucić nimi o ziemię. Gdy wrak torował sobie drogę w górę, jeden wyjątkowo gruby kikut przebił boczne okno, niemal wytrącił Dale'owi kamerę z ręki, mierząc w Jaegera. Uchylił się w ostatniej chwili, a postrzępiona gałąź trafiła prosto w oparcie fotela, w miejscu, w którym jeszcze przed chwilą była jego głowa. Siła uderzenia ułamała drewno, a jedna z części zwiisała teraz z okna.

Jaeger poczuł, że ruch samolotu w górę zwolnił. Zaryzykował rzut oka w lewo i ujrzał, że potężne śmigła na lewym skrzydle – każde dwa razy wyższe od dorosłego mężczyzny – wiewły w gałęziach. Chwilę później martwy okap zacisnął się wokół kadłuba i maszyna gwałtownie zatrzymała się. Zawisli prawie trzydzieści metrów nad ziemią i wyglądało na to, że utknęli na dobre.

Przez kilka kolejnych sekund samolot wyglądał tak, jakby siedział w gnieździe ze zdrewniałych kości. Jaeger słyszał, jak dochodzące z góry wycie silników zmienia ton, a prąd zstępujący osłabł do lekkiego powiewu. Przez moment przestraszył się, że pilot zrezygnował z walki z obumarzonymi drzewami, że uznał swoją porażkę – w takim wypadku bardzo szybko osaczyłoby ich sześćdziesięciu uzbrojonych przeciwników. Zaryzykował włączenie telefonu i natychmiast pojawiła się wiadomość od Raffa: *Pilot odwróci ciąg, żeby ruszyć do przodu, wykorzysta siłę nośną kadłuba, żeby was uwolnić. CZEKAJCIE.* Wyłączył aparat. Kadłub Airlandera zapewniał blisko pięćdziesiąt procent jego siły nośnej: odwracając się i rozpędzając, mógł zwiększyć dwukrotnie swoją siłę pociągową.

Jaeger krzyknął do Narov i Dale'a, żeby się mocno trzymali. Ledwie sam zdążył to zrobić, nastąpiła gwałtowna zmiana kierunku siły działającej na samolot, ponieważ sterowiec przyspieszył, ruszając z pełną mocą w przód.

Przednie krawędzie skrzydeł Junkersa skosiły martwe drzewa, stożkowaty nos rozorywał wszystko przed sobą. Jaeger i Dale schylili się pod panel sterowania, gdy kokpit torował sobie drogę przez ścianę splątanych gałęzi, wybielonych przez tropikalne słońce.

Chwilę później korony drzew stały się wyraźnie rzadsze, zaś światło wlało się do kabiny. Potężny samolot uwolnił się z ogłuszającym trzaskiem i wystrzelił w rzadkie powietrze. Po obu stronach kawałki spróchniałego drewna i roślinności spadały ze skrzydeł i z górnej części kadłuba, wirując w dół, w stronę lasu.

Gdy maszyna gwałtownie wyrwała się z okapu, ciężko zahuściła się do przodu, mijając punkt, w którym byłyby dokładnie pod Airlanderem, potem wahała się do tyłu, aż w końcu znieruchomiała tuż pod kabiną sterowca. Gdy tylko kołysanie się uspokoiło, Airlander zaczął podciągać samolot. Potężne hydrauliczne wciągarki unosiły go, aż skrył się w cieniu wielkiego powietrznego statku. Jego skrzydła znieruchomiały pod poduszkami powietrznymi podwozia – płozami podobnymi do poduszkowców. Teraz Ju 390 był już zamocowany do spodu Airlandera.

Po unieruchomieniu samolotu pilot sterowca rozpędził maszynę do pełnej szybkości, obrócił ją we właściwą stronę, po czym rozpoczął długą wspinaczkę na wysokość przelotową. Obrali kurs na Cachimbo i mieli przed sobą niemal siedem godzin lotu.

Jaeger sięgnął triumfalnie po siedemdziesięcioletni termos drugiego pilota, wciśnięty obok jego fotela. Pokiwał nim w stronę Narov i Dale'a:

– Może kawy?

Nawet Rosjanka nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– Sir, samolotu tam po prostu nie ma – powtórzył radiooperator zwany Szarym Wilkiem Sześć.

Siedział przy radiostacji, na tym samym odległym i niezidentyfikowanym lotnisku polowym w dżungli. Śmigłowce z opadającymi łopatkami wirników czekały na rozkaz, czekały na

misję.

Jego angielski był dość płynny, ale z wyraźnym akcentem, czasem ujawniającym szorstką, gardłową intonację, tak charakterystyczną dla ludzi z Europy Wschodniej.

– Jak może go tam nie być?! – ryknął głos po drugiej stronie.

– Sir, nasi dotarli pod podane współrzędne. Są teraz na tym kawałku martwej dżungli. Znaleźli odcisk czegoś ciężkiego i częściowo zmiążdżone martwe drzewa. Sir, wygląda na to, że samolot został wyciągnięty z lasu.

– Wyciągnięty?! Niby przez co?! – spytał Szary Wilk z niedowierzaniem.

– Nie wiemy, sir.

– Macie Predatora nad tym obszarem. Macie teren na oku. To samolot wielkości Boeinga 727. Jak mogliście nie zauważyć, jak go wyciągali z dżungli?!

– Sir, Predator krążył na północ od tego miejsca, czekając na wyraźny obraz pozycji lokalizatora. Zachmurzenie sięga tam trzech tysięcy metrów. Niczego nie da się dostrzec. Ktokolwiek podniósł samolot, zrobił to w kompletnej ciszy radiowej i pod osłoną chmur. – Zawiesił głos. – Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale proszę mi wierzyć – samolot zniknął.

– Dobrze, zrobimy tak. – Głos Szarego Wilka brzmiał lodowato spokojnie. – Macie dyspozycji eskadrę Black Hawków. Poderwijcie je, niech przeczeszą przestrzeń powietrzną. Macie znaleźć ten samolot. Odzyskacie, co trzeba. A potem go zniszczycie. Czy to jasne?

– Tak jest.

– Rozumiem, że to sprawka Jaegera i jego ludzi?

– Tak przypuszczam, sir. Ostrzelaliśmy ich pozycję na rzece Hellfire'ami, namierzając się na sygnał lokalizatora i komórki, ale...

– To Jaeger – przerwał głos. – To musi być on. Wykończcie ich. Nie zostawiajcie świadków. Rozumiesz? I wpakujcie w ten samolot tyle plastiku, żeby nie ostał się po nim choćby strzęp. Ma wyparować. Na dobre. Tym razem nie schrań tego, Kamerad. Zabij ich wszystkich.

– Tak jest.

– Dobrze. Poderwij śmigłowce. I jeszcze jedno: przyleć do was. To zbyt ważne zadanie, żeby zostawiać je... amatorom. Wezmę jeden z odrzutowców Agencji. Będę za jakieś pięć godzin.

Radiooperator zwany Szarym Wilkiem Sześć wykrzywił usta. „Amatorzy”. Jakże on gardził swym amerykańskim mocodawcą. Płacił jednak bardzo dobrze, a zlecenie miało jeszcze tę zaletę, że dawało okazję do krwawej rozrywki.

W ciągu najbliższych godzin on, Władimir Ustanov, pokaże Szaremu Wilkowi, do czego zdolni są on i jego tak zwani amatorzy.

Jaeger wyłączył telefon satelitarny. Przed chwilą przeczytał ostatnią wiadomość od Raffa: *Plk Evandro potwierdza przygotowanie wydzielonego lądowiska. Przyłot ok. 1630 Zulu. PE przysła eskortę na dalszą część lotu.*

Spojrzał na zegarek. Była dziewiąta czterdzieści pięć czasu Zulu. Mieli przed sobą sześć godzin i czterdzieści pięć minut lotu, zanim dotrą do tej części lotniska w Cachimbo, którą przygotował dla nich dowódca brazylijskich sił specjalnych. Przez „wydzielone lądowisko” Evandro rozumiał strefę, w której Jaeger i jego ludzie będą mogli w spokoju poddać się dokładnej dekontaminacji, a także – w odpowiednim czasie – odkazić sam samolot. Wysłał także jakąś eskortę – zapewne dwa naddźwiękowce. Wszystko szło dobrze.

Przez następną godzinę stale zwiększali wysokość, gdy Airlander wspinał się na pułap przelotowy, czyli około trzy tysiące metrów. Wraz z wysokością atmosfera coraz bardziej się rozrzedzała i tym mniej paliwa zużywał sterowiec – miało to decydujące znaczenie dla jego zasięgu, tego, czy zdoła spokojnie dolecieć do Cachimbo.

Wreszcie przedarli się przez pokrywę chmur, a słoneczne światło wpadło do kabiny. Dopiero teraz Jaeger zdał sobie sprawę, jak niesamowicie wyglądają – ultranowoczesny sterowiec i podczepiony do niego samolot z czasów drugiej wojny światowej leciały jak jedna maszyna.

Ze względu na zaokrąglony kształt dolnej powierzchni Airlandera, końce skrzydeł Junkersa wystawały z każdej strony o ponad piętnaście metrów, zwężając się jak czubki noży. Jaeger pomyślał, że podczas gdy sterowiec parł do przodu z prędkością blisko dwustu kilometrów na godzinę, skrzydła samolotu musiały wytwarzać własną siłę nośną, i dzięki temu pomagały Airlanderowi szybciej dotrzeć do celu.

Narov zagłębiła się w dokumentach, a Dale przykleił się do obiektywu, filmując wszystko, jak leci, więc Jaegerowi pozostało podziwianie widoków. Kobierzec puszystych białych chmur rozciągał się pod nimi aż po horyzont, zaś powyżej szeroko rozpościerało się błękitne niebo. Po raz pierwszy od, zdawałoby się, niepamiętnych czasów znalazł chwilę, aby pomyśleć o tym, co już się wydarzyło i jeszcze mogło się zdarzyć.

Narov i jej szokujące rewelacje – to, że знаła jego dziadka i pracowała z nim, że była dla niego niemal jak rodzina – prosiły się o szybkie wyjaśnienie. Budziły kolejne pytania i wątpliwości. Kiedy już dotrą do Cachimbo – i będą naprawdę bezpieczni, jak sama to określiła – musi sobie uciąć długą pogawędkę z Iriną Narov. Jednak na wysokości trzech tysięcy metrów, w dodatku rozmawiając przez radio i maskę, trudno było zapewnić sobie prywatność. Lepiej zrobić to w cztery oczy.

Jaeger miał teraz inny priorytet – musiał wykombinować, co dalej z Junkersem i jego ładunkiem. Lecieli w niemieckim samolocie pełnym wojennych sekretów Hitlera, z wymalowanymi oznaczeniami amerykańskiego lotnictwa, odnalezionym prawdopodobnie na terytorium

Brazylii – choć równie dobrze mogły to być już ziemie boliwijskie albo peruwiańskie – i odzyskanym przez międzynarodowy zespół. Pytanie brzmiało: kto ma do niego największe prawo?

Jego zdaniem najbardziej prawdopodobny scenariusz był taki, że wszelkie możliwe agencje wywiadowcze zlecą się do Cachimbo jak muchy, gdy tylko dowiedzą się o odkryciu. Pułkownik Evandro był rozsądnym człowiekiem i z całą pewnością wybrał część opuszczonego lotniska z dala od wścibskich oczu gapiów i prasy. Agencje najprawdopodobniej postarałyby się o embargo informacyjne, dopóki nie ustalą, jaką wersję przedstawić światowej opinii publicznej. Doświadczenie Jaegera wskazywało, że na ogół tak to wyglądało w praktyce.

Rząd amerykański będzie zapewne chciał zatuszować swoją rolę w firmowaniu przedsięwzięcia sprzed siedemdziesięciu lat, podobnie jak jego wspólnicy – zwłaszcza Wielka Brytania, która bez wątpienia maczała w tym palce.

Jak wspomniała Narov, co najmniej część technologii składowanej w ładowni Ju 390 wciąż była utajniona, i z całą pewnością będzie musiała taką pozostać. Nie ma mowy, by choćby najmniejsza wzmianka o niej znalazła się w jakiegokolwiek informacji przekazanej opinii publicznej. Do prasy mogłaby trafić na przykład taka opowieść:

Oznaczenia na samolocie z czasów drugiej wojny światowej, leżącym siedemdziesiąt lat w amazońskiej dżungli, były prawie nieczytelne – jednak historia zna zaledwie kilka tak ogromnych samolotów wojskowych. Nieustraszeni odkrywcy, którzy odnaleźli maszynę, od razu rozpoznali w niej Junkersa Ju 390, choć tylko nieliczni mogli sobie wyobrazić, jak oszalałymi ładunek znajduje się na jego pokładzie, albo co może on nam powiedzieć o ostatnich chwilach hitlerowskiego reżimu...

Kammler i jego wspólnicy zostaliby przedstawieni jako ci, którzy próbowali ocalić nowatorską technologię z popiołów Trzeciej Rzeszy, działając bez wiedzy aliantów. A przynajmniej coś w tym guście. Co się zaś tyczy telewizyjnego show produkowanego przez Wild Dog Media – Dale filmował jak szalony, świadom, że właśnie tworzy dzieło swojego życia.

Pod względem wątku przygodowo-sensacyjnego historia miała szansę osiągnąć większy sukces kasowy niż *Indiana Jones*, a więc lepiej być nie mogło. Jaeger wprawdzie nie widział siebie w roli następcy Harrisona Forda, ale Dale nagrał z nim pokazną ilość wywiadów, z których coś można by sklecić.

Nagrania nagraniami, ale potrafił sobie wyobrazić, jaka wersja programu ostatecznie zostałaby wyemitowana. Wycięto by z niej ujęcia przedstawiające przynajmniej część ładunków Junkersa, podobnie jak te amerykańskie oznakowania. Ale i bez tego byłoby to wciągające show, pomyślał. Bez wątpienia trzeba by z niego usunąć też wątek tego tajemniczego oddziału, polującego na ekipę Jaegera. „Zaginione plemiona” i tajemniczy świat dżungli są wystarczająco dramatyczne – i o wiele bardziej odpowiednie dla telewizji rodzinnej.

Jaeger uznał, że mocodawcy Ciemnej Siły, kimkolwiek byli, powinni teraz odwołać swoich najemników – łup wymknął im się z rąk. Biorąc jednak pod uwagę, że przeciwnicy mają do dyspozycji co najmniej jednego Predatora i doskonale uzbrojony oddział naziemny, nie wątpił, że



za tym wszystkim stoi jedna z amerykańskich tajnych agencji, i to taka, która całkowicie odcięła się od rządu.

Kiedy sankcjonuje się działanie tak wielu tajnych agencji, dając im całkowitą władzę, nie wymagając przy tym żadnej odpowiedzialności, można oczekiwać, że „dostaniesz rykoszetem”, jak mawia się w branży. W którymś momencie traci się wszelką kontrolę, a wtedy jedna z takich agencji z całą pewnością wyłamie się z szeregu.

Nawet jeśli dowódca Ciemnej Siły przerwie pościg, Jaeger nie mógł zrezygnować ze swoich poszukiwań. Jego instynkt jak zwykle okazał się niezawodny – tak jak przewidywał, przed końcem wyprawy znalazł zabójców Andy’ego Smitha. Był pewny, że Smitha torturowano i zrzucono z przepaści po to, aby nieprzyjaciół mógł pierwszy dotrzeć do samolotu.

Ci sami ludzie zabili także dwóch innych członków jego ekipy – Clermont i Krakowa. Miał rachunki do wyrównania – przynajmniej z tym, kto był odpowiedzialny za obie te zbrodnie. Nie zostawiał przyjaciół w potrzebie – pomści ich śmierć, jak obiecał to Dulce w Wiltshire, w domu rodzinnym jej i – niegdyś – Andy’ego.

Najpierw jednak musiał bezpiecznie wyostać resztę zespołu, którą zostawił pod dowództwem Lewisa Alonzo, z Sierra de los Dios, co znaczyło, że ma przed sobą nie lada logistyczną łamigłówkę. A wśród tego wszystkiego musiał jeszcze jakoś znaleźć czas, żeby poszukać odpowiedzi, na których najbardziej mu zależało, których najbardziej potrzebował – odpowiedzi, mogących go doprowadzić do zaginionych żony i syna.

Teraz był niemal pewien, że Ruth i Luke żyją. Nie miał na to żadnego mocnego dowodu – tylko wspomnienia rozbudzone przez łyk halucynogennego napoju – ale wciąż wierzył, że wskazówki co do ich losu znajdują się gdzieś w tym samolocie. Klepięcie w ramię wyrwało go z zadumy. To był Dale.

Uśmiechnął się szeroko.

– Możesz powiedzieć kilka słów do kamery? Tak jakby streścić, jak to jest siedzieć tutaj w tej chwili, w kabinie tego samolotu, i lecieć nim po to, żeby pokazać go całemu światu?

– Dobra, ale szybko.

Dale ustawiał kadr, gdy Jaeger zauważył, że Narov nagle poderwała głowę znad stolika nawigatora. Ostatnie ukośne okna kokpitu dawały widok na boki samolotu i ona wpatrywała się uważnie w to od jej strony.

– Mamy towarzystwo – oznajmiła. – Trzy śmigłowce Black Hawk.

– Eskorta od pułkownika Evandro – przypomniał Dale. – To na pewno oni. – Popatrzył na Jaegera. – Chwileczkę. Zaraz dokończymy, ale najpierw zrobię im kilka zdjęć.

Dale przeszedł na drugą stronę samolotu i zaczął filmować. Jaeger przesunął się za nim. I rzeczywiście, trzy czarne helikoptery leciały w ślad za Airlanderem, trzymając się jakieś sto pięćdziesiąt metrów od prawej burty sterowca. Gdy Jaeger im się przyglądał, coś niepokojącego przykuło jego uwagę. Śmigłowce były pokryte jakąś matową czarną farbą maskującą i nie miały żadnych oznaczeń.

Brazylijskie lotnictwo korzystało z Black Hawków. Może nawet miało eskadrę nieoznakowanych maszyn typu stealth, ale Jaeger nie tego się spodziewał. Więcej sensu miałoby wysłanie w Cachimbo kilku naddźwiękowców – zapewne F16 – żeby bezpiecznie sprowadziły ich na miejsce w glorii chwały.

Nieoznakowane Black Hawki – ewidentnie coś tutaj nie grało.

Śmigłowce miały ciężkie uzbrojenie, ale służyły głównie do transportu wojsk, i z całą pewnością nie mogły dolecieć do bazy w Cachimbo. Ich zasięg bojowy wynosił niecałe sześćset kilometrów, zatem mniej niż połowę dystansu do pokonania. Za cholerę nie wierzył, że to eskorta przysłana przez pułkownika Evandro. Odwrócił się w stronę Narov, ich spojrzenia spotkały się. Pokręcił głową zaniepokojony. *Coś jest nie tak.*

Narov potwierdziła.

Jaeger uruchomił telefon satelitarny i wykręcił numer Raffa. Utrzymywanie ciszy radiowej nie miało teraz żadnego znaczenia. Albo to była przyjacielska eskorta, a wtedy nic im nie groziło, albo znaleźli ich wrogowie. Ktokolwiek to był, nie było sensu dalej się kryć.

Gdy tylko telefon złapał satelitę, Jaeger usłyszał sygnał w słuchawce, a zaraz potem odezwał się głos. Nie był to jednak głos Raffa. To brzmiało jak komunikat radiowy dowódcy tajemniczej eskadry helikopterów. Raff przełączył rozmowę na telefon Thuraya, żeby Jaeger i jego ludzie mogli się przysłuchiwać.

– Nieoznakowany Black Hawk wzywa Airlandera na otwartym kanale – mówił monotonicznie głos. – Potwierdź, że mnie słyszysz. Nieoznakowany Black Hawk wzywa Airlandera: potwierdź.

„Otwarty kanał” oznaczał nieszyfrowaną, ogólnodostępną częstotliwość radiową, monitorowaną przez wszystkie statki powietrzne. O dziwo, głos pilota miał lekką wschodnioeuropejską – rosyjską – barwę, z płaskim, gardłowym akcentem, który przez chwilę przypomniał Jaegerowi sposób mówienia... Narov.

Ta zaś uważnie wsłuchiwała się w głos płynący z telefonu, ale na ułamek sekundy podniosła wzrok na Jaegera, a ich spojrzenia się spotkały. Zobaczył w jej oczach coś, czego nigdy nie spodziewał się w nich ujrzeć. Strach.

Jaeger wystukał krótką wiadomość: *Słyszę twoją łączność.*

W momencie, kiedy ją wysyłał, na linii zabrzmiał niski głos Raffa: – Black Hawk, tu Airlander. Potwierdzam, słyszymy cię.

– Z kim rozmawiam? – zapytał dowódca śmigłowców.

– Takavesi Raffara, oficer operacyjny, Airlander. Z kim rozmawiam?

– Panie Raffara, to ja tu zadaję pytania. Wszystkie atuty są po naszej stronie. Połączcie mnie z panem Jaegerem.

– Odmawiam. Jestem oficerem operacyjnym tego statku powietrznego. Cała łączność przechodzi przeze mnie.

– Powtarzam, połączcie mnie z panem Jaegerem.

– Odmawiam. Cała łączność przechodzi przeze mnie – powtórzył Raff.

Jaeger zobaczył, jak helikopter na przedzie otworzył ogień z GAU-19, przerażającego, sześciolufowego działka systemu Gatlinga 12,7 milimetrów. Posłał trzysekundową serię, a powietrze za śmigłowcem poczerwiano od wyrzucanych husek. W tym krótkim czasie wystrzelił ponad sto pocisków przeciwpancernych, każdy o średnicy nadgarstka małego dziecka. Ogień poszedł jakieś trzysta metrów przed kabiną Airlandera, ale przesłanie było aż nadto jasne: *Możemy w mig rozwalić was na kawalki.*

– Następną serią trafi prosto w gondolę – zagroził dowódca Black Hawków. – Dajcie Jaegera.

– Odmawiam. Jaegera nie ma na moim pokładzie.

Raff bardzo starannie dobierał słowa. W zasadzie mówił prawdę – Jaegera nie było na pokładzie Airlandera.

– Niech pan posłucha uważnie, panie Raffara. Mój nawigator zlokalizował teren nadający się do lądowania, sto pięćdziesiąt kilometrów na wschód, siatka 497865. Tam pan wyląduje. I zapewniam: kiedy tam dolecimy, będę chciał zobaczyć wszystkich członków pana załogi. Potwierdź, że zrozumiałeś moje instrukcje.

– Proszę poczekać.

Jaeger usłyszał piknięcie telefonu, oznaczające wiadomość od Raffa: *Odpowiedź? Wstukał: Jeśli nas uziemią, zginiemy. Wszyscy. Nie zgadzaj się.*

Głos Raffa ponownie rozbrzmiał w eterze:

– Black Hawk, tu Airlander. Odmawiam. Zmierzamy do celu zgodnie z planem. Jesteśmy międzynarodowym zespołem, uczestniczącym w cywilnej wyprawie. Proszę nie zakłócać – powtarzam: proszę nie zakłócać – przelotu.

– Skoro tak, to przyjrzyjcie się dobrze otwartym drzwiom śmigłowca na przedzie – odparł dowódca. – Widzicie stojącą w nich postać? To jeden z waszych kochanych Indian. Na dokładkę mamy też kilku członków waszej ekipy.

Jaeger miał mętlik w głowie. Najwyraźniej wrogowie przedarli się przez którąś z indiańskich zasadzek i pojмали jakiś wojowników. Łatwo było zabrać jeńców na pokład śmigłowca, wystarczyło wykorzystać jako lądowisko miejsce, gdzie przedtem spoczywał Junkers.

– Zdaje się, że niektórzy z was znają tego dzikusa – zadrwił dowódca Black Hawków. – Ma na imię „wielka świnia”. Bardzo trafnie. A teraz popatrzcie, jak lata.

Chwilę potem drobna postać wypadła ze śmigłowca. Nawet z tej odległości Jaeger zauważył, że to wojownik Amahuaca, nurkujący w dół z niemym krzykiem. Szybko pochłonęła go gruba warstwa chmur, jednak Jaeger zdołał rozpoznać naszyjnik *gwyrag'waja*, w którym każde pióro symbolizowało jednego wroga zabitego w pojedynku.

Kiedy ciało – należące zapewne do brata Puruwehuy – zniknęło im z oczu, poczuł, jak ogarnia go ślepa wściekłość. Gwaihutiga uratował mu życie na moście linowym, a teraz spadał ku ziemi, czekając na pewną śmierć – a wszystko dlatego, że Jaeger i jego ludzie próbowali ratować własną skórę. Rąbnął pięścią w burtę samolotu, a w jego głowie kipiały gniew i frustracja.

– Mam jeszcze kilku dzikusów – odezwał się dowódca eskadry. – Będę ich wyrzucał co minutę, dopóki nie zmienicie kursu na siatkę 497865. Aha, wasi ludzie – oni polecą następni. Róbcie, co każę. Zmieńcie kurs. Macie minutę.

– Czekajcie.

Jaeger znowu dostał wiadomość: *Odpowiedź?*

Popatrzył na Narov i Dale'a. Co, do licha, powinien zrobić? Jakby w odpowiedzi Narov potrząsnęła torbą pełną dokumentów.

– W tym samolocie jest coś, czego potrzebują – stwierdziła z przekonaniem. – Coś, co chcą mieć. Nie zestrzelą nas.

Dłoń Jaegera zawisała nad klawiaturą telefonu, gdy próbował zmusić się do napisania tego, co – chcąc nie chcąc – musiał napisać. Było mu wręcz niedobrze, kiedy z ciężkim sercem wstukiwał odpowiedź: *Chcą mieć samolot w całości. Nie zestrzelą nas. Nie zgadzaj się. Odmów.*

– Kontynuujemy lot do celu zgodnie z planem – w eterze rozległ się głos Raffa. – Ostrzegam: nagrywamy wszystko, co robicie, i przesyłamy na żywo na serwer, z którego film trafia do internetu.

Oczywiście, nie była to do końca prawda, ale słowa Raffa stanowiły klasyczny przykład jego umiejętności improwizacji i blefowania. – Nagrywamy was, zostaniecie aresztowani i osądzeni za wasze zbrodnie...

– Bzdura – przerwał mu głos. – Mamy nieoznakowane Black Hawki. Nie rozumiesz, dupku? Oficjalnie nas tu nie ma. My – nie – istniejemy. Oskarżysz duchy o zbrodnie wojenne, kretynie? Zmień kurs, jak kazałem, albo poniesiesz konsekwencje. Ich śmierć to twoja wina...

Następna drobna postać wypadła z helikoptera.

Gdy runęła w oslepiający błękit, Jaeger próbował wymazać z umysłu obraz Puruwehuy roztrzaskującego się o podłoże dżungli, daleko w dole. Nie sposób było rozpoznać, którego Indianina załoga helikoptera wypchnęła z maszyny, ale śmierć to śmierć; morderstwo to morderstwo. Ile krwi będzie miał na swoich rękach?

– Gładko idzie – zakpił dowódca śmigłowców. – Wykorzystaliśmy dwóch naszych dzikusów. Został jeszcze jeden. Wykona pan moje rozkazy, panie Raffara, czy on też będzie musiał nauczyć się latać?

Nie było odpowiedzi. Jeśli zmienią kurs i skierują Airlandera – razem z Ju 390 – we wskazane miejsce, będzie po nich. I Jaeger, i Raff zdawali sobie z tego sprawę. Podczas treningów krav magi uczyli ich, żeby pod żadnym pozorem nie wykonywać dwóch rozkazów: przemieszczenia i wstrzymania ataku. Oba oznaczały katastrofę. Gdyby teraz wykonali ten rozkaz, skończyliby marnie.

Jaeger odwrócił wzrok, gdy trzecia postać zawirowała na słonecznym niebie, bezradnie machając rękami, jakby próbowała chwycić się czegoś w rozrzedzonym powietrzu. Przez głowę Jaegera przemknęło wspomnienie Puruwehuy, który opowiadał, jak po zażyciu halucynogenów latał niczym duży biały jastrząb szybujący nad górami. „Latałem wysoko jak *topena* – powiedział mu. – Latałem nad wielkimi oceanami i odległymi górami”. Wspomnienie to dręczyło Jaegera niemal do granic wytrzymałości.

– A więc, panie Raffara, teraz przechodzimy do naprawdę interesującej części. Akt drugi – wasi kumple z zespołu. Na początek, spójrzcie, kto stoi w drzwiach. Nie wygląda na chętnego do nauki latania. Zmieńcie kurs, jak kazałem, albo skoczy na główkę w chmury – dowódca roześmiał się ze swojego dowcipu. – Zegar tyka...

Zabrzączał telefon satelitarny: *Odpowiedź?*

Jaeger zauważył szopę jasnych włosów, połyskującą w słońcu, gdy postawili jakiegoś człowieka w otwartych drzwiach śmigłowca. Choć uważał Stefana Krala za zdrajcę, to nie mógł być tego całkowicie pewny, a myśl o żonie i małych dzieciach filmowca, pozostawionych w Luton, jeszcze bardziej skrzyła go w żołądku. Zmusił się do wstukania odpowiedzi: *Ostrzeż ich, że PE wysłał odrzutowce. Graj na czas.*

– Kontynuujemy lot zgodnie z planem – głos Raffa znowu zabrzmiał na falach. – I ostrzegamy: nadlatuje eskorta myśliwców brazylijskiego lotnictwa...

– Dobrze znamy tych waszych przyjaciół z B-SOB – przerwał mu dowódca. – Myślicie, że macie wysoko postawionych sprzymierzeńców?! – roześmiał się. – Nie uwierzylibyście, jakich *my* mamy przyjaciół. Poza tym samoloty waszego pułkownika są dobre półtorej godziny stąd. Wykonajcie moje rozkazy albo zginą następną.

– Odmawiam – powtórzył Raff. – Kontynuujemy lot zgodnie z planem.

– No, skoro tak, podlecimy bliżej – oznajmił dowódca helikopterów. – Żebyście mogli życzyć waszemu przyjacielowi przyjemnego lotu.

Utrzymując się w zwartym szyku, trzy helikoptery zbliżyły się na jakieś dwieście dwadzieścia metrów do Airlandera i podczepionego do sterowca Junkersa. Kiedy zajęły pozycję, słowacki operator został popchnięty na sam próg otwartych drzwi.

– Ostatnia szansa – warknął dowódca. – Zmieńcie kurs.

– Odmawiam – powtórzył Raff. – Kontynuujemy lot zgodnie z planem.

Chwilę później Stefan Kral został wypchnięty.

Gdy jego ciało leciało w stronę ziemi, rozpostarte na tle nieba niczym gwiazda, Jaeger usłyszał, jak Dale wymiotuje za jego plecami. On sam czuł skurcze w żołądku. Zdrajca czy nie, nikt – a zwłaszcza młody ojciec – nie powinien ginąć w ten sposób.

– Gratulacje, panie Raffara – zadrwił dowódca eskadry śmigłowców. – Z radością pozwolił pan zginąć czterem swoim przyjaciółom. Oto ostatnia kandydatka do podniebnej jazdy – Leticia Santos! O tak, wszyscy wiemy, jak te brazylijskie panny uwielbiają takie atrakcje. Zmieńcie kurs, panie Raffara. Wykonajcie moje rozkazy. Albo śmierć uroczej panny Santos będzie panu spędzać sen z powiek do końca życia.

Zapisał telefon: *Odpowiedź?*

Jaeger spojrział na ekran, jego umysł pracował z szaleńczą prędkością. Jak by na to nie spojrzeć, nie miał wyjścia. Trzeba skończyć z tym zabijaniem. Nie mógł pozwolić, aby Leticia zginęła w ten sposób. Ale jaką miał alternatywę?

Jego ręka mimowolnie powędrowała do karnawałowej chusty, wciąż zawiązanej na szyi. Nagle błysnął mu w głowie pewien pomysł, który szybko zaczął nabierać kształtów. To był szalony, zwariowany plan, ale w tej sytuacji nic lepszego nie mogli zrobić. Wstukał odpowiedź na klawiaturze telefonu: *Udawaj, że się dostosowujesz. Zmień kurs. Czekaaj.*

Rozległ się głos Raffa: – Zgoda, spełnimy wasze rozkazy. Zmiana kursu na kąt 0845 stopni. Przewidywany czas przylotu do wskazanego miejsca za piętnaście – powtarzam: jeden-pięć – minut.

– Doskonale, panie Raffara. Cieszę się, że w końcu zrozumiał pan, jak może ocalić swoich ludzi...

Jaeger nie czekał na ostatnie słowa. Pociągnął za sobą Narov, odblokował drzwi prowadzące do ładowni i pognał w daleki kąt pogrążonego w półmroku tyłu samolotu. Pochylił się nad długą skrzynią, w której kryły się ręcznie odpalane pociski Fliegerfaust. Odruchowo sięgnął po nóż, ale przypomniał sobie, że podarował go Puruwehui. Zaraz potem Narov znalazła się przy nim i zaczęła gorączkowo ciąć grube liny mocujące siedmioocalowym ostrzem swojego Fairbairna-Sykesa.

Mocowania opadły, a oni podważyli przybite gwoździami wieko i odsunęli je na bok. Wyciągnęli jedną z dwóch wyrzutni. Była zaskakująco lekka, ale to nie o wagę Jaeger się teraz martwił, a o mechanizm działania broni. Większość współczesnych ręcznych wyrzutni wykorzystuje elektroniczny system odpalania zasilany z baterii. Jeśli we Fliegerfaustach zastosowano coś podobnego, to baterie na bank dawno się rozładowały, a wtedy pociski były bezużyteczne.

Jaeger liczył jednak na to, że wyrzutnia ma prosty system mechaniczny, a wtedy powinna nadawać się do użytku. Szybko rzucił okiem na przedni uchwyt i mechanizm spustowy z tyłu. Oparł broń na ramieniu, po czym przyłożył oko do zimnej stali celownika, prostej metalowej szyny biegnącej przez cały grzbiet – wystarczyło spojrzeć wzdłuż niej, żeby wycelować. Zgodnie z jego oczekiwaniami system działania Fliegerfausta wyglądał na stu procentowo mechaniczny. Wyrzutnia została dobrze naoliwiona i nie widać było na niej choćby śladu rdzy. Nawet



lufy były gładkie i idealnie czyste. Pomimo siedemdziesięciu lat leżakowania w skrzyni broń powinna zadziałać.

Narov wyciągnęła ładownik z dziewięcioma pociskami – każdy o średnicy dwudziestu milimetrów i długości około dwudziestu centymetrów. Jaeger przytrzymał wyrzutnię, a Narov załadowała pociski do luf; wchodziły na swoje miejsce z głośnym kliknięciem.

– Naciskasz spust, oddajesz dwie salwy – tłumaczyła głosem pełnym napięcia. – Pierwsza z czterema pociskami, a po ułamku sekundy druga z pięcioma.

Jaeger skinął głową.

– Musimy załadować obie wyrzutnie. Dasz sobie radę z drugą?

Uśmiech Narov był zabójczy.

– Z przyjemnością. Mieli rację, nazywając cię Myśliwym.

Przygotowali drugą wyrzutnię, a potem ulokowali się przy drzwiach załadunkowych. Tych samych, które Jaeger zamknął zaledwie godzinę temu, przed podniesieniem samolotu. Nawet do głowy mu nie przyszło, że wkrótce będzie musiał znowu je otwierać, i to po to, aby przeprowadzić akcję tego rodzaju.

Sięgnął po Thurayę i wpisał wiadomość: *Ostrzelam Black Hawki z tyłu Ju 390. Nie trafimy w maszynę z Santos. Czekałj. Telefon natychmiast pisnął. Potwierdzam.*

Jaeger spojrzał na Narov:

– Gotowa?

– Gotowa.

– Wezmę tego na dziewiątej, ty weź tego na trzeciej. Tylko nie traf w maszynę z Santos.

Narov lekko skinęła głową.

– Gdy tylko otworzymy drzwi – dodał Jaeger – walimy.

Odblokował drzwi załadunkowe, potem usiadł na podłodze samolotu i zapał się nogami po swojej stronie od wejścia. Narov zrobiła to samo po swojej. Jaeger był pewny, że dowódca eskadry nie ma pojęcia o ich obecności w Junkersie. Wkrótce miał się o tym dowiedzieć.

– TERAZ!

Kopnął z całej siły, Narov też. Drzwi odskoczyły. Przykleknął na jedno kolano, oparł Fliegerfausta na ramieniu. Najbliższy Black Hawk był mniej niż dwieście metrów od niego. Ustawił prosty celownik wprost na kabinę, odmówił krótką modlitwę, żeby wszystko zadziało, i nacisnął spust.

Cztery pociski śmignęły przed siebie, zaś strumień gazów wylotowych wtłoczył chmurę duszącego dymu do wnętrza ładowni. Jaeger utrzymał celownik na upatrzonym śmigłowcu i ułamek sekundy później pięć kolejnych pocisków pomknęło w tę stronę. Klęcząca obok Narov odpała swoją broń, a dziewięć pocisków poleciało w stronę drugiego helikoptera.

Każda z rakiet była przeciwpancerna i o dużej sile rażenia. Stabilizację lotu zapewniał im szereg niewielkich otworów wywierconych naokoło ogona. Wydobywała się przez nie niewielka ilość gazów wylotowych, co obracało pocisk wzdłuż jego osi. Dzięki temu mógł lecieć wprost do celu – tak jak kula wystrzelona z pistoletu, którą w ruch obrotowy wprawia gwint lufy.

Jaeger widział, że pięć rakiet minęło helikopter, ale cztery trafiły w cel. Dwudziestomilimetrowe pociski zostawiły szare obłoki dymu wzdłuż całego boku Black Hawka, gdy ich opancerzone szpice przebiły się przez metalową powłokę. Sekundę później wybuchły ładunki kruszące, demolując wewnątrz deszczem postrzępionych, rozgrzanych do czerwoności odłamków.

Wybuch wyrwał przednią szybę kabiny i rozsądził te boczne, a odłamki poszarpały tych, którzy siedzieli w środku. Chwilę później maszyna gwałtownie zmieniła kierunek i ostro zanurkowała, pozostawiając za sobą słup skłębionego, szarego dymu.

Drugi helikopter oberwał jeszcze mocniej. W najważniejszym momencie ujawniła się w Narov natura snajpera – *zabójcy*. Osem pocisków dotarło do celu, tylko jeden chybił.

Co najmniej jeden dwudziestomilimetrowy pocisk przebił zbiornik z paliwem. Zatankowany na tyle, żeby przelecieć sześćset kilometrów, mógłby płonąć długo. Rozszalałe pomarańczowe płomienie buchnęły z helikoptera, który chwilę później zamienił się w ogromną, oslepiającą kulę ognia.

Jaeger poczuł, jak omiótł go gorący podmuch wybuchu, a rozżarzone odłamki poderwały się z epicentrum eksplozji. Przez moment wydawało się, że ognista pożoga dosięgnie Airlandera, ale pióropusz płonących resztek opadł na warstwę chmur daleko w dole i zniknął im z oczu.

Rozsadzony kadłub drugiego helikoptera runął na ziemię jak kamień. Po obu śmigłowcach pozostały tylko chmury czarnego dymu, snujące się w gorącym tropikalnym powietrzu. Dwa – zero dla załogi samolotu, ale jeden Black Hawk wciąż leciał obok Airlandera, mknącego przez nieboskłon z podczepionym Junkersem.

Ocalały śmigłowiec wykonał ostry skręt, odchodząc na bezpieczną odległość, chroniącą go przed kolejnymi salwami. Ale i tak Jaeger i Narov nie mogli już żadnej odpalić, bo Fliegerfausty się skończyły. Poza tym na pokładzie helikoptera trzymali Leticję, a Jaeger za nic nie chciał poświęcać także jej życia.

– Panie Raffara, pożałuje pan tego! – wrzeszczał głos pełen dzikiego gniewu. – Teraz podziurawię wam silniki sterowca!

– Spadniemy, jeśli tak zrobisz – odparował Raff – a z nami twój cenny samolot. Roztrzaska się w dżungli...

Jego słowa zagłuszyła zabójczo celna salwa z działka ocalałego Black Hawka. Pociski trafiły w przedni prawy silnik sterowca. W chwili, gdy jeden z jego czterech olbrzymich wirników został przestrzelony, Jaeger poczuł, jak Ju 390 gwałtownie przechylił się w prawo.

Załoga Airlandera będzie miała teraz problem z utrzymaniem sterowca w powietrzu za pomocą trzech silników, próbując tak dostosować kierunek ciągu oraz moc, aby odpowiednio rozłożyć ciężar, przepompowując hel między trzema gigantycznymi zbiornikami.

– Airlander do Black Hawka – w eterze rozległ się głos Raffa. – Jeśli zniszczysz następny silnik, to z tym ładunkiem nie będziemy w stanie kontynuować lotu i będziemy musieli go zrzucić. Trzy tysiące metrów prosto w dół. Zostaw nas w spokoju.

– Nie sądzę – odciął się dowódca helikoptera. – Masz ludzi na pokładzie samolotu i naprawdę nie wierzę, że pozwolisz im spaść. Rób, co każę, albo rozwalę drugi silnik.

Telefon Jaegera piknięciem zasygnalizował wiadomość: *Odpowiedz?* Nie wiedział, co robić. Teraz naprawdę skończyły im się pomysły. Zamiast zaszachować przeciwnika, doprowadzili tylko do pata.

Działko GAU-19 po raz trzeci plunęło ogniem.

Zabójcza seria wbiła się w lewy tylny silnik. Jaeger i Narov zdążyli już wrócić do kabiny, ale poczuli, jak Ju 390 nieprzyjemnie szarpnął w lewo, gdy drugi zespół wirników został unicestwiony.

Przez kilka dramatycznych sekund gigantyczny sterowiec próbował z trudem odzyskać równowagę, gdy dwa ocalałe silniki, usytuowane po przeciwnych końcach i bokach maszyny, starały się wyrównać lot. Kiedy jednak Airlander osiągnął jako taki stan nowej równowagi, było już jasne, że nie ma szans na to, aby utrzymał dźwigany przez siebie ciężar.

Niemal natychmiast prędkość zaczęła gwałtownie spadać, gdyż sterowiec został pozbawiony połowy napędu. W dodatku tracił wysokość. Wraz z podwieszonym Junkersem zmierzał powoli ku kolizji z ziemią.

Black Hawk zmienił pozycję, ustawił się z tyłu i zniknął z pola widzenia osób w kokpicie Ju 390. Jaeger nie miał wątpliwości, że dowódca helikoptera nie zrezygnował z ataku, ale co, do diabła, zamierzał teraz zrobić?

Thuraya piknęła, sygnalizując otrzymaną wiadomość: *BH przesunął się na wasz tył. Podchodzi do końca lewego skrzydła. Wedrą się na pokład???*

Jaeger przez chwilę wpatrywał się w wiadomość. Że co? Jak to wedrą się na pokład?

Wyrzucił przez lewe okno.

I faktycznie, helikopter powolutku zbliżał się do końca lewego skrzydła Ju 390. Jego boczne drzwi były otwarte i Jaeger widział w nich tuzin uzbrojonych po zęby żołnierzy, ubranych w czarne kombinezony ochronne i respiratory.

Poczuł, że Narov stanęła przy nim.

– Niech spróbują! – warknęła, gdy dostrzegła postacie w czerni. Chwilę później już sięgała po swój karabin wyborowy Dragunow, gotowa kropnąć każdego, kto spróbuje wejść na pokład Junkersa.

– Nie! – Jaeger pchnął lufę karabinu w dół. – Na razie nie mają pojęcia, gdzie jesteśmy. Jeśli otworzysz ogień, rozwaląabinę. Podziurawią nas jak sito.

– To pozwól mi przynajmniej zdjąć pilota! – zaprotestowała.

– Zdejmiesz go, to drugi pilot przejmie stery, a wtedy i tak nas rozniosą. A poza tym mają tam Santos.

– Czasami musisz odebrać życie, żeby zachować życie – odpowiedziała chłodno. – Albo, jak w tym przypadku, poświęcasz jedno, żeby ocalić wiele.

– Nie! – Jaeger gwałtownie potrząsnął głową. – Nie! Musi być lepsze wyjście.

Rozpaczliwie rozejrzał się po kabinie. Jego wzrok zatrzymał się na stercie zakurzonych tobołów, zrzuconych pod fotelem nawigatora. Każdy opatrzone był nazwą „Fallschirm”. Choć Jaeger nie znał niemieckiego, domyślił się, co to może oznaczać. Podniósł jeden z pakunków.

*Działaj niespodziewanie.*

Machnął nim w stronę Narov.

– Spadochron, tak?

– Spadochron – potwierdziła. – Ale...?

Wyrzał przez okno. Prędkość Airlandera znacznie spadła. Zobaczył, jak pierwsza czarna postać przeskoczyła z otwartych drzwi Black Hawka na olbrzymie skrzydło samolotu i wylądowała w przysiadzie. Chwilę później dołączyła druga postać. Napastnicy zaczęli miarowo przesuwać się w przysiadzie w stronę kadłuba.

Jaeger wcisnął plecak ze spadochronem w ręce Narov, drugi rzucił Dale'owi, a trzeci złapał sam.

– Załóżcie je! – wrzasnął. – I miejmy nadzieję, że to też Niemcy wykonali solidnie!

Kiedy wciskali się w uprząże spadochronów, Thuraya przyjęła wiadomość: *Wrogowie zebrali się przy kadłubie. Załadują ładunki.*

Jaeger odpisał: *Kiedy wszyscy ci dranie będą na pokładzie, odetnij nas. Pozwól nam spaść. Bez dyskusji, Raff. Wiem, co robię.*

Odpowiedź przysła szybko: *Potwierdzam. Do zobaczenia w rajku.*

Dzięki Bogu, że Jaeger miał w sterowcu Raffa. Nikt inny nie wykonałby takiego rozkazu bez słowa sprzeciwu. Łączyła ich wyjątkowa więź, zahartowana przez lata służby w oddziałach specjalnych.

Jaeger usłyszał stłumione wybuchy od strony ogona. Junkers zatrzęsł się, gdy eksplozja wyrwała w poszyciu otwór rozmiarów dorosłego człowieka. Oczami wyobraźni zobaczył czarne postacie wdzierające się do ciemnego, zadymionego wnętrza ładowni, z bronią gotową do strzału.

Minie kilka sekund, zanim zorientują się w przestrzeni i przetrząsną tył samolotu w poszukiwaniu Jaegera i jego towarzyszy. Potem ruszą w stronę przegrody i założą drugi komplet ładunków. Drzwi można otworzyć tylko od strony kabiny, więc przez nie też będą musieli przeдрzeć się siłą. Ale i tak Jaeger, Narov i Dale mają tylko parę sekund na opuszczenie Junkersa.

– Dobra, plan jest taki – krzyknął Jaeger. – Airlander niedługo nas zrzuci. Jak każdy porządny samolot wprawiony w lekki ruch do przodu, nasz też, spadając, będzie przez chwilę nabierał prędkości, ale potem zacznie szybować. Gdy tylko zostaniemy odcięci, wyrzucamy to – machnął ręką w stronę pozostałych spadochronów – a potem skaczymy. Nie otwierajcie spadochronów, dopóki nie wpadniecie w chmury, bo inaczej Black Hawk za nami poleci. Próbuje trzymać się razem i nie rozdzielajmy się w trakcie spadania. Kolejność skoków: Dale, Narov, ja. Jasne?

Narov potwierdziła skinieniem głowy. W jej oczach widać było żądę walki i adrenalinę. Dale był błąd niczym kartka papieru, jakby miał zamiar zwymiotować po raz drugi. Mimo to zmusił się do pokazania podniesionego kciuka. Nie przestawał zdumiewać Jaegera – przeszedł tyle, że mógłby zawstydić wielu doświadczonych żołnierzy, a mimo to wciąż trzymał się cholernie dobrze.

– Nie zapomnij kamery, a przynajmniej kart pamięci! – krzyknął do niego. – Cokolwiek się stanie, nie możemy stracić filmu!

Powyciągał pozostałe spadochrony i zrzucił je na stertę z boku kabiny, a potem otworzył oba okna, robiąc im jak najwięcej miejsca, by mogli się wydostać.

Odwrócił się do Narov.

– Zabierz dokumenty, cokolwiek w nich jest. Mocno zamocuj torbę i nie wypuszczaj jej z...

Słowa uwięzły mu w gardle, gdy Junkersem potwornie szarpnęło. Airlander odciął go i przez kilka strasznych sekund samolot zdawał się spadać pionowo niemal jak kamień, zanim skrzydła złapały powietrze. Wtedy spadanie przeszło w strome, zapierające dech szybowanie.

– Jazda! Jazda! Jazda! – wrzasnął Jaeger, wypychając równocześnie spadochrony przez okna. Wyrzucał jeden za drugim w wyjąca otchłań.

Dale wspiął się do okna, przecisnął górną połowę ciała przez otwór i zamarł. Pęd powietrza szarpał jego tułowiem, ale stopy sprawiały wrażenie przyklejonych na dobre do metalowej podłogi samolotu.

Jaeger nie zastanawiał się ani sekundy. Opuścił potężne ramiona, chwycił Dale'a za nogi, po czym dźwignął go z całej siły, wypychając wrzeszczącego kamerzystę w rozrzedzone powietrze. Usłyszał krzyki dochodzące zza przegrody. Napastnicy w czerni przygotowywali się do wysadzenia jej. Narov wskoczyła na fotel pilota, chwyciła się dachu kabiny i wysunęła nogi przez okno.

Obejrzała się.

– Idziesz, prawda?

Musiła dostrzec niezdecydowanie, które błysnęło w oczach Jaegera. Przez ułamek sekundy wrócił myślami do tamtej nocy w górach, gdy odebrano mu żonę i dziecko. Nie zrobił wszystkiego co w jego mocy – *ba, nie zrobił nic!* – żeby poszukać w samolocie wskazówek, kto ich porwał i dlaczego. Przez jedną bolesną chwilę głos dochodzący zza maski przeciwgazowej – głos, który Jaeger skądś znał – dźwięczał mu w mózgu: „Nie zapomnij: nie obroniłeś żony i dziecka. Wir sind die Zukunft!”.

Jaeger nie był w stanie się ruszyć, jakby nogi wrosły mu w podłogę. W głębi serca rozpaczliwie potrzebował odpowiedzi. Jeśli porzuci samolot, być może straci najbliższych na zawsze.

– Właż w okno! – ryknęła Narov. – ALE JUŻ!

Zorientował się, że patrzy w otwór lufy. Narov błyskawicznie wyciągnęła kompaktową, krótkolufową baretę i uniosła ją na wysokość jego głowy.

– Wiem, co ci zrobili! – krzyknęła. – Zabili twojego dziadka. Napadli na ciebie i twoją rodzinę. Czymś im się naraziłeś. Gdy odkryjemy czym, znajdziemy odpowiedź. Ale wygrają, jeśli spadniesz teraz razem z samolotem!

Jaeger spróbował zmusić kończyny, żeby się poruszyły.

– SKACZ! – wrzasnęła, a jej palec zbieleł na cynglu pistoletu. – NIE POZWOLĘ CI ZMARNOWAĆ ŻYCIA!

Nagle za nimi rozległ się ogłuszający huk. Przegroda rozpadła się, a kabinę wypełniła oślepiająca chmura dymu. Siła eksplozji rzuciła Jaegerem na boczne okno i to pomogło mu otrzeźwieć. Kiedy sięgnął do otworu, Narov otworzyła ogień z baretty, grzejąc w grupę czarnych postaci, przeciskających się przez wyrwę w przegrodzie.

Kilka sekund później Jaeger rzucił się przed siebie, nurkując w bezkresny błękit.

Zaraz po wyskoczeniu zaczął koziołkować w swobodnym spadaniu, tak jak podczas tego pamiętnego, niemal śmiertelnego skoku z C-130. Zmusił się do wyrzucenia rąk na boki i wygięcia ciała w łuk, aby się ustabilizować. Następnie przyjął pozycję strzały – z rękami przyciśniętymi do boków i nogami mocno wyciągniętymi do tyłu – żeby jak najszybciej wpaść w pokrywę chmur.

Jednak w miarę wzrastania prędkości lotu zaczął przeklinać sam siebie, że mógł być takim cholernym głupcem. Narov miała rację. Gdyby zginął w tym samolocie, to jaki byłby z tego pożytek, zwłaszcza dla jego żony i syna? Okazał się skończonym idiotą i naraził życie Narov. Cholera, nie wiedział nawet, czy udało jej się wydostać z samolotu, i nie miał jak tego sprawdzić – na pewno nie teraz, w trakcie szalonego lotu ku ziemi.

Ju 390 ciągle przyspieszał, odkąd tylko Airlander go uwolnił. Powinien spadać przed siebie z prędkością dochodzącą do trzystu kilometrów na godzinę, niczym ogromna, upiorna strzała – mógł mieć tylko nadzieję, że Narov się wydostała.

Po chwili wchłonęły go chmury. Gdy otuliła go gęsta para wodna, sięgnął do uchwytu wyzwalającego, pociągnął z całej siły i... modlił się, żeby zadziało. Jeśli kiedykolwiek liczył na to, że naziści zrobili coś porządnego, to właśnie teraz.

Żadnego efektu.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy złapał właściwy uchwyt. Nic nie było łatwe w półmroku migoczącej szadzi, zwłaszcza że rzucało nim jak szmacianą lalką. Wyglądało jednak na to, że główny spadochron zaciął się na dobre.

Gdy tak leciał na spotkanie z ziemią, przemknął mu przez głowę zwrot: *spójrz-zlokalizuj-odczep-pchnij-wypuść-zegnij*. Wylicznanka, której nauczono go wiele lat temu, procedura postępowania w sytuacji awaryjnej, kiedy podczas swobodnego spadania nie otworzy się główny spadochron. System inny, ale zasada ta sama – przekonywał sam siebie.

Sięgnął po coś, co – jak się domyślał – było uchwytem wyzwalającym spadochron rezerwowego. Staroświecki mechanizm, ale dlaczego miał nie zadziałać? Teraz albo nigdy, ryzyk-fizyk, bo ziemia zbliżała się błyskawicznie. Pociągnął z całej siły za uchwyt i spadochron zapasowy – kawał jedwabiu, który przez siedemdziesiąt lat czekał złożony na szansę, żeby znowu polecieć – wydadł się nad nim.

Jak większość niemieckich rzeczy, również ten Fallschirm skonstruowano z troską o jakość, więc otworzył się jak marzenie. To była wręcz przyjemność szybować pod jego czaszą. Gdyby nie cała ta sytuacja, Jaeger pewnie nawet cieszyłby się lotem.

Niemcy używali spadochronów podobnych do tych, które były na wyposażeniu brytyjskich wojsk powietrznodesantowych w czasie drugiej wojny światowej. Miały wysoko sklepioną czaszę, przypominającą kształtem kapelusze grzyba, a w powietrzu unosiły się stabilnie i solidnie –



w przeciwieństwie do płytszych, szybszych i zwrotniejszych modeli spadochronów wojskowych używanych wspólnie.

Wyleciał z chmur na wysokości około stu pięćdziesięciu metrów. Od razu pomyślał o Dale'u i Narov. Spojrzał na zachód i wydawało mu się, że widzi na ziemi charakterystyczny ślad spadochronu, wskazujący miejsce, w którym Dale zapewne wylądował. Spojrzał na wschód akurat w momencie, w którym błysk bieli wypadł z podstawy chmur. *Narov. To musi być ona.* W jakiś sposób wydostała się z kabiny Junkersa i – sądząc po postaci wiszącej pod czaszą – wciąż żyła. Zapamiętał pozycje obojga, a potem sprawdził grunt pod sobą. Gęsta dżungla, bez widocznego miejsca do lądowania. *Znowu.*

Dryfując ku koronom drzew, Jaeger pomyślał przez moment o Ju 390. Spadając z wysokości trzech tysięcy metrów maszyna mogła szybować przez wiele kilometrów, jednak był pewien, że jej los jest przesądzony. Z każdą sekundą nabierała prędkości, ale wytracała wysokość. Prędzej czy później uderzy w dżunglę z szybkością przekraczającą trzysta kilometrów na godzinę. Na szczęście pędzący ku ziemi samolot zabierze ze sobą do grobu również napastników w czarnych kombinezonach, bo ocalały Black Hawk żadną miarą nie mógł ich stamtąd wyciągnąć, a Jaeger wyrzucił przez okno wszystkie pozostałe spadochrony. Minusem było to, że Junkers przepadnie na zawsze, razem ze swymi sekretami – nie wspominając o tym, że toksyczny ładunek zostanie rozrzucony po dżungli. Ale Jaeger nic nie mógł na to poradzić.

Samotny nieoznakowany Black Hawk usiadł na lądowisku w dżungli.

Człowiek o kryptonimie Szary Wilk Sześć – w rzeczywistości Władimir Ustanov – wyszedł z helikoptera z telefonem satelitarnym przyciśniętym do ucha. Miał poszarzałą twarz – wciąż nie mógł się otrząsnąć z tego, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin.

– Sir, proszę zrozumieć sytuację – powiedział do telefonu zmęczonym głosem. – Z całego oddziału desantowego zostałem ja i czterech ludzi. Nie jesteśmy w stanie podjąć żadnego poważnego działania.

– A samolot? – Szary Wilk niecierpliwie domagał się wyjaśnień.

– Dymiąca ruina. Rozrzucony po dżungli na przestrzeni wielu kilometrów. Lecieliśmy za nim aż do chwili, gdy uderzył w ziemię.

– A ładunek? *Dokumenty?*

– Roztrzaskane i spalone we wraku, razem z tuzinem moich najlepszych ludzi.

– Skoro nie mogliśmy ich przejąć, to lepiej, że zostały zniszczone. No, Władimir, w końcu coś ci się udało.

– Sir, straciłem dwa Black Hawki, do tego prawie czterdziestu ludzi...

– Warto było – bez pardonowo przerwał mu Szary Wilk. – Zapłaciliśmy im za robotę, i to dobre pieniądze, więc nie oczekuj ode mnie współczucia. Powiedz lepiej, czy ktoś wydostał się żywy z samolotu?

– Widzieliśmy, jak wyskoczyły trzy postacie. Zniknęły w chmurach, ale wątpliwe, żeby ktoś z nich przeżył. Nie wiemy, czy mieli spadochrony, ale jeśli nawet, to tam jest kompletnie nie-

zbadana dżungla.

– Ale mogli przeżyć? – syknął Szary Wilk.

– Mogli – potwierdził Ustanov.

– Mogli przeżyć, a więc mogli też zabrać z wraku część rzeczy, których szukamy?

– Mogli.

– Zawracam samolot – warknął Szary Wilk. – Skoro nie dysponujemy odpowiednimi siłami do działań, mój przylot nie ma sensu. Chcę, żebyś razem z resztą ocalałych z twojego oddziału zrobił sobie wolne w jakimś odpowiednio odległym i ukrytym miejscu. Ale nie znikaj. Bądź w kontakcie.

– Rozumiem.

– Tych, którzy przeżyli – jeśli w ogóle ktoś przeżył – trzeba koniecznie znaleźć. Jeśli mają to, czego szukamy, musimy to odzyskać.

– Rozumiem.

– Będę z tobą w kontakcie w dotychczasowy sposób. A w międzyczasie, Władimirze, radzę ci zwerbować nowych żołnierzy, żeby zastąpić tych, których tak bezmyślnie straciłeś. Te same warunki, ta sama misja.

– Rozumiem.

– Jeszcze jedno: masz tę Brazylijkę?

Władimir zerknął na postać leżącą na podłodze helikoptera.

– Mam.

– Trzymaj ją. Być może nam się przyda. A na razie przesłuchaj ją na swój ulubiony sposób. Wyciągnij z niej wszystko, co wie. Przy odrobinie szczęścia może nas doprowadzić do pozostałych.

Najemnik uśmiechnął się.

– Z przyjemnością, sir.

Z pokładu Learjeta 85, lecącego wysoko nad Zatoką Meksykańską, człowiek zwany Szarym Wilkiem wykonał drugi telefon. Został przełączony do pewnego szarego gabinetu, położonego w kompleksie gmachów o szarych ścianach, zbudowanych gdzieś w głębi lasu w prowincjonalnej części stanu Wirginia, na Wschodnim Wybrzeżu USA.

Połączenie dotarło do budynku pełnego najbardziej zaawansowanych technicznie systemów przechwytywania i śledzenia informacji. Obok drzwi wejściowych wisiała niewielka mosiężna tabliczka z napisem: CIA – Wydział Analiz Zagrożeń Asymetrycznych (WAZA).

Człowiek w zwykłym cywilnym ubraniu odebrał telefon:

– WAZA. Harry Peterson.

– To ja – oznajmił Szary Wilk. – Jestem na pokładzie Learjeta i chcę, żebyś znalazł człowieka, którego dane ci przesłałem. Jaeger. William Jaeger. Wykorzystaj wszelkie możliwe źródła: internet, maile, telefony komórkowe, rezerwacje lotnicze, dane paszportowe – *wszystko*. Ostatnia znana lokalizacja to zachodnia Brazylia, okolice granicy boliwijsko-peruwiańskiej.

– Zrozumiałem, sir.

Szary Wilk przerwał połączenie.

Usadowił się wygodnie w fotelu. W Amazonii sprawy nie potoczyły się za dobrze, ale to była tylko niewielka potyczka. Jedna z wielu bitew w znacznie dłuższej wojnie – wojnie, którą on i jego poprzednicy prowadzą wytrwale od wiosny 1945. Z pewnością jest to komplikacja, ale możliwa do rozwiązania i nieporównywalna z tymi, których zaznali w przeszłości.

Sięgnął po elegancki tablet leżący przed nim na stoliku. Uruchomił go i otworzył plik zawierający listę nazwisk ułożonych w porządku alfabetycznym. Przesunął kursor na dół, po czym dopisał kilka słów przy jednym z nich: *Zaginiony w akcji. Jeśli żyje, zlikwidować. PRIORYTET*. Zrobiwszy to, podniósł leżącą obok aktówkę, położył ją na stoliku i wsunął tablet do środka. Zamknął wieko z dźwięcznym kliknięciem, a potem zatrzasnął zamek szyfrowy, zabezpieczając teczkę.

Na wieku aktówki, niewielkimi złotymi literami wypisane były słowa: *Hank Kammler, wicedyrektor, CIA*.

Hank Kammler – pseudonim Szary Wilk – delikatnie, z szacunkiem dotknął wytłoczonego napisu. Pod koniec wojny jego ojciec został zmuszony do zmiany nazwiska. SS Obergruppenführer Hans Kammler stał się Horace'em Kramerem – co ułatwiło mu przyjęcie do Biura Służb Strategicznych, poprzednika CIA. W trakcie pokonywania kolejnych szczebli kariery aż do najwyższych stanowisk w Agencji, Horace Kramer nigdy jednak nie zapomniał o swojej prawdziwej misji: ukryć się na widoku, przegrupować i odbudować Rzeszę.

Kiedy ojciec przedwcześnie zmarł, Hank Kammler postanowił przejąć po nim pałeczkę i wstąpił do CIA. Uśmiechnął się półgębkiem do siebie, a w jego oczach błysnęła cień kpiny. Ha, pomyślałby kto, że mógł się zadowolić dyskretną służbą funkcjonariusza CIA i zapomnieć o chwale nazistowskich przodków.

Niedawno zdecydował się odzyskać to, co mu się słusznie należało. Urodził się jako Hank Kramer, ale oficjalnie zmienił nazwisko na Kammler – odzyskując w ten sposób dziedzictwo ojca, a także to, co uważał za swoje przyrodzone prawo. I o ile miał coś w tej sprawie do powiedzenia, odzyskiwanie tego dziedzictwa dopiero się rozpoczynało.

Jaeger rozsiadł się w fotelu – czekał go krótki przelot do portu lotniczego na Bioko. Podróż z Londynu do Nigerii była dokładnie taka, jak oczekiwał – szybka, bezpośrednia i wygodna, choć tym razem jego budżet nie pozwalał na skorzystanie z pierwszej klasy. W Lagos przesiadł się do rozklekotanej maszyny miejscowego przewoźnika, by pokonać ostatni odcinek trasy – przez Zatokę Gwinejską na stołeczną wyspę Gwinei Równikowej.

Telefon od Pietera Boerkego był również nieoczekiwany, co intrygujący. Jakies dwa tygodnie po dramatycznym skoku z samolotu, który roztrzaskał się w dżungli, Jaeger dotarł do względnie bezpiecznego miejsca – bazy lotniczej Cachimbo. I to właśnie tam Boerke się do niego dozwonił.

– Mam twoje papiery – oznajmił. – Siódma strona manifestu, tak jak prosiłeś.

Jaeger nie miał serca powiedzieć mu, że ostatnią rzeczą, jaką mógłby się teraz przejmować, jest tajemniczy statek towarowy, który kotwiczył w porcie Bioko pod koniec drugiej wojny światowej. Poprosił o zeskanowanie papierów i przesłanie mailem. Nie otrzymał jednak takiej odpowiedzi, jakiej oczekiwał.

– Nie, stary, nie da się – powiedział przywódca puczu. – Musisz przyjechać i zobaczyć to osobiście. Bo to nie są tylko papiery, kolego. To coś materialnego. Coś, czego nie mogę przesłać mailem czy pocztą. Wierz mi, stary, musisz to zobaczyć.

– A coś więcej? – zapytał Jaeger. – To długi lot. W dodatku po tych kilku tygodniach...

– Ujmę to tak – przerwał mu Boerke. – Nie jestem nazistą. Mało tego, nienawidzę tych cholernych sukinsynów. Nie jestem też wnuczkim żadnego z nich. Ale gdybym był, to pojechałbym bardzo daleko – nawet na koniec świata, a może nawet zabiłbym po drodze wielu ludzi – żeby upewnić się, że to coś nigdy nie ujrzy światła dziennego. To wszystko, co mam ci do powiedzenia. Uwierz mi, Jaeger, musisz tu przyjechać.

Jaeger rozważał wszystkie możliwe opcje. Zakładał, że Alonzo, Kamishi i James wciąż żyją, i Indianie – ci, którzy ocaleli, doprowadzą ich do miejsca, skąd będą mogli powrócić do cywilizacji. Był niemal pewny, że Gwaihutiga nie żyje, wyrzucony z helikoptera razem ze Stefanem Krallem, prawdopodobnym zdrajcą. Leticia Santos została porwana, ale jej los był nieznany. Pułkownik Evandro obiecał zrobić wszystko, co w jego mocy, żeby ją odnaleźć, i Jaeger spodziewał się, że on i ludzie z B-SOB poruszają niebo i ziemię.

Podstęp Jaegera, polegający na odczepieniu Ju 390, bez wątpienia uratował życie załodze sterowca, łącznie z Raffem. Zmusił Black Hawka do tego, by podążył za samolotem, gdy ten nabierał prędkości w locie nurkowym, a to umożliwiło Airlanderowi dowleczenie się do Cachimbo.

Dale doznał kontuzji, gdy jego spadochron wpadł w okap dżungli, zaś Narov zranił w ramię odłamek, kiedy napastnicy wysadzili drzwi do kabiny Junkersa. Jaegerowi udało się jednak od-

należć ich na ziemi i pomóc w wędrówce – choć wcale nie było oczywiste, że wydostaną się z dżungli.

Tak, jak się spodziewał, Narov i Dale upierali się, że ich obrażenia to nic takiego i są gotowi do marszu. Jaeger obawiał się jednak, że w gorącej i wilgotnej dżungli, nie mając szans na odpoczynek, bez odpowiedniego pożywienia i leków, w ich rany może wdać się zakażenie. Wiedział oczywiście, że Narov i Dale raczej nie przejmą się jego obawami – zresztą i tak niewiele mógł w tej sytuacji zrobić. Albo wydostaną się z dżungli o własnych siłach, albo umrą.

Znalazł niewielki strumień. Podążali jego brzegiem przez dwa dni, poruszając się tak szybko, jak pozwalał na to ich stan. W końcu strumień doprowadził ich do dopływu, a ten do większej rzeki, która okazała się żeglowna. Traf chciał, że Jaeger zdołał zatrzymać przepływającą barkę z drewnem – jedną z tych przewożących pnie do tartaków.

Podróż rzeką trwała trzy dni i największym zagrożeniem było to, że Narov pożre się z pijanym brazylijskim kapitanem. Ale spokój nie trwał długo.

Jeszcze na barce u Narov i Dale'a pojawiła się infekcja, której się obawiał, i to bardzo silna. Kiedy dopłynęli do celu, złapał miejscową taksówkę i dostarczył oboje do bazy Cachimbo, z jej supernowoczesnym, pilnie strzeżonym szpitalem – mieli wysoką gorączkę.

Lekarze zdiagnozowali posocznicę – ogólnoustrojową reakcję zapalną. Stan Dale'a pogarszało jeszcze skrajne wycieńczenie. Natychmiast trafili na oddział intensywnej terapii, na którym dochodzili teraz do siebie pod troskliwą opieką pułkownika Evandro.

Uznawszy, że najgorsze niebezpieczeństwo minęło – bo w sprawie Leticii nic nie mógł zrobić – Jaeger stwierdził, że może zaryzykować lot na Bioko. Pułkownik Evandro zapewnił, że będzie go informował na bieżąco.

Jaeger obiecał, że wróci, aby zabrać Dale'a i Narov do domu, kiedy tylko ich stan się poprawi. Poprosił Raffa, żeby stale czuwał przy ich drzwiach jako dodatkowa linia ochrony.

Przed odlotem Jaeger spędził kilka chwil z Narov, którą właśnie wypisali z OIOM-u. Pokazała mu papiery, które uratowała z Ju 390. Wciąż niewiele rozumiał po niemiecku, a w dodatku większość informacji o Aktion Feuerland zapisana została na pozór przypadkowymi liczbami, które, według Narov, musiały stanowić jakiś rodzaj kodu. Dopóki go nie złamią, dopóty raczej nie mieli szans, by cokolwiek zrozumieć.

W pewnym momencie Narov poprosiła, żeby zawiózł ją na wózku do szpitalnego ogrodu, bo chciała poczuć na twarzy słońce i odetchnąć świeżym powietrzem. Gdy usadowili się w jakimś w miarę ustronnym miejscu, wyjaśniła mu co nieco z wydarzeń ostatnich dni. Jak można się było spodziewać, zaczęła od drugiej wojny światowej:

– Wiedziałeś tę całą technologię w samolocie – zaczęła słabym głosem. – Wiosną 1945 naziści testowali międzykontynentalne rakiety balistyczne. Wypełniali głowice sarinem, nie wspominając o zarazkach dżumy i jadzie kielbasianym. Kilka takich rakiet – po jednej na Londyn, Nowy Jork, Waszyngton, Toronto i Moskwę – mogłoby całkowicie odmienić losy wojny. Choć mieliśmy już wtedy bombę atomową, to była jeszcze niedoskonała. I pamiętaj, że mógł ją prze-

nosić tylko powolny bombowiec, a nie pocisk kierowany, lecący z prędkością naddźwiękową. Nie mieliśmy żadnej obrony przed ich raketami.

Naziści mieli broń ostateczną, więc zaproponowali aliancom układ, który umożliwiłby Rzeszy przeprowadzkę do wybranych kryjówek, z całym najnowocześniejszym uzbrojeniem. Alianci mieli jednak inną propozycję. Powiedzieli: »Okej, przenoście się. Zabierzcie sobie całą tę waszą Wunderwaffe. Ale pod jednym warunkiem: staniecie po naszej stronie, gdy dojdzie do prawdziwego starcia – nadchodzącej wojny globalnej z komunizmem«.

Alianci zgodzili się wspierać te zakonspirowane przeprowadzki. Oczywiście, nie mogli rozmieścić czołowych przedstawicieli nazistowskich władz w samej Wielkiej Brytanii czy Stanach. Musieli liczyć się z opinią publiczną. Wysłali ich więc na swoje podwórka – do Ameryki Południowej czy do brytyjskich kolonii: Indii, Australii i południowej Afryki – do miejsc, w których łatwo można było ich ukryć.

I tak zawarto nowy pakt. Haniebny pakt aliancko-hitlerowski – Narov przerwała, zbierając siły na ciąg dalszy. – Aktion Adlerflug – operacja „Lot Orła” – to kryptonim, jaki Hitler nadał planom przeprowadzki nazistowskich technologii i uzbrojenia – stąd te napisy na skrzyniach w ładowni Junkersa. Aktion Feuerland – operacja „Ziemia Ognia” – to kryptonim akcji przenosin czołowych nazistów.

Spojrzała na Jaegera z udręką.

– Nigdy nie znaleźliśmy listy, która pozwoliłaby ustalić, kim ci ludzie naprawdę byli. Nigdy, pomimo tych wszystkich lat poszukiwań. Mam nadzieję, że być może jest wśród dokumentów zabranych z samolotu. I że jest tam wskazówka, dokąd trafili ci ludzie i technologie.

Jaeger miał ochotę zapytać, dlaczego to takie ważne. Minęło przecież siedemdziesiąt lat. To było dawno temu. Narov jednak go uprzedziła.

– Jest takie stare powiedzenie – dała mu znak, żeby się zbliżył, a w jej głosie słychać było zmęczenie. – Dziecko węża nie przestaje być wężem. Alianci zawarli pakt z diabłem. Im dłużej diabeł się ukrywał, tym bardziej obrastał w potęgę i władzę, aż w końcu stał się niepokonany. Uważamy, że to sięga wszystkich poziomów władzy wojskowej, finansowej i międzynarodowej – także dzisiaj.

Musiła dostrzec niedowierzanie w oczach Jaegera.

– Myślisz, że przesadzam? – wyszeptała prowokacyjnie. – Przypomnij sobie, jak długo przetrwało dziedzictwo templariuszy. Historia nazizmu to mniej niż sto lat, a templariusze przetrwali tysiąc, aż do dnia dzisiejszego. Myślisz, że nazizm zniknął tak z dnia na dzień? Że ci, którzy przenieśli się do tych kryjówek, pozwoliliby Rzeszy umrzeć? Że ich dzieci zrezygnowały z tego, co uważają za swoje dziedzictwo? Reichsadler z dziwnym okrągłym symbolem poniżej ogona – uważamy, że to ich symbol, ich godło. A, jak dobrze wiesz, orzeł zaczyna się budzić.

Przez moment Jaeger myślał, że skończyła, że ta rozmowa zupełnie ją wyczerpała. Znalazła jednak w sobie jeszcze trochę siły, żeby powiedzieć parę słów:

– Williamie Edwardzie Michaelu Jaegerze, jeśli wciąż masz wątpliwości, to jedna rzecz powinna cię przekonać. Pomyśl o ludziach, którzy próbowali nas zatrzymać. Zabili trzy osoby

z twojej ekipy i wielu Indian. Mieli Predatora, Black Hawki i Bóg wie, co jeszcze. To są duchy, głęboka konspira. Zastanów się, kto ma taką władzę albo działa tak bezkarnie. Synowie węży powstają. Stworzyli globalną sieć, a ich potęga rośnie. Ale skoro *oni* mają taką sieć, to jest też sieć, która chce ich powstrzymać – przerwała, a jej twarz pobladła. – Twój dziadek był jej mózgiem, zanim zginął. Wszyscy zaproszeni do tej grupy otrzymywali nóż – symbol oporu – podobny do mojego. Kto jednak zechce wychylić tę czarę goryczy? Kto? Potęga wroga rośnie, a my słabniemy. Słyszałeś ich motto: „Wir sind die Zukunft” – „Jesteśmy przyszłością”.

Uniosła oczy na Jaegera.

– Ci z nas, którzy na nich polują... Cóż, rzadko dożywamy starości.

– Halo, proszę pana. Coś do picia przed lądowaniem? – stewardesa powtórzyła pytanie po raz trzeci.

Jaeger był myślami tysiące kilometrów stąd, wspominając rozmowę z Narov. Rosjanka nie powiedziała już nic więcej. Wyczerpanie i ból zmogły Irinę, więc Jaeger odwiózł ją do szpitalnego łóżka.

Uśmiechnął się do stewardesy.

– Poproszę Krwawą Mary. I dużo sosu Worcestershire.

Port lotniczy na Bioko nie zmienił się zbyt wiele od ostatniego pobytu Jaegera. Nowi strażnicy i celnicy zastąpili skorumpowanych gwardzistów prezydenta Honore Chambary, ale poza tym wszystko wyglądało mniej więcej tak samo. Pieter Boerke czekał w sali przylotów w towarzystwie kilku potężnych facetów, w których Jaeger rozpoznał ochroniarzy.

Boerke obalił właśnie krwawego dyktatora i nic dziwnego, że wolał mieć obstawę, i to taką rzucającą się z daleka w oczy. Wyciągnął ręce w geście powitania, a potem zwrócił się do strażników:

– Dobra, chłopaki, bierzcie go! Odwieziemy go z powrotem do Playa Negra!

Przez chwilę Jaeger napiął się, gotów do walki, ale Boerke wybuchnął śmiechem:

– Wyluzuj, stary, wyluzuj! My Afrykanerzy mamy cholernie paskudne poczucie humoru. Do brze znowu cię widzieć, przyjacielu.

W czasie przejazdu do Malabo, stolicy wyspy, Boerke opowiedział Jaegerowi o przebiegu puczu. Informacje uzyskane od majora Mojo – dawnego oprawcy Jaegera – okazały się kluczowe dla powodzenia akcji. I był to kolejny powód, dla którego Boerke chętnie spełniał złożoną wcześniej obietnicę.

Dotarli do portu Santa Isabel w Malabo i pojechali wzdłuż nabrzeża, aż zatrzymali się przed okazałym budynkiem z epoki kolonialnej, usytuowanym nad oceanem. W ciągu trzech lat spędzonych na wyspie Jaeger robił wszystko, żeby nie rzucać się w oczy, i rzadko miał powód do odwiedzin w siedzibie rządu.

Boerke poprowadził go do podziemi, w których kolejne rządy przechowywały najbardziej poufne dokumenty w kraju – choć w takim miejscu jak Gwinea Równikowa nie było ich za wiele. Kazał dokładnie zamknąć drzwi i zaryglować je, a ochroniarzy postawił na straży. Zostali sami w chłodnym, ciemnym, zatęchłym wnętrzu.

Boerke zdjął z pobliskiej półki wyblakłą, tekturową teczkę, wypełnioną grubym plikiem dokumentów. Położył ją na stole.

– Uwierz mi, stary – puknął palcem w teczkę – warto po to przelecieć pół świata.

Wskazał ręką na rzędy półek, które otaczały pokój.

– Niewiele z tego w ogóle warto zachować. Tajemnic państwowych Gwinea Równikowa ma tyle, co kot napłakał. Wygląda jednak na to, że wyspa odgrywała pewną rolę w trakcie drugiej



wojny światowej... i wierz mi, pod koniec, w czterdziestym piątym, wydarzyło się tu coś, co po prostu nie mieści się w głowie.

Przerwał na chwilę:

– No więc, na początek trochę historii. Przypuszczam, że większość tych spraw znasz, ale bez odpowiedniego wprowadzenia zawartość teczek nie będzie miała większego sensu. Bioko było kiedyś hiszpańską kolonią, zwaną Fernando Po. W czasie wojny Hiszpania teoretycznie zachowywała neutralność, a więc neutralna była także sama wyspa. W rzeczywistości rząd hiszpański był w zasadzie faszystowski i sympatyzował z Niemcami.

Tutejszy port pozwalał na dominację w Zatoce Gwinejskiej, a kontrola nad tym skrawkiem oceanu miała kluczowe znaczenie dla losów wojny w Afryce Północnej, bo wszystkie konwoje z zaopatrzeniem podążały właśnie tym szlakiem. Niemieckie u-booty grasowały na tych wodach, a mało brakowało, żeby zupełnie odciąć aliantom dostawy. Port Santa Isabel – to był tajny ośrodek u-bootów, gdzie tankowały i przezbierały się, a wszystko odbywało się za zgodą hiszpańskiego gubernatora wyspy, który nienawidził Brytyjczyków.

Na początku marca 1945 zaczęło się robić naprawdę ciekawie – oczy Boerke błysnęły. – Włoski statek towarowy, SS „Michelangelo”, przybił do portu i, oczywiście, przyciągnął uwagę trzech brytyjskich szpiegów. Zostali zainstalowani w brytyjskim konsulacie pod przykrywką dyplomatyczną. Każdy był agentem w służbie Kierownictwa Operacji Specjalnych, SOE<sup>29)</sup>. – Zerknął na Jaegera. – Zakładam, że wiesz, co to? Podobno Ian Fleming wzorował postać Jamesa Bonda na jednym z ich agentów.

---

29) Ang. Special Operations Executive

Otworzył teczkę i wyciągnął starą, czarno-białą fotografię. Ukazywała duży parowiec z maszynowym kominem sterującym pionowo ze śródkręcia.

– To „Michelangelo”. Zauważ jednak, że ma barwy Compañía Naviera Levantina, hiszpańskiej firmy przewozowej. Założył ją niejaki Martin Bormann – kontynuował. – Człowiek lepiej znany jako bankier Hitlera. Spółka miała jeden cel – rozwieźć nazistowskie łupy w najdalsze krańce świata pod banderą neutralnego państwa, jakim formalnie była Hiszpania. Bormann zniknął pod koniec wojny. Kamień w wodę. Nigdy go nie odnaleziono.

Najważniejsze zadanie Bormanna polegało na nadzorowaniu grabieży Europy. Naziści wozili do Niemiec dzieła sztuki, pieniądze i złoto, które zdołali zrabować. Pod koniec wojny Hitler stał się najbogatszym człowiekiem w Europie, może nawet na świecie. Zgromadził też największą w historii kolekcję dzieł sztuki. Bormann miał zadbać, żeby całe to bogactwo nie przepadło wraz z upadkiem Rzeszy – Boerke klepnął dłonią w teczkę. – I najwyraźniej Fernando Po stała się punktem tranzytowym dla wielu nazistowskich łupów. Między styczniem i marcem 1945 pięć kolejnych transportów morskich przeszło przez port Santa Isabel, każdy wypakowany

po brzegi zagrabionym mieniem. Wszystko zostało przeladowane na u-booty do dalszego transportu i tu trop się urywa.

Agenci SOE dokumentowali wszystko bardzo szczegółowo – podjął Boerke. – Ale najdziwniejsze jest to, że alianci nie zatrzymali nazistów. Oficjalnie głosili, że chcieli zrobić rajd na te statki. W rzeczywistości nie kiwnęli palcem. Ci agenci byli dość nisko w hierarchii i nie potrafili zrozumieć, dlaczego te transporty nigdy nie zostały przechwycone. Dla mnie to też nie miało większego sensu, przynajmniej dopóki nie zobaczyłem kilku ostatnich stron tej teczki. I tak dochodzimy do „Duchessy”.

Boerke wyjął z teczki kolejną fotografię.

– Oto i ona, „Duchessa”. Zwróć uwagę na różnice pomiędzy nią a poprzednimi statkami. Też miała barwy Compañia Naviera Levantina, ale była liniowcem towarowo-pasażerskim. Wozila zarówno towary, jak i ludzi. Po co przysyłać taki statek, skoro ładunek składał się niemal wyłącznie z bezcennych dzieł sztuki i złota, zrabowanych w całej Europie?

Boerke spojrzał na Jaegera.

– Powiem ci, dlaczego: ponieważ statek miał przewieźć przede wszystkim pasażerów. – Pchnął po stole kartkę papieru. – Siódma strona manifestu przewozowego „Duchessy”. Zawiera listę ponad dwudziestu pasażerów, ale każdy oznaczony jest tylko ciągiem cyfr. Bez nazwisk. Ale to nie jest jeszcze wystarczający powód, żeby chciało ci się lecieć na Bioko, co, przyjacielu?

Na szczęście, agenci SOE okazali się bardzo zaradni. – Wyjął ostatnie zdjęcie i pchnął je w stronę Jaegera. – Nie wiem, na ile jesteś obeznany z hitlerowskimi prominentami, z wiosny 1945. To zdjęcie zostało zrobione obiektywnym długoogniskowym, zapewne z okna brytyjskiego konsulatu, które wychodzi na port. Piękne mundury, nie uważasz? – spytał Boerke sarkastycznie. – Te długie skórzane płaszcze? Te skórzane oficerki? Te trupie główki? – Przesunął ręką po gęstej brodzie. – Problem w tym, że w tych cholernych mundurach wszyscy wyglądają tak samo. Ale ci faceci to bez wątpienia sama nazistowska wierchuszka. Z całą pewnością. Jeśli złamiesz kod tej listy, to poznasz ich nazwiska.

– To dokąd, do licha, popłynęli dalej? – spytał Jaeger z niedowierzaniem.

W odpowiedzi Boerke odwrócił fotografię.

– Pieczętka z datą: 9 maja 1945. Już po podpisaniu przez hitlerowców bezwarunkowej kapitulacji. I tu właśnie trop się urywa. Ale może jest to gdzieś w tym zakodowanym dokumencie. Stary, siedziałem nad tą teczką nie wiem ile. Składałem ze sobą wszystkie fakty, a kiedy zrozumiałem, co to jest – stary, jeszcze nigdy w życiu nie miałem takiego pietra.

Potrząsnął głową.

– Jeśli to wszystko jest prawdą – a te akta na bank nie są fałszywką – to wywracają wszystko, co wiedzieliśmy, a przynajmniej wydawało nam się, że wiemy. Całą powojenną historię. Normalnie szok. Próbuję o tym nie myśleć. Wiesz dlaczego? Ponieważ skóra mi cierpnie. Tacy ludzie jak oni raczej nie siedzą cicho i nie uprawiają ogródków.

Jaeger przez dłuższą chwilę wpatrywał się w fotografię.

– Ale jak akta SOE trafiły w ręce hiszpańskiego gubernatora Fernando Po?

Boerke roześmiał się.

– A, to zabawna historia. Gubernator połapał się, że ci tak zwani brytyjscy dyplomaci są w rzeczywistości szpiegami. I pomyślał: a co tam? Zorganizował włamanie do konsulatu i ukradł wszystkie dokumenty. Niezbyt to uczciwe, ale zainstalowanie szpiegów na jego wyspie też raczej takie nie było. Znasz stare powiedzonko: Uważaj, czego sobie życzysz? – Boerke pchnął całą teczkę w stronę Jaegera. – Przyjacielu, proszę i masz. Wszystko jest twoje.

Boerke nie przesadzał. Akta rzeczywiście szokowały, ale też dostarczały całkowicie nowej wiedzy. Kiedy Jaeger pakował je do bagażu podręcznego, przypomniały mu się słowa Narov: „Czara goryczy”. Miał wrażenie, że dokumenty bardzo ciężą mu w torbie. Zawierały kolejne elementy układanki, za które „dzieci węży” zabiłyby bez wahania.

Z cennym bagażem w garści dołączył do Boerkego, który zaproponował mu wycieczkę po wyspie przed lotem powrotnym do Londynu. Obiecał kolejne niespodzianki, choć Jaegerowi trudno było sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło przebić te akta.

Wyjechali z Malabo na wschód, kierując się w gęsty tropikalny busz. Po jakimś czasie Boerke wjechał na wąską drogę gruntową, biegnącą w stronę wybrzeża. Jaeger wiedział, dokąd jadą. Do Fernao, rybackiej wioski, gdzie spędził długie trzy lata, ucząc dzieci angielskiego. Gorączkowo myślał, co powie wodzowi, którego syn, Mały Mo, zginął podczas bitwy na plaży. To było niecałe dwa miesiące temu, jednak Jaeger miał wrażenie, że minęły wieki.

Boerke musiał zauważyć obawę, rysującą się na jego twarzy. Rozeźmiał się.

– Jaeger, stary, mówię ci, wyglądasz, jakbyś miał większego cykora niż wtedy, kiedy kazałem moim chłopakom wrzucić cię do ciupy. Wyluzuj. Czeka na ciebie kolejna wielka niespodzianka.

Kiedy pokonali ostatni zakręt, Jaeger zdziwił się na widok czegoś w rodzaju powitalnego przyjęcia. Podjechali bliżej. Wyglądało to tak, jakby zebrała się prawie cała wioska... tylko po co? By go powitać? Po tym, co się stało, na pewno na to nie zasługiwał.

Zauważył odręcznie wykonany transparent, rozwieszony między palmami nad dróżką. Widniały na nim słowa: „WITAJ W DOMU, WILLIAMIE JAEGERZE”.

Gdy auto się zatrzymało, samochód otoczyli jego dawni uczniowie. Jaeger pocuł, jak wzruszenie ścisła mu gardło. Kiedy złapały go drobne ręce i poprowadziły do chaty wodza, Boerke i jego ochroniarze dyskretnie się oddalili. Jaeger przygotowywał się psychicznie na coś, co, jak przypuszczał, będzie słodko-gorzkim spotkaniem.

Wszedł do środka. Po ostrym słonecznym świetle jego oczy przez chwilę przyzwyczajały się do mroku panującego w chacie. Znajome echo fal z pobliskiej plaży przenikało przez cienkie ściany lepianki. Wódz wyciągnął do niego rękę, ale nagle chwycił go w niedźwiedzi uścisk:

– Williamie Jaegerze... Williamie, witaj. Wioska Fernao zawsze będzie twoim domem.

Wódz Ibrahim zdawał się bliski łez. Jaeger też walczył z emocjami.

– In sza Allah, miałeś dobrą podróż? – zapytał wódz. – Po waszej ucieczce nie wiedzieliśmy, czy udało wam się przepłynąć przez morze, tobie i twojemu przyjacielowi.

– In sza Allah – odpowiedział Jaeger. – Tak, udało się nam. Raff i ja mieliśmy też o wiele więcej przygód.

Ibrahim uśmiechnął się. Wskazał ciemny kąt chaty. – Chodź – zachęcił. – Wystarczająco długo kazaliśmy panu Jaegerowi czekać.

Niewielka postać wyskoczyła z cienia i rzuciła się wprost w ramiona Jaegera.

– Proszę pana! Witamy! Witamy w domu! I niech pan patrzy! – Chłopiec wskazał na okulary przeciwsłoneczne na czole. – Wciąż je mam! Pana okulary! Pana okulary!

Jaeger roześmiał się. Aż trudno mu było uwierzyć. Mały Mo wciąż miał głowę owiniętą grubym bandażem, ale żył! Mocno go przytulił, ciesząc się, że chłopiec jakimś cudem ocalał. Ale poczuł też w głębi serca ukłucie smutku i żalu z powodu niepowetowanej straty własnego syna. Luke powinien być mniej więcej w wieku Małego Mo. Jeśli jeszcze żył...

Popisując się niezwykłym wyczuciem czasu, dołączył teraz do nich Boerke, a wódz zaczął opowieść o cudownym ocaleniu syna:

– Bogu – i panu, panie Jaeger – możemy dziękować za... ten cud. I oczywiście panu Boerke-mu. Kula, która trafiła mojego syna w noc pana uciezki, częściowo chybiła. Zostawili go umierającego i baliśmy się, że rzeczywiście umrze. Oczywiście, nie mieliśmy pieniędzy, żeby posłać go do odpowiedniego szpitala, w którym mogliby go uratować.

Potem doszło do przewrotu i ten człowiek pojawił się tutaj – wódz wskazał na Boerkego – z kawałkiem papieru i jakimiś liczbami. To był kod dostępu do konta, na którym zostawił pan... pieniądze. Dzięki nim i pomocy pana Boerkego wysłałem syna do szpitala w Kapsztadzie, najlepszego w całej Afryce, a tam go odratowali.

– To kosztowało mnóstwo pieniędzy, ale i tak wiele zostało. – Wódz uśmiechnął się. – Najpierw kupiłem kilka nowych łodzi w miejsce tych, które nam zabrano lub zniszczono. A potem postanowiliśmy zbudować szkołę. Taką z prawdziwego zdarzenia, żeby nauka nie musiała już odbywać się pod palmami. A na koniec zatrudniliśmy na stałe nauczycielkę, jeśli pani Topeka zechce się przedstawić.

Pojawiła się młoda, elegancko ubrana miejscowa kobieta, obdarzając Jaegera nieśmiałym uśmiechem.

– Wszystkie dzieci mówią o panu z wielkim uczuciem, panie Jaeger. Staram się kontynuować pana dzieło.

– Oczywiście, wciąż znajdzie się miejsce dla tak utalentowanego nauczyciela jak ty – dodał wódz. – A Mały Mo bardzo tęskni za meczami siatkówki plażowej! Czuję jednak, że chyba masz jeszcze coś do załatwienia w szerokim świecie, i że może to dobrze... – przerwał na moment. – In sha Allah, Williamie, odnalazłeś właściwą drogę.

Czy aby na pewno? Naprawdę ją odnalazł? Pomyślał o złowrogim samolocie, którego szczątki leżały teraz porozrzucane po dżungli, pomyślał o Irinie Narov i jej ukochanym sztylecie, o zaginionych najbliższych, Ruth i Luke'u. Wydawało mu się, że jest na rozdrożu, ale może wszystkie te drogi w jakiś sposób się krzyżowały.

– In sha Allah – potwierdził. Zmierzył włosy Małego Mo. – Ale zróbcie coś dla mnie – za-trzymajcie dla mnie tę posadę, tak na wszelki wypadek!

Wódz obiecał, że tak będzie.

– Już pora – oznajmił. – Musisz zobaczyć miejsce, które wybraliśmy pod budowę szkoły. Wychodzi na plażę, z której uciekaliście, i chcemy, żebyś położył kamień węgielny. Myślimy o tym,

żeby nosiła imię Williama Jaegera i Pietera Boerkego, bo bez was by jej nie było.

Zaskoczony Boerke potrzasnął głową.

– Jestem zaszczycony, ale wystarczy, jeśli szkoła będzie miała imię Williama Jaegera. Ja byłem tylko posłańcem.

Odwiedziny miejsca, w którym miała powstać szkoła, były wyjątkową chwilą. Jaeger położył kamień węgielny, na którym staną kiedyś mury, a potem obaj zostali na obowiązkowej uczcie. W końcu jednak się pożegnali.

Jaeger musiał zdążyć na samolot, a Boerke zaplanował jeszcze jeden przystanek na trasie objazdu wyspy.

Boerke pojechał z Fernao na zachód, kierując się z powrotem w stronę Malabo. Gdy dotarli do nadbrzeżnej drogi, Jaeger był już niemal pewien, dokąd zmierzają. I nie pomylił się – przez szeroko otwartą bramę, przy której stali nowi strażnicy, z wyglądu o wiele sprawniejsi i bardziej kompetentni, wjechali na ogrodzony teren więzienia Playa Negra. Boerke zaparkował w cieniu wysokiego muru.

Odwrócił się do Jaegera.

– Jak w domu, co? Nadal służy za więzienie, ale z całkiem nowym kompletem osadzonych. Cele tortur są teraz puste, a reki wariują z głodu. – Zawiesił głos. – Jest jedna rzecz, którą chcę ci pokazać, i kilka, które powinieneś odzyskać.

Wysiedli z auta, po czym weszli do ciemnego wnętrza. Jaeger nie mógł zaprzeczyć, że czuje się nieswojo, wracając do miejsca, w którym był obrzucany bynajmniej nie przysłowiowym gównem, zaś karaluchy niemal wyżarły mu mózg. Ale, co tam, może dzięki temu rozprawi się z demonami przeszłości.

Niemal natychmiast zorientował się, dokąd prowadzi go przewodnik – do jego dawnej celi. Boerke stuknął w kraty, próbując zwrócić uwagę siedzącej wewnątrz postaci.

– No, Mojo, czas na spotkanie z nowym strażnikiem. – Wskazał na Jaegera. – Ojej, jak to role się odwróciły.

Nowy lokator celi Jaegera podniósł wzrok, z przerażeniem malującym się na twarzy.

– A jeśli teraz nie będziesz grzeczny, ale tak naprawdę grzeczny – kontynuował Boerke – pozwolę panu Jaegerowi zadać ci jakąś nową torturę, zarezerwowaną wyłącznie dla ciebie. – Zerknął na Jaegera. – Zajmiesz się tym?

Jaeger wzruszył ramionami.

– Jasne. Chyba pamiętam kilka tych co bardziej paskudnych z czasów, gdy on był tutaj, a ja tam.

– Słyszysz, Mojo? – Boerke zapytał więźnia. – I powiem ci coś jeszcze, stary: reki. Słyszałem, że są teraz bardzo, ale to bardzo głodne. Bądź ostrożny, przyjacielu. Bardzo, bardzo ostrożny.

Zostawili byłego oprawcę Jaegera i skierowali się do biura. Po drodze Boerke zatrzymał się przed bocznym korytarzem, prowadzącym do bloku izolatek. Spojrzał na swego towarzysza.

– Wiesz, kogo tam mamy? – Kiwnął głową w stronę korytarza. – Chamberę. Złapaliśmy go na lotnisku, gdy próbował zwiać. Chcesz się z nim przywitać? To ten drań kazał ci aresztować, co nie?

– Tak, to on. Niech tam sobie siedzi w spokoju. Ale chętnie wezmę jeden z jego jachtów – odparł Jaeger z uśmiechem.

Boerke roześmiał się.

– Dopiszę cię do listy. Nie, stary. Nie jesteście tu, żeby łupić i kraść. Jesteście tu, żeby odbudować ten kraj.

Weszli po schodach do biura. To tutaj najpierw go zaciągnęli, żeby dopełnić formalności, zanim wtrącili do celi. Boerke powiedział coś do strażnika przy biurku, a ten podał niewielki tobolek z dobytkiem – głównie odzieżą – obwiązany pasem.

Boerke oddał go Jaegerowi.

– To chyba twoje. Ludzie Mojo ukradli wszystko, co miało jakąś wartość, ale uchowało się kilka rzeczy osobistych, które pewnie chciałbyś odzyskać. – Zaprowadził go do pokoju obok, a potem wycofał się dyskretnie, zapewniając Jaegerowi trochę prywatności.

Oprócz ubrań był tam też stary portfel. Zniknęły oczywiście wszystkie pieniądze i karty kredytowe, ale i tak ucieszył się, że go odzyskał. Portfel, zrobiony z ciemnozielonej skóry, był prezentem od żony. Na wewnętrznej stronie jednej z kłapek widniało, dyskretnie umieszczone, motto SAS: „Kto ryzykuje, ten wygrywa”.

Jaeger sprawdził tajną przegródkę ukrytą pod podszewką. Na szczęście strażnicy nie pomyśleli, żeby tutaj zajrzeć. Wyciągnął niewielką fotografię. Piękna, zielonooka kobieta z noworodkiem w ramionach – Ruth i Luke, wkrótce po narodzinach chłopca. Pod zdjęcie wepchnięty był skrawek papieru. Zapisał na nim PIN-y do swoich kart kredytowych, ale tak, żeby nikt nie potrafił ich odczytać. Wykorzystał prosty rodzaj szyfrowania: do każdej z czterech cyfr dodał kolejną liczbę ze swojego roku urodzenia – 1979. W ten sposób 2345 dało 3.12.11.14. Proste. *Szyfrowanie*.

Na moment myśli Jaegera wróciły do starej skrzyni wojennej, pozostawionej w mieszkaniu w Wardour Castle, a konkretnie do leżącej w niej księgi – rzadkiej kopii bogato ilustrowanego średniowiecznego manuskryptu, w całości zapisanego tekstem w nieznanym języku. A potem sięgnął pamięcią do rozmowy z archiwistą, Simonem Jenkinsonem, w siedzibie Wild Dog Media w Soho, prowadzonej nad nieświeżym i gumowatym sushi: „Istnieje coś takiego, jak książka szyfrów. Jej piękno tkwi w absolutnej prostocie; no i w tym, że nie da się jej rozszyfrować – oczywiście, dopóki przypadkiem nie odkryjesz, jaka książka jest przypisana każdej osobie”. Po tem archiwista zapisał z pozoru przypadkowy ciąg cyfr...

Jaeger sięgnął do torby, wyciągnął teczkę zabraną z siedziby rządu w Malabo, po czym znalazł kartkę z manifestu przewozowego „Duchessy”. Szybko przebiegł wzrokiem po na pozór przypadkowej kolumnie cyfr, czując rosnące podniecenie.

Irina Narov potwierdziła, że dziadek Ted był przywódcą grupy ścigającej nazistów. Już na podstawie tych kilku szczegółów, które wuj Joe był w stanie mu zdradzić, Jaeger wiedział, że on także odgrywał pewną rolę w misji swojego brata. Obaj starszankowie mieli w domu tę samą rzadką i starą książkę – manuskrypt Voynicha. Może w tym szaleństwie jest metoda. Może manuskrypt był kluczem do szyfrów. Może dziadek Ted i wuj Joe zdobyli jakieś nazistowskie dokumenty z końca wojny i łamali ich kod w ramach polowania na ukrywających się zbrodniarzy.

Jeśli tak, to Jaeger miał w ręku odpowiedź, jak złamać szyfry. Gdyby on, Narov i ewentualnie Jenkinson wspólnie siedli nad księgami i dokumentami, to być może wszystko zaczęłoby



nabierać sensu. Uśmiechnął się do siebie. Boerke miał rację – po coś takiego naprawdę warto było odbyć podróż na Bioko, a nawet dalej.

Boerke zapukał i wszedł do pokoju.

– No, stary, wyglądasz na zadowolonego. Chyba jednak cieszysz się, że przyjechałeś?

Jaeger kiwnął głową.

– Jestem twoim wielkim dłużnikiem, Pieter.

– W żadnym wypadku. Jesteśmy kwita, i tyle.

Jaeger wyjął z torby podróżnej iPhone'a.

– Muszę wysłać dwa szybkie maile.

– Śmiało, jeśli tylko złapiesz sygnał – odpowiedział Boerke. – Zasięg wokół Malabo bywa naprawdę kiepski.

Jaeger uruchomił telefon, po czym wszedł na swoje konto pocztowe i napisał pierwszą wiadomość:

*Simon,*

*Wracam przez Londyn, będę jutro rano. Znajdziesz czas na spotkanie, jakąś godzinkę? Przyjadę, gdzie będziesz mógł. To pilne. Myślę, że spodoba ci się to, co znaleźliśmy. Daj znać jak najszybciej.*

*Jaeger*

Wiadomość wylądowała w skrzynce nadawczej z komunikatem „czeka na sygnał”, a on zaczął pisać drugą:

*Irina (jeśli mogę się tak do ciebie zwracać),*

*Mam nadzieję, że wszystko z tobą w porządku i szybko zdrowiejesz. Wkrótce będę w drodze powrotnej do Cachimbo. Dobra wiadomość: chyba mogę złamać szyfr. Powiem więcej, kiedy się spotkamy.*

*Trzymaj się,  
Will*

Nacisnął „wyslij” i niemal w tym samym momencie telefon zaszyfrował, że złapał jakąś miejscową sieć o nazwie Safaricom. Symbol wysyłania wirował przez kilka sekund, aż w końcu telefon stracił połączenie.

Już miał wyłączyć aparat i włączyć go ponownie, gdy iPhone zgasł sam z siebie, a potem się uruchomił. Na ekranie zaczęła pojawiać się wiadomość, jakby sama się wpisywała:

*Pytanie: jak cię znaleźliśmy?*

*Odpowiedź: twoja przyjaciółka nam powiedziała.*

Niemal natychmiast ekran znowu pociemniał, a potem rozjaśnił się stopniowo, ukazując obrzydliwie znajomy symbol – Reichsadler.

Ale tym razem znak umieszczony był na tle nazistowskiej flagi, przypiętej do ściany. Pod nią, na wyłożonej kafelkami podłodze, leżał na plecach Andy Smith, ze związanymi kostkami i nadgarstkami. Szmata, którą zarzucili mu na twarz, i wywrócone wiadro świadczyły o tym, że był podtapiany.

Jaeger nie mógł oderwać oczu od przerażającego obrazu. Mógł się tylko domyślać, że zdjęcie zostało zrobione w pokoju Smithy'ego w hotelu Loch Iver, zanim zawlekli go na smagane burzami wzgórze, wmusili w niego butelkę whisky, a potem zrzucili w otchłań. Najpewniej to Stefan Kral przekonał Smithy'ego, żeby otworzył drzwi prześladowcom.

Andy raczej nie mógł powiedzieć im niczego ważnego, poza ogólnym położeniem samolotu, ponieważ pułkownik Evandro nie ujawnił jeszcze wtedy dokładnych współrzędnych.

Pod zdjęciem samoistnie pojawiły się kolejne słowa: *Oddaj nam to, co nasze. Wir sind die Zukunft.*

*Oddaj nam to, co nasze.* Jaeger mógł tylko przypuszczać, że chodzi o dokumenty zabrane z kabiny Ju 390. Skąd jednak wiedzieli, że Narov je wzięła i że nie spadły wraz z samolotem? Jaeger nie miał pojęcia... Nagle go olśniło – *Leticia Santos*. Najwyraźniej zmusili ją do mówienia. Jak każdy w zespole, także Leticia była świadoma, że w kabinie Junkersa znaleźli coś o wyjątkowym znaczeniu. To było oczywiste – pod przymusem wyjawiała wszystko, co wiedziała.

Jaeger usłyszał głos za plecami:

– Stary, kto ci to przysłał, na Boga? I po co? – To był Boerke, który gapił się na ekran telefonu Jaegera.

Te słowa wyrwały go z transu, a wtedy nagle uświadomił sobie coś przerażającego. Wyrzucił telefon przez otwarte okno najdalej, jak tylko mógł, wprost w gęsty busz. Złapał torbę i zaczął biec, wrzeszcząc do Boerkego:

– WNOGI! Wszyscy na zewnątrz! JUŻ!

Wypadli pędem z biura, krzycząc do strażników. Ledwie dobiegli do dawnych cel tortur w piwnicach, gdy Hellfire uderzył. Wbił się w ziemię, gdzie upadł telefon, a wybuch wyrwał ogromną dziurę w murze otaczającym więzienie i zniszczył przylegający do niego budynek biurowy – ten, w którym jeszcze przed chwilą rozmawiali.

Piwnica uchroniła ich przed obrażeniami, większość strażników również wyszła z ataku bez szwanku. Ale Jaeger nie miał złudzeń – Ciemna Siła prawie dopadła go w więzieniu, w którym już raz niemal stracił życie. A on, William Jaeger, znowu stał się zwierzyną łowną.

Na szczęście w Malabo było parę kafejek internetowych. Za poradą Boerkego Jaeger wybrał jedną z nich i wysłał najkrótszą możliwą wiadomość:

*Przerwijcie całą otwartą komunikację. Podróż zgodnie z planem. Odpowiedź zgodnie z ustaleniami.*

WJ

Nawet w cywilu Jaeger trzymał się starej wojskowej zasady: „Nie planujesz – żałujesz”. Przed wyjazdem z Cachimbo przygotował alternatywne trasy podróży oraz metody komunikacji, na wypadek takich sytuacji jak ta – ponownego zagrożenia. Zakładał, że wrogowie będą mieć teraz dwa cele: próbując odzyskać dokumenty albo zabić wszystkich, którzy wiedzą o ich istnieniu. A w miarę możliwości zrealizować oba.

Zapisał wersję roboczą na koncie, do którego dostęp miał tylko trzon jego ekipy – Narov, Raff i Dale. Wiedzieli, jak odczytać list bez jego wysyłania – dzięki czemu nie można go było przechwycić.

Wiadomość zawierała termin spotkania za kilka dni we wcześniej ustalonym miejscu. Jeśli w skrzynce nie pojawi się inna wersja robocza, spotkanie ma się odbyć. Komunikat „podróż zgodnie z planem” informował Narov, Raffa i Dale’a, że polecą do Anglii, posługując się paszportami, które otrzymali dzięki uprzejmości kolegów pułkownika Evandro z brazylijskiego wywiadu. Pułkownik był tak zdeterminowany, żeby odstawić ich bezpiecznie do domu i rozwiązać zagadkę Ju 390, że jeżeli będzie to konieczne, przerzuci ich na Wyspy Brytyjskie pod przykrywką brazylijskiej misji dyplomatycznej.

Podróż z Bioko do Londynu Jaeger odbył faktycznie zgodnie z planem. Nie było sensu niczego zmieniać, bo rezerwacji dokonywał na nazwisko widniejące w dostarczonym przez pułkownika „czystym” paszporcie, którego nie powinni namierzyć.

Po przylocie złapał pociąg z lotniska Heatrow do Paddington, a tam przesiadł się do taksówki. Poprosił kierowcę o zatrzymanie się jakiś kilometr od Springfield Marina, żeby mógł pieszo dojść do barki. Było to jeszcze jeden środek ostrożności, aby upewnić się, że nikt go nie śledzi.

Mieszkanie na łodzi miało kilka zalet, między innymi to, że nie zostawiał po sobie śladów. Jaeger nie płacił lokalnego podatku, nie widniał w spisie wyborców ani rejestrze właścicieli nieruchomości, w dodatku zdecydował się nie podawać swojego adresu pocztowego w marinie. Sama łódź została zarejestrowana na anonimową zagraniczną spółkę, podobnie jak cumowisko. Krótko mówiąc, jego barka na Tamizie nadawała się jak mało co na miejsce tajnego spotkania.

Po drodze wstąpił do zapuszczonej kafejki internetowej. Zamówił kawę, po czym zalogował się i sprawdził skrzynkę roboczą. Były w niej dwie wiadomości. Jedna od Raffa, przesuwająca spotkanie o kilka godzin po to, aby mieli czas dotrzeć na miejsce. Druga wiadomość była pusta, zawierała tylko link. Jaeger kliknął w niego i otworzył się katalog w Dropboxie, internetowym systemie przechowywania danych. Zawierał jeden plik JPEG. Kliknął na niego.

Mieli tu wolne łącze, ale w miarę, jak plik się otwierał, Jaeger czuł, jakby co chwila ktoś z całej siły walił go w brzuch. Zobaczył Leticję Santos – naga, na klęczkach, ze związanymi rękami i nogami, wpatrzoną w obiektyw zacerwienionymi oczami pełnymi przerażenia.

Za nią widać było coś, co wyglądało jak poszarpane i poplamione krwią prześcieradło, na którym nagryzmolone zostały dobrze mu już znane słowa: „Oddaj to, co nasze. Wir sind die Zukunft” – nabazgrane czymś, co wyglądało na ludzką krew.

Jaeger nawet się nie wylogował, tylko wybiegł z kafejki, zostawiając kawę nietkniętą. W jakiś sposób nawet ich zmyślna metoda komunikowania się przez wersje robocze została wysłędzona. Skoro tak, to kto wie, jak szybko może się tu pojawić dron uzbrojony w pociski Hellfire? Wątpił wprawdzie, czy wrogowie mogą posłać maszynę nad wschodni Londyn, ale zakładanie z góry, że coś się nie stanie, to prosta droga do porażki.

Instynktownie domyślał się, o co chodzi przeciwnikowi. Celowo go prowokowali. To był sprawdzony sposób prowadzenia wojny, zwany przez Niemców Nervenkrieg – wojną psychologiczną. Z premedytacją dręczyli Jaegera, w nadziei, że zostanie w jednym miejscu na tyle długo, że zdołają go wysłędzić, zlokalizować i zabić. A jeśli nie, to chcieli go sprowokować, by ruszył w pościg samotnie. I, prawdę mówiąc, Nervenkrieg zaczynała działać.

Po ujrzeniu tego przerażającego obrazu, Jaeger z trudem zdusił w sobie pokusę, by natychmiast ruszyć śladem oprawców Leticii. Oczywiście samotnie. Było wiele tropów, za którymi mógł podążać. Choćby za pilotem Herculesa C-130. Carson na pewno miał na niego jakieś namiary w dokumentach, a to wystarczyło, by zacząć go szukać. W dodatku pułkownik Evandro obiecał przekazać mu wszystkie nowe dowody z ich własnego śledztwa. Jaeger musiał się jednak powstrzymać.

Powinni przegrupować siły, przeanalizować wszystko, czego do tej pory się dowiedzieli, rozpoznać teren, wroga i zagrożenia, opracować strategię i zaplanować właściwe działania. Musiał też w jakiś sposób odzyskać inicjatywę – podejmować ruchy wyprzedzające, a nie tylko reagować na prowokacje nieprzyjaciela. Znowu sprawdzała się stara zasada: nie planujesz – żałujesz.

Jako pierwszy na wieczorne spotkanie na barce przybył Simon Jenkinson.

Większość dnia Jaeger spędził na swoim Triumphie Explorerze, odwiedzając potajemnie mieszkanie w Wardour Castle. Zabrał stamtąd manuskrypt Voynicha, który odziedziczył po dziadku Tedzie. Z pewną dozą szacunku położył opasył tom na biurku, czekając na Jenkinsona.

Archiwista przyszedł dobre pół godziny przed czasem. W nieco tylko mniejszym stopniu, niż przy poprzednim spotkaniu, przypominał zasnętego wargacza. Na prośbę Jaegera znalazł tłumaczenie manuskryptu Voynicha. Przyniósł je ze sobą, mocno przyciskając łokciem do boku. Jaeger ledwo zdążył zaproponować mu filiżankę herbaty, gdy Jenkinson bez słowa rozsiadł się, rozkładając tłumaczenie obok książki i teczki z Bioko. Wpatrując się w tekst przez okulary z grubymi szklami, zsunięte na czubek nosa, pracował nad listą z „Duchessy”, zawierającą na pozór przypadkowe liczby – próbując złamać kod, a przynajmniej tak Jaeger przypuszczał.

Godzinę później archiwista uniósł głowę nad tekstów, a jego oczy płonęły z ekscytacji.

– Eureka! – krzyknął. – Wreszcie! Rozszyfrowałem dwa, żeby upewnić się, że pierwsze nie było przypadkiem. A więc... numer jeden: Adolf Eichmann.

– Nazwisko znam – przyznał Jaeger. – Ale przypomnij mi szczegóły.

Jenkinson zdążył już ponownie pochylić się nad książkami i dokumentami.

– Eichmann to naprawdę wredny typ. Jeden z głównych architektów holokaustu. Uciekł z hitlerowskich Niemiec pod koniec wojny, ale został wysledzony w Argentynie na początku lat sześćdziesiątych.

Po chwili przerwy Jenkinson oznajmił:

– Następnym to Ludolf von Alvensleben.

Jaeger potrząsnął głową – to nazwisko nic mu nie mówiło.

– SS-Gruppenführer i masowy morderca w całym tego słowa znaczeniu. Nadzorował egzekucje w „Dolinie Śmierci” na północy Polski, wysyłając do grobu tysiące ludzi. – Jenkinson podniósł wzrok na Jaegera. – Także uciekł do Argentyny i dożył tam sędziwego wieku. – Znowu pochylił się nad książkami, kartkując je w tę i z powrotem, dopóki nie odkodował trzeciego nazwiska.

– Aribert Heim – odczytał. – O nim musiałeś słyszeć. Po wojnie długo szukano jego kryjówki. Wcześniej zaś nadano mu przydomek Doktor Śmierć. Zapracował na to w obozach koncentracyjnych, eksperymentując na więźniach. – Jenkinson wzdygnął się. – Przypuszczano, że on także ukrył się w Argentynie, a plotka głosi, że zmarł śmiercią naturalną.

– Zaczyna pojawiać się pewien trend – zauważył Jaeger. – Trend południowoamerykański.

Jenkinson uśmiechnął się.

– W rzeczy samej.

Zanim zdążył odszyfrować kolejne nazwisko, przybyła pozostała część zespołu – Raff prowadził Irinę i Mike’a Dale’a. Wyglądali na zmęczonych podróżą, ale też na zdumiewająco

zdrowych i zdecydowanie lepiej odżywionych niż wtedy, gdy Jaeger widział ich po raz ostatni. Przywitał każdego z osobna i przedstawił ich Jenkinsonowi.

Raff, Narov i Dale najpierw wsiadli do samolotu z Cachimbo do Rio, a potem przylecieli bezpośrednio do Londynu. Byli więc w podróży od osiemnastu godzin, a noc, którą mieli przed sobą, zapowiadała się na długą. Jaeger zaparzył dużo mocnej kawy, a potem przekazał dobre wieści: najwyraźniej szyfr książkowy sprawdzał się – przynajmniej w przypadku dokumentów z Bioko.

Pięć postaci zebrano wokół manuskryptu Voynicha i jego przekładu, zaś Narov wyjęła torbę z dokumentami, którą zabrała z kabiny Ju 390. W powietrzu czuć było nerwowe oczekiwanie. Czyżby siedemdziesiąt lat ponurej i skrywanej historii wreszcie miało ujrzeć światło dzienne?

Irina wyjęła pierwszy plik dokumentów.

Dale wyciągnął kamerę. Kiwnął nią w stronę Jaegera.

– Mogę tu nagrywać?

– Podmienili cię, czy jak?? – przygadał mu Jaeger. – Najpierw filmujesz, a potem zadajesz pytania, czy nie tak?

Dale wzruszył ramionami.

– To twój dom. To nie to samo co w dziczy.

Jaeger wyczuł zmianę w tym człowieku – dostrzegł dojrzałość i autentyczną troskę, jakby perypetie z ostatnich tygodni odcisnęły na nim swoje piętno.

– Ależ proszę – powiedział do operatora. – Filmuj. Wszystko.

Dale kadrował, Narov, po krótkim przeszkoleniu przez Jenkinsona, zabrała się za dokument poświęcony Aktion Feuerland, zaś Raff i Jaeger, nie mając nic innego do roboty, stanęli na straży. Archiwista nadzwyczaj sprawnie radził sobie z wykonywaniem wielu zadań jednocześnie, więc nie minęło wiele czasu, gdy podsunął Jaegerowi pod nos listę – całkowicie rozszyfrowaną siódmą stroną manifestu z „Duchessy”. Zaczął kolejno wskazywać co bardziej sławne – czy raczej niesławne – osobistości:

– Gustav Wagner, lepiej znany jako „Bestia”. Stworzył program T4 – likwidacji niepełnosprawnych – a potem zarządzał jednym z największych obozów zagłady. Uciekł do Ameryki Południowej, dożył sędziwego wieku.

Postukał palcem kolejne nazwisko na liście.

– Klaus Barbie, „Kat Lyonu”. Masowy morderca, który torturował i zabijał, jak Francja długa i szeroka. Pod koniec wojny...

Jenkinson umilkł, gdy w drzwiach pojawiła się nagle głowa sąsiadki, Annie. Jaeger przedstawił ją pozostałym:

– Annie mieszka na sąsiedniej barce. To moja... dobra przyjaciółka.

– Nie ona jedna, co? – odezwała się pochyłona nad dokumentami Narov. – Kobiety i Will Jaeger – wygląda na to, że ciągną do ciebie jak ćmy do ognia. Tak chyba mówicie po angielsku?

– Moje serce zdołałoby każdy, kto robi takie ciasto marchewkowe, jak Annie – odciął się Jaeger, próbując ratować niezręczną sytuację.

Annie zrozumiała, że on i jego przyjaciele są zajęci, wyczuła też napięcie wiszące w powietrzu, wręczyła więc Jaegerowi ciasto i szybko się wycofała.

– Tylko się nie przemęczcie, kochani – rzuciła na pożegnanie i pomachała.

Narov znów zagłębiła się w papierach. Jaeger spojrział na nią, poirytowany. Jakim prawem była tak niemila dla jego przyjaciółki?

– Dzięki za pomoc w umacnianiu dobrosąsiedzkich relacji – stwierdził sarkastycznie.

Irina nawet nie podniosła wzroku znad stołu.

– To proste. Nikt oprócz nas nie może poznać tego, co zawierają te dokumenty – o ile je odczytamy. Nikt, bez względu na to, jak dobrym jest przyjacielem.

– Wracając do Klause Barbiego – przypomniał Jenkinson.

– Tak, opowiedz o Kacie Lyonu.

– Pod koniec wojny Barbie znalazł się pod ochroną amerykańskiego i brytyjskiego wywiadu. Został wysłany do Argentyny jako agent CIA o kryptonimie Adler.

Jaeger uniósł brwi.

– Adler? Orzeł?

– Dokładnie – potwierdził archiwista. – Wierście lub nie, ale Kat Lyonu stał się na wiele lat agentem CIA o kryptonimie Orzeł. – Przesunął palcem w dół listy. – O, a ten. Heinrich Müller, były szef Gestapo. Najważniejszy z tych nazistowskich dostojników, których dalsze losy pozostały całkowicie nieznanne. Większość badaczy uważa, że uciekł do... tak, zgadliście: do Argentyny. Pod nim jest Walter Rauff, jeden z najwyższych dowódców SS. Wynalazca ruchomych komór gazowych. Uciekł do Ameryki Południowej. Dożył podeszłego wieku, a jego pogrzeb był podobno wielkim świętem nazizmu.

– I w końcu – oznajmił Jenkinson – sam Anioł Śmierci, czyli Joseph Mengele. Przeprowadzał niewyobrażalne eksperymenty na tysiącach więźniów obozu w Auschwitz. Pod koniec wojny uciekł do – czy muszę dodawać? – Argentyny, gdzie podobno kontynuował swoje „badania”. Potwór w ludzkim ciele, jeśli w ogóle można nazwać go człowiekiem. O, niemal zapomnieliśmy... Na liście jest też Martin Bormann. Prawa ręka Hitlera...

– I jego bankier – wtrącił Jaeger.

– Faktycznie – potwierdził archiwista. – Krótko mówiąc, to galeria największych hitlerowskich zbrodniarzy. Nie ma jednak na niej tego największego – wujka Adolfa. Powiadają, że zmarł w berlińskim bunkrze. Prawdę mówiąc, nigdy w to nie wierzyłem.

Jenkinson wzruszył ramionami.

– Większość mojego dorosłego życia spędziłem w archiwach, poszukując informacji o drugiej wojnie światowej. Nie uwierzylibyście, jak wielki przemysł rozwinął się wokół tych spraw. Ale nigdy nie dotarłem do niczego, co choć odrobinę dorównywałoby temu. – Wskazał ręką na plik dokumentów. – I muszę przyznać, że to dla mnie frajda. Mogę spróbować z następnym nazwiskiem?

– Śmiało – zachęcił Jaeger. – Pani Narov sama raczej nie da sobie rady ze wszystkim w jedną noc. Jestem jednak ciekaw, co się stało z tymi aktami Hansa Kammlera, które znalazłeś w Archiwum Narodowym? Tymi kilkoma stronami, które sfotografowałeś i przesłałeś mi mailem?

Jenkinson lekko drgnął, błysk niepokoju rozpałił się w jego oczach.

– Zniknęły. Wyparowały. Kaput. Nie ma po nich śladu nawet w chmurze, gdzie je zapisałem. Jakby nigdy nie istniały.

– Ktoś bardzo się postarał, żeby zniknęły – zauważył Jaeger.

– Na to wygląda – przyznał niechętnie archiwista.

– Jeszcze jedna rzecz – zagadnął Jaeger. – Po co używać czegoś tak prostego jak szyfr książkowy? Przecież naziści mieli supernowoczesne maszyny szyfrujące Enigma, prawda?

Archiwista skinął głową.

– To prawda. Jednak dzięki kryptologom z Bletchley Park złamaliśmy kod Enigmy i pod koniec wojny hitlerowscy przywódcy już o tym wiedzieli. – Uśmiechnął się. – Ta metoda jest może prosta, ale także absolutnie niemożliwa do złamania, jeśli nie masz dokładnie tej samej książki – albo, jak w naszym przypadku, książek w liczbie mnogiej – na których opiera się szyfr.

Po chwili dołączył do Narov, skupiając swój wybitny umysł na odczytaniu kolejnego dokumentu.



Rozwiązywanie takich łamigłówek nie było mocną stroną Jaegera i Raffa. Zajęli się więc parzeniem kawy i herbaty oraz czuwaniem na pokładzie. Jaeger raczej nie spodziewał się jakichś problemów tutaj, w marinie, ale zarówno on, jak i Raff wiedzieli, że wciąż żyją głównie dlatego, że wojsko nauczyło ich, żeby oczekiwać nieoczekiwanego.

Po mniej więcej godzinie dołączył do nich Dale. Pociągnął długi łyk kawy.

– Trzeba być czubkiem, żeby dłużej filmować, jak ktoś czyta papiery.

– Skoro już mowa o filmowaniu, to jak ci idzie? – zapytał Jaeger. – Carson zadowolony, czy ma ochotę cię odstrzelić?

Dale wzruszył ramionami.

– O dziwo, sprawia wrażenie dosyć zadowolonego. Dotarliśmy do samolotu i podnieśliśmy go z dżungli, tak jak obiecaliśmy. To, że po drodze go straciliśmy, oznacza tyle, że nie będzie sequela. Ale jak tylko tu skończę, mam udać się prosto do biura, żeby zacząć montować program.

– Jak zamierzasz mnie przedstawić? – zaciekawił się Jaeger. – Wytniesz te wszystkie „mmm” i „yyy”?

– Mam zamiar przedstawić cię jako idiotę – odparł Dale śmiertelnie poważnie.

– Zrób to, a sam cię odstrzelę.

– Zrób to, a nie będzie filmu.

Roześmiali się. Nawiązał się między nimi pewien rodzaj zażyłości, którego Jaeger w życiu by się nie spodziewał po początkach ich znajomości.

Było dobrze po północy, gdy Narov rozszyfrowała pierwszy dokument z Junkersa. Manuskrypt Voynicha faktycznie zawierał klucz do jego odczytania, ale i tak była to powolna i żmudna praca. Dołączyła do Raffa, Dale’a i Jaegera na otwartej rufie.

– Odczytałam może jakieś pięćdziesiąt procent – poinformowała – ale nawet to jest nieprawdopodobne. – Zerknęła na Jaegera. – Wiemy już dokładnie, dokąd zostały skierowane trzy pierwsze Ju 390: Adlerflug I, II oraz III. Lecił tam też nasz samolot, Adlerflug IV, ale nie dotarł na miejsce z powodu braku paliwa. Tym samym wiemy też, gdzie hitlerowcy mieli swoje kryjówki.

Aktion Feuerland – kontynuowała. – Wicie, dlaczego tak nazwali tę operację? Od Tierra del Fuego – Ziemi Ognistej. A wicie, gdzie to? To najdalej na południe wysunięty kraniec Argentyny nad Atlantykiem... Dla mnie Argentyna nie jest dużym zaskoczeniem. Zawsze była na czele listy krajów podejrzewanych o dawanie schronienia nazistowskim prominentom.

– Ale dokument ujawnia też kilka innych lokalizacji. Parę innych kryjówek. A one już naprawdę szokują – Narov przerwała, próbując opanować euforię. – Wicie, zawsze brakowało nam środków – informacji albo specjalistycznej wiedzy – żeby dokończyć to dzieło. Położyć kres nazizmowi. Ale dzięki złamaniu tych szyfrów może teraz nam się uda.

Zanim podjęła temat, z wnętrza dobiegł triumfalny okrzyk. To był Jenkinson, więc doszli do wniosku, że musiało się wydarzyć coś absolutnie nadzwyczajnego, bowiem ekscytowanie się z byle powodu nie leżało w naturze archiwisty. Wpadli do środka.

Jenkinson uniósł kartkę papieru.

– To... jest... to – oznajmił, z trudem łapiąc oddech. – To zmienia wszystko. Bardzo łatwo można to było przeczytać – ot, pozornie nic nieznacząca kartka z liczbami... Ale teraz wreszcie wszystko zaczyna nabierać sensu. Straszego, makabrycznego sensu. – Spojrzał wokół. Jego dolna warga drżała z... podniecenia? Niepokoju? A może przerażenia?

– Nie ma większego sensu przewozić lupów, najważniejszych osób i Wunderwaffe – cudownej broni – w różne zakątki globu, jeśli nie ma się pomysłu, co z tym dalej zrobić. Jeśli nie ma się strategii działań. *Planu generalnego*. To – pomachał kartką papieru – to jest ten plan. Akcion Wehrewolf – operacja „Wilkołak” – plan budowy Czwartej Rzeszy. – Spojrzał na nich, a w jego oczach błysnął strach.

– Czwarta Rzesza, zwróćcie uwagę. Nie Trzecia Rzesza. *Czwarta*.

Otoczyli go w pełnym osłupienia milczeniu, gdy zaczął czytać:

– Zaczyna się tak: „Z rozkazu Führera, Übermensch – czyli nadludzie, rasa panów – zrobią wszystko, abyśmy odrodzili się z popiołów Trzeciej Rzeszy...”.

Jenkinson odczytał im cały dokument. Nakreślony został w nim plan wykorzystania przeciwników alianckim ich największej słabości – paranoi związanej z utworzeniem komunistycznego bloku wschodniego i wzrastającej potęgi Związku Radzieckiego. Pomimo klęski zadanej im przez państwa koalicji, naziści mieli wykorzystać tę paranoję niczym konia trojańskiego po to, by przetrwać i odbudować się do kolejnych podbojów. Dzięki ogromnym bogactwom, jakie zgromadzili w czasie wojny, mieli zinfiltrować wszystkie grupy społeczne, umieszczając w nich „oddanych wyznawców”. Z pozorów przekazać swoje technologie w służbę nowym panom, ale tak naprawdę wykorzystywać je, by rzucić ich na kolana. Mieli wciąż rozwijać najbardziej obiecujące koncepcje Wunderwaffe, ale w całkowitej tajemnicy i dla dobra nazizmu, odrodzonego w Czwartej Rzeszy.

„Nikt nie powinien sądzić, że zadanie, jakie mamy przed sobą, będzie łatwe – Jenkinson odczytywał ostatni akapit dokumentu. – Operacji „Wilkołak” nie da się przeprowadzić w jeden dzień. Musimy być cierpliwi. Musimy odbudować naszą władzę i odzyskać siły. Führer, wspierany przez największe umysły Rzeszy, będzie potajemnie pracował na rzecz tej idei. A kiedy Rzesza odrodzi się niczym feniks z popiołów, tym razem opanuje cały świat i nic jej nie powstrzyma.

Wielu z nas nie doczeka zapewne tej chwili, ale nasze dzieci z pewnością. Odzyskają należne im prawa. Przeznaczenie Übermensch wypełni się. A zemsta w końcu stanie się naszym udziałem”.

Przerzucił kartkę.

– Wspominają o umieszczeniu swoich ludzi w Biurze Operacji Strategicznych – poprzedniku CIA, w amerykańskim rządzie, brytyjskim wywiadzie, największych korporacjach... Lista jest

długa. I dają sobie siedemdziesiąt lat, aby tego dokonać – siedemdziesiąt lat od daty ich największego upokorzenia – podpisania w maju 1945 aktu bezwarunkowej kapitulacji.

Jenkinson podniósł na nich przerażony wzrok.

– Co oznacza, że właśnie teraz nowa Rzesza zaczyna się odradzać, jak feniks z popiołów.

Obrócił dokument tak, aby wszyscy mogli go zobaczyć. Na dole drugiej strony widniał dobrze im znany symbol – Reichsadler.

– To – wyjaśnił archiwista – jest ich znak. Godło Czwartej Rzeszy. Napis wokół okrągłego elementu pod orłem także jest zaszyfrowany. Nawet trzykrotnie, ale zdołałem go odczytać. Oznacza: „Die Übermensch des Reich – Wir sind die Zukunft”. „Rasa panów Czwartej Rzeszy – jesteście przyszłością”.

Jaeger popatrzył na Narov ponad powierzchnią cieplej, niebieskozielonej wody.

– Twoja fala – rzucił prowokacyjnie. – Jeśli uważasz, że dasz sobie radę.

Masywna fala za nimi toczyła się w stronę błyszczącego białego piasku, coraz wyższa i potężniejsza w miarę zbliżania się do plaży.

– Schwachkopf! Ściągajmy się! – podjęła wyzwanie.

Odwrócili się i zaczęli płynąć w stronę brzegu, szybko wymachując rękami. Przez chwilę Jaeger czuł, jak ryk grzywacza wypełnia mu uszy, a potem potężne szarpnięcie uniosło tył jego deski. Płynął szybciej, starając się złapać falę i stać się jej częścią, gdy z hukiem sunęła w stronę cienkiej smugi srebrzystej plaży. Przyspieszył, deska pruća powierzchnię wody, a on jednym płynnym ruchem postawił na niej stopy, po czym lekko przyklęknął, aby łatwiej kierować ślizgiem. Gdy prędkość zaczęła narastać, poczuł znajomy przypływ adrenaliny i pomyślał, że powinien wykonać szybki zwrot, żeby zapewnić sobie zwycięstwo w wielkim stylu.

Ułożył ramiona zgodnie z kierunkiem ruchu fali, utrzymując deskę na szczycie ściany wody mierzącej ponad trzy i pół metra. Ustawił się na spienionej krawędzi i zrobił ostry zwrot, żeby wyjść na czele fali. Zlekceważył jednak skutki pięcioletniego więzienia na Bioko i niemal tak samo długiej wyprawy do Amazonii. Kiedy próbował przenieść ciężar ciała na przednią stopę, uświadomił sobie, jak osłabione ma nogi. Stracił równowagę i niemal natychmiast się wywrócił. Wielka fala wchłonęła go, wciągnęła pod wodę i miotała nim w ryczącej głębi.

Poczuł, jak chwyciła go pierwotna moc oceanu, więc poddał się jej. To był jedyny sposób, aby przetrwać taką gwałtowną wywrotkę. Gdy po raz pierwszy zabrał Luke'a na deskę powiedział mu: „Nie śpiesz się. Wyobraź sobie, że masz dziesięć sekund na uratowanie świata – pięć możesz poświęcić na wypicie mleka i zjedzenie ciasteczka”. W ten sposób próbował nauczyć syna opanowania w podbramkowych sytuacjach.

Wiedział, że kiedy fala zrobi z nim swoje, wypluje go za sobą. I faktycznie, kilka sekund później wynurzył się na powierzchnię. Wciągnął potężny haust powietrza i rozejrzał się w poszukiwaniu linki do swojej deski. Znalazł ją, przyciągnął deskę, wspiął się na nią i popłynął w stronę łądu. Narov czekała na piasku, a jej oczy błyszczały triumfalnie.

Właśnie mijal tydzień od pamiętnej nocy łamania szyfrów na barce Jaegera i odkrycia dokumentu o operacji „Wilkołak”. To był jego pomysł, aby wyjechać na Bermudy. Zakładał, że spędzenie kilku dni na wyspach – dzięki uprzejmości jego rodziców – pozwoli im podładować baterie i przygotować plan. Odpoczynek przed nadchodzącą bitwą.

Bermudy to niewielkie zamorskie terytorium Wielkiej Brytanii pośrodku Atlantyku, a więc oddalone od wścibskich oczu najdalej, jak to tylko możliwe. Rodzice Jaegera nie mieszkali nawet na największej wyspie, Wielkiej Bermudzie. Mieli dom nad Horseshoe Bay, na zapierającym dech w piersiach przylądku Morgan's Point. Doskonałe zacisze. Idealne piękno. I bardzo daleko od piekielnych Sierra de los Dios...

O dziwo, Narov, którą tak pochłaniała misja – polowanie – z miejsca zgodziła się przyjąć zaproszenie do tego małego wyspiarskiego raj. Jaeger zakładał, że gdy będą daleko od wszystkich kłopotów, Narov w końcu zechce opowiedzieć o swojej tajemniczej przeszłości, a zwłaszcza o związkach z jego dziadkiem. Jeszcze w Londynie próbował kilka razy poruszać ten temat, ale wyglądało na to, że nawet tam Irina nie umiała uwolnić się od swoich demonów.

Ponadto wyprawa na Bermudy stwarzała Jaegerowi okazję do porozmawiania z rodzicami o tym, jak umarł dziadek Ted – powinien to zrobić już dawno. Okazało się, że faktycznie podejrzewano morderstwo, ale Jaeger był wówczas zbyt młody, aby coś z tego zrozumieć. Ponieważ policja nie znalazła żadnych dodatkowych dowodów, rodzina musiała, chcąc nie chcąc, pogodzić się z oficjalną wersją o samobójstwie. Jednak podejrzewania nie zniknęły.

Jak można się było spodziewać, rodzice Jaegera uznali jego przyjazd z Narov za coś więcej niż tylko zwykłe odwiedziny. Ojciec zdobył się nawet na to, że zabrał go do gabinetu, żeby porozmawiać na osobności.

Zaczął od tego, że Narov – pomimo pewnych dziwactw w zachowaniu – jest piękną kobietą i że przyjemnie jest ponownie zobaczyć syna w... damskim towarzystwie. Jaeger odparł, że ojciec chyba przeoczył pewien istotny fakt – że on i Narov śpią w osobnych pokojach.

Jaeger senior dał mu jednak jasno do zrozumienia, że nie wierzy w ani jedno słowo. Wiedząc, że to całe spanie w osobnych pokojach było jedynie na pokaz. A ponieważ nieobecność żony i syna trwa już niemal cztery lata, on i matka uznali, iż nadszedł czas. Czas, aby Will rozpoczął nowe życie.

Jaeger bezgranicznie kochał swoich rodziców. To właśnie ojciec zaszczerpił w nim miłość do wszystkiego, co dzikie – morza, gór, lasów. Nie miał po prostu serca powiedzieć mu, że nigdy wcześniej nie czuł tak mocno, że Ruth i Luke żyją. Wstrzymał się z tymi rewelacjami, aby oszczędzić im dalszego cierpienia i niepokoju.

Tak naprawdę nie wiedział zresztą, jak wytłumaczyć tę pewność. Jak miał powiedzieć, że to psychotropowy koktajl, podany przez Indianina z Amazonii – bratniego wojownika – przywrócił mu wspomnienia, a wraz z nimi nadzieję?

Po porannym surfingu Narov i Jaeger wrócili do domu. Rodziców nie było. Narov poszła wziąć prysznic, żeby zmyć sól z ze skóry i włosów, a Jaeger udał się do swojej sypialni i sięgnął po iPada. Chciał sprawdzić, czy przyszły wiadomości od reszty zespołu.

Dopóki nie miał pewności, czy wydostali się bezpiecznie z Amazonii, nie czuł się w porządku, planując kolejne kroki. Oczywiście odkrycie planu odbudowy Rzeszy – przejścia przez naziistów władzy nad całym światem – nie oznaczało jeszcze, że został on już wprowadzony w życie. Dowody były jednak zbyt wyraźne i Jaeger obawiał się najgorszego.

Najpierw zabili Andy’ego Smitha, a potem ścigali Jaegera i jego ekipę po Amazonii. Ciemna Siła stawiała na głowie, żeby ich wykończyć i na zawsze pogrzebać sekrety tajemniczego lotu Ju 390. Bez wątplenia naziści mieli wpływy na całym świecie, a także poważne środki technologiczne i militarne do dyspozycji. A na dodatek oficjalne akta rządu brytyjskiego zniknęły z archiwum, jakby w ogóle nie istniały.

Z której strony by nie spojrzeć, synowie Rzeszy najwyraźniej podnosili głowy. I wyglądało na to, że nikt nie był tego świadomy, ani nie robił nic, żeby ich powstrzymać – z wyjątkiem tego samego oraz małego, umęczonego walką zespołu, którym dowodził.

Kiedy Jenkinson rozszyfrował dokumenty operacji „Wilkołak”, Jaeger miał ochotę ujawnić, że w skrzyni wojennej dziadka Teda znajduje się dossier o tym samym tytule. Coś go jednak powstrzymało. To była karta, którą zamierzał trzymać w zanadrzu, aby zagrać nią we właściwym czasie.

Dzięki pomocy pułkownika Evandro przygotował system szyfrowanych maili, dzięki któremu wszyscy ocaleni członkowie ekipy mogli komunikować się z sobą w miarę bezpiecznie. Wszyscy, oprócz Leticii Santos. Najlepsi ludzie pułkownika Evandro, wspierani przez specjalistów od porwań, okupów i wymuszeń, przeczesywali cały kraj, ale jak na razie bez efektu.

Jaeger włączył iPada i zalogował się do ProtonMail – systemu szyfrowania maili w węzłach końcowych, którego teraz używali. Oczekiwała na niego jedna wiadomość od Raffa, a w niej dobre wieści – w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin odezwali się Lewis Alonzo, Hiro Kamishi i Joe James. Wydostali się z Sierra de los Dios dzięki wsparciu Puruwehuy i członków sąsiedniego plemienia, Uru-Eu-Wau-Wau. Wszyscy trzej byli w stosunkowo dobrej formie i Raff, razem z pułkownikiem Evandro, starali się teraz zapewnić im możliwie szybki i bezpieczny powrót do domu. Jaeger odpisał, prosząc o najnowsze wieści z poszukiwań Leticii.

Choć zdawał sobie sprawę, że niewiele jest w stanie zdziałać, w głębi duszy chciał natychmiast wrócić do Brazylii, by wesprzeć pułkownika w polowaniu na jej porywaczy. I właśnie to zamierzał zrobić, jak tylko załatwi sprawy na Bermudach – o ile w międzyczasie ktoś inny jej nie uratuje. Przyrzekł sobie, że ją odnajdzie i że dziewczyna bezpiecznie wróci do domu.

W skrzynce odbiorczej była też druga wiadomość, przesłana przez Pietera Boerke’go. Jaeger właśnie miał ją otworzyć, gdy rozległo się pukanie do drzwi. To była Narov.

– Idę pobiegać.

– Okej – odpowiedział, nie odrywając wzroku od ekranu tableta. – A kiedy wrócisz, może wreszcie odbędziemy tę długo odkładaną rozmowę o tym, skąd znałaś mojego dziadka. I dlaczego masz do mnie jakąś urazę.

Narov nie odpowiedziała od razu:

– Urazę? Teraz może już nie tak wielką. Ale faktycznie, tutaj może uda nam się porozmawiać. – Zamknęła drzwi, a Jaeger otworzył wiadomość:

*– Po pierwsze, ściągnij załączone zdjęcie. Przegapiłem je w piwnicy. Kiedy je ściągniesz, zadzwoń do mnie przez Skype'a. Przekieruje się na moją komórkę, więc złapiesz mnie, nawet gdybym akurat był w trasie. Zrób to natychmiast. Nie mów nikomu.*

Jaeger wykonał polecenie. Czarno-białe zdjęcie było ziarniste, zrobione teleobiektywem. Ewidentnie przedstawiało „Duchesse” oraz grupę najwyższych rangą hitlerowskich przywódców, zgromadzonych przy relingu. Nic nie zwróciło jego szczególnej uwagi, więc zostawiając zdjęcie na ekranie, uruchomił Skype’a i połączył się z Boerke’em.

Głos po drugiej stronie był pełen napięcia:

– Popatrz na gościa czwartego od lewej, w samym centrum. Masz go? Ten grymas niezadowolonia, paskudna fryzura, zmarszczone brwi. Przypomina ci kogoś? A teraz wyobraź sobie tę twarz z małym i kretyńsko wyglądającym wąsikiem a’la Charlie Chaplin...

Jaegerowi zaparło dech.

– Bez jaj – sapnął. – Niemożliwe. Złamaliśmy szyfr i nie było go na liście. Wszyscy najważniejsi byli, ale nie on.

– Lepiej jeszcze raz sprawdźcie – odparł Boerke. – Bo jeśli to nie jest Adolf, kurwa, Hitler, to ja jestem pieprzonym Chinolem! Jeszcze jedno. Zdjęcie ma na odwrocie stempel z datą: 7 maja 1945. Chyba nie muszę podkreślać znaczenia tej daty.

Kiedy Boerke się rozłączył, Jaeger dwukrotnie kliknął w fotografię, żeby ją powiększyć. Wpatrywał się we wskazaną postać, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. Nie było wątpliwości: twarz była podobna jak dwie krople wody do oblicza Führera – a to oznaczało, że stał na pokładzie statku zacumowanego w porcie Santa Isabel cały tydzień po rzekomym samobójstwie, poświadczonym w berlińskim bunkrze.

Minęła dobra chwila, zanim Jaeger otrząsnął się z szoku. Rewelacja Boerke’go – zapewne ostatni z mrocznych sekretów „Duchessy” – całkowicie go skołowała. Odkrycie, że wielu z najbliższych współpracowników Hitlera – głównych architektów zła – przetrwało koniec wojny, to jedno. Ale dowód, że sam Führer także mógł przeżyć, to już inna historia.

Korzystając z wyszukiwarki ProtonMaila, Jaeger zalogował się na konto z wersjami robotycznymi – to, które zostało zhakowane. Nie mógł się powstrzymać, a wiedział, że dzięki specjalnemu oprogramowaniu wykrycie jego lokalizacji jest właściwie niemożliwe. ProtonMail szczycił się tym, że nawet amerykańska NSA, Agencja Bezpieczeństwa Narodowego – najlepiej na

świecie wyposażona instytucja od inwigilacji elektronicznej – nie była w stanie przechwycić wiadomości przesyłanych za pośrednictwem jego serwerów, ulokowanych w Szwajcarii.

W folderze roboczym była jedna nowa wiadomość. Czekala tam od kilku dni. Niepokój Jaegera wzrósł.

Tak jak poprzednio, zawierała tylko link do folderu w Dropboksie. Jaeger wiedział, że nie przesłał jej nikt z zespołu. Z narastającym przerażeniem otworzył Dropboksa i kliknął na pierwszy plik JPEG, oczekując kolejnego makabrycznego zdjęcia Leticii – następnej odslony Nerwenkrieg.

Przekonywał sam siebie, że musi zobaczyć zdjęcie, bo na którymś z tych odrażających obrazów jego przeciwnicy mogli nieświadomie zostawić wskazówkę co do swojej kryjówki – trop, którym Jaeger i jego ludzie mogli podążyć, by ich znaleźć. Wyświetlił się pierwszy obraz – zaledwie sześć linijek tekstu:

*Wakacje w rajcu...  
Gdy twoi najdrożsi cierpią.*

*Pytanie: Skąd tyle wiemy?  
Odpowiedź: Mały Luke nam podpowiada.*

*Pytanie pomocnicze: Gdzie jest teraz mały Luke?  
Odpowiedź: Nacht und Nebel.*

*Nacht und Nebel – noc i mgła.*

Z sercem bijącym w tempie karabinu maszynowego Jaeger kliknął na drugi JPEG. Na zdjęciu, które się otworzyło, była niegdyś piękna, zielonooka kobieta i nastolatek. Mieli wymizowane twarze, udręczony wzrok, ciemne kręgi wokół zapadniętych oczu.

Matka i dziecko, skrępowani łańcuchami, klęczeli przed czymś w rodzaju hitlerowskiej flagi z dominującym Reichsadlerem. Trzymali egzemplarz „International Herald Tribune”. Trzęsącymi się rękami powiększył logo gazety – data wskazywała, że zdjęcie zostało zrobione niecały tydzień temu. To był wyraźny dowód, że przed pięcioma dniami oboje jeszcze żyli. Pod zdjęciem widniały dwie linijki tekstu:

*Oddaj nam to, co nasze.  
Wir sind die Zukunft.*



Jaeger odwrócił się i szarpnęły nim mdłości – zwymiotowałby, gdyby miał czym. Drżał i cierpiał tak, jak jeszcze nigdy dotąd, nawet podczas najgorszych tortur w Playa Negra. Zsunął się z krzesła, skulił się w sobie, ale nawet leżąc na podłodze, nie był w stanie oderwać oczu od wstrząsającego obrazu.

W jego umyśle pojawiała się jedna wizja za drugą, a każda tak przerażająca i mroczna, że miał wrażenie, że za chwilę eksploduje mu czaszka. Długo leżał obok biurka, zwinięty w kulkę. Czy splywały mu po policzkach, ale prawie ich nie zauważył. Stracił poczucie czasu.

Czuł się wyczerpany. Gałkowiec pusty. Do zmysłów przywrócił go dźwięk otwierających się drzwi do sypialni. Jakimś cudem wdrapał się na krzesło, osuwając się bezwładnie na blat przed ekranem. Odwrócił się.

Stała za nim Irina Narov, owinięta niewielkim ręcznikiem, którego górna krawędź ledwie zakrywała piersi. Najwyraźniej wzięła prysznic po powrocie z joggingu. Jaeger nie wątpił, że pod ręcznikiem jest naga. Nie dbał o to.

– Kiedy w dżungli byliśmy uwięzieni w koronach drzew, tłumaczyłam ci powody, dla których dwoje ludzi może chcieć się do siebie zbliżyć – powiedziała w ten charakterystyczny dla niej, dziwnie beznamiętny i rzeczowy sposób. – Taka wyjątkowa bliskość może być niezbędna z trzech powodów. Pierwszy: konieczność. Drugi: dzielenie się ciepłem ciała. Trzeci: seks. – Uśmiechnęła się. – Teraz chciałabym, żeby stało się to z powodu numer trzy.

Jaeger nie odpowiedział. Nie był szczególnie zaskoczony. Już dawno zrozumiał, że Narov kompletnie nie potrafi odczytywać uczuć innych. Nawet wyraz twarzy i mowa ciała były dla niej dziwnie niezrozumiałe. Przesunął tablet tak, żeby mogła zobaczyć zdjęcie na ekranie.

Zszokowana Narov podniosła dłoń do ust.

– Słodki Jezu...

– Data na gazecie – przerwał jej Jaeger. Jego głos brzmiał tak, jakby dochodził z końca bardzo długiego i bardzo ciemnego tunelu. – Sprzed pięć dni.

– Mój Boże – sapnęła Irina. – *Oni żyją.*

Ich spojrzenia spotkały się.

– Ubiorę się – oznajmiła, bez najmniejszej choćby oznaki zakłopotania czy zażenowania. – Mamy coś do zrobienia.

Ruszyła w stronę drzwi, ale zatrzymała się. Spojrzała niepewnie na Jaegera przez ramię.

– Przyznaję, poszłam nie tylko pobiegać... Byłam też umówiona na spotkanie... Widziałam się z kimś, kto twierdzi, że wie, gdzie jest przetrzymywana Leticia.

– Że co? – zapytał Jaeger, próbując pozbyć się zamętu, jaki miał w głowie. – Gdzie? I z kim, na miłość boską? I dlaczego nie uprzedziłaś...

– Mógłbyś nie chcieć się z nimi spotkać – przerwała mu. – A nie chciałbyś, gdybyś wiedział, kim są...

– Gadaj, do kurwy! – Jaeger dźgnął palcem w ekran tableta. – Trop do Leticii może mnie doprowadzić do nich!

– Wiem. Teraz to wiem – broniła się. – Ale godzinę temu nie miałam pojęcia, że żyją.

Jaeger podniósł się. Wyglądał naprawdę groźnie.

– Mów, kto, do diabła, spotkał się z tobą cichaczem i co usłyszałaś?

Narov cofnęła się o krok. Wyraźnie się spięła, ale choć raz nie miała noża pod ręką.

– Bardzo blisko Bermudów jest Kuba. To wciąż rosyjskie terytorium, przynajmniej tak uważa Kreml. Spotkałam się z jednym z moich kontaktów...

– Spotkałaś się z agentem pierdolonego SWR? Powiedziałaś co robimy, komuś takiemu?

Narov potrząsnęła głową.

– To rosyjska mafioso. Przemycniczka narkotyków, a raczej jedna z głównych rozgrywających w tym biznesie. Ich siatka pokrywa w zasadzie całe Karaiby. Wiedzą wszystko i znają wszystkich. Bez tego nie mogliby przerzucać prochów przez te wyspy. – Spojrzała na Jaegera z urazą. – Jak chcesz znaleźć diabła, to czasami musisz zawrzeć pakt z nim samym.

– I co ci powiedziała? – spytał Jaeger schrypniętym głosem.

– Dwa tygodnie temu pojawiła się na Kubie grupa ludzi z Europy Wschodniej. Szastali pieniędzmi na lewo i prawo, imprezowali do upadłego. Nic nadzwyczajnego. Ale mój kontakt zwrócił uwagę na dwie rzeczy. Pierwsza: byli najemnikami. Druga: była z nimi kobieta, którą wzięli. – Spojrzała na niego twardo. – Ta kobieta to Brazylijka. I nazywa się Santos.

Jaeger przez długą chwilę wpatrywał się w twarz Rosjanki. Dziwne, ale częścią jej skomplikowanej osobowości była bolesna szczerość – Irina nie potrafiła kłamać. Mogła udawać, że jest inaczej, i robiła to nader przekonująco, jednak gdy rozmawiała z kimś, komu ufała, mówiła prawdę niemal bezwiednie.

– Dobra – warknął – chuj mnie obchodzi, jak ich znalazłaś. – Jego wzrok powędrował znowu do ekranu iPada. – Najpierw znajdziemy Leticję, a potem...

W oczach Jaegera pojawiło się coś nowego – wyraz zimnego jak lód, kamiennego spokoju. Miał swój zespół, miał trop – a co najważniejsze, miał do uratowania świat i własną rodzinę.

Odwrócił się do Narov:

– Pakuj się. Ruszamy.

– Ruszamy – potwierdziła Irina. – Ty, Will Jaeger. I ja. Czas, żebyśmy zapolowali.

Will Jaeger powróci...

Karta tytułowa  
Karta redakcyjna  
Dedykacja  
Podziękowania  
Bear Grylls  
Od autora  
Wstęp  
Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36

Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44  
Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59  
Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Rozdział 66  
Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70  
Rozdział 71  
Rozdział 72  
Rozdział 73  
Rozdział 74  
Rozdział 75  
Rozdział 76  
Rozdział 77  
Rozdział 78  
Rozdział 79  
Rozdział 80  
Rozdział 81  
Rozdział 82  
Rozdział 83

Rozdział 84

Rozdział 85

Rozdział 86

Rozdział 87

Rozdział 88

Rozdział 89

Rozdział 90

Rozdział 91

Rozdział 92

Rozdział 93

Rozdział 94